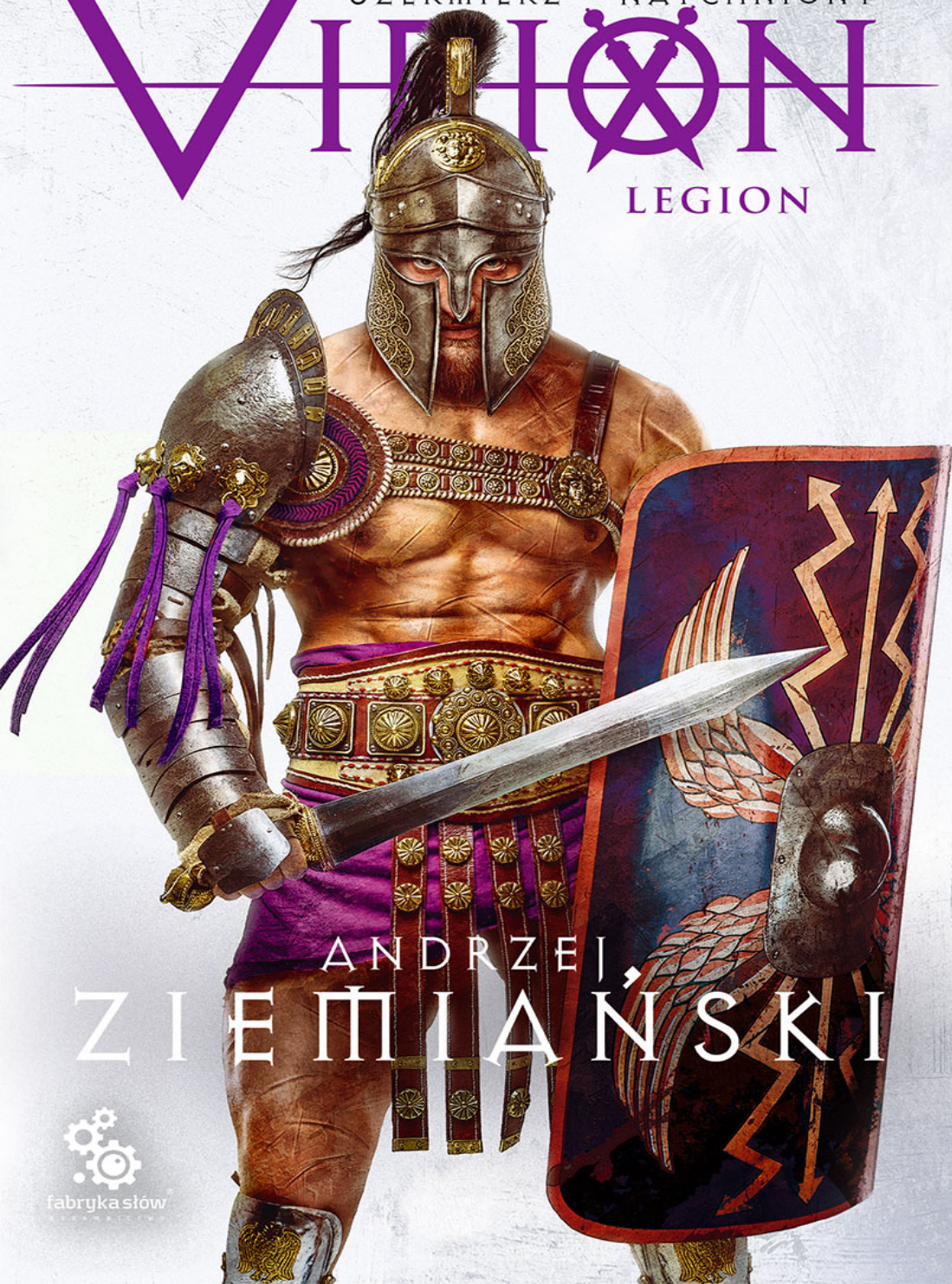


SZERMIERZ NATCHNIONY

VIIION

LEGION



ANDRZEJ
ZIEMIĄŃSKI



fabryka słów

Vink zrozumiał, że nie zdoła już wyprowadzić szychu. Wszystko stało się zbyt szybko. Opuścił broń, przechodząc do zastawy, i odskoczył. Chciał zrobić jeszcze jeden krok do tyłu i wtedy zorientować się w sytuacji, ale jego plecy uderzyły o coś twardego. Zdażył jeszcze odwrócić głowę, chyba tylko po to, żeby spojrzeć z bliska na opuchniętą twarz Viriona, który stał już za nim.

– Ja...

Cios w gardło powalił Vinka na ziemię. Virion nachylił się nad nim, zabrał miecz i przeciągnął nim po szyi leżącego.

– Kończysz? – zapytała Niki.

Sama próbowała uspokoić konie, które zaczęły się płoszyć.

– Ostrze stępione – wycharczał jej mąż, nie mogąc przeciąć nawet skóry ofiary.

– Mam go zagryźć?

– Nie no. – Virion położył miecz na karku leżącego Vinka w charakterze dźwigni i stanął na nim, łamiąc tamtemu kark. – Głowa mnie napieprza...

Fragment powieści



ANDRZEJ ZIEMIAŃSKI
POZNAJ BLIŻEJ
AUTORA VIRIONA
ZOBACZ WIĘCEJ NA YOUTUBE



Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Epilog

Karta redakcyjna

Okładka

ANDRZEJ
ZIEMIĄŃSKI
SZERMIERZ NATCHNIONY
VIRION
LEGION

ILUSTRACJE
PAWEŁ ZARĘBA

fabryka słów®

LUBLIN - WARSZAWA

Szermierz natchniony

Virion. Zamek

Virion. Pustynia

Virion. Legion

Rozdział 1



Leżący na piasku mężczyzna już nie żył albo znajdował się na granicy życia i śmierci, gotowy znaleźć się po drugiej stronie światła w każdej chwili. Siedząca obok kobieta w ciąży wyglądała na skrajnie wyczerpaną. Patrzyła gdzieś w dal, a jej twarz nie miała żadnego wyrazu. Nie zwróciła uwagi na czterech jeźdźców, którzy pojawili się na szczycie wydmy tuż obok. Nie drgnęła ani o włos także wtedy, kiedy jeden z nich podjechał bliżej i zeskoczył z siodła. Dziwne. Nie oczekiwała już nawet ratunku? Nie ożywiła się na widok ludzi, którzy mieli ze sobą wodę, żywność i wiedzieli, w którą stronę należy zmierzać?

Hm. A może dobrze, że się nie ożywiła?

– Nie mają nic. – Człowiek, który stanął obok ciężarnej kobiety, zdążył przeprowadzić lustrację. – Ani bagażu, ani żadnej rzeczy, ani nawet miecza przy nich nie uświadczysz.

– Birte – odezwał się jeden z tych, którzy tkwili w siodłach kilka kroków dalej – a na oczy tyś się leczył ostatnio?

– Bo co?

– Bo chyba warto zainwestować w medyka. Ja stąd widzę, że jedno i drugie ma przy pasie sakiewkę.

– No i obie grubo wypchane – dodał drugi z konnych.

– I co tam w środku może być? – Człowiek nazwany Birte nachylił się nad młodą kobietą. – Papiery dłużne najpewniej, bo widać, że to bida z nędzą.

– Sprawdź.

– A ty nie zejdziesz na ziemię, Vink?

– Tchórz.

– A jak mnie ten, co leży, dziabnie czymś w plecy? A może on tylko trupa udaje?

Mężczyzna o imieniu Vink sprawnie zeskoczył z konia. Podszedł do leżącego i kopnął go w bok. Przyglądał się uważnie, szukając jakichś oznak życia. Potem kopnął leżącego jeszcze raz. Tym razem w skroń.

– No i? – Spojrzał na kolegę obok. – Ten już nikogo nie dziabnie.

Birte nachylił się nad kobietą, przeszukując ją pobieżnie. Nie ukrywała niczego pod skromną tuniką, szarpnął więc za pękatą sakiewkę.

– Ciężka! – Stęknął z wysiłku. – To nie papier.

– Dawaj, dawaj!

– Kiedy ona chyba na łańcuszku.

– No to tnij.

Birtemu jednak chciwość nie pozwalała nawet na chwilę zwłoki. Trzęsącymi się rękami rozsypywał rzemień, którym sakiewka była związana od góry, a kiedy wreszcie mu się udało, wsunął dłoń do środka. Monety! Zacisnął palce na większej ilości i wyszarpnął na zewnątrz.

– Złoto! – krzyknął zszokowany. – Ona ma złoto!

Pozostali dwaj mężczyźni w siodłach dokładnie w tej samej chwili przełożyli nogi nad końskimi grzbietami. A kiedy tylko znaleźli się na piasku, runęli w stronę leżącego człowieka. Jego sakiewkę przeszukiwał już Vink.

– Złoto! – krzyknął tak samo jak jego kolega przed chwilą. – Złoto!

– Ale majątek...

– A takie obdartusy.

Któryś miał lepszy zmysł obserwacji.

– Wcale nie są obdarci. Oni po prostu niczego przy sobie nie mają.

– Ktoś ich już wcześniej obrobił? – zainteresował się Birte.

– Debil. Obrobił i zabrał jedynie konie, broń, wyposażenie i wodę.

A złoto grzecznie zostawił w sakiewkach?

– No... fakt. To co się stało?

Vink jeszcze raz kopnął w bok leżące ciało. Nie widząc żadnej reakcji, podszedł do kobiety.

– Ty! – Dotknął jej ramienia. – Jesteś jeszcze z nami?

Ciężarna nie odpowiadała. Wyraz jej twarzy nie uległ zmianie ani o jotę.

– Ty! – Vink szarpnął mocniej. – Co się stało?

Nachylił się, żeby zerknąć siedzącej w oczy, ale w dalszym ciągu nie mógł się doszukać jakiegokolwiek reakcji.

– A szlag z tobą – westchnął. – Nie musisz gadać. Nawet jak cię będę rznął, nie musisz się odzywać – zażartował.

– Chcesz przelecieć brzemienną? – zapytał Birte.

– Co za różnica? A jak ci jej tyłek nie pasuje, to patrz, jaką ma śliczną buzię.

Przerwał im okrzyk jednego z kolegów:

– Ja pierdołę! Znam tego gościa!

Obaj odwrócili się w stronę wołającego. Ten zaś uniósł głowę leżącego mężczyzny i odgarnął piasek z twarzy.

– Ja go znam!

– Skąd?

– Ma na imię... Virion!

To imię najpierw podziałało paraliżująco, bo wszyscy zamarli.

– Jaja robisz?

– Nie no, kurwa, to Virion!

Jeden z bandytów pobiegł do konia, by wrócić zaraz ze skórzanym bukłakiem. Zaczął polewać twarz leżącego wodą. Vink podskoczył z tyłu i pomógł koledze unieść rannego do pozycji prawie siedzącej.

– Lej, lej – nakazał temu z bukłakiem.

– Ty patrz. To naprawdę Virion!

– No!

Ranny otworzył jedno oko. Tylko tyle mógł zrobić. Druga część twarzy niknęła pod opuchlizną.

– Ja pierdołę. – Vink również rozpoznał legendarnego szermierza. – Będą na mnie mówić: facet, który zabił Viriona! – Sięgnął do boku po miecz. – Ja pierdołę...

– Leżącego chcesz zabić?

– Nie. Nie! Unieście go jeszcze trochę.

– A jak nas zajebie?

Vink odchrząknął nagle.

– Dobra. – Przez chwilę obmyślał swój plan. – Podnieście go obaj. Ty go przytrzymaj jedną ręką, żeby stał, a drugą przytknij mu nóż do szyi. Jakby co, wbij w tętnicę. Ty stój z tyłu z uniesionym mieczem. Jak drgnie, to wal w łeb, żeby rozplatać. Obaj zrozumieli?

Bandyci potwierdzili zgodnie.

– A ja będę z przodu. Jak tylko umarłak stanie na nogach, to mu wbiję ostrze prosto w klatkę. – Vink wykonał pozorowany sztych własnym mieczem.

– A, bawcie się w słynnych szermierzy. – Birte tylko machnął ręką, patrząc, jak koledzy starają się podnieść półprzytomnego Viriona i sprawić, żeby z podporą choć chwilę ustał na własnych nogach. Sam nachylił się nad ciężarną. – Dziewczynko? Pobudka.

Chwycił ją za włosy, chcąc zmusić do zmiany pozycji.

– No, dziewczyno. Uklęknij ładnie przede mną.

Ciężarna kobieta była zbyt bezwładna, żeby łatwo poddawać się jego zabiegom. Birte zaczął ją ciągnąć za włosy.

Tymczasem jego kolegom udało się postawić Viriona do pionu. Pod rannym załamywały się nogi i jeden z nich musiał objąć go ramieniem

i dosłownie przytulić się z boku. W drugiej ręce trzymał nóż, który przyłożył do szyi szermierza, w miejscu gdzie znajdowała się tętnica. Drugi stanął z tyłu z uniesionym mieczem, gotów do zadania śmiertelnego ciosu.

Trudno było stwierdzić, czy Virion był choć trochę przytomny. Oko, które nie znikło pod opuchlizną, było w połowie otwarte. Ale czy on cokolwiek widział, czy nie, pozostawało sprawą nierozstrzygniętą.

Vink złożył się do ciosu.

– No i co, chodząca legendo? – kpił sobie w żywe oczy. – Pokonałeś najlepszych z najlepszych. A teraz drżysz przed moim mieczem. I zaraz zesrasz się ze strachu.

Birtemu tymczasem udało się nareszcie pociągnąć kobietę trochę do przodu.

– No chodź, zołzo! Klękaj tu!

Zoła jednak nie chciała klęknąć albo nie była w stanie. Birte uniośł wolną rękę i z całej siły uderzył ją dłonią w twarz. Potem jeszcze raz. I jeszcze.

Nareszcie udało mu się coś osiągnąć. Kobieta uniosła oczy i spojrzała na niego dużo bardziej przytomnie niż dotąd. Ponieważ jego głowa znajdowała się dużo wyżej, a jej tkwiła nisko, wziął to spojrzenie za wyraz błagania o litość.

– Co? No chyba mi się tu nie rozplączesz w rękaw, dziewczynko?

Brzemienna przełknęła ślinę. A potem pokazała palcem samą siebie.

– Ta dziewczynka nie płacze – wyjaśniła. – Ta dziewczynka radzi sobie sama.

Birte nie zdążył zareagować, kiedy chwyciła go za genitalia i mocno szarpnęła w dół, zmuszając go, by opadł na nią bezwładnie. Nawet nie zdążył wrzasnąć z bólu, kiedy upiorzyca odnalazła jego gardło i wbiła weń zęby. Szarpnęła głową, wyrywając Birtemu kawał tchawicy.

To już nie był krzyk, to nie było charczenie. Po prostu powietrze uchodziło bandycie z płuc przy dźwięku bulgoczącej krwi.

Niki uniosła się błyskawicznie, wycierając zbryzganą czerwienią twarz. Musiała coś odgryźć napastnikowi, bo po sprawdzeniu językiem wypłuła na piasek wszystko, co miała w ustach, i jeszcze raz otarła wargi.

– Kochanie? – Jednym spojrzeniem oceniła sytuację. – Zabij ich wszystkich – poprosiła.

Virion uderzył pięścią w dłoń mężczyzny, który trzymał mu nóż przy tętnicy. Tamten był gotowy do wbicia go w szyję szermierza i nawet wykonał ten ruch. Tyle tylko, że niespodziewane przesunięcie ręki w bok sprawiło, że wbił ostrze we własną grdykę. Virion chwycił go wpół i zrobił krok w lewo. Bandyta, który stał z tyłu z mieczem gotowym do ciosu,

opuścił ostrze, wkładając w uderzenie wszystkie siły. Zabił kolegę doskonale zgodnie z wcześniejszym planem. Płatając głowę na pół.

Bandyta zamarł zszokowany. Virion bez trudu zabrał mu miecz, chwytając za klingę. Nie tracił czasu, żeby go odwracać czy przerzucać. Po prostu wbił rękojeść w oko mężczyzny, pozwolił, żeby ten w odruchu obronnym chwycił ponownie własną broń i dobił, uderzając pięścią w jego dłoń. Ten przynajmniej zdążył wrzasnąć.

Vink zrozumiał, że nie zdoła już wyprowadzić sztychu. Wszystko stało się zbyt szybko. Opuścił broń, przechodząc do zastawy, i odskoczył. Chciał zrobić jeszcze jeden krok do tyłu i wtedy zorientować się w sytuacji, ale jego plecy uderzyły o coś twardego. Zdążył jeszcze odwrócić głowę, chyba tylko po to, żeby spojrzeć z bliska na opuchniętą twarz Viriona, który stał już za nim.

– Ja...

Cios w gardło powalił Vinka na ziemię. Virion nachylił się nad nim, zabrał miecz i przeciągnął nim po szyi leżącego.

– Kończysz? – zapytała Niki.

Sama próbowała uspokoić konie, które zaczęły się płoszyć.

– Ostrze stępione – wycharczał jej mąż, nie mogąc przeciąć nawet skóry ofiary.

– Mam go zagryźć?

– Nie no. – Virion położył miecz na karku leżącego Vinka w charakterze dźwigni i stanął na nim, łamiąc tamtemu kark. – Głowa mnie napieprza...

– Już, już. – Niki nie dość, że chwyciła cugle koni bandytów, to zdążyła przepatrzeć ich juki. – Oni musieli obrabować jakiegoś medyka.

Jej mąż nie docenił wagi tej wiadomości. Pojękując, dotknął ostrożnie swojego czoła. Niki doskoczyła do niego.

– Zaraz ci zaparzę ziółka na twoją głowę, kochanie.

Spojrzał na nią spod oka.

– Ale zanim mnie pocałujesz, dokładnie wyczyść usta – westchnął.



Taida siedziała w przydzielonym jej przez marynarkę wojenną gabinecie. Przed nią leżała czysta kartka, a obok stał kałamarz. Pani prokurator jednak jeszcze nie umoczyła w nim końcówki trzymanego w dłoni pióra. Na razie na papierze widniała jedynie narysowana ołowiem od liniału pionowa linia. Miała dzielić stronę na dwie części: plusy i minusy obecnej

sytuacji. Narysowanie jednak samej linii w żaden sposób nie przybliżyło Taidy do rozpoczęcia pisania. Skąd wzięła się ta blokada? No szlag z nią. Przecież jest kobietą zorganizowaną do najmniejszego szczegółu. Dlaczego nie może zacząć pisać?

Aha. Pęta ją własna skrupulatność, domyśliła się. Chciała mieć na papierze sprawy natychmiast uszeregowane, od najważniejszych do tych najmniej ważnych. Sama jednak wiedziała, że tak od razu się nie da. No dobra. Postanowiła zapisywać sprawy w kolejności takiej, z jaką będą jej przychodzić do głowy. Nie patrzac na ich pozycję w hierarchii ważności.

Tak, to był dobry pomysł. Taida zamoczyła końcówkę pióra w atramencie i zaczęła zapisywać swoje myśli po stronie minusów.

Po pierwsze: boi się pójść na Zamek do pracy, ponieważ mogą ją tam zabić.

Po drugie: boi się pójść do własnego domu, ponieważ... patrz wyżej.

Po trzecie: boi się otoczenia własnych ochroniarzy, ponieważ okazało się, że można ich odwołać jednym rozkazem wydanym przez nie wiadomo kogo.

Po czwarte...

Nie! No co jest? Taida zrozumiała, że pisze wyłącznie o sobie. O swoich lękach i problemach. A przecież jest prokuratorem. Powinna zająć się sprawami państwa.

No to jeszcze raz.

Po czwarte: wróg przekroczył granicę i znajduje się już na cesarskich ziemiach.

Po piąte: jedna imperialna armia jest związana na jednej granicy, a druga na drugiej. Korpus Mohra rozbity. Nie ma komu bronić Syrinx, no chyba że na murach stanie ona sama wespół z Nervą, ale nie, bo przecież Nervie nie można ufać – sam przyznał, że sprzeda ją w razie czego, jeśli będzie musiał ratować własną głowę...

Taida w osłupieniu patrzyła na to, co sama napisała. Po chwili przygryzła wargi i w skupieniu zaczęła skreślać ostatnie linijki.

Po piąte: nie ma kim bronić stolicy. Cesarz nie może się udać do jednej ze swoich armii, ponieważ wróg jest w granicach imperium. Nikt nie wie, co może się stać poza murami Syrinx. Tu teoretycznie bezpieczniej, ale nie ma kim bronić tych murów.

– Nie no, co za bzdury!

To ostatnie powiedziała na głos. Znowu skreśliła to, co napisała.

Po piąte: polecą nasze głowy, bo cesarz kazał werbować wojsko, a nie ma skąd. Kto nie dostarczy wojska, zostanie umówiony z katem na dłuższe posiedzenie. To chyba koniec moich nieszczęść, ale drobniejszych

spraw, które doprowadzą mnie do zguby, mogłabym wymienić jeszcze z tysiąc.

Taida zaczęła zastanawiać się nad skuteczną metodą samobójstwa. Podobno powieszenie jest niezbyt bolesne pod warunkiem, że sznur będzie odpowiedniej długości. Inaczej masakra. Podrapała się w czoło. Ja pierdołę! Jaka powinna być długość sznura?

Podcięcie żył? To trzeba umieć. Amatorzy tną ścięgna, są nieskuteczni, zdychają pół dnia albo ich inni ratują. No to nając fachowca. Pełno ich przecież. Ale skąd wiadomo, że to nie szpieg wrogów? Niby zacznie zabijać, a kiedy Taida straci przytomność, to ją odratuje i odda komuś na tortury. Wzdrygnęła się.

Trucizna? Przedawkowanie narkotyków? Na tym również trzeba się znać.

Uderzyła się dłonią w czoło. Nie no, co za aberracje. Nie zamierzała się zabijać. Spokojnie, spokojnie, musi wrócić do trzeźwości umysłu. Potrząsnęła głową i w chwili kiedy uznała, że już wszystko z nią w porządku, spojrzała na kartkę przed sobą.

No ładnie. Cała rubryka „minusy” została pokryta gęstym pismem i nerwowymi skreśleniami. Rubryka „plusy” pozostała pusta. Taida długą chwilę bawiła się piórem, a potem napisała:

Plusy: Taron.

I chyba tyle treści miała do umieszczenia w tej rubryce.

Wściekła odrzuciła pióro i podpaliła swój spis od płonącej na biurku przez cały dzień oliwnej lampki.

Taron. Serio?

Uderzyła dłonią w podręczny dzwonek wiszący tuż przy blacie. Podoficerowi, który się zameldował, kazała spowodować sprowadzenie tego, którego imię zapisała w pierwszym odruchu. Zastanawiała się, czy na pewno chce omówić dręczące ją sprawy z mężczyzną w stopniu szeregowego. No niby teraz był już oficerem, ale przecież przed sobą nie musiała kłamać. Sama go awansowała, bo jej się podobał. A może... A może tak ma być? Może zdać się na instynkt, a nie roztrząsać wszystko, rozdzielając każdy włos już nie na czworo, ale na milion bez mała części?

Nie musiała długo czekać na wypełnienie rozkazu. Taron z impetem wkroczył do jej gabinetu, trzymając w rękę sporą płócienną torbę.

– Jadłaś coś? – zapytał od drzwi.

– No skąd? Co tu można zjeść?

– Jajka ci usmażę. – Położył torbę na blacie. – Kolega od rodziców ze wsi właśnie przywiózł. Świeże.

Spojrzała zdziwiona.

– Lepiej nigdzie nie wychodźmy – powiedziała jakby wbrew sobie, ale w zgodzie z własnymi obawami, które ją osaczały.

– Tu ci zrobię. Nie możesz tyle czasu bez jedzenia siedzieć.

Taidę wzruszyła jego troska. Ale nie mogła uwierzyć, że tutaj, w gabinecie sztabu marynarki, da się przyrządzić cokolwiek poza suchymi plackami maczanymi w oliwie. Jeśli przygotowanie tej potrawy w ogóle można nazwać przyrządzaniem.

Taron jednak najwyraźniej miał plan. Obok oliwnej lampki, która już stała na blacie, postawił dwie inne, które znalazł na parapecie. Ustawił je tak, żeby palniki prawie się stykały, umożliwiając powstanie jednego wielkiego płomienia. Wokół lampek zaczął ustawiać coś w rodzaju dwóch barykad, na które składały się stosy tajnych raportów.

– Chcesz nas podpalić? – zainteresowała się Taida.

– Palenisko robię – wyjaśnił.

Jej osobisty oficer najwyraźniej miał jakąś koncepcję zamiany gabinetu w kuchnię. Obserwowała go z rosnącym zdziwieniem, kiedy zdjął z biurka kałamarz i wszystkie przybory do pisania. Potrzebna mu była srebrna taca, na której przedtem się znajdowały. Trzeba przyznać, że przed użyciem wytarł całą powierzchnię bardzo starannie, choć zrobił to nie pierwszej świeżości rękawem tuniki. W płóciennej torbie miał odkrojony skądś maleńki kawałek słoniny. Natarł nim powierzchnię tacy, a potem położył ją na ogniu, jeśli oczywiście można tak nazwać trzy sprężone palniki oliwnych lampek na biurku.

– Ile zjesz? – zapytał i spojrzał na Taidę, żeby zbadać stopień jej wygłodzenia. – Trzy? Cztery? – Nie zdążyła odpowiedzieć, bo zdecydował za nią: – Pięć.

Zaczął wbijać jajka na tacę, bezceremonialnie wrzucając puste skorupki do kosza na ważne dokumenty. Jajka mieszał swoim wojskowym nożem, który oblizywał co chwila. Nie żeby miała coś przeciwko, ale tak jakoś... nie przywykła do podobnych zachowań u kucharzy. A może nie miała racji? Może dotąd po prostu nie wpuszczano jej do kuchni?

– W czym to zjemy? – zapytała.

– Ty zjesz – mruknął. – Ja nie jestem głodny.

– Ale tak prosto z tacy?

– A masz widelec? – uśmiechnął się w odpowiedzi.

Przestał mieszać, zdjął z najbliższej półki rejestr skazanych i z kilkunastu kart skręcił rożek, którego ścianki powinny być odpowiednio grube, żeby zawartość nie parzyła dłoni. Bardzo sprawnie przeniósł nożem jajka z tacy do zaimprovizowanego naczynia i podał Taidzie z szarmanckim ukłonem.

– Jak mam to jeść? Palcami?

– Przechył to, trzymając ustami, i językiem kieruj porcje do gardła – poinstruował fachowo. Chyba robił to już wiele razy w życiu.

– Cała się poplamie.

Taron potrafił się znaleźć w każdych warunkach. Z wielkiej płachty schematu organizacyjnego sztabu zrobił śliniak i sprawnie umocował pod szyją Taidy.

Taida przełykała małe porcje, parząc się w język. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo była głodna. Walczyła ze śmiechem, pełna podziwu dla jego zaradności.

– Troszkę jedzenia i widzę, że bardzo zmienił ci się nastrój – mruknął, obserwując jej nieporadne próby dostania się głębiej do rożka.

– A miałam zły?

– Kiedy tu wszedłem, to jakbym do rodzinnego grobowca zawitał.

– Aż tak? Nie miałam pojęcia, że to widać.

– Wiesz co? – Żołnierz przysiadł na brzegu biurka. – A może pierdolnąć te nerwy do kosza i pojechać ze mną na wieś. Krowy się nauczysz doić i kozy. Owce będziesz pasać, kury karmić. A wszystko to w spokoju ducha i ze mną polepszającym ci nastrój dwa razy dziennie.

– Jak?

– W chłopskim łóżku bez wygod. Zrobią ci się odciski na pupie.

Parsknęła śmiechem.

– Kuszące. – Rozmarzyła się na króciutką chwilę. Oczami wyobraźni zobaczyła ich dwoje przytulonych do siebie w oliwnym gaju, rozświetlone słońcem, ciche pastwisko z szemrzącym strumieniem i... Nie no. Brakowało tylko Nervy grającego na fujarce i Girona na harfie. – Szkoda, że nierealne.

– Co? Poślą za tobą i złapią? – Spojrzał współczująco. – Za dużo wiesz.

Westchnęła przeciągle. A Taron kontynuował indagację.

– Co jest najpilniejszym problemem?

– Brak ludzi. Wiesz, kto kazał obsadzić mury, organizować oddziały forteczne, obronne dla miasta, a nie ma już nic. I za to głowy polecą w pierwszej kolejności. Desperacja.

Taron zeskoczył z biurka, odwrócił się i opierając dłonie na blacie, nachylił się w stronę Taidy. Długo bez słowa patrzył jej w oczy.

– Co?

– Tę kwestię rozwiązałem już dawno – powiedział z lekką kpina.

– Niby jak? – Oczywiście mu nie uwierzyła.

– Widzisz, ciężko ci coś załatwić, bo rozmawiasz z ludźmi twojego szczebla. Z dowódcami, szefami, dyspozytorami. A oni patrzą w swoje dokumenty i...

– I co?

– A tam pusto. Nikogo się już nie wyciągnie. To nie magicy, którzy wsuną rękę pod płaszcz i wyciągną królika za uszy.

– A ty oczywiście znasz magików?

– A znam. Bo ja nie ze strasznie ważnymi dowódcami gadam, tylko z cieciem. A cieć nie patrzy w papiery, co tam widać, tylko mówi, jak jest.

– Jak jest? – powtórzyła za nim jak echo.

– No, powołując się na to, że jestem twoim oficerem, kazałem marynarce ludzi z wybrzeża ściągnąć. Przyjadą jutro wozami. – Rozłożył szeroko ramiona. – Wiem, że będzie cię to słono kosztowało, ale co tam. Nie ze swoich płacisz.

Nie zrozumiała w pierwszej chwili.

– Marynarzy kazałeś ściągnąć?

– A na chuj nam marynarze? – Taron zreflektował się, że przy Taidzie nie powinien kląć „aż tak”, i skrzywił się nagle. Ale przepraszać byłoby jeszcze głupiej. – Toż z nimi zamkowi zdrajcy poradziliby sobie w try miga.

Taida postanowiła uściślić.

– To kto jedzie do nas na wozach?

Taron zrobił minę niewiniątka.

– Gangi jadą – powiedział. – Gangsterów kazałem przywieźć.

Zmarszczyła brwi.

– A co to jest takiego?

– To tacy ludzie nieoficjalnie zajmujący się rekrutacją do marynarki wojennej.

Rozłożyła ręce.

– Teraz to już niczego nie rozumiem.

– Oj. – Taron skrzywił się ponownie i znowu przysiadł na stole. – Gdybyś żyła na wybrzeżu, tobyś wiedziała. Nikt nie chce zaciągnąć się do floty wojennej. Nikt. Harowa przez całą dobę, a zamiast zapłaty żołąd, który przepijesz w jeden dzień. Łatwo zginąć, łatwo odnieść rany, łatwo ulec wypadkowi. W każdym porcie, gdzie zawiniesz, wszyscy mają cię za frajera. Służysz, nic z tego nie mając, ani pieniędzy, ani kobiet, ani zabawy, za to los obdarza cię marynarską chorobą, od której wypadają zęby, słabość chwyta całe ciało i rozum się miesza. Miejsce dobrych Bogów zajmują bosmani, którzy piekło już teraz, za życia, marynarzom sprawiają.

– Zaczynam rozumieć. – Taida skinęła głową. – A jak w takim razie gangom udaje się rekrutować nowych marynarzy?

– No proste przecież. W portowym mieście jeden gang idzie po nocy ławą, a drugi się czai. Kiedy zobaczą młodego, silnego i zdrowego, to go pierwszy gang łup pałeczką w głowę i bez pytania nawet o imię na okręt

dostarcza. A jak któryś ucieka, to go łapią ci, co się czają. No i jednej nocy zbierają ludzi na wszystkie wakaty, a przed świtem okręt nieprzytomnych ich na morze wywozi.

– Aha. A stamtąd to już nie da się uciec.

– Ano nie. No i bosmani szybko uczą nowych, co i jak. Wystarczy jedna chłosta, jedno przeciągnięcie pod kilem, żeby świeży narybek zrozumiał, że odtąd jest po prostu własnością floty wojennej.

Taida nie miała pojęcia, co powiedzieć. Zaczynała rozumieć, że takich ludzi nie ma w oficjalnych rejestrach zatrudnionych. I że ci, którzy właśnie zmierzają do Syrinx, nie będą się wahać przed złamaniem jakichkolwiek reguł, bo żadne reguły ich nie obowiązują.

– A z ciekawości – spojrzała na Taroną – żaden z tych marynarzy nie dożywa końca służby?

– Najsilniejsi i najtwardsi przeżywają. Nie są zbyt liczni.

– No tak, rozumiem. Co im z tego, że przeżyją, skoro po wielu latach służby zostają sami w jakimś porcie, bez grosza przy duszy, bez perspektyw.

– A nie no, tak źle nie jest – zachnął się Taron. – Przecież flota wojenna już sprawdziła ich przydatność i w pracy, i w boju. Nie da im zginąć.

Taida spojrzała zdziwiona.

– I co ci zwolnieni ze służby robią? – Była naprawdę ciekawa.

– No jak co? Dostają intratną robotę w gangach i odtąd oni łapią nowych rekrutów. Przecież najlepiej wiedzą, co i jak.

– Aha.



Gui miał duże rozeznanie w sprawach wojskowych. Na tym przecież polegała jego praca. I choć stał nisko w hierarchii agentów Zamku, to cały jego pobyt w pasie przy granicy z Zimnymi Królestwami poświęcony był właśnie obcym armiom. Nie był agentem wywiadu, nie przedostawał się nigdy na drugą stronę. Wystarczyło mu umiejętne przepytywanie podróżnych. I w tym doszedł do mistrzostwa.

– To mówicie, żeby z handlem się wstrzymać? – indagował właśnie cudzoziemskiego kupca. – Nie czas na wojazę?

– Oj, nie, kolego, lepiej nigdzie teraz nie jechać. – Kupiec nie wiadomo dlaczego brał go za kamrata, choć sam Gui niczego takiego nie sugerował. Ot, po prostu miał wrodzony talent do zjednywania sympatii. A resztę przepytywani przez niego ludzie dopowiadali już sobie sami. – Wojna już.

– Jak to już? Widzieliście wojsko?

– Widziałem. Na własne oczy widziałem. I co gorsza, cały dzień straciłem, czekając, aż przejdą.

– Tylu zbrojnych?

– Neeee. Przy mnie tabory przejeżdżały. A tam co chwila postój, przepychanki, awantury. Jakby byli zbrojni, to pewnie by mi towar zrabowali. Szczęściem kwatermistrze mają swojego dość i po cudze nie sięgają.

To była konkretna informacja. Gui znał przepustowość wszystkich dróg w okolicy. Zadał jeszcze kilka pytań pogłębiających i już mógł wyrobić sobie obraz sytuacji. Jeśli zaopatrzeniowcy zachowywali się tak, jak kupiec opisywał, jeśli dochodziło do korków, które opisywał, to drogą przedtem przemaszerowało minimum tysięcy żołnierzy. Granicę przekroczyła więc znaczna siła.

– Macie rację. Lepiej zbrojnych nie spotkać. Na pokusę ich nie wystawiać.

Obaj zaczęli się śmiać. Wiadomo, żołnierz wina szuka. Jeśli znajdzie na kupieckim wozie, to wszystko zabierze. A jeżeli nie znajdzie, to gotów z wielkiego zawodu wszystko inne poniszczyć.

– I gdzie to wojsko poszło? – dopytywał Gui. – W którą stronę?

– A wiem, wiem. – Kupiec otrząsnął się, jakby jakiś duch nagle przeszedł za jego plecami. – Widziałem, co się z Myrte stało. Na własne oczy widziałem.

Agenci Zamku znali oczywiście doskonale nie tylko mapy, ale mieli także wszelkie informacje na temat terenu, na którym przyszło im operować. Gui potrafiłby teraz wyrecytować z pamięci nawet kwoty podatków płaconych przez mieszkańców Myrte cesarskim poborcom. Dokładnie wiedział, ilu ludzi mieszka w miasteczku.

– Co? Tamci zaatakowali to zadupie?

Kupiec wzruszył ramionami.

– Trudno mówić o ataku. Po prostu weszli.

– Nikt nie stawiał oporu?

– Z tego, co wiem, chyba nikt. A trupy, co zwałami leżały na forum i na ulicach, to z rozkazu jakiegoś wielmoża.

Gui nie mógł uwierzyć. Ktoś pomordował mieszkańców pierwszej lepszej napotkanej miejsciny? Po co? Nie mówiąc już o drobnym fakcie, że likwidując ludność, najeźdźca sam pozbawiał się swojego majątku. A przecież mógł sprzedać ludzi w niewolę za konkretne pieniądze. Ale zabijać? Skoro się nie bronili, to nawet motyw zemsty nie wchodził w grę.

– Wiecie, co tam się działo?

Kupiec skrzywił się nagle.

– Tylko z opowieści.

– Lepsze opowieści niż nic. Bo w głowie mi się nie mieści, że ktoś...

– Mnie też się w głowie nie mieści – przerwał mu kupiec. – Myślałem, że to jakieś szaleństwo. Ale nie.

Nie mógł agenta bardziej zaciekawić. Mordowanie bezbronnej ludności? Słyszał, że gdzieś daleko, w Zimnych Królestwach albo jeszcze dalej, w jakiejś głuszy zwanej barbarią, lokalny kacyk potrafił wyrzucić ludność wrogiego królestwa, nawet chłopów, po to, żeby gołą ziemię pozostawić. Niby w ten sposób pozbawiał przeciwnika dochodów i zapasów koniecznych do przeżycia. W cywilizowanych państwach jednak prawie nigdy nie miało to miejsca. Tu każde działanie miało wszakże swój konkretny cel. A zabijanie ludzi można przecież porównać do wyrzucania złotych monet z pokładu okrętu wprost w morską głębinę. Na takie rzeczy to Zakon jedynie mógł się poważyć. Jedyna znana siła, która ponad doczesne dobra zasługę dla Bogów przedkładała.

– Powiedzcie zatem, co się stało w tym Myr... Myr...

– W Myrte – dokończył kupiec, głaszcząc swoją długą brodę. A potem nachylił się i nagle ściszył głos. – Wjechałem tam późnym popołudniem, właściwie to już przed wieczorem. Trupy leżały wszędzie. Ale to nie wyglądało tak, jakby miejscowi rzucili się bronić swoich domów. To nie były zwłoki leżące bezładnie, z bronią w ręku, w dramatycznych pozach. Nie, nie. Ktoś je zgrabnie poukładał w eleganckie stosiki. Jeden trup na drugim, a nawet rzekłbym, dało się w tym dostrzec pewną poezję czy jakiś inny zamysł artystyczny.

– Nie rozumiem.

– Otóż zwłoki tworzące stosy dobrano ani chybi według wzrostu, tak żeby żadna głowa czy noga nie wystawała i nie burzyła kompozycji. Nawet tusza i kolor włosów miały znaczenie. Podstawę każdego stosu tworzyli ludzie, którzy mieli najciemniejsze włosy, wyżej umieszczono tych z trochę jaśniejszymi, a na wierzchu położono już całkiem siwych.

Gui tylko potrząsał głową, nie mogąc sobie wyobrazić, co mogło skłonić oprawców do aż takiego wyrafinowania.

– Osobno więc leżeli młodzi, starzy, osobno dzieci...

– Co? – wyrwało się agentowi. – Aż tylu ich było, że ich posegregować...? – Zdał sobie sprawę, że palnął głupstwo. Przecież normalnego kupca w oburzenie powinna wprawić nie liczba zabitych, ale fakt mordowania dzieci. – Dzieci też zabijali?! – poprawił się natychmiast, wkładając w swój głos odpowiednią dawkę ekspresji.

Kupiec smętnie przytaknął.

– Tam widziałem rzeczy, których wołałbym nigdy nie zobaczyć. Wiem, że nie da się zapomnieć, nie da się wyprać pamięci jak zaplamionej tuniki.

Ale chciałbym bardzo, żeby dobrzy Bogowie zesłali choć zobojętnienie.

– Rozumiem. – Gui, choć interesowały go ważne kwestie, grał zatroskanego kolegę po fachu. Kiwał głową, wzdychał ciężko i co chwila padał w zadumę. – A przy życiu...

– Tak – wpadł mu w słowo kupiec. – Część mieszkańców została przy życiu. Od nich dowiedziałem się, co zaszło. Ale tak jakoś nie do końca mi chyba powiedzieli.

To już było zupełnie niezrozumiałe.

– Mieszkańcy Myrte nie chcieli mówić, co? Zbyt okropne doświadczenie?

– Wprost przeciwnie. – Kupiec ciągle głaskał swoją długą brodę. – Dziwna rzecz.

Gui, choć ciekawość paliła go coraz mocniej, udawał, że tak jak i jego rozmówca popadł w zadumę nad zawłościami ludzkiego losu. Ciężki jest los wywiadowcy.

– Kiedy przyjechałem do miasteczka – podjął nareszcie luański kupiec – oprócz stosów poukładanych starannie zwłok moją uwagę zwróciła jeszcze jedna rzecz. Mieszkańcy, ci, którym udało się przetrwać, jakoś tak dziwnie przemykali pod ścianami. Nikt na mnie nie patrzył, nie dopytywał, skąd jadę, co mam na pace. Mieścinka tak mała, że podróżnym kapeluszem przykryjesz bez mała. Ja rozumiem, że szok, że gwałtowne wydarzenia dopiero co miały miejsce, ale żeby tak absolutnie nikt nie zwrócił uwagi, że jadę?

– Bali się?

Kupiec od głaskania brody przeszedł do masowania warg. Na odpowiedź trzeba było zaczekać długą chwilę.

– Wyglądało zupełnie tak, jakby się wstydzili – oznajmił nareszcie. – Jakby się wstydzili, że ja na nich patrzę.

Zdumiewające. To, że mieszkańcy nie bronili własnych domów, akurat w cesarstwie nikogo nie dziwiło. Imperium pozbawiło swoich poddanych dostępu do jakiegokolwiek broni. Oręż był przywilejem władz i bandytów. Nikt inny nie umiał nim władać, ale nikt też nie wymagał od ubezwłasnowolnionych w tej mierze jakichkolwiek aktów odwagi. Wiadomo przecież, że owca to owca i jak wilki przyjdą, jedyną rzeczą dla niej jest poddać się bezwolnie. Czego zatem wstydzili się mieszkańcy Myrte?

– Ale dowiedzieliście się, co tam zaszło?

– Dowiedziałem się – przytaknął kupiec. – To znaczy słowa słyszałem.

– No, no?

– Pojechałem do mojego znajomego, co też usiłuje handlować, ale mu zupełnie nie idzie. Często korzystam z jego usług, no, tak po prawdzie, to

żeby mu pomóc, żeby głodu przynajmniej nie zaznał. No i pytam go, co za nieszczęście, co zaszło, kto to uczynił. A on jakiś taki dziwny. Powiedział, że wojsko przyszło.

– Jakie wojsko?

Kupiec wzruszył ramionami.

– Ja się na tym nie znam, mój znajomy też. Mówił, że wyglądało jak cesarskie, jeśli chodzi o szyk i komendę. Ale z barwami coś było nie tak. Jedyne, co wie, to to, że nazywali się legion.

– A kto dowodził?

– Nie wiem. Ale jakiś wielki pan. I to on właśnie kazał wszystkim mieszkańcom zgromadzić się na forum. A żołnierze zaczęli ludzi segregować.

– Jak wybierali? Młodych i silnych oddzielali od starych?

– Nie właśnie. Mój znajomy nie umiał odpowiedzieć, był cały roztrzęsiony na to wspomnienie. Ale powiedział, że kiedy już wszyscy stawili się na placu i przylegających uliczkach, to wyszedł przed nich jakiś wielmoża i oznajmił, że nastąpił dzień sądu. Że teraz ci, którzy kradli, oszukiwali, nieszczęścia na ludzi sprowadzali, nie unikną sądu. Ale sąd nie będzie tutaj, w miasteczku. Wszystkich winnych oni od razu w zaświaty wyekspediują i tam Bogowie sąd odprawią.

– Trochę się to nie trzyma kupy.

– Ano. Ale wojskowi nie przyjechali najwyraźniej, żeby racje rozumowe wyklądać. Zaczęli wybierać ludzi z tłumu i zabijać.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu.

Gui przez chwilę nie wiedział, co ma na to powiedzieć.

– A kiedy już strach w oczy zajrzał, nikt się nie ruszył?

– To przecież cesarscy poddani. Za nich cesarz decyduje, a przecież nie przyszedł z Syrinx rozkaz, żeby się bronić albo chociaż uciekać. Dali się więc wyrznąć jak owce wyłuskane ze stada przez rzeźnika.

– I... i co dalej?

– No właśnie. To jest najdziwniejsze. Mój znajomy twierdzi, że to wszystko, że wojsko ludzi nazabijało, starannie ułożyło i poszło sobie. Ale coś tak dziwnie znajomek w oczy to mi nie chciał patrzeć, mówiąc te słowa. I w ogóle taki jakiś mało elokwentny się zrobił pod koniec tej opowieści.

– Niebawem.

Gui dowiedział się właściwie wszystkiego, czego mógł się dowiedzieć od wędrownego kupca. Więcej i z kamienia nie wycisnie. Ale żeby się nie zdradzić, musiał jeszcze odsiedzieć swoje i wysłuchać, co tamten miał do powiedzenia. Mógł odejść dopiero po upływie wielu modlitw. Niemniej

warto było. Informacje, które uzyskał, były wiele warte. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę, pisząc raport w prowincjonalnej placówce Zamku. Raport sumienny i skrupulatny, poza opisem surowych informacji usłyszanych bezpośrednio zawierał także analizę faktów, porównanie z innymi źródłami oraz próbę syntezy – na tyle oczywiście, na ile pracownik niskiego szczebla mógł sobie pozwolić na umieszczanie w oficjalnym dokumencie własnych przemyśleń. Niemniej Gui, kiedy grubo po północy oddawał papiery swojemu dowódcy, był z siebie dumny.

Ten najpierw odprawił pracownika, a potem dopiero zasiadł do lektury. Musiała nim wstrząsnąć, ponieważ w trybie nagłym wezwał swojego zastępcę.

– Czytaj. – Podał mu plik kartek.

Zastępcy wystarczyło zerknięcie na uwagi końcowe dokumentu.

– To się nie może dostać do centrali – zawyrokował.

– To wiem i bez ciebie – warknął szef. – Gorzej, że to się nie może roznieść nawet wśród reszty naszych ludzi.

Obaj wiedzieli, że jeśli choć cień prawdy o tym, co dzieje się na prowincji, dotrze do Zamku, ich obecni mocodawcy nie będą się patyczkowali. Do centrali wolno im było wysyłać tylko obsieki informacji. Na tyle ważne, żeby ci w Syrinx nie lekceważyli swoich placówek terenowych, a jednocześnie na tyle mylące, żeby nikt nie mógł zorientować się w prawdziwym obrazie sytuacji. Cesarz musiał pozostać ślepy.

– Gui nie wygada kolegom – powiedział zastępca dowódcy. – A jeśli nawet napomknie cokolwiek, to przecież nikt z nich nie przekaże informacji do centrali na własną rękę.

– A jak trafi się nadgorliwiec?

– Nieprawdopodobne, żeby aż tak łamał regulamin.

– Nie zapominaj, że funkcjonariusze znają się często prywatnie.

– Ale nie na tyle, żeby przysyłać sobie prywatne informacje o...

– Ryzykujemy – zastępca odważył się przerwać dowódcy.

Ten zaszepczał, rozstrzygając w głowie jakąś kwestię. Dłuższą chwilę tarł skronie, jakby czekał na natchnienie, potem podniósł wzrok.

– Dobrze. Pozbądź się tego Gui.

– Mam go...? – Zastępca przesunął sobie palcem po szyi.

– Zwariowałeś? Tego to już nie ukryjemy. – Dowódca nerwowo zabębnił palcami w blat. – A poza tym młody, zdolny, inteligentny. Kto wie jak rozwinie się sytuacja i czy on nam się kiedyś jeszcze nie przyda.

– Jasne. Czyli oddelegowuję go do liczenia kóz na targu w jakiejś innej placówce?

– To wzbudzi w nim podejrzenia. Pochwal, pogłaszcz po główce i w nagrodę, powtarzam: w nagrodę przydziel mu jeszcze ważniejsze zadanie. Tyle tylko, że niemożliwe do wypełnienia.

– Dobra. Poślę go gdzieś, gdzie decydują się sprawy świata – zakpił.

– Najlepiej na pustynię.

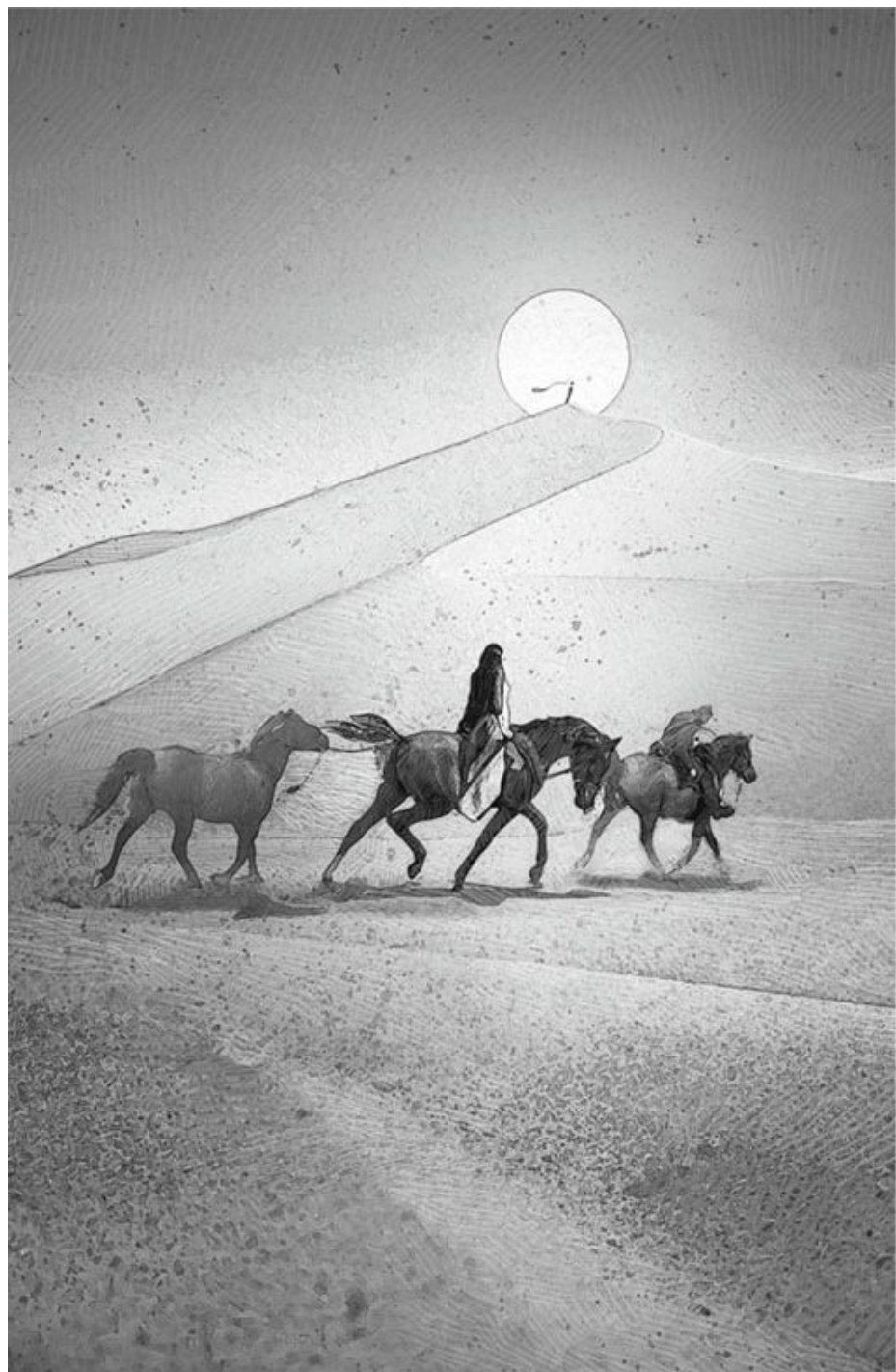


Morze wydm zdawało się idealnie spokojne. Żadnego ruchu, żadnego wiatru. Miało się wrażenie, że nawet najmniejsze ziarenko nie burzyło geometrii krajobrazu. Nawet to, które powinno zostać poruszone przez końskie kopyto. Ale nie. Konie, choć niespokojne, parskające i rzucające wokół dzikimi spojrzeniami, nie płoszyły się ani nie próbowały zerwać. Trochę ułatwiało to Niki panowanie nad zwierzętami. Musiała prowadzić dwa luzaki, a i dodatkowo jeszcze konia swojego męża. Virion co prawda siedział sam w siodle, ale wydawało się, że co chwila traci przytomność. Jego głowa opadała do przodu, a czoło dotykało bez mała końskiej grzywy.

– Czuję ślad – upiorzyca powiedziała to bardziej do siebie niż do Viriona.

Uniosła się w strzemionach, lustrując okolicę.

– No i ktoś, po mojemu, przywiązał kawałek szmatki do miecza wbitego w szczyt wydmy. Ale ciągle za daleko, żeby ocenić, czy naprawdę to widzę, czy to tylko moja wyobraźnia. – Zerknęła na męża, nie oczekując bynajmniej odpowiedzi. Bardziej chyba chciała się usprawiedliwić przed samą sobą. – To jedyny ruchomy punkt w krajobrazie. Cała reszta okolicy przypomina bardziej rzeźbę.



– Czuję ślad – upioryzca powiedziała to bardziej do siebie niż do Viriona

Nie wiadomo, czy Virion zrozumiał, co do niego mówiła, czy tylko zareagował odruchowo na jej głos.

– Jedź – wychrypiął.

Posłusznie uderzyła boki konia piętami. Hm, ciekawe. Upioryzka nie myślała bynajmniej o tym, czy znak na wydmie należy do swoich, czy do obcych. Zastanawiała się, czy ktokolwiek na świecie zdołałby wyrzeźbić tak wielki kawał pustyni. Na przykład w marmurze. Czy w ogóle na świecie jest tyle marmuru? Szczyt piaszczystego wzgórza, na który właśnie wjechała, pozwolił jej ocenić ogrom planowanego przedsięwzięcia. Ale byłoby ciekawie. Pustynia kuta w kamieniu. Zamiast tej zwykłej. Tfu!

Niki odruchowo zerknęła do góry. Czy to słońce miesza w jej mózgu? Czy jakaś obca, wroga siła próbuje splątać jej myśli?

Stąd mogła już ocenić to, co widziała na szczycie wydmy, z większą ilością szczegółów. Tak. To na pewno miecz wbity w piach, z przywiązaną do rękojeści chustą. I w dodatku ten widok rozwiewał wszelkie wątpliwości. To nie był znak wrogów. Żaden bowiem żołnierz raczej nie nosiłby tak kolorowej chusty w kwiatowe wzory.

– Tania!

Niki ruszyła do przodu, usiłując przyspieszyć na wznoszącym się stoku wzgórza. Luzaki jednak nie wiedzieć czemu stawiały opór.

– Tania!

Nożowniczka pojawiła się na szczycie wydmy. Oslaniała oczy dłonią, przypatrując się nadjeżdżającym.

– Niki?

Upioryzka pogoniła znowu konie, luzaki jednak wciąż nie chciały współpracować, a w dodatku Virion zaczął osuwać się w siodle. Musiała zwolnić.

– Niki! – Tania podbiegła bliżej. – Co z nim?

– Żyje. I chyba nie czuje się aż tak źle, jak myślała.

– A ty? Masz wodę?

– Mam, mam. Na szczęście przypałały się jakieś bandziory.

– Aha. – Nożowniczka nie wnikała w rozwój wypadków. Przejęła luzaki i pociągnęła ze sobą poza szczyt wzgórza. – Żyjemy, chłopaki! Nie zdychać mi tu jeden z drugim.

Niki, dopiero kiedy sama przedostała się na drugą stronę wydmy, zobaczyła, do kogo mówi jej koleżanka. Książę Nolaan leżał na piasku, pokaszując lekko. Nie miał widocznych ran, ale widać było, że każdy

oddech sprawia mu wielki ból. Obok leżał Rohan. Jego twarz pokryta była zaskorupiałą krwią. Nie wyglądał na przytomnego.

Tania pochwyciła spojrzenie upiorycy.

– Nie usunęłam tej krwi. Kiedy tylko usiłowałam wycierać, krwotok robił się coraz większy.

– Zaraz się tym zajmę. Ale najpierw pomóż.

Obie pomogły zejść z siodła Virionowi. Rozejrzył się swoim sprawnym okiem i zaklął.

– W pierwszej kolejności musicie odnaleźć pozostałych – wychrypiął. – Ranni, bez wody nie pociągną za długo.

– Z tego, co pamiętam, Kody nie został ranny – powiedziała Tania. – Pewnie zgarnął tamtych dwóch i objął dowodzenie.

– I tego się boję najbardziej.

Niki uśmiechnęła się szeroko.

– Mówiłam. Nie jest z nim tak źle, jak wygląda.

Tania wolała już nie dyskutować. Zdjęła bukłak z łąku najbliższego siodła i podeszła do Rohana. Nie bardzo wiedziała, jak napoić nieprzytomnego. Po chwili wahania uklękła więc za nim i wzięła głowę mężczyzny na własne kolana. Potem palcami delikatnie rozsunęła mu wargi.

Niki tymczasem zajęła się Nolaanem.

– Z tego, co mi mignęło w ułamku chwili, to on rozwalił ci żebra pod pachą? – Pomagała mu pić małymi łyżkami, ostrożnie przechylając naczynie, żeby nie doprowadzić do zachłyśnięcia. – Połamał znaczy.

– Chyba tak. Ból paraliżuje całe płuca.

– To jeszcze nie jest tak źle. Będzie znacznie gorzej.

– No świetnie. – Książę miał świszczący oddech. – Dzięki za pocieszenie.

– Niewiele ci mogę pomóc. Musisz poczekać, aż Virion do końca się ocknie.

– A on co? Znachor?

– Będzie wiedział, co robić. Uczył się sztuki od mistrza w szpitalu swojego ojca.

– Aha.

– No a te bandziory, których zabiliśmy, mieli w jukach cały bagaż jakiegoś medyka, którego obrabowali.

Nolaan chciał się uśmiechnąć, ale wyszedł mu tylko kolejny grymas bólu.

– Dziewczyny – odezwał się Virion – ogarnijcie się.

– Co? – Tania poderwała głowę znad twarzy Rohana.

– Musicie znaleźć resztę przed nocą. A nimi ja się zajmę. – Wskazała żonie juki, w których znajdowała się torba lekarska. – Daj mi to i jedźcie ich szukać.

Niki co prawda podała mu bagaż, ale w dalszym ciągu nie wiedziała, co powinna robić. Zerknęła niepewnie na koleżankę.

– Może weźmy po dwa konie każda i jedźmy w dwie różne strony? – powiedziała. – A potem zatoczmy łuk i...

– Od razu się zgubię – oświadczyła Tania z całą powagą. – Ja w portowych zaułkach chowana. W wąskich uliczkach mogę drogę odnaleźć. Tu nie.

– No to może zataczajmy koła.

– Jak chcesz, żeby każda pojechała w inną stronę, to się od razu pożegnajmy. Na zawsze.

Niki westchnęła ciężko.

– Burza zawiąła wszystkie ślady. Niewiele jestem w stanie wywęszyć.

Nożowniczka poskrobała się po czole.

– Ale strony świata rozpoznasz?

– Jasne.

– To coś ci narysuję. – Tania kucnęła w najmniej wydeptanym miejscu i zaczęła kreślić palcem linie. – W momencie jak się rozproszyliśmy, sytuacja wyglądała tak. Stąd nadszedł przeciwnik. Ty pociągnęłaś Viriona w tę stronę. Kody poszedł mniej więcej tędy. A ja pociągnęłam swoich dwóch w tę stronę. Czaisz?

– I to jest narysowane zgodnie ze stronami świata?

– No chyba żartujesz – obruszyła się nożowniczka. – Ja się na tym w ogóle nie znam. Ale wiem, że żeglarze na pełnym morzu potrafią powiedzieć, gdzie jaki kierunek leży.

– Aha. Narysowałaś samą sytuację?

– No. A ty, jeśli wtedy wiedziałaś, gdzie jaka strona, i wiesz teraz, gdzie jesteś, to powinnaś się mniej więcej zorientować.

– No nie. – Upiorzyca pacnęła się dłonią w czoło. – Znaczy coś mi to mówi, ale przeceniasz moje możliwości...

– A jeśli nie przeceniam?

– Przecież Kody mógł skrócić gdziekolwiek. Czy dla zmylenia, czy po prostu się pogubił.

– Uciekał w trwodze i nie myślał. Wtedy się nie skręca.

– A my z Virionem robiliśmy zawijasy.

– Ja nie skręcałam. – Tania rozłożyła ręce.

– Nawet nie umiesz tego ocenić.

– Nie skręcałam.

Niki westchnęła znowu. No ładnie. Ale łamigłówka. Czy da się odtworzyć w głowie, gdzie kto szedł, i to tylko pamiętając mniej więcej, w którą stronę ruszyło się wtedy samemu? Nie. Ale... Ale przecież można w myślach odtworzyć trasę Tani. Kody na pewno nie zaszedł dalej. Mniej więcej знаła dystans przebyty przez nożowniczkę, znała kąt do trasy, którą uciekał Kody. No jasna dupa! Przecież to niemożliwe. Nie no, zaraz. To chyba dość łatwe.

– Wiesz, gdzie iść? – zapytała Tania.

– Wiem – powiedziała Niki, przygryzając wargi, i zaraz wprowadziła drobną korektę: – Wiem, gdzie szukać.

– No to bierzcie luzaki i w drogę. – Virion pomógł rozwiązać wątpliwości swojej żony. A nawet jeśli nie rozwiązał, to i tak skłonił do energicznego działania, bo była przyzwyczajona, żeby go słuchać. – Ja się zajmę tymi dwoma.

To już jednak było pobożne życzenie. Kiedy dziewczyny odjechały, zabierając dodatkowe konie, on sam ledwie dowlókł się do leżącego przecież nie tak daleko Nolaana. Książę zerknął na niego bez przekonania.

– Niki miała rację? – wyszeptał.

– W kwestii?

– Że będzie jeszcze gorzej.

– Tak. – Virion miał zaufanie do swojej upiorzycy, jeśli chodziło o rozpoznawanie obrażeń u ludzi. – Znacznie gorzej.

– Nie da się jakoś pomóc?

– Widzisz, problemem nie są same żebra. Zawiążę je pociętymi na paski szmatami, nie będę usztywniał opatrunku i jeśli się będziesz oszczędzał, wszystko powinno być dobrze. Ból straszny, ale żebra zrastają się same.

– To w czym kłopot?

– Takie obrażenia powodują niemożność głębszego odkaszlnięcia. A od zalegającej flegmy w płucach pojawia się groźna choroba.

– Zabija?

Nie było potrzeby ukrywania prawdy.

– Często. – Virion, sam tępiąc od bólu głowy, usiłował ciąć szmaty na miarę równe szerokie pasy. – W płucach pojawiają się świsty, nie można nabrać oddechu, a potem może pojawić się nawet coś gorszego, co mój dawny mistrz nazywał wywróceniem płuc. Najgorszy jest ból, który nie pozwala odkaszlnąć i pozbyć się zalegających złogów. Spróbuję zmusić cię do kaszlu, kiedy tylko znajdziemy się w jakimś domu.

– Chyba kiedyś widziałem coś takiego – szepnął Nolaan. – Chory przyciska plecy do ściany, a do klatki piersiowej przykłada poduszkę.

A i tak wychodzą słabiutki kaszlnięcia.

– Takie ledwo, ledwo – potwierdził Virion.

Książę dowiedział, że trzyma się naprawdę dobrze. Ciekawa obserwacja. Wymuskany paniczek okazał się właśnie twardym facetem.

– Spróbuję ten ból opanować, ale do tego muszę wyprodukować narkotyki. Póki co jednak mogę dać ci tylko to, co znalazłem w torbie medyka.

– To może sobie na razie daruj?

– No może. Tym bardziej że nie dam rady owinąć cię tymi szmatami. Musimy poczekać na powrót dziewczyn.

– Wytrzymam. Zajmij się Rohanem.

Virion skinął głową. Jednak przejście do drugiego rannego zajęło mu sporo czasu. Zwymiotował po drodze, kręciło mu się w głowie. W końcu udało mu się dotrzeć do starego żołnierza. I tu już sytuacja pozwalała na lekki optymizm. Po oczyszczeniu rany i przynajmniej w miarę dokładnym zbadaniu nic nie świadczyło o złamaniu czaszki. Prawdopodobnie utrata przytomności została spowodowana wyłącznie tym, że ciało samo chciało naprawić wszystkie uszkodzenia, bez zbędnej ingerencji umysłu. Mistrz w szpitalu ojca zawsze powtarzał: „nic nie zastąpi zbawczego snu – jeśli pacjent woli zapaść się głęboko w sobie, to nie należy mu w tym przeszkadzać”. Tak powinno się zrobić i tutaj. Albo mózg jest uszkodzony, albo nie. Na dwoje babka wróżyła i niczego więcej się zrobić nie dało.

Virion usiadł obok, z trudem krzyżując nogi. Miał wrażenie, że sam już nie wstanie. Przyłożył do głowy zmoczoną w wodzie szmatkę, ale ulga okazała się czysto iluzoryczna. Powinien zrobić sobie jakiś wywar z ziół. Niestety, lampka, którą mógłby podgrzać roztwór, znajdowała się w stercie zrabowanych bandytom bagaży, które dziewczyny, odjeżdżając, zrzuciły z koni, żeby je odciążyć. A sterta porzuconych pakunków znajdowała się jakies sześć, siedem kroków dalej. A ta odległość wydawała się nie do przebycia. Nie ma mowy.

Nagle przez głowę przemknęła mu pewna myśl. Zaraz! Przecież to są bagaże bandytów! I w nich na pewno będzie wódka! Jeśli tylko te skurwysyny same nie wychłęptały wszystkiego na swoim ostatnim postoju. Ze zdziwieniem stwierdził, że bez większego kłopotu podniósł się na nogi. I chwiejnie, bo chwiejnie, ale dość szybko dotarł do sterty juków bandytów. Tak. Po raz trzeci tego dnia przyznał rację swemu mistrzowi, który powtarzał, że wszelkie choroby to tylko stan umysłu. Jeśli znajdziesz odpowiednią motywację, to i umarłaka w trzy miga poderwiesz.

Virion odnalazł swoją motywację w do połowy pełnym bukłaku ukrytym niedbale między starymi, przetartymi derkami. Wyciągnął zębami zatyczkę, wypuł na podstawioną dłoń. A potem pociągnął

pierwszy łyk. Ohydna, ciepła, śmierdząca gorzała wstrząsnęła nim, aż prychnął jak kot, rozsiewając wokół drobinki palącego płynu. Właściwie to zmusił się do przyjęcia drugiego łyka. Po chwili jednak coś w jego wnętrzu zaczęło się dziać. Trzeci łyk nie był już tak bardzo nieprzyjazny jak pierwsze. A czwarty, przyjęty po dłuższej chwili, sprawił, że Virion całkiem już pewnie usiadł, opierając plecy o stertę bagaży.

– Nolaan.

– Co?

– Znalazłem lekarstwo dla ciebie.

– Świetnie.

– Ale najpierw sam muszę trochę przyjąć. Żebym mógł do ciebie jakoś dojść.

– Tylko...

Nie dowiedział się, co „tylko”. Ciszę przerwał nagle ostry gwizd. Znak, że Niki wraca. I to nie z pustymi rękami. A w dodatku, skoro nie bała się dawać głośnych znaków, musiała przepatrzyć okolicę i uznać, że są tutaj w miarę bezpieczni. Trudno było dostrzec cokolwiek w drgającym z gorącą powietrzem. Virion widział niewyraźne sylwetki. I z tego, co się zorientował, to czterech jeźdźców trzymało się w siodłach o własnych siłach. Jeden tylko zwisał z grzbietu konia prowadzonego przez Niki.

Virion przytknął szyjkę bukłaka do ust i przełknął solidną porcję wódki. A potem, zagryzając zęby, wstał, starając się nie chwiać na nogach. Jeźdźcy byli coraz bliżej. Po chwili mógł już ich rozpoznać. Ten bezwładny to Hekke. Ranny był jeszcze Lirion, ale tylko w bark, jak dało się wywnioskować po prowizorycznym opatrunku. Kody nie nosił żadnych obrażeń.

Tania dotarła pierwsza, zatrzymując konia tuż przed Virionem. Po chwili zgrabnie zeskoczyła na piasek.

– No nie. Wystarczy na chwilę zostawić mężczyzn samych, a ci się od razu napierdolą.

Niki zsiadła z wierzchowca tuż obok.

– Na razie napierdolił się tylko jeden – mruknęła, ostrożnie zdejmując Hekkego.

– Nic mi nie jest – powtarzał Lirion. – Nic mi nie jest.

Virion spojrzał na żonę.

– Rana rzeczywiście niegroźna – szepnęła upioryzka, zbliżywszy usta do jego ucha. – Tyle że on nie będzie władał prawym ramieniem przez kilkadziesiąt dni. Natomiast Hekke zalicza stan zejściowy. Jest bardzo źle.

Popatrzył na chłopaka, leżącego już tuż obok ich nóg. Hekke był przytomny i nawet próbował się uśmiechnąć albo skrzywić. Rana brzucha

została przez Niki opatrzona wzorowo. Nic innego nie mogli już zrobić w tych warunkach.

– Musimy go gdzieś zawieźć – powiedział odruchowo.

– Gdzie?

Była bezbłędna. No właśnie: gdzie?

Virion rozejrzał się po swoich ludziach. Niki miała rację. Gdzie teraz? Wystarczyła jedna potyczka, a właściwie jeden napastnik, i jego oddział przestał istnieć. Są sami w sercu pustyni. Może i dowłoką się do jakiejś osady czy wsi. Za złoto kupią sobie pomoc. A ilu umrze w trakcie podróży?

No i generalnie: co powinni teraz zrobić?

Virion wreszcie zauważył, że Kody daje mu ukradkiem znaki. Najwyraźniej chciał go odwołać na bok. Iść, nie iść? A czemu nie? Tu już, w przypadku Hekkego, wiedza Viriona naprawdę znalazła swój kres. Rana w brzuch na pustyni. Tak po prawdzie to oznaczało tylko jedno.

– Tak? – Podeszedł do zamkowego funkcjonariusza.

– Wiem, kto na nas napadł. – Kody, mówiąc, osłaniał usta.

Virion podniósł wzrok zaskoczony.

– Jak się dowiedziałeś?

– W tę noc podczas burzy ciągnąłem Hekkego, ale wydało mi się, że słyszę kwik. Myślałem, że to nasze konie, te, które mi się urwały. No i wściekły zostawiłem rannego i poszedłem szukać. Burza cichła właśnie.

– Co zobaczyłeś?

– Dwa konie. Uzdy trzymał jakiś sługa i czekał cierpliwie. Potem, kiedy już wiatr zamierał, krzyknął jedno imię.

– Tego szermierza?

– Tak sądzę. Nie wiedziałem, co robić, bałem się drgnąć, a on... ten, który nas wszystkich załatwił – Kody wykonał gest, jakby się chciał wyflaczyć własnym palcem – przeszedł tuż obok mnie.

– Nie zauważył cię?

– Wprost przeciwnie. Nawet zerknął w moją stronę. I wtedy zrozumiałem, że jestem dla niego absolutnie obojętny. Jak źdźbło trawy. Nie po mnie przyszedł.

Virion skinął głową.

– Jak brzmi jego imię? – zapytał.

Kody wziął głębszy oddech.

– Nekron.



Taida nie mogła pogodzić się z tym, co usłyszała. Tłumaczyła cierpliwie Taronowi:

– W Syrinx nie ma już ludzi młodych, zdrowych i zdolnych do służby na murach. Powtarzam...

– Ależ słyszę cię doskonale.

– To dlaczego trwasz w uporze?

– Nie trwam. – Chyba nie do końca rozumiał, o co Taidzie chodzi. – Przecież cesarz kazał dostarczyć młodych i zdrowych. Za niewywiązanie się będą surowe kary.

– Wiem. Ale spróbuj zrozumieć, że takich ludzi już w Syrinx nie ma!

– A co to cesarza obchodzi, czy są, czy nie ma? – Żołnierz obruszył się naprawdę autentycznie. – Kazał takich dostarczyć, a nie pytać, czy są.

– I ty wiesz, gdzie ich znaleźć?

Rozłożył ręce.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia – przyznał. – Ale po to właśnie kazałem sprowadzić z wybrzeża gangi marynarki wojennej.

Westchnęła ciężko.

– A nie lepiej było ściągnąć stamtąd jakichś ludzi do służby?

– Na piechotę? – Uśmiechnął się radośnie. – Przecież wiesz, że połowa uciekłaby po drodze.

– Mielibyśmy chociaż drugą połowę.

– Czyli bandę nieudaczników, której nawet do kopania latryn nie da się zatrudnić.

Taron podniósł ręce, usiłując przerwać dyskusję, która do niczego nie prowadziła. Zaczynali coraz bardziej przypominać dzieci bawiące się pod okiem niańki. Da się! A nie da się! Da się! Nie da się! W ten sposób można było ciągnąć zabawę do rana, a czas uciekał. Noc zapadała w stolicy szybko.

– Najlepiej chodź i sama się przekonaj – zaproponował. – Zgodnie z przysłowiem, że pańskie oko konia tuczy.

– Przecież już późny wieczór.

– No właśnie. W skwarze źle się pracuje. Gangsterzy zawsze wolą chłód nocy.

Nie chciała się zgodzić, lecz Taron chwycił ją za rękę i zaczął energicznie ciągnąć w swoją stronę. Starał się być delikatny, ale zasadniczo wyciągnął ją zza biurka na siłę. Taida chciała zaprotestować albo pokazać całą swoją prokuratorską moc, albo... Nie zrobiła nic. I nie bardzo mogła zrozumieć dlaczego. Podobała jej się stanowczość Taron. Czy może to, jak ją traktuje. No szlag!

Pociągnął ją na dół po schodach, otworzył kopniakiem drzwi sztabu i już nieudającą nawet, że chce się opierać, wyprowadził na dziedziniec.

– Robe! – wrzasnął. – Robe!

– Co jest? – odpowiedział mu ktoś od strony koszar.

– Wyprowadzaj ludzi! Zaczynamy.

Razem z Taidą zatrzymali się dopiero przy wrotach łączących wewnętrzny plac z ulicą. Obserwowali ludzi wychodzących z bramy po przeciwległej stronie. Byłych marynarzy nie dało się nazwać przystojniakami. Lata służby na cesarskich okrętach, niezliczone bójki w portach pozostawiły na nich nieścieralny ślad dawnych wydarzeń. Także abordaże, desanty, walki przy użyciu najróżniejszych narzędzi poznały ich ciała niezliczonymi bliznami, źle zrosniętymi złamaniami, a nawet czasem brakiem mniej istotnych fragmentów kończyn.

Ci ludzie nie byli uzbrojeni w wojskowym rozumieniu tego słowa. Mieli za to grube pałki, haki na drewnianych rękojeściach, kastety, skórzane sakiewki wypełnione piachem lub drobnymi kamykami, liny. Nawet laik mógł się domyślić, że celem tych formacji nie było zabijanie kogokolwiek. Ich zadanie to dostarczyć żywych. Choć niekoniecznie w pełnym zdrowiu.

– Robe! – wrzasnął znowu Taron.

Przed poszarpaną linię członków gangu wyszedł starszy już człowiek z wytatuowanym na twarzy stopniem bosmana marynarki wojennej.

– To jest nasz szef. – Taron wskazał palcem Taidę. – Dzisiaj chce zobaczyć, jak wam pójdzie na nowym miejscu.

– Jasne!

– Wiesz, gdzie ludzi dostarczać do fortu pod miastem?

– Wiem.

– A twój nie pogubią się w stolicy?

– Nie pogubią.

– Masz jakieś pytania? Wątpliwości?

– Nie.

– A może chcesz coś powiedzieć pani prokurator Taidzie?

– Nie.

Taron stracił cierpliwość.

– No, kurwa, rozmowny to ty nie jesteś. Pokaż więc przynajmniej, że ludzi potrafisz łapać.

Dopiero to chyba Robe zrozumiał.

– No. – Skinął na swoich ludzi. – Za mną!

Cały gang ruszył jednocześnie, jakby wszyscy ci bandyci byli szkoleni w jakiejś nieprawdopodobnej morskiej musztrze. Jedynie obsada dwóch krytych wozów ruszyła dopiero kilka chwil później, powoli obracając obwiązane szmatami koła. Poza ludźmi, którzy je pchali, wozy nie miały innego napędu.

Taida i Taron opuścili dziedziniec jako ostatni. Na szczęście ulica była szeroka. Nawet posuwając się z tyłu, mogli zobaczyć, co dzieje się u czoła pochodu.

– A oni wiedzą, gdzie w Syrinx mogą jeszcze być ludzie zdadni do służby? – zapytała Taida.

– Sam nie wiem – mruknął Taron. – Ale po mojemu to tacy mogą kryć się wszędzie.

– Jak to wszędzie...?

Wskazał jej kierunek. Ludzie Robego dopadli właśnie chłopaka z koszem wypełnionym warzywami, prawdopodobnie syna kupca, którego wóz stał tuż obok. Jeden cios pałki położył młodego na ziemię. Ojciec usiłował protestować, ale usłyszał, że ma się cieszyć, bo sam jest za stary. A kiedy chciał krzyknąć, jego też powstrzymał cios pałki. I kupiec upadł tuż obok syna. Z tym że jego oczywiście nie zapakowano na wóz posuwający się z tyłu.

– Przecież to bandytyzm – wyszeptała Taida.

Robe wskazał swoim nowy cel. Młody mężczyzna w schludnej tunice lekceważąco podniósł rękę.

– Szkoda zachodu – powiedział. – Jestem pomocnikiem w straży miejskiej. I możecie se...

Cios drewnianą pałką w splot słoneczny pozbawił go możliwości powiedzenia czegoś więcej. Knebel, worek na głowę i cios kastetem w skroń pozbawiły go także woli stawiania oporu. Bez problemu wrzucono chłopaka na wóz obok pierwszej ofiary.

– Ja pierdołę – wyrwało się Taidzie. – Ograbiamy z ludzi inne służby?

– Eee, przecież nie był na patrolu. – Taron nie mnożył przeszkód. – Pewnie jakiś kancelista.

Robe musiał mieć jakiś dodatkowy zmysł. Zatrzymał się nagle i, wydawało się, węszył. Potem z całej siły kopnął w pobliskie drzwi. Mrok ulicy rozświetlił nagle poblask z rozpalanego właśnie dużego pieca.

Gangsterzy runęli do środka, krzycząc kpiąco:

– Zaciąg! Zaciąg do zaszczytnej służby!

– Jesteśmy piekarzami! – rozległo się w odpowiedzi. – Piekarzami...

Au! Nie bij. Nie...

Taida nie wytrzymała.

– Ja cię pieprzę! – Chwyliła Tarona za ramię. – To są piekarze!

– No to co? – Wcale nie usiłował uwolnić się z uścisku.

– Nie rozumiesz? Jeśli ich zwiniemy, to kto upiecze placki na rano? Co jutro będą jeść ludzie?!

Delikatnie strząsnęła jej rękę i teraz on ją objął, zbliżając twarz do jej twarzy.

– Taida – wyszeptał – czego ty nie rozumiesz?

– Co?

Postanowił wyjaśnić.

– Taida, kochanie! Cesarz wydał jasny i prosty rozkaz. Cesarz nie pytał w nim, kto zrobi placki na jutro. Cesarz nie pytał, co jutro będą jedli ludzie. – Uśmiechnął się nagle. – Cesarz kazał dostarczyć młodych i zdrowych do obrony murów. I wszystko na ten temat.

Nie mogła uwierzyć, że to słyszy. Przecież tak nie można. Przecież... Otworzyła usta, żeby zaprotestować, a wtedy Taron wykorzystał to i pocałował ją, od razu wsuwając do środka język. Straciła możliwość protestowania. A to, że mogłaby go ugryźć, najnormalniej nie przyszło jej do głowy. Zresztą czasy robiły się inne i ona sama też już była inna. Oddała pocałunek. Na szczęście ulicę spowijał mrok, a gangsterzy Robego byli zajęci czymś innym.



W tak przygnębiającej rozmowie Virion chyba dotąd nie uczestniczył. Hekke nie brał w niej udziału, bo w pewnym momencie stracił przytomność. Rohan niby swoją odzyskał, ale również niczego nie powiedział. Trudno było zgadnąć, czy w ogóle rozumie, jaki temat jest poruszany. Nolaan mówił krótkimi zdaniami, ledwie mogąc zaczerpnąć oddech.

– To zupełnie... nieprawdopodobne – powiedział właśnie i trzeba było wysilić słuch, żeby go zrozumieć.

– Tylko bez manii wielkości. – Lirion był stosunkowo najmniej poszkodowany. A przynajmniej nie doznał urazu głowy. – Szermierze natchnieni – prychnął. – Nie mogą pogodzić się z faktem, że przyszedł ktoś od nich lepszy i spuścił im łomot.

– Ależ mogę, mogę. – Virion uspokoił go ruchem ręki. – Jak najbardziej jestem w stanie wyobrazić sobie, że przyjdzie ktoś lepszy i robi ze mną, co zechce. Ale nie mogę sobie wyobrazić, że jednocześnie w tej samej walce pokona jeszcze ciebie, Nolaana i Hekkego. Ciężko uwierzyć w coś takiego.

– Tu nie ma w co wierzyć. Wszyscy widzieliśmy to na własne oczy.

– No fakt. – Książę skrzywił się, biorąc oddech. – To nie wiara, a rzeczywistość.

– Ot, jak pięknie cierpi wasza miłość własna – wtrąciła się Tania. – Lubię sceny, kiedy łka zraniona do głębi męskość.

Niki parsknęła śmiechem, ale momentalnie się opanowała.

– Zakochani w sobie zawsze cierpią najmocniej – kontynuowała Tania.

– A tu jeszcze taka śmietanka nadętych arcy mistrzów rozpedzona na cztery wiatry przez jakiegoś parweniusza.

– Nie wiesz, o czym mówisz. – Virion nie dał się sprowokować. – A ja miałem wrażenie, że on, szermując, po prostu bawi się ze mną. Uczucie, które pamiętam mgliście z lat najwcześniejszej młodości.

– I ja doznałem tego uczucia – poparł przyjaciela Lirion.

– A ja miałem wrażenie, że... że jestem na wiejskiej zabawie – wystękał Nolaan. – Wyciągam miecz... a on mnie pałąk w plecy.

– On na tej pałce miał coś napisane – powiedziała Niki. – Jakby starożytne pismo.

– A skąd ty możesz wiedzieć, jak wygląda starożytne pismo?

– No przecież z tych kolumn, które widzieliśmy w wędrującej pod piaskiem wiosce! – obruszyła się upiórzyca. – I na tej pałce również były zapisane jakieś zaklęcia.

Odruchowo dotknęła swojego dużego już brzucha. Tylko Virion domyślił się, że o magicznej aurze związanej z pałąk napastnika Niki raczej dowiedziała się od ich nienarodzonej jeszcze córki. Tak. Dowodów na to, że mała, kiedy w końcu zjawi się na tym świecie, będzie czarownicą, było coraz więcej.

– Mniejsza z tym. – Lirion tylko machnął ręką. – Ja to się zastanawiam, czy ten, kto nas zaatakował, w ogóle był człowiekiem.

– A no tak. – Rozbawiona Tania aż klasnęła w ręce. – Przecież to jasne. Jeśli ktoś już pokonał takiego mistrza mistrzów z mistrzowskiej śmietanki, to nie mógł być człowiekiem. Sami Bogowie zstąpili i pokonali, robiąc trzask-prask, i po krzyku. Tylko tak smutna prawda może być zaakceptowana przez mistrzowski umysł.

– Ja też miałem wrażenie, że to nie był człowiek – wydyszał Nolaan. – Zawsze usiłuję zobaczyć człowieka w przeciwniku. Tu dostrzegłem jedynie czarną pustkę.

– A ja nie miałem na myśli nic aż tak poetyckiego – zachnął się Lirion.

– Konkretnie, uważam, że to nie była istota ludzka.

– A kto? Eee, znaczy co?

– No nie wiem. W Zimnych Królestwach krążą legendy o glinianym bałwanie, którego kapłan ożywił, przyklejając mu na czole werset z księgi.

– Sam jesteś bałwan. – Tania najwyraźniej nie zamierzała odpuścić.

– Nie no – włączyła się Niki. – On naprawdę miał tam coś napisane na tej pałce. Jakieś zaklęcia. Coś, co było związane z silną magią. – I znowu dotknęła swojego brzucha, nieświadomie identyfikując źródło swoich odczuć. – Nie potrafię tego określić słowami. – Oczywiście, że nie potrafiła,

ich córka siłą rzeczy nie umiała jeszcze mówić. – Ale to było coś bezbrzeżnie złowrogiego. Straszne!

– Według ciebie również to nie był człowiek? – zapytał Lirion.

Niki zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy.

– On miał tam coś napisane – powtórzyła.

– Tak.

Tania podniosła do oczu własne przedramię i zaczęła przesuwając nad nim palec tak, jakby odczytywała powoli starożytne litery.

– On tam miał napisane: „Miejsce na twoje zęby!”.

Teraz roześmiał się nawet Rohan, którego uważali za nieprzytomnego. Stary żołnierz uniósł się z trudem na łokciu i pokazał nożownicze zaciśniętą pięść w geście solidarności. A potem wychrypiał:

– Jedźmy stąd, kurwa, zanim wszyscy zdechniemy!

– Słuszna uwaga – zakpił z niego Nolaan. – A czy oświecisz nas również... w kwestii, gdzie jechać?

– Tia – przytaknęła Lirion. – Wioska ani mała miejscina nie pomogą nam w kwestii Hekkego. – Wskazał brodą rannego w brzuch kolegę. – A kwestia „gdzie” jest chyba w ogóle nie do rozwiązania.

– Obawiam się, że nawet w Syrinx nie pomogą Hekkemu – powiedział Virion. – Czas więc odwołać się do innej cywilizacji niż nasza.

– Co masz na myśli?

– Ta dziewczyna zwana Kwiatuszkiem mówiła coś, że powinniśmy jechać do Skalnego Pałacu? – Virion wymówił to, jakby pytał. – Nie pamiętam dokładnie. Może ty, Nolaan, pamiętasz? Byłeś przy tym.

Książę wzruszył ramionami i momentalnie skrzywił się z bólu.

– Mówiła, że ten pałac jest położony bardzo blisko miejsca, gdzie spotkaliśmy ją samą.

– I co jeszcze?

– Że ona ma nas tam zaprowadzić. Ale jeśli pójdziesz sam, to możesz przejść tuż obok pałacu i go nie zauważyć. A na miejscu czeka na ciebie coś, co może pomóc. Masz rzucić wszystko natychmiast i jechać z Kwiatuszkiem do skalnej budowli. Czy jakoś tak.

Virion przypomniał sobie całą scenę. Spojrzał pytająco na Niki.

– Trafisz tam?

– Wtedy wydawało mi się, że trafię – powiedziała upiorzyca. – Czułam aurę Kwiatuszka, wszystkie zapachy, które miała na sobie. Dość łatwa sprawa. Teraz jednak dziewczyna nie żyje. Wszystko jest inaczej.

– Trafisz?

Niki miała minę w rodzaju: „i co tu powiedzieć?”.

– Spróbuję.

– A co tam napotkamy? – włączył się Lirion.

– Ci, którzy wysłali dziewczynę, obiecali pomoc.

– Ale przecież wtedy nie wiedzieli, w jakiej sytuacji się znajdziemy.

Nolaan przerwał Lirionowi:

– Ona powiedziała, że jeśli tam nie pojedziemy, to tamci Viriona zaraz zabiją. Nas wszystkich również.

– Wiedzieli coś?

– Nie wiem, co wiedzieli. Ale nie pojechaliśmy i Viriona prawie zabili. I nas przy okazji też. Zatem się sprawdziło.

Tania wstała zgrabnie i zaczęła otrząpywać piasek z tuniki.

– Drodzy i wspaniali panowie! – zaczęła, a po minie widać było, że sobie nie daruje. – Drodzy panowie, byli mistrzowie szermierki, przestańcie pieprzyć, tylko zbierajcie dupy. Inaczej on – wskazała Hekkego – niechybnie umrze.

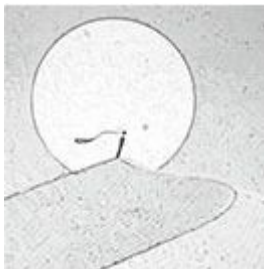
Virion podniósł się również. Uśmiechnął się do Tani z sympatią. I również sobie nie darował.

– Gdybyś wiedziała, gdzie jedziemy, tobyś nas do tego nie namawiała.

– A co bym robiła?

– Uciekała, krzycząc ze strachu.

Rozdział 2



Trudno powiedzieć, czy Kasjoepa obudziła się rano, czy tylko otworzyła oczy po absolutnie bezsennej nocy. Ona sama nie wiedziała właściwie, co się z nią działo. Noc na pustyni... no, teoretycznie przecież nic strasznego. Dziewczyna pochodząca z Troy, pragmatyczna, nauczona logicznego myślenia, a przede wszystkim wykształcona, powinna sobie poradzić. I rzeczywiście,

początkowo szło jej nieźle. Kiedy zrobiło się chłodno, Kasjoepa zakopała się w piasku. Trudno było nazwać tę pozycję komfortową, ale czując zimno na odkrytej twarzy, wiedziała, że lepiej jej nie zmieniać. Pod piaskiem nie działo się nic strasznego. Niestety, była też głodna i spragniona, nie miała możliwości poruszenia się, choćby przewracając się z boku na bok, i naprawdę trudno było jej zasnąć. Ale noc przecież nie jest aż taka długa. Księżniczka trwała więc, usiłując pozbyć się z głowy uporczywych myśli, które w takiej sytuacji mogą być największą zmorą. Starła się ignorować wszystko, co burzyło jej choćby i narzucony siłą spokój. Ech, pobożne życzenia. Bo jak tu nie myśleć o bestii, potworze, który zabił pustynną dziewczynę, a jej szczątki rozrzucił na przestrzeni kilkudziesięciu kroków?

Nie myśleć o tym. Nie myśleć. Skupić się na mapie nieba. Określić strony świata i zostawić jakiś ślad w pobliżu, który rano pozwoli jej się zorientować w kierunkach, które zapamiętała. Skąd przyszła? W jaką stronę zmierzał konwój? Gdzie mogą leżeć ludzkie osady? I jeszcze...

Szarpnęła się, kiedy w pobliżu coś zaczęło wyc. O mało nie zemdląła ze strachu. Tylko jakimś cudem i najwyższym wysiłkiem woli powstrzymała się przed zerwaniem na równe nogi i szaleńczym biegiem na oślep, przed siebie.

Na pustyni nie ma zwierząt, które są zdolne zaatakować człowieka. Na pustyni nie ma zwierząt, które są...

Ale jest bestia!!!

Kasjoepa dosłownie zadławiła się przerażeniem. Rozum jednak kazał jej zostać tam, gdzie była, pod zbawczą warstwą piasku. Nikt jej tu nie

znajdzie. Nie. Potwór nie węszy wokół. I nie wiadomo, co tak wyje, ale to nie bestia. Nikt przecież w żadnej ze znanych kronik nie napisał, że naturalnym zachowaniem bestii jest wycie po nocy. Spokojnie. Zaraza wie co to jest, ale zaraz sobie pójdzie. Wyjce nie jedzą ludzi. A teren pustyni nie jest usłany szczątkami ofiar nocnych wyjców. Uspokój się, dziewczyno, łąłała samą siebie. Pustynia w ogóle nie jest usłana ludzkimi szczątkami. Przeciwnie, kościotrupy należą tutaj do absolutnych rzadkości. Po drodze przecież nie widziałaś ani jednego.

No tak. Ale weźmy na przykład węża. A jak taki podpełźnie w zupełnej ciszy i ukąsi ją w twarz, którą miała na wierzchu? Nawet nie zdąży się przed nim obronić, bo ręce ma zakopane, przynajmniej na tyle, na ile mogła.

Aż westchnęła w zadumie nad własną głupotą. Wąż sam niezaatakowany nie zaatakuje człowieka. Nie ma z tego żadnej korzyści. Nie żywi się ludźmi. Niczego od nich nie chce. Skoro więc ona sama leży nieruchomo, to z całą pewnością wszystkie węże na pustyni mają ją w dupie! No tak, oczywiście. To jak najbardziej logiczne. Ale... a jak taki podpełźnie już z rozdziawioną paszczą... O mało nie krzyknęła ze strachu.

I w dodatku coś w pobliżu zaczęło świstać. Nie no! Co śwista po nocy na pustyni? Wielki, krwiożerczy, agresywny świstak ludojad! Tym razem pisnęła cicho.

Skup się, powtarzał rozum. Mapa nieba, określ kierunki, gdzie leżą znane ci konstelacje, oznacz stronę, z której przyszłaś.

A co może stąpać, wywołując odczuwalne drżenie piasku? Panika od razu podsunęła właściwe rozwiązania: bestia, potwór olbrzymi jak góra, zajmujący się w nocy bardzo bolesnym wysysaniem ludzi, ewentualnie mamut z jadowitymi kłami.

Uspokój się. Przecież nie ma już mamutów. Uczeń na dworze ojca pokazywali ci jedynie stary szkielet. Aha... Ale to znaczy, że bestia i potwór wysysacz istnieją?

No dobra. Miała już tego wszystkiego dość. A najbardziej manowców swojego zestrachanego umysłu. Wstanie zaraz. Wstanie i ruszy przed siebie. Niech ją zjedzą, zamordują, zatrują, wysą – wszystko jedno. Wszystko lepsze, niż leżeć tutaj, drżąc ze strachu. Tak właśnie. Postanowiła wstać i iść. Już. Teraz. Raz, dwa, trzy...

I wtedy właśnie Kasjopea otworzyła oczy. Słońce stało już nad horyzontem. Nie czuła zimna na odsłoniętej twarzy, ale też nie czuła upału. Zbawczy świt, kiedy wszystko nabiera barw. Zarówno wokół, jak i wewnątrz, w umyśle. Kasjopea była młoda i wysportowana. Podniosła się więc dość lekko, nie czując jakichś poważniejszych dolegliwości. Może poza piaskiem w uchu. Przeciągając się, zauważyła na piasku swój własny

rysunek gwiazdnych konstelacji, który wykonała w nocy. Wiedziała więc, w którą stronę powinna ruszyć. Uśmiechnęła się na wspomnienie nocnych aberracji w głowie. A tu proszę. Wzruszyła ramionami. Jednak wyszkolili ją znakomicie!

Bez namysłu ruszyła w stronę, którą wskazywała narysowana przez nią samą na piasku strzałka. Teraz wszystko zależało od tego, czy zdoła iść po linii prostej. Nie zbaczając, nie zakręcając ani, co podobno najgorsze, nie zataczając kół. Wydawało się to prostym zadaniem. Wystarczy obejrzeć się za siebie od czasu do czasu i sprawdzić, czy własne ślady nie przypominają zygzaków. Metoda jednak przydatna bardziej w teorii niż w praktyce. Kasjoepa przechodziła przez szczyty wydm, musiała obchodzić naturalne przeszkody, gdzieś było łatwiej, a gdzieś trudniej podejść pod strome zbocze. Dlatego też zdecydowała się na trudniejszy wariant, polegający na zgrywaniu trzech charakterystycznych punktów. Wymagało to od niej ciągłego rozglądania się i przeliczania w głowie geometrycznych wartości, ale przynajmniej angażowało myśli i nie pozwalało na kretyńskie, dołujące konstatacje w rodzaju: „Bogowie, jestem sama na pustyni, co ze mną będzie...?”.

Co będzie? E tam. Nauczyli geometrii, nauczyli procedur, zadbali o wyćwiczenie ciała. Co ma być? Zaraz natrafi na pobojowisko. Przecież pamiętała bardzo dobrze, że nie uciekła zbyt daleko. Jeśli tylko nie pomyliła kierunków, to będzie dobrze.

Nie pomyliła.

Kasjoepa najpierw długo przepatrywała okolicę, żeby przekonać się, że w pobliżu nie ma nikogo żywego. Dopiero potem zeszła z wydmy w stronę leżących na piasku ciał. Nie miała żadnych oporów przed dotknięciem trupa. Zgodnie z panującą modą jej ojciec miał nawet w pałacu gabinet anatomiczny, gdzie wraz z medykami kroił zwłoki, przykrywając niezdrową ciekawość działaniami na rzecz rozwoju medycyny.

Ogromną ulgę poczuła jednak dopiero w chwili, kiedy znalazła w połowie pełny bukłak i mogła zaspokoić pragnienie. Nie za dużo naraz – pamiętała. I nie miała problemu z opanowaniem odruchów. Skoro rady jej nauczycieli dotąd się sprawdzały, to na pewno nie mylili się również i w tej kwestii. Teraz jedzenie. Szybko znalazła suche placki będące częścią wojskowych racji. Fuf! Jałowe i pastewne. Żuła powoli, popijając małymi łykami. Drugą ręką dalej przeszukiwała zabitych. Gdzieś przecież muszą mieć suszone, sproszkowane mięso, tak zwane żelazne porcje. W końcu w jakimś chlebaku znalazła brązowy proszek. Czy to jest to? Spróbowała ostrożnie. Potrawa miała smak mielonych sandałów

pomieszanych z ludzkimi odchodami. Wiedziała zatem, że trafiła dobrze. Tak właśnie wyglądał armijny styl załatwiania problemów kulinarnych.

Kasjoepa przelała resztki wody z różnych naczyń do jednego wielkiego bukłaka. Udało jej się znaleźć nawet trochę cierpkiego i cienkiego wina. Istny rarytas. Kilka łyków alkoholu odpędziło bowiem wszelkie czarne myśli i wszelkie głupie próby zastanawiania się nad własnym położeniem. Tego należało unikać. Jest tu i teraz, i nic więcej.

Uzbroiła się w krótki miecz piechoty i wojskowy nóż. Nałożyła na siebie luźny płaszcz, który znakomicie chronił skórę przed promieniami słońca. Na głowie wzorem jeźdźców pustyni zawiązała sobie sporo luźnych szmatek. Nie mogła dobrać sandałów na swoje małe stopy, musiała owinąć je w zaimprovizowane onuce. Jeszcze tylko zrolowany koc, plecak z zapasami i przypominając jucznego muła, mogła ruszyć dalej.

Pytanie tylko: gdzie jest to dalej?



Legion to za duża jednostka, żeby manewrować nim jako całością. Był zbyt ociężały, zbyt nieruchawy i za bardzo przywiązany do dróg. Żeby więc zrealizować jakieś zadanie poza generalnym kierunkiem powolnego marszu, należało wydzielić z niego mniejsze jednostki, najlepiej wyspecjalizowane w wykonywaniu danego rodzaju operacji. Tak też było w przypadku Kenooine. Dwa oddziały zaatakowały niewielkie miasto z dwóch stron, nie dając zasadniczo obrońcom żadnych szans zorganizowania obrony na przedpolu. Narada w dowództwie straży nie trwała długo. Mimo wcześniejszego ostrzeżenia nikt raczej nie przewidywał walk ulicznych. Kenooine nie miało murów obronnych – jakkolwiek bój musiałby więc zostać stoczony wśród domów, twarzą w twarz, jeden na jednego. Teoretycznie dawało więc to szansę na krótkotrwałe powodzenie, ale nie rozwiązywało większości problemów.

– Bitwa w mieście tylko rozjuszy atakujących – przekonywał przedstawiciel magistratu. – A wy ile możecie się trzymać?

– Aż do przybycia posiłków – odparł dowódca straży miejskiej.

– A kiedy przybędą?

Tego nikt nie wiedział. Strażników było mało. W pobliżu miasta nie stacjonował żaden oddział cesarskich wojsk. Jedna wielka niewiadoma. Jak długo obrońcy mogli wytrzymać na ulicach? Jeden dzień? Wątpliwe. Większość dyskutantów zdecydowanie skłaniała się do zdania

przedstawiciela magistratu, ale nikt nie chciał wyrazić poparcia jako pierwszy. Mogłoby bowiem zapachnieć zdradą.

– A ty co proponujesz? Poddanie?

– Mamy inne wyjście?

– No ciekawe, jak zareaguje Syrinx.

– Przecież nas zostawili. Bez rozkazów, bez wsparcia, bez jakiegokolwiek informacji, co się dzieje.

Ludzie, którzy rządili Kenooine, mieli wyjątkowe szczęście. Miasteczko leżało na uboczu, z dala od ważnych szlaków komunikacyjnych, nie miało żadnego znaczenia. Dlatego też nie było tu prowincjonalnej placówki Zamku. Bo gdyby była, taka dyskusja nie mogłaby się nigdy odbyć.

– Imperialne operacje zawsze są tajne. Być może wielka armia zmierza ku nam i już niedługo...

– Przestań. Zrezygnujmy z symbolicznego oporu straży, nie rozjuszmy atakujących, a wtedy nie będą się mścili na mieszkańcach.

– Ograniczą się jedynie do spalenia domów, tak?

– Nie bądź nierozsądny. Kiedy zdobędą miasto, stanie się ono przecież ich własnością. A w dziejach świata nie znalazł się przecież aż taki idiota, który niszczyłby swoją własność. Prawda?

Dowódca straży przełknął ślinę.

– Mówiąc o poddaniu, mówimy o zdradzie.

– Oj tam, oj tam, o rozsądku co najwyżej. Zresztą możesz wycofać swoich zbrojnych z miasta na z góry upatrzone pozycje. A mieszkańcy przecież nie mają ani broni, ani umiejętności, żeby samym przeciwstawić się agresji.

– Samo się rozstrzygnęło! – krzyknął ktoś od okna. – Jadą!

– Kto jedzie?

– Wrogie czółówki.

Przedstawiciel magistratu zrozumiał, że nie zdążą nawet zejść na dziedziniec, żeby powitać obce wojsko.

– Na taras! Na taras! – zakomenderował.

Nie było to dobre rozwiązanie, w ten sposób bowiem będą patrzeć na zdobywców z góry, co raczej nie przystoi pokonanym. Ale i tak lepsze to niż puszczenie wszystkiego na żywioł i utrata kontroli już nad wszystkim, co się rozegra. A może tamci okażą się skłonni do negocjacji?

Oficer na koniu, który ukazał się w otoczeniu swojej świty chwilę później, nie sprawiał wrażenia zakapiora. Regulamin nakazywał mu włożenie hełmu, więc nie mogli dostrzec ocienionych okapem oczu, lecz elegancki mundur ze wszystkimi odznaczeniami, gładko wygolona twarz

i sposób, w jaki wydawał rozkazy, przywodziły raczej na myśl żołnierza, który częściej obracał się na dworze niż w wojskowych obozach.

– Panie – krzyknął dowódca straży, kiedy tylko oficer znalazł się w zasięgu głosu – gdzie moi strażnicy mają składać broń?

Oficer podniósł głowę.

– Jak to gdzie składać? Przecież jesteśmy Luańczykami tak jak wy, a miasto nie zmienia przynależności państwowej. Nigdzie więc nie składajcie, tylko przejdźcie do pełnienia obowiązków.

– A nie mówiłem? – Przedstawiciel magistratu nie mógł powstrzymać się przed wbiciem szpili. – Nie mówiłem, że lepiej po dobroci?

– Co zatem mamy robić? – wykrzyknął dowódca, nie zwracając uwagi na syczenie z boku.

– Chcę ogłosić ludowi dostojnego Kenooine ważne wieści. Spróbujcie zebrać mieszkańców na forum.

– Nie zmieszczą się, panie!

– Niech przyjdą najważniejsi. Pozostali mogą czekać w przylegających ulicach.

– Tak jest!

– Zresztą... przyślij tutaj swojego rozprowadzającego. Żołnierze powiedzą mu, co i jak.

– Tak, panie!

Nie zważając na szepczącego ciągle o swojej racji przedstawiciela magistratu, dowódca straży wrócił do sali sztabu. A zresztą może ten urzędnik naprawdę miał rację? Może nadchodzą nowe porządki i są jedynie świadkami zmiany władzy w imperium? I zwykłym ludziom nic się nie stanie? Nie jemu rozstrzygać. Miał teraz na głowie problem zupełnie innej natury. Zgromadzenie takiej liczby osób w jednym miejscu, i to bardzo szybko, żeby nowi władarze nie stracili cierpliwości, stanowiło nie lada wyzwanie. W czasach pokoju pewnie dałoby się to jakoś ogarnąć w rozsądnym czasie, ale teraz nikt nie miał pojęcia, jak wyglądają ulice. Gdzie stacjonuje wojsko? Jakie obiekty zajęło dla siebie i kto oraz w jakiej liczbie będzie się przemieszczał ulicami?

Musiał wydawać rozkazy trochę w ciemno. Na szczęście szybko wrócił rozprowadzający z uspokajającymi wieściami. Wkraczające wojsko ma własnych heroldów, na samym forum to żołnierze zadbają o bezpieczeństwo tłumu, przewidziany jest nawet poczęstunek, a straż miejska ma tylko pomóc dotrzeć ludziom na uroczystość.

– No, tośmy w czepku urodzeni – mruknął dowódca. Nie dodał głośno, że godząc się na współpracę, samych siebie wkładają w paszczę nowego porządku. Jeśli jednak wygra stary, to jedynym rozwiązaniem będzie wtedy samobójstwo. I to z całymi rodzinami. Ale z drugiej strony to, co się

działo, mogło być rozsądnym rozwiązaniem. Z Pałacu nie dostali nic. Ani ostrzeżenia, ani rozkazów, ani nawet wytycznych. O marszu nowej armii dowiadywali się z plotek. Administracja tak jakby nie interesowała się ich losem. Jak to możliwe? Jak jest możliwe, że dotąd jeden brązowy zalegającego podatku bez mała alarmował urzędników w Syrinx, a teraz pojawienie się w granicach całego legionu nie miało znaczenia?

Człowiek pozostawiony sam sobie zawsze wymyśli coś głupiego. A przynajmniej taki człowiek, którego nigdy nie nauczono podejmowania własnych decyzji. Niestety, wyłącznie z takich ludzi składała się populacja całego imperium. Wyjątków na prowincji nie było. A z całą, całkowitą pewnością nie było ich w Kenooine.

Za to zebranie ludzi w jednym miejscu nie było aż tak niewykonalne, jak wydawało się wcześniej. Problemem był przede wszystkim czas. Ale służby miejskie wykazały się dobrą organizacją. Jedynym zgrzytem było, że samej straży nie wpuszczono na forum. Oczywiście oprócz wyższych oficerów. Ustawianiem ludzi i pilnowaniem porządku zajmowali się żołnierze z oddziałów, które wkroczyły do miasta.

Zebranych na forum i przyległych ulicach rozdawano wino. I to w znacznych ilościach. Dowódca straży podejrzewał, że pochodziło z którejś z miejscowych winiarni. Chwilę później pochwycił plotkę, że właściciela winnicy powieszono na płocie i zabrano mu wozy transportowe, ale nie było jak sprawdzić pogłosek. Jego ludzie pozostali poza głównym placem i brakowało z nimi łączności. Nie miał też czasu zastanawiać się nad czymkolwiek. Pomocnicy heroldów zaczęli dąć w swoje trąby.

– Słuchajcie, słuchajcie, słuchajcie! – Zawodowcy natychmiast zapanowali nad gwarem tłumu. – Nadchodzi czas przemian! Nadchodzi nowy porządek.

Dowódca straży zauważył, że jego zastępca Brunus wymyka się z szeregu i starając się nie rzucać w oczy, odchodzi gdzieś na bok. Szczęśliwiec. Stał w drugim rzędzie. Ci z pierwszego nie mieli co marzyć. Odstoją swoje do samego końca.

Ale też na forum zaczęły się dziać rzeczy interesujące. Mówcy płynnie przeszli do wyliczania krzywd i upokorzeń, których nie szczędzono ludowi Luan. Ale też, co było najdziwniejsze, wcale nie oskarżali o wszystko cesarza. W ogóle jego osobę jakby pomijano. Heroldowie zaczęli piętnować winnych. Okazali się nimi wielmoże, bogaci kupcy, skorumpowani urzędnicy wyższych szczebli.

– A czyż tutaj, w Kenooine, wy sami nie doświadczyliście podobnego traktowania?

Zebrani na forum ostrożnie i niegwałtownie pospuszczali głowy. Jakoś tak głupio było, skoro rano byli zwolennikami cesarza i starych porządków, nagle już w południe z entuzjazmem chwalić nowy porządek, ganiać wszystko, co było. Tym bardziej że przy podwyższeniu dla mówców zgromadzono elitę miasta. Dopiero trochę dalej zebrał się stan średni. A gawieź upchnięto w ulicach obok.

– Czy nikt z was nie został skrzywdzony przez bandytów w urzędniczych togach?! Przez krwio pijców utuczonych kradzionym wam dobrem?

Zrobiło się nieciekawie. Ale jakoś nikt nie rwał się do licytacji swoich krzywd.

– Zachęcam! – grzmiał najbliższy stojący herold. – Przecież to niemożliwe, że nikt was nie skrzywdził.

Ludzie zerkali na siebie. Na większości twarzy odbijało się zmieszanie. Na kilku strach, na jeszcze innych wyraz intensywnych przemyśleń.

– No ludzie! Nikt nigdy was w życiu nie skrzywdził? Nie wierzę! A tu wystarczy wystąpić i wyznać tajoną w sercu urazę. Powiedzieć, kto jest winny waszej niedoli.

Na kilku co najmniej twarzach można było odczytać nagły błysk zrozumienia. Uuuu, tu już nie było nieciekawie, tu chyba robiło się niebezpiecznie, jeśli tylko dowódca straży również odgadł intencje mocodawców herolda.

Z tyłu przysunął się do niego zastępca Brunus, który poprzednio wymknął się z placu.

– Na ulicach obok mówi się coś zupełnie innego – szepnął.

– Co takiego?

– Tam wyraźnie wskazuje się winnych, czyli bogatych, władnych, piastujących urzędy. A także wyjaśnia się ludowi, jak odróżnić porządnego człowieka od krwio pijcy, gdyby ten chciał umknąć w przebraniu.

– No jak?

– Trzeba obejrzeć jego dłonie. Jeśli nie ma na nich odcisków, to znak, że ten człowiek nie trudni się prawdziwą pracą. Jest darmozjadem.

To teoretycznie powinno być zabawne. Tego dnia jakoś jednak nie było. Czy ktokolwiek mógłby uwierzyć w te brednie? Trudno przewidzieć. Ale cokolwiek by się działo, nie mogli już niczego przedsięwziąć.

– Rozumiem, że w całym waszym życiu nie doznaliście żadnej krzywdy – skandował herold donośnym głosem. – Ale ten świat jest pełen krzywd. Jakim więc cudem żadnej nie doświadczyliście? Ach! – Teatralnie rozłożył ręce. – A może to wy krzywdziliście innych?

Nikt nie zdążył zareagować, kiedy żołnierze zaczęli robić na forum dodatkowe miejsce, odpychając po prostu stojących tam ludzi. Największy ścisk zrobił się przed podwyższeniem przeznaczonym dla rady miasta, ale błyskawicznie rozładowano tworząc się tam korek. Żołnierze spychali ludzi tarczami i notable musieli stanąć w ogromnym zagęszczeniu po bokach. Tam po chwili wszyscy już zostali pozbawieni możliwości wykonania jakiegokolwiek ruchu. Tymczasem wojsko na opuszczony teren zaczęło wpuszczać biedotę, która dotąd czekała na ulicach.

– Niech więc przemówią zwykli ludzie! – grzmiał herold. – Skoro wy milczycie, elementarna sprawiedliwość wymaga, żebyśmy wysłuchali ludu! Soli tej ziemi!

Nowi goście na forum jeszcze nie wiedzieli, jak się zachować. Rozglądali się niepewnie. Widać było, że są speszeni bezpośrednią obecnością wyżej urodzonych. Owszem, forum od zawsze było miejscem, gdzie spotykali się wszyscy. Ale ci bogatsi, o większym znaczeniu, zawsze byli czymś odgradzeni, siedzieli na podiach, podwyższeniach, zajmowali miejsca w cieniu budynków, za barierkami. Wspólna przestrzeń zawsze była podzielona na strefy, tak samo jak amfiteatr, tak samo jak cyrk. A tu nagle...

– Ludzie! – wydarł się herold. – Powiedzcie! Czy choć raz w życiu spotkała was krzywda?!

Mieszkańcy miasta popatrywali na siebie, szturchali się, niepewni, co teraz nastąpi. W tłum tymczasem wmieszali się pomocnicy heroldów, podpowiadający proste wzorce odpowiedzi: „tak, tak, tak”.

– Czy doznaliście krzywd?!

– Taaaaaa! – odpowiedział dzikim rykiem tłum.

– Czy nadszedł nareszcie czas zapłaty?!

– Taaaaaa! –

– Czy widzicie sprawców swoich nieszczęść?!

– Widzimy? Gdzie oni? Gdzie skurwiele? No jak? Niby kto to? – kachofonia głosów rozlała się nad forum.

Pomocnicy powtarzali instrukcje: „tak, tak, tak”.

– Czy widzicie sprawców swoich nieszczęść?!

– Taaaaaa! –

Dowódca straży nie umiał zgadnąć, do czego komuś jest potrzebne tak prymitywne widowisko. O co tu chodziło? Przecież szcuć jednych na drugich można łatwiej, bez taniego teatru. Stał nieruchomo, patrząc na żenujące przedstawienie, i zaczął się domyślać. Pewnie chodzi o wieści, które się rozejdą. Nie te jednak przekazywane przez posłańców. Chodzi o wieść gminną. To, co pojawi się w innych rejonach kraju nie jako

oficjalna propaganda, ale jako plotki. Coś, co ludzie przekazują ludziom. Ale o jaki przekaz konkretnie chodziło? Tego już domyślić się nie potrafił.

– Czyż wasza bieda nie jest spowodowana przez tych, którzy nadmiernie gromadzili dobra wszelakie?

Pytaniu herolda odpowiedział groźny pomruk ze strony tłumu. Dowódca straży obserwował beznamiętnie wszystko, co działo się dokoła niego. Każdy drobiazg, każdy szczegół – nie powinien mu umknąć żaden detal. Na przykład: do oficera siedzącego trochę z tyłu co chwila dobiegali gońcy. Składali pospieszne meldunki. Oficer czasem zadawał pytanie, czasem kazał swojemu podręcznemu sporządzić notatkę albo podać jakiś dokument. No i cała przaisuń widowiska na forum od razu zyskała swój sens. Najeźdźcy nie mogli rozegrać tego lepiej, bardziej przekonująco. Oni się spieszyli. Stąd wniosek, że nie zabawią tu długo. A to oznaczało szansę. Zaraz, zaraz, oby się tylko nie dać ponieść przez przyływ optymizmu. Do czegoś ten tani teatr przecież musi im posłużyć.

– Nie wierzycie? Najlepiej wytłumaczyć wszystko na przykładzie. – Herold wskazał stojącego blisko kupca w bogatej szacie. – Jak cię zwą?

– Mazon. – Zszokowany handlarz winem dał się poprowadzić jednemu żołnierzowi, który bardziej wskazywał drogę, niż ciągnął.

– Jakie są twoje dobra? – zapytał herold. – Opowiedz nam wszystkim, ile zdążyłeś się nachapać przez całe życie, wysysając z ludzi wszystko, co mogliby mieć.

Uwadze dowódcy straży nie umknął zwrot: „co mogliby mieć”. Mogliby. Gdyby się wzięli do roboty jak kupiec, którego zresztą dowódca znał osobiście.

– Ale ja wszystko ciężką pracą od dziecka – tłumaczył się wciąż jeszcze bardziej zdziwiony niż przestraszony Mazon. – Do wszystkiego doszedłem, odmawiając sobie luksusów, od ust dzieciom odejmując...

– Cudzym!

– Własnym!

Najbliżej stojący zaczęli się śmiać. Niefortunny wybór stroju na dziś raczej pograżał kupca poprzez kontrast z tym, co mówił. Głupi wybór obronnej taktyki zemścił się prawie natychmiast.

– Jakie dobra znajdują się w twoim posiadaniu?

– Ja nic... ja niczego... – Mazon dał się zacukać i bliski był kłamstwa.

– Ile masz winnic na przykład?

– Je... jedną. Małą!

I znowu odpowiedzią był śmiech. Ktoś podał heroldowi zwój papieru. Ten rzucił okiem, a po chwili na jego twarzy zagościł wredny, złośliwy wyraz.

– Jedną winnicę? – zapytał, odpowiednio modulując głos. – Masz tylko jedną winnicę?

Nie tylko dowódca straży wiedział, że Mazon się zagalopował. W tłumie rozległy się liczne śmiechy.

– No to ja ci powiem, jak wygląda twoja jedna winnica... pomnożona przez sześć! Masz sześć winnic, parszywy kłamco!

– Pięć tylko dzierżawię.

– Gaje oliwne też dzierżawisz?

– T... Nie. Nie, ale gaje usytuowano na skalistej ziemi, one zupełnie...

– To ile jest tych gajów?

Mazon był tak oglupiały, że zapytał odruchowo:

– W cesarstwie czy w prowincji?

– W twoim posiadaniu – naprowadził go herold.

– Ja naprawdę nie mam...

– Dość!

Lista musiała być urzędowa i zawierać szczegółowe informacje. Mówca odczytywał kolejne pozycje, dając dowód, że najeżdźcy dysponowali danymi przejętymi od poborców podatkowych. Ujawniane punkt po punkcie dobra pokazywały cały zakres majątku kupca. Dowódca straży mógłby dodać, że majątku zdobytego i pomnażanego uczciwie. To akurat wiedział. Mazon po prostu miał zmysł do interesów i wielkie szczęście w ich prowadzeniu. Miał też zasadę, że pańskie oko konia tuczy. Doglądał więc wszystkiego osobiście od rana do nocy, a czasem i przez całą dobę, jeśli interesy tego wymagały. Niczego nikomu nie ukradł, z nikim nie zadzierał, jego kartoteka w miejskiej strażnicy była zupełnie pusta. No ale przedstawienie musiało się toczyć wedle własnych prawideł. Mazon był winny posiadania wszystkiego kosztem zwykłych ludzi, był zatem złodziejem, ciemiężcą i oprawcą. Wśród coraz głośniejszych pomruków złości rodzących się w tłumie mówca przeszedł do wymieniania dóbr ruchomych podsądnego. Kiedy doszedł do liczby wozów w stajniach Mazona, dowódca straży zdał sobie sprawę, że to nie jest lista zdobyta od poborców podatkowych. No przecież to jasne! Po co poborcy informacje o wozach? No dobrze. A komu takie rzeczy mogłyby się przydać? Hm, może wojsku? Wiedziałoby, skąd w razie potrzeby brać do rekwizycji. No ale z drugiej strony armia nie ugania się po stajniach i nie liczy wozów transportowych. To cywile mają im dostarczyć odpowiednią ilość. Któż więc dysponuje takimi danymi? Dowódca straży zastanawiał się długo. I wyszło mu, że tylko Zamek. O Bogowie... Jeśli oni dysponują wglądem do kartoteki Zamku...

Dowódca straży drgnął, gdy herold wśród złowrogich pomruków tłumy zniecka ogłosił wyrok. Za zdradę zasad nowego porządku, za

zdradę zwykłych ludzi, za złodziejstwo i ciemienie... kara śmierci.

Było to tak niespodziewane, że zaskoczyło nawet ludzi stojących tuż przy trybunie. Wszyscy stali i patrzyli w milczeniu. Żołnierze tymczasem chwycili Mazona i wprowadzili na specjalne podwyższenie służące zazwyczaj kapłanowi z pobliskiej świątyni do kierowania uroczystościami religijnymi. Tam przygotowano już zydeł, na którym posadzono oszołomionego i nawet niezbyt opierającego się kupca. Jeden z żołnierzy stanął za jego plecami i bez chwili wahania wbił siedzącemu dość długi pręt tak mniej więcej za obojczykiem. Ostrze błyskawicznie sięgnęło serca, a pręt musiał być natłuszczony, bo bez problemów wyjęto go z drgającego ciała.

– Następny!

Żołnierze chwycili teraz już siłą kolejnego kupca i wywlekli go z tłumu. Doprowadzony przed herolda nie doczekał się nawet obelg. Nikt nie kazał mu się tłumaczyć. Po prostu odczytano listę jego nieruchomości i innych ważniejszych rzeczy, które posiadał. A potem herold krzyknął:

– Co masz na swoją obronę?!

– Ja chciałem...

– Wystarczy! Egzekucja. Następny!

Szło im coraz sprawniej. Lud, najpierw zaskoczony, potem przestraszony ostatecznym obrotem spraw, początkowo przyglądał się temu w milczeniu. Później urodziły się nerwowe szepty. A kiedy ujawniła się masowa skala przedsięwzięcia, a co za tym idzie brak możliwości odwrotu, lud zaczął wznosić radosne okrzyki. Po kilku modlitwach kolejnym wyrokowi towarzyszyło pełne aplauzu wycie.

Herold zabrał się do magistratu. Jego przewodniczący usłyszał jeszcze jakieś zarzuty, oskarżono go publicznie o mniej lub bardziej niestworzone rzeczy. Dano nawet szansę iluzorycznej obrony, tylko po to jednak, żeby zaplątał się we własnych kłamstwach. Racjonalnie na pytania herolda odpowiadać się nie dało.

Ciała nie mieściły się już wokół podwyższenia, wyznaczono więc ludzi do ich wnoszenia i układania dalej, na ulicach, w zgrabne stosy, żeby nawet ci, którzy nie zmieścili się na forum, mogli być świadkami sprawiedliwości zaprowadzanej przez głosicieli nowego porządku.

Brunus wrócił ukradkiem z kolejnych przeszpiegów.

– Zerknąłem na parę ulic wokół – szeptał, kryjąc się za plecami dowódcy.

– I jak tam? Ciągłe nasza straż pilnuje porządku?

– Nasza. Ale wycofali naszych oficerów i podoficerów.

– Zabili ich?

– Nie w zasięgu wzroku, jeśli w ogóle. Nie nastąpiło nic gwałtownego według naszych szeregowców. Przydzielono im jakieś zadanie.

– Jasne. Łatwo ci było się przemknąć?

– Bez kłopotu w obrębie najbliższych ulic przy forum. Dalej nie przepuszczają.

– A jak nasi reagują na coraz więcej trupów?

– Widzą, że dzieje się coś wyjątkowego. Ale nie ma oficerów, a ty stoisz na forum, więc co? Robią swoje.

Dowódca straży jeszcze bardziej ściszył głos.

– Zaszyj się gdzieś, przebierz w cywilne ubranie i jak tylko będzie można, wyjdź dalej na miasto...

– Przewidzieli to – przerwał mu Brunus. – Wiedzą, że ich żołnierze nie rozpoznają nas po twarzy, więc otworzyli nasz loch. Przy każdym z ich wartowników stoi jakiś miejscowy bandzior i palcem wskazuje tych, których trzeba wybrać z tłumu.

– Rozumiem.

Koniec więc marzeń o ucieczce rodzin strażników. Koniec choćby pomyślenia o próbie przekazania wieści dalej o tym, co się dzieje. Choć wieści przecież i tak pójdą. Ale w wersji gminnej, plotkarskiej. Być może więc nawet triumfalne.

Dowódca obserwował beznamyślnie ludzi prowadzonych na rzeź. Generalnie nie wrywali się z rąk oprawców. Jeśli już można było mówić o jakiejś reakcji, to częściej zdarzały się unizone prośby, błagania, czy nawet próby rzeczowej argumentacji, dlaczego warto akurat tego delikwenta zostawić przy życiu. System panujący w cesarstwie nie wykształcił świadomych obywateli, zdecydowanych w razie niebezpieczeństwa zadbać o siebie. Nie. Skoro władza prowadzi na śmierć, to pewnie tak musi być. Co najwyżej można oślinić teźże władzy sandały, błagając o łaskę. A czy ta władza, czy inna i czy na pewno tak musi być? Te pytania chyba nikomu nie przychodziły do głowy. Dowódca straży sam po raz pierwszy chyba w życiu cieszył się z prostego faktu, że nie miał rodziny, ani żony, ani dzieci. Nie musiał obawiać się o niczyj los, niczym też nie można go było szantażować. A co do własnej śmierci jego uczucia były ambiwalentne. Po pierwsze, miał już swoje lata, a ten stan raczej skłaniał go do chęci kontynuowania życia za wszelką cenę. Ale po drugie, był schorowany, a to z kolei sprawiało, że myśl o przejściu w niebyt nie wydawała się już taka straszna. Nękające go poważne dolegliwości pomieszane z coraz bardziej uprzykrzającymi każdy dzień drobiazgami przyprawiały go o irytację i coraz częstsza chęć, aby dać sobie z tym wszystkim spokój. Dlatego też chyba jako jedyny na placu patrzył na rozgrywające się przed nim sceny nastrojony raczej

filozoficznie, z niezajętym przez panikę umysłem. Jeśli to ma się stać dzisiaj, to właściwie dlaczego nie?

Odwrócił się do swojego zastępcy.

– Nie chcesz spróbować się przedrzeć? – zapytał. – W nocy, w tłumie, w przebraniu? Może się udać.

– Zwalniasz ze służby?

– Zwalniam.

Brunus odetchnął z widoczną ulgą. Najwyraźniej nie miał pojęcia, co powiedzieć, więc tylko ostrożnie skłonił głowę. A potem, starając się nie patrzeć na byłego już przełożonego, zaczął się dyskretnie wycofywać. Powoli, niespiesznie, nie zwracając niczyjej uwagi. Chyba miał szansę. A na pewno miał żonę i dzieci, więc w jego przypadku warto było spróbować.

Ciekawe, co to miało być? – dowódca pomyślał o własnym czynie. Akt łaski? Próba przypodobania się Bogom w ostatniej chwili? O mało nie roześmiał się na głos do tej konstatacji.

Heroldowie byli już zmęczeni, żołnierze również. Coraz łatwiej o błąd, sytuacja mogła w każdej chwili wymknąć się spod kontroli. A to najwyraźniej nie był jeszcze koniec widowiska. Główny herold wstąpił na podwyższenie.

– Ludu sprawiedliwy! Mieszkańcy Kenooine! Czy już uwierzyliście, że dzień sprawiedliwości nastał właśnie dzisiaj?

Klakierzy robili swoje, więc „lud” zagrzemiał jednym głosem:

– Taaaaaaa!...

– Tyle że sprawiedliwość to nie tylko ukaranie winnego! To także odebranie mu jego niecnych łupów!

– Taaaaaaa!...

– Owoc grabieży powinien przecież wrócić do prawowitego właściciela. Do okradzionego! Czyż nie?

Tu klakierzy się nie wykazali, „lud” bowiem nie bardzo wiedział, kto jest tym okradzionym. Inni panowie? Cesarz? Jakiś jeszcze rodzaj władzy?

Na forum panowała cisza. Herold się roześmiał. Teatralnie, całym sobą, poruszając ramionami, tak żeby dobrze widzieli go również ci w tylnych rzędach.

– Nie wiecie? – zapytał retorycznie. – Zanim wam jednak uświadomię, co i jak, najpierw przestroga. Musicie pamiętać o jednym: cokolwiek się stanie, nie wolno wam niczego podpalać!

Żołnierze tym razem zamiast jakiegoś bogacza wywlekli na podwyższenie jednego z prostych ludzi w ubogiej szacie.

– Ten oto szubrawiec postanowił dokonać zemsty na własną rękę.

Herold podniósł płócienną torbę, potrząsnął, a potem wyjął z niej krzesiwo i podpałkę.

– Chciał z zemsty na krwio pijcach podpalić jeden z ich domów!

Żołnierze zarzucili sznur na szyję nieszczęśnika, sprawnie zawiązali pętlę, zacisnęli i końcówkę sznura przerwali przez hak z girlandami na najbliższym słupie. A potem po prostu zaczęli ciągnąć. Skazaniec przez chwilę rozglądał się oglupiały, być może chciał coś powiedzieć, ale zaraz pętla zacisnęła się bardziej pod ciężarem jego ciała i mężczyzna, wierzgając rozpaczliwie nogami, rozpoczął swoją wędrówkę do góry. Straszna śmierć. Bardzo długa, bardzo bolesna, przy takiej metodzie nie nastąpi przerwanie rdzenia i ciemność. To było klasyczne, powolne duszenie.

– Widzicie, jaka kara czeka podpalaczy! – wrzeszczał herold. – Cokolwiek się stanie, pamiętajcie: nie wolno wam niczego podpalać!

Nie mógł bardziej zaciekawić tłumu. Cisza na placu stała się wręcz namacalna.

– A teraz wyjaśnię wam, kogo konkretnie okradli ci złodzieje i ciemniźcyce! – Mówca wskazał palcem trupy przy miejscu egzekucji. – Oni okradli prostych ludzi. Zgodnie więc z podstawowymi zasadami sprawiedliwości ich majątek należy do was!

Lud chyba jeszcze nie zdążył uwierzyć albo zrozumieć tego, co zostało powiedziane.

– Możecie iść i odebrać im swoją własność! Możecie upomnieć się o to, co wam zagrabiono! Pamiętajcie jednak! Jakkolwiek próba podpalenia czegokolwiek zakończy się męczeńską śmiercią podpalacza!

Aha, w tę stronę sterują nowi władcy miasta. Dla dowódcy straży stało się jasne, dlaczego przeprowadzono pokazowe stracenie człowieka z krzesiwem i podpałką. Lud ma prawo grabić, ale nie ma prawa wzniecać pożarów. Bardzo rozsądne, zważywszy na to, że spacyfikowano straż w Kenooine i nie miałby kto gasić. W takiej sytuacji mogłoby spłonąć całe miasto. A po co komu spalone miasto? Po nic. Odpowiedź na wszystkie pytania jest więc prosta. Całe przedstawienie służyło do osiągnięcia jakiejś korzyści politycznej. I to za wszelką cenę, nie licząc się z kosztami. W dodatku korzyści większej, bardziej doniosłej i brzemiennej dalekosiędnymi skutkami niż prowincjonalne ośrodki. Dlatego najeżdźcy poświęcą wszystko, zburzą porządek rzeczy, ale konkretnie samej materii nie chcą niszczyć, bo czymże w przyszłości mieliby rządzić. Elementarne.

– Idźcie zatem i niech dokona się dziejowa sprawiedliwość! – grzmiał ciągle herold. – Odbierzcie swoje! Nie podpalajcie, bo z tych domów będą korzystać pokrzywdzeni!

Instrukcje zostały wydane. Oszołomiony niespodziewanym obrotem sprawy tłum tłoczył się teraz u wylotów ulic. Jeszcze niepewny, jeszcze mający w oczach egzekucję jednego z nich, u którego znaleziono krzesiwo. Czy to naprawdę się dzieje? Czy rzeczywiście można wejść do domu, gdzie się przelewało, i zrabować... tfu! odebrać swoją zagrabioną kiedyś własność? Nie będą za to karać? Nikt nie wznosił okrzyków. Ludzie jednak się spieszyli. Wiedzieli dobrze, że bogatych domów jest o wiele mniej niż biednych. I bracia z tych ostatnich, którzy pierwsi dobiorą się do miodu, odbiorą znacznie więcej swojej własności – dla opieszających może już nic nie zostać.

Kiedy gawieź opuściła forum, heroldowie momentalnie stracili swój zapał. Poschodzili ze swoich podwyższeń, potem leniwie zbierali się przy wozie zaopatrzeniowym, który przyjechał do miasta razem z żołnierzami. Tam mogli leczyć swoje nadszarpnięte ceremonią struny głosowe. Kwatermistrz rozlewał do nadstawionych kubków wino pomieszone z miodem.

Żołnierzy kaźniących miejskich notabli zastąpił kat ze swoją ekipą. I teraz już wszystko poszło naprawdę gładko – tempo egzekucji wzrosło niepomiaralnie. Oficerowie wraz z dowódcą wojsk, które najechały Kenooine, schronili się pod wielkim baldachimem ustawionym przed wejściem do świątyni. Tam urzędował dowódca zwiadu, który dysponował najlepszymi adresami kwater na dzisiejszą noc. Oczywiście co lepsze wille zostały zabezpieczone przez wojsko dużo wcześniej, zanim mogli się do nich dobrać „odbieracze swojej własności”.

Na placu pozostało już niewielu żywych mieszkańców. Ci, których pomocnicy kata prowadzili na miejsce kaźni, rozglądali się zaskoczeni. Już nawet nie było kogo błagać o łaskę. Nie było przed kim wznosić okrzyków protestu, oddania staremu porządkowi czy czemukolwiek innemu. Te wszystkie śmierci stały się nagle jakieś takie nieważne. Ot tak, ktoś zabił tych ludzi niejako przy okazji. W ramach mało istotnego planu. Tak właściwie dla statystyki czy innego marginalnego celu. Mieszczanie prowadzeni kolejno na rzeź mieli zdziwione oblicza. Doświadczali zła, którego przecież jakoś tam każdy człowiek bał się przez całe życie. A tu taki banał. Taki drobny fakt, pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia. Nie mogli uwierzyć, że na końcu czekało ich... takie nic.

Dowódca straży pomyślał, że chyba lepiej było umrzeć w otoczeniu ludowej nienawiści. Na placu, gdzie ktoś przynajmniej cię nienawidził. A teraz? Kat z ekipą byli zawodowcami, do ludzi przeznaczonych do egzekucji mieli taki sam stosunek jak kowal do koła w naprawianym wozie. No i dobrze. Koniec życia, koniec marzeń. Ale też koniec użerania

się z kretynami i skurwysynami. A także koniec coraz bardziej dokuczliwych dolegliwości.

Żegnajcie, słodkie sny.

Kiedy przysłała jego kolej, pomyślał, że może warto by wzniesć jakiś okrzyk. Ale jaki? Zresztą inaczej: do kogo adresowany? Kiedy pomocnicy kata kładli go na ławie straceń, powiedział sam do siebie:

– Żegnaj, ty głupi ciulu. Żegnaj, mój jedyny wrogu i przyjacielu.



Oddział nie wyglądał zbyt bojowo. Mieli tylko cztery konie, trzy musieli przeznaczyć dla rannych, czwarty niósł całe zaopatrzenie. Pozostali posuwali się pieszo. Banda obszarpańców, która w dodatku od rana nie miała w ustach kropli wody, ponieważ jej resztką była przeznaczona tylko dla tych, którzy gorączkowali.

– Jesteś pewna, że to tutaj? – Virion stał przed wyniosłą skałą, patrząc na nią, jakby sądził, że sam jego wzrok zamieni ją w piękny pałac. Niestety. Znajdowali się na środku pustyni, a jedyną odmianą od bezmiaru piasku i wydm były właśnie pojedyncze skaliste wzniesienia, porozrzucane tu i ówdzie bez żadnego porządku.

Niki potwierdziła skinieniem głowy.

– Innego miejsca, które pasowałoby do informacji od Kwiatuszka, już nie znajduję.

– No dobra – zgodził się natychmiast, bo naprawdę ufał żonie. – To gdzie ten pałac?

Upiorzyca pokazała palcem. Podążył wzrokiem w tym kierunku. Niki uparcie wskazywała skałę przed nimi.

– A konkretnie?

Zrobiła kilka kroków w jego stronę.

– No tu! – Znowu pokazała palcem.

Przed nimi znajdowała się wnęka w skale, choć i to za dużo powiedziane. Wgłębienie. Dwa kroki głębokości, jakieś cztery, pięć szerokości. W jej wnętrzu może ustawiłoby się dwóch ludzi jeden na drugim, a może nie. Całość dała się ogarnąć jednym spojrzeniem, a ściany wnęki składały się wyłącznie z kamienia. Może i poszarpanego, jak każda skała, ale nie było w nim żadnych otworów, dziur ani głębszych rys.

– Tutaj?

– No tutaj – powtórzyła. – W pamięci wężowej tamtej upiorzycy tędy wiodły ślady. – Wskazała na łąchę piasku, na której stali.

– Ślady? Skąd dokąd?

– Od pustyni. – Niki wyciągnęła rękę za siebie. – I prowadziły w tę stronę. – Pokazała lity kamień przed nią.

– Ale teraz nie czujesz żadnych śladów?

– No pewnie, że nie. Ile burz piaskowych przeszło tędy? W tej chwili jest tu czysto jak na świątynnym ołtarzu w wielkie święto.

– Aha. To powinniśmy kopać pod tą górą?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Zapukać? – usiłował zakpić, ale wypadło to bardzo blado.

– Pić – z tyłu rozległ się umęczony głos Hekkego. – Pić.

– Niech mu ktoś zwilży wargi. – Virion wiedział, że nie można spełnić prośby chorego. Rana w brzuch. Nie ma mowy.

– Chociaż jeden łyk – poprosił Hekke.

– Pod żadnym pozorem.

Chłopak przesunął językiem po splekanych wargach.

– A czemu tak stoimy?

– Nie możemy odnaleźć wejścia do Skalnego Pałacu.

Młody szermierz otworzył szerzej błyszczące od gorączki oczy.

– No przecież stoimy przed nim.

– Co?

– Nie widzisz? Służący zaprasza do środka.

Virion odwrócił się gwałtownie. Nic się nie zmieniło. Skalna wnęka wyglądała identycznie jak przed chwilą. Ogłupiały spojrzał na żonę, ale Niki miała równie głupią minę jak on sam.

– O czym ty mówisz? – warknął.

– Zrób choć krok do przodu. – W głosie Hekkego nie było wątpliwości.

– W stronę służącego.

Niki skrzywiła wargi, jakby usłyszała właśnie, że jest obleśną starą żabą. Żadnej pomocy z tej strony. Chory w gorączce miał jednak swoje prawa – należało mu uświadomić, że majaki to jednak nie rzeczywistość. Tak przynajmniej twierdzą mistrzowie medycyny.

Virion wyciągnął nogę przed siebie, wiedząc, że tym samym kopnie skałę. Drgnął gwałtownie, kiedy jego stopa nie natrafiła na żadną przeszkodę, a ciężar własnej kończyny poniósł go do przodu. O mało nie wpadł na młodego mężczyznę w skąpej opasce na biodrach, który wykonywał właśnie zapraszający gest. Virion odruchowo sięgnął i przyciągnął do siebie żonę.

– O kur!... – Niki przyjęła pozycję obronną, z jedną ręką gotową do zadania ciosu, a drugą osłaniającą brzuch.

– Mój pan zaprasza w gościnę – uśmiechnął się prawie goły służący.

Był piękny. Na jego ciele nie można było zauważyć najmniejszej nawet skazy, a delikatna skóra zdawała się świecić. Zabawny kontrast z równie dobrze umięśnionym, ale bardzo już pokancerowanym i poznaczonym bliznami Virionem. Niki musiała zauważyć jego taksujące spojrzenie, bo całą sobą przyłgnęła do męża.

– A kim jest twój pan? – zapytała.

– Na pewno pragnie przedstawić się osobiście.

– Dobra – mruknął Virion. – To znaczy jest nam niezmiernie miło i chętnie skorzystamy z gościny – powiedział głośniej, a potem zwrócił się do żony: – Zawołaj resztę.

Służący cofnął się o kilka kroków. Sprzyjający uśmiech nie schodził z jego twarzy. I Virion postanowił to wykorzystać, żeby się czegoś od razu dowiedzieć.

– Jesteś człowiekiem czy upiorem? – zapytał.

– Ależ oczywiście, że człowiekiem. – Młodzieniec uklonił się lekko.

No i teraz zagadka. Nie wypadało przecież dopytywać, do jakiej rasy należy gospodarz tego dziwnego miejsca. Ale przecież można postąpić sprytnie.

– A powiedz mi, czy to prawda, że twój pan żyje już ponad tysiąc lat?

Służący stropił się wyraźnie.

– Naprawdę nie wiem, panie. – Szeroko rozłożył ręce. – Ja sam służę u niego dopiero od trzystu lat i nie mam pojęcia, co było wcześniej.

Virion o mało nie zadławił się kaszlem, który zaatakował go nagle. Na szczęście jego towarzysze właśnie wchodzili do środka, rozglądając się w rosnącym zdziwieniu.

– Wielcy państwo – służący zgiął się w ukłonie – proszę za mną.

Ruszył w głąb jaskini, a za nim jako pierwsza poszła Tania. Bezczelnie patrzyła na wąski i niezbyt osłonięty tkaniną przepaski tyłek prowadzącego ich chłopaka.

– Ja cię chrzanię. – Mrugnęła do Niki. – Ale ciasteczko do schrupania.

Upiorzyca popukała się w czoło. Hekke w lekkim chłódzie jaskini zdawał się odzyskiwać coraz więcej przytomności.

– Czy dziewczyny tutaj też są takie? – zapytał scenicznym szeptem.

Prowadzący ich sługa albo nie usłyszał, albo zignorował uwagę. Szli za nim, zdziwieni rozległością pustynnej pieczary. Jej sklepienie zdawało się oddalać coraz bardziej od idącego na dole człowieka, ściany się rozstępowały, a podłoże stawało się coraz równiejsze. Potem zamieniło się w lśniącą posadzkę. Ciemną, prawie czarną, z zatopionymi w niej blaszkami czegoś mżącego lekko, ale wyraźnie pod powierzchnią kamienia. Podłoga bardzo przypominała chodniki w zasypanym przez piaski mieście przy wędrującej oazie.

– Najlepiej będzie, jeśli zostawicie tutaj konie. – Służący zatrzymał się nagle i skinieniem palca przywołał inne sługi. Głównie chłopców, ubranych jak i on, tylko w opaski na biodrach, i tak samo jak on nieskazitelnych.

Na szczęście dla Hekkego pojawiły się i dziewczyny, równie piękne i posągowo zbudowane. Niosły tace obciążone naczyniami o różnych kształtach.

– Zajmiemy się rannymi. Widzę, że jeden z was potrzebuje naprawdę pilnej pomocy.

– Będziemy bardzo wdzięczni.

Virion obserwował starania sług mające na celu ściągnięcie Hekkego z siodła w taki sposób, żeby nie sprawić mu bólu. Ktoś inny chciał pomóc również Nolaanowi, ale ten, choć zagryzając zęby, sam zgramolił się na ziemię. Podobnie Rohan.

– Wszystkim pozostałym również oczywiście pomożemy niezwłocznie, ale domyślam się, że wolelibyście najpierw ochłonąć, odświeżyć się i przynajmniej czegoś się napić.

– To ostatnie w pierwszej kolejności – odpowiedział Virion.

– Mam nadzieję, że gospodarz ma na myśli wodę. – Niki dała wyraz, co myśli o alkoholu po długiej podróży w prażącym słońcu pustyni.

Sługa, który ich prowadził, znowu lekko pochylił głowę.

– Mamy jedno i drugie. – Klasnął w dłonie. – Młodego szermierza musimy zabrać od razu. Jego stan wymaga pilnej interwencji.

– Oczywiście. – Virion spojrział na sługi bardziej wynoszące niż odprowadzające Hekkego w głąb bocznego korytarza. – Paskudna rana.

– Nie obawiaj się, panie.

– Macie tu aż tak znakomitych medyków?

– Och, żaden medyk nie przekroczył jeszcze skalnej bramy, odkąd posadowiono tutaj nasz pałac. Leczymy bardziej tradycyjnymi metodami.

– Co jest bardziej tradycyjne od medycyny? Szeptucha i znachor?

Najwyraźniej rozbawił służącego, bo ten dłuższą chwilę nie odpowiadał, tłumiąc w sobie wesołość.

– Leczymy metodami sprzed wielu tysięcy lat, panie – odparł nareszcie. – Z czasów, kiedy nie istniało jeszcze pojęcie medycyny, ani nawet nie znano szeptuch i znachorów. Ja myślę, że wtedy chyba nawet pojęcie człowieka we współczesnym rozumieniu tego słowa nie było szerzej znane.

Virion skinął mu palcem prowadzonym od własnej brwi w uznaniu delikatnej kpiny zawartej w odpowiedzi. Bystry facet. Na pewno nie był zwykłym służącym. To tylko egzotyczny strój przywoływał myślące skojarzenia. Virion nie mógł się jednak skupić nad jakąś ciętą ripostą.

Właściwie to nie mógł skupić się na niczym. Był rozbity, zmęczony i obolały, potwornie chciało mu się pić, ale to wszystko i tak ginęło pod wszechogarniającym nastrojem przygnębienia, które owaładnęło nim po okropnej kłęsce jego oddziału. No i dupa.

Z najbliższej tacy trzymanej przez służącą podniósł kryształowy kielich i opróżnił go kilkoma haustami. Woda była bardzo chłodna.

– Wychył także mniejszy kielich, panie – poradził mu sługa. – Ale radzę powoli.

Virion dobrze się domyślał. Zimna, czysta, mocna wódka wstrząsnęła nim w pierwszej chwili, potem kopnęła jak wodny kafar, by wreszcie napełnić żyły kojącym ciepłem.

– Nie jesteś jeszcze wyleczony. – Niki nie byłyby sobą, gdyby nie okazała troski. – Pij mało i małymi łydkami. Bo ci zaszkodzi.

Westchnął tylko.

Nolaan, Rohan i Lirion dostali jakiś napar mający koić ból. Sądząc po tym, jak szybko zaczęły im opadać głowy, napar rzeczywiście koił i chyba nie tylko koił. Domyślając się z ich min, także błyskawicznie odpędzał zły nastrój.

– Czy ja też dostanę coś, co wyśle mnie odrobinę wyżej, niż jestem? – zapytała Tania.

– Dla każdego to, za czym tęsknił – usłyszała w odpowiedzi.

Służący sięgnął do miseczki i wysypał na grzbiet dłoni trochę białego proszku.

– Jak ci to podać, pani?

– Poradzę sobie.

Tania nachyliła się i wciągnęła porcję do nosa, a potem dokładnie wylizła dłoń sługi, aby już po chwili, mrużąc oczy i mrużąc, opaść na podłogę i usiąść, opierając się plecami o ścianę. Językiem wcierała sobie resztę proszku w dziąsła.

– Zajebicie – westchnęła. – W ogóle nie czuję własnej twarzy.

Niki popatrzyła na Kody'ego, który wlewał w siebie ogromne porcje gęstego i chyba słodkiego wina.

– A dla mnie też coś przygotowaliście? – zapytała. – Coś, za czym tęsknię najbardziej?

– Oczywiście. – Sługa znowu wykonał zapraszający gest. – Inni zajmą się potrzebami waszych towarzyszy, a was, drodzy państwo, zapraszam tędy.

Ruszył przodem, a Virion i Niki podążyli za nim. Nadal nie potrafili oszacować wielkości zamkniętego we wnętrzu góry założenia. Brakowało okien i otworów prowadzących na zewnątrz. To znaczy widocznych, bo powietrze tutaj wydawało się świeże i czyste. Jedyną różnicą od tego na

zewnątrz był jego chłód i wyraźnie wyczuwalna nuta jakichś ziół czy wonności. Im dalej szli w głąb pałacu, tym mniej przypominał on przystosowaną do celów mieszkalnych jaskinię. Ściany teraz były już równe, równoległe do siebie, a sufit, mającący gdzieś tam wysoko, zupełnie nie przypominał sklepienia pieczary. Ciekawe było też oświetlenie. Nie zauważyli jak dotąd ani lamp, ani tym bardziej pochodni. Światło przenikało do środka przez umieszczone na ścianach szklane lub kryształowe tafle. Ale jak je oświetlano z tamtej strony, na razie pozostawało tajemnicą.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił sługa, kiedy dotarli do czegoś, co przypominało placyk z szemrzącą na środku fontanną. Otworzył szerokie drzwi i po raz kolejny tego dnia wykonał zapraszający gest. – To państwa komnata. – Ukłonił się, a potem spojrział na Niki. – Specjalnie dla pani. Zapewniam, że żaden dźwięk ze środka nie wydobędzie się na zewnątrz.

Virion zerknął ponad jego ramieniem. No tak. Przestronna sala z wielkim, prawdopodobnie mięciutkim łóżem na środku. To istotnie było spełnienie coraz silniejszej tęsknoty jego żony. A do tego dźwiękoszczelne ściany. Nic już nie będzie jej krępowało.

– Panie! – Służący podał mu złożoną we czworo kartkę. – To dla ciebie, ale proszę, nie czytaj teraz.

Virion zaskoczony wziął kartkę, marszcząc brwi.

– A kiedy mam to otworzyć?

– Kiedy sam uznasz za stosowne. – Tu nastąpił jeszcze jeden ukłon. – Poczęstunek jest we wnęce po lewej, łaźnia znajduje się po prawej. A gdybyście państwo czegokolwiek potrzebowali, proszę użyć dzwonka. Sznur jest tuż przy wezłowie.

Służący uśmiechnął się radośnie.

– Pani! Panie!

Odwrócił się na pięcie i ruszył wzdłuż korytarza, zostawiając ich samych.

– A... a kiedy spotkam gospodarza? – zapytał jeszcze Virion, ale Niki nie pozwoliła mu kontynuować rozmowy, bo gwałtownie wciągnęła go do środka komnaty i nogą zatrzasnęła drzwi.

– Kiedy będziesz na to gotowy – odpowiedziała za sługę i pociągnęła Viriona dalej w głąb wykwintnego wnętrza. – A teraz decyduj, bo dam ci szansę.

– Jaką?

– Najpierw kolacja, kąpiel i dopiero potem czynności nierządne czy od razu mam przystąpić do czynności?

– Niki... – Usiłował być rozsądny. – Muszę sobie poukładać wszystko w głowie...

– Co poukładać?

– No, kurde, no. Zmiażdżyli nas. Nawet jeśli uratują Hekkego, to ile potrwa leczenie? Rehabilitacja? Pół roku, mając szczęście? A Nolaan?

– Ja ci to poukładałam w głowie, ale najpierw do łóżka. Może się samo ułoży w trakcie?

– Ale ja mam głowę zapchaną ciężkimi problemami. Zawiedliśmy na całej linii. Tamci pewnie już atakują, a my tu utknęliśmy na Bogowie wiedzą jak długo.

Jego upiorzyca zaczęła się śmiać. I to wcale nie z głupot, które w jej mniemaniu wypowiadał, ale najwyraźniej z czegoś, co sprawiało jej dziką radość.

– Ale teraz daj się ponieść emocjom – chichotała. – Wyłącznie ciepłym.

– Ale...

– Koniecznie przenieś się do krainy, gdzie nie wolno wymawiać słowa „ale”. I przestań się gryźć. Przestań chować urazę do twoich wrogów.

– Nie wiem, czy potrafię.

– Przestań – szeptała. – Chowanie żalu albo urazy jest jak picie trucizny w nadziei, że pozabija twoich wrogów.

I co miał powiedzieć? Objął Niki i przytulił delikatnie. Była taka ciepła, kojąca. Pachniała kobietą. No i potrafiła całą sobą pokazać, że życie ma sens, a on jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

– Najpierw kąpiel i kolacja czy... – zapytała.

– Czynności nierządne – przerwał jej w pół słowa. – Ale zobaczymy jeszcze, jak bardzo.



Tarona wyraźnie coś dręczyło. Szli razem ulicą, a on od dłuższego czasu milczał ze zmarszczonymi brwiami. Zupełnie do niego niepodobne. On po prostu nie potrafił wytrwać w stanie milczenia dłużej niż pół modlitwy. Teraz podniósł głowę dopiero po jakichś trzech.

– Taida? Mogę cię o coś zapytać?

Aha, domyśliła się natychmiast. Będzie rozmowa na tematy poważne.

– No jasne – odparła, udając, że nie wie, że będzie na serio.

– Powiedz, co ty we mnie widzisz? – wypalił.

No żeby go szlag trafił. I jak mu to wytłumaczyć? Jak mu powiedzieć, że przypomniały jej się bardzo młode lata, że idzie z nim, bez mała trzymając go za rękę, po raz pierwszy od bardzo długiego czasu bez wahań, bez nerwów, bez obaw. Że jest jej dobrze? Że czuje się spełniona?

I na koniec – że po raz pierwszy od bardzo wielu lat ma wrażenie, że uczestniczy w jakiejś przygodzie, a nie w wypełnianiu nudnych i niebezpiecznych obowiązków? Hm.

– Wiesz – wybrała okólną odpowiedź – pewien mędrzec dawno temu powiedział, że w każdym człowieku jest coś cennego, tylko czasem trzeba się bardzo natrudzić, żeby to odnaleźć. – Uśmiechnęła się do Tarena. – A u ciebie najcenniejsze rzeczy są widoczne od razu. Na wierzchu.

– Aha. – Znowu umilkł i chyba przemyślał dogłębnie, co usłyszał, bo odezwał się dopiero po równie długim czasie jak poprzednio. – To znaczy lubisz ze mną być?

– Tak. Zdecydowanie tak.

– Ale ja przecież durny jestem. Z ludu.

Westchnęła tylko, znowu nie mając pojęcia, jak odpowiedzieć. Wszystkie opowieści o inteligencji wrodzonej i tym, czym ona się różni od nabytej, chyba nie trafiłyby do adresata. Nie dzisiaj. Ponieważ właśnie dzisiaj pytał poważnie i wszelkie teoretyczne rozważania pewnie go nie zadowolą.

– Ludzie dzielą się na mądrych i głupich – powiedziała. – A nie na tych, co książki czytają lub czytać w ogóle nie potrafią. Samo pobieranie nauk u mistrza nie sprawi, że staniesz się mądry.

– No ale ja się od ciebie strasznie różnię.

– Widzisz, generalnie kobiety bardzo różnią się od mężczyzn. Ale Bogowie kazali żyć w parach. No i cóż zrobisz?

Parsknął śmiechem. A potem objął Taidę ramieniem i przyciągnął do siebie. Ciekawe, jak zachowałyby się dawniej, doświadczywszy czegoś takiego? Nie mogła sobie wyobrazić.

Nie mogła pozwolić na publiczne spoufalanie się w żadnej formie i chyba po raz pierwszy tak bardzo tego żałowała. No ale co można zrobić? Urząd to urząd, a cesarstwo ściśle rozgraniczało wszystko, co prywatne, od tego, co oficjalne.

Na szczęście nie mieli daleko. Brama prowadząca na teren stoczni właśnie pojawiła się za najbliższym zakrętem. Syrinx co prawda nie miała dostępu do morza, ale przemysł okrętowy, czy raczej barkowy, i owszem, działał w najlepsze. Wszystko, co pływało kanałami stolicy, zostało zbudowane właśnie tutaj. A marynarskie gangi najwyraźniej potrzebowały czegoś, co wyglądało swojsko, skoro wybrały ten akurat teren na siedzibę.

Robe, herszt gangu z wytatuowanym stopniem bosmana na twarzy, wyszedł nawet przed bramę.

– Dzieje się coś? – zainteresował się. – Szanowni rekruci nie chcą wejść na barki?

– E! – Były bosman wzruszył ramionami. – Co by mieli nie chcieć?

Wszystkich przymusowo wcielonych naprawdę okrętowano przy nabrzeżu. Tym razem jednak nie po to, żeby marynarzom przypomnieć rodzinne strony. Ludzi wysyłano do jednego z fortów poza obrębem murów. Lepiej, żeby szkolenie odbywało się tam niż w samej stolicy, bo miejscowym byłoby łatwiej zwiać – Syrinx to mimo wszystko nie okręt wojenny, skąd uciec niepodobna.

– Bo jak nie chcą, to ich zębami brukujecie rampę załadunkową? – Taron zakpił z metod gangsterów.

– Nie! Nie wolno – obruszył się Robe. – Zęby na służbie potrzebne. Za to innych metod w bród.

– Co zatem się dzieje?

– Kilku z nich przysięga, że ma pilne wiadomości do przekazania na Zamek.

Taron skinął głową i spojrział na Taidę.

– Normalnie by się nie patyczkowali – wyjaśnił. – Ale kazałem im zgłaszać wszystko, co niecodzienne.

– No dobra. Zobaczmy, czy choć jeden mówi prawdę.

Przekroczyli bramę, spodziewając się Bogowie wiedzą jakich widoków. A tu uderzył ich obraz leżących pokotem na ziemi ludzi. Jeden obok drugiego, na brzuchu, z wyciągniętymi przed siebie ramionami.

– Jak wam się udało zmusić wszystkich do leżenia? – Taida była pod wrażeniem tego, co zobaczyła.

– A to akurat proste. – Taron najwyraźniej znał metody gangsterów. – Kazali leżeć i uprzedzili, że dwóch facetów będzie strzelać znienacka z kusz. Tak mniej więcej na wysokości łokcia od ziemi. Jak ktoś się podniesie albo chociaż wyciągnie głowę, to bzzzzz-bum!

Jakby na potwierdzenie jego słów jeden z kuszników właśnie strzelił z kuszy, która leżała na skrzynce pod ścianą. Nie podnosił jej, nie celował. Sam świst lotek bełtu przelatującego nad człowiekiem robił swoje. Nikt nie śmiał nawet drgnąć.

Gangsterzy Robego byli przyzwyczajeni, że przymusowi rekruci wymyślali niestworzone historie, żeby uniknąć poboru. Jedni przedstawiali się jako powinowaci największych arystokratów, członków dworu, latyfundystów, inni przeciwnie, udawali przedstawicieli najważniejszych służb w imperium, domagając się posłuchu i szacunku. Z ich prawdomównością bywało różnie. Generalnie wystarczyło kilka pytań, żeby obnażyć wszystkie kłamstwa – przedstawiciele arystokracji nie włączą się przecież po nocach w poszukiwaniu podejrzanych spelun, a pracownicy służb wiedzą, jak uniknąć zaciągu na siłę. Jednak bywały takie dni, właściwie to nawet większość, kiedy Robemu nie chciało się

o nic pytać. Jeśli złapani przez niego ludzie są wysoko urodzeni, to niech się za nimi ujmą ich krewni. Jeśli służą imperium, to chyba pozbycie się tak kiepskich sług wyjdzie cesarstwu na dobre. Wtedy wszystkich odsyłano na okręty, a tam już bosman cierpliwie tłumaczył bykowcem, jakie są ich prawa.

Teraz jednak, w Syrinx, dostał wyraźne instrukcje. W stolicy służby nie były przyzwyczajone do nocnych łapanek i wszystkich, którzy przedstawiali się jako tajni współpracownicy, należało zweryfikować. No i efektem była wizyta Taidy i Taron na terenie stoczni.

– Którzy to? – Taron podszedł do leżących ludzi.

– Ej tam! Podnosić się, którzy cesarscy!

Sześciu mężczyzn skwapliwie zerwało się z ziemi.

– Do mnie, do mnie. – Taron przywołał ich gestem. – Tu się ustawcie.

Po krótkich przepychankach stanęli przed setnikiem w nierównym szeregu. Taron podszedł do pierwszego po lewej. Uważnie badał wzrokiem jego twarz.

– Ja jestem...

– Pytałem o coś?

Tamten zaprzeczył ruchem głowy.

– To stój i morda w kubel. Albo tamci z tobą pogadają.

Jeden rzut oka w stronę gangsterów z pałami w rękach wystarczyłyby każdemu do ochłodzenia oratorskich zapałów. Jakakolwiek dyskusja z nimi mogłaby okazać się zbyt bolesnym doświadczeniem.

Taron zrobił krok i zaczął studiować następnego człowieka w szeregu. A potem niespiesznie jeszcze jeden i jeszcze.

– A ciebie znam. – Zatrzymał się przy przedostatnim.

– Jestem aktorem, panie. Mogłeś mnie widzieć w amfiteatrze.

– I wpiersz, że jesteś członkiem imperialnej służby?

– Zwerbowali mnie, panie! Dopiero co mnie zwerbowali, ponieważ jestem niezastąpiony w...

– Dobrze, dobrze, dobrze. – Taron, krzywiąc się, powstrzymał potok wymowy rekruta. Potem chwycił go za kark i wyprowadził na środek. – Wiem, jak dowiedzieć się, czy człowiek mówi prawdę – oznajmił pozostałym pięciu w szeregu. – Otóż... prawda jest jak klejnot, jak brylant ukryty gdzieś głęboko w głowie danego człowieka. Problem w tym, żeby ją dostrzec. Ale najpierw muszę wam o czymś powiedzieć.

Cała piątka słuchała setnika z najwyższą uwagą.

– Otóż pewien starożytny mędrzec powiedział kiedyś, że w każdym człowieku jest coś cennego, tylko czasem trzeba się bardzo natrudzić, żeby to odnaleźć.

Taida o mało nie parsknęła śmiechem, słysząc z ust kochanka maksymę, którą przedstawiła mu całkiem niedawno temu.

– Musicie wiedzieć, że ja nie zrezygnuję z wysiłków, żeby tę prawdę w was odnaleźć! – Taron wyjął miecz i znowu chwycił aktora za kark. – No chodź, chodź – powiedział. – Poszukamy razem!

Taida, gangsterzy, a nawet Robe zdziwionymi spojrzeniami odprowadzali setnika i jego ofiarę. Obaj po zrobieniu raptem kilkunastu kroków zniknęli za drewnianym przepierzeniem oddzielającym pochylnię od magazynu narzędzi. Dość długo nic się nie działo. Potem czekający na placu usłyszeli podniesione głosy, jakąś kłótnię, a potem rozległ się rozzwierający wrzask. Jeszcze jeden i jeszcze. Po chwili jedynym dźwiękiem, który dochodził zza przepierzenia, było cichnące powoli rżenie.

Taron, kiedy znowu pojawił się w polu widzenia, był sam. Powoli uniósł zakrwawiony miecz.

– Chyba jednak nie w każdym człowieku jest coś cennego – oznajmił. – Zbadałem dokładnie całe wnętrze i nic się tam nie kryło.

– He, he. – Robemu najwyraźniej spodobał się ten sposób przesłuchania.

Jego gangsterzy w uznaniu kiwali głowami. Taida nie mogła zaczerpnąć oddechu. Pozostała piątka mężczyzn w szeregu wybałuszała oczy aż do bólu.

– Kto z was jeszcze twierdzi, że mówi prawdę? – ryknął setnik. – Zapraszam! – Kciukiem wskazał przepierzenie za plecami. – Sprawdźcie naprawdę dogłębnie!

Czterech mężczyzn w przerażeniu rzuciło się na ziemię. Już na czworakach wycofywali się do grupy leżących, byleby tylko zniknąć między nimi, byleby już nikt nie zwracał na nich uwagi.

– A ty? – Taron podszedł do ostatniego. – Dalej twierdzisz, że pracujesz na imperialnej służbie?

– Jestem Gui – odparł wysoki, kościsty mężczyzna. – Zamek, prowincja Natares. Ale tu przybyłem z misją prywatną.

– Rozumiem. – Setnik zerknął na swoją przełożoną. – Chodźmy zatem gdzieś pogadać.

Taida przytaknęła odruchowo. Nie mogła oderwać wzroku od zakrwawionego miecza.

– Coś ty z nim zrobił? – zapytała cicho.

– Oj, przestań, to przecież aktor. Zgodził się odegrać wstrząsającą scenkę w zamian za obietnicę wypuszczenia.

– A krew?

– Naciąłem mu ramię, niech ma na pamiątkę. No i ostrzeżenie: niech uczy się ról, a nie chleje po nocy z mętami. Był zresztą całkiem niezły, grając tego... no... w komedii...

– A ja mam to samo. – Taida położyła Taronowi dłoń na ramieniu. – Ten, co grał tamtego w tej, no, sztuce, co według książki tego, no...

Roześmiali się do siebie. Gui, ocalony od szukania prawdy w swoim wnętrzu, przyglądał im się z dużą dozą podejrzliwości.

– Wy naprawdę jesteście z Zamku? – nie mógł uwierzyć.

Taida pokazała mu swoją odznakę. I dopiero teraz oczy wyszły mężczyźnie z orbit. Złota! To była złota odznaka! Personel niskiego szczebla nie mógł oczywiście nigdy widzieć swoich najwyższych dowódców. Ale każdemu z nich wpajano przecież, kto rządzi na Zamku. Były tylko trzy złote odznaki: Nervy, Immsa oraz Taidy. I w takim razie to była... to musiała być...

– Chodźmy coś zjeść. – Taron wyczyścił klingę miecza z krwi i schował do pochwy. – Zaraz umrę z głodu.

– Myśl przednia. Ale gdzie tu znajdziemy jakąś kuchnię?

– Mignęła mi garkuchnia dla stoczniovców. – Jej setnik wskazał kierunek. – Jak żeśmy tu wchodzili.

– No to chodźmy. Ja też jestem głodna.

Gui tylko przełknął ślinę. To tak się zachowują najwyżsi oficjele na Zamku? Są tacy bezpośredni? Nie mógł oczywiście wiedzieć, że wiele się zmieniło w ostatnich czasach. Choć i przedtem tajni pracownicy nie gardzili bynajmniej jadłem dla ubogich.

Stółówka dla robotników rzeczywiście znajdowała się kilkadziesiąt kroków od wejścia do stoczni. Okazała się prawie pusta. No ale nie było się czemu dziwić. Stoczniovców przecież wyposażono w broń i szkolono właśnie w forcie za murami do walki w obronie swojego miasta.

– Trzy obiady – zarządziła Taida, podchodząc do kucharza za ladą.

– A papiery na jedzenie macie?

– Płacimy złotem. – Rzuciła na blat żółtą monetę.

Tamten natychmiast zmienił postawę.

– A to na jednej nodze, wielka pani. Na jednej nodze. Proszę łaskawie zająć miejsca przy ławie.

To nie była wykwintna karczma, tylko zwykła garkuchnia, posiłki więc otrzymali błyskawicznie. Mętą zupę z ziaren i gulasz na plackach z serem. Szczęściem potrawy nie miały smaku starych ścierek i choć nie dostarczały wyrafinowanych doznań smakowych, dały się zjeść, albo raczej pochłonąć w błyskawicznym tempie. Gui, choć sam głodny jak diabli po wyczerpującej, błyskawicznej podróży, nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Sam nie bardzo wiedział, co takiego wyobrażał sobie wcześniej.

Jak jedli najwyżsi dowódcy organizacji, do której należał. Jakoś umykało mu ze świadomości, co sobie wydumał. Czy obiady w pałacach, na cesarskim dworze, podczas dyskusji o polityce, czy raczej zamknięte katakumby bez dostępu światła, gdzie wybrani kiperzy smakowali wszystkie potrawy, czy aby nie zatrute? Zaraza jedna wie. Teraz patrzył rozszerzonymi ze zdumienia oczami. Siedząca naprzeciw kobieta była taka normalna. Widać, że głodna, czego zresztą nie ukrywała. Rozścieliła sobie na kolanach szmatkę, żeby nie ubrudzić prostej sukienki. Jadła palcami jak pozostali. Miała ze sobą własne najprostsze przyprawy. Wydawałoby się, koleżanka z pracy. Jej setnik, po szerokich barach i wyrobionych bicepsach można było się domyślić, że także ochroniarz, to w ogóle wyglądał jak człowiek z ludu. I tak samo się wysławiał.

Jak trudno było uwierzyć, że Gui siedział właśnie z ludźmi, którzy trzęśli najpotężniejszym imperium na świecie.

Taida pierwsza skończyła jeść. Podniosła trzymaną na kolanach szmatkę i otarła usta. A potem zamówiła wino, pierwsze lepsze, byleby niemieszane z wodą.

– Dobra, wszystkim, widzę, udało się przeżyć ten posiłek, więc do rzeczy. – Przeniosła wzrok na agenta. – Co tak ważnego dzieje się na prowincji, że gubiąc buty, przybiegłeś do nas, pomijając drogę służbową?

– Pani, najpierw muszę się przyznać do niewykonania rozkazu...

– Dobra, zaliczam ci niewykonanie rozkazu. A teraz do rzeczy.

Skonfundowała go swoim suchym, rzeczowym podejściem. Nie traciła ani chwili na zbędną dyskusję czy leksykalne ozdobniki.

– Eeee... placówki Zamku na prowincji, a przynajmniej w okolicy Natares, są najprawdopodobniej zinfiltrowane...

– Potwierdzam infiltrację. Przejdź do następnego punktu.

Aha! To na tym polega! Władza tak wygląda: to ścisły pragmatyzm. Gui uśmiechnął się odruchowo, ale też natychmiast podjął rzeczowym tonem:

– Wysłano mnie do pogranicznego pasa z błahą misją. Miałem się po prostu zorientować w sytuacji, potwierdzić pogłoski, w miarę możliwości rozeznąć w rodzaju i liczności sił, które tę granicę przekroczyły.

– Wykonałeś?

– Tak. Napisałem raport, dostarczyłem dowódcy. Wydawał się bardzo zadowolony z efektów mojej misji. W nagrodę wysłał mnie na wypoczynek, a potem miałem zająć się jakimś zupełnie nieistotnym zadaniem na obrzeżach pustyni.

– Na wypoczynek? – Taida zmarszczyła brwi. – W momencie kiedy obce siły naruszają granicę, oni wysyłają kogoś na wypoczynek?!

– No właśnie. Odniosłem wrażenie, że najchętniej by się mnie pozbyli, ale zdali sobie sprawę, że wtedy zostaną już z samymi miernotami, a ich nowy pan może żądać wyników. Zrozumiałem też, że mój raport nigdy nie dotrze do twoich rąk, pani. Że nigdy nie zostanie wysłany.

– Niebawem – mruknął Taron. – Już się pchają pod nowy but? Żeby ich tylko podeszwą nie rozgnietli.

– Każdy potrzebuje fachowców – odparła Taida. – Zatrudnią ich.

– Jacy z nich fachowcy? – obruszył się setnik. – Tacy, co poprzedniego pana zdradzili! Takich się nie bierze do służby, bo i nowego pana zdradzą, jak przyjdzie koniunktura. Z kopa i na śmietnik ich zwłoki wyślą.

– No może i masz rację. Dobra. Co było w raporcie?

Gui przygryzł wargi.

– No właśnie nic takiego. Opisałem w nim jedynie, co robią żołnierze z Legionu Moy w zajęтым miasteczku.

Taida zainteresowała się wyraźnie.

– O? A co robią?

– Mordują ludzi.

– Też mi nowina.

– No właśnie. Z tym tylko, że nie zabijają wszystkich. Skupiają się na notablach, urzędnikach, bogaczach, co lepszych kupcach, spekulantach, członkach magistratu. No i eliminują straż, ale też nie całą. Tylko wyższe szarże.

Taida nie mogła zrozumieć.

– I dlaczego takiego raportu nie chcieli przesłać dalej? Co w nim jest szczególnego, czego nie powinnam w nim zobaczyć?

Gui uśmiechnął się triumfalnie.

– Nie chcieli, żebyś przeczytała, pani, że żołnierze pozwalają biedocie rabować wszelkie ruchomości pozostałe po zamordowanych. Jedynie palić domów nie wolno. Całą resztę tłum może zabrać.

– O ja pierdole – zachnął się Taron. – Wiążą lud ze sobą. Przeciwko cesarstwu.

– Hm? – Taida zerknęła zdziwiona.

– Przecież to jasne. Każdy teraz ma w domu coś ukradzionego niewinnej ofierze. I co? Boją się, że jak cesarstwo wróci, to ukarze za zbrodnię. Srogo!

– Sądzą, że priorytetem cesarstwa jest ściganie hien?

– A znasz przysłowie, że na złodzieju czapka gore? Obojętne, co robi cesarstwo. Oni już są zesrani. I, przynasz, woleliby, żeby imperium już tam nie powróciło, prawda?

– No może. Ale masz rację, że trudno ogarnąć implikacje takiego postępowania.

Taida czuła, że nadchodzi nowa epoka. Cesarstwo oparte na tradycyjnych wartościach, dobrych czy złych, było zbyt skostniałe, żeby reagować elastycznie na nowe idee. Chaos i zawierucha, mentalne przewartościowanie nie są czynnikami, z którymi konwencjonalne układy polityczne radzą sobie najlepiej.

Podniosła wzrok i zapatrzyła się w gwiazdę, która ciągnęła za sobą ognisty ogon. Czyżby zatem imperium naprawdę chyliło się właśnie ku upadkowi?

– Zachowałeś się zgodnie z nadrzędnymi celami naszej służby – powiedziała, przenosząc spojrzenie na funkcjonariusza z prowincji. – To dobrze, że zignorowałeś rozkaz swojego przełożonego.

– Pani?

– Tak?

– Chciałbym jeszcze coś dodać. To tylko przeczucie. Ale znam imię człowieka, od którego mój były dowódca pozyskiwał wiadomości o tym, co dzieje się w Syrix. Wiem, że to nie jego prywatny przyjaciel. I podejrzewam, że to wtyczka naszych wrogów. Że on stąd przekazywał instrukcje...

– Zaraz – Taida przerwała mu, podnosząc palec. – Po co zinfiltrowanym placówkom przysyłać wieści ze stolicy?

– Można oczywiście z prowincji. Ale wtedy jeżdżąc od jednej placówki do drugiej. Tylko centrala Zamku dysponuje siecią łączności, która działa i jest wypróbowana od lat. Tylko tu można zdecydować, co na przykład dostanie południe kraju, a co północ. Z jakiegoś tam sztabu spiskowców nie da się obsłużyć sprawnie całego kraju. Nie ma w ogóle dostępu do placówek, które zinfiltrowane nie są.

– Przekonałeś mnie. Ale to by oznaczało, że ktoś całkowicie zawładnął naszą siecią łączności.

– Niekoniecznie, pani. Wieści od tego kogoś są przekazywane w załącznikach do poczty. Wygląda to tak, że Zamek wysyła swoją pocztę, a każda ze strategicznych służb może dołączyć do tej poczty dokumenty, które uważa za na tyle ważne, żeby zapoznać z nimi oficerów innych służb.

– Tak, znam ten system. I kto zatem dostarcza instrukcje wybranym placówkom?

– Służba Skarbu.

No tak. To było za proste. Oczywiście, że był to najlepszy sposób i w dodatku najtańszy. Pewny, niezawodny, absolutnie bezpieczny. Jasny szlag! A oni dali się wodzić za nosy. Dokumenty dołączane do codziennych przesyłek były oczywiście czytane przez ludzi odpowiedzialnych za bezpieczeństwo. Ale ich kopie szczebel niżej już nie. I praktycznie

w rozdzielni nie było już nad nimi odgórnej kontroli. A wszystko to było możliwe wyłącznie dzięki przekonaniu, że wszystkie służby grają po tej samej stronie.

– Mówiłeś, że znasz imię oficera, który kontaktował się z twoim dowódcą.

– Tak, znam. – W głosie agenta nie było wahania. – Ono brzmi: Aman.

– Ja pierdołę! – Taida wściekła w jednej chwili uderzyła dłońmi w blat stołu. Wszystkie naczynia podskoczyły, brzęcząc.

– Znasz go? – Taron właśnie oblał się winem.

Nie mogła się uspokoić. Dyszała jak po ciężkim biegu. Jej dłonie drżały w widoczny sposób. Nie zachowała się jednak jak mała dziewczynka. Zdołała się opanować w czasie krótszym niż pół modlitwy. A przynajmniej jako tako.

– Owszem, znam. Chodziłam do niego nawet po pomoc w jakiejś sprawie. A on był taki miły i rozmowny.

– O czym gadaliście?

– Nie wiem. Upił mnie, jak chciał. Nie mam pojęcia, co mu zdążyłam nagadać.

Taron chwycił prowincjonalnego oficera za ramię.

– Oczywiście tego nie słyszałeś?

– Nie słyszałem – odparł Gui z przekonaniem. – Od dziecka mam nagłe napady głuchoty!

Taida miała w dupie, co kto słyszał, a czego nie. Była wściekła tym najgorszym z rodzajów wściekłości. Była zła na samą siebie. Najchętniej wbiłaby sztylet we własne serce. Ale nie. Nie.

– Aman, już nie żyjesz, kurwo! – wyszeptała. – Ale wcześniej... coś jeszcze dla nas zrobisz.

Rozdział 3



Virion obudził się rozgrzany w skołtunionej pościeli. Naga Niki leżała tuż obok na wznak, z rozrzuconymi nogami i odchyloną do tyłu głową. Z powodu pozycji zajmowała trzy czwarte szerokości łóżka, a z powodu głowy i co za tym idzie otwartych ust chrapała jak, nie przymierzając, setka wojska po picciu w pierwszym dniu przepustki. Co jest? Nigdy tak nie robiła.

Wyciągnął rękę i delikatnie szarpnął ją za ramię.

– Co? Co?

Otworzyła oczy, ale jak zwykle jej to nie wystarczyło. Obróciła się na bok i zaczęła go nerwowo obwąchiwać. Dopiero po chwili, uspokojona, że on to on, ponownie zamknęła oczy i przytuliła się całą sobą.

– Kołdra – wydała komendę.

Virion wyciągnął rękę i z pewnym trudem przykrył ich oboje. Zrobiło się cieplej, co jednak nie zmieniło faktu, że leżał na samym skraju łóżka w bardzo niewygodnej pozycji.

– Posuń się – szepnął, nie chcąc jeszcze wybudzać Niki z półsnu.

– Sam się posuń – wymamrotała ledwie zrozumiale.

I przytuliła się jeszcze mocniej. Zaraz oboje spadną – to była następna myśl Viriona.

– Achhh!

Kolejną myślą było: ależ tu są zimne kamienie na posadzce. Szczególnie kiedy się ich dotyka gołymi pośladkami.

Upadek na ziemię obudził Niki. Rozglądała się nieprzytomnie.

– Co robimy na podłodze? – zapytała nareszcie. A potem odezwała się w niej wrodzona opiekuńczość. – Dlaczego nie śpisz, kochanie?

– Zimno mi w tyłek – wyjaśnił.

– Ale przedtem też nie spałeś.

– Spałem.

– Znam cię. Zostałeś obudzony przez własne troski.

Warknął ostrzegawczo. Niki odpowiedziała tym samym i zaczęła atakować. Virion zapomniał, że w walkach tego typu zwinna i gibka

upiorzyca zawsze miała przewagę nad dużo cięższym mężczyzną. Kiedy już po chwili naga i dysząca siedziała mu na brzuchu, obiema dłońmi przytrzymując jego ręce przy podłodze, nie mogła opanować paroksyzmu radości.

– Wygrałam!

– Wygrałeś, bo boję się zrobić ci krzywdę.

– Każdy pokonany tak mówi. Prrrr... – Opryskała go drobinkami śliny.

– A ja ci kazałam nie budzić się od trosk!

– Ktoś strasznie chrapał tuż obok.

– O? Może ja? – Ewidently nie uwierzyła. – Co cię tak dręczy?

– To, że dałem dupy!

– O nie, nie, to ja ci wczoraj dałam. Coś ci się miesza w umyśle i to mnie zaczyna niepokoić.

No i jak jej to powiedzieć? Został wynajęty do konkretnej roboty. I co? Przegrał. Przegrał w momencie, kiedy to najbardziej boli, bo w chwili, kiedy wszystko już wskazywało na zwycięstwo. Skąd się wziął ten dziwny facet z pałką? Nieistotne. Pokonał ich, załatwił całą grupę. Teraz, nawet jeśli upiory z tego pałacu zdołają ich wyleczyć, to ile czasu zajmie doprowadzenie jego ludzi do formy? Nie zdążą. Za późno! Na wszystko jest już za późno! Całkowita porażka.

– Chyba nawet wiem, co cię tak strasznie dręczy – powiedziała Niki.

– Czytasz w moich myślach?

– Nie, w twojej twarzy – mruknęła. – Chyba czas, żebyś zerknął, co ci ten służący napisał na kartce. – Zaczęła się rozglądać.

– Powiedział, żebym ją przeczytał, kiedy uznam za stosowne.

– Właśnie uznałeś – zdecydowała za niego.

Znalazła. Kartka leżała na podłodze z resztą pościeli. Całkiem niedaleko. Upiorzyca nie chciała jednak sięgać ręką, bo musiałaby puścić ramiona swojego męża, a on wtedy mógłby jej się wysmyknąć. Balansując całym ciałem, nachyliła się i wysunęła swój imponującej długości język. Udało się. Ciągłe nie puszczając rąk swojego jeńca, samymi ustami zaczęła rozwijać papier. Nawet przy jej sprawności musiało to potrwać dłuższą chwilę. Trzymając kartkę między wargami, wygładziła ją ostatecznie o klatkę piersiową Viriona i podsunęła mu do oczu.

– Na głos! – zakomenderowała niewyraźnie.

– „W tym pałacu czas biegnie inaczej niż w świecie na zewnątrz” – przeczytał.

Niki wypluła kartkę.

– Widzisz?

– Co widzę?

Rozległo się ciche pukanie, a potem, zanim którekolwiek z nich zdołało zareagować, drzwi otworzyły się bezszelestnie.

– Dobrego dnia... eee... – Zaskoczony służący zrobił dwa kroki w bok, żeby ich dostrzec. Dwoje gołych gości na gołej posadzce. Był jednak profesjonalistą. – Czy śniadanie mam podać do łóżka, czy na podłogę? – wybrnęła błyskawicznie. – Jakie jest życzenie państwa?

– Do łóżka prosimy – to była wersja Viriona.

– Zjem gdziekolwiek – tak brzmiała wersja Niki. Za nic nie zamierzała puszczać raz złapanego męża. – Możesz mnie nawet karmić.

– Kochanie, nie kompromitujmy się, proszę. Bądź grzeczna jak zwykle. Służący uklonił się sztywno.

– Posadzki tu nieogrzewane – poinformował. – Pani mąż zachoruje na nerki.

– Aha. – Niki niechętnie zeszła z Viriona. A potem spojrzała po sobie trochę spłoszona. – Na co się tak gapisz?

– Przepraszam. Pierwszy raz w życiu widzę brzemienną upiorycę.

– A. – Niki wzruszyła ramionami. Z gracją wskoczyła do łóżka, pociągając na siebie kołdrę. Jej mąż musiał poradzić sobie sam. – To w takim razie zjemy w łóżku. Ale fajnie.

– Co z moimi ludźmi? – zapytał Virion.

– O, zapewniam, że wszystko w porządku. Najgorzej oberwał ten młody chłopak, Hekke chyba.

– Tak, Hekke.

– Rana brzucha rozległa, stosunkowo głęboka. Na razie zlikwidowano stan gorączkowy, a rana jest oczyszczona, wszystko, co trzeba było zszyć, zszyte, a co trzeba było naprawić, naprawione. Chłopak powoli zdrowieje.

Viriona zdziwił ten niecodzienny żargon medyczny. Bacznie przyglądał się służącemu, żeby wyłowić z jego twarzy znaki świadczące, czy mówi prawdę, czy po prostu uspokaja zaniepokojonego gościa.

– A Nolaan?

– To ten wielki pan z równie wielką klasą?

– Ten właśnie.

– Zasadniczo wystarczyło pozbawić go bólu w klatce piersiowej, no i żebra zrastają się powoli. Tu nie bardzo jest co robić, wystarczy podawać środki kojące, wzmacniające i troszeczkę uspokajające. I tyle.

No fakt. Tu Virion skłonny byłby się zgodzić. Ale jak znieczulić pacjenta z połamanymi żebrami, nie stosując ciężkich narkotyków?

– Zobaczycie się wszyscy podczas obiadu, którym mój pan pragnie podjąć tak znakomitych gości – powiedział służący, rozkładając specjalny stół wiszący nad łóżkiem. – A ciebie, panie – uklonił się przed Virionem – mój pan bardzo pragnie poznać szybciej.

– Mamy gdzieś pójść zaraz po śniadaniu? – zaniepokoiła się Niki.

– Zaproszenie na razie dotyczy jedynie twojego męża, pani. Władca tego pałacu co prawda nie może się doczekać twojego widoku, pani – z szacunkiem wskazał brzuch upiorzycy – ale doskonale zdaje sobie sprawę, że ledwie zdążysz przebrać się w suknię, którą zaraz przyniosą służące, aby wziąć udział w powitalnym obiedzie.

Na wiadomość o sukni Niki zaświeciły się oczy, ale nie skomentowała. Starając się nie przełykać śliny zbyt głośno, patrzyła na ustawiane przed nimi smakołyki. Z trudem doczekała, kiedy służący wykonał nareszcie pożegnalny ukłon i zniknął za drzwiami ich komnaty. Momentalnie rzuciła się na jedzenie.

– Co o tym myślisz? – zapytała niewyraźnie, bo jedna chwila wystarczyła jej, żeby napchać sobie usta.

– Jeszcze nie wiem. – Virion wzruszył ramionami.

Zdał sobie sprawę, że sam również jest potwornie głodny. Dziwne. Jak dotąd nie poddano go żadnym medycznym zabiegom, a czuł się znacznie lepiej niż wczoraj. Prawdę powiedziawszy, czuł się doskonale. W przeciwieństwie do swojej żony jadł powoli, dokładnie żując każdy kęs. Dopiero teraz miał na tyle spokojną głowę, żeby przyjrzeć się komnacie, w której ich umieszczono.

– Skąd bierze się tu światło? – zapytał.

Niki podniosła oczy. Rozszarpywała właśnie duży kawał ledwie opieczzonego mięsa i robiła to jak zwierzę. Zatopiła w nim zęby i gwałtownie poruszała głową w lewo i w prawo. Drobinki krwi leciały na wszystkie strony, ale nie przejmowała się tym w najmniejszym stopniu.

– Nie wiem – powiedziała bardzo niewyraźnie.

Hm. Teoretycznie na suficie mogły znajdować się jakieś półprzezroczyste, mlecze przesłony, za którymi ustawiono liczne lampki. Ale było to mało prawdopodobne. Obserwatorowi na dole wydawało się, że świeci cała tafla będąca integralną częścią sufitu. I to mimo swojej wielkości świeci niezwykle równomiernie. Zupełnie jakby sama była źródłem światła.

– A o co chodzi z tym czasem, który rzekomo płynie inaczej?

– Nie wiem – powtórzyła Niki tak samo niewyraźnie jak przedtem.

Postanowił jej już więcej nie męczyć. Ciężarna upiorzyca w pierwszej kolejności musiała zaspokoić głód i robiła to bardzo gwałtownie. Postanowił również nie analizować tego, co ona je. Nie chciał po prostu psuć sobie smaku samemu. Zajął się więc plackami z miodem i odrobiną pieczonych warzyw. Instykt podpowiadał mu, że dziś być może nastąpią jakieś fundamentalne rozstrzygnięcia. Nie chciał być zatem ociężały

i przesadnie syty. Rozleniwienie spowodowane obżarstwem zgubiło już niejednego.

Dokładnie w chwili kiedy oboje skończyli jeść, otworzyły się drzwi, przepuszczając całą grupę służących. Co oni? Podglądali, co dzieje się w środku? Niki nie chciała wnikać. Na widok sukni, którą przyniosły służki, otworzyła usta w zachwycie i tak już została. Dla Viriona na szczęście przeznaczono strój daleko mniej reprezentacyjny. Z pewną ulgą włożył stosunkowo skromną tunikę, choć wykonaną, na ile mógł ocenić, z materiału najwyższej jakości.

– Panie. – Inny niż poprzednio służący zgął się w ukłonie, wskazując kierunek.

Z żoną Virion nie musiał się żegnać nawet skinieniem. Niki zapadła się w świecie mody i chyba od razu zaczęła w nim tonąć.

– Idziemy do pana na tym zamku? – zapytał swojego przewodnika, kiedy już znaleźli się na korytarzu.

– Zabawnie powiedziane – uśmiechnął się tamten. – Ale tak, w istocie.

– Co w tym zabawnego?

– Nazywamy to miejsce pałacem. Natomiast kiedyś, dawno, dawno temu, ta budowla miała charakter obronny.

– Czyli słowo „zamek” ma tu swój sens?

– Nie do końca, panie. Wtedy nazywano ją bunkrem.

Ta nazwa niczego Virionowi nie mówiła.

– A o co chodzi z tym czasem, który tutaj rzekomo biegnie inaczej niż na zewnątrz?

– Tak mówią, panie. Że czas tutaj biegnie inaczej niż na zewnątrz – odparł służący wymijająco. – Tak mówią.

– W sensie, że szczęśliwy nie liczy upływających chwil?

– Nie, nie. W sensie, że w bunkrze możliwość lokalnego zawijania czasu jest bardzo przydatna podczas obrony, panie.

No trudno. Wyjaśnienie tej zagadki w rozmowie ze służącym miało się z celem. Virion skupił się na obserwacji szczegółów konstrukcji budowli, wewnątrz której się znajdowali. To, co widział, zdawało się przeczyć nie tyle zasadom architektury, na której się nie znał, co zasadom zdrowego rozsądku. Na przykład gdyby zrobić przekrój poprzeczny korytarza, który przemierzali, to wcale nie byłby on prostokątem. Byłby trójkątem. O bardzo wysokiej osi pionowej. Dwie pochyłe ściany boczne schodziły się gdzieś daleko w górze, niknąc za świecącymi pasami, które ciągnęły się na niebotycznej wysokości. Podobnie wszelkie boczne wejścia i rozgałęzienia. Wszystko trójkąty lub bardzo zawężone owale. I nigdzie żadnych sprzętów. Na drodze nie było żadnych mebli, gablot, krzeseł, gdzie można by przysiąść. Hm. Nawet na cesarskim dworze w korytarzu

znajdowały się jakieś stojaki z przekąskami, podręczne sekretarzyki, na których można było coś położyć lub choćby zanotować myśl, która właśnie przyszła do głowy, albo postawiono ławeczki dla zmęczonych. A tutaj nic. Niektóre fragmenty ścian świeciły, inne mżyły ledwo, ledwo, a inne wydawały się po prostu wykonane z gładkiego kamienia. Od czasu do czasu korytarz rozszerzał się, tworząc owalną czy, rzadziej, okrągłą niszę o posadzce zagłębionej w stosunku do ogólnego poziomu. Trzeba było zejść po schodkach i wejść po drugiej stronie, żeby dostać się do przedłużenia poprzedniego korytarza. Nisze były też jedynymi fragmentami budowli, w których coś stało. Były to ogromne donice z gęstymi roślinami, o trudnych do rozróżnienia z powodu półmroku kształtach.

– Już dochodzimy – oznajmił przewodnik. – Mam nadzieję, że przechadzka nie okazała się nużąca.

– W najmniejszym stopniu. Czuję się znakomicie.

– Bardzo mnie to cieszy. – Służący podszedł do ogromnych drzwi i ze sporym wysiłkiem uchylił ich skrzydło. Potem zgiął się w ukłonie. – Proszę.

Virion wkroczył do oświetlonej rzeźbionej sali. Była ogromna. Przynajmniej jeśli chodzi o wysokość. Virion nie mógł dostrzec sklepienia, ale być może to tylko złudzenie spowodowane tym, że gdzieś tam pod ostrym kątem schodziły się ściany, nie tworząc niczego w rodzaju płaskiego sufitu.

Młody człowiek, który na niego czekał, i to nie gdzieś z dala, na co pozwalały gabaryty sali, ale tuż przy drzwiach, sprawiał wrażenie księcia z bajki. Wyglądał na jakieś dwadzieścia, maksimum dwadzieścia pięć lat, miał jasne włosy, gładką, dosłownie świetlistą skórę i promienny, szczerzy uśmiech na bardzo ładnej twarzy. Brakowało tylko białego rumaka, żeby mógł się stać idealnym wręcz odwzorowaniem postaci z każdego podania, jakie niańki szeptały małym dziewczynkom przed snem.

– Witaj, przyjacielu. – Świetlisty młodzieniec zrobił dwa kroki i objął zaskoczonego Viriona za ramiona. – Jestem Zegroz. I niezmiernie się cieszę, że mogę cię gościć.

– Panie...

– Oj, przestań! – Gospodarz Skalnego Pałacu cofnął się trochę, by móc dokładniej przyjrzeć się gościowi. – Nie używajmy formy „pan”. Wychowywałem kobietę zwaną przez ludzi „panią Nikt” i jest dla mnie jak córka. Wszyscy jej przyjaciele są więc moimi, a ciebie określiła wręcz jako swojego krewnego. Bądź więc i moim.

Virion ukłonił się z szacunkiem.

– Masz zatem co najmniej paręset lat – wyrwało mu się bezwiednie.

Zegroz zaczął się śmiać.

– Aleś mnie rozbawił, przyjacielu. – Dłuższą chwilę nie mogłem odzyskać powagi. – Widzisz, nasze kochane upiorzyce żyją w świecie zewnętrznym po jakieś tysiąc lat, a często nawet dużo więcej, i sądzą, że to już szczyt możliwości. A dla mnie, mój drogi, tysiąc lat to jak dla ciebie mniej więcej rok.

Virion wybałuszył oczy.

– Tak. – Pan Skalnego Pałacu rozłożył ręce. – Ja, niestety, nie mogę opuścić tego miejsca. Nasi mężczyźni nie mogą żyć na zewnątrz.

– Wydaje mi się, że widziałem upiora na zewnątrz. To było w stolicy Królestwa Troy.

– Widziałeś go? Czy widziałeś jedynie zasłonę?

– No... zasłonę.

– Właśnie. W twoim świecie mogą przebywać tylko nasze, wybaczone określenie, samice. Ale w końcu po tysiącu z górą lat i w nich zużywa się mechanizm mimikry i umierają.

Teraz stało się jasne, dlaczego pani Nikt w Syrinx wspominała o zasięgnięciu rad u starożytnej istoty, z którą ona sama ledwo, ledwo mogła się porozumieć. To też był upiór rodzaju męskiego, tak stary, że nawet nie wiadomo było, co jeszcze pamiętał. Początki rodzaju ludzkiego? Virion poczuł dreszcz.

– Cieszę się zatem, że widzę cię w dobrej formie.

Tym razem ukłonił się Zegroz.

– Ta młoda, raptem sześciusetletnia siksa, ten podłotek o imieniu Nikt twierdzi, że koniecznie trzeba ci pomóc w wypełnieniu twojej misji. Niepotrzebnie zresztą mnie do tego wzywała. Jesteś nasz, jesteś członkiem naszej rodziny, a pomoc swoim to przecież obowiązek. Ale dodatkowo muszę ci się przyznać, że jestem niesamowicie ciekawy widoku twojej ciężarnej żony.

– To naprawdę pierwszy raz w historii?

– Pierwszy! – potwierdził skwapliwie gospodarz.

Virion uśmiechnął się lekko.

– A skoro jesteśmy przy Niki. Jeśli panią Nikt nazywasz podłotkiem, to jak określiłbyś moją żonę?

– Jako niemowlę bez mała. – Upiór od razu podniósł dłonie w geście odżegnywania. – Oczywiście jest w pełni dojrzałą kobietą. Jednak jeśli chodzi o sprawność umysłu... – zawiesił głos i mrugnął porozumiewawczo – to sam wiesz najlepiej.

Virion złapał się na dziwnej myśli. Jak określiliby swoją rozmowę z Zegrozem? Jako swobodną pogawędkę, oczywiście. I to prowadzoną z kimś bliskim, tak jakby z przyjacielem znanym od lat, od dzieciństwa

bez mała. Z kimś, kto zna prawie wszystkie twoje myśli, zna twoje odruchy, przyzwyczajenia, prawie domyśla się tego, co powiesz. Jak zatem określiliby atmosferę, która tu panuje? Jako intensywnie ciepłą, przyjazną, niemal rodzinną. No i sam wygląd gospodarza – szczery, otwarty, niczego nieudający... Stop!

On niczego nie udaje? Dobrze. Ciekawe, jak naprawdę wygląda? I dlaczego chce się przedstawić właśnie jako ktoś taki? Sprzyjający? Nieskalany żadną własną intencją? Virion złązał się w myślach. Powinien pamiętać, że gospodarz nie jest człowiekiem. Powinien pamiętać, że nie znajduje się w bajkowym pałacu, tylko w militarnej budowli zwanej bunkrem. A swobodna rozmowa nie dotyczy plotek o znajomych, tylko jebanego końca świata.

– Jaka myśl zburzyła twój spokój? – zainteresował się Zegroz.

Oczywiście. Mając tyle lat, musiał być doskonałym obserwatorem.

– Przypomniałem sobie, dlaczego tu jestem.

– Ach, no tak. – Gospodarz zmarszczył brwi. – Ja również wolałbym cię gościć w zupełnie innych warunkach.

Virion pokiwał głową.

– Powiedz mi, bo masz większe rozeznanie i dysponujesz większą ilością informacji...

– Tak?

– Jak byś określił naszą sytuację?

Zegroz przygryzł wargi.

– A mógłbym nie odpowiadać na to pytanie?

– Oczywiście. Powiedz mi tylko w takim razie, czy wiesz, kto nas wtedy zaatakował, po bitwie z żołnierzami Nolla?

– Tak, wiem – odparł upiór bez namysłu. – Tak nawiasem mówiąc, ty też wiesz.

Virion popatrzył uważniej, zdziwiony.

– Ja?

– Mhm. To jest ta właśnie rzecz, która nie daje ci spokoju. Męczy, nie pozwala spać, jest gdzieś na granicy świadomości, a jednak ciągle nie może się do ciebie przebić.

– Dlaczego?

– Jest zbyt niszcząca. A ludzki umysł skonstruowano w ten sposób, żeby nie dopuszczał do siebie niczego, co mogłoby go zniszczyć.

– Ciekawe. Powiesz mi?

– Wolałbym, żebyś sam to sobie uświadomił. – Zegroz podszedł bliżej i ostrożnie położył dłonie na skroniach Viriona. – Pomogę ci przypomnieć sobie tę obserwację, którą twój mózg uporczywie stara się od siebie odepchnąć.

– Co mam robić?

– Nic. Po prostu myśl o tamtej walce. Ale nie intensywnie. Nie usiłuj sobie przypomnieć niczego konkretnego.

Głos upiora zniżył się przynajmniej o ton. Był teraz cichy, kojący, sugestywny.

– No? Jak to było? Uznałeś, że ludzie Nolla są już załatwieni. Twój oddział był już bardzo zmęczony. Ale musiałeś tej nocy wykonać jeszcze jedno zadanie...

– Tak. Musiałem uwolnić Kasjopeę.

– Właśnie. I co się stało?

– Upiorzyce były bardzo niespokojne. Jedna z nich powiedziała, że coś się zbliża.

– Pamiętasz która?

– Nie.

– Spokojnie. – Głos Zegroza stał się jeszcze cichszy. – Znajdujesz się teraz w bezpiecznym bunkrze. Nie pamiętasz, która z nich to powiedziała. To normalne. Wszystkie zginęły, a ty obwiniasz się o ich śmierć.

– Nie. Nie, to...

– Spokojnie. Jesteśmy w bunkrze. Tu nie zdoła sięgnąć żadna moc z twojego świata. Spróbuj rozplynać się w ciemnościach tamtej nocy, w świetle burzy. Spróbuj spojrzeć na samego siebie od zewnątrz. Tak jakbyś unosił się nad własnym ciałem.

– Tak. Przypominam sobie. Upiorzyce były bardzo niespokojne. Niki chyba pokazała mi kierunek. A potem ktoś wyłonił się z ciemności.

– Kto to był?

– Mężczyzna owinięty w pustynny strój. Widziałem jedynie jego oczy. Oczy i broń. Miał miecz i pałkę pokrytą dziwnymi napisami.

– Nie! Nie pamiętasz tego! – Zegroz przerwał mu ostro. – To urojone wspomnienie, jakie stworzył twój umysł na podstawie późniejszej opowieści chłopaka, który te napisy widział. Ty ich nie dostrzegłeś.

– Tak. Tak, nie widziałem ich. Zdziwił mnie jednak dobór broni. A zszokował fakt, że on pokonał Nolaana.

– Nieważne. Skup się na tym obcym. Co cię uderzyło?

Virion usiłował sobie przypomnieć. Rzeczywiście, gdzieś na absolutnych peryferiach świadomości czaiło się dziwne, złowrogie uczucie. Coś widział. Nie, nie. Coś dziwnego poczuł albo usłyszał. A teraz nie mógł się na tym skupić.

– Spokojnie – szeptał upiór na granicy słyszalności. – Pamiętaj, że tak naprawdę jesteś w bunkrze. To, co masz przed oczami, to przeszłość. To już nie istnieje. Dlatego rozpuść się w tamtej ciemności. Zobacz obcego wyłącznie swoimi oczami. Nie myśl. Nie analizuj.

– Widzę go. Jest agresywny, zdecydowany...

– Nie, nie, nie. Takie myśli nie mogły pojawić się w twojej głowie podczas walki. Wtedy nie myślisz. I teraz też nie myśl. Przypomnij sobie tylko to, co cię wtedy uderzyło. A czego nie zdołałeś zrozumieć.

Virion miał w głowie już tylko tamtą noc. Słyszał świst wiatru, czuł na twarzy smagający policzki piasek, który wdzierał się do nosa, ust, oczu. Widział napastnika. Czuł jego ruchy, sposób, w jaki tamten posługiwał się bronią. Widział, jak dochodzi do pierwszego starcia. Potem do walki.

I wtedy coś go uderzyło. Sparaliżowało na nieprawdopodobnie krótki moment.

Co to było?

Upiór trzymający dłonie przy skroniach Viriona powtórzył jak echo:

– Co to było? – Zupełnie jakby słyszał jego myśli. – Co sprawiło, że na chwilę się zawahałeś?

Virion nie mógł sobie przypomnieć. Mrok. Piaskowa zawieja. Wycie wiatru. I obcy z mieczem. Przeciwnik dążył do uzyskania przewagi, do jak najszybszej eliminacji wroga. On... on...

I nagle przyszło olśnienie. Virion gwałtownie wyrwał głowę z objęć upiora.

– On nie oddychał! – krzyknął. – On nie oddychał.

Tak. Każda walka wymaga użycia wszystkich sił. Gwałtownych ruchów, błyskawicznego przenoszenia ciężaru całego ciała, uderzeń z całej siły. Szermierz musi gwałtownie nabierać powietrza, słyszać świst, czasem charkot, stęknienia, odruchowy jęk przy większym wysiłku. U tamtego nie było nic!

– On nie oddychał – powtórzył Virion już ciszej. – To było właśnie to, czego nie mogłem dopuścić do świadomości.

Zegroz skinął głową.

– A jego imię, które przypadkiem usłyszał Kody, to... Nekron? – zapytał.

– Tak.

Upiór opuścił głowę i odszedł w zamyśleniu o kilka kroków.

– Wiesz coś o nim? – zapytał Virion.

– Coś wiem – mruknął gospodarz. Widać było, że ma zaprzątnięty czymś umysł.

– To człowiek?

– Raczej tak.

– Żywy?

– Osobliwe pytanie. – Upiór machnął ręką. – Porozmawiajmy o nim później, proszę. – Widać było, że desperacko stara się zmienić temat. – Eeee... interesowały cię sprawy czasu w tej budowlu. Najwyraźniej moja kartka niewiele wyjaśniła.

– Istotnie. – Virion nie mógł się skupić na nowej myśli. Czuł się dziwnie, kiedy zdał sobie sprawę, że zauważył coś, co jego własny umysł później usunął mu z pola widzenia. Nie bardzo umiał nazwać uczucie, które nim owładnęło.

– No to mam dobrą wiadomość. Tu dni naprawdę płyną inaczej niż na zewnątrz. Wychodząc, możecie nawet zobaczyć na piasku własne ślady prowadzące do tego miejsca.

Virion popatrzył z ciekawością.

– Nasze ślady na piasku? Mimo wiatru i burz?

– Tak. Możecie wyjść w dniu, w którym tu przybyliście. Niezależnie od czasu, jaki tu spędzicie.

Niebawem. Ale to by znaczyło, że nieistotne jest, jak długo potrwa leczenie. Ile dni zajmie rekonwalescencja. Virion będzie mógł wprowadzić sprawny oddział w dniu, w którym myślał, że już go stracił.

– Czyli kiedy stąd wyjdziemy, nie będzie jeszcze za późno? – usiłował dopytać o szczegóły.

– Za późno na co? – zapytał Zegroz, sprawiając, że znowu zapadła ponura cisza. Jego głos brzmiał w niej złowieszczo. – Zadałeś mi wcześniej pytanie, na które nie odpowiedziałem. Pytałeś, jak określiłbym waszą sytuację.

– No?

– Jako... Tragiczną? Beznadziejną? – Upiór szukał najbardziej właściwego słowa. Potem uniósł dłoń, stuknął się w czoło i dokończył już z ulgą: – Na szczęście ludzki mózg tak skonstruowano, żeby nie dopuszczał do siebie niszczących go określeń.



Taida robiła wszystko, żeby nie utonąć w papierach. Zgodnie z przekazaniem zapotrzebowaniem zaprzyjaźnione służby dostarczyły jej komplet informacji na temat Amana. Oczywiście oprócz Służby Skarbu, której Aman był oficerem. Tych nie poprosiła siłą rzeczy, ale i nie potrzebowała.

Prefektura w osobie Girona dała z siebie wszystko. Być może nawet jej szef pogrzebał w osobistych papierach, w osławionej wśród pewnych kręgów prywatnej kolekcji haków na co ważniejsze postacie życia publicznego. Na Amana, okazało się, miał całkiem akuratne materiały. Można go było wsadzić za malwersacje, można było i posłać do kata za zdradę – wszystko na podstawie dostarczonych papierów.

Nie próżnowała także służba zajmująca się słuchaniem plotek w mieście. Dysponowali nie tylko własnymi protokołami dostarczonymi przez agentów. Przesłali wykresy znajomości interesującego Zamek oficera. Wynikało z nich, że Aman często spotykał się z Prabhem, człowiekiem blisko związanym z Geberikiem. Również Nollo, uważany za Geberikowego człowieka na posyłki, a także polowego dowódcę jego oddziałów, utrzymywał z nim intensywne kontakty.

Jednak najciekawszą informację przesłała Służba Więzienna. Otóż Aman w regularnych odstępach czasu wyciągał z więzienia niejakiego Tulia, wsadzanego tam niezmiennie za przemyt i oszustwa w dziedzinie handlu dziełami sztuki. Tulio, jak się dowiedziała Taida z innych akt, był nikim. Nuworyszem z ambicjami wejścia do starej szlachty, zajmującym się nielegalnym pozyskiwaniem starożytnych rzeźb oraz ich przemytem, do którego to procederu pchała go chęć szybkiego wzbogacenia się. A bogactwo z kolei umożliwiłoby mu w niedalekiej przyszłości mariaż z jakąś panną wywodzącą się ze starych rodów, której rodzina podupadła finansowo i dla ratunku zgodziłaby się na podobny mezalians. Takich jak on w stolicy cesarstwa było tysiące. Z pomysłem na interes i nawet z szansami na jego realizację, z kompleksami wielkości oceanu, z pięknym poczuciem niższości i z planem na wdarcie się do serca arystokracji. Ale żeby wejść do elity, potrzebna im była prawdziwa szlachcianka. A żeby zdobyć taką dziewczynę, będąc parweniusem, potrzebna była fortuna. I dlatego ci ludzie byli zdolni do wszystkiego.

Problem tylko w tym, że spośród nich wszystkich oficer wywiadu Aman interesował się jedynie Tuliem. Dlaczego?

Chwilę namysłu przerwał jej Taron, wchodząc z trzaskiem drzwi.

– Coś ty dzisiaj taka radosna? – zapytał z całą swoją bezpośredniością.
– Znalazłaś fajne rzeczy w tych papierach?

– Fajne, fajne – uśmiechnęła się w odpowiedzi. – Ale jeszcze fajniejszą wiadomość dostałam z Pałacu.

– No, no? Jaką?

– Powiem ci po drodze. – Uniosła się zza biurka i sięgnęła po płaszcz. – Dzisiaj gangsterzy Robego nie pójdą na łowy. Zabieramy ich ze sobą.

– Już czekają przed bramą. – Taron oczywiście nie pozwolił Taidzie samej się ubrać. To on był od tego, żeby ją okryć przed wyjściem w chłodną noc. Urocze. Ale ciekawe, gdzie się tego nauczył. – Gdzie idziemy?

– Do handlarza dziełami sztuki Tulia.

Osobisty setnik dwornie służył jej ramieniem, otwierając kolejne drzwi.

Ludzie Robego czekający przed sztabem marynarki nie zadawali żadnych pytań. Im było wszystko jedno, co jest celem dzisiejszej wyprawy. Byłoby tylko móc przed świtem przepić zarobione pieniądze w ulubionej knajpie. Ruszyli więc bez słowa z Taidą jako przewodniczką.

– Miałaś mi powiedzieć, co przyszło z Pałacu – przypomniał zaciekawiony Taron.

– A tak. Już dawno prosiłam o ściągnięcie do kraju pewnego bardzo mi potrzebnego człowieka i właśnie dzisiaj napisali, że już jest na miejscu.

– A kogo?

– Mistrza Anai.

– Zdziwię cię – powiedział setnik – ale wiem, kim on jest. Podobno zadawanych przez niego tortur jeszcze nikt nie wytrzymał.

Żachnęła się.

– Po pierwsze: ty mnie zdziwiasz codziennie. A po drugie: Anai jest właśnie przeciwieństwem wszystkich tych mistrzów bolesnego umierania czy jak im tam.

– Dlaczego?

– Widzisz, torturom są poddawani wszyscy, wobec których zawodzi klasyczne śledztwo. Nie mówię o karze ani o katach. Mówię o dochodzeniu póki co. No i w połowie mniej więcej przypadków torturuje się ludzi niewinnych. Nie można znaleźć w ten sposób ukrytych łupów ani dowodów morderstwa, nic. A ci, którzy przeżyli taki zabieg, już się nie nadają do dalszego życia.

– Wiem. To kaleki, które będą zdychać w bólu przez wiele lat. Albo i gorzej.

– Albo i gorzej – powtórzyła za Taronem.

– A ten Anai?

– A on stara się zachować delikwenta w pełni zdrowia. Choć potrafi zadawać niewyobrażalny ból, to jednak po zabiegu podsądny, jeśli jest niewinny, wychodzi z tego cały. Przynajmniej na ciele.

– A na czym jeszcze może być niezdrowy?

– Różnie mówią o wpływie ekstremalnie nieprzyjemnych doznań na umysł. Ale badać głowy od środka jeszcze nie umiemy.

– A powiedz mi jeszcze...

– Później, później. – Taida podniosła rękę i wskazała ludziom Robego kierunek. Wysoki na półtora ludzkiego wzrostu mur oddzielający czyjś ogród od ulicy. – Już dochodzimy.

Dobry nastrój nie opuszczał jej jednak, ponieważ krzyknęła do przechodniów umykających na widok gangsterów:

– Drzyjcie, przestępcy. Mistrz Anai jest w mieście!

Rozbawiony jej popisem Taron wskazał zdobioną bramę prowadzącą do ogrodu.

– Forsujemy?

– Tak. Zawołaj...

– Do tego to ja sam wystarczę. – Setnik kopnął prawe skrzydło, a ponieważ nie puściło, poprawił z drugiej nogi. – Z tym że po drugiej stronie może być strażnik.

Naparł barkiem i wśród skrzypienia i zgrzytów udało mu się otworzyć drogę. Strażnika po drugiej stronie nie było. Kiedy razem z Taidą weszli do środka, ich oczom ukazał się bogaty zbiór starożytnych rzeźb różnej wielkości, poustawianych wśród egzotycznych roślin bez ładu i składu. Gospodarz może i był bogaty, ale najwyraźniej obcy był mu smak, jakiegokolwiek wyrafinowanie i choć ślad gustu.

– Nie pilnuje tego czy co?

Taron mylił się, posądzając właściciela rzeźb o brak czujności. Już po chwili w drzwiach domu pojawił się młody człowiek w bogatej szacie i czterech ludzi z mieczami.

– A co to za najście?! Ja wam...

– Zamek – Taida ucięła potok jego wymowy, wyjmując swoją odznakę.

– He. Każdy może wejść, pokazać jakieś świecidełko i pitolić, co mu ślina na język przyniesie – obruszył się Tulio we własnej osobie, co można było sądzić po braku gustu także w doborze ubrań. – Zaraz mistrz Geke i trzech jego ludzi wychowanych w Dahmerii na wielkich wojowników zrobi z wami porządek!

Taida pstryknęła palcami. Tłum gangsterów marynarki zaczął się wlewać do ogrodu.

– A to jest bosman Robe i pięćdziesięciu jego ludzi wychowanych w dokach i spelunach Negger Bank na wyjątkowych sukinsynów! – dokończyła prezentacji ze swojej strony.

Tulio otworzył usta na widok bandytów.

– Czy oni mają zaciągnąć te rzeźby w szeregi marynarzy cesarskiej floty wojennej? – zapytał Taron nawet dość uprzejmym tonem.

Robe przymierzył swoją łagę do głowy wyrzeźbionej w marmurze nimfy kucającej nad ruczajem.

– Czego chcecie? – Tulio gwałtownie przelknął ślinę. Zrobił ruch, jakby chciał osłonić posąg własnym ciałem, ale widząc błysk w oczach bosmana, zrozumiał, że tamtemu jest wszystko jedno, w co walnie pałą na odlew.

– Przyszliśmy porozmawiać – oznajmiła Taida. – I nawet nie przeszkadza nam ogrodowe otoczenie, skoro nie chcesz podjąć nas w domu. Odeślij tylko tych mistrzów miecza.

– Gdzie odesłać? – Tulio dał się zaskoczyć.

– Najlepiej do Dahmerii.

– A kto mnie będzie wtedy chronił?

– Robe się podejmie – powiedział Taron. – Bosmanie? Czy potrafisz tak walnąć kijem w mordę, żeby posypały się wszystkie zęby?

Herszt gangsterów pokazał własne zęby w uśmiechu.

– He, he. No!

– Sam widzisz. Jak tylko ktoś się do ciebie zbliży, to... – Setnik zawiesił głos, żeby gospodarz wyraźnie odczuł pewną dwuznaczność oddania się pod opiekę bosmana. – A panom dziękujemy. – Taron skinął na Dahmeryjczyków.

Cała czwórka spojrzała na swojego mocodawcę. Tulio po dłuższej chwili bicia się z własnymi ciężkimi myślami odprawił ich ruchem ręki. Taida wzięła to za dobrą monetę, bo zajęła jedną z kamiennych ogrodowych ławeczek. Wskazała gospodarzowi miejsce naprzeciw.

– Nie trzęś się ze strachu – zaczęła od próby uspokojenia. – Nic do ciebie nie mam, a zabierzemy cię ze sobą wyłącznie wtedy, kiedy nie zadowolą nas twoje ciągle jeszcze dobrowolne odpowiedzi.

– Co chcecie wiedzieć?

– Za co ostatnio siedziałeś?

Tulio zaczął wymieniać wszystkie zarzuty, które mu postawiono. Przy każdym podkreślał oczywiście swoją niewinność. Nie mijał się z prawdą. Jeśli chodzi o treść zarzutów oczywiście, a nie stwierdzenie własnej niewinności. A Taida mogła zweryfikować ewentualne kłamstwa, bo miała przecież w pamięci wszystkie materiały przekazane przez Służbę Więzienną. Jak dotąd szło mu dobrze. I o to chodziło. Niech się ludzi jeszcze przez parę chwil, że przesłuchują go w banalnej sprawie gospodarczej. Zaatakowała niedługo potem.

– Skąd znasz Amana?

– Jakiego Amana?

Taida spojrzała ponad ramieniem przesłuchiwanego.

– Robe, czy ty myjesz czasem tę łagę, którą rozbijasz ludzkie głowy?

– Nie myję, pani. A po co?

– No to świetnie. Daj mu powąchać.

Bosman przytknął pałkę przesłuchiwanemu do twarzy. Na razie delikatnie. No... w miarę.

– Wiesz co? – zapytała Taida. – Jeślibym miała wybierać pomiędzy tym, jak zmusza do mówienia bosman, a tym, co robimy u nas w biurze, to bez wahania wybrałabym metodę bosmana. I jeszcze bym głośno dziękowała za możliwość tak oczywistego wyboru!

Tulio zerknął na poplamione krwią drewno pod swoim nosem. Potem przeniósł podejrzliwy wzrok na panią prokurator.

– A w biurze... – nie dokończył.
– Już czeka mistrz Anai. – Uśmiechnęła się słodko.
– Aman jest oficerem Służby Skarbu.
– Wiem. Dlaczego wyciągał cię z więzienia?
– Prowadzimy interesy.
– Nie pierdol! Wywiad nie ma prawa niczego od ciebie kupować!
– Prawdę mówię. – Tulio uniósł dłonie. – Prawdę! Realizuję jego zlecenia. Mocodawcy Amana wiedzą, że mam dojścia nielegalne i tu, i w Troy, i w Zimnych Królestwach. Ja wszystko sprowadzę. Jak nie wolno, to też sprowadzę. Jak nigdzie nie ma tego, co potrzeba, to ja spod ziemi wytrzasnę.

– Nie reklamuj się już. Czego chciał?
– Potrzaskanych fragmentów kolumny.
– Jakiej kolumny?
– Znam tylko jej numer – wyjąkał zdjęty już strachem Tulio. – Chodzi o trzynastą kolumnę.

Taida odruchowo potrząsnęła głową. Trzynasta kolumna. Oczywiście dotarł do niej raport Kody'ego opisujący prywatne wykopaliska na pustyni przy wędrującej oazie. Tam, gdzie zasypana wieś, budowana przez pokolenia i ukryta pod piaskiem, przechodziła w starożytne miasto. Wynajęci mędracy odnaleźli dwanaście kolumn pokrytych dziwnymi znakami – symbol dwunastu zasad magii, którą Bogowie ofiarowali ludziom u zarania historii. Ale była też trzynasta kolumna – symbol magii zakazanej. Wedle raportu, który otrzymała, zlecniodawcy wykopalisk obiekt zdemontowali, podstawiając w to miejsce zwykłą podporę. Czyżby więc coś poszło nie tak?

– No i co z tą kolumną? – zapytała, zachowując całkowicie obojętną minę.

– Zabiją mnie, pani! Zabiją mnie, jeśli dowiedzą się, że wydobyłaś ode mnie choć jedno słowo za dużo!

Taida nachyliła się w jego stronę.

– Czy mówisz o kolumnie, na której opisano zasady magii zakazanej? Tej, którą znaleźli w zasypanym przez piasek mieście przy wędrującej oazie?

Oczy Tulia wychodziły z orbit. Właśnie dobitnie się przekonał, że oficerowie z Zamku wiedzą dosłownie wszystko. Jeśli czegoś potrzebują od maluczkich, to jedynie potwierdzenia albo wyjaśnienia jakichś drobiazków. Handlarz sztuką zrozumiał w jednej chwili, że tu żadne, nawet najmniejsze kłamstwo nie może paść z jego ust. Oni wiedzą wszystko! Służba z Zamku jest wszechwiedna i wszechmocna!

Taida obserwowała zmiany zachodzące na twarzy przesłuchiwanego. O taki właśnie efekt chodziło. Składaną z drobiazgów mozaikę należało przedstawić w taki sposób, żeby podsądny uwierzył, że dla śledczych nic nie jest już tajemnicą. Nie ma sensu stawiać oporu. Trzeba się do wszystkiego przyznać, opowiedzieć z najmniejszymi drobiazgami wszystko, co się wie, a potem już tylko prosić o łaskę.

– Tak, pani. Chodzi o tę kolumnę. Otóż na oryginalnym stanowisku była ona potrzaskana. Wiele fragmentów zniknęło. I nawet nie wiadomo, czy przed wiekami, czy współcześnie, już podczas prowadzenia prac, kiedy jeszcze nie znano jej prawdziwej wartości. Kolumnę wykonano z cennego materiału. Ale mocodawcy Amana wiedzieli, że czegoś takiego nie sprzedano na targu dla kamieniarzy. I zwrócili się do mnie. Bo tylko ja mam kontakty z kolekcjonerami w różnych królestwach.

– No i przed tobą nie mieli tajemnic, co?

– Jest, jak mówisz, pani. To ja im sprowadzałem różne rzeczy na specjalne zamówienia.

Taidzie nie chciało się wnikać, ile z cennych dzieł, które przemycał Tulio, pochodziło z kradzieży, ile z rabunku, a ile jeszcze pozyskano w wyniku oszustw, bazując na niewiedzy różnych instytucji czy prywatnych właścicieli. Nie obchodziły jej mętne interesy handlarza. Ale informacja, którą dzisiaj dzięki niemu uzyskała, miała wagę pierwszorzędną. Wrogowie cesarstwa nie dysponowali całą kolumną. Nie byli w posiadaniu wszystkich zasad zakazanej magii.

– Jaką częśćią kolumny dysponują ci ludzie?

– Nie rozumiem.

– Kolumnę pokrywały napisy. Ile z tych napisów ich mędrcy zdołali odczytać?

– Na początku mieli mniej więcej połowę kolumny. Ja im dostarczyłem dwie większe części i jeszcze wiele drobiazgów.

– Co poskładali?

– Mieli połowę. Ja im dostarczyłem dwa razy po jednej dziesiątej, mniej więcej. Z późniejszych drobiazgów odczytali raczej niewiele. Prawie nic, sądzę.

Bezcenna informacja. Taida jednak nie mogła dać tego po sobie poznać. Człowiek zmuszany do współpracy musi widzieć przed sobą tylko niewzruszalny monolit imperialnej instytucji. I być przekonanym, że jedynie stamtąd płyną wszelkie rzeczy. I kara, i nagroda. I życie, i śmierć. A on sam nie ma prawa odgadnąć, co mu przyniosą jego działania. Łaskę? Czy niełaskę?

– Co wiesz o mocodawcach Amana?

– Nic, pani. Przysięgam, że nic! Oni zabiliby mnie za samo spojrzenie tam, gdzie nie trzeba.

– Dobra, dobra, kupcem jesteś, niegłupim, więc coś tam zauważyłeś.

– Wiem tylko, że Aman kontaktował się w wielu sprawach z wielkim panem Prabhem. Oni...

– Tulio, idioto – przerwała mu pobłażliwym tonem. – O Prabhu to nawet na forum w stolicy Troy już mówią.

– Ale nie wiedzą o jednym. Prabh zlecił Amanowi sekretną misję.

– Jaką?

– Nie wiem. Tajną.

Taida westchnęła z ubolewaniem.

– Jesteś osłem – powiedziała łagodnie. – Więc i trzeba do ciebie mówić jak do osła. Przy pomocy kija i marchewki. A ponieważ kij już zobaczyłeś, czas na marchewkę.

– Tak, pani?

– Będę szczerą. Młodej i pięknej szlachcianki ci nie załatwię. Ale uzbierałeś już wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zacząć się liczyć na poważnym targu matrymonialnym.

Zrozumiała, że trafiła idealnie, widząc, że oczy handlarza rozszerzają się nagle, a on sam zamienia się w słup soli bez mała.

– Znam pewną wdówkę. Starsza od ciebie, ale uwierz mi, jeszcze całkiem, całkiem. Wiem, że potrzebuje kogoś, kto ogrzałby ją w nocy w wielkim łożu, gdzie śpi teraz sama. Potrzebuje też kogoś, kto spłaciłby jej niebotyczne długi, a potem pozwolił żyć na poziomie, do jakiego przywykła.

– Pani...

– Co ty na to? Jeśli zgodzi się wyjść za ciebie, to wszyscy będą musieli ci mówić „panie” i kłaniać się nisko – kusiła.

Niepotrzebnie zresztą, bo Tulio był już chyba ugotowany. Kiedy mogło się urzeczywistnić jego marzenie, zabrakło w nim miejsca na strach.

– Ja wiem, wiem... Nie słyszałem instrukcji, które Prabh przekazał Amanowi, ale dobrze wiem, o co chodzi. Dowiedziałem się przypadkiem...

– Pomiń nieistotne szczegóły – upomniała go, pamiętając, że monolit, który uosabiała w oczach Tulia, nie powinien zajmować się drobiazgami – i przejdź od razu do rzeczy.

– Tak, pani. Otóż Prabh kazał Amanowi i wszystkim podległym mu ludziom strzec swoich dóbr w okolicach Syrinx.

– Strzec dóbr?

– Tak właśnie. Powiedział, że te posiadłości są jak brylant, który z surowego diamentu całe pokolenia z jego rodu szlifowały przez wieki, żeby doprowadzić wszystko do perfekcji. Tam wszystko jest idealnie. I nie

można dopuścić, żeby motłoch zdewastował to, nad czym ciężko pracowali jego przodkowie. Prabh doskonale rozumie i wie, co się stanie. Ale żadne rozruchy, żadna polityka, żaden przemarsz wojsk nie mogą doprowadzić do tego, żeby jakiś cham przełożył choćby polny kamyk z miejsca na miejsce w jego dobrach.

Tulio świdrował wzrokiem panią prokurator, niepewny, czy jego informacja jest na tyle ważna, by w podzięce wspomnieć o nim wiadomej wdowie. A Taida zgodnie z wymogami sztuki siedziała nieporuszona, z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Natomiast w środku w niej, gdzieś w głębi duszy, zagrały bojowe surmy. Informacja, którą przekazał Tulio, była bezcenna. Absolutnie wyjątkowa. Jeden z wrogów pokazał właśnie swój słaby punkt. Spiskowcy przestali więc stanowić jedność. Nie byli już idealnie odporną, spoiętą skałą. Taida znalazła szczelinę. Pierwsze miejsce, gdzie można by myśleć o wbiciu klina. Miała ochotę śmiać się jak mała dziewczynka, która dostała długo oczekiwany prezent.

Wstała gwałtownie, by pokazać, że nie ma ochoty tracić tu więcej czasu.

– Odtąd pracujesz dla mnie – powiedziała oschle. – Chcę natychmiast wiedzieć o wszystkim, czego dowiesz się o Amanie i reszcie spiskowców.

– Tak, pani!

Ruszyła do wyjścia, a handlarz dziełami sztuki biegł za nią jak piesek.

– Wielka pani, a wdowa? Czy wspomnisz o mnie tej wdowie?

Taida zatrzymała się i spojrzała w taki sposób, jakby zobaczyła kupca dzisiaj po raz pierwszy.

– Ach, chciałbyś zobaczyć marchewkę. – Przeniosła wzrok na Taronę. – Co o tym myślisz?

– Hm, czy ja wiem...? – Jej setnik nie zawiódł, odpowiadając dyplomatycznie.

– No dobrze – zdecydowała. – Szeptnę znajomej wdówce słowo o tobie. Możesz więc oczekiwać zaproszenia na jakiś bal, a... – zawiesiła głos na chwilę – a jeśli wykażesz się gorliwością w pracy dla mnie, to może skłonię tę samotną kobietę, żeby przysłała ci swój obraz.

– Portret, pani? – Tulio zachłysnął się szczęściem. – Ona mogłaby przysłać mi swój portret?

– A czy ja mówię o twarzy? Na obrazie można pokazać przecież znacznie więcej...

– Ale to zależy od tego, co nam przyniesiesz. – Taron położył swoją ciężką rękę na ramieniu handlarza sztuką. – Jeśli nic, to odwiedzi cię bosman Robe. Też ładny na twarzy, przyznasz przecież.

Taida z trudem opanowała śmiech. Zdaje się, że ze swoim setnikiem stanowili już zgrany zespół.



Zegroz miał pewną cudowną umiejętność zarezerwowaną chyba dotąd dla najstarszej szlachty. Mimo całego tabunu sług do pomocy potrafił sprawić wrażenie, że obsługuje gości osobiście. Ujął tym nawet Nolaana, który obandażowany spoczywał na specjalnie przygotowanym stosie poduszek. Niki i Tania brylowały w swoich nowych wspaniałych sukniach, tym bardziej że towarzyszące gospodarzowi upiorzyce, które skrzętnie udawały ludzi, ubrały się dla podkreślenia kontrastu znacznie skromniej. Właściwie każdy z przybyszów został czymś uhonorowany, specjalnie potraktowany albo ujęty. Jedynie Hekke, choć już bez gorączki i w niezłej kondycji psychicznej, pomstował, że nie może się napić. Ktoś w końcu ulżył jego udęce, przynosząc jakiś środek, który zaaplikowany do nosa za pomocą pustej w środku trzcinki położył kres jego narzekaniom. Pozostali goście pili we własnym tempie to, co akurat każdy lubił najbardziej, i udzielali się towarzysko w ramach przyjętych form. Przyjęcie nie chciało się rozkręcić, ale też i gospodarz nie sprawiał wrażenia, że mu na tym bardzo zależy. Virion pomyślał, że poczucie ulgi i odreagowanie po ostatnich gwałtownych przejściach jest głównym celem ich wspólnego spotkania. Mylił się jednak. Kiedy już atmosfera i wlewane w gości trunki napełniły spokojem wszystkie umysły, Zegroz poprosił o głos.

– Powiedźcie mi, moi drodzy, czy lubicie ludowe przysłowia? – zapytał.

Hekke powrócił na moment z krainy wiecznej szczęśliwości, do której wysłała go tajemnicza substancja wdmuchnięta mu do nosa.

– Ja lubię jedno. – Usiłował skoncentrować wzrok na gospodarzu albo na kimkolwiek innym. Nie sposób stwierdzić, bo głowa mu się chwiała. – Nigdy nie rób dzisiaj tego, co możesz zrobić jutro!

– O, to, to, to! – zawtórowała mu Tania. – Jestem tego samego zdania.

– Taaaak, sprawdza się. – Rohan przytaknęła poważnie. – Do chwili, kiedy głód zajrzy w oczy. Wtedy się już przestaje sprawdzać.

– Oj, przestań.

– Pogodzę was – włączył się Virion. – Moim ulubionym przysłowiem jest: nigdy nie rób tego, co może zrobić ktoś inny.

Kilka osób zaczęło się śmiać, Zegroz bił brawo.

– Słusznie, słusznie. Szczególnie ważne dla ludzi utalentowanych.

Niki zaczęła machać ręką, żeby zwrócić uwagę na siebie.

– A moim ulubionym jest: po pierwsze, mąż zawsze ma rację, a po drugie, jeśli nie ma, to patrz, co było po pierwsze.

Tania zaczęła gwizdać i krzywić się z niesmakiem. Pozostałe upiorzyce na sali, sądząc po minach, byłyby chyba skłonne zgodzić się ze swoją siostrą, ale brawo tym razem zaczęła bić Rohan.

– I tego wszystkie kobiety powinny się trzymać. Zgadzam się w całej rozciągłości.

– A ja nie! – warknął Nolaan. – Co ty, chcesz mieć w domu niewolnicę czy przyjaciela?

– Najlepiej jedno i drugie, znając mężczyzn. – Zegroz uniósł ręce, chcąc uciszyć towarzystwo. – Ale zwróćcie uwagę, że w drugą stronę to już nie działa.

– Ależ działa, działa – zaproponował Lirion. – Znam mnóstwo mężczyzn pantoflarzy, którzy bez słowa wypełniają wolę żon. Choćby nie wiadomo jak głupia ta wola była.

– Coś jest na rzeczy – powiedział Kody. – W miasteczku, gdzie mieszkają moi teściowie, jest zapis, że członkiem magistratu może zostać tylko ten mężczyzna, który nie słucha swojej żony.

– Tak jest w wielu miastach. – Hekke znowu powrócił na moment do krainy świadomości. – A ty byś nie mógł zostać członkiem magistratu, bo sam jesteś pantoflarzem.

– Ja?

– No przecież widziałem. Ja mogłem wejść do was w sandałach, a ty musiałeś swoje zdjąć przed wejściem do mieszkania.

Kody, który o to właśnie miał zadawniony uraz i złość do Gii, zmarszczył brwi, żeby teraz zemścić się na chwilowo bezbronnym chłopaku, ale gospodarz w porę to zauważył.

– Sama widzisz, jaką dyskusję wywołałaś, pani – zwrócił się do Niki. – Ale to przecież bardziej maksyma, a nie przysłowie.

– No może i tak. – Upiorzyca stropiła się wyraźnie.

– To ja się też z państwem podzielę. – Zegroz skłonił głowę przed towarzystwem. – Moim ulubionym przysłowiem jest: nie budź licha, póki śpi.

– Dziwne. – Niki potrząsnęła głową. – A ja znam takie, które mówi, że lichy nie śpi.

– No właśnie. Czyż to nie sprzeczne?

Virion odstawił dopiero co napoczęty kubek z wódką. Czuł, że teraz gospodarz przejdzie do rozmowy o rzeczach istotnych. A poza tym osiągnął właśnie ten moment, w którym był pięknie pijany. I nie chciał za szybko przejść do określenia: upity.

– Ciemny lud wymyślił tyle przysłów, żeby mieć jakieś na każdą okazję – skonstatował Lirion. – A poza tym szukanie mądrości w przysłowiach...

– Lud mylić się nie może – mruknął Nolaan. – To my, warstwy wyższe, jesteśmy uzurpatorami.

Lirion kpiąco skłonił głowę przed księciem.

– No to trzymaj się mocno, uraczę cię ludową mądrością: jak po wiosnie lato, to po jesieni zima!

Niki parsknęła śmiechem.

– Nie rymuje się!

– A „licho nie śpi” się rymuje?

– Bo to również nie jest przysłowie.

– Nie musi być rymowane.

– Spokojnie, spokojnie, wielcy państwo – sumitował gości Zegroz. – Nie było moim celem zwieść was na meandry leksykalnych zawiłości.

– Ja też znam – ocknął się znowu Hekke. – Virion i Lirion w jednym domku spali...

– Stali, kretynie – przerwał mu Nolaan. – „Stali”, a nie „spali”.

– A kto ich tam wie? Zresztą najpierw może i stali, ale potem się zmęczyli i spali?

– Niech go ktoś powstrzyma. To nie przysłowie, tylko wiersz, i to w dodatku nie ludowy! Napisał go poeta, profesjonalista!

– Drodzy państwo. – Zegroz znowu uniósł dłonie, ale najwyraźniej trzeba mu było pomóc w uspokajaniu towarzystwa.

– Cisza! – warknął Virion.

Usłyszeli, jak krople wina uderzają o posadzkę. Musiała przewrócić się jakaś amfora, lecz w harmidrze nikt nie zauważył. Dopiero teraz jedna ze służących rzuciła się na podłogę ze szmatą w ręce.

– Dziękuję. – Upiór skłonił głowę przed Virionem.

Szermierz tylko wzruszył ramionami.

– Otóż wspominając przysłowie o lichu, którego nie powinno się budzić, a które w ogóle nie śpi, nie miałem na celu wywołania dyskusji – podjął gospodarz po chwili. – Chciałem raczej nawiązać do tego, co was spotkało podczas ostatniej bitwy.

Pierwszy zorientował się Nolaan.

– Czy wiesz, kto nas zaatakował, panie?

– Niestety, wiem. A moje obawy potwierdziły się po rozmowie z waszym dowódcą.

– Jakie obawy?

– O lichu, którego pod żadnym pozorem nie powinno się budzić, choć ono przecież i tak nie śpi.

Lirion tylko kręcił głową.

– Zatem jest cień prawdy w wierzeniach ludu?

– Nie mam pojęcia, co „lud” miał na myśli. W rozmowie z Virionem udało nam się wyłowić pewną cechę waszego przeciwnika. Coś, co raczej nie jest charakterystyczne dla normalnego człowieka.

– On miał na imię Nekron – odezwał się Kody. – I mnie również wydał się dziwny, chociaż z nim nie walczyłem.

– A ci, którzy byli blisko? Co zauważyliście?

– Jaka to cecha? – Nolaan zmarszczył brwi, przenosząc wzrok to na gospodarza, to na swojego dowódcę.

– On nie oddychał – odpowiedział Virion.

Znowu zapadła cisza, prawie tak głęboka jak poprzednio. Każdy z ludzi, którzy skrzyżowali miecz z dziwnym napastnikiem, starał się skupić na własnych wspomnieniach.

– O ja pierdołę! – pierwszy przypomniał sobie Rohan.

– Nie... niebywałe. – Nolaan tylko kręcił głową.

– Rzeczywiście. – Lirion miał minę, jakby właśnie zgryzł coś bardzo gorzkiego. – Nawet nie stęknął, ani razu nie syknął.

– Ja cię jebię! – Głowa Hekkego znowu opadła na poduszki.

Niki, która zasłoniła usta dłońmi, po chwili odsunęła ręce.

– Czy on był człowiekiem? – zapytała.

– Kiedyś był – odparł Zegroz.

Ponownie zapadła cisza, którą po dłuższej chwili przerwał Virion:

– To znaczy... jak to?

Gospodarz wzruszył ramionami.

– Jego ciało jest ewidentnie ludzkie. No... prawie. Jego rozum również. A jego wola to już zupełnie inna sprawa.

– Przepraszam, ale czy mógłbyś jaśniej?

Zegroz skinął głową.

– Według twoich kryteriów on już nie żyje. Ale jak wiesz, ludzkie kryteria często zawodzą w tej mierze.

Widać było, że nie za bardzo chce przy obcych rozmawiać o szczegółach, a jednocześnie wolałby nie zostawiać tego tematu tylko dla „swoich”. Ewidentnie chciał, żeby wszyscy obecni wiedzieli, z czym muszą się zmierzyć.

– No zaraz! – Tania również nie zrozumiała i odruchowo szturchnęła Niki. – Mówicie, że on nie oddycha. – Sama pamiętnej nocy podczas burzy znajdowała się za daleko, żeby usłyszeć cokolwiek, a raczej w tym przypadku nie usłyszeć. – Jak długo można wstrzymać oddech?

– Jakies pięć, sześć dni – odparła Niki odruchowo, ponieważ poczuła się wezwana do odpowiedzi. – Na pewno nie dłużej.

– Coooo?!

Nożowniczka drgnęła na swojej leżance, ale zaraz coś sobie przypomniała.

– Mówię o ludziach – syknęła do koleżanki.

– Nie wiem. Raczej krótko.

– Ustaliliśmy, że on nie żyje. – Virion uciął wymianę zdań między kobietami. – Więc czy może wstrzymać oddech na długo, czy nie, jest rzeczą bez znaczenia.

– A kiedy on zgnije? – zapytała Tania rzeczowo.

– To nie jest tak, że oni wykopali jakiegoś trupa, dali miecz i kazali się bić – powiedział Zegroz. – Wiemy, dzięki wam zresztą, że nasi wrogowie dysponują magią, jaka ludziom dana nie była. To naprawdę zakazana magia.

– Wspomina się o niej w pismach – wtrącił Nolaan. – Chodzi właśnie o to grzebanie w ludzkich zwłokach, zabawy ze śmiercią i generalnie nekromancję.

– Nie tylko – dodał Lirion. – Zakazana magia dotyczy wielu dziedzin.

– Jakich? – zapytała Tania.

– Za bardzo nie wiemy. Przecież jest zakazana.

– No i widzisz, kochanie? – Tania zwróciła się do Niki. – Zapytaj o cokolwiek mężczyznę, to taką właśnie otrzymasz odpowiedź. Ale wcześniej taki jeden z drugim to się nagada, że wszystkie rozumy już pojadł...

– Czy moglibyśmy się skupić? – zaproponował Kody.

– Nadmierna gadatliwość wynika często ze strachu – powiedział Nolaan.

– Chyba twojego – odcięła się Tania.

– Spokój – zakomenderował Virion.

Domyślał się, że Zegroz nie powie im za dużo o śmierci i o tym, jak można działać już po niej. Pamiętał doskonale staruchę, która uratowała go od samobójstwa, a potem skojarzyła z Niki. Wedle słów pani Nikt starucha wiele rzeczy zrobiła już po swojej śmierci. Na przykład rozmawiała z Narym. A kiedy łapacz niewolników chciał zagrozić jej torturami, przyzwalała mu łaskawie, śmiejąc się w oczy. Dopiero stojący z boku Kila, który nie mógł zrozumieć, co widzi, pytał szefa: „Z kim rozmawiasz? Przecież ona od dawna nie żyje. Nie widzisz, że sztywna i zimna?”.

Ale co innego upiorzyca, a co innego Nekron. Który za życia jednak był człowiekiem.

– Co wiesz o takich jak on? – zapytał gospodarza Virion.

– Dotknąłeś sedna sprawy – mruknął upiór. – U zarania ludzkości, jak mówią nasze podania, ktoś jeszcze posiadał wiedzę nieprzeznaczoną dla

ludzi. W pierwszych grodach rządzili lokalni watażkowie. Jedna osada, jeden wódz. I w jaki sposób przekonać lud do uznania władzy centralnej? W czasach kiedy nie pojawiła się jeszcze naturalna konieczność tworzenia większych organizmów państwowych. Jak zebrać ludzi, jak narzucić im swoją wolę? Można najechać i podporządkować sobie plemiona siłą. Niestety, ich lojalność, przynajmniej na początku, jest wtedy żadna. A straty przy takich działaniach olbrzymie. Wielu najlepszych ludzi zginie w obronie swoich wodzów czy, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, w obronie swojej tożsamości. I wtedy, żeby zaradzić tym niedostatkom strategii, pojawili się nocni zabójcy.

– A skąd można mieć choć blade pojęcie o czasach sprzed istnienia piśmiennych kronikarzy? – zapytał zaciekawiony Nolaan. – Toż wtedy taki dziejopis, przepraszam, dziejomówca, to najwyżej klechdy układał, a przekazywano je przyszłym pokoleniom w kręgu przy ognisku. Powtarzalność po latach więc żadna, bo każdy kolejny coś dodał albo ulepszył.

Jedynie Virion w całym towarzystwie był świadomy faktu, że gospodarz nie opiera się na źródłach ludzkich, lecz korzysta z wiedzy upiórów, przekazywanej z pokolenia na pokolenie bynajmniej nie w formie ustnej. I nie przy ognisku.

– Uwierzmy zatem w podania. – Zegroz nie zamierzał najwyraźniej niczego wyjaśniać. – Są zresztą równie zgodne z prawdą, co współczesne kroniki, co prawda pisane, ale kształtowane przez politykę oraz ideologię zamiast suchych faktów.

– A tu się ewidentnie zgodzę. – Książę skłonił głowę.

– Powróćmy więc do opowieści. Dawno, dawno temu, za siedmioma górami... – gospodarz zakpił z Nolaana. – Nocni zabójcy likwidowali wodzów, starszyznę plemienną, nierzadko kapłanów czy nawet szamanki praktycznie bez żadnego oporu. Straty, w szerszym tego słowa rozumieniu, były żadne. Zabójca przenikał do osady, nie mógł być powstrzymany przez jakiegokolwiek środki obronne, realizował swój cel i odchodził. Nie zabijał nikogo z osób postronnych, ponieważ nie był mordercą.

– To prawda! – poderwał się nagle Kody. – On... On... Ten Nekron przeszedł tuż obok mnie w zawiei. Nawet na mnie zerknął. Na pewno mnie widział i... wiedział, że tam stoję.

– Ale nie wykonał nawet ruchu w twoją stronę?

– Tak. Poczulem wyraźnie, że to nie ja jestem jego celem. Że w ogóle go nie obchodzi.

– To prawda – powtórzył Rohan za Kodym. – Ja też zwróciłem uwagę, że jeśli ten Nekron kogoś pokonał, to znaczy powalił na ziemię, to

natychmiast przestawał się nim interesować. Nie dobijał, nie patrzył nawet, jaki jest efekt jego ciosów. Szedł dalej.

Zegroz podsunął swój kielich służącej, a później upił łyk, zwilżając sobie gardło.

– Bo on nie chciał pokonać was – powiedział cicho. – Jego jedynym celem było zabicie Viriona.

Cisza w pomieszczeniu zapadła po raz czwarty. Ale tym razem nie panowała długo.

– A czy to nie jest jednoznaczne? – zapytał Nolaan. – Eliminując dowódcę, gromisz jego oddział.

– To nie jest to samo. Zwróć uwagę na jeden aspekt. Ktoś, kto może powoływać do życia martwych szermierzy, musiał napotkać na jakieś ograniczenie. Inaczej trudno, żeby nie pomyślał o tak tłustym kąsku, jakim jest martwa już z góry armia. Nikt jej wszakże drugi raz nie zabije. Wystawisz do bitwy nieżywych żołnierzy, to cokolwiek by się stało, nie poniesiesz już żadnych strat, prawda?

– Prawda.

– Właśnie. Jest więc coś, co nie pozwala na stworzenie tysięcy Nekronów.

– Ale dlaczego wysłano go akurat na Viriona?

– Widocznie to on najbardziej dopiekl Geberikowi i jego spiskowcom. Ale stąd płynie jeszcze jeden wniosek. Nekron nie jest niezniszczalny.

– O?

– Bo przecież gdyby był, to wysłano by go z misją zabicia cesarza. Trzask-prask i po krzyku. Przewrót dokonany bez większego wysiłku, potem trzeba tylko opanować władzę.

– Faktycznie – zgodził się książę. – Cesarz jednak to nie wódz małej osady za palisadą z bali. Jest otoczony przez tak wielką liczbę ludzi, że nie sposób go sięgnąć, zanim obrońcy nie pokroją napastnika na małe kawałki. Stąd rzeczywiście może płynąć wniosek, że Nekrona da się pokonać.

– Jak? – zaoponował Hekke. – Kilku najlepszych szermierzy na świecie rzuciło się na niego i chuj! Op!... – Chłopak nagle rozejrzał się przerażony i dodał: – O, przepraszam! Nie chciałem narazić niczyich uszu.

– Jesteś pod wpływem i to cię wyjątkowo usprawiedliwia – mruknął łaskawie książę. – Wyjątkowo! I jednorazowo.

– No dobra, dobra – włączył się Lirion. – Ale rzeczywiście, elita szermierzy nie zdołała go nawet sięgnąć. Co więc go zabije?

– Zastanówmy się, dlaczego Geberik nie rzucił Nekrona na imperatora – podsunął gospodarz.

– Bo słusznie mówiłeś, panie, tłum obrońców dosłownie pokroiłby go na paski. Nie bacząc na straty własne.

– Otóż to. Te pasczki już się więc nie zrosną.

– No chyba nie.

– Sądzę zatem, że obcięcie mu głowy zakończy sprawę definitywnie.

Hekke ukrył twarz w dłoniach i długo układał w myślach to, co chciał powiedzieć, bo odezwał się dopiero po jakimś czasie.

– Przypomnę, szanowni panowie, że nikt z nas nie zdołał go nawet drasnąć.

– Mów za siebie. – Tania cmoknęła głośno. – Mój nóż przebił mu bark.

– Bo rzucałaś z odległości.

– Musiał wyjąć ostrze. Stracił chwilę.

– Ale nie ograniczyło go to ani trochę – powiedział Rohan. – I tak sobie myślę, że bełt z kuszy też mu nie zaszkodzi.

– A sto bełtów?

Virion uniósł uspokajająco rękę. Przypomniał sobie własny pojedynek z mistrzem miecza, który zakończył się perfidnie zabiciem go przez sotnię dahmeryjskich kuszników.

– Zaryzykuję twierdzenie, że jestem specjalistą od zamieniania ludzi w jeże z drewnianymi kolcami. I wiem, że w przypadku Nekrona to się nie sprawdzi.

– Bo?

– Bo po pierwsze, nie mamy nawet setki kuszników, a po drugie, sotnię nie będziesz manewrował tak elastycznie, jak może to robić pojedynczy człowiek. Zanim oddział złoży się do strzału, on będzie już za ich plecami.

– Przesadzasz.

– Zaraz. – Lirion uniósł się na łokciu i popatrzył w stronę upiora. – Czy to oznacza, że w praktyce nie da się go zabić? Nie przykrywając milionem włócznie?

– Raczej nie.

Te słowa gospodarza ostudziły nawet najgorętsze głowy dyskutantów. Wszyscy patrzyli z niedowierzaniem. Choć sami przecież jedną walkę z dziwnym stworem już widzieli.

– Nie zabijemy go? – spytała Tania. – Kilkoro najlepszych z najlepszych go nie pokona?

Zegroz wzruszył ramionami.

– Ano nie.

Cisza, która tym razem zapanowała, miała ponury wydźwięk.

– To nie jest człowiek – podjął gospodarz po dłuższej chwili. – Choć kiedyś był człowiekiem. To martwe ciało, któremu prawie nic nie zaszkodzi. Ma koszmarną broń w postaci pałki opatrzonej zaklęciami

zakazanej magii. I coś nim steruje. Coś, czego nie ma bezpośrednio na polu walki. Coś nieosiągalnego ostrzem miecza.

– Jakiś czarownik?

– Być może. Czarownik posługujący się zakazaną magią. To machina ostatecznej zagłady. I jak chcesz ją pokonać?

Hekke chyba jako jedyny na sali nie chciał się poddać.

– Virion coś wymyśli – powiedział, choć w jego głosie nie było zbyt wiele pewności. – Prawda, szefie? Wymyślisz coś?

Jego dowódca nie odpowiedział. Siedział zanurzony w swoich rozmyślaniach, nie zwracając uwagi na świat wokół. Towarzysze nie bardzo wiedzieli, jak reagować. Rzucali sobie wzajemnie niespokojne spojrzenia. Gospodarz również się nie odzywał.

I znowu jedynie Hekke miał zbyt mało wyobraźni, a za dużo narkotyku w głowie, i tylko on odważył się odezwać:

– No wiadomo, że to monstrum to tylko na ciebie się szykuje i ciebie chce dopaść. Ale nikt mi nie powie, że zacząłeś się bać. Co?

Niki tylko westchnęła głośno.

– Hekke, wiesz, że cię lubię. – Popatrzyła na chłopaka. – Ale ten fakt nie przyćmiewa mi twoich wad. Mianowicie tego, że jesteś głupi i nie masz zmysłu obserwacji.

– Ja?

– No ty.

– A dlaczego?

– Bo tylko ślepy głupiec może sądzić, że Virion zaczął się bać. – Nachyliła się i położyła dłoń na ramieniu męża.

– A czemu się tak zamyślił?

– On się nie boi Nekrona – wyjaśniła Niki. – On właśnie zaczął za nim tęsknić.

Parsknęła śmiechem. Chwilę później dołączył do niej Zegroz. A jeszcze potem Nolaan zrozumiał, co powiedziała, i również zaczął się śmiać.



Taida, docierając do wyznaczonego miejsca spotkania, zatrzymała się na moment. Najpierw szukała wzrokiem odpowiedniego punktu, a potem ukryła się w załomie muru, tuż przed zakrętem ulicy. Stąd mogła, wystawiając lekko głowę, zerknąć na okolicę. Swojego Tarona dostrzegła natychmiast. Setnik nie miał pojęcia o konspiracji. Zamiast czekać w jakimś wykuszu, nie zwracając na siebie uwagi, przechadzał się od

ściany do ściany. Nie dość tego. Zupełnie nie wyglądał na znudzonego, obojętnego faceta, któremu nie zależy. Łaził jak zwierzę w klatce, nerwowo, od kraty do kraty i tylko chwile dzieliły go od wybuchu.

Taida poczuła, jak gdzieś w jej środku rozlewa się fala ciepła. Denerwował się. Martwił się o nią. Wyrzucał sobie, że puścił ją samą? Zrobiło jej się jakoś tak międko. Zależało mu... A ona sama co czuła? Nie no. Popatrzyła po sobie, jakby nie była pewna własnych reakcji. Zakochała się durna czy co?!

Nie zwlekając dłużej, opuściła swoją kryjówkę i wyszła na środek ulicy. Zauważył ją od razu.

– No i gdzieś ty była?! – krzyknął z nieudawaną złością.

O tak, tak. Krzycz, mężczyzno. Pokaż, jak bardzo ci zależy.

– Przecież wiesz, że musiałam pójść tam sama. – Opuściła głowę, zastanawiając się jednocześnie, czy jej skrucha jest bardziej udawana, czy bardziej szczerą. Ta druga możliwość sprawiła jej, o dziwo, nawet tak jakby przyjemność. – No nie bocz się już. Musiałam.

Zdała sobie sprawę, że właśnie zastępca dowódcy Zamku tłumaczy się przed poznanym przygodnie szeregowym, nawet i awansowanym na setnika. I co gorsza, nie umiała znaleźć w tym niczego niestosownego.

– Nie musiałaś!

Krzycz, krzycz. I bardzo dobrze.

Przytuliła się do niego i przełożyła jego rękę przez własne ramię.

– Chodź, wytłumaczę ci po drodze.

Pociągnęła go w stronę najbliższej bramy miejskiej. Miała bardzo konkretny cel podróży do osiągnięcia. Stąd też wybór takiego, a nie innego miejsca spotkania. Ale Taron o tym nie wiedział i dalej się srożył.

– W sytuacji, jaka jest, nie powinnaś sama chodzić po mieście! Dobrze wiesz, że na ciebie czyhają! Dlaczego poszłaś beze mnie?!

I na tym właśnie polega kojąca rola mężczyzny. Nie chodzi o to, że on sam gołymi rękami powstrzyma dziesiątki zawodowych zabójców. Ale o to, że jest święcie przekonany, że to zrobi. Rozczulające.

– Nie mogłam cię zabrać – tłumaczyła ściszym głosem. – Musiałam pójść do Pałacu.

– Mogłaś mnie zabrać. Zaczekałbym przed wejściem.

– Ale musiałam skorzystać z tajnego wejścia.

– I gdzie ono niby jest?

– No w tajnym miejscu. Nie mogę powiedzieć.

– Wymyśliłaś sobie to wszystko. A ja się niepokoiłem.

Przytuliła się mocniej.

– Nie wymyśliłam – kontynuowała swoje wyjaśnienia. – To przejście istnieje po to, żebyśmy mogła od razu dotrzeć do właściwych uszu. Czyli do

kogoś bardzo ważnego. Do cesarskiej kochanki.

– Mogłaś mnie zabrać – nie ustawał.

– Nie mogłam. Powiedziano mi, że wejść do Pałacu tą drogą mogę wyłącznie sama. Jeśli będzie mi ktoś towarzyszyć, to zostanie bez pytania zabity przez strażników. Bo oznaczałoby to, że zmusił mnie do ujawnienia przejścia.

Taron chyba nie do końca jej wierzył. Grymasił jeszcze przez pewien czas, aż wreszcie odpuścił.

– Przynajmniej mogłaś mi o tym powiedzieć. A ty nie uprzedzasz mnie o swoich planach.

– Jeśli chcesz, żebym cię uprzedzała o wszystkim, to bardzo proszę. Mogę zacząć nawet w tej chwili.

– No to zacznij. – Zaciekawiała go.

– Dzisiaj, kiedy tylko położysz się do snu, przyjdę goła do łóżeczka i zrobię ci kolejno następujące rzeczy... – Zbliżyła usta do jego ucha i zaczęła namiętnie szeptać.

Taron potknął się i o mało nie przewrócił. Potem uniósł Taidę w ramionach, zupełnie jakby była piórkiem, i ugryzł w ucho.

– Co? Za bardzo świntuchowskie są moje plany czy za mało? – przekomarzała się. – Czegoś ma być mniej, czegoś więcej?

– Wszystkiego więcej. – Śmiał się już całkiem rozbrojony.

Postawił ją na ziemi, nie bardzo wiedząc, co ma zrobić dalej, a Taida zdała sobie sprawę, że związek z nim wyszedł z ram o nazwie: fajne różnice, ciepła przyjaźń. Ona... go kochała!

O ja pierdołę! – błysnęło jej w głowie. Kochała Tarona. No nie.

Ciężki furgon z więźniami przejechał tuż obok i sprawił, że musieli odskoczyć. Był to jeden z nielicznych pojazdów, które mogły się poruszać ulicą o tej porze dnia. I przywołał na myśl Tarona jakieś niedawne nieprzyjemne wspomnienie, bo przez twarz setnika przebiegł mimowolny skurcz. Gdzieś zniknęła ta właśnie chwila. Ale... zniknęła nie oznacza, że zginęła. Czaiła się tylko gdzieś w pobliżu, czekając na inną okazję.

Ruszyli znowu w stronę bramy.

– Daleko idziemy? – zapytał po chwili.

– Do fortu, gdzie szkoli się obrońców murów Syrinx.

– Aaa, tych, co ich tam Robe umieścił.

– Tych właśnie.

– A po co? – Ciekawość była immanentną cechą Tarona i należało się z tym pogodzić.

– Zamierzam użyć tych niedoszkolonych rekrutów do akcji zbrojnej. Niech sobie poćwiczą w prawdziwych warunkach bojowych.

– Toż oni jeszcze niewiele potrafią... – Taron urwał nagle i palnął się w czoło, bo zakres umiejętności wcielonych przemocą był mniej ważną kwestią. Była druga, bardziej paląca. – Przecież wszyscy ci pouciekają! Strażnika przy każdym jednym nie postawisz, łańcuchami nie przykujesz.

– Nie uciekną. – Uśmiechnęła się do niego. – Już rozwiązałam tę kwestię. Będą mi wierni jak psy.

Zmarszczył brwi. Wiedział oczywiście, że Taida mu nie kłamie, ale nie mógł rozwiązać zagadki.

– I do tej akcji potrzebowałaś zgody cesarza?

– Nie inaczej. Akceptacja Pałacu jest niezbędną, bo uderzymy na naszych.

– Konkretnie: po co?

– A konkretnie, to mi ta myśl przyszła do głowy dzięki naszym wrogom. Jak tak się bawimy, to tak. Jak oni w nas, to my w nich. I niech się coś dzieje nareszcie.

Tutaj Taron byłby skłonny się zgodzić, ponieważ był człowiekiem czynu i tylko zdecydowane działanie koło jego duszę. Niemniej zamyślił się i nie odzywał, nawet kiedy nareszcie udało im się przekroczyć bramę miejską. Dopiero poza nią, na przedmieściach, kiedy wynajął dwukółkę, żeby łatwiej dotrzeć do pobliskiego fortu, przerwał milczenie.

– Czy mówiąc, że wrogowie podsunęli ci pomysł, masz na myśli to, że ich wojska mordują część ludzi w podbijanych miastach, a części nie?

– Doskonale się domyśliłeś. Takie działanie jest celnym strzałem w ludność Syrinx.

Żachnął się.

– No jak to? Toż oni jeszcze daleko.

– Widzisz, ich wojska rzeczywiście dzieli jeszcze kawał drogi, ale szeptana propaganda dociera do nas już teraz.

– A jaka propaganda?

– Oni chcą podzielić ludzi.

– U nas? W stolicy?

– W całym państwie.

Tego chyba nie mógł zrozumieć, więc zaczęła tłumaczyć.

– Podział jest prosty. Istnieje od zarania: są bogaci i są biedni. A spiskowcy tłumaczą sprawę tak: każdy bogaty to złodziej i krwio pijak. Tak było od lat, tak jest dzisiaj: nie ma żadnego majątku, który został zdobyty legalnie, wszystko to zbrodnia. Ale dotąd oni byli nietykalni. – Taida zerknęła na swojego setnika. – Czy zwróciłeś uwagę, że pojawia się charakterystyczne słowo „oni”?

– Tak, zwróciłem.

– Podstawowe rozróżnienie: skoro są „oni”, to przeciwstawieniem jesteśmy „my”. Oni wydawali się nietykalni. Ale my, w domyśle: plebs, biedota, nieudacznicy, ale także żołnierze Legionu Moy, zaczynamy czynić sprawiedliwość dziejową. Nie gwałt, nie rabunek, nie grabież cudzych majątków, tylko „sprawiedliwość”. Zabijemy „onych” i zrabujemy ich dobra po to, żeby rozdać je „nam”, czyli tym, którzy do niczego nie doszli.

– Teraz rozumiem. My i oni. Piękne połączenie.

– Tak. Dotąd „my” to byli cesarscy poddani, Luańczycy, bracia i siostry. Ale teraz ten podział ulega zatarciu. Bo jeśli brat czy siostra się w życiu dorobili, to już stają się „oni”, nie „my”. I jest to pierwszy krok w stronę zniszczenia podstawowych więzi społecznych, które dotąd obowiązywały. Dlatego kto będzie się opowiadał za cesarzem? Jeśli „nasi” ruszą na bramy, jeśli ruszą na Pałac, to do kogo się przyłączymy?

– Przecież nie do „onych” – podjął za nią Taron – bo „oni” to bandyci, złodzieje i skurwysyny na „naszej” krwi upasieni!

– Tak właśnie.

– I jak tak dalej pójdzie, to w Syrxin zamiast wroga u bram oprócz samobójców, którzy na te bramy uderzą, będziemy jeszcze mieli powstanie ludowe mamione „sprawiedliwością”, dzięki której po zwycięstwie nakradną się i narabują.

– A przynajmniej tak myślą.

Taron spojrział na Taidę, przygryzając wargi.

– W jaki sposób zamierzasz odpowiedzieć wrogom tym samym? – zapytał po chwili.

Była szczerą.

– Nie jestem aż tak mocna, żeby odpowiedzieć tym samym. Oni nie mają takiego słabego punktu, w który łatwo uderzyć, jak my.

– W co więc chcesz pierdolnąć?

– W nich samych. Postaram się podzielić samych spiskowców, bo tylko oni mogą być słabym punktem.

Palnęła się w czoło.

– No i teraz nareszcie wszystko jasne. – Trzeba przyznać, że kojarzył szybko. – Pozwól tylko, że to ja przemówię do, nazwijmy ich tak dla jaj, żołnierzy.

Skinęła głową z uśmiechem. Do fortu nie mieli daleko. Mogli go zobaczyć, kiedy tylko przeredziły się podmiejskie zabudowania, ustępując najpierw willom w ogrodach, a potem polom uprawnym. I wśród nich właśnie łatwo było dostrzec posępne mury budowli obronnej. Podobno w dawnych czasach służyła za więzienie dla buntowników. Dziś buntowników przynajmniej w murach stolicy nie było, ale jak widać, podstawową funkcję założenia właśnie przywrócono.

Ćwiczących na dziedzińcu ludzi, których zobaczyli po przekroczeniu bramy, trudno było bowiem nazwać ochotnikami w jakimkolwiek znaczeniu tego słowa. Jedynym wyrazem malującym się na ich twarzach był wyraz męki, upokorzenia i totalnej frustracji. Mieli walczyć za ludzi zamkniętych w murach stolicy, mieli za nich ginąć tylko dlatego, że byli głupi i dali się złapać gangsterom Robego. Czyż można sobie wyobrazić bardziej wredną odmianę losu?

Taron podszedł do dziesiątnika straży sprawującej opiekę nad rekrutami, czy też więziennego nadzorcy, w zależności od tego, jakiego określenia ktoś chciałby wobec niego użyć. Oba były i wymienne, i adekwatne.

– Zabieramy ci to wojsko – oświadczył.

Miejscowy dziesiątnik na widok odznaki Taidy podniósł się co prawda z krzesła, które dotąd zajmował, odstawił nawet na stół tacę z gotowanymi warzywami, którymi się posilał. Nie zrozumiał jednak tego, co usłyszał.

– A po co?

– Zrobimy z nich prawdziwe wojsko.

– Eee... niby jak?

– Uzbrajamy ich, zabieramy za mury fortu na akcję i poćwiczymy trochę prawdziwej walki. Niech zobaczą, jak jest na wojnie.

– Y... yyyy... – Dziesiątnik nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. – Za mury zabieracie? – zdziwił się niepomiernie. – No to wam wszyscy uciekną – skonstatował. – A jak im miecze dacie, to was jeszcze na odchodnym zabiją.

Taron rozpostarł ramiona.

– Czemu ty we własnych ludzi nie wierzysz? – wykrzyknął. – Człowieku, okaż choć troszeczkę optymizmu.

– No co ty? Przecież wszyscy ci spierdolą.

– A obowiązek wobec ojczyzny? Wiara w ideały? Poświęcenie dla swoich braci i sióstr za murami?

– Ty, kurwa, co piłeś od rana?

Taron śmiał się, ubawiony tym, że reakcje podoficera są tak autentyczne. Podniósł drewnianą pałkę opartą o mur i uderzył nią w gong sygnałowy, żeby przerwać nieudaczne ćwiczenia na placu.

– Ty tylko patrz i się ucz – powiedział dziesiątnikowi, a potem wskoczył na stół, starając się nie nadepnąć tacy z warzywami. – Ludzie! – krzyknął do przymusowych rekrutów, usiłując nie dostrzegać wyrazu beznadziei malującego się na ich twarzach. – Jestem setnikiem i dzisiaj będę waszym dowódcą.

Mimo że nie dotarła do niego żadna odpowiedź, ciągnął niezrażony.

– No dobra, przyznam się – zawołał. – Czasy idą nowe, więc i setnik ze mnie jak z was szambelani. Jeszcze kilka dni temu byłem szeregowym jak wy, ale dzięki łasce cesarskiej mianowano mnie na oficera od razu i... – podniósł palec – mniemam, że to nie koniec mojej kariery wojskowej. Zostanę taktykiem! Może jeszcze tej nocy? – Zerknął na Taidę, a ta, pamiętając, co mu obiecała kiedyś w łóżku i za co, zakryła twarz chustą i sama nie wiedziała, czy po to, żeby zamaskować swój radosny uśmiech, czy też raczej żeby nie pokazać oblewającego ją rumieńca.

– Ja jestem setnikiem dopiero co, a wy jesteście armią dopiero co. Będziemy zatem pasować do siebie.

Na placu nikt się nie roześmiał.

– Otóż przybyłem tu, żeby wam oznajmić, że cesarz osobiście powierzył wam zadanie wagi państwowej. Dziś jeszcze pójdziecie w bój – kontynuował, a po chwili dla efektu dodał: – Nie słyszę okrzyków radości!

Odpowiedziała mu głucha cisza. Ludzie na placu wyglądali na jeszcze bardziej zaciętych. Nie dość, że byli frajerami, to jeszcze zaraz zostaną wysłani na wojnę. Jakimi byli żołnierzami, to sami wiedzieli. Nikt nie miał wątpliwości w tej kwestii.

– Nie ciekawicie, gdzie was majestat wysyła?

Nikt najwyraźniej nie był ciekawy, bo nie rozległ się ani jeden głos.

– A i tak wam powiem. – Taron machnął ręką. – Otóż w pobliżu znajdują się dobra i posiadłości ziemskie wielmożnego Prabha. Nie są one co prawda bronione, nie ma tam wojsk ani obsady obronnej, bo to w ogóle nie są instalacje militarne. Niemniej ktoś ze służby w obronie własnej miecz może wyciągnąć i tych odszczepieńców właśnie będziecie gromić siłą, a przede wszystkim przewagą liczebną!

Tym razem nastąpiła reakcja ludzi na placu. Na ich twarzach ukazał się wyraz zdumienia.

– Pamiętajcie, że te wszystkie luksusowe wille, pałacyki, oliwne gaje i parczki z egzotycznymi roślinami, stajnie z lustrami dla koni, strumyki zasiedlone przez zwierzęta, których nazwać nie potraficie, jeziorka z łódkami krytymi złotem to właśnie wasz wróg i macie go niszczyć! Tam kamień na kamieniu ma nie pozostać! Macie spalić wszystko!

Oczy zebranych wychodziły już z orbit.

– Prabh okazał się zdrajcą! – wrzasnął Taron i po raz pierwszy tego dnia odpowiedział mu gremialny głos zrozumienia od strony placu:

– Aaaaaa!...

– W ramach tej kampanii staniecie się doświadczoną, zgraną i wypróbowaną w boju jednostką weteranów!

Tu stojący obok dziesiątnik nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– A za to, za waszą gotowość – ciągnął niezrażony Taron – cesarz już z góry rozkazał was sownie wynagrodzić.

Setnik nie wyjaśniał rekrutom, co i jak. Nie było sensu mówić, że od handlarza Tulia słyszeli, że Prabh swoje dobra nazwał brylantem szlifowanym przez pokolenia jego przodków i kazał ich strzec przed rabunkiem jak żrenicy własnego oka. Pokazał w ten sposób swój słaby punkt. A jego dobra leżały w pobliżu Syrx. W przeciwieństwie do ziem Geberika, które znajdowały się poza zasięgiem Taidy. Pani prokurator więc sprytnie wykorzystała sytuację. Zniszczy wyłącznie posiadłości Prabha, pozostałych spiskowców nie. I tym samym wbije klin pomiędzy wrogów. No jak to? Jedne dobra są niszczone, a inne nie? Dlaczego? Co za tym stoi? A może ktoś z kolegów już układa się z władzą? To nie musi zadziałać, lecz cień wątpliwości na pewno położy się na ich relacji. Ale to nie były sprawy, w które należało wprowadzać rekrutów. Im mówiło się najprostszym językiem:

– Cesarz pozwolił wam rabować!!!

– Uuuuuuu!

Okrzyk na placu tym razem zdawał się zawierać dużo więcej zdecydowania.

– No i co się cieszysz jeden z drugim, co? – Taron niby to strofował największych gorliwców. – Usłyszy taki dureń z debilem, że może kraść... Tfu! Rekwirować na cele własne, chciałem powiedzieć. I już radosną ma mordę. A tu trzeba wyjaśnień posłuchać. Dowiedzieć się, co i jak, a nie na pałę wszystko!

Najwyraźniej bardzo zainteresował zebranych, bo wszyscy na placu patrzyli na niego jak na posąg w świątyni i nikt nie śmiał nawet szeptać. Dziesiętnikowi nawet zdało się po raz pierwszy, że Taron zaczyna ich powoli przeistaczać w prawdziwe wojsko.

– Rabować możecie, co chcecie. – Okrzyk setnikowi się zrymował, ale nie miało to znaczenia. – Ale rabujcie z głową, kretyni! Brać tylko gotówkę, brać złoto, brać biżuterię i klejnoty! Nie obciążać się, kurwa, kosztownymi ciężarami!

Ludzie słuchali z napiętą uwagą.

– No jak napotka taki debil inkrustowane krzesło na przykład, to niech go nie bierze ze sobą, bo jak będzie walczył z krzesłem na karku, co?!

Taron sięgnął po krzesło, na którym przedtem siedział dziesiętnik, i nałożył sobie na kark. Drugą ręką chwycił dorodną marchewkę z leżącej na blacie tacy.

– Wiecie, co się stanie, gdy będziecie walczyć z meblem na karku? – Wolną ręką niby to fechtował z kimś niewidzialnym przed sobą. – Wy będziecie walczyć i nie zauważycie, że ktoś was od tyłu... – Przymierzył

marchewkę do własnego tyłka i wykonał w powietrzu kilka niby to wiadomych ruchów.

Przez plac ćwiczeń przetoczył się aplauz, a potem śmiechy.

– Jeśli znajdziecie kosztowne meble, to je roztrzaskać! – Taron rzucił krzesłem dziesiętnika o bruk. – Spalić! Drogocenne tkaniny podrzeć, ufajdać, no chyba że umiecie walczyć owinięci w złotogłów! Budynki zburzyć! Brać tylko gotówkę i biżuterię. Zrozumieliście, pajace?

– Taaaaa!... – odpowiedział mu entuzjastyczny ryk.

– Mam do was jedną prośbę. – Taron uniósł dłonie. – Jeśli ktoś miecz wyciągnie, to go ubijcie albo zdeptajcie, jak tam wolicie i umiecie. Ale jeśli ktoś będzie uciekał, to dajcie mu uciec. Bezbronnych sług nie zabijajcie. No i dziewczyn nie gwałćcie.

Taron przyjrzał się swoim nowym podkomendnym i chyba trochę zwątpił, bo dodał:

– Tak patrzę na was i mam wrażenie, że wszystkie dziewczęta i tak zdołają wam uciec, a staruszki po prostu odgonią was kopyściami. Ale niech tam. Swoje powiedziałem.

Zwrócił się do Taidy.

– Czy pani prokurator udzieli instrukcji swoim nowym żołnierzom?

Kiwnęła głową, więc on sam odwrócił się znowu do rekrutów i wrzasnął:

– Kogo kochamy?!

– Cesarza – odpowiedziała głośno Taida.

– Ceeeessaaaaa aaa!

– Za kogo gotowiśmy oddać życie?!

– Za cesarza – brzmiała nieskomplikowana odpowiedź.

– Za cessaanaaaa aaa!

– Kto jest najlepszym wojskiem na świecie?

– My.

– Myyyyyyyyy!!!

Dziesiętnik nie mógł uwierzyć swoim oczom. Tylko załamał ręce.

– Ja pierdolę!



– Co myślisz o szermierce? – zapytał Zegroz, idąc z Virionem wśród roślin spływających pnączami na szerokie schody prowadzące gdzieś w dół.

– Phu! A co myślisz o ludzkości?

Gospodarz roześmiał się cicho.

– Źle zadałem pytanie – sumitował się. – Sofistyka sama w sobie nie jest moim celem.

– A co chcesz wiedzieć?

– No właśnie. Chciałbym wiedzieć, co myślisz o szermierce.

Tym razem roześmiali się obaj.

– Fakt. Czasem zadanie najprostszego pytania jest najbardziej trudną rzeczą. No i co ci mam powiedzieć? – Virion rozłożył ręce. – Źe walka to nieokielznana agresja, a szermierka to właśnie próba jej okielznania? – westchnął. – No niby coś powiedziałem, ale jakbym nie powiedział. Niewiele z tego wynika.

– A przeciwnie.

– O? Czy wiesz już zatem, dlaczego przegrałem z Nekronem?

– Ty z nim nie przegrałeś. – Odpowiedź była zdecydowana i szybka. – Fakt, że ktoś szachruje, nie oznacza, że należy przyznać mu laur zwycięstwa. Trzeba jedynie nauczyć się szachrować.

– Zapomniałem już, jaki potrafisz być zagadkowy.

– Och. – Zegroz wyciągnął rękę, jakby chciał wskazać im dalszą drogę, ale nie. On jedynie pokazywał jakąś postać siedzącą pod ścianą sali, która znajdowała się u podnóża schodów. Pomieszczenie nie było duże. Liczyło ze dwadzieścia kroków na dwadzieścia, może trochę więcej. Nie było w nim żadnych roślin, ze wstęg wokół sączyło się tylko dziwne białe światło. – Nie jestem zagadkowy. Korzystając z okazji, chciałbym jedynie pokazać coś tobie i jemu.

Spod ściany podniósł się młody chłopak. Widząc starszych, uklonił się dwornie, a potem wyprostował, nie podnosząc jednak głowy. Niby okazywał szacunek, ale w samej postawie było coś zawadiackiego. Tak jakby chciał powiedzieć: „Muszę zachowywać normy towarzyskie, ale tak naprawdę to... jestem wielkim chojrakiem!”.

Virion uśmiechnął się w duszy. Widział takich chłopców setki, jeśli nie tysiące razy na swojej drodze życia. „Ja wiem lepiej” – brzmiało ich wspólne motto. „Ja wam pokażę”. No i pokazywali. Jeden za drugim. Jeśli trafili na Viriona, to mieli szczęście, mniej lub bardziej poobijani mogli sobie pójść do domu czy gdzie tam chcieli. Z wielką ujmą na honorze, ale z życiem będącym nadal ich udziałem. A jeśli trafili na innych zawodowców i w dodatku ich czymś wkurzyli, to ich zwłoki wrzucano po prostu do przydrożnego rowu. Psy zajmowały się resztą.

Ten tutaj różnił się od pozostałych chłopców jednym szczegółem. Był upiorem.

– Czy to byłby wielki despekt, gdybym cię poprosił, żebyście się zmierzylili?

– A wprost przeciwnie – odparł Virion. – Z wielką przyjemnością trochę się poruszam, bo już gnuśnieję w tych luksusach. Powiedz: jakie zasady?

– Żadnych zasad – powiedział Zegroz twardo, ale bardziej pod adresem chłopaka. – Mam tylko jedną prośbę. Nie zabij go tutaj.

– To oczywiste i zrozumiałe.

– Nie, nie. – Gospodarz położył dłoń na ramieniu Viriona. – Znowu źle się wyraziłem, wybacz. Jakoś nie potrafię dzisiaj być precyzyjny.

– A o co konkretnie chodzi?

– Chciałbym, żebyś go zabił tak jak człowieka. Nie zabijaj go jak upiora, czyli nie odcinaj mu głowy, nie rozwal mózgu. Całą resztę traktuj, proszę, jak swoją własność. Do pocięcia na kawałki.

Virion oniemiał. Patrzył na gospodarza z osłupiałą miną.

– No przecież wiesz, jak to jest z upiorami – zaczął wyjaśniać tamten. – Jesteś nasz, masz naszą żonę. I wiesz, że tak naprawdę bardzo trudno nas zabić. Jeśli nie tkniesz głowy, to właściwie niemożliwe. Ale wiesz także, że upiory cierpią jak ludzie. Że poszatkwany żołądek boli tak samo. A doprowadzenie go znowu do używalności to czas długi i naznaczony cierpieniem. Ale ten tu zasłużył na karę. Przy czym... – Zegroz podniósł palec – kara nie jest celem samym w sobie. Pojedynek ma za zadanie pokazać coś tobie. A jemu przy okazji.

– Dobra. Ja tylko podsumuję, bo nie wiem, czy dobrze zrozumiałem. Czy mam go zabić?

– Tak. Ale w taki sposób, żeby nigdy nie wygoiła się rana na jego dumie. Z ciałem sobie potem poradzimy.

Virion pokręcił głową. Dziwne. Chociaż z drugiej strony było w tej sytuacji coś frapującego. Nigdy dotąd nie walczył z upiorem. Jeśli oczywiście nie liczyć co ostrzejszych zabaw z własną żoną.

Zegroz tymczasem podszedł do chłopca, objął jego szyję ramieniem i przyciągnął tak, że obaj prawie stykali się twarzami.

– Jesteś od niego młodszy, dramatycznie szybszy, twoje siły przy jego są jak energia kipiącego wulkanu przy ledwie szmerzącym strumieniu. Studiowałaś szermierkę o wiele dłużej niż on. Twoje umiejętności są większe, w dodatku poparte niezachwianą pewnością siebie, niezrównanym refleksem i nieprawdopodobną wręcz koordynacją. Nie jest to więc równy pojedynek. Nie jest sprawiedliwy.

– Wiem – odparł buńczucznie chłopak.

– Twoja przewaga jest epicka.

– Wiem.

– On ma tylko jeden niewielki atut.

– Jaki?

Zegroz uśmiechnął się, puścił szyję młodego i odstąpił o krok.

– Jest zawodowcem.

Odwrócił się na pięcie i podszedł do ściany, pod którą czekał już stojak z dwoma identycznymi mieczami. Gospodarz ujął broń na klingi, odwrócił się raz jeszcze i podał ją przeciwnikom rękojeściami do przodu.

– Nie znam się na ludzkich obyczajach dotyczących ukłonów przed walką, oddawania salutów czy innego okazywania szacunku. Bijecie się po naszemu. Zaczynajcie po prostu, kiedy się tam komu zechce.

Virion spokojnie oglądał swój miecz. A właściwie udawał, że ogląda, bo tak naprawdę nic go w tym żelazie nie interesowało. Nie chciał jedynie umożliwić przeciwnikowi spojrzenia mu w oczy. Prowokacja udała się nawet szybciej, niż przewidywał. Młody upiór, zwiedziony tym, że Virion nie zwraca na niego uwagi, zaatakował frontalnie z całą swoją makabryczną prędkością. I boleśnie przekonał się od razu, żeby nie ufać pozorom.

Lizał głęboką ranę na przedramieniu, ponieważświe uświadamiając sobie, że zlekceważył przeciwnika. A przecież słyszał, że to „nasz”, człowiek od lat żyjący z upiorzycą, przyzwyczajony do jej szybkości i gwałtownych zwodów.

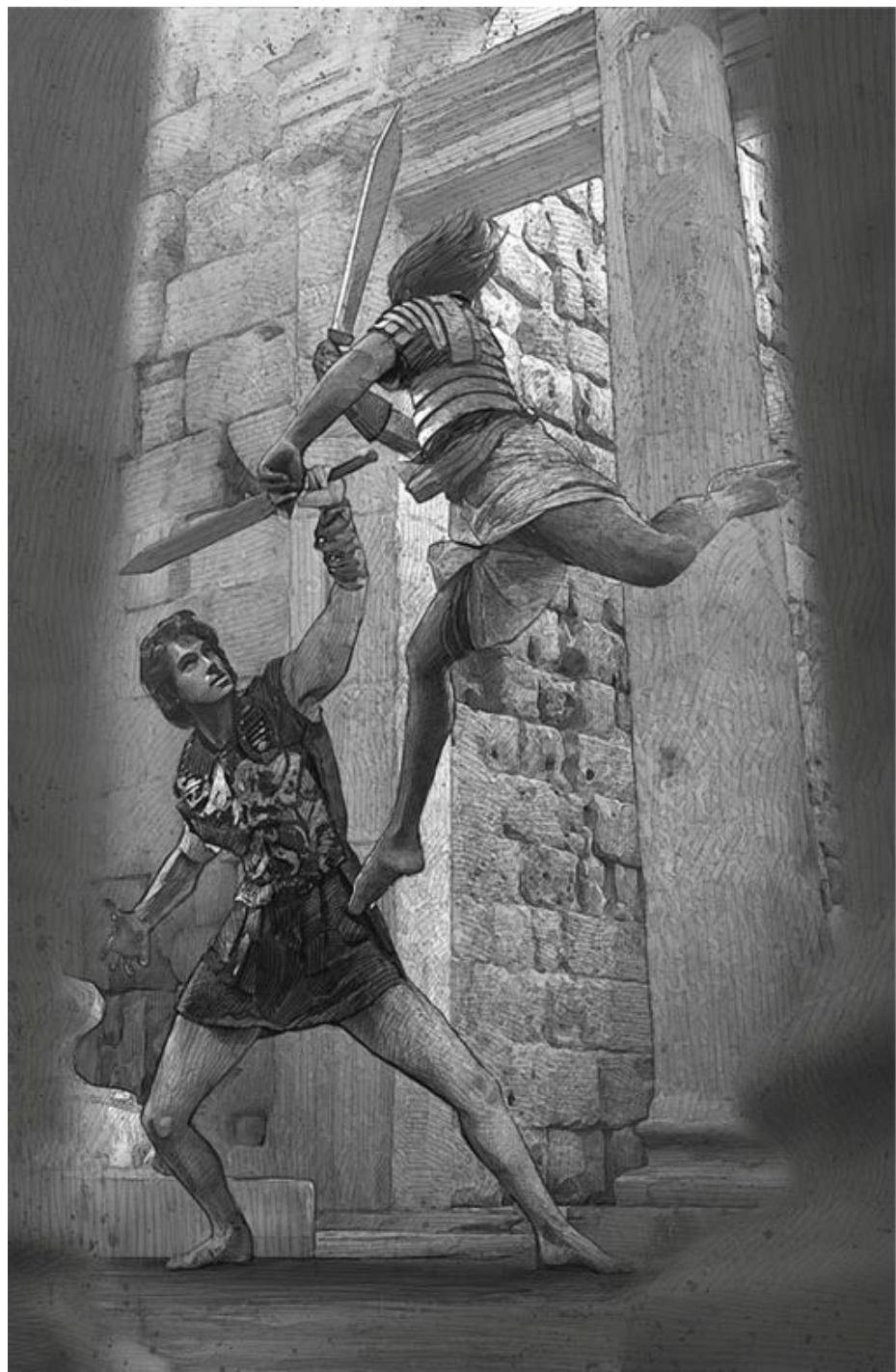
Żeby go dobić chyba, Zegroz rzucił od niechcienia półgłosem:

– Pojedynek jest oczywiście ćwiczebny, więc każdy, kto chciałby odstąpić, może to zrobić w każdej chwili bez żadnych konsekwencji.

Virion uśmiechnął się do młodego.

– Co? – mruknął. – Rezygnujesz?

I znowu osiągnął swój cel. Chłopak sprowokowany zaatakował z prawej, jego idealne, zdawałoby się, cięcie zatrzymało się jednak, miecz powędrował w bok i chłopak dokończył atak, ale już z lewej strony. Był zjawiskowo szybki. I znowu natknął się na miecz Viriona, błyskawicznie przerzucony z jednej ręki do drugiej. To tylko dziabnięcie w splot. Nie było czasu na wyprowadzenie pchnięcia. Chłopak po prostu nie mógł się spodziewać, że jego przeciwnik włada jedną i drugą ręką równie dobrze.



Teraz jakby zebrał się w sobie. Twarz mu stężała. Ciekawe, co wybierze. Zwarcie? Szermierkę na wyczerpanie? Czy znowu jakiś zwód? Nie. Na manewrach już się sparzył. I przecenił swoją szybkość mimo wszystko. Więc co? Zwarcie? Czy na zmęczenie? Bo w jednym i drugim znowu miałyby przewagę.

Chłopak przyjął odpowiednią postawę i zadał cios. Virion sparował. I z drugiej strony. Aha, czyli poszedł na wyczerpanie sił przeciwnika. Stał się ostrożny. No patrzcie, jak nauka szybko przynosi owoce. Chłopak, choć niesamowicie sprawny technicznie, chyba nie zdawał sobie sprawy, że ostrożność jest jednak dyktowana przez strach. A strach nigdy, przenigdy nie jest dobrym doradcą. Lepiej się go wyzbyć i iść na zatracenie. I tak wtedy szansa będzie większa. A ostrożność ma to do siebie, że wystarczy jeden głupi, nawet i mały błąd, żeby stracić swoją przewagę.

Virion prowokował dalej. W zwykłej szermierce jego przeciwnik i tak odbierał sobie swoje najważniejsze atuty. Zaczynało więc grać rolę doświadczenie. Krok do przodu i krok w tył, ale bez wyprowadzania ataku. I właściwie tamten już zastanawiał się, o co tu chodziło. A myślenie w walce nie pomaga. Wprost przeciwnie.

Virion wiedział jedno. Nie zdoła utrzymać zbyt długo stanu idealnej koncentracji. I nie chodziło tu o siły. Tylko o skupienie. Z tym że to prawo walki dotyczyło ich obu w równym stopniu. Gdyby chłopak był w stanie, nie popełniając żadnego błędu, walić mieczem i parować odpowiednio długo, na pewno by wygrał. Miał nad Virionem przewagę fizyczną. Był szybszy, bardziej sprawny, ale... nie potrafił być bardziej skoncentrowany. Bo to po prostu niemożliwe. W tej kwestii równy stał naprzeciw równego. I siłą rzeczy musiało zaważyć doświadczenie. Wystarczyłoby czekać, z tym tylko, że to jednak wariant bierny. Virion postanowił więc znowu sprowokować przeciwnika. Od tej chwili przy każdym swoim ciosie posuwał się do przodu. O długość małego palca dosłownie. O pół palca nawet. Nieprzerwanie jednak wznagał napór. I nie chodziło mu o presję na nerwy chłopaka. Chciał tylko, żeby nastąpiła chwila, kiedy młody upiór zacznie się zastanawiać, ile mu jeszcze zostało, żeby plecami oprzeć się o ścianę. Obserwował uważnie przeciwnika. Jeszcze trochę. Jeszcze. Już.

Twarz chłopaka drgnęła. Nastąpiła chwila dekoncentracji. A wtedy Virion niespodziewanie postąpił o krok w tył. Upiór instynktownie wyczuł szansę na zwycięstwo i runął do ataku z uniesionym mieczem. Dokładnie w tym samym momencie nadział się na wyprowadzony ułamek chwili przedtem sztych.

– Ach! – krzyknęła Zegroz.

Ostrze Viriona utkwilo pośrodku klatki piersiowej chłopaka. Ten zatrzymał się dopiero po zrobieniu kroku. Przez chwilę nie miał pojęcia, skąd nagle słabość. Miecz wypadł mu z ręki. Popatrzył na klingę we własnych płucach i zrozumiał, że przebite serce nie tłoczy już krwi.

– Umieram – wyszeptał.

– Jeszcze nie – odpowiedział Virion.

Chłopak nie mógł się już za bardzo poruszyć. Nogi ugięły się pod nim i opadł na kolana. Virion oparł stopę o klatkę piersiową upiora i stękając z wysiłku, wyszarpnął ostrze.

– Dopiero teraz – powiedział.

Kiedy krew chlusnęła mocnym strumieniem, chłopak przewrócił się na podłogę.

– I dobrze mu to zrobi. – Zegroz, nie wiadomo, czy zezłoszczony postawą młodego upiora, czy zły na siebie, że musiał zdecydować się na tak drastyczną metodę wychowawczą, pstryknął palcami. Za jego plecami otworzyły się drzwi, przepuszczając dwie młode upiorzyce. – Zabierzcie go i zróbcie, co trzeba. – Wskazał leżące na podłodze ciało.

Upiorzyce nachyliły się nad chłopakiem, z trudem przewracając go na plecy.

– To będzie długo trwało, panie – powiedziała jedna z nich, oceniając ranę.

– Bardzo długo i bardzo boleśnie – wydał polecenie gospodarz. – Takie jest moje życzenie.

– Tak, panie.

Kobiety pochyliły się w ukłonach, a potem bez słowa już uniosły ciało młodego upiora i zabrały go ze sobą. Zegroz odczekał, aż zamkną drzwi, później ujął Viriona pod ramię i pociągnął w drugą stronę, z dala od widocznej na jasnej podłodze dużej plamy krwi.

– Bardzo ci dziękuję za pomoc w tej trudnej sprawie, przyjacielu.

– Chyba nie jestem zwolennikiem aż tak brutalnych metod wychowawczych.

– Wybacz, proszę, tę moją prośbę o przysługę. I nie będę jak każdy staruch przekonywał cię, że to dla jego dobra. Ale uwierz, on już uznał się za najlepszego z najlepszych. A to, że go zabiłeś bez jakiegoś szczególnego wysiłku, może go otrzeźwić. I uratować życie, kiedy już dziecko zawita do świata dorosłych.

Virion nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

– Mimo drastycznego zakończenia... eee... świetnie, że się rozruszałem.

– W swojej wypowiedzi utknął na mieliźnie i dłuższą chwilę myślał, co dalej. – Ale wspomniałeś coś o nauce i dla mnie płynącej.

– Tak, właśnie.

– Czy to, że pokonałem silniejszego od siebie przeciwnika, to pierwszy krok do pokonania Nekrona?

Stary upiór zasępił się wyraźnie. A potem powiedział niechętnie:

– Niestety, Nekrona pokonać się nie da.

Virion zamyślił się. Gospodarz ewidentnie chciał mu coś powiedzieć, ale prawdopodobnie nie wiedział jak. A przynajmniej nie miał pojęcia, jak zacząć. Podprowadził go zatem do wylotu schodów, gdzie zajęli miejsca na pierwszych stopniach. Było to nawet wygodne, bo można było oprzeć się o świetnie wyprofilowane barierki. Upiór podniósł palce, jakby zamierzał pstryknąć jeszcze raz, ale po chwili się rozmyślił, bo chyba dotarło do niego, że żadne kielichy z winem ani tace pełne przekąsek nie ułatwią sprawy.

– Jestem ci winny wyjaśnienie – zaczął niepewnie. – Nie co dzień zapraszam do domu gości, a jednego z nich proszę, ni mniej, ni więcej, o zabicie domownika.

Virion uśmiechnął się szeroko.

– Przyznam, że ten zwyczaj upiorzej rodziny i mnie wydał się dziwny. No dobrze, niecodzienny, jak wolisz.

Zegroz nie podjął uśmiechu.

– Z pozoru mogłoby się wydawać, że chciałem ci pokazać przeciwnika wielokroć silniejszego i dać ci go pokonać po to jedynie, żeby natchnąć cię nadzieją, optymizmem i takie tam.

– Domyślam się. Chłopak walczył naprawdę.

– Właśnie. I cała nauka była dla niego. Bo to on był tym najlepszym, niedoścignionym, najwspanialszym... A tu pokonał go człowiek, nawet się zbytnio nie zadyszawszy. Teraz będzie musiał przemyśleć gruntownie i swoją postawę, i przede wszystkim to, co kształtuje jego duszę.

– Miejmy nadzieję, że zrozumie, co go spotkało – mruknął Virion. – I dlaczego.

– Młody jeszcze jest, ma szansę.

– Wspomniałeś, że i dla mnie powinna płynąć nauka z tego spotkania.

– Tak. Tak. I to jest najbardziej istotna część mojej intrygi – oznajmił gospodarz, ale wcale nie kwapił się do dalszych wyjaśnień. Siedział nieruchomo, wpatrzony we własne stopy. W końcu westchnął, oparł dłonie na kolanach i podniósł oczy. – Spróbuj wejść w umysł tego chłystka. Otóż najlepszy z najlepszych, i to wśród upiórów, spotyka nagle, bez wcześniejszego ostrzeżenia, kogoś bardzo niepozornego. Kogoś, z kim wedle jego miary nawet za bardzo nie trzeba się liczyć. I ten ktoś, ten człowiek zabija go bez mrugnienia okiem.

– Aż tak łatwo nie było – Virion wprowadził drobną korektę. – Ale aluzję do spotkania między mną a Nekronem pojąłem.

– To dobrze. A teraz powiedz: w jakim celu zorganizowałem to spotkanie?

– Żeby młody wyciągnął z niego wnioski.

– Nie, nie, nie. Żeby?

– Odnosił korzyść?

– Świetnie!

Zegroz uderzył dłońmi we własne uda, najwyraźniej zadowolony, że tak udało mu się poprowadzić rozmowę.

– Zatem możemy powiedzieć, że młody przegrał, żeby osiągnąć z tego jakąś korzyść.

– No dobrze. Ale jakie to ma odniesienie do mnie?

– Pozwól, że nie będę ci kłamał, mówiąc to, co chciałbyś usłyszeć – oznajmił upiór zdecydowanym tonem. – Nie wiem, jak pokonać Nekrona. Przegrasz z nim.

Virion wzruszył ramionami.

– I?

– Przegrasz. Ale może warto się zastanowić, jaką korzyść można mieć i z przegranej?

Mhm. Teraz stało się jasne, do czego pije gospodarz. I dlaczego zorganizował ten przedziwny pojedynek, piekąc dwie pieczenie przy jednym ogniu. Istotnie te dwie historie były bardzo podobne. Nieopierzonego żółtodzioba i jego własna. I jak się ktoś uprze, to może wyciągnąć z nich naukę. Sam jednak miał wrażenie, że na naukę jest już trochę za późno.

Zegroz wstał energicznie i wyciągnął rękę, żeby pomóc podnieść się gościowi.

– Poćwiczmy razem – powiedział. – Pokażę ci pewne rzeczy w szermierce, o których ludzie nie mają jeszcze pojęcia.

– Z wielką chęcią czymś się zajmę. Co prawda rany Hekkego goją się błyskawicznie...

Upiór przerwał potok wymowy Viriona, obejmując go ramieniem. Obaj popatrzyli na siebie z bliska.

– Nie mogę zrozumieć was, ludzi. My, upiory, jednak zwracamy uwagę na fakty, liczymy się z nimi. Wy nie.

– Co masz na myśli?

– Otóż kiedy powiedziałem ci, że przegrasz, na twojej twarzy pojawił się dziwny wyraz.

– Co oznaczał?

– Oznaczał... „Zobaczymy”.

Rozdział 4



S tuosobowy oddział, który Taron wziął sobie pod dowództwo, zbliżał się właśnie do pierwszej posiadłości Prabha, jaką obrano za cel – idealnie utrzymanego folwarku z prześlicznym, położonym tuż obok pałacykiem. Określenie „oddział się zbliżał” było najbardziej adekwatne do sytuacji. Formacje wojskowe zazwyczaj maszerują, posuwają się w szyku, ewentualnie rozpoznają teren. Ten oddział... drugim pasującym określeniem było „szedł”. Nauczenie chodzenia w nogę najwyraźniej przerosło możliwości instruktorów zebranych w forcie pod murami Syrinx. Zresztą, tak po prawdzie, wojskom zmobilizowanym wyłącznie do obrony murów musztra nie była za bardzo potrzebna.

– Zewrzeć szyki! Zewrzeć szyki! – wrzeszczeli nieliczni szkoleniowcy zabrani z fortu, by mieć pieczę nad zdemoralizowaną hałastrą. Ich wysiłki wprowadzenia choć podstawowego porządku spełzały na niczym i powoli zaczynało to niepokoić jadącą za wojskiem w zgrabnej dwukółce Taidę. Taron jednak nie wykazywał nawet cienia zdenerwowania.

– Panie! – Jeden z instruktorów podskoczył do powozu. – Nadszedł czas, żeby wyjaśnić założenia taktyczne ataku.

– Oooo! Słusznie. – Taron podniósł się natychmiast. – Ustawcie jakoś żołnierzy, a ja im wszystko wyjaśnię.

– Żołnierzom? – zdziwił się weteran. – To nam trzeba wyjaśnić plan działania.

– Rozumiem, rozumiem. Róbcie, co mówię.

Instruktorzy, chcąc nie chcąc, zebrali wojsko tam, gdzie ich zastały rozkazy, czyli na środku drogi. Z najwyższym trudem udało im się zapędzić ludzi tak, żeby tworzyli półkole, a i tak jeden bok musiał wyleżeć na łąkę. Niemniej już po dłuższej chwili dowódca mógł przemówić i wszyscy powinni go słyszeć.

– Ludzie! – wrzasnął Taron. – Jeden z weteranów słusznie przypomniał mi, że muszę przedstawić wam taktyczne założenia

rabowania. Cele mamy dwa. Pierwszy to zniszczyć wszystko! Zrozumieliście, barany?

– Tia. Tak jest! Jasne. Spokojnie, szefuńciu, będzie zniszczone. – Żołnierze odpowiadali każdy, jak umiał. Regulaminów jeszcze się nie nauczyli.

– Po drugie, macie rabować!

W tym miejscu odpowiedź była zdecydowanie bardziej entuzjastyczna.

– I żeby mi wszyscy nie lecieli kupą do najlepszych pomieszczeń. Po akcji wszyscy kładą łupy na kocach i dzielimy je dla każdego po równo. Dzisiaj cesarz nie bierze podatku od zgromadzonych dóbr! Wszystko wasze!

– Aaaaa!...

– No to jeśli zrozumieliście, to na co jeszcze czekacie? – obruszył się Taron. – Jeden z drugim do ataku!

Nie trzeba było dwa razy powtarzać. Ludzie ruszyli jednocześnie tłumem. Dopiero potem, na łące, szyk zaczął się zmieniać w poszarpaną ławę. Pierwszy płot okalający posiadłość padł pod samym naporem atakujących. Drugi, bardziej solidny, z elementami murków i ceglanych słupów, musiano rozwalać przez dłuższą chwilę. Ale to nie były instalacje obronne, raczej ozdobne. Nie zdołały powstrzymać atakujących, którzy rozlali się wśród zabudowań folwarku. Pracujący tam ludzie dopiero teraz zorientowali się, że coś jest nie tak. Ktoś wybiegł protestować, że zdeptano cudowne klomby, ktoś pomstował nad rozrzuconym wokół sianem. Do czasu, aż to siano podpalono. Wtedy, jak słusznie przewidywał setnik, sługi i niewolnicy Prabha zaczęli uciekać.

– Muszę zobaczyć, jak sobie radzą – powiedział Taron.

– Zaraz – szarpnęła się Taida. – I zostawisz mnie tu samą?

– Będziesz pod opieką instruktorów.

– Daruj sobie, wiesz? Pod opieką tych cip, co sobie z wojskiem nie radzą? – Prokurator wyskoczyła z dwukółki. – Idę z tobą.

Jej setnik rozejrzał się niepewnie.

– No właściwie... – Potarł brodę. – Więszego oporu nie widać. To chodź.

– To idę! – warknęła.

Oboje ruszyli szybkim krokiem za własnym wojskiem. Niebezpieczeństwa rzeczywiście nie było. Ktoś chyba zabarykadował się w stajni. Jacyś ludzie pozamykali drzwi do pałacyku.

– Wyłazić! – wrzeszczał jakiś rosły żołnierz z mieczem w ręku. – Albo was podpalimy!

– Człowieku – odpowiedział ktoś z wnętrza stajni – tu są cenne zwierzęta. Nie wolno z ogniem...

– Cennych zwierząt nam szkoda, was nie. Więc w sumie przeważyło, że podpalamy! – Samozwańczy przywódca szeptem rozdzielał zadania. – Znajdźcie jakiś łom, metalowy drąg, cokolwiek. Powinny być przy kuźni. Ty, ty i ty znajdźcie jakiś sznur gruby albo linę. Jazda! Już!

O dziwo, wyznaczeni ludzie rozbiegli się do swoich zadań. Po chwili ktoś przyniósł dźwignię do ogrodowej pompy.

– O, świetnie. Wbijcie to pod którąkolwiek deskę. I wszyscy naraz! – Rosły żołnierz pokazał swoim, jak naciskać. – Już!

Deska, pod którą wciśnięto zaimprovizowaną dźwignię, najpierw trzasnęła ostrzegawczo, a potem pękła z głuchym trzaskiem. Ktoś wywalił jej połowę kopniakiem.

– Następną dechę wywalać! I podpałkę skombinujcie.

– Ty! Zostaw! Wychodzimy... – rozległo się ze środka.

– Nie wierzę wam. Podpalamy!

– Wychodzimy! – Z wnętrza stajni dobiegł ich łoskot zrzucanych elementów prowizorycznej barykady. – Nie zabijajcie.

Solidne drzwi otworzyły się nagle, ukazując kilka postaci z rękami trzymanymi tak, żeby widać było, że nie mają niczego w dłoniach.

– Poddajemy się!

– A spierdajcie sobie won! Ja tu po coś innego przyszedłem.

Taron podszedł do samozwańczego przywódcy żołnierzy.

– Ty! Jak masz na imię?

Rosły wojak stropił się wyraźnie, myśląc, że coś zrobił nie tak i teraz wymierzą mu karę.

– Nhun – odparł z podejrziwym spojrzeniem.

– Doskonale, Nhun. – Taron mówił głośno, tak żeby wszyscy wokół słyszeli. – Za okazaną inicjatywę mianuję cię moim dziesiątnikiem. Wybierz sobie najlepszych ludzi z tej hałastry i sformuj swój oddział.

– Tak jest! – Nowy podoficer wyprężył się służbiście.

Jak widać, znał jednak regulamin. Żołnierze obserwowali całą scenę w zdziwieniu.

– Co tak stoją? – Taron zerknął na Nhuna. – Każ im brać się do roboty.

– Zapierdalać! – wrzasnął podoficer, który nawet nie zdążył jeszcze naszyć na mundur żadnych dystynkcji. A mimo to członkowie jego oddziału runęli do swoich zadań, jakby huragan zmiótł ich nagle z zasięgu wzroku.

Taida, obserwująca całą scenę z pewnego oddalenia, bezgłośnie i leciutko udawała, że bije brawo. Taron tymczasem nie ustawał. Ruszył dalej, do stajni, która miała zostać spalona. Przez jej wrota żołnierze

wyprowadzali właśnie konie. Nawet niewprawne oko mogło ocenić, że zwierzęta są warte majątek.

– Szkoda zabijać – powiedział jeden ze świeżych rekrutów. – Jakby tak na targ zaprowadzić do najbliższego miasteczka...

– Na targu to za psie brązowe pójdą.

– No racja. A na złość znam dobrego handlarza łupami, ale on w Syrinx. Za daleko...

– Czekaj. – Taron lajał się w duchu, że sam o tym nie pomyślał. – Handlarza łupami znasz? Dobrego?

– Tak, panie. – Żołnierz co prawda wyprostował się służbiście, ale właściwej formuły meldunku nie znał.

– Konno jeździsz?

– Tak, panie.

– Mianuję cię moim osobistym gońcem. Konia sobie osiodłaj i jedź po tego handlarza, niech tu przybędzie od razu ze swoimi ludźmi i wozami. No i z gotówką oczywiście, bo ludzie, podnieceni działaniem, na kwit mu nic nie dadzą.

– Tak jest, panie setniku!

Meldunek do dupy, lecz postawa i entuzjazm godne pochwały. Kto wie? Może i dałoby się z tych ludzi zrobić prawdziwe wojsko, tyle że... czasu raczej zabraknie. Taron jednak nie zawracał sobie głowy sprawami, na które nie miał żadnego wpływu. Ruszył załatwiać te, na które wpływ miał. Najpierw skierował się w stronę pałacyku.

– Co jest, do kurwy nędzy? – zaczął krzyać dokładnie od chwili, kiedy znalazł się w zasięgu słuchu swoich ludzi. – Czemu ten kurnik jeszcze nie zdobyty?!

– Z kusz strzelają, panie. – Jakiś młokos usiłował nawet przyjąć postawę zasadniczą. – Z okien na piętrze.

– A dół?

– Zabarykadowali!

– Jakim cudem zdążyli tak szybko wszystko zabarykadować? Jak to w ogóle możliwe, skoro to pałac, a nie zamek?

Chłopak nie zdążył udzielić odpowiedzi, przerwał mu bowiem czyjś krzyk:

– Wszyscy do mnie! Razem do dyszła!

Od strony wozowni kilkunastu ludzi ciągnęło dość ciężki furgon, służący pewnie do zwożenia płodów rolnych z różnych części folwarku. Teraz pojazd był dodatkowo obciążony drągami, na których wcześniej najprawdopodobniej wisiały latarnie.

– Wszyscy do dyszła, brać drągi! – wydierał się dość niski mężczyzna w średnim wieku. Najwyraźniej zamierzał użyć wozu jako swego

tarana i osłony przed strzelcami zarazem. W każdym razie ludzie go słuchali.

– Hej, ty! – krzyknął Taron, wskazując go palcem. – Natychmiast do mnie!

Tak samo jak poprzedni rekrut, podchodząc, myślał, że dostanie opierdół. Tak właśnie tłumilo się inicjatywę w imperium. Przynajmniej wśród ludu.

– Jak masz na imię?

– Made, panie.

– No i trudno, słyszałem dziwniejsze imiona... Ale! Za okazaną inicjatywę mianuję cię moim dziesiątnikiem! Wybierz sobie najlepszych ludzi i zdobądź mi to gówno, zanim wojsko posra się z samego wysiłku nicnierobienia!

– Tak jest! Panie setniku!

– Wykonać!

– Rozkaz!

Okazało się, że wszyscy rekruci znali prawidłowe formuły. Psy jedne. Tylko im się nie chciało albo wbrew robili, sukinsyny.

Tymczasem Made udowadniał, że jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Kiedy już oficjalnie dostał władzę, od razu zrezygnował ze skomplikowanego planu.

– Pierdolić ten wóz! – krzyczał. – Bierzcie drągi i do ataku!

– Ale strzelają...

– Do ataku! – wydarł się Made. – Szturm!

Ludzie brali drągi z wozu, a nowy podoficer umiał narzucić im swoją wolę. Zdołał ich nawet zebrać razem i rzucić do ataku w tej samej chwili. Wystarczyło. Ktoś być może i wystrzelił z pietra, ale na dole nikt chyba tego nie zauważył. Zresztą jakie kusze mogły być w takim pałacu? Nie wojskowe przecież, a co najwyżej myśliwskie. Górzące oczywiście celnością, zasięgiem i precyzją w każdym detalu. Ale czas ładowania był znacznie dłuższy niż w prostych modelach.

Pałac nie był budowlą obronną. Kilkunastu ludzi błyskawicznie rozwaliło drągami ozdobne drzwi i bez strat wdarło się do środka. Z wewnątrz nie dobiegały najmniejsze nawet odgłosy walki. Słyszać było tylko ryk nowego dziesiątnika.

Taida dopiero teraz podeszła do Tarona.

– Mianujesz tych, którym komenda sama pcha się w ręce? – zapytała. – Inaczej niż w armii, gdzie staż, wysługa i...

– I znajomości – dokończył za nią. – Ja już służyłem w klasycznych formacjach i widziałem, że dowódcą może zostać ten, który najdłużej

służył. No należało mu się po prostu – zakończył kpiną. – Tu będzie inaczej.

– Słyszałam, że chcesz tu handlarza łupami – powiedziała. – Myślisz, że jakiś kupiec odważy się tu handlować? Przecież to dobra Prabha, a to wielki pan.

– Odważy się. – Jej setnik nie miał wątpliwości. – Po pierwsze, to okazja, a po drugie, nie ma lepszej realizacji twojego planu wbicia klina między spiskowców. Niech się Prabh dowie, że jego wieloletnie pamiątki rodzinne są rozprzedawane na targu za psi pieniądz.

– Myślisz, że ludzie kupią? Nie będą się bali?

– To kwestia ceny. No i pewnego ulotnego uczucia.

– Jakiego? – Spojrzała zdziwiona.

– Czyż nie jest miło szczać do kielicha, w którym tak wielki pan moczył swoje usta?

Nie zdążyła się roześmiać, bo spomiędzy resztek ozdobnych niegdyś drzwi wyskoczył Made.

– Melduję, że pałac zdobyty, panie setniku!

– Dziękuję. – Taron dziarsko oddał salut dziesiętnika. – A jak skończycie grabić, to rozpierzdzić mi tu wszystko!

– Tak jest! Kamień na kamieniu nie pozostanie. Tu nawet trawa nie będzie rosnąć!



Niki leżała w skłębionej pościeli, rozleniwiona i jakby spowolniona w każdym swoim ruchu. Powoli głaskała swój wysklepiony brzuch.

– Ciekawe, co myśli takie dziecko w środku, kiedy jego rodzice kochają się dziko. Że to trzęsienie ziemi?

– No przecież to jeszcze nie myśli! – Virion uniósł się na łokciu.

– Żebyś się nie zdziwił. Znaczy nie myśli jak my, oczywiście, ale...

– Ale co?

– Swoje czuje. – Oblizwała językiem spierzchnięte wargi. – I ciekawe właśnie, co czuje, kiedy my się kochamy.

– Niech się przyzwyczajają, że walka jest immanentną częścią życia. Także w miłości.

– Mamo, skąd znasz takie słowa?

– Immanentny? To znaczy...

– Nie tłumacz mi, co to znaczy, bo łapię kontekst. Ale... – Niki swoim zwyczajem w chwilach, kiedy była zaaferowana, włożyła palec do ust. –

Poczekaj. – Najwyraźniej jakaś inna myśl zmarszczyła jej czoło. – Poczekaj.

– Nigdzie nie idę.

Ssanie palca musiało przynieść wymierne efekty, bo upiorzyca nagle spojrzała z zupełnie innym wyrazem twarzy niż poprzednio.

– Czy nie wydaje ci się, że Zegroz coś przed tobą ukrywa? – zapytała.

I jak zwykle u Niki: moment zastanowienia, olśnienie i strzał w sam środek tarczy. Tak, miał dokładnie takie samo wrażenie, ale nie potrafił go sobie uzmysłowić. Dopiero Niki ubrała je w słowa. Tak jak to tylko ona potrafiła, od razu konkretnie, idealnie w punkt.

– Mam – odparł zdziwiony, że sam nie potrafił tego powiedzieć. – Ciągłe niby to się sumituje, ale pewny jest tylko tego, że nie pokonam Nekrona.

– I nie chce powiedzieć dlaczego?

– Nie chce.

– Ukrywa!

Niki aż podskoczyła w pościeli. A potem zamyśliła się znowu. Na szczęście nie trwało to długo.

– Myślałam o tym, żeby go sama zapytać, może by się zlitował nad kobietą w odmiennym stanie, ale nie wiem, jakie tu panują obyczaje. Ja jestem dzika, wychowywałam się wśród ludzi, a nie w takim miejscu jak to...

– Pani Nikt nie pomoże? – przerwał jej brutalnie pytaniem.

– Stąd się z nią nie skontaktuję. Nawet najprostszych uczuć nie przekażę.

– Dlaczego?

– Bo to budowla obronna. Wszystko, co tu się znajduje, ma służyć separacji od wrogiego świata.

– Więc wyjdź na zewnątrz.

– No. No ładnie. I niby jaki powód przedstawię?

– A ty nie musisz niczego przedstawiać. Jesteś babą w ciąży i masz święte prawo mieć zachcianki! Za-chcian-ki!

Niki aż palnęła się w czoło z powodu takiej oczywistości. Że też jej to nie przyszło do głowy.

– No przecież – westchnęła. – Właśnie poczułam nieprzewartą chęć przespacerowania się w upalnym słońcu na środku pustyni.

– I niech ci spróbują odmówić. – Virion groźnie potrząsnął pięścią.

– A jeśli Zegroz coś poczuje?

– Nie martw się, gospodarza biorę na siebie. – Virion wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać. – Lecę do niego, bo mi dzisiaj obiecał pokazać nową grę. I zajmę go do wieczora.

Niki poruszyła się niespokojnie.

– Daj mi chwilę. Po kochaniu muszę się umyć.

– Nie spiesz się, dasz radę. I masz czas do wieczora.

Pocałował żonę na pożegnanie i ruszył do drzwi. Na korytarzu nie było nikogo, ale to nie stanowiło dla Viriona problemu. Zapamiętał drogę do sali, gdzie pojedynkował się z młodym upiorem poprzedniego dnia. Zresztą w tej budowlu trudno było się zgubić. We wszystkich miejscach, gdzie potencjalnie mogło dojść do walki, architekci projektowali pomieszczenia i ciągi komunikacyjne zawsze w jasnym i czytelnym układzie. W najgorszych chwilach nie może bowiem dojść do żadnej niepotrzebnej bieżaniny i żadnego zamieszania. Tak musiało być i tutaj. W każdym razie Virion nie miał trudności z odnalezieniem właściwych drzwi.

Natomiast sama sala zmieniła się od tego, co pamiętał z poprzedniego dnia. Oczywiście ktoś usunął plamę krwi ze środka. Z tym że to drobiazg. Ściana na wprost wejścia gdzieś znikła. Ktoś ją rozsunął? Otworzył? Trudno powiedzieć. Po prostu jej nie było. Za to można było dostrzec wielką, naturalną chyba pieczarę we wnętrzu góry, ledwie rozświetloną światłem padającym z pomieszczenia. Zegroz stał tuż nad krawędzią i patrzył gdzieś w dół, w otchłań. Odwrócił się, dopiero słysząc dobiegające z tyłu kroki.

– O, cieszę się, że jesteś. – Wyciągnął ręce w stronę nadchodzącego gościa.

– Melancholia? Nagły napad?

– Raczej przyływ wspomnień.

Upiór podszedł do stojaka z rzeczami, które danego dnia mogły okazać się przydatne. Wziął z niego dwa solidne, dobrze obrobione kije i małą piłeczkę.

– Chciałem pokazać ci bardzo ciekawą grę – powiedział. – A przy okazji dać szansę przemyśleć możliwości i niemożliwości.

– Już się przyzwyczaiłem, że z każdego spotkania z tobą powinna płynąć jakaś nauka.

Gospodarz skłonił głowę z uśmiechem.

– Popatrz, to gra, która jest niemożliwa.

Zaczął wyjaśniać, że skórzaną piłeczkę wypchaną mocno trawą należy uderzyć kijem i posłać w określone miejsce na ścianie. Szybko wytłumaczył zasady sportowe, a potem podrzucił piłkę, uderzył kijem tak, że poleciała i uderzyła w wybrane miejsce, a potem wróciła do grającego.

– Dlaczego ta gra jest niemożliwa? – zapytał Virion.

– Jako dziecku z dobrego domu na pewno włączano ci do głowy podstawy geometrii.

– Oj tak. Oj tak. Nie szczeniąc różeg.

– O? Wniosek z tego, że coś ci w głowie musiało zostać. Popatrz więc tutaj. – Zegroz podniósł swoje pomoce. – Piłeczka jest kulą, siłą rzeczy ma więc obłą powierzchnię. Kij jest walcem, jego powierzchnia jest zatem zaokrąglona. A twoim zadaniem jest uderzyć jednym o drugie i w dodatku nadać piłce zadany kierunek lotu. Matematyczne obliczenie odpowiedniego kąta jest, jak wiesz, niemożliwe.

– Tak. To nawet ja wiem.

– No właśnie. Żaden umysł nie jest w stanie tak dobrać odpowiednich kątów, żeby dokonać niemożliwego. A jednak przeciętny gracz sobie z tym radzi. – Zegroz znowu podrzucił piłkę i odbił ją, śląc od razu w wybrane miejsce na ścianie. – Nie dość, że przeciętny, to nawet początkujący gracz jest w stanie dokonać tej sztuki.

Podał drugi kij i piłkę Virionowi. Ten powtórzył gesty gospodarza, ale jedyne, co osiągnął, to w ogóle uderzenie piłeczki, która poleciała gdzieś w kąt.

– Spróbuj jeszcze kilka razy – poprosił gospodarz. – I nie napinaj się. Uderzaj od niechcienia.

Dopiero przy piątej próbie Virionowi udało się posłać piłkę na ścianę. Ale po kilkunastu razach mógł już wysłać ją w pobliże wskazanego miejsca.

– To gra dwuosobowa. – Zegroz sprawnie włączył się do zabawy, odbijając co drugie uderzenie. – Raz ty, raz ja. Powiedz mi, jakim cudem jesteśmy w stanie robić coś, czego nie mogą pojąć nasze umysły?

– To jest jak w walce. Możesz użyć rozumu do wymyślenia strategii, ale jeżeli zaczniesz mieszać go do taktyki, od razu przegrasz.

– Aha. Czyli, upraszczając, nasz umysł nie potrafi czegoś, co potrafi nasze ciało.

– Tak. Tak sędzę.

– No dobrze. Pozwól zatem, że pokażę ci rzecz jeszcze bardziej niemożliwą. Teraz już będzie czysta magia.

– No, no?

– Można przyspieszyć grę. Bo w ten sposób moglibyśmy odbijać tak aż do chwili, kiedy umrzemy z głodu. Raz ty, raz ja, pyk-pyk, pyk-pyk, pyk-pyk...

– Nie w mówisz mi, że nie wymyślono jakichś sztuczek.

– Wymyślono, wymyślono. Najgorszą z nich jest przyspieszenie. To dla mistrzów.

– I na czym to polega?

– Normalnie widzisz lot odbitej od ściany piłki, ustawiasz kij i zaczynasz jego ruch. Piłka i kij mają w sobie uderzyć w miejscu, gdzie

piłki jeszcze nie ma, kiedy zaczynasz ruch kijem. Ale przecież widzisz, gdzie ona leci.

– A przyspieszenie?

– Zaczynasz ruch kijem w chwili, kiedy jeszcze nie widzisz, gdzie leci piłeczka. Zaczynasz, kiedy ona dopiero odrywa się od ściany. I masz uderzyć w miejsce, gdzie piłka znajdzie się dopiero za chwilę, nie widząc toru jej lotu.

– To niemożliwe!

– Właśnie.

Zegroz przyspieszył lekko, uderzając prawie dwa razy wcześniej, niż powinien. Prędkość piłki tak zaskoczyła Viriona, że nie zdążył już odbić.

– Ja pier...

– Zgadzam się z tobą, to niemożliwe. Matematycy nawet za milion lat rozwoju ich nauki pewnie nie obliczą odpowiednich kątów i nie dowiedzą się, w jaki sposób ludzkie ciało zgaduje, co stanie się z piłką w „przyszłości”. A jednak nawet przeciętny gracz potrafi przyspieszyć. A początkującemu też może się to udać.

Virion podrzucił piłkę, uderzył, Zegroz odbił, krzycząc jednocześnie:

– Już!

Virion miał genialny refleks, wyprowadził uderzenie, zanim zobaczył powrotny tor lotu piłki. I chyba stał się cud. Trafił. To nie było uderzenie, które mogłoby nadać piłeczce wymagany kierunek. To nie było nic świadomego. Ale... niezaprzeczalnie kij trafił w piłkę, śląc ją gdzieś w bok, do kąta.

– No i co? – śmiał się upiór. – Ja wiem, że to niemożliwe. Ty wiesz. Ale właśnie to zrobiłeś.

Virion oddychał szybko, choć przecież wcale nie był zmęczony. Niebawem. A gospodarz nie zamierzał jeszcze kończyć zabawy.

– Skoro jako tako radzisz sobie z kijkiem, przejdźmy zatem do tematów, z którymi radzisz sobie doskonale. Sprawdźmy, czy tam również można dokonać niemożliwego.

– Myślisz o prawdziwej broni?

– Oczywiście. – Zegroz odłożył kijki na odpowiedni stojak i podniósł z niego dwa miecze.

Virion miał tylko nadzieję, że to nie te same, co wczoraj. Jakoś tak nie mógł się ciągle pozbyć irracjonalnego poczucia, że coś podczas walki z chłopakiem poszło nie tak i zabił kogoś naprawdę. Znał upiory, znał wolę gospodarza, Niki również powtarzała, że wszystko jest w porządku, ale gdzieś z tyłu głowy nadal tkwiło uczucie, delikatnie mówiąc, niestosowności tego, co zaszło.

– Dziś się nie zabijamy? – postanowił się upewnić.

– Dziś nie. – Gospodarz przyjął to jako dowcip.
Stanęli naprzeciw siebie na samym środku sali.

– Atakuj, proszę.

Virion wyważał sobie rękojęść w dłoni.

– Zaczynamy bez dodatkowej klauzuli, żeby nie ucinać głów ani nic w tym stylu? – zapytał.

– Dziś nie – powtórzył gospodarz.

No to... Virion zaatakował bez ostrzeżenia, lekko, leciutko, jakby mimowolnie, nie dając żadnego sygnału, nie biorąc oddechu, nie spinając się, nawet nie naprężając mięśni. Zegroz odbił jego ostrze, zastawił się, ale w trakcie tego ruchu już zmienił zamiar, postanowił przejść do gotowości i cofnął się o krok.

Oczywiście potknął się, coś nim zachwiało i byłby być może nawet się przewrócił, gdyby nie Virion, który chwycił go za ramię.

– Ufff... Tak się kończy niedocenianie przeciwnika – wysapał upiór. – Tak się kończy wiara w to, że jestem wielokrotnie szybszy, bardziej sprawny i jestem lepszy, bo trenuję od paruset już lat.

– Drugi raz już nie uda mi się ciebie zaskoczyć.

– Wiem. Ale to chyba frustruje mnie jeszcze bardziej.

Zaczęli się śmiać. A potem znowu stanęli w postawie naprzeciw siebie. Tym razem Virion zaatakował klasycznie. Ich miecze skrzyżowały się i zaczęła się tradycyjna przepychanka: krok naprzód, krok w tył. Zegroz zdawał się mieć niespożyte siły. Ale wyraźnie też widać było, że jego zamiarem nie jest gra na wyczerpanie przeciwnika.

– Przyspiesz – poprosił w pewnej chwili.

Virion zaatakował z furią, zmuszając gospodarza do cofnięcia się o krok.

– Jeszcze bardziej!

No to teraz trzeba dać z siebie wszystko. Wydawało się, że klingi, uderzając o siebie, krzeszą iskry. Nie można było zauważyć ich torów. Światło mamiło, odbijając się od stali, i właściwie nie sposób było odróżnić pojedynczych ruchów, ciosów, parowań. Wszystko to bardziej przypominało burzę błysków światła niż rzeczywistą walkę.

– Dość! – wykrzyknął w pewnej chwili upiór.

Odskoczyli od siebie, dysząc, i przez długą chwilę nie mogąc złapać oddechu. Zegroz oparł dłonie na kolanach. Potem podniósł głowę.

– A mówią, że upiory są miażdżąco szybsze od ludzi. – Uśmiechnął się.

– A nie są? Jakimś cudem stoisz na nogach.

Zegroz tylko pokręcił głową.

– Żaden z ludzi na tym świecie nie wytrzymałby takiego ataku. Absolutnie żaden nie wytrzymałby z tobą ani chwili czegoś takiego.

– Przesadzasz.

– Chyba nie. Żeby cię pokonać, trzeba całej armii.

– Teraz to już na pewno przesadzasz.

Upiór znowu zaprzeczył.

– To, co zrobiłeś, właściwie dla wszystkich ludzi jest czymś niemożliwym do osiągnięcia. Dla ciebie jednak nie jest to niemożliwe. A nie o to mi chodziło.

– Oświecisz mnie?

– Chodź. – Upiór, jakby ciągle zdziwiony, a w każdym razie z uchwytnym wyrazem zaskoczenia na twarzy, poprowadził gościa, gdzie niedawno jeszcze była ściana, a teraz ziała mroczna otchłań. Obaj stanęli na samej krawędzi przepaści. Patrząc w dół, można było zauważyć gdzieś na dole lekki odblask. Trudno powiedzieć: upuszczonej tam lampy czy raczej mżenia jakiegoś ognia. Nie sposób było ocenić wysokości. Ale mogła ona wynosić i kilkuset ludzi ustawionych jeden na drugim.

– Wiesz, co to jest?

Virion czuł lekką, aczkolwiek nieznośną miękkość w nogach.

– Wasze lekarstwo na zaparcia? Jedno spojrzenie w dół i ta dolegliwość znika.



Obaj stanęli na samej krawędzi przepaści

– Nie wyglądasz na kogoś, kto się przestraszył.

– Bo się nie przestraszyłem. Ale ta głębia wciążą, przyznam.

– No właśnie, trochę rozprasza – uśmiechnął się Zegroz. – Proponuję więc powtórzyć nasz pojedynek w tym miejscu.

Virion zachnął się tylko.

– No, teraz to zdobywasz przewagę wręcz...

– Epicką – zakończył upiór.

Zaatakował bez ostrzeżenia, ale Virion po swoim numerze w tym stylu był absolutnie gotowy. Nawet nie drgnął pod naporem przeciwnika. Zresztą nie mógł drgnąć. Cofnięcie się z przepaścią tuż przy stopie stanowiłoby próbę samobójczą zakończoną pewnym sukcesem. Ale też odpieranie ataków Zegroza, bo tym razem on stał się stroną aktywną, było praktycznie niemożliwe. Gospodarz ewidentnie nie napierał z całą mocą, zdawał się na coś czekać.

Virion cofnął się zatem w głąb sali, kilka kroków od zabójczej przepaści. Nie. Nie da się walczyć ze świadomością, że jeden zły krok, jedno złe postawienie stopy spowoduje śmiertelny upadek.

Zdecydował się na kontratak. Nie miał nawet części sił upiora ani ułamka jego szybkości. Broniło go wyłącznie ogromne doświadczenie i instynkt zabójcy, który pojawił się kiedyś i wzmacniał przez lata. A kontratak właśnie był tym, co miało choćby iluzoryczną szansę powodzenia. Wystarczyło poczekać na odpowiednią okazję.

Ta nadarzyła się dosłownie chwilę później. Zegroz źle obliczył cios, jego ostrze zsunęło się po kładzie Viriona odrobinę zbyt szybko, a luka, która się w związku z tym pojawiła, dawała szansę.

Virion odepchnął miecz przeciwnika i w tym samym ruchu wyprowadził cios. Zegroz podniósł miecz, ale klinga przeciwnika zatańczyła w zwodzie. Virion przerzucił miecz do drugiej ręki i z całą siłą uderzył z przeciwnego kierunku, prosto w broń upiora.

Nic z tego! Zegroz, choć stał teraz plecami do zabójczej krawędzi, cofnął się odrobinę, odbił broń atakującego i cofnął się jeszcze, stając połową stóp na linii, która kończyła podłogę. Pięty Zegroza znalazły się już nad przepaścią. Jakiś odruch, jakaś wątpliwość opóźniła atak Viriona, a jego wahanie pozwoliło gospodarzowi odbić miecz i wycelować swoim w gardło gościa.

– Uuuu...

Trzeba było opuścić broń.

Upiór uśmiechnął się lekko. Widać było, że i jemu na moment puściły emocje. Opanował się jednak błyskawicznie. Potem skłonił głowę i wykonał zapraszający gest, żeby odeszli pod przeciwległą ścianę, z dala od mrocznej przepaści.

– Co to było? – rzucił zaskoczony Virion.

– Chciałem, żebyś dokonał niemożliwego. Choć wiedziałem, że cud nie ma prawa nastąpić.

– Wszystkie upiory mają nierówno pod sufitem czy jesteś wyjątkiem?

– Przepraszam, że naraziłem cię na takie emocje, przyjacielu. Naprawdę przepraszam.

Zegroz znowu wszedł w rolę dobrego gospodarza. Kłaśnięciem w dłoń przywołał służącą z winem. Kilku innych służących przyniosło wygodne krzesła i rozstawiło tace z przekąskami. Virion odezwał się, dopiero kiedy wszyscy wyszli.

– Czy ty mi chcesz coś powiedzieć? – zapytał. – Bo mam wrażenie, że wszystkie twoje działania zmierzają ku temu, żeby mi coś zasugerować.

– Wrażenie cię nie myli, przyjacielu.

– Wiesz co? Moja żona powtarza zawsze, że mężczyźnie lepiej nie dawać niczego do zrozumienia. Trzeba powiedzieć wprost albo się zamknąć. Chłop to mechanizm prosty jak młyn wodny. A czyż do młyna da się przemawiać aluzjami?

Zegroz roześmiał się trochę wymuszenie.

– Twoja piękna upiorzyca na pewno ma rację. Na szczęście niczego nie daję ci do zrozumienia. Chcę tylko powiedzieć, że po pierwsze, cuda się zdarzają, czasem nawet nagminnie...

– A po drugie?

– Po drugie, że przegrana nie musi oznaczać klęski.

Virion zaczął się śmiać, a potem upił trochę doskonałego wina. Postanowił przeprowadzić atak bezpośredni.

– Powiedz mi, dlaczego sądzisz, że przegram następny pojedynek z Nekronem?

– Jest za dobry i ma wsparcie jakiegoś czarownika.

– Ale tym razem będę spodziewał się ataku, będę wiedział, jakie są jego możliwości...

– Nie będziesz wiedział – wpadł mu w słowo gospodarz. – A może inaczej: nic ci ta wiedza nie da.

– Dlaczego?

– On został stworzony do zwyciężania.

– Ja też.

– Wiem, że to nie pycha przez ciebie przemawia.

– Zakon zrobił ze mnie coś, co nie powinno pojawić się na świecie.

Upiór westchnął ciężko. A potem spojrział prosto w oczy gościa.

– Wiem o tym – powtórzył. – Ale i wrogowie cesarstwa posiadli tę wiedzę, niestety. Najwyraźniej przestraszyli się w dniu, kiedy Taida wynajęła przeciwko nim właśnie ciebie. Szybko musieli dowiedzieć się o tym fakcie i szybko zaczęli działać.

Virion zamyślił się, przypominając sobie to wszystko, co towarzyszyło zawarciu umowy z prokuratorem. Taida zaprosiła go do łaźni, pamiętał pomieszczenie pełne pary, gdzie spotkali się nago, ona, dobiwszy targu, powiedziała, że zamiast popłuć w dłonie i uściśnąć je, jak robią woźnice, wymienia się śliną w inny sposób. Przytuliła się nagle i bezczelnie wsunęła mu język do ust. Tak, cała scena ciągle tkwiła mu przed oczami. Kto wtedy był świadkiem? Z tym było gorzej. Na pewno Hekke, gdzieś w pobliżu Kody i jakiś odźwierny. Oczywiście w samych łaźniach cesarskich mogło być ukrytych nawet i parę tysięcy ludzi, a kto na Zamku wiedział o zamiarach Taidy, to już nie sposób zgadnąć. Ale rozstrzygnięcie tej kwestii nie było celem Viriona. Bardziej interesowało go, czego spiskowcy się przestraszyli. No przecież to śmieszne, że ludzie władni zagrozić największemu na świecie cesarstwu mogli się obawiać pojedynczego szermierza. Cokolwiek by potrafił, sam jeden nie mógł być realnym zagrożeniem. O co więc chodziło? Ciekawe.

Gospodarz chyba podążył tropem myśli swojego gościa, bo powiedział:

– Nekron nie został stworzony po to, żeby być najlepszym szermierzem na świecie. Nie powstał też, żeby stać się zabójcą ostatecznym.

– A dlaczego powołano go do życia?

– On ma jedynie pokonać ciebie – powiedział upiór spokojnie. – Pokonać i zabić. Wyeliminować.

Virion cmoknął lekko.

– Potraktuję to jako wyróżnienie.

– Bo jest nim w istocie. – Zegroz wzruszył ramionami. – Zwróć uwagę, że on nie interesuje się innymi przeciwnikami. Nie realizuje innego zadania poza jednym, priorytetowym.

– Tego nie wiemy. Pokonał Nolaana i Hekkego, Rohana, Liriona...

– Jeśli złodziej chce ukraść stracha na wróble ustawionego na środku pola, gdzie rośnie owies, to idzie wprost do niego. Nie baczy, ile kłosów będzie musiał zdeptać po drodze.

– I moi ludzie są takimi kłosami?

– A pamiętasz, że nawet nie zainteresował się Kodym? Ledwie zerknął.

– Może wiedział, że to nie jest przeciwnik w mieczu?

– Skąd wiedział? Była burza piaskowa, wszyscy mieli ściśle zakryte twarze.

– Więc skąd wiedział, gdzie jestem ja?

– No właśnie. To już nie jest sprawa z tego świata.

Zegroz ponownie napełnił kielichy.

– Zakazana magia – podjął po chwili – nie jest czymś, na czym mogę się znać. Pojawiają się zatem dwa pytania. Skąd wiedział, że ty to ty. I na to pytanie znam odpowiedź, ale ci jej nie udzielę. Ale jest drugie pytanie, i to ważniejsze.

– Jakie?

– Dlaczego zaniechał? Co sprawiło, że skoro już szedł za wami, za osłabioną Niki, która ciągnęła rannego męża po piasku, nie zrealizował swojego celu? I na to pytanie nie znam odpowiedzi.

– Rzeczywiście ciekawe. Ale nie sądzisz, że po prostu uznał mnie za trupa?

– Nie uznał.

– O! Wydajesz się nieprawdopodobnie pewny siebie. Jeśli chodzi o znajomość Nekrona, to miałem na myśli.

Ni stąd, ni zowąd gospodarz zaczął się śmiać.

– Bo znam. Przynajmniej trochę.

Virion odstawił swój puchar.

– Czas przygotować się do obiadu. – Podniósł się ze swojego miejsca. – Tam już nie będziesz mówił zagadkami, bo to ja będę miał przewagę.

– Jaką? – Zegroz podniósł się również.

– Liczebną!

Rozstali się po wymianie uśmiechów i Virion mógł ruszyć w drogę powrotną. Kiedy tylko zniknął gospodarzowi z oczu za pierwszym zakrętem, przyspieszył gwałtownie. Przyczyną przerwania zagadkowej rozmowy nie był oczywiście żaden obiad. Sam wiedział, że z upiora nic ciekawego już nie wyciągnie, ale przecież jego żona realizowała tajną misję. I był bardzo ciekawy, jak jej poszło.

Prawie wbiegł do ich komnaty. Niki już wróciła. Siedziała na łóżku z triumfalną miną.

– I co? – zapytał z rozpędu, choć wcale nie musiał. Już wiedział, że tajna misja zakończyła się sukcesem.

– Oczywiście, że dałam znać pani Nikt, jaki mamy tu problem.

– I co? – powtórzył.

– Ona to załatwi. Zmusi Zegroza, żeby powiedział, co ukrywa.

– Kochanie – usiadł przy niej na łóżku i przytulił – wiesz, że cię kocham?

Spojrzała na niego z olbrzymią dawką pewności siebie.

– No wiem.



Taron wbiegł do gabinetu Taidy tak radosny, jakby co najmniej ktoś przyniósł mu rano głowę Geberika na złotej tacy.

– Co się stało?

Ledwie podniosła wzrok znad papierów, ale wyprostować się już nie zdążyła, bo pochylił się nad nią i krzyknął, powodując dzwonięcie w uszach:

– Aleśmy Tulia nastraszyli!

– Ożeż ty. – Włożyła palec do małżowiny, ale to, niestety, nie pomagało.

– Co?

– Aleśmy Tulia nastraszyli! – powiedział już spokojniej.

– To słyszałam. A po czym wnioskujesz?

Taron przysiadł na skraju biurka.

– Przyszedł do mnie właśnie, a właściwie przybiegł z wiadomością najwyższej wagi. Ale zamiast grać trochę na zwłokę, stopniować napięcie i coś może utargować, on po prostu przestępował z nogi na nogę, żeby mi szybko powiedzieć.

– Jak on w ogóle może być kupcem z taką rozedrganą psychiką?

– No właśnie. Strach go tu przygnał z szybkością bełtu wystrzelonego z kuszy.

– A tam. To miłość, skoro taki szybki. O obiecanej wdówce nie wspominał?

– Trzy razy o nią pytał. Chciał wiedzieć, czy dotrzymasz słowa i już na dniach ich sobie przedstawisz.

– Słowa dotrzymam. No i sam widzisz, miłość.

Taron potarł swój dwudniowy zarost na policzku.

– Hm, z jednej strony to faktycznie, on wygląda na samotnego. Ale z drugiej strony przecież jak ta wdówka za niego wyjdzie, to zostanie szlachcicem. Wszyscy będą mu się musieli w pas kłaniać, mówić „panie”...

– Warto dla czegoś takiego wydać fortunę, splacając jej długi? To jest męski szczyt marzeń, żeby się kłaniali?

– Ja tam nie wiem.

– Ty też masz takie marzenia?

Spojrzał na Taidę zaskoczony. Ale numer. Najwyraźniej dopiero teraz jakaś myśl przyszła mu do głowy.

– Czeka, czeka, a ty jesteś szlachcianką?

– No jestem, jestem. – Sparodiowała jego ton, rozkładając ręce. – Gdybym nie była, to nawet najbogatszy tatuś nie załatwiłby mi fuchy w administracji państwa.

Taron oparł dłonie na blacie i nachylił się głęboko w jej stronę.

– Powiedz mi szczerze. Czy wolisz oświadczyły romantyczne, kiedy mężczyzna, klęcząc przed kobietą, wyznaje swoją miłość, czy raczej konkretne, po męsku szorstkie, w krótkich, wojskowych słowach?

Roześmiała się. On był naprawdę uroczy.

– Pociągające są jedno i drugie – westchnęła. – Ale masz świadomość, że nie przeżyjemy ataku Geberika na Syrinx? Za długo ci się nie pokłaniają.

Taron zaklął brzydko i posmutniał.

– Ty zawsze odrzesh człowieka z pięknych marzeń. – Niby to naburmuszony, położył na biurku gęsto zapisaną kartkę. – Tulio twierdzi, że do Amana przybyła właśnie łączniczka z samego sztabu spiskowców.

– Skąd on to niby wie?

Taida studiowała pokryte drobnym drukiem pismo handlarza sztuką.

– Omawiali z Amanem bardzo ważne sprawy. Takie, na których pracownikom Zamku strasznie zależało. I wtedy przybył goniec, poszeptał coś do ucha i Aman zerwał się poruszony, jakby smoka w biały dzień zobaczył. Chciał biec na Zamek jak opierdolony nagle służący...

– Na Zamek? Tulio jest pewny?

– Jest pewny. Biegł zresztą za nim. Rozmowy niedokończone, kontrahenci nie będą czekać. Trzeba podjąć decyzje...

– Mniejsza z tym.

– Tulio był upierdliwy i Aman, żeby się nareszcie odczepił, wygadał się. Powiedział, że przybyła do niego ważna łączniczka.

– I skąd wiadomo, że to od Geberika?

– No przecież cesarz osobiście nie ma spraw do Amana i nie posyła łączniczek.

Taida odłożyła kartkę od handlarza i spojrzała na swojego setnika.

– Czekaj, czekaj, czekaj, w tym naprawdę coś jest. Skoro Aman chce się spotkać z łączniczką na Zamku, to znak, że będą rozmawiać o czymś istotnym. Być może nawet w szerszym gronie. Ona nie jest zwykłym gońcem, który przyniósł zaszyfrowany list. Ona musi coś wiedzieć.

– Właśnie. Podśluchamy ich na Zamku?

– Po pierwsze, służba naszego kolegi nie jest kompatybilna z naszą, więc niczego nie podśluchamy. Po drugie, po co zadawać sobie trud, skoro dowiemy się od źródła.

– Jak? – Spojrzał na Taidę zdziwiony.

Z przygotowanego wcześniej stosiku wzięła czystą kartkę, umoczyła pióro w atramencie i zaczęła szybko pisać.

– Weź kuriera z marynarki i niech zanieś to do mojego przyjaciela, o którego przyjazd tak długo zabiegałam u cesarza. Niech jak najszybciej przyjdzie do stancy przed Zamkiem.

– Cesarz? – Taron patrzył baraním wzrokiem.

– Mój przyjaciel. Weź jeszcze Robego z dziesiątką ludzi i biegnijmy.

– Dziesiątka wystarczy?

– Wszystko wyjaśnię po drodze. Biegiem!

To zrozumiał. Skoczył szukać kuriera, a Taida szykowała się do wyjścia. Nie jak typowa kobieta, malując twarz, tuszując rzęsy, stosując róż i wszelakie odmiany cieni. Pani prokurator włożyła do torby rurową kuszę z naciągami ze skręconej liny oraz wyostrzony do stanu bliskiego ideału wojskowy nóż. Do sakiewki powędrował dodatkowy kastet i fiolka z trucizną. Potem wystarczyło już tylko sprawdzić, czy sztylet tkwi w specjalnej kaburze na udzie, i była gotowa do drogi.

Robe z ludźmi już czekali na ulicy. Taron dobiegł chwilę później.

– W stronę Zamku? – zapytał.

– Mhm.

Ruszyli szybko, nie zachowując jednak szyku, żeby nie zwracać powszechnej uwagi. Członkowie gangu musieli zwiększyć odstępny i uważać jeden na drugiego, żeby nie pogubić się w tłoku w wielkim mieście. Tylko Taron trzymał się blisko dowódczyni.

– A wyjaśnisz mi, jaki jest plan?

– Plan jest prosty. Złapiemy łączniczkę i przesłuchamy. Skoro jest podejmowana tam, gdzie jest podejmowana, to musi być bardzo ważna. Pewnie nawet z prawem podejmowania decyzji.

– A jak ją złapiemy?

– W linii kamienic przed naszą fortecą są dwie wartownie. Udają zwykłe budynki, ale tak naprawdę to meliny bezpieczeństwa. Zajmiemy jedną z nich.

– Wpuszczą nas?

– Mnie wszędzie wpuszczą. A nie boję się, że ewentualni zabójcy mogą tam czekać, bo spiskowcy już jedną z tych melin napadli swego czasu. Nie powtórzą drugi raz tego samego numeru, a poza tym prawdopodobieństwo, że tam się właśnie znajdę, jest równe zero.

– No dobrze. A jak rozpoznamy łączniczkę?

– To Zamek. Aman będzie ją musiał przeprowadzić przez bramę, bo sama nie wyjdzie. I wtedy ją poznamy.

– No i wszystko jasne. – Taron jak zwykle nie mnożył trudności.

Jakaś inna myśl wyraźnie marszczyła jego czoło. Po chwili zwrócił się do idącego obok bosmana.

– Robe, a mógłbyś mi się uklonić?

Bardziej chyba nie mógł tamtego zdziwić.

– No mogę. Ale na chuj?

– Wiesz no, chcę sprawdzić, czy mi się to podoba, czy nie. Bo mnie wątpliwości naszły.

Taida ukryła uśmiech i powściągnęła zapędy swoich podkomendnych.

– Przeście zwracać na siebie uwagę – wyszczała.

Resztę drogi przebyli więc w milczeniu.

Niestety, na wartowni przed Zamkiem zaczęły się kłopoty. Okazało się, że po ostatniej wpadce z udanym atakiem spiskowców ktoś zmienił procedurę. Nie wiadomo kto – jakiś pracownik administracji, pionu bezpieczeństwa, wszystko jedno. W każdym razie Taida nie знаła tej procedury i szybko zrozumiała, że nawet jej mogą nie wpuścić do środka ot tak. Najbardziej obawiała się, że ktoś wymyślił naprawdę skuteczny sposób zabezpieczenia, na przykład mógł kazać dowódcy wartowni skontaktować się z centralą, choćby przy pomocy sygnałów wizualnych, i bez potwierdzenia, że kierownictwo wie o niezapowiedzianej wizycie, drzwi mogłyby pozostać zamknięte.

Na szczęście to ciągle było jeszcze stare, dobre Luan, gdzie nikt tak naprawdę nie ośmielił się przeciwstawić zwierzchnikowi, niezależnie od tego, jakie rozkazy otrzymał wcześniej. Hierarchiczny system kazał wierzyć swojemu przełożonemu, a nie jakiemuś tam wymyślonemu zbiorowi praw czy procedurze. Wystarczyło krzyknąć bardziej zdecydowanym tonem i postraszyć, by chwilę potem usłyszeć zgrzyt odsuwanych żelaznych zasuw.

– Sprowadź wszystkich swoich ludzi do piwnicy – nakazała Taida, kiedy tylko znalazła się w środku.

– Jak? Jak to do piwnicy? – Dowódca wartowni, starszy już oficer o mocno posiwiałych skroniach, jeszcze nie słyszał tak kuriozalnego rozkazu. Z ogromnym zdziwieniem przyglądał się ludziom Robego, którzy wlewali się do środka. Żaden z nich w żaden sposób nie przypominał członka jakiegokolwiek regularnej formacji.

– Zaprowadź swoich ludzi do piwnic tego budynku i tam zajmij pozycje obronne. – Taida naprędce wymyśliła jakiś idiotyzm, byle tylko czymś zająć umysł oficera. Dobrze wiedziała, że jeśli facet wpuścił już obcych do środka, to teraz nie przeciwstawi się jej woli w żaden sposób. Nie chciała jednak, żeby zamkowi paętali się gangsterom Robego pod nogami. Ci mieli bowiem do wykonania bardzo konkretne zadanie.

Kiedy obsada wartowni zaczęła powoli wychodzić i w przedsiönku robiło się luźniej, powiedziała do Tarona:

– Znajdź mi jakiś wygodny punkt obserwacyjny.

– A co chcesz widzieć?

– Bramę Zamku. – Przeniosła wzrok na Robego. – Postaw kilku twoich przy drzwiach, niech czekają na mój rozkaz.

– Tak jest.

– Muszą być gotowi, żeby szybko wyskoczyć i przejąć kogoś z ulicy. Za mordę i tutaj.

– To będzie ktoś silny i sprawny? – Bosman znacząco uderzył swoją pałką w otwartą dłoń.

– Nie. Zgarną dziewczynę. Tylko żeby mi nie wrzeszczała na całą ulicę.

– Nawet nie piśnie.

Taida skinęła mu ręką i ruszyła schodami na piętro. W połowie biegu zatrzymała się na chwilę.

– I jeszcze jedno. Przyjdzie tutaj mój przyjaciel z dość dużą torbą, powie, że przybył do przyjaciółki cesarza. Wpuścisz, przydzielisz mu pomieszczenie, jakie sobie wybierze, i przypilnujesz, żeby miał wszystko, czego będzie chciał.

– Tak jest.

Na górze Taron wybrał duże okno wychodzące na plac przed Zamkiem. Było częściowo zasłonięte światłochronem, a częściowo łopoczącym niemrawo na lekkim wietrze płótnem. Ciekawe, do czego miało służyć? Udawać pranie dla lepszego kamuflażu? Taida miała wrażenie, że od czasu słynnego już napadu wszyscy w okolicy i tak wiedzą, że tu znajduje się jedna z dwóch tajnych wartowni. Ale wybór był dobry. Jeśli tylko obserwator krył się w głębokim cieniu z lewej strony okna, nikt z zewnątrz nie miał szans go zauważyć.

Taron przysunął Taidzie wysoki taboret, żeby nie musiała stać w niewygodnej pozycji.

– Długo będziemy czekać na panienkę? – zapytał.

– A to mogę ci powiedzieć dość dokładnie. – Uśmiechnęła się. – Jeśli Aman nie jest idiotą albo jeśli nie jest absolutnie przekonany o własnej bezkarności, co zresztą na jedno wychodzi, to wyprowadzi dziewczynę za jakieś dziesięć modlitw. – Taida zerknęła, jak wysoko stoi słońce. – Może za dwanaście.

– Skąd wiesz?

– Wtedy urzędnicy będą wychodzić, żeby coś zjeść w okolicy. I jego łączniczka będzie mogła zgubić się w tłumie.

– No to czekamy.

– Ty się przygotuj. Masz dobry wzrok, musisz ją zapamiętać, a potem wskazać na ulicy ludziom Robego. I uważaj na jej usta.

– Usta? Znaczą zatkać, żeby nie krzyczała?

– Żeby nie połknęła trucizny. Sam widzisz, jacy ci ludzie od spiskowców chętni do popełniania samobójstw.

Zaczął się śmiać. Po chwili umilkł, bo ta myśl wcale już nie wydawała mu się aż tak zabawna.

Siedzieli w milczeniu, obserwując bramę. Słońce powoli przesunęło się na nieboskłonie. Gwiazda ciągnąca za sobą ogon również. Czas płynął, a na placu przed nimi nie działo się nic godnego uwagi. Tylko ludzie Robego musieli odkryć jakieś zapasy alkoholu na wartowni, bo na dole rozlegały się stłumione śpiewy przerywane niezmiennie karcącym: „Ciiiiii!”. Z tych fragmentów, które udało się usłyszeć, można było odnieść wrażenie, że byli marynarze śpiewali bardzo ładnie.

– Idą! – Taida poderwała się z taboretu.

Taron doskoczył do okna.

– Którzy to?

– Na razie widzę samych wygłodniałych urzędników. Dajmy im jeszcze chwilę.

Opuszczenie Zamku przez osobę, która nie była tam zatrudniona, oznaczało pełną procedurę, do której najlepiej pasuje przymiotnik „źmudna”. Tak musiało być i w tym przypadku. Upłynęło naprawdę sporo czasu, zanim Taida mogła wyciągnąć rękę i wskazać swojemu setnikowi kierunek.

– Tam są. Widzisz? To ta dziewczyna obok barczystego, przystojnego mężczyzny...

– Nie musisz opisywać – przerwał jej Taron. – To jedyna dziewczyna na placu.

– Żegnają się.

– Dobra, zapamiętałem jej twarz. Schodzę do ludzi i zaraz będziesz ją miała.

– Uważaj, może skierować się na drugą ulicę...

– Ta jest główna. A w ogóle to przestań się niepokoić. Ona już mi nie umknie.

Posłała Taronowi uśmiech, a sama zmieniła stanowisko obserwacyjne, przechodząc do bocznego okna z widokiem na ulicę poniżej. Stąd mogła obserwować całą akcję z bardzo bliska. Pierwszą rzeczą, na jaką zwróciła uwagę, było to, że gangsterzy Robego nie wyróżniali się z tłumu. Nie byli strażnikami ani żołnierzami, nie mieli mundurów. A zakazane mordy miał chyba co drugi przechodzień w tej dość podłej dzielnicy. Dziewczyna idąca od strony Zamku, niczego nie podejrzewając, zmierzała więc prosto

w zastawioną pułapkę. Taida mogła jej się teraz dokładniej przyjrzeć. Łączniczka Amana była wysoka, dość ładna, z burzą kruczoczarnych włosów opadających na plecy. Wyglądała na wrażliwą i inteligentną, choć to trudno określić jedynie po wyrazie twarzy. Rozmowa, którą przeprowadziła, musiała dać jej wiele satysfakcji, łączniczka bowiem wyglądała na zadowoloną z siebie. Ba, nawet szczęśliwą.

Taron bez problemu zaszedł ją od tyłu. Na dany przez niego znak dwóch gangsterów chwyciło dziewczynę za ręce, podczas kiedy on sam zatkał jej dłonią usta. Nie było żadnej szamotaniny, nie było walki, nie było próby ucieczki. Ludzie Robego błyskawicznie przenieśli jeńca, niknąc szybko w drzwiach wartowni. Jeśli ktoś z przechodniów na chwilę odwrócił wzrok, to niczego nie zauważył. A jeśli nie odwrócił, to chyba zastanawiał się, co właściwie widział. Jacyś mężczyźni pomogli słaniającej się dziewczynie? Tamta nie krzyczała, nie wierzgała, nie usiłowała się wyrwać, więc nie był to napad. O co więc szło? Może to byli medycy? A może znajomi jej ojca, mający odnaleźć córkę, która uciekła z domu? Nikt na ulicy nie przejął się całą sytuacją. Nikt nie przystanął nawet, żeby sobie popatrzeć. Bo i nie było na co.

– Dajcie ją tutaj – zarządziła Taida, cofając się do drzwi pomieszczenia, gdzie urządziła swój punkt obserwacyjny.

Gangsterzy bez problemu wnieśli pojmaną na piętro.

– Zapowiadany przyjaciel właśnie przyszedł – zameldował Robe.

– I widział to wszystko? – Taida przypomniała sobie, o kim mowa, i machnęła ręką. – E, pewnie nie zrobiło na nim wrażenia.

– Tak właśnie.

– Które pomieszczenie chce zająć?

– Tam na dole, na końcu korytarza.

Skinęła głową, a potem podeszła do dziewczyny, którą właśnie stawiano na nogi.

– Zablokuj jej szczękę – rozkazała najbliższemu gangsterowi. – Tak, żeby nie mogła mnie ugryźć.

Mężczyzna nie miał wątpliwości, jak należy przeprowadzić taki zabieg. Kiedy tylko Taron zdjął dłoń z ust dziewczyny, marynarz chwycił ją za szyję i prowadząc koniec swojej pałki z boku, od strony policzka, włożył jej między zęby. Taida metodycznie dwoma palcami sprawdzała usta dziewczyny od środka. Nie znalazła trucizny, co dobrze rokowało. Spiskowcy najwyraźniej nie spodziewali się wpadki.

Dała znak żołnierzom, żeby rozluźnili chwyt.

– Kto cię przysłał? – zapytała.

Nie liczyła na to, że łączniczka od razu wyzna wszystko, ale ta metoda czasem się sprawdzała. Zawsze warto wypróbować szok i zaskoczenie.

Czasami ludzie w tym stanie mówią coś, czego w normalnym śledztwie wyciągnąć nie sposób. A ta tutaj wyglądała na totalnie zaskoczoną. Łatwo było ją zrozumieć. Jeszcze przed chwilą szła pewna siebie po dopięciu jakiejś ważnej sprawy, zwycięska, triumfująca. Może wyobrażała sobie, że sam cesarz drży przed nią ze strachu. A tu nagle, zupełnie nie wiadomo dlaczego, znalazła się w rękach strony przeciwnej. Zupełnie bezbronna. Samotna, bez szans na pomoc kolegów. Ludzki umysł w takich wypadkach lubił uwypuklać winy. Pewnie teraz przed oczami przesuwają się łączniczce wszystkie sprawy, w których brała udział, a za które cesarz mógł kazać jej zrobić jakieś nieprawdopodobnie wręcz bolesne rzeczy.

– Kto cię przysłał? – powtórzyła Taida. Z satysfakcją obserwowała oczy dziewczyny, w których budziła się panika.

– Ja... ja...

– Ale konkretnie, moje dziecko, i bez jąkania. Kto wysłał cię z wiadomością do Amana?

– Ja nie wiem.

Patrzyły sobie w oczy. Dwie kobiety: wykształcone, kulturalne, na poziomie. Obie inteligentne. Zawsze w takich przypadkach więzień wyobrażał sobie, że przecież wcale nie musi nastąpić najgorsze. Osoba po przeciwnej stronie jest taka sama jak ja. Mogą się porozumieć, jakoś grzecznie ustalić, co i jak. Przecież naprzeciw nie stoi chamski oprawca z batem. Można porozmawiać. Na pewno da się kluczyć, a może nawet wyprowadzić w pole rozmówcę w meandrach konwersacji i nie powiedzieć niczego istotnego. Może nawet okłamać?

– Nie wiem, kto kazał mi przynieść wiadomość do tego oficera. Nie podał mi swojego imienia.

Taida widziała to już tak wiele razy, że nie sposób było zliczyć. Znała więc chyba wszystkie myśli, które w takiej sytuacji przychodzą do głowy ludziom wykształconym. Oni chcieliby podjąć grę. A na to nie można pozwolić. Nie może być żadnego porozumienia między przesłuchującym a przesłuchiwanym. Trzeba tylko wyciągnąć od niego sensowne zeznania. I tyle.

– Rozbierz się do naga – powiedziała sucho.

Dziewczyna w pierwszej chwili nie zrozumiała. Potem coś do niej dotarło, bo trwożliwie rozejrzała się po twarzach otaczających ją mężczyzn.

– Rozbieraj się – powtórzyła Taida obojętnym tonem.

Ponieważ jedyną reakcją więźnia były rozszerzające się oczy, skinęła na Robego. Jego ludzie błyskawicznie zdarli łączniczce ubranie. Ktoś sprawdził, czy nie schowała trucizny w innych miejscach niż usta, ale nikt jej jeszcze tak naprawdę nie dotknął. Nikt nie uderzył.

Taida spojrzała wprost na pąsowiejącą twarz dziewczyny.

– Chodź. – Skierowała się ku drzwiom.

Słyszała za sobą plaskający odgłos stóp, przyspieszający oddech, ale nie zamierzała się nawet odwracać. Doskonale wiedziała, co dzieje się w głowie tamtej, kiedy obie schodziły na parter. Spanikowany umysł podsuwał wiele głupich rozwiązań. A może jakoś uciec? Może rzucić się na strażnika przy drzwiach, odepchnąć go i wyskoczyć na ulicę... I tu włączał się tryb myślenia panienki z dobrego domu. Jak to na ulicę? Nago? Taaa. Zaraz pewnie przyjdą do głowy nawet myśli samobójcze. Ale od tego, żeby dziewczyna nie zdążyła sobie niczego zrobić, był Taron, który posuwał się za nimi jak cień.

No niestety. Obróbka przesłuchiwanego podlegała zawsze tym samym zasadom. Najpierw trzeba pozbawić ofiarę ubrania, niech się zastanawia w panice, jak ta idąca z tyłu dziewczyna, czy ma się zasłaniać przed wzrokiem obcych, czy to już bez znaczenia. Trzeba ją upokorzyć, wyrwać ze stanu „przecież zawsze możemy dojść do porozumienia”. Musi wiedzieć, że już nic nie można zrobić. Musi zdać sobie sprawę, że jej własnym umysłem rządzi już teraz ktoś inny.

Taida otworzyła drzwi na końcu korytarza.

– Przyjacielu!

Na jej widok mistrz Anai wykonał głęboki ukłon.

– Moja droga, jakże się cieszę!

– Już zaczęłam tęsknić.

– Ach, nic się nie zmieniłaś. Z biegiem lat tylko piękniejesz.

Prawili sobie komplementy zawierające dużą dawkę szczerości, bo znali się od bardzo dawna. Bodaj od wyprawy czarownicy Luny na pogranicze cesarstwa. Nieważne. Charakter ich pracy sprawiał, że często potem spotykali się na niwie zawodowej. A także prywatnej, bo Anai był czarującym mężczyzną.

Teraz jednak nie mieli czasu na snucie wspomnień. Mistrz zajął się dziewczyną.

– Siadaj tutaj, na środku stołu. – Wskazał jej mebel, który wcześniej oczyścił z zalegających na nim przedmiotów. – Nogi szeroko. Jeszcze szerzej.

Sprawnie przywiązywał jej kostki do nóg stołu.

– To nie żadna szykana – wyjaśniał. – Chodzi tylko o to, żebyś mnie nie kopnęła w trakcie.

Nigdy nie upokarzał swoich ofiar, jeśli nie musiał. Po prostu nie czerpał z tego żadnej przyjemności.

– Podaj ręce do tyłu. – Zaczął krępować jej nadgarstki. – To już dla twojego dobra. Żebyś się sama nie udusiła, kiedy się zaczniesz.

– Co?... Co będziesz mi robił? – wyszeptała nieźle już przerażona dziewczyna przez ściśnięte szczęki.

– Pani prokurator będzie ci zadawać pytania, a ja sprawię, że będziesz na nie odpowiadać.

– Ale ja mogę odpowiadać bez niczego... Nie musisz mi nic robić.

– Nie bój się. Za punkt honoru stawiam sobie, żeby nie uszkodzić za bardzo ciała przesłuchiwanej osoby.

Spanikowana łączniczka wlepiła wzrok w mistrza, usiłując odgadnąć, czy mówi poważnie, czy sobie kpi.

– To... to znaczy, że wyjdę stąd normalna?

Anai zaskoczony przygryzł wargę, zastanawiając się nad odpowiedzią. Potem spojrział na dygoczącą dziewczynę.

– No raczej nie.

Rozdział 5



Pani Nikt potrafiła działać szybko. Potrafiła też być skuteczna. Ale nawet Niki nie podejrzewała jej o aż takie wpływy i taką moc oddziaływania. Nie minął dzień od chwili, kiedy młoda upioryzka podjęła próbę kontaktu ze starą, a już rano zamiast służącego podającego śniadanie obudził ich osobiście Zegroz.

– Chciałbym zaprosić cię na bardzo poważną rozmowę – zaczął bez zwyczajowych uprzejmych wstępów. – Myślę, że mogę wyjaśnić wszystkie twoje wątpliwości i odpowiedzieć na wszystkie pytania.

– Wszystkie? – upewniała się Niki, pomagając jednocześnie ubrać się mężowi.

– Wszystkie – rozwiązał jej wątpliwości gospodarz.

– Siadaj zatem. – Virion wykonał gest w stronę niewielkiego stolika.

– Nie, nie. Nie tutaj.

– O? Czeką nas dalsza wyprawa? Na zewnątrz?

W oczach Zegroza zapełgał cień kpiny.

– Wyprawa będzie daleka i trudna – powiedział. – Ale nie na zewnątrz. Bardziej nie mógł ich zaciekawić.

– Czy ja też mogę pójść w takim razie? – poderwała się Niki.

W pierwszym momencie Zegroz zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy. Ale potem przyszło mu coś na myśl. Być może zwidziała mu się pani Nikt i jej zdecydowana interwencja? Ale chyba nie. Zapatrzył się bowiem na wydatny brzuch młodej upioryzki, a na jego twarzy pojawił się na chwilę wyraz namysłu.

– Hm. Być może on będzie chciał cię poczuć.

– Kto?

Gospodarz machnął ręką, jakby opędzał się od natrętnej muchy.

– Możesz iść pod warunkiem, że nie będę słyszał twojego gadania, narzekania, utyskiwania ani w ogóle niczego – powiedział zdecydowanym tonem. – Ostrzegam. Droga jest bardzo ciężka i wyczerpująca.

Pozycja upioryzyc w ich świecie nie mogła się równać z pozycją męskich osobników. Mogło to wynikać z faktu, że samce zdarzały się w proporcjach jeden do kilku, do kilkunastu tysięcy, albo nawet jeszcze rzadziej. Virion zdążył się już do tego przyzwyczaić. A dla Niki chyba było to naturalne, bo najwyraźniej nie dotknęło jej w najmniejszym stopniu.

Błyskawicznie wyskoczyła z łóżka i pobiegła w stronę wieszaków, żeby założyć tunikę.

– Idziemy? – Była gotowa w tempie nie kobiecym, ale iście żołnierskim.

Zegroz tylko zacisnął zęby i sapnął głośno przez nos. Potem usłużnie otworzył przed nimi drzwi.

Virion myślał początkowo, że podążają do znanej już sali ćwiczeń, gdzie zmierzył się najpierw z młodym upiorem, a potem z samym gospodarzem. Ale nie. Zatrzymali się znacznie wcześniej, przed wielkimi wykutymi w kamieniu drzwiami bez żadnych ozdób, jeśli nie liczyć widocznych śladów dłut ludzi lub jakichś istot – kogoś, kto kiedyś obrabiał tę skałę. Musiało to mieć miejsce naprawdę dawno temu – wrota od krążących w powietrzu pyłów, które się na nich osadzały przez wieki, wydawały się całkiem czarne. A z całą pewnością nie był to bazalt.

Nawet Zegroz musiał włożyć wiele siły, żeby pchnąć skutecznie ciężkie skrzydło. Kiedy szczelina zrobiła się na tyle szeroka, że mogli się przez nią przecisnąć, wziął z małej półeczki obok dużą oliwną lampę i zapalił ją od żarownika.

– Będę szedł przodem.

Kiedy zniknął w obramowanej kamieniem szparze, Niki ruszyła za nim. Ostatni był Virion. Spodziewał się Bogowie wiedzą czego, a w środku znajdowały się tylko schody. Dość strome, ale zwykłe, kręcone, kute w kamieniu. Wiły się spiralnie wokół centralnego słupa grubości mniej więcej łokcia, może półtora. Nie były szerokie. Musieli iść pojedynczo, jedno za drugim. W razie potrzeby może i na jednym biegu minęłyby się dwie osoby, ale raczej musiałyby się przeciskać bokiem niż we względnej choćby swobodzie. Nie było poręczy ani innego źródła światła poza lampką gospodarza. Schodząc, trzeba było sunąć ręką po jednej ze ścian, a i tak był to proces żmudny i męczący. Krok za krokiem, niewiele widząc, ryzykując, że jeśli się źle stanie na stopniu, to wyląduje się na plecach poprzednika. A może wtedy wszyscy razem polecą dalej.

– Ale ciemno – odezwała się Niki po pokonaniu kilkuset stopni. – Gdyby nam zgasło światło...

– Nic by się nie stało – mruknął Zegroz. – Tu się nie zgubisz, bo iść można tylko w górę albo tylko w dół.

– W górę chyba jedynie na czworakach.

– A w dół na tyłku. Uprzedzałem, że będzie ciężko.
– Już zaczynam się bać tych przeszkód, o których wspominałeś.
– Nie ma innych przeszkód. Ale zapewniam, schody są wystarczająco trudne do przebycia.

Sądząc po szeleście, Niki musiała wzruszyć ramionami.

– E tam, powietrze świeże dociera, a ja się nie boję zamkniętych przestrzeni. Przetrywamy te lekkie niedogodności.

– Na pewno? A w górę?

– Co?

– Wyobraź sobie, że będziemy musieli wrócić, wspinając się po tych samych schodach.

Upiorzycę zapowietrzyło na krótką chwilę.

– A daleko jeszcze mamy na sam dół? – zapytała już bez charakterystycznej dla niej pewności w głosie.

– Bardzo daleko.

Teraz zaklął Virion.

– Nie lepiej było pogadać, wyciągając się na leżankach w jadalni?

Zegroz zaczął się śmiać.

– Sam sobie jesteś winny. Zażądałeś odpowiedzi na trudne pytania.

– Co ma jedno do drugiego?

– Ja ci nie potrafię odpowiedzieć – usłyszał. – Ale znam kogoś, kto odpowie na każde pytanie.

To zdanie musiało dać Niki do myślenia, bo rzuciła:

– Czy na dole jest...?

– Jest, jest – odparł ponuro Zegroz. – Istota, która trwa chyba od zarania naszej historii. Jest naprawdę stara, nawet jak na naszą miarę czasu.

Virion opuścił dłoń, którą sunął po ścianie, bo drętwiało mu ramię. Teraz musiał dotykać środkowego słupa.

– Czy to upiór? – zapytał.

– Chyba kiedyś tak. Ale upływ jakiegoś nieprawdopodobnego czasu, podczas gdy trwał, bardzo go zmienił. Dlatego nie zdołacie się z nim porozumieć.

– To jak można zadać pytanie?

– Będę pośredniczył. Ale pamiętaj, ja też mogę niewiele rozumieć.

To akurat nie dziwiło Viriona. Pamiętał, jak pani Nikt wspominała o przedwiecznej istocie, z którą bardzo trudno się porozumieć, ale która opierając się wyłącznie na własnych kalkulacjach, mogła powiedzieć o czymś, co się dzieje na świecie. Poczul lekki niepokój przed spotkaniem z kimś tak dziwnym. Chociaż niepokój to nieodpowiednie słowo.

Ekscytacja? – jeszcze gorsze. Miał po prostu wrażenie, że dostąpi czegoś, co zwykłym śmiertelnikom nigdy nie będzie dane.

O mało się nie potknął, co przypomniało mu, że dziś jeszcze będzie się wspinał z powrotem. I ta straszna myśl wymazała wszelkie inne doznania z jego głowy.

– Mogliśmy wziąć coś do picia – skonstatowała Niki.

– Pragnienie to ułuda twojego organizmu. Przyzwyczajenie tylko. Nie czujecie tego, ale powietrze tutaj jest tak wilgotne, że waszym ciałom nie zabraknie wody, zapewniam.

Trudno w to było uwierzyć, ale rzeczywiście warunki panujące na tych koszmarnych schodach były bardzo dziwne. Virion czuł na przykład, tak jak jego żona, że powietrze tutaj jest świeże. Nie czuł jednak żadnego powiewu, choćby tchnienia, mimo że znajdowali się przecież wewnątrz monstrualnego komina, gdzie od samej jego wysokości powinien wytwarzać się ciąg. Poza tym mimo narastającego zmęczenia i podobno dużej wilgotności Virion stwierdził, że w ogóle się nie poci. Miał suche czoło, suchą szyję, kark, wszystko. No i echo, a raczej jego brak. Nic nie głużyło odgłosu ich kroków, nic go nie odbijało. Zupełnie jakby spacerowali nocą po szerokim polu.

– Zobaczymy go? – zapytała znowu Niki.

– Nie.

– Ale znajdziemy się w pobliżu?

Zegroz albo zaklął, albo powiedział coś, czego idącym z tyłu nie udało się zrozumieć. Potem dodał głośniejsze:

– Jakikolwiek kontakt ze światem zewnętrznym momentalnie go zabije. Ale wiem, że kiedyś można było popatrzeć. Od wieków jednak nikt z tej instalacji nie korzystał. Więc i my nie będziemy.

– Pewnie już nie działa.

Zegroz chyba tracił cierpliwość.

– Czy moglibyśmy iść w ciszy? – zapytał.

– Ja tylko tak... z ciekawości.

Idący z tyłu Virion ledwie poruszał nogami. Nie liczył stopni. Nie miał najmniejszego pojęcia, jak głęboko już zeszli. Ból przeciążonych kolan, kostek, ścięgien i mięśni potęgował się z każdą chwilą. Nie wyobrażał sobie, w jaki sposób zdołają tę drogę pokonać w drugą stronę, pod górę. Zakrawało to na niepodobieństwo. Wolał nie myśleć o mozolnej wspinaczce.

Nagle szorstki kamień, po którym przesuwiał dłońią dla zachowania równowagi, zamienił się w śliską powierzchnię. W nikłym odbłasku niesionej przez Zegroza lampki wydawało się, że stopnie i ściany są tu zbudowane z żelaza. Z żeliwa? Nie miał pojęcia, ale to musiał być jakiś

metal. Zdawał się o tym świadczyć choćby inny odgłos ich kroków, lecz to niepewny ślad, bo wszystko w tym miejscu było mylące.

Jak długo już szli? Nie umiał określić upływu czasu choćby w wielkim przybliżeniu. Stanowczo za długo – jedyną odpowiedź podsuwało mu własne zmęczenie. Było tak intensywne, że w pierwszej chwili nie zrozumiał słów ich przewodnika:

– Już dochodzimy.

Virion miał wrażenie, że ocknął się na dźwięk tych słów. Szedł, śpiąc? Albo w jakiejś malignie? Niech to jasny piorun strzeli. Bardziej poczuł, niż zobaczył, że bieg schodów nagle staje się szerszy. A po chwili ściany po bokach zniknęły nagle i wyciągnięta do przodu noga nie napotkała kolejnego stopnia.

Zegroz przyłożył płomień lampki do szczytu jakiejś konstrukcji na środku. Słychać było szcęk i skrzypienie jakiegoś mechanizmu, a potem oślepiło ich jaskrawe światło.

Virion odzyskał wzrok dopiero po dłuższym czasie. Z tego, co widział przez zażawione oczy, znajdowali się w dość dużej sali całkowicie wykonanej z metalu. Ściany wokół były idealnie gładkie oprócz jednej, tej przed nimi. Na niej właśnie umieszczono dwie kolumny i coś jakby stalowe wrota. Wyobraził sobie, że to właśnie one mogły być rozsuwane kiedyś przed wiekami, a za nimi pewnie znajdowała się kryształowa płyta niezmiernej grubości. Być może za nią właśnie trwała przez millenia zagadkowa istota, która zaprosiła ich do siebie.

Niki musiała mieć podobne skojarzenia, bo zapytała:

– Tu było okno, przez które można zobaczyć przedwiecznego?

– Być może – mruknął Zegroz. – Ja nie widziałem. Ale czuję, że on już nawiązał z wami kontakt.

– Ja nie czuję – obruszył się Virion.

– A wyobrażenie grubej kryształowej szyby skąd się wzięło w twojej głowie, jak myślisz?

Gospodarz majstrował przy postumencie na środku, który był jednocześnie źródłem światła. Dzięki jego regulacjom intensywny, syczący płomień na czubku ścichł nagle i zmalał, zmieniając barwę. Zamiast intensywnej, przyprowadzającej o ból oczu bieli pomieszczenie wypełniło się teraz ciepłym pomarańczem, przywodzącym na myśl światło wielu świec.

– Będziemy mogli z nim porozmawiać? – zapytała Niki.

– Nie. On nie mówi. Ale z całą pewnością właśnie ty go bardzo zainteresowałaś.

Upiorzyca zmarszczyła brwi i usiłowała skupić się na własnych odczuciach albo doznaniach. Potem nagle chwyciła się za brzuch, a z jej ust dobyło się gwałtowne westchnienie.

– On... on... rozmawia z moim... – Nie wiedziała, jak ubrać w słowa to, co czuje.

– On w ogóle nie rozmawia. Nie porozumiewa się także z waszym dzieckiem, bo to jeszcze nie istota. Ale rzeczywiście, ja też czuję, jakby istniała jakaś nić porozumienia. Wspólnego czucia?

Niki podeszła do metalowej ściany i delikatnie, z ogromną ostrożnością dotknęła jej palcami. Potem odwróciła głowę z uśmiechem.

– Tak, tak – przyznał Zegroz. – Bardzo zainteresował go owoc związku pomiędzy człowiekiem a upiorem. Jak dotąd jedyny na świecie.

– Czy... – upioryzka zawahała się przez moment – czy mogę powiedzieć, że go lubię?

– On cię nie usłyszy. Ale to bez znaczenia, bo on czuje wszystko miliony razy lepiej niż ty.

Virion przysłuchiwał się tej dziwnej wymianie zdań. Sam z całą pewnością czuł mniej niż jego własna żona. I choć przez głowę przemknęła mu myśl, że gospodarz zrobił sobie dowcip i stoją przed zwykłą ścianą starożytnej piwnicy, za którą niczego nie ma, to jednak nie mógł się oprzeć wrażeniu czyjejś obecności. Bardzo wyraźnej obecności. Lecz tak obcej, że nawet próba zrozumienia, co tak naprawdę czuje, przekraczała możliwości ludzkiego umysłu.

Drgnął, kiedy Zegroz dotknął jego ramienia.

– To uczucie jest normalne – powiedział.

– Co?

– Dziwne wrażenie, które cię ogarnia, jest normalnym odczuciem. On cię po prostu bada.

– I będę mógł zadać mu pytanie?

– Niejedno, jeśli zechcesz. Aczkolwiek muszę cię uprzedzić, że o żadnej rozmowie nie może być mowy.

– On nie mówi?

– Tego naprawdę nie wiem. Ani ja, ani nikt inny nie może porozumieć się z nim słowami. Prawdopodobnie przyczyna leży w tym, że oddziela nas żelazna ściana gruba na kilka łokci. A może powodem jest co innego?

– W głosie gospodarza można było usłyszeć cień kpiny. – W każdym razie pytaj, o co chcesz, a jak on cię zrozumie, to już jego sprawa. Odpowiedzi chyba nie poczujesz, bo jesteś bardzo od niego inny. Ale poczyję ją ja i spróbuję przekazać ci znaczenie słowami. Rozumiesz?

– Niczego nie rozumiem.

Zegroz skrzywił się i machnął ręką.

– A, to zresztą nieistotne. Będzie wyglądać to tak: ty zadajesz pytanie, ja ci odpowiadam, usiłując zinterpretować to, co mi przekazał, i zawrzeć jakiś w ludzkich pojęciach i ludzkich słowach. Wasz język jest wysoce

niekompatybilny z naszym, brak w nim podstawowych pojęć, idiomów i zwrotów, żeby móc cokolwiek przetłumaczyć choć w miarę dokładnie. Dlatego na swoje pytania otrzymasz tylko kalekę, niepełną i być może zmienioną co do znaczenia odpowiedź.

– To akurat rozumiem – mruknął Virion.

– I bardzo dobrze.

– Kiedy zaczynamy?

Zegroz rozejrzał się, jakby czegoś szukał.

– Już?

Virion zwilżył wargi.

– Czemu uważasz, że nie jestem w stanie pokonać Nekrona? – zapytał.

Gospodarz nie zapadał w kataleptyczne stany, nie robił „uduchowionej” miny, ani nawet nie namyślał się na chwilę, by przekazać pytanie dalej.

– On pyta, czy masz jakiegoś żyjącego członka rodziny.

– Niki.

– Nie o nią chodzi. Może rodzeństwo, bliskich krewnych czy kogoś z twojego rodu. Bo rodziców, jak rozumiem, straciłeś, a ich ciała zostały spalone.

– Owszem, oboje nie żyją. Nie wypuścili mnie na pogrzeb z więzienia, ale tak, ich ciała zostały spalone, choć nie byłem naocznym świadkiem.

– Rozumiem. A rodzeństwo?

– Jestem jedynakiem.

– Jacyś bliscy krewni, którzy zmarli, a których ciał nie poddano kremacji?

Virion dopiero teraz zrozumiał, do czego tamten zmierza.

– No... w pewnym sensie miałem brata. To znaczy miałbym. Matka urodziła martwe niemowlę. Nie dostało nawet imienia.

– Ciało nie zostało spalone?

– Martwych niemowląt się nie pali, kapłani nie mają na to żadnego obrzędu, nie odprawiają modłów, nie składają ofiar. No bo o kogo mieliby się modlić, skoro dziecko nie miało imienia, żeby prosić o niego w modlitwie. A martwym imion się nie nadaje.

Tym razem Zegroz zamyślił się na naprawdę długą chwilę. Zamknął oczy, bezgłośnie i ledwie zauważalnie poruszał wargami. Potem spojrzął na Viriona.

– Nie pokonasz Nekrona – tłumaczył to, czego dowiedział się od przedwiecznej istoty ukrytej za grubym metalowym murem – bo Nekron to ty.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Niki patrzyła na gospodarza rozszerzonymi ze strachu oczami. Głośno przełknęła ślinę. Najwyraźniej

chciała coś powiedzieć, zapytać, spojrzała nawet w stronę metalowej ściany, ale zrezygnowała.

– On jest tobą – powtórzył upiór. – Ma do dyspozycji zakazaną magię, której sam jest owocem. Nie jesteś w stanie go pokonać.

Virion przekrzywił głowę na bok.

– W jakim sensie Nekron jest mną? – zapytał spokojnie.

Znowu musiał czekać na odpowiedź.

– Widzisz, to nie takie proste, żeby wytłumaczyć. Wrogowie potrzebowali jakiejś materialnej części, żeby wskrzesić istotę tak akropną, jaką jest Nekron. Potrzebowali części ciebie.

– I niemowlę, które przed laty...

Zegroz przerwał mu, podnosząc dłoń.

– Oni musieli mieć twój... – Zawahał się, nie wiedząc, jakie słowo odda najlepiej istotę problemu i będzie w dodatku zrozumiałe dla rozmówcy. – Oni musieli mieć twój wzorzec. Potrzebowali najmniejszej części twojego brata, bo jego ciało nie zostało spalone. Ale nie musieli go nawet dotykać. Wystarczył im wzorzec. A mając go, stworzyli tak jakby ciebie.

– Co?

– Pamiętaj, nie mówimy o żywych ludziach, tylko o zakazanej magii. Oni ożywili jakiegoś trupa, który za życia był sprawny i umięśniony, i nałożyli na niego twój wzorzec. Stworzyli w ten sposób jakby twój cień.

Zegroz wyraźnie się męczył, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów na wyjaśnienie tego, co miał do przekazania. Ten wysiłek malował się na jego twarzy, na której gościła też frustracja. Ale, o dziwo, Virion mniej więcej rozumiał, co do niego mówiono.

– I on wie wszystko, co ja wiem?

– Nie. Ale jest taki sam. A zasad walki nauczono go, tak jakby symulując twoje życie. I do tego wyposażono w zakazaną magię. Widziałeś znaki na pałce, którą trzymał w ręce? Są takie same jak na kolumnie odnalezionej w zasypanym przez pustynię mieście.

– Widziałem.

– No właśnie. Oni stworzyli broń przeznaczoną wyłącznie po to, żeby zgładzić ciebie. Tylko ciebie się tak naprawdę boją. I znaleźli to koszmarnie rozwiązanie.

– Powinienem potraktować to jako pochlebstwo?

– Jego się nie da pokonać.

– Nie ma w ogóle żadnych słabych stron?

Zegroz zamyślił się na krótką chwilę.

– Owszem, ma. Nie można go za długo trzymać w ruchu. Trup nie oddycha, krew nie krąży. Wypuściwszy Nekrona do działania, dość szybko trzeba go wycofać, żeby poddać zabiegom odnawiającym. Dlatego też Niki

udało się uciec i odciągnąć cię od zagrożenia pamiętnej nocy. Ale niewielka to słabość. Bo on będzie wracał i wracał, raz za razem, w nieskończoność, jeśli go nikt wcześniej nie zgładzi.

– Aha. Czyli można go zgładzić.

Zegroz westchnął smutno.

– Nie pokonasz go – powtórzył. – Nie pokonasz samego siebie, i to w dodatku wyposażonego w nadludzką moc.

Znowu zapadła cisza i tylko Niki oddychała głośno, nie mogąc ze strachu wypowiedzieć ani słowa. Jej niespokojne oczy przeskakiwały między mężem, gospodarzem a metalową ścianą obok. Potem podeszła zdecydowanie i objęła Viriona, jakby chcąc chronić go samą sobą.

– Nie teraz, proszę. – Zegroz usiłował ją delikatnie odsunąć.

Przywarła do Viriona jeszcze mocniej.

– Musimy stąd odejść. – Upiór był stanowczy. – Zaczekamy kilka piętér wyżej, a twój mąż na chwilę tu jeszcze zostanie.

– Po co? – chciała wiedzieć.

– On chce być może coś pokazać. A może skontaktować się bezpośrednio. Nie wiem, ale nie powinniśmy tego zakłócać.

Dopiero po takim argumencie Niki dała się odsunąć na bok. A Zegroz spojrzał na Viriona.

– Nie szykuj się na jego słowa ani na obrazy. Wasz kontakt może polegać jedynie na tym, że on poruszy jakieś struny gdzieś głęboko wewnątrz ciebie. Ja sam nie wiem.

– Rozumiem.

– To powiedz... Czemu się uśmiechasz?



Taida, która wieczorem pojawiła się w głównej sali wartowni przed Zamkiem, była tak spocona, jakby właśnie wyszła z łaźni parowej.

– Szybko poszło. – Taron podniósł się na jej widok. W jego mniemaniu tortury, żeby były choć w miarę skuteczne, powinny trwać przynajmniej cały dzień.

– Śmieję się, że Anai potrafi wydobyć zeznania nawet z przydrożnego kamienia.

– Pomagałaś mu? – Jej osobisty setnik zdjął z szyi własną chustę i otarł Taidzie czoło. – Musiałaś trzymać przesłuchiwaną czy jak?

– Uwierz mi, sam widok przyprawia o dreszcze.

Zrobił minę, jakby zobaczył coś, czego nie chciał zobaczyć.

– Powiedziała coś ciekawego?

– Słuchaj, musisz mi pomóc – zignorowała jego pytanie. – Trzeba pozbyć się ciała.

– Nie ma problemu. Ludzie Robego zaraz w coś je zawiną, wyniosą i podrzucą do któregoś z głębokich kanałów.

Położyła mu rękę na ramieniu.

– No tak. Jest tylko jeden kłopot.

– Jaki?

– Najpierw trzeba sprawić, żeby łączniczka stała się ciałem, a nie jak teraz, żywą osobą.

Zdumiony do granic wytrzeszczył oczy.

– To ona żyje? Po czymś takim...?

– Anai nie zabija, nie niszczy, nie wyrządza trwałej krzywdy. Myślę, że on się uważa za człowieka, u którego zasady moralne stoją na pierwszym miejscu. A z całą pewnością torturowanie kogoś nie sprawia mu przyjemności jak niektórym katom. On podchodzi do tego naukowo i w swoim mniemaniu przynosi oskarżonym ulgę, bo dzięki jego metodom wyjdą z przesłuchiwania żywi.

Taron nie do końca mógł uwierzyć.

– I chcesz, żebym to ja...? – Wbił sobie palec w brzuch i przekreślił.

– Ja tego nie zrobię, Anai uznał, że koniec roboty, i już sobie poszedł, a nie mamy lochu, żeby ją przechować. No przecież na Zamek łączniczki nie posłę.

– Dobra. To ja się tym zajmę.

Taron skinął na kilku chłopaków od Robego i ruszył w głąb korytarza. A Taida zyskała trochę czasu, żeby doprowadzić się do porządku. Najchętniej zmieniałaby przeпоconą sukienkę, ale pod ręką nie miała zapasowej. Nawet kupno nowej w składzie handlowym gdzieś w pobliżu nie wchodziło w rachubę, ponieważ z powodu bliskości wiadomej instytucji kupcy bławatni i sukiennicy nie mieli tu swoich magazynów. Na targ było zdecydowanie za późno, a na wartowni może i były jakieś zapasowe tuniki, ale na pewno nie kobiece. No trudno. Ta sprawa będzie musiała poczekać.

– Załatwione.

Odwróciła się gwałtownie, słysząc za plecami zdecydowany głos.

– Gangsterzy właśnie ją pakują. – Taron czyścił swój miecz. – Powiedziała coś istotnego?

– Co miała powiedzieć? Złapaliśmy jakąś przypadkową osobę, co stwierdził sam mistrz Anai. Pewnie pomyliłam dziewczyny podczas identyfikacji...

– Co?! – Taron spłoszował. – I zabiłem niewinną kobietę?

Taida dłużej nie mogła utrzymać poważnego wyrazu twarzy.

– Kochanie, nie daj się więcej wkręcać. – Podeszła bliżej i musnęła wargami jego policzek. – To wysłanniczka naszych wrogów. Spiskowiec pierdolony.

Setnik zaklął, ale nie zacisnął pięści. Nawet nie drgnął.

– Widzę, że jesteś w doskonałym humorze.

– No, jestem.

– Słowem, to nie był stracony czas?

Przytaknęła. Zastanawiała się, jak znaleźć ustronne miejsce do przekazania najważniejszych wiadomości, ale w końcu uznała, że nie ma takiego.

– Wszyscy wyjdźcie – rzuciła pod adresem Robego.

W gangach marynarki dyscyplina była wzorem do naśladowania. Wszyscy pałkarze momentalnie opuścili pomieszczenie, a ostatni zamknął za sobą drzwi.

Taida przyłgnęła do Taroną całym ciałem i zaczęła mu szeptać do ucha.

– Tu, na szybko, powiem ci tylko z grubsza, czego się dowiedziałam. Obszerna relacja potem.

– Jasne.

– Tego kretyna Tulia nie ominie wielka nagroda. Wystawił nam złoty strzał!

– Dziewczyna była aż taka ważna?

– Arcyważna. Miała za zadanie przekazać Amanowi zręby planu ataku na Syrx. Żeby wiedział, jak przygotować ludzi na Zamku.

– I jak uderzą?

– W dwóch grupach. Najpierw Prabh z siłami, które wcześniej pokonały już Mohra z jego cesarskim wojskiem. Ale to będzie tylko atak pozorowany. Z drugiej strony miasta uderzy Legion Moy. Ale najpierw na bramę od wewnątrz uderzą ci pieprzeni samobójcy. W takiej liczbie, że zmiotą murowych, umożliwią dywersantom otwarcie bramy i legion wkroczy, żeby rozprawić się z resztkami sił cesarskich, a potem urządzić tu rzeźnię. Data koronacji Geberika na cesarza nie została jeszcze ustalona.

– Ja pierdołę! Na jakie bramy uderzą?

– Tego dziewczyna nie wiedziała. Być może spiskowcy jeszcze tego nie ustalili.

– No dobra. I co teraz? Łapiemy samego Amana?

– Po pierwsze, to nie jest człowiek, który może podejmować decyzję. Zauważ, że więcej nam dało czekanie w jego przypadku niż aresztowanie. Po drugie, wdepnięcie w wewnętrzne śledztwo na Zamku jest tym samym,

co wdepnięcie w gówno. Siły, które będą się przeciwstawiać w obawie o własne głowy, są przepotężne, a będą się jednoczyć i przeciwdziałać, bo ujawnienie zbyt wielu faktów sprawi, że ujawnione zostaną ich ciemne sprawy.

– Ale Aman doprowadzi nas do następnych ludzi spiskowców.

– Tylko do tych, którzy słuchają rozkazów. Nałapiemy płótek, za to ugrzęźniemy na Zamku po wsze czasy. Niestety, plan naszych wrogów jest doskonały.

Taron odsunął się trochę, by móc spojrzeć Taidzie w twarz.

– Co to znaczy?

– Tylko tyle, że nie mamy nic, co moglibyśmy im przeciwstawić. Syrxin zostanie zajęta za kilka, kilkanaście dni.

Nie mógł czegoś zrozumieć.

– To czemu jesteś zadowolona?

– Za kilkanaście dni tamci wkroczą i nie wiadomo, co się stanie. A za brak wyników cesarz zgładziłby nas już jutro. Teraz już nie zgładzi, bo przeprowadzimy parę spektakularnych aresztowań.

Pocałowała Tarona w usta i odsunęła się na dobre. Powiew wieczornego wiatru z okna sprawił, że przepełniona na plecach tunika zaczęła nieprzyjemnie chłodzić skórę.

– Potem opowiem o szczegółach – szepnęła. – Na razie musimy się gdzieś zaszyć na noc.

– Gdzie?

– Ty wymyśl. – Uśmiechnęła się ciepło. – Wiesz, dlaczego nam się ciągle udaje? Dlaczego oni nie mogą nas dopaść?

– Dlaczego? – Popatrzył na nią z ciekawością.

– Bo nikt z nich nie wie, kim jesteś! – Zaczęła się śmiać. A ponieważ nie zrozumiał, wyjaśniła: – Usiłując przewidzieć nasze ruchy, przeciwnicy wyobrażają sobie wyszkolonego oficera wywiadu i zgadują, co zrobi. A ty to po prostu ty. Nikt nie zgadnie, gdzie dzisiaj będziemy się kochali, nawet ja.

Teraz zrozumiał, bo odpowiedział uśmiechem, twardym i męskim.

– A ja już wiem. – Objął ją ramieniem. – Spodoba ci się.



Virion poprosił o czystą wódkę, twierdząc, że od nadmiaru wina dostanie zaraz wrzodów żołądka, a poza tym ma już dość płynów, które tylko bezproduktywnie przelewają mu się między zębami. Uprzejmy gospodarz

spełnił tę prośbę skwapliwie. Być może była to tradycyjna uprzejmość, a może miał w tym własny cel. Tak, Zegroz mógł mieć nadzieję, że od pijanego Viriona szybciej dowie się czegoś o szczegółach jego „sam na sam” z przedwiecznym. Jakie było jego rozczarowanie, kiedy skonstatował, że szermierz mimo wlewania w siebie ogromnych ilości bardzo mocnego trunku nie wykazuje żadnych objawów wskazujących na zbliżającą się rozwiązłość języka. Po pewnym czasie postanowił więc zaatakować frontalnie.

– A powiedz mi, przyjacielu, jak doznania tam, na dole? Co poczułeś w chwili, kiedy zostałeś sam z przedwiecznym?

– Strach, że mnie zostawicie i będę musiał sam po ciemku pokonywać te schody na górę.

– Ha, ha... Nie umiesz ubrać w słowa własnych doznań?

– Umiem.

– W takim razie...? Hm, to może zadam konkretne pytanie. – Zegroz skwapliwie napełnił po brzegi puchar gościa. – Czy dowiedziałeś się czegoś nowego o walce?

– Nie.

– O sposobach koncentracji, radzenia sobie z własnymi słabościami?

– Nie.

– No to może zyskałeś jakąś nową wiadomość...

– Nie – tym razem Virion przerwał gospodarzowi w pół zdania. Sam uznał po chwili, że takie zachowanie niekoniecznie stanowiło wzór uprzejmości, bo powiedział: – Może masz rację. Chyba nie potrafisz nazwać swoich własnych doznań.

– Ale były jakieś konkretne doznania? – Zegroz nie zamierzał bynajmniej rezygnować z dalszej indagacji.

– Nie wiem, jak to nazwać. – Virion nagle podniósł dłoń w obronnym geście. – Dobra, dobra, jestem świadomy, że w ten sposób do niczego nie dojdziemy.

– A czy to ma związek z faktem, że nagle odczułeś potrzebę upicia się w sztok?

Szermierz uśmiechnął się szeroko. Upiór może i dysponował wiedzą przekraczającą wiedzę całego tabunu najświatlejszych ludzi. Ale o picciu wiedział raczej niewiele.

– Zaskoczę cię. Piję, bo chyba chciałbym wyrzucić go ze swojej głowy.

– Kogo? Przedwiecznego?

– Mhm.

– Jak mam to rozumieć?

Virion kilkoma łykami opróżnił swój dość duży puchar, zupełnie jakby pił wodę. Potem odstawił naczynie i spojrzał Zegrozowi w oczy.

– Czy mógłbyś otworzyć tę ścianę, za którą jest przepaść? Tak jak poprzednio?

– Mogę... – Upiór najwyraźniej nie spodziewał się, w którą stronę steruje jego gość. Wykonał jakiś gest nad podręcznym stolikiem i wielka, rozświetlona białym światłem ściana zaczęła się rozsuwać szybko, ukazując nieprzeniknioną czerń.

Virion wstał ze swojej leżanki i lekko chwiejnym krokiem podszedł do stojaka, z którego poprzednio korzystał Zegroz. Zdjął z niego dwa miecze i jeden podał gospodarzowi rękojeścią do przodu.

– Chodź na krawędź przepaści – powiedział. – Stoczmy przerwana walkę jeszcze raz.

– Nie, nie, nie, nie! To prawdziwa przepaść. Wystarczy jeden krok i cię nie będzie.

– Już raz chciałeś tam walczyć.

– Wtedy byłeś trzeźwy. A po drugie, wcale nie chciałem walczyć. Chciałem ci tylko udowodnić, że są jednak rzeczy niemożliwe, z którymi nikt sobie nie poradzi. I tyle.

– Nie do końca ci wierzę, ale niech będzie. Chodź.

– Zwariowałeś.

– No chodź. Jesteśmy dorośli. Nie będziemy się przekomarzać jak dzieci.

Zegroz podniósł się niechętnie, ujmując miecz.

– I co chcesz mi udowodnić?

– Chcę porozmawiać o niemożliwościach. – Virion, teraz już wyraźnie chwiejąc się na nogach, podszedł do krawędzi przepaści. Nawet nachylił się, żeby w nią spojrzeć.

– Przestań! Jesteś pijany!

– No, jestem. – Sierzmierz przyjął pozycję ćwiczebną z ostrzem miecza wysuniętym do przodu. – Porozmawiajmy.

– Z powodu twojego stanu to będzie raczej krótka rozmowa.

Virion zaatakował dokładnie w chwili, kiedy Zegroz stanął tuż nad przepaścią. A upiór momentalnie zorientował się, że walka jest na poważnie. Że nie będzie mógł odpuścić nawet na piędź. Zresztą pijany Virion był tysiąc razy bardziej niebezpieczny niż Virion trzeźwy. Teraz naprawdę nie było wiadomo, co mu odbije. A jeśli się zapomni i utnie gospodarzowi głowę?

Virion atakował raz za razem. Lekko, zwinnie, jakby zupełnym przypadkiem. Upiór cofał się w ubezpieczeniu. Zgodnie z przewidywaniami siły szybko opuściły jego przeciwnika. Na czole Viriona pojawił się pot, oddech się skrócił, a krok był coraz bardziej niepewny.

– Opuścimy sobie?

Virion nie słuchał. Właściwie tocząca się walka przestawała dla niego istnieć. Tak jakby nie brał w niej udziału. Jego mięśnie, ścięgna, a przede wszystkim jego odruchy kierowały ciałem. Rozum na pewno nie. Przestawało go obchodzić wszystko wokół. Przepaść tuż obok, przedziwny zamek na pustyni wraz z jego mieszkańcami i tocząca się na zewnątrz wojna. On sam, jego umysł zniknął powoli. Czuł tylko ziemię pod stopami i otaczający go wszechświat.

W tym momencie Zegroz uznał, że nastąpił właściwy moment, by rozstrzygnąć to niebezpieczne starcie. Widząc chwiejącego się przeciwnika, wyprowadził atak ze swojej lewej, z dołu. No przecież tamten był półprzytomny.

Virion nie silił się na kontrę. Silnym uderzeniem wytrącił upiorowi miecz, który obracając się w locie, poszybował w dół, na dno przepaści. A swoje ostrze wycelował w gardło gospodarza.

– U... – Zegroz nie mógł opanować zaskoczenia. Przez chwilę wyrównywał oddech. – Nie używam ludzkich przekleństw, ale przyznam, że w tej chwili najchętniej bym zaklął.

Virion opuścił miecz.

– Mógłbyś zasunąć tę ścianę? Mam wrażenie, że zaraz spadnę.

Upiór roześmiał się wymuszenie. Nie miał pojęcia, czy to żart, czy jego gość mówi poważnie. Co gorsza, nie miał też pojęcia, co o tym wszystkim sądzić. Po chwili namysłu, który nawet nie zbliżył go do jakiegokolwiek rozstrzygnięcia, odchrząknął i zmienił temat:

– Spróbujmy nic już dzisiaj nie pić. Na jutro Tania zapowiada ważne zebranie.



– Słuchajcie, zrobmy coś z tym – oznajmiła Tania stanowczo. – Ja zaraz uświerknę w tym zamku bez widoku słońca. Mogli nas w katakumbach zamknąć, byłoby mniej ponuro.

Nożownicza siedziała okrakiem na leżance, na której z reguły jadła posiłki, a nieprzystojny widok, który mógł się roztaczać z powodu jej nieskromnej pozycji, zasłaniała amforą z winem.

Zebrane wokół towarzystwo generalnie podzielało ten pogląd, choć w różnym stopniu zaangażowania. Pobyt w tym miejscu najbardziej chyba dopiekł Hekemu, mimo że on akurat powinien mieć najmniej pretensji.

– Całkowita racja! – poparł natychmiast przedmówczynię. – Wychodzimy i spuszczaamy wrogom wściekły wpierdol! Bo kiedy my siedzimy tutaj, oni nic nie muszą robić, żeby nas szlag trafił!

Lirion podniósł rękę, chcąc zadać pytanie:

– Przepraszam, czy w trakcie spuszczenia wrogom wpierdolu mamy cię nieść we czwórkę, czy siądziesz Niki na karku, a ona będzie kijkiem podpierać twój miecz?

– Jestem wystarczająco sprawny!

Virion, który jako jedyny tutaj miał doświadczenie lekarskie, postanowił włączyć się do rozmowy.

– Weź nie gadaj pusto, z łaski swojej. Rany w brzuch nie leczy się w ciągu doby. Ani dwóch, ani nawet trzydziestu dwóch.

– Już zagojona.

– Nie każ mi zagładać. Nie mówiąc już o rehabilitacji.

– O czym?

– O czasie potrzebnym na odzyskanie formy. Samo wyleczenie brzucha to nawet nie połowa roboty.

– Ale oni tu mają cudowne metody...

– Cicho – Tania przerwała Hekkemu i zwróciła się do Viriona: – A ty też nie powinieneś zabierać głosu. My umieramy z nudów, a ty codziennie spotykasz się z naszym gospodarzem i ćwiczysz szermierkę.

– To nie szermierka, raczej mistyka. – Zawahał się. – Albo podróże w głąb siebie.

– No ładnie – westchnął Rohan. – Jak już dowódca podróżuje w głąb siebie, to czas się zbierać.

– A ty co? Zdrowyś już?

– Zdrowy.

– Jednego mamy zatem. Kody?

– Zdrowy. Ale mi nic nie było.

– Nolaan?

– Generalnie zdrowy – odparł książe. – Ale kiedy pytam opiekunów, to twierdzą, że jak mówisz, potrzebuję jeszcze kilkanaście dni na dojście do formy.

– Właśnie. Lirion?

– Zdrowy. Nawet nie pamiętam, co mi było.

– Niki i Tani nawet nie pytam. Zdrowi mają przewagę, ale oddział w dalszym ciągu nie jest oddziałem.

Tym razem Kody podniósł rękę, dając znak, że chce mówić.

– No moment, moment, zaczekajcie. A konie? Logistyka? Broń, bośmy większość utracili? A podstawowy choć obraz sytuacji?

– Sytuacja jaka jest, każdy widzi – odpowiedziała Tania. – Podobno mamy wyjść w dniu, w którym się tu znaleźliśmy.

Niki przytaknęła.

– W tej kwestii wierzyłabym gospodarzowi.

Kody tylko lekceważąco machnął ręką.

– Wchodząc tu, nie mieliśmy o niczym pojęcia. Nie nazywaj tego obrazem sytuacji, bo to kpina jest po prostu.

Virion postanowił pogodzić oboje.

– Rozmawiałem o tym z Zegrozem. Obiecał dowiedzieć się wszystkiego, co się dzieje, przez... – zawahał się, bo powiedzenie „przez swoich ludzi” byłoby nieprawdą. – Eeee... dowie się swoimi sposobami.

– Przynajmniej tyle. – Kody przekrzywił głowę. – A konie? Bo mamy cztery zdobyczne i...

– I nie nazwałabym ich wierzchowcami godnymi zaufania, mówiąc bardzo delikatnie – wszedł mu w słowo Nolaan. – Konie to paląca sprawa.

– Dostaniemy. – Virion uniósł uspokajająco rękę. – Mamy obiecane, i to takie, że podobno nam oko zbieleje.

– I dzięki komu to wszystko? – zainteresowała się nagle Tania, patrząc podejrzliwie po otaczających ją twarzach.

– Niki ma znajomości w Syrinx. Władna tam kobieta czuje do niej miętę.

– No wiesz! – Niki oburzona zmierzyła męża ostrym spojrzeniem. Akurat z panią Nikt przecież okropnie darły koty. – Taka sama moja znajoma, jak i twoja.

– A, już się domyślam. – Tania zrozumiała po swojemu. Skoro znajoma Niki, to znaczy, że wampir. I gospodarz na pewno bał się wampirów, więc spełniał wszystkie ich zachcianki.

– A broń? – dopytywał Kody.

– Broń jest. Wiele karawan przechodziło tędy od wieluset lat. Niektóre nie bały się nawet najgorszych burz i w związku z tym wszystko, co po nich pozostało, znajduje się w tutejszej zbrojowni.

– A. No to wszystko chyba mamy.

– Ludzi nam brak – osadził go Lirion.

– Ludzi trzeba wynająć – zgodził się natychmiast Nolaan. – Dyskutowaliśmy przecież o tym wielokrotnie. I z analizy naszych błędów wynika, że do najprostszych zadań nie powinniśmy wysłać kogoś z nas. A podczas walki największym naszym błędem było, że każdą rzecz robiliśmy sami. I sami w związku z tym zajechaliliśmy się okrutnie. Pod koniec już brakowało wszystkim sił.

– Prawda – zgodził się Rohan. – Do zlikwidowania wartownika nie trzeba od razu posyłać szermierza natchnionego.

– Wystarczy zwykły siepacz.

– Prawda – powtórzył Rohan. – Ale skąd ludzi chcesz wziąć? Najbliższa giełda najemników za granicami kraju.

– Bo ty chcesz żołnierzy najmować – odparł ksiączę natychmiast. – A po drodze minęliśmy miasteczko, gdzie mistrzowie miecza ledwie na trybunie się mieścili.

– Ach – przypomniał sobie Hekke. – Chodzi o to zadupie, gdzie z Virionem zrabowaliśmy trzy brązowe od miejscowych małolatów?

– To z areną do pojedynków. Niech Kody tam jedzie, pobierze góry złota z miejscowej prefektury i wynajmie najlepszych, najdroższych, najbardziej zmotywowanych.

– O nie, nie, nie. – Hekke o mało nie podskoczył. – On wynajmie najlepszych w gębie, nie w walce.

– Więc pojedziecie obaj – wtrącił się Virion, rozsądając zwaśnionych. – Ty się znasz na szermierzach, a on na tym, żeby każda sprawa miała ręce i nogi.

Kody uklonił się dowódcy, a Hekke na szczęście nie zrozumiał.

– No to mamy ustalone.

– Zaraz, zaraz. – Tania znowu podniosła głos. – Tak czy siak, czeka nas tu jeszcze kilkadziesiąt dni czekania, aż ostatni się wygoi. Chyba że ty, przyjaciółko, wpadniesz na jakiś pomysł.

Wywołana do odpowiedzi Niki uśmiechnęła się do nożowniczki.

– A ty, kochanie, słuchałaś, co było mówione? Bo później mężczyźni z nas się śmieją, że my durne.

– A o co ci chodzi?

– O to, że jak ktoś się niecierpliwi, to może wyjść na zewnątrz i poczekać na resztę.

– W upale? I marznąć w nocy?

Upiorzyca zaprzeczyła ruchem głowy.

– Ja już byłam na zewnątrz, na chwilę. Tam jeszcze nie minął dzień, w którym przybyliśmy do tego miejsca. Tam naprawdę jeszcze widać na wydmie ślady kopyt naszych koni!

Viriona olśniło. Dopiero jego żona musiała jasno sformułować myśl, żeby to do niego dotarło z całą mocą. Doskonale zdawał sobie sprawę z destrukcyjnego wpływu nudy na każdy oddział pozostający w bezruchu. Wiedział, że nic tak nie niszczy morale jak impas, oczekiwanie, brak zadań. Dlatego właśnie nawet weteranów wracających z wojny do koszar poddaje się wyczerpującym ćwiczeniom jak rekrutów bez mała, ponieważ trwanie niszczy ducha szybciej niż hekatomba.

– Dobrze – powiedział. – Niech każdy, komu doskwiera frustracja, wyjdzie i zaczeka chwilę na resztę.

– Z drugiej strony głupio tak ich zostawić. – Tania ruchem głowy wskazała Hekkego i Nolaana.

– Pozbawię was męki wyboru – powiedział książę. – Przez parę dni chętnie pobiorę u gospodarza lekcje dotyczące mistycznej podróży do wnętrza siebie.

– Polecam – zgodził się Virion. – Można tam napotkać wiele bardzo ciekawych rzeczy.

– A ja? – poderwał się Hekke. – Od tego bezruchu omdleją mi wszystkie członki i jak potem będę mieczem władał?

Chciał być bardzo poetycki, ale Niki pojęła go dosłownie.

– Oj, zaraz się tu rozejrzę za jakąś dziewczyną, która sprawi, że nic ci nie będzie omdlewać.

Kody parsknął śmiechem, pozostali mieli refleks i zachowali powagę, a Hekke jak zwykle potrzebował dłuższej chwili, żeby zrozumieć. Nie zdenerwował się jednak, tylko rozmarzył.

– Ach, dziewczyna... Może i mógłbym trochę zostać.



Kasjopea brnęła przez piaskowe wydmy aż do południa. Potem jednak zrobiło się za gorąco. Postanowiła odpocząć, wiedząc dobrze, że wędrownka w taki skwar przyniesie jej więcej szkód niż pożytku. Przede wszystkim nadszarpnie jej skromny zapas wody, a tego musiała unikać za wszelką cenę. Nie powinno się racjonować wody, pijąc jakieś ściśle wyliczone, maciupieńkie porcje. To głupie – wkładali jej swego czasu nauczyciele. Powinna pić normalnie i skupić się na szukaniu nowych źródeł zaopatrzenia. Ale nie można pić normalnie, kiedy każdy krok wyciska z człowieka ostatnie poty. Tę porę dnia należy przeczekać.

Kasjopea się rozejrzała. Na szczęście skał wokół było pod dostatkiem. Na te wielkie, wyglądające niczym filary podpierające niebo, nie miała szans się wdrapać. Ale szybko udało jej się dostrzec odpowiednie miejsce – kamienny blok, wywyższenie, które gdyby nie porzeźbione ściany, wyglądałoby jak naturalny ołtarz, żywcem przeniesiony z jakiejś świątyni. Najpierw długo oglądała skałę, szukając jakiejś rynny, a ponieważ żadnej nie znalazła, podeszła do ostrego uskoku i zaczęła się wspinać.

Wysokość nie była porażająca. Raptem może trzech ustawionych jeden na drugim ludzi. Ale jeśli chodzi o upał, powinno wystarczyć. Dodatkowym plusem było, że skałę osłaniał większy nawis i na górze można było spodziewać się nawet cienia. Niestety, tuż przed osiągnięciem

celu usłyszała głosy. Psiamać! Znajdowała się tuż przed krawędzią, trochę za późno, żeby się teraz wycofać. Kto tu mógł siedzieć? – przemknęło jej przez głowę. No przecież nie wojsko. Dziesiątnicy nie pozwoliliby żołnierzom wdrapywać się na przydrożne skały w poszukiwaniu ochłody, tego nie przewidywał żaden regulamin. Kto zatem? Pewnie kupcy pragnący jak i ona znaleźć chwilę wytchnienia od skwaru. Może wędrowcy? Pątnicy? Zbóje w tej pustce raczej nie mieliby czego szukać. Nie potrafiła rozstrzygnąć tej kwestii, ale na ucieczkę i tak było za późno.

Kasjoepa ukryła swój krótki miecz pod płaszczem i podciągnęła się ponad krawędź. Dwóch mężczyzn i kobieta. Dwa miecze, jedna pałka, jeden kij. Tyle powiedziało jej pierwsze spojrzenie. Nie wyglądają na wyjętych spod prawa. Tyle dało jej pierwsze przemyślenie.

– Wybaczcie. – Podciągnęła się wyżej i przełożyła nogę nad krawędzią. Potem szarpnęła się jeszcze i usiadła na szczycie skalnego bloku. Był wystarczająco rozległy, żeby pomieścić i dwadzieścia osób bez mała. – Nie chcę zakłócać waszego spokoju. Pragnę jedynie chwilę odpocząć w chłodzie.

– A pomieścimy się, panienko, pomieścimy – odparł wysoki mężczyzna z kędzierzawymi, dawno nieobcinanymi włosami. – Miejsca tu w bród.

– Chodź, panienko – zawtórował drugi, niższy, o włosach poproszonych siwizną. – Nie bój się.

Ten brzmiał już groźniej, ale również, jak jego kolega, nawet nie zerknął w stronę swojego miecza, co mogło dobrze wróżyć. Kobieta natomiast zajmowała się krojeniem jakichś placków na cienkie paseczki. Jej mina wskazywała jednoznacznie, że przybyła nie ma co liczyć na poczęstunek. Ale też najprawdopodobniej nie spotka się z agresją.

Kasjoepa usiadła kilka kroków od nich, opierając się o kamienną ścianę, która dawała cień. Ale ulga.

– Co tu panienka robi sama jak palec? – zagaił kędzierzawy. – Nie boi się panienka?

– Zgubiłam się.

– To i widać gołym okiem. Ale co? Karawanę jakąś zbójcy napadli?

– Nie. To tylko burza piaskowa. Oczywiście nie posłuchałam rozkazu, żeby zsiąść z koni i pętać zwierzęta, bo przecież wiem lepiej, kiedy się zacznie. – Kasjoepa kłamała jak z nut. – A kiedy piasek sypnął w oczy, wierzchowiec mnie poniosł i ani go zatrzymać, ani w ciemność z siodła skakać, nic. Zatrzymał się, dopiero jak złamał nogę na jakimś wykrocie. Ale sami wiecie. Krzyżeć podczas burzy nie ma sensu, bo nikt nie usłyszy, a następnego dnia wracać po śladach się nie da, bo nie ma śladów.

– A wiemy, wiemy. – Mężczyźni zgodnie pokiwali smętnie głowami. – I co? Ojciec pewnie szuka teraz?

– Nie mam ojca – skłamała ponownie, żeby nie obudzić w nich myśli o jakimś okupie. Ale zrozumiała od razu, że trochę się zagalopowała. Bo co niby dziewczyna robiłaby w karawanie kupieckiej? W to, że zatrudniła się jako poganiacz zwierząt, nikt nie uwierzy. – Na harfie kupcom przygrywałam przy ognisku – wybrnęła. – Miałam zarobić przyzwoite pieniądze, ale teraz...

– Na harfie? O, to bogata karawana.

– I co mi z tego?

– No i gdzie ona jest w tej chwili?

Kasjoepa rozłożyła szeroko oba ramiona i zatoczyła nimi krąg po horyzoncie.

– Gdzieś tam.

Siwy zaczął się śmiać. Nawet kobieta dzieląca placki skrzywiła usta w uśmiechu. „Gdzieś tam”. Słuszna odpowiedź, gdyby chodziło o zagubione na piasku dziewczę. Ta tutaj jednak na taką całkiem zagubioną nie wyglądała i kędzierzawy wyczuł to doskonale.

– A wy skąd w tej głuszy? – zapytała.

– A my skrót sobie robimy – odparł siwy. – Uciekamy przed legionem. Przed pogromami – wyjaśnił. – Dowódca twojej karawany, skoro w sezonie burz skierował się na pustynię, też pewnie uciekał.

– Nic o tym nie wiem.

– Bo ci nie powiedzieli, dziecko. Ale każdy, kto ma rozum, to teraz ucieka. Albo okazji szuka.

– Jakiej okazji?

– Cała prowincja zaczęła wrzeć. Legion przekroczył granicę. Maszeruje do centrum kraju, ale się nie spieszy. Władzę cesarską znosi w każdym mieście, każdej wsi bez mała. Złodziei, urzędasów krwiopijców i bogaczy morduje na forach. A lud może nareszcie zaznać sprawiedliwości.

– To znaczy? – Kasjoepa nie bardzo chciała uwierzyć, ale sądząc po minach rozmówców, oni w to wierzyli.

– Jak wybiją możnych, jak zmiotą nareszcie te pijawki krwi syte, to pozwalają ludziom zabrać z domów wielmoży, co ich. Każdy może. Każdy może sprawiedliwości doczekać. Wystarczy być w mieście, które legion ogarnie, no i nie być kupcem przedsiębiorczym ani spekulantem. Prości ludzie ocaleją z pogromu i w zamian za swoją krzywdę w życiu dostaną zadośćuczynienie.

Aha, stało się więc jasne, co ci tutaj bez bagażu i bez zapasów na pustyni robią. Nie załapali się pewnie na łup w jakimś mieście i teraz skrót sobie zrobili przez pustynię, żeby do następnego miasta dotrzeć szybciej niż legion. Tam przeczekają zagładę elity i swój łup dostaną.

Kasjoepa usiłowała nie dać niczego po sobie poznać. Ale miała wrażenie, że jej wnioski są słuszne. Skąd jednak ci tutaj mieli miecze, skoro są prostakami? Nieważne. Nastął czas zawieruchy. O broń łatwiej niż w normalnych czasach. Po raz pierwszy jednak podczas całej swojej wyprawy do Luan poczuła, że imperium naprawdę chwieje się w posadach. Chyba nikt dotąd w dziejach nie zabijał bogatych, żeby zostawić ich dorobek na łup dla ludu. Nienawiść do cesarza musiała kogoś zaślepić. Albo była to żądza władzy za wszelką cenę. Byle jak, bez względu na koszty, nie bacząc na poświęcenie całej organizacji państwowej. Jakże bowiem imperium spiskowcy otrzymają po przejęciu władzy? Ruiny! Gdzie każdy, kto się do czegoś nadawał, został zabity, a tłuszcę nauczone, że o nic nie trzeba się starać. Jakby co, znowu nadejdzie „legion” i każdy będzie mógł sobie wziąć. Zgroza. Jakieś koszmarnie czasy zdawały się nadciągać razem z ognistym ogonem gwiazdy, która nawet za dnia była widoczna na niebie.

– A panienska jak tu dotarła? – zapytał kędzierzawy. – Bez zapasów? Przy końskim siodle nie było juków?

Dlaczego oni zwracają się do niej per „panienka”? Czemu nie mówią do niej normalnie na ty? Przecież nie miała na sobie bogatego stroju, klejnotów ani drogich rzeczy. Nie wysławiała się w sposób wyrafinowany. Starła się nawet ukryć swój perfekcyjny akcent. Dlaczego więc czują, że jest inna? Co zrobiła nie tak?

Psiamać! Zęby!

Uśmiechając się, pokazała im swoje zęby. Białe, czyściuteńkie, zadbane. Podczas kiedy ich były brudne i w kiepskim stanie. Kamienny pył w mące, z jakiej piekli swoje placki, ścierał im szkliwo, zostawiając szorstką powierzchnię, której trzymał się brud, w której łatwo robiły się dziury i powodowane przez nie choroby, co w rezultacie doprowadzało do licznych ubytków.

– A ja coś nie wierzę, że cię koń poniósł w burzy, panienko – powiedział kędzierzawy.

– Ja też nie. – Kobieta nagle oderwała się od swoich placków. – Pewnie zwędziła kosztowności dowódcy i teraz ucieka.

No tak. Złodziej we wszystkich wokół widzi samych złodziei.

– Nie. Ona z wyższych sfer. Sama jest cenniejsza niż kosztowności.

Siwy jakby zrozumiał dopiero teraz. Wyraz jego twarzy zmienił się nagle, a on sam chwycił swój miecz i podniósł się błyskawicznie.

Chcąc nie chcąc, Kasjoepa poderwała się również, opierając plecy o kamienną ścianę. Ci tutaj nie wydawali się przesadnie groźnymi przeciwnikami. Ale doskonale znała prostą zasadę: cham i prymityw zawsze wygra z człowiekiem inteligentnym. Cham nie ma bowiem ani

rozumu, ani wyobraźni. Działa instynktownie, na siłę, nie ma żadnych wyobrażeń na temat tego, co mogłoby pójść nie tak. A inteligent? He. Niby wie, że wygra tylko wtedy, kiedy na silniejszego przeciwnika uderzy pierwszy. Ale jak to tak? Wziąć miecz i ni stąd, ni zowąd palnąć kogoś w łeb? No nie wypada... Choć to brzmi śmiesznie – po prostu nie wypada.

Na szczęście w przypadku córki wielkiego księcia Królestwa Troy doszło do głosu wyszkolenie. Zresztą gdyby dwaj mężczyźni zdali się po prostu na instynkt i obaj nagle runęli do przodu, to pewnie by wygrali to starcie. A oni właśnie przymierzali się do podręcznikowego błędu i usiłowali otoczyć ofiarę. Najwięksi instruktorzy szermierki nie potrafili dociec w swych naukowych rozważaniach, po co w czystej, klasycznej sytuacji ludzie manewrują. Rozwiązania nie udało się znaleźć. Być może, ale to tylko w przypadku prymitywnych przeciwników, tamci chcieli, żeby ofiara się bała? Może zamierzali ją jeszcze upokorzyć przed klęską? A może chcieli tylko pokazać swoją niepodważalną wyższość, co jest charakterystyczne dla ludzi prymitywnych uważających resztę za frajerów? Trudno zgadnąć.

W każdym razie Kasjoepa nie była frajerem. Była dobrze wyszkolonym szermierzem i mogła ustępować przeciwnikom jedynie siłą fizyczną, ale to akurat w przypadku walki na miecze miało marginalne znaczenie.

Siwy stanął po lewej w jakiejś parodii postawy szermierczej, a kędzierzawy ruszył w bok, żeby stanąć po prawej. Kasjoepa nie czekała, aż skończy, i błyskawicznie ruszyła na siwego. Uniósł rękę z mieczem wysoko, jakby chciał kończyć jednym ciosem, a może po prostu tylko taką metodę gdzieś widział. Dziewczyna wykorzystała to momentalnie, doskoczyła i klingą własnego krótkiego ostrza pchnęła mocno uniesiony miecz jeszcze bardziej do tyłu, aż za głowę mężczyzny. Zaskoczonego i bezbronno uderzyła łokciem w odsłoniętą pachę, a kiedy zamarł, zrobiła krok do tyłu i chlasnęła go ostrzem po szyi. Siwy zasadniczo nie liczył się już jako przeciwnik, ale Kasjoepa nie kończyła, bo musiała się rozejrzeć. Zerknęła szybko w lewo i w prawo. Błyskawicznie zlokalizowała pozycje pozostałych wrogów. Kobieta klęczała nad bagażami z szybko rozszerzającymi się oczami, kędzierzawy albo jeszcze nie zauważył, co się stało, albo zauważył, ale nie zrozumiał, bo dalej szedł, chcąc zająć upatrzoną wcześniej pozycję. Sytuacja pod kontrolą.

Kasjoepa mogła zatem znowu skoczyć do przodu. Wytrąciła siwemu miecz z dłoni, a potem uchwyciła rękojęść swojego obiema rękami.

– Lubisz ciosy z góry? – zapytała cicho, łamiąc zasady wpajane jej przez instruktorów, że podczas walki się nie rozmawia. – To się powinno robić tak.

Ciągnąc oburącz, wyprowadziła piękny cios znad własnej głowy i z całej siły walnęła tamtego siwego w sam czubek czerepu. Wyeliminowany na zawsze.

Odskoczyła pod swoją skałę, znowu rzucając spojrzeniami na obie strony. Kobieta tkwiła w tym samym miejscu co poprzednio, kędzierzawy zajął nareszcie upatrzoną pozycję i nawet wyciągnął miecz przed siebie, ale chyba nie zamierzał fechtować, tylko ją zelżyć. Przynajmniej na razie.

– Ty pizdo zimna jebana w dupę...

Większości określeń Kasjopea nie słyszała nigdy w życiu. Ale poczuła, że ma rumieńce. No co za cham przebrzydły!

– Nie powinienes tak mówić.

Czy naprawdę do jej oczu napływają łzy? Co za świnia niemyta. Tfu! Nie powinna. Łząc tamtego, zniżała się przecież do takiego samego poziomu. Ale jak sprawić, żeby przestał wywrzaskiwać te bezceństwa? Zbeształa siebie w myślach za te wahania. No przecież to proste. Wyeliminować jak poprzedniego.

– Cicho! – Ruszyła do przodu, by po kilku krokach przyjąć postawę.

Zadał oczywiście cios od razu, a ona zręcznie przepuściła go po klindze. Uderzył ponownie, ona ponownie przepuściła. I tak jeszcze raz, i jeszcze. On się męczył jak każdy amator, ona nie, bo była wyćwiczona. Ale sama jakoś nie mogła przejść do ataku. Chyba w jej głowie ciągle huczały usłyszane wulgaryzmy. Nie chciała tego przyznać przed sobą, ale bardzo ją zdeprymowały. No i co się dziwić, przecież była tak naprawdę panienką z bardzo dobrego domu.

Mężczyzna przed nią dyszał już z wysiłku, ale nie ustawał. Od czasu do czasu wykrzykiwał jakieś świństwa, usiłował jej dotknąć, czyniąc wulgarne porównania, i może na tym froncie miał jakieś tam małe sukcesy. Szermierzem był jednak do niczego. Żeby nareszcie rozstrzygnąć walkę na swoją korzyść, runął nagle do przodu, chcąc jednocześnie użyć zarówno miecza, jak i pięści, Kasjopea uskoczyła lekko, podstawiając mu odruchowo nogę. Desperacja na nic się zdała, bo sytuacja była klasyczna, ćwiczona z instruktorami wielokrotnie, i to, co się stało, było właściwie jedynie wynikiem pamięci jej mięśni. Kiedy mężczyzna przewrócił się na brzuch, Kasjopea nachyliła się nad nim, lewą dłoń położyła mu na czole, odciągnęła głowę do tyłu i przeciągnęła mieczem po szyi. Głęboko. Pamiętała jednak, że przy takiej pozycji głowy tętnice szyjne chowają się za kręgosłup. Kiedy więc puściła głowę kędzierzawego, zadała jeszcze dodatkowy cios od góry w kark. Wszystko tak jak ją nauczono. Nie dodała od siebie niczego.

Wyeliminowany na zawsze. Ale zapomniała o kobiecie.

Przypomniała sobie, dopiero kiedy ktoś dopadł jej pleców i, niewprawnie co prawda, ale mocno, zaczął ją dusić. No nie!

Kasjoepa znowu nie musiała niczego wymyślać. Uderzyła z całej siły piętą w podbicie stopy tamtej, a potem kopnęła ją w goleń. Kiedy chwyt się rozluźnił, odsunęła się trochę i z całej siły wbiła swój łokieć w pierś napastniczki. Słyszając głucho stęknienie, uniosła własne nogi i opadając, wysmyknęła się z chwytu przeciwniczki. Zasadniczo, mając miecz, mogłaby ją z tej pozycji nawet zabić albo bardzo poranić, ale nigdy dotąd nie walczyła z kobietą. Po prawdzie żaden instruktor nie udzielił Kasjopei w tej kwestii żadnych rad.

Odskoczyła więc z przewrotem, poderwała się na nogi i przesunęła tak, żeby mieć skałę za plecami. Dopiero teraz mogła ocenić przeciwniczkę.

No nie! – zachnęła się na widok całkiem wyrobionych mięśni tamtej. Nie będzie się tu przecież księżniczka szarpała z jakąś silną robotnicą. Może jeszcze włosy sobie zaczną wrywać? Albo drapać się po twarzy? Faj. Nie miała też najmniejszej ochoty, żeby dać się zaszlachtować w tej dzicy. No trudno... Niech więc Bogowie decydują.

Kasjoepa prawą ręką wykonała zgrabny przerzut. Potem postąpiła o krok i podała przeciwniczce swój miecz rękojeścią do przodu. Widziała, jak twarz tamtej najpierw zamarła w wyrazie zdumienia, który po chwili powoli zaczął się przeradzać w wyraz triumfu!

– Naiwna zdzira! – warknęła kobieta, przejmując broń.

Nie zdążyła powiedzieć ani zrobić niczego więcej, bo Kasjoepa znowu zrobiła krok, oparła na przeciwniczce dłonie i pchnęła mocno, napierając do przodu. Zrobiła dwa zdecydowane kroki i zepchnęła tamtą ze skały. A potem ostrożnie wyjrzała.

Dobrze pamiętała. To była wysokość jakichś trzech ustawionych jeden na drugim ludzi. Wysokość, z której upadek da się przeżyć. Z której można próbować skoczyć.

Tak, da się przeżyć. Ale raczej nie z ostrą bronią w dłoni. A może inaczej. Skacząc z tej wysokości, pod żadnym pozorem nie można trzymać w ręku miecza.

Pod żadnym!

Kasjoepa nie zamierzała zabierać niczego z zapasów ludzi, którzy chcieli ją napaść. Nie mogła się przemóc i przejąć nawet ich zapasu wody, choć to akurat powinna zrobić koniecznie. No ale co innego rozum, co innego odczucia. Nie miała tu czego szukać. A bijatyka skutecznie pozbawiła ją najmniejszej choćby chęci na odpoczynek. Pamiętając o tym, że jest rozdygotana i rozkojarzona, zaczęła schodzić ze skały. Bardzo ostrożnie i powoli dobierając punkty podparcia dla dłoni i stóp. Udało jej

się nie spaść, a nawet nie uderzyć boleśnie łokciem czy kolaniem w któryś z licznie wystających fragmentów skały.

Kiedy już dotknęła stopami piasku, rozejrzała się, ale okolica była pusta jak poprzednio. Skąd by zresztą mogli się tu znaleźć ludzie? W dodatku na samym początku sezonu burz. Podeszła do kobiety, którą zepchnęła ze skały. Ta jeszcze żyła, choć była nieprzytomna. Trudno było powiedzieć cokolwiek o obrażeniach wewnętrznych, nie dało się dostrzec żadnych otwartych złamań. Trzymany podczas upadku miecz wszedł w ciało pod ostrym kątem, w okolice pachwiny, rozwalając prawdopodobnie także biodro. Kasjoepa, krzywiąc się, kucnęła obok i odzyskała swoją broń. Wiedziała doskonale, że powinna wytrzeć klingę z krwi, bo ta znacznie niedługo śmierdzieć, ale nie miała przy sobie żadnej zbędnej szmatki. Jakoś wzdrygała się przed użyciem w tym celu ubrania leżącej obok kobiety. Chyba nie była jeszcze dostatecznie twarda na takie rzeczy. Przesunęła więc ostrzem kilka razy po piasku, co było głupie i wcale nie wyczyściło broni. Ale przynajmniej krew nie kapła.

Kasjoepa zamarła nagle, czując na sobie czyjś wzrok. W pierwszym odruchu zadarła głowę przestraszona, bo zdawało jej się, że to jeden z nieboszczyków, których zostawiła na górze, przysunął się do krawędzi i patrzy na nią. Ale na szczęście nie. Dopiero kiedy opuściła wzrok, zauważyła sylwetkę żołnierza stojącego kilkanaście kroków dalej. Skąd tu...?

Czegoś nie mogła zrozumieć. Skąd wziął się taki tłok na pustyni, akurat dzisiaj i akurat w tym miejscu? Kroniki traktowały te okolice jako całkowicie bezludne, trwał sezon burz, a tu... człowiek na człowieku bez mała. Usiłowała dostrzec szczegóły kanciastej sylwetki. E tam. Żołnierz jak żołnierz. Mundur, regulaminowe wyposażenie, krótki miecz, dokładnie taki sam jak jej.

Nagle tamten ruszył w jej kierunku. Kasjoepa podniosła się, usiłując ukryć zakrwawione ostrze za plecami.

– Przepraszam najmocniej – powiedziała, kiedy mężczyzna zbliżył się do niej. – Którędy na Syrinx, bo chyba się zgubiłam?

Nie zareagował, cham jeden. Zdjął z ramienia zwinięty ciasno sznur, a drugą rękę wyciągnął w jej stronę.

– Chodź tu!

Niedobrze. Okrzyk brzmiał jak kategoryczny rozkaz. Co on tak bez pytania?

– No chodź tu, zarazo jedna! – wrzasnął żołnierz, przyspieszając kroku.

Kasjoepa zaczęła się cofać.

– Ci ludzie to byli wasi zwiadowcy? – zapytała, zerkając odruchowo do góry, bo to jedynie przyszło jej do głowy.

– Chodź no tutaj!

On najwyraźniej nie rozumiał, a już z całą pewnością nie obchodziło go, o co dziewczyna pyta. Szybko rozwinął swój sznur, a na jego końcu zaczął wiązać pętlę. Chciał ją złapać?

Kasjoepa nagle zdała sobie sprawę, jaki błąd popełniła w swoich rozmyślaniach. To nie był tłum ludzi na pustyni. Ci, których zabiła, pewnie znaleźli się w pobliżu przypadkowo. Ale ten żołnierz już na pewno nie. Przecież szedł na nią ze sznurem, chciał pojmać. Wiedział zatem, kim ona jest. Skąd? To proste. Nollo podczas marszu miał ze sobą ponad trzy setki wojska. Kiedy zaczęła się burza, trzy sotnie straciły ze sobą kontakt. Ludzie Viriona rozproszyli i zmusili do wycofania dwie setki. A trzecia, ta wysunięta najbardziej do przodu, nawet nie wiedziała, że z tyłu toczy się jakaś bitwa. Rano, kiedy piasek opadł na dobre, pewnie dotarł do nich goniec albo zwykły niedobitek i powiedział, co się stało. Wszystkie siły Nolla mają się wycofać, Kasjoepa uciekła i gdyby ktokolwiek trafił na jej ślad, to...

I wszystko jasne. Pierwsza setka wycofywała się właśnie, a Kasjoepa, jak głupia, robiła to samo, w tym samym, co gorsza, kierunku.

– Stój, zarazo! – Był tak pewny siebie, że nie przewidywał nawet możliwości nieposłuszeństwa. Nie chciało mu się ganiać młodej po wertepach, nie chciało mu się wezwać kolegów na pomoc. Pewnie chciał sam doprowadzić uciekinierkę. Może liczył na awans?

– No stój mi tutaj! Ale już!

Ach, jaki był władczy. Kasjoepa posłusznie stanęła. A kiedy podszedł bliżej i usiłował narzucić jej pętlę na szyję, przecięła sznur mieczem. A potem zrobiła coś niespodziewanego. Zamiast uciekać, cofnąć się, skoczyła w lewo i ruszyła w jego stronę. Oglupiał, ale swój miecz zdążył wyjąć. Co z tego jednak, kiedy Kasjoepa znalazła się już obok niego, po jego prawej stronie. Nie da się walnąć mieczem w tym kierunku, bo najpierw trzeba by wziąć zamach. Nie da się też złapać uciekiniera dłonią, bo przecież tkwi w niej miecz. I co robić?

Dźgnęła go w prawe ramię, rozcinając skórę. Nie czekała, aż zareaguje. Ruszyła dalej za niego i znowu skoczyła w bok. A potem dotknęła plecami jego pleców. Zmieniła chwyt na rękojeści miecza i dziabnęła go z całej siły w okolicę nerki. Aż stęknął. Nie była oczywiście na tyle silna, żeby wbić się głęboko w ciało przez skórzany pancerz, ale czuła, że mężczyzna stracił już pewność siebie. Żołnierze to nie szermierze – przypomniawszy sobie starą maksymę instruktorów. Odskoczyła lekko od przeciwnika, robiąc jednocześnie obrót.

Żołnierz odwracał się powoli, z trudem. Jego animusz zniknął. Krew płynąca po ręce barwiła na czerwono jego opuszczony miecz. Drugą dłoń trzymał z tyłu, na nerce. Już nie był władczy. W jego niewiele rozumiejących oczach dominował jednak strach.

A Kasjoepa rozumiała swój drugi błąd. Postąpiła jak szermierz. Najpierw trzeba rozpoznać przeciwnika bojem, określić jego poziom i dopiero potem zdecydować, na co można się ważyć. Owszem, na dworze pewnie tak. Ale nie tutaj. Powinna zabić go od razu. Nie bacząc na stopień ryzyka. Wtedy być może miałyby szansę na ucieczkę. Teraz... Widać było, że żołnierz nie myśli już o walce. Krew z ramienia coraz mocniej kapała na piasek, a ta z pleców pojawiła się na udzie. Mężczyzna opadł na kolana.

– Do mnie! – krzyczał. – Koledzy, do mnie!

– Cicho, to nie zabiję! – wyszczała.

– Do mnie! Złapałem księżniczkę!

Aż ją zatkało.

– Nie złapałeś. – Kasjoepa oburzona jego słowami skoczyła do przodu, wyprowadzając cięcie z prawego biodra.

Idealna akcja. Krew buchnęła z szyi, dławiąc momentalnie krzyk. W zapadłej ciszy jednak wyraźnie usłyszała z tyłu odgłos licznych kroków. Odwróciła się. Kilkunastu żołnierzy wybiegało właśnie zza wysokiej skały, w miejscu gdzie pojawił się ten pierwszy. Rzuciła szybkie spojrzenia, w lewo, w prawo, a potem za siebie. W którą stronę uciekając, będzie miała największą szansę? Już ugięła nogi do skoku, kiedy powstrzymał ją inny odgłos, który dobiegał zza skały. Niestety. Oni mieli konie. Co najmniej kilka.

Opuściła miecz na ziemię. Powoli uspokajała oddech.

Trucizna? Czy nadszedł już czas, żeby jej użyć?

Coś w jej wnętrzu skłaniało się ku takiemu rozwiązaniu. Koniec zmagań, koniec strachu, koniec wątpliwości. Nic już jej nie zrobią, nie skrzywdzą, nie poddadzą jakiemuś okropnemu rytuałowi...

Nie. Nic z tego. Racjonalna część jej umysłu podpowiadała wyraźnie: to tylko żołnierze, mają komendę, wykonują rozkazy. Co najwyżej czeka ją lanie w zemście za zabitego kolegę. Powtarzała więc w głowie jak modlitwę: uspokój się i rozluźnij mięśnie, żeby ciosy niczego nie uszkodziły.



Virion chciał podziękować Zegrozowi za gościnę, ale gospodarz do tego nie dopuścił. To on dziękował, to on mówił o długu wdzięczności, to on rozwodził się nad wspaniałościami, które spotkały go dzięki tak niesamowitym gościom. Ujął tym nawet Nolaana, który choć zwyczajny do dworskich uprzejmości, potrafił docenić przede wszystkim ich klasę.

Księżę, który musiał zostać jeszcze, by dokończyć kuracji, pożegnał się z Niki. Wpiął jej we włosy malutki świeży kwiatek z wewnętrznej hodowli gospodarza. Upiorzyca posłała mu całusa w powietrzu.

A potem wrota zaczęły się zamykać, zasłaniając w końcu nawet Hekkego, który najdłużej machał na pożegnanie.

– No pięknie. – Rohan pierwszy odwrócił się, by obejrzeć zgromadzone na piasku dobra.

– Co?

– Widzieliście te konie?

Niki i Tania nie za bardzo odróżniały dobrego konia od byle jakiego. Konie dla nich były po prostu ładne. Kody się nie znał, Lirion też niezbyt. Natomiast Virion nie mógł oderwać od zwierząt wzroku.

– Wspaniale!

– No! – Stary żołnierz tylko kiwał głową. – Jeszcze nie zdarzyło mi się takich widzieć. Nigdy w życiu.

Niki i Tania wymieniły spojrzenia. Nie do końca rozumiały, jak można zachwycać się wierzchowcami. Co może być ciekawego w środkach transportu? No ale mężczyźni zawsze byli dziwni.

– Co robimy? – zapytał Lirion. – Lecimy według planu?

– Z grubsza.

Virion miał w głowie wszystkie informacje, które przekazał mu w ostatniej chwili Zegroz. I te zebrane wśród upiorych na temat tego, co działo się w najbliższej okolicy, jak i te przekazane przez panią Nikt na temat wszystkich spraw, które dzieją się w stolicy. Miał więc pełen obraz sytuacji na dziś i trzeba było to wykorzystać, bo przecież szybko będzie się zmieniać.

– Kody, Rohan i Hekke wracają do tego miasta, gdzie jest arena do pojedynków.

– Nie zapamiętałam jego nazwy – stropiła się Niki. – Była jakaś dziwna.

– A ja w ogóle jej nie słyszałam – włączyła się Tania.

– Spróbujmy się skupić – upomniał je Virion.

– To ty się skup – odcięła się nożownicza. – Widzisz gdzieś tu Hekkego?

– A ty słuchałaś, co mówił gospodarz?

Przerwał im odgłos otwieranych wrót. Nolaan, który się z nich wyłonił, osłaniał dłonią oślepienie nawałą światła oczy.

– Nie czekaliście długo, domyślam się? – Uśmiechnął się, kiedy po chwili mógł już widzieć.

– A ty już zupełnie zdrowy? – zapytał Virion.

Tak jak inni, patrzył rozszerzonymi ze zdumienia oczami na księcia. Na jego lekki, starannie utrzymany zarost, którego nie było przecież, podczas kiedy sami wychodzili z bunkra. Na inne niż przed momentem szaty. I na to, jak się trzymał. Ból złamanych żeber musiał minąć już dawno.

Nolaan podszedł do Niki i przyjrzał się jej włosom. Ofiarowany przez niego kwiat tkwił między grubymi splotami.

– Niesamowite. – Uśmiechnął się do upiorzycy. – On jest ciągle idealnie świeży.

– Dostałam go przecież przed chwilą. – Niki odpowiedziała uśmiechem.

Virion podniósł rękę.

– No to jeszcze raz – przywołał towarzystwo do porządku. – Przypominam, że jesteśmy na zewnątrz i tu już żadnej ulgi czasowej nie będzie.

– Reasumując – Kody podniósł palec – ja, Hekke i Rohan jedziemy do tego miasta, którego nazwa mnie również umyka. Domyślam się, że moim zadaniem będzie podjęcie dużej ilości zamkowego złota od prefekta.

– Tak jest. Część dasz Rohanowi, a sam pójdziesz z Hekkem na tę arenę do pojedynków. Hekke wynajmie nam ludzi, a ty będziesz mu patrzył na rękę.

– Ale ja się nie znam na wynajmowaniu mistrzów miecza.

– Toteż nie patrz na mistrzów, patrz na chłopaka. Na ludziach się znasz w wystarczającym stopniu.

– Rozumiem. Żeby nie wywinął jakiegoś numeru i nie nagrandził?

– Żeby się nie dał nikomu sprowokować.

– A ja co mam robić? – zapytał Rohan.

– Odwiedzisz najbliższą komendanturę wojskową i zarekwirujesz wszystkie mapy, które tam znajdziesz.

– Dadzą?

– Kody załatwi w prefekturze takie papiery, że będą musieli. A jeśli nie, to głowy tnij jedną za drugą.

Lirion zaczął się śmiać. Chyba zbyt plastycznie wyobraził sobie sytuację, w której stary żołnierz, nieskory do żartów, weźmie dowcip Viriona za prawdziwy rozkaz. I na dzień dobry zetnie łeb strategowi.

– A co my robimy? – zapytała Tania.

– Ciebie, Niki, Nolaana i Liriona biorę na wyprawę ratunkową.

– Kogo ratujemy?

– Kasjopea uciekła z niewoli u Nolla. Zegroz twierdzi, że błąka się na pustyni.

– Ooo... Kasjopea. – Tania klepnęła Niki w ramię. – No to zajezzimy dzisiaj te nowe konie.

– Dlaczego? – nie zrozumiała upiorzycza.

– No wiesz, te powłóczyste spojrzenia omdlewającej księżniczki i chłopcy już się ślinią. Będziemy poganiać na całego.

Znowu rozległ się odgłos otwieranych wrót. Tym razem pojawił się w nich zupełnie już zdrowy Hekke.

– O Bogowie! – Szeroko rozpostarł ręce. – Ale się za wami stęskniłem.

Rzucił się do całowania dziewczyn. Najpierw Niki, potem Tanię, potem z rozpędu przeniosło go na Liriona. A potem już nie wybierał. Pocałował Rohana, Kody’ego, Viriona, a nawet wpadł w objęcia Nolaana i pocałował go z całej siły.

– Ty już całkiem zdrowy? – zapytał Virion.

– Zdrowy, zdrowy – odparł za chłopaka Nolaan. – Intensywnie pachnie kobietą.

– Oj tam. – Hekke z lekceważeniem machnął ręką. – Takie tam małe przytulanko na pożegnanie.

Radosny rozejrzał się po otaczających go towarzyszach.

– Wy również tak bardzo za mną tęskniliście?

– Idioto – osadziła go Tania – dla nas minęło parę chwil.



Obecność Taronu w nocy odpędzała złe myśli i koila nerwy. Taida nie pamiętała właściwie, kiedy ostatnio tak dobrze spała. I to nie bacząc na otaczające ją warunki, nie bacząc na coraz bardziej skomplikowane okoliczności, jakie towarzyszyły zbliżającemu się upadkowi Syrinx. A ona, zamiast zerwać się z trzęsącymi rękami, rozleniwiona zaczęła macać pościel po lewej stronie. Jej setnika nie było. Otworzyła więc oczy, drugą dłonią usiłując chronić je przed nawałą światła. Nocowali w jakiejś chatce o ścianach z wysuszonych trzciny tuż nad brzegiem kanału. Promienie słońca wpadały do środka przez niezliczone dziury. Wszystko było tu przesiąknięte zapachem oleju, nowych paków oraz innych ingrediencji służących do uszczelniania łodzi.

Taron całkiem nagi golił się właśnie nachylony nad miską.

– Jak noc? – Oczywiście zauważył, że się obudziła.

Taida zaczęła mruzczyć.

– Nie zaliczam ci zeznania. Nie da się odpowiedzi zapisać w protokole.

– Napisz: mmmmmmm.

Udając śmiertelną powagę, prychnął na nią i kończył powoli golenie. Później dokładnie wytarł twarz miękką szmatką. Potem podszedł bliżej, wgramolił się do łóżka i, ciągle goły, usiadł na Taidzie okrakiem.

– Coś by pewnie zjadła? – zapytał.

– Mhm.

Okazało się, że wszystko miał przygotowane. Sięgnął do talerza na półce obok i zaczął ją karmić. Najpierw oliwka, poczekał, aż pogryzie, przełknie, i kawałek sera, znowu poczekał, i od początku.

– Pić.

Sięgnął dalej i podał Taidzie kubek, a właściwie nie tyle podał, co przytknął do ust. Najwyraźniej lubił, jak była ubezwłasnowolniona, zależna od niego w najprostszych czynnościach. Gorzej, że zawartości kubka nie stanowiło wino, tylko zupełnie czysta woda.

– Robe był nad ranem – powiedział Taron.

– I co chciał?

– On jest niby mało wymowny, ale najwyraźniej był w szoku. To mu się nigdy dotąd nie zdarzyło, kiedy pracował dla marynarki wojennej na wybrzeżu.

– Co mu się nie zdarzyło?

– To, że ludzie będą się garnąć do oddziałów murowych na ochotnika.

Parsknęła śmiechem i o mało nie udławiła się kolejną oliwką, którą wetknęła jej do ust.

– Co? – zapytała po chwili, kiedy udało jej się odkaszlnąć. – Fakt, że nasze wojsko grabi rozległe dobra Prabha, a potem dzieli łupy między sobą, sprawił, że lud już nie uważa żołnierzy za frajerów, którzy dali się złapać?

– Gorzej. Robe mówił, że do tej pory jego gangsterzy ganią ludzi nocą po ulicach i na siłę wcielali do służby. A teraz ludzie po nocy ganiają gangsterów, wrzeszcząc, żeby ich zmobilizować. Podobno za ręce łapią nawet i wrzeszczą: „Mnie weźcie, panie! Mnie!”.

Taida ukryła twarz w dłoniach i parsknęła śmiechem. Długo nie mogła dojść do siebie. A potem westchnęła.

– W raporcie dla cesarza przedstawię to zjawisko jako nagły przypływ patriotyzmu i miłości do imperatora.

– Genialne – zgodził się natychmiast. – I pamiętaj, że masz z tego wszystkiego korzyść dodatkową.

– Niby jaką?

– Będziesz miała nie wojsko z przymusowych wcieleń, tylko z ochotniczego poboru, a to, jak mawiał pewien strateg, diament.

A rabunki dóbr Prabha oszlifują go w brylant. Oni staną się wojskiem wyćwiczonym, zgranym, znającym komendę i wspólny cel.

– Tia. – Taida w tej kwestii była już dużo bardziej sceptyczna. – Troszeczkę tylko brakuje nam czasu.

– Może i go mało – przytaknął. – Ale na murach będziesz miała już nie frajerów z łapanki, tylko ludzi, którzy chcą bronić swoich domów.

– Myślisz, że to się tak przekłada jedno na drugie?

– Owszem. Już mają czego bronić, już rodziny nie uważają ich za durniów, ale za takich, którzy wzięli sprawy we własne ręce. A to zasadnicza różnica.

Chciała oponować, ale najwyraźniej Taron uznał kwestię za zakończoną, bo zatkał ją większą ilością sera podaną do ust i brakiem czegokolwiek do popicia.

Mogła się odezwać, dopiero kiedy jej na to pozwolił.

– Ale co mi z ludzi na murach, kiedy oprócz sił oblężniczych samobójcy zaatakują bramę od wewnątrz. A my nie wiemy, ani kiedy, ani którą.

– Samobójcy to nie wojsko.

– Oho, dobrze, że nie widziałeś, jak ławą poszli na śmierć pod miecze ludzi Viriona. O mało ich nie zgnetli.

– O mało.

– Słów się czepiasz. A murowi to przecież nie Virion i nie jego koledzy. Samej masy nie wystarczy, bo i tamci będą atakować masą.

– No to trzeba ich wcześniej wyłapać.

Taida fuknęła ze złością. Najchętniej wstałaby już z łóżka, bo wtedy chyba lepiej się argumentuje. A tu ciągle leżała pod nagim mężczyzną, który przygniatał ją do pościeli. Pozycja niekorzystna dla kogoś, kto chciałby wydawać polecenia.

– Nie da się wyłapać. Przecież oni niczym się nie odróżniają od zwykłych ludzi.

– Różnią się! Każdy inny nie chce się sam zabić.

– Ale nie mają tego wypisanego na czole.

– Ale przecież nie są normalni. Przecież wiemy, że ten rytuał odbywa się na pustyni. I to nie jest tak, że jedzie się tam, do zagubionego obozu, pstryk i wraca już po popełnieniu samobójstwa z odroczonej egzekucją.

– Co masz na myśli?

– No przecież sama podróż w obie strony to kawał czasu. Po drugie, co? Przyjechali, wypili trutkę i nazad? No przecież nie. Ktoś im musiał siekaną kapustę z mózgu robić, tłumaczyć, co i jak, czymś mamieć. Fanatyka nie wyprodukujesz ot tak sobie, jak sandałów. On musi przejść na jakąś ciemną wiarę.

– Racja. Kandydaci musieli spędzić w tym obozie masę czasu. Tu się z tobą zgodzę.

– No właśnie. A kto za nich pracował w tym czasie? Kto utrzymywał?

– Tam ich karmili.

– A teraz?

Ta myśl olśniła Taidę. Taron miał rację. Jeśli ktoś popełnił rytualne samobójstwo, to nie mógł chyba powrócić spokojnie do pracy, wtopić się pomiędzy zwykłych ludzi, sąsiadów, i być może odzyskać rozum. Nawet jeśli oni żyli w swoich dawnych mieszkaniach, to przecież musieli się gdzieś gromadzić na jakieś obrzędy, jakieś seanse utrzymywania w wierze, umacniania raz podjętej decyzji. Taron miał rację. To nie są zwykli ludzie, codziennie idący do normalnej pracy wśród normalnych ludzi. Ktoś ich musi utrzymywać!

– No dobra – powiedziała zaaferowana. – Zgadzam się z tobą. Ale jak odkryć, któredy przepływają pieniądze na ich utrzymanie i kto je wypłaca?

– A po co ci ta wiedza? Nie kto wypłaca, tylko kto dostaje kasę za nic.

– No tak, wtedy trafimy bezpośrednio do beneficjentów. Tylko że śledczych w całym imperium nie wystarczy, żeby ich odnaleźć...

– Masz za darmo bezmiar śledczych – przerwał jej brutalnie. – A myślisz, że co? Jak ktoś pieniądze za nic dostaje, to sąsiadów w oczy nie kłuje? Nie widzą tego? I co? Ci, którzy potrafią pisać, donosy skrobą, że obok mieszka złodziej czy oszust. A ci, co pisać nie potrafią, codziennie suszą dupę strażnikom, że o, proszę, tu jest taki, co nic nie robi, a ma za co żyć. Donos za donosem. Ludzi nie znasz?

– Znam.

– No to widzisz. Szkoda tylko, że nie ma służby, która się specjalizuje w zbieraniu sąsiedzkich skarg...

– Ależ jest! – Taida usiłowała się poderwać, ale nie potrafiła unieść siedzącego na niej Tarona. – Chłopaki, którzy na mieście plotek słuchają, gromadzą wszelkie skargi i donosy. U nich tego całe kopy, pod sufit, wszędzie. Musimy iść natychmiast...

Znowu próbowała się podnieść, ale znowu jej nie pozwolił.

– O nie, nie. Najpierw śniadanie.

– Ale ja muszę...

– Za dużo sił straciłaś w nocy. Musisz dobrze jeść, żebyś nie osłabła.

Wiedziała, że z nim nie wygra. Rozluźniła mięśnie i posłusznie opadła na pościel.

– A dostanę przynajmniej trochę wina? – zapytała.

– Jeśli zasłużysz, to tak.

Rozdział 6



Niki, kierując się wskazówkami od innych upiorych przemierzających nocami pustynię, prowadziła bezbłędnie. A konie, które dostali od Zegroza, okazały się jakimś pieprzonym cudem świata. Lepsze można by sobie jedynie wyobrazić, gdyby ktoś pokazał takie ze skrzydłami. Ale nie w legendach, tylko naprawdę, do kupienia na targu. Przez jakiś czas wydawało się, że osiągnęła cel

błyskawicznie, nawet nie pocąc się za bardzo. Potem jednak sprawy zaczęły się komplikować.

– Ona idzie śladem cofających się wojsk. – Niki nie miała żadnych wątpliwości.

Nolaan przechylił się w siodle, usiłując dostrzec cokolwiek na zawianym piasku. Potem uniósł się w strzemionach i zaczął lustrować okolicę. Ta czynność również zakończyła się niepowodzeniem.

– Jak to tak? – zaciekał się Lirion. – Dokładnie po śladach?

– Niedokładnie. Wojsko szło tam – upioryca wyciągnęła rękę – a Kasjopea tędy. Gdyby dalej jechać w tę samą stronę, to pewnie napotkalibyśmy to, co zostało z dwóch sotni Nolla. I tam pewnie księżniczka znalazła trochę wody.

– Jedziemy tam?

– Nie. Posuwamy się skrótem.

– Jakim cudem możesz odgadnąć, gdzie będzie...?

– Nie odgaduję. Kasjopea to nie dziecko rzucone w otchłań bez dna. Myśl racjonalnie, nie wpada w panikę, więc po prostu zgaduję, co zrobiła.

– Aż tak ją znasz?

I jak mu to powiedzieć? Niki widziała Kasjopeę z bliska jeden jedyny raz. Zamieniły dosłownie kilka słów. Ale można powiedzieć, że zdążyła ją poznać bardzo dobrze. Zobaczyła bowiem, jak zachowuje się obudzona nad ranem księżniczka, która nagle widzi nad sobą upiora. Jeżeli ktoś w takiej sytuacji, zaskoczony, potrafi zachować się racjonalnie, to znaczy, że pustynia mu niestraszna.

– Ona prawidłowo określiła strony świata i zamierza dojść najkrótszą drogą do cywilizowanych stron. – Upiorzycza postanowiła nie odpowiadać na pytanie. – Problem w tym, że to samo robi trzecia, ocalała sotnia Nolla. I mogą się spotkać.

Lirion zmarszczył brwi.

– A dlaczego w takim razie skręcamy?

– My wcale nie skręcamy. Posuwamy się łukiem po to, żeby być bliżej skał. Bardzo możliwe, że Kasjopea dobrze wie, jak zachowywać się na pustyni.

– I podejdzie do skał, szukając cienia?

– Nie cienia. Będzie szukała miejsca położonego wysoko nad piaskami. Tam łatwiej przeczekać najgorszy moment skwaru.

– Nie zgubimy jej śladu? – włączył się Nolaan.

– Już ją czuję. Jest blisko.



Kasjopei wykręcono ręce i poprowadzono przed oblicze dowódcy. Tam żołnierze zmusili ją do opadnięcia na klęczki. Ktoś chwycił dziewczynę za włosy i pochylił jej głowę tak nisko, że prawie dotykała nosem piasku.

– No i jest nasza parszywa uciekinierka!

Nie widziała mówiącego, ale sam głos jej wystarczył. Wyszukany, perfekcyjny akcent, a jednocześnie dość wysokie, jak na mężczyznę, rejestry. Jakiś dobrze urodzony bardzo młody człowiek. Pewnie syn któregoś ze spiskowców. Powierzono mu stanowisko dowódcze sotni idącej na szpicy konwoju, a jednocześnie na pewno prawdziwą komendę sprawował zawodowy oficer daleko niższy rangą. A ten tu niech się cieszy. Pewnie mu nawet dali stopień taktyka. Niech ma co pokazywać w Syrinx kolegom, kiedy już dokona się przewrót. Teraz jednak poczucie godności i władzy uderzało mu najwyraźniej do głowy.

– Takie dno, takie nic jak ty śmiało zbiec wbrew naszej woli. Po tym, jak okazaliśmy ci łaskę, śmieciu? Chciałaś ugryźć dłoń, która cię karmiła?

Co za głupi pętał, przemknęło jej przez głowę. Mógłby brać przykład z Geberika, który pewnie był o całe niebo większym sukinsynem, ale nie poniżał nikogo będącego w jego mocy, bo nic na tym nie zyskiwał, a klasę by tracił.

– No co? Boisz się? – Młody człowiek przytknął do podbródka Kasjopei szpicrutę i zmusił do podniesienia głowy. – Mam cię kazać oćwiczyć?!

Jej instruktorzy nie byli zgodni co do tego, jak należy postępować w podobnej sytuacji. Jedni wpajali okazywanie krańcowej obojętności, inni radzili, żeby dużo mówić, odpowiadać na pytania, iść na wszelkie układy, które przecież z powodu zniewolenia i tak będą nieważne, sprzyjać przesłuchującemu i iść mu na rękę. Obie strony jednak zgodnie podkreślały, że są to rady czysto teoretyczne. Żaden z jej nauczycieli nie znalazł się w podobnej sytuacji ani razu w życiu. I żaden z nich nie podejrzewał nawet w złych snach, że ona się znajdzie. Ot, odwalili kolejny podpunkt swoich obowiązków, nie sądząc, że może się kiedykolwiek przydać. A tu proszę, jaka niespodzianka.

– Milczysz? Aż tak się boisz, śmieciu?

Młody człowiek uderzył ją szpicrutą w policzek. Nie zabołało za bardzo, bo odruchowo poddała głowę. Ale bardzo zabołała dusza.

Kasjoepa podniosła oczy, by mu się przyjrzeć. Określenie „młokos” było i tak na wyrost. Chłopak mógł mieć raptem kilkanaście lat i naprawdę nosił insygnia taktyka. No niezła komedia. Z tym że, niestety, on sobie ubzdurał, że tu naprawdę rządzi. A dzieci potrafią być okrutne i złośliwe.

– No co z tobą, niedojdo?! – Chłopak ponownie uniósł szpicrutę. – A może mam kazać zedrzyć z ciebie szaty i oddać moim ludziom do zabawy?

– Mnie czy szaty? – odparła Kasjoepa rezolutnie, bo chciała go sprowokować. Im dłużej będą się przerzucać słowami, tym bardziej rozjuszy młodego.

– Ty zdziro!

Zaczął ją okładać szpicrutą, na szczęście w złości walił od góry, w głowę, a tam włosy trochę łagodziły uderzenia.

– Ty!... Ty... Ty wiesz, kim jest mój ojciec?!

– Nie wiem. A co? Matka ci nie powiedziała?

Ach! Dał się sprowokować i rzucił się na Kasjoepę z pięściami. A to, choć bolesne, nie pozostawi trwałych śladów.

– Panie! Panie, potem ją ukarzymy. – Starszy mężczyzna w stopniu setnika, prawdopodobnie prawdziwy dowódca oddziału, usiłował uspokoić młodego szaleńca. – Musimy ją dostarczyć żywą!

– Na pal wbić zdziwę!

– Panie, proszę. Ona potrzebna panu Geberikowi i jeżeli choć włos spadnie z jej głowy, to on się bardzo rozsierdzi!

– Na pal zdziwę!

Słowa setnika bardzo powoli, ale zaczęły przynosić efekt. Groźba gniewu Geberika chyba przemawiała do wyobraźni nawet takich idiotów jak ten tu, niby taktyk. Gówniarz odstąpił nagle i sapał z wściekłości,

długo nie mogąc się uspokoić. Ewidentnie jednak coś przemyślał w swoim złośliwym umyśle.

– No ale przecież ja nie muszę uszkodzić jej skóry. – Wpadł na jakiś genialny w swoim mniemaniu pomysł. – Przyprowadźcie tutaj mojego psa!

Kasjoepa zmarszczyła brwi. Setnik natomiast się przestraszył.

– Panie! Nie wolno nam!

– Przyprowadź mojego psa!

Chłopak w randze taktyka zamierzył się na oficera podniesioną z ziemi szpicrutą. Żołnierze wokół zamarli.

– Jak długo będą czekać?! – wrzasnął dzieciak. – No?!

Setnik przełknął ślinę. Dobrze wiedział, czym może się dla niego skończyć gniew Geberika. Wiedział też również, czym na pewno skończy się gniew ojca tego młodego idioty. Skinął na swoich ludzi. Napięcie zelzało w zauważalny sposób. A jeden z żołnierzy przyprowadził psa.

Kasjoepa nigdy w życiu nie widziała jeszcze takiego monstrum. Zwierzę było wielkości wyrosniętego cielaka. Całe pokryte czarną, krótką sierścią, pod którą łatwo było dostrzec mięśnie, przypominające sploty lin okrętowych. Małe, szeroko rozstawione oczka świadczyły, że pies nie był tresowany do aportowania patyków ani do mądrych sztuczek. W jego ślepiach trudno było dostrzec choć ślad inteligencji. Najwyraźniej wyparła ją totalna agresja. A sądząc po rozmiarach paszczy i kłów wystających spod warg, ten pies, jeśli już cokolwiek aportował, to najprędzej ludzkie głowy.

Kasjoepa przełknęła ślinę. Zwariowali?! Chcą, żeby to zwierzę ją pogryzło? Bogowie... zagryzło?!

– Na czworaka ją! – Rozkaz młokosa rozwiał wątpliwości co do tego, że rodzajem kary dla niej nie będzie bynajmniej gryzienie. – I głowę do gleby!

Dopiero teraz ogarnęło ją przerażenie. Nie! To niemożliwe! Nie mogą tego zrobić. Co za świnię! Szarpnęła się, ale żołnierze trzymali mocno. Chciała coś powiedzieć. Argument, przekupstwo, groźba, cokolwiek. W jej głowie jednak jak na złość zapanowała pustka. To niemożliwe, niemożliwe, nie zrobią tego!...

– Jeźdźcy – rozległ się nagły okrzyk. – Jeźdźcy na horyzoncie.

Złośliwy chłopak, który udawał dowódcę, odwrócił głowę. Nie lubił, kiedy coś przerywało mu zabawę. Podeszedł do żołnierza, który opiekował się psem, i przejął od niego smycz. Zwierzę doskonale wyczuwało, że coś się stanie, i zaczęło warczeć.



– Setka mniej więcej. – Niki opuściła dłoń, którą osłaniała oczy. – No i to by się zgodzało.

– Żołnierze Nolla? – Virion wołał się upewnić.

– Ci z nietkniętej sotni, tak.

– Wyczuwasz coś jeszcze?

– Owszem. Są zmęczeni, sfrustrowani i bardzo niespokojni.

Jadący obok Nolaan włączył się do rozmowy:

– Nie dziwię się. Sterczeli całą noc w awangardzie, a kiedy nastał ranek, przybiegł kurier z wiadomością, że resztki dwóch innych setek właśnie się wycofują w panice, a gwardia Nolla złożona z mistrzów miecza już nie istnieje. Chyba są lekko przestraszeni.

– Są, są – zgodził się Lirion. – Ale co robimy?

Niki podniosła do nosa malutką szmatkę, którą przewoziła w specjalnym woreczku.

– Kasjoepa jest w ich rękach.

– Aha. – Virion skinął głową. – To zmienia nam perspektywę.

Nolaan odruchowo zatarł ręce.

– A gdyby tak wykorzystać nasze nowe konie?

– Co masz na myśli?

– Taki błyskawiczny rajd. Rozpędzamy się i przejeżdżamy przez nich, przez sam środek, tnąc głowy żołnierzy. Dziewczyny w biegu przejmują Kasjoepę i nie zwalniając, przestrzeliwujemy ich na wylot.

– A potem odjeżdżamy w siną dal? – Virion cmoknął cicho. – Dobrze. Zawadiackie, rzekłbym nawet.

– A co? Nie podoba ci się?

– Podoba. Ale wystarczy, że jeden koń się potknie i albo będziemy musieli jednego z naszych zostawić w środku kupy wrogich żołnierzy, albo dla ratowania zatrzymamy się wszyscy. Z własnej woli, w samym środku okrążenia.

Książę tylko westchnął, kiwając głową.

– Faktycznie twoje argumenty są przekonujące. A co ty sam proponujesz w tej sytuacji?

– Proponuję podjechać do nich i pogadać z dowództwem. Zobaczmy, na ile są przestraszeni.

– Zaraz. – Nolaan aż uniósł się w strzemionach. – Przecież ty proponujesz rozwiązanie, które już z góry zawiera wszystkie słabe strony

mojego. Jedziemy, grzecznie zatrzymujemy się w samym środku okrążenia...

– Oprócz galopu przez wertepy, podczas którego ktoś mógłby spaść z konia.

Jadący trochę z tyłu Lirion zaczął się śmiać.

– Ja też już tęsknię za jakąś rozróbą – wyznał. – I nie chce mi się galopować. Taniu?

Wywołana do odpowiedzi nożownicza tylko prychnęła pogardliwie.

– Męskie zabawy nie są dla dziewczynek. Prawda, Niki?

Upiorzyca wzruszyła ramionami.

– Ja tam lubię się napażać. Ale fakt, najchętniej w nocy, sam na sam.

– W nocy łatwiej krew wyssać?

– Ja nie ssę! – obruszyła się Niki. – To znaczy krwi nie ssę!

Virion dał znak, żeby przyspieszyli. Żołnierze widoczni w oddali na pewno również już ich zauważyli. Lepiej więc nie dawać im czasu na rozmyślenia taktyczne.



Młody taktyk ledwie mógł utrzymać psa rzucającego się na smyczy. Kły, ślina na pysku i zachodzące krwią, małe, złośliwe oczy zwierzęcia sprawiały, że najbliższej stojący żołnierze zaczęli się odsuwać. Czworonogie bydlę robiło straszne wrażenie. Widząc to, setnik kazał zacieśniać szeregi. Ale jak tu zacieśniać? Przecież nie stali w szyku jak przed cesarską inspekcją ani nawet nie mieli ustawienia jak przed bitwą.

– Pięciu jeźdźców – zameldował wartownik na perymetrze. – Trzech mężczyzn i dwie kobiety.

– Co za licho ich tu przywiodło? – Młody taktyk nie ukrywał swojego złego humoru.

– Zakryć ją kocem? – Setnik wskazał kciukiem klęczącą na piasku Kasjopeę.

– Przecież żywi stąd nie wyjadą. Nikomu niczego nie powiedzą.

Oficer niższy rangą nie śmiał komentować. Bał się też powiedzieć, że są wojskiem, a nie zbójcecką bandą. A zadaniem armii jest wykonywać założenia strategiczno-taktyczne według wytycznych sztabu, a nie mordowanie każdego, kto przejeżdża obok. Pewne rzeczy ciągle nie mieściły mu się w głowie. Ale wychowywany od dziecka według prawideł garnizonu, protestować po prostu nie umiał. Nikt go w tym nie wyszkolił.

Jeźdźcy zbliżali się szybko. Najwyraźniej mieli też konkretny cel – zmierzali prosto w stronę oddziału. Nie był to więc ani przypadek, ani zagubieni na pustyni podróżnicy. Chłopak pełniący rolę taktyka nie zamierzał zawracać sobie nimi głowy. Ale nie mógł ich też zignorować.

– Rozstąpcie się, wy tam. – Pokazywał poszczególnych żołnierzy palcem. Najwyraźniej wcześniej nie zadał sobie nawet trudu, by znać choćby nazwy wojskowych formacji. – Wy na lewo, a wy na prawo. Kiedy tu podjadą, wpuście ich do środka, a kiedy posuną się w głąb, to zastąpcie im drogę ucieczki.

Setnik usiłował nie dać po sobie poznać, co myśli o tej koncepcji. Wojsko reagowało niechętnie na rozkazy paniczka, ale jednak reagowało. Na szczęście ich przewaga liczebna pozwalała na każdy błąd popełniony przez dowódcę. Tak czy owak, mogli nakryć tamtych hełmami.

– No już! Szybciej! – wydzierał się chłopak na stanowisku dowódczym. Służący w jego pałacu chyba wypełniali każdy rozkaz sto razy szybciej niż żołnierze. Być może byli wytrenowani w odgadywaniu jeszcze niewypowiedzianych poleceń swojego pana.

Sylwetki jeźdźców były coraz lepiej widoczne. Można już było rozróżnić szczegóły. Setnik ze zdziwieniem stwierdził, że jedna z kobiet w siodle jest ciężarna. Taktyk chyba tego nie zauważył.

– Przepuścić ich – krzyknął. – A kiedy przejadą, zacieśnić szeregi.

Co to za komenda: „zacieśnić szeregi”? – zastanawiał się setnik. Słyszał taką chyba pierwszy raz w życiu. Chłystek nawet nie zadał sobie trudu, żeby przeczytać regulamin polowy i spis zawartych w nim komend. Zacieśnić bowiem to można przyjaźń. Szeregi natomiast się zwiera. Ale i taki rozkaz byłby teraz nie na miejscu, bo przecież ich oddział nie stał w żadnej formacji. Splunął na piasek.

Konni minęli właśnie linię wart.



Wzrok Viriona lustrował wojsko przed nimi, każdy szczegół, który dało się dostrzec. Wiedział już, że to nie żadna elita, ale też nie garnizonowe wycieruchy. Dobrze zaopatrzeni, źle dowodzeni, z dużymi brakami w dyscyplinie. Łatwo było domyślić się dlaczego. Wystarczyło zerknąć na bogato udekorowanego dowódcę, szczyła z przesadnym, jak na tę liczebność wojska, oficerskim stopniem. Ich morale najwyraźniej nie było zbyt wysokie. No ale co się dziwić. Przetrwali całą noc w burzy piaskowej

po to tylko, żeby dowiedzieć się rano o zagładzie dwóch innych setek. Tuż obok. A teraz znowu musieli maszerować przez zabójczą pustynię. Tym razem sami.

Virion zatrzymał się tuż przed nieletnim dowódcą. Przechylając się w siodle, pokazał mu odznakę, którą dostał od Taidy.

– Zamek – oznajmił. – Co to za oddział?

Najwyraźniej rozbawił chłystka.

– A co cię to obchodzi?! Złóż natychmiast i pokłoń mi się tu!

– Bo? – Virion również wyglądał na rozbawionego. Patrząc z boku, z większej odległości można by ulec złudzeniu, że obaj przyjaźnie uśmiechają się do siebie.

– Bo psem poszczuję, chamie!

Wielkie bydlę na smyczy szarpało się, warcząc i rozpryskując wokół drobinki śliny. Ale to chyba odsłonięte kły sprawiły, że żołnierze znowu cofnęli się o krok. Lepiej nie stać w zasięgu takich zębów.

Virion odwrócił się w siodle.

– Niki, chcesz pogłaskać pieska?

Jego upioryzka zgrabnie zeskoczyła na piasek. Żołnierze nie mogli uwierzyć w to, co widzą. Nagle bowiem kobieta w ciąży bez żadnej broni w rękach podeszła do wściekłego, ujadającego brytana i położyła mu dłonie na łbie.

Wszyscy zamarli, wstrzymując oddech. Ale najśmieszniejsze było, że pies również przestał warczeć. Jego oczy robiły się większe i większe, a potem nagle się szarpnął. Nie, nie w ataku na brzemienną kobietę. Szarpnął smyczą, żeby odsunąć się spod jej rąk. Zaczął nagle skomleć i wyrywać się do tyłu.

– Przestań się wygłupiać. – Niki przemówiła łagodnie. – Nie zagryzę cię. – Podniosła dwa palce jak do przysięgi. – Obiecuję.

Skomlenie przeszło w pisk. Brytan przerażony szamotał się ze wszystkich sił. Szarpnął wreszcie tak, że właściciel nie zdołał utrzymać smyczy w dłoni. Brytan ze skowytem uciekał tak szybko, że potknął się na jakimś wyboju, przekoziółkował w powietrzu i ogłupiały uciekał dalej, tym razem zygzakiem.

– No i co? – Niki skonfundowana rozłożyła ręce.

Nie zwracając uwagi na zaskoczonego młokosa, ruszyła w stronę kłęzącej na piasku Kasjopei.

– Puśćcie ją, proszę – powiedziała z miłym uśmiechem.

Delikatnie ujęła rękę jednego z żołnierzy, który unieruchamiał ramię księżniczki, i zaczęła ją odsuwać. Mężczyzna oblizal spierzchnięte wargi. No... no niby nic. Przecież to tylko kobieta, w dodatku brzemienna, więc? Ale co z tym psem było? Dlaczego uciekł przerażony? Jak ona to zrobiła?

Niki uwolniła jedno ramię klęczącej, a potem drugie.

– No chodź. – Pomogła jej się podnieść.

– Ty wiesz, co oni chcieli zrobić? – Kasjoepa czuła, że ma zupełnie wyschnięte usta.

– Wolę nie wiedzieć.

Dopiero teraz taktyk zorientował się w sytuacji.

– Hej! Co tam się dzieje?! To mój jeniec.

– Teraz rozmawiasz ze mną – przerwał mu Virion. – Nie rozpraszaaj się, nie patrz na boki.

– Milcz, chamie! – rozdarł się chłopak w przepięknym mundurze. – Z tobą to ja w ogóle nie będę gadał!

Virion dobył miecza i dotknął ostrzem szyi młodzika.

– A teraz? – zapytał spokojnie.

Jego ruch był tak szybki, że żaden z żołnierzy nie zdążył sięgnąć do swojej broni. Nikt nawet nie drgnął.

Młokos zrobił zeza, żeby spojrzeć na klingę przy swoim gardle.

– C... co...

– Jaka to jednostka? – zapytał Virion.

– No normalne wojsko.

– Jaka jednostka, pytam?!

– My... jesteśmy częścią trzech setek Nolla i szliśmy przez pustynię. Ale z tamtymi setkami coś się stało w nocy, ledwie posłaniec dotarł...

– Wiem. To ja rozwaliłem wojsko Nolla – oznajmił Virion. – Razem z moimi kolegami. – Wskazał na Nolaana i Liriona, którzy z zainteresowaniem przyglądali się całej scenie.

Żołnierze stojący w zasięgu głosu również spojrzeli w tamtym kierunku. Dwóch? Ten bezczelny obcy miał ze sobą tylko dwóch kolegów? A Nollo podczas burzy miał dwie setki.

– Czego chcesz? – zapytał młody taktyk.

– Ty się nawet zameldować nie potrafisz, jednostek nie znasz, służbowych form! – Virion uniósł głos, żeby więcej ludzi mogło go słyszeć.

– Ty nie wojskiem jesteś, tylko buntownikiem przeciw cesarzowi! Wszyscyście buntownicy przekłęci! I zaraz was wszystkich aresztuję!

W normalnej sytuacji ktoś stojący samotnie wśród setki uzbrojonych żołnierzy i krzyczący, że ich wszystkich aresztuje, chyba wywołałby salwę śmiechu. Tu jednak, w tym czasie i w tych okolicznościach, nikt nawet się nie uśmiechnął. Tylko taktyk chyba nie do końca wszystko zrozumiał.

– Każ ich zabić. – Spojrzał na swojego oficera.

Stojący tuż przy nim setnik wziął głęboki oddech. A siedzący na siodle obok Lirion uśmiechnął się do niego.

– Tak jakby ostatni rozkaz w życiu, co? – Skrzywił się zabawnie. – Warto się przyłożyć – poradził. – Tak cię ludzie zapamiętają.

– Oddziaaaa!.. – Kiedy oficer rozpoczął wydawanie swojej komendy, Lirion wyjął swój miecz i lekko, jakby od niechcienia, uciął mu głowę, która tryskając krwią, pofrunęła w kierunku stojących najbliżej żołnierzy. Lirion odkopnął jeszcze chwiejający się na nogach tułów, żeby krew nie chlusnęła także na niego. Potem spokojnie wyjął szmatkę z juków i zaczął czyścić klingę.

Virion sprawdził, czy Niki razem z uratowaną księżniczką zdążyły już wsiąść na konia. Potem powrócił do rozmowy z nadętym chłystkiem.

– Ty naprawdę chciałeś mnie zabić? – mówił głośno, żeby większość żołnierzy mogła go słyszeć. – Chciałeś zabić cesarskiego urzędnika?!

– Ja...

– Co to miało być?!!

Chłopak szarpnął się, chcąc ująć z zasięgu klingi wymierzonej w jego gardło, ale takie numery to nie z Virionem. Miecz powędrował w dół, potem w bok i młody taktyk, zanim zrobił krok do tyłu, otrzymał mocny cios płazem w sam środek policzka. Zachwiał się na nogach.

– Jesteś aresztowany za zdradę!

– Ty, kurwa... Jeśliś z Zamku, to przecież teraz wykonujesz rozkazy Geberika...

– Aaaaa! – Virion wciąż mówił głośno, żeby treść dotarła do wszystkich żołnierzy. – Zaczynasz sypać! Kto jeszcze organizuje spisek?!

Młokos ogłupiał na chwilę. Chyba chciał odwołać się do żołnierzy, bo otworzył usta, żeby wziąć oddech, ale na to właśnie czekał Virion, który wcześniej wyjął prawą stopę ze strzemiona. Teraz kopnął stojącego przed nim chłopaka dokładnie w grdykę.

– Brać zdrację! – krzyknął. – Zawieziemy go do kata na przesłuchanie!

Nolaan, odpowiednio manewrując wierzchowcem, ustawił się tak, żeby móc chwycić krztuszącą się ofiarę. Razem z Lirionem podsadzili chłopaka na łęk siodła swojego dowódcy. A ten grał dalej rolę surowego oficera śledczego z samej Syrinx.

– Kto jeszcze brał udział w spisku przeciwko imperium? – krzyczał. – Który z żołnierzy jest twoim współnikiem? Jeśli nie możesz mówić, pokaż palcem!

W szeregach wojska powiało grozą. To byli prości ludzie, nikt ich nie wtajemniczał w machinacje wielmoży. Jeśli nawet ktoś tam na apelu przebąkiwał coś o tworzeniu nowego porządku świata, to raczej te idee niezbyt łatwo trafiały do nieskomplikowanych umysłów szeregowych. A strach przed Zamkiem wpajano im od dziecka. Dobrze wiedzieli, że w kazamatach można znaleźć się nawet nie za czyn, ale wręcz za złe

słowo skierowane przeciwko cesarskiemu majestatowi. Dlatego też teraz pozbawieni dowództwa żołnierze nie mieli pojęcia, co należy zrobić. Dominującym uczuciem jednak, które panowało w ich głowach, nie była bynajmniej chęć powstrzymania obcych. W tych głowach najwięcej miejsca zajmował obecnie strach.

– Cały oddział pozostaje do dyspozycji prokuratury! – wrzasnął Virion.

On sam nie bardzo wiedział, co ten rozkaz ma oznaczać. Ale nie miało to znaczenia, bo żołnierze również nie wiedzieli. Na szczęście nikomu nie przyszło do głowy, że wojsko podlega nie prokuraturze, ale żandarmerii.

Konie zawróciły w miejscu i płynnie przeszły do galopu. Ani jeden żołnierz nie ośmielił się uczynić nic, żeby powstrzymać obcych. Brak dowództwa oraz świadomość, że tamci mają zakładnika, paraliżowały jakąkolwiek aktywność. Natomiast konie podarowane przez Zegroza sprawiły, że już po kilku chwilach można było zapomnieć o pościgu za odjeżdżającą grupką.

– Wolniej! – zawołała Niki, kiedy minęli pasmo łagodnych wydm i zniknęli tamtym z oczu. – Mój koń ma dwóch jeźdźców.

– Słusznie – poparł ją natychmiast Nolaan. – Pod tym piaskiem kryją się skały. I zaraz któryś złamie nogę.

Virion dał znak i wierzchowce przeszły do kłusu. On również miał podwójne obciążenie, a w dodatku jego współpasażer nie chciał współpracować przy utrzymywaniu równowagi.

– Pani – skłonił głowę przed Kasjopeą – jest mi niezmiernie miło widzieć cię w zdrowiu.

Córka wielkiego księcia, nie bacząc na fakt, że znajduje się w siodle, odpowiedziała prawie pałacowym ukłonem.

– Panie! Dziękuję za uratowanie mojej czci i życia. – Chyba wszyscy obecni zwrócili uwagę na kolejność, w jakiej wypowiedziała słowa „życie” i „cześć”. – Bądź pewien, że twój czyn głęboko zapadnie w moją pamięć. I moją, i całej mojej rodziny.

Uuuu! Znowu jedna myśl pojawiła się we wszystkich głowach. Mieć przysługę u samego wielkiego księcia Troy to się nie zdarza byle komu.

A potem Kasjopea, dokonując cudów zręczności, odwróciła się w siodle, objęła i mocno pocałowała Niki.

– Dziękuję ci, śliczny potworze!

Tania zaczęła się śmiać. No nareszcie ktoś, kto zauważył, że Niki nie jest człowiekiem. Tymczasem upiorzyca nie do końca wiedziała, jak się zachować. Świat wyższych sfer zdecydowanie nie był jej światem. Na szczęście Kasjopea znowu zwróciła się do Viriona.

– Panie, chciałabym oddać hołd wszystkim twoim ludziom. Nie mam pojęcia, jakim cudem po nocnej walce zdołali tak szybko dojść znowu do

sprawności.

– Ja również nie mam pojęcia – odparł szczerze Virion.

– A mogłabym o coś zapytać?

– Oczywiście, pani.

– Interesuje mnie dalszy los waszego jeńca. – Wskazała na przewieszzonego przez siodło młokosa w randze taktyka. – Czy zamierzacie wozić go gdzieś daleko?

– Nie.

– Czy w takim razie to ja mogłabym się nim zająć na najbliższym postoju?

Virion spojrział ogłupiały. Oczywiście, że nikt nie zamierzał taskać niepotrzebnych ciężarów Bogowie wiedzą jak daleko, ale... co ona tak naprawdę miała na myśli?

Kasjoepa wybawiła go z niepewności.

– Jeśli twoja odpowiedź byłaby pozytywna, panie, to miałabym pytanie do wszystkich. Czy ktoś mógłby mi użyczyć ostrego noża?

Tania pierwsza odgadła zamysł księżniczki.

– Ja mam całą kolekcję noży. – Uśmiechnęła się szeroko. – Będziesz sobie mogła wybrać, kochaniutka.



Siedziba najbardziej pogardzanej służby cesarskiej nie była okazała. Mieściła się na uboczu, w pobliżu murów miejskich, a z tego miejsca wszędzie było daleko. I do Pałacu, i na Zamek, i do prefektury. Wszystkie te organizacje znajdowały się na wyciągnięcie ręki imperatora, w pobliżu siedziby władzy. Były codziennie potrzebne, niezbędne, ich dowódcy w każdej chwili mogli zostać wezwani i albo poproszeni o radę czy informacje, albo przesłuchani w charakterze oskarżonych i posłani do kata. To była kwintesencja mocy i siły imperium, równie ważna jak armia w polu.

A ci tutaj?

Nazywano ich szpiegami z szaletu. To określenie wzięło się od agentów całymi dniami przesiadujących w ubikacjach cesarskich term i słuchających, o czym lud plotkuje, co sądzi o najnowszych wydarzeniach, jakie wyraża opinie, kogo obdarza sympatią, a kogo nienawidzi. Oczywiście byli tacy agenci. Ale przecież nie wszyscy. Przytłaczająca większość pełniła służbę nie w szaletach, ale na targach, w karczmach i wszelkich innych miejscach, gdzie gromadził się lud. Oni

sami mówili o sobie, że „badają opinie”. Taida jednak pamiętała stare powiedzenie na Zamku, które słyszał każdy pracownik nadużywający alkoholu: „Twoje miejsce nie tutaj, tylko u plotkarzy – tam będziesz mógł od rana do nocy siedzieć w knajpie i pić za cesarskie!”.

Hm. Żaden z ludzi, którzy pełnili służbę na parterze skromnej budowli, nie wyglądał na pijanego.

– Muszę mieć dostęp do archiwum. – Taida pokazała swoją odznakę oficerowi rozprowadzającemu. – Ale od razu z waszymi fachowcami. Sama niczego nie znajdę.

– Tak jest. – Mężczyzna musiał wcześniej już gdzieś widzieć panią prokurator, bo nawet nie zerknął na odznakę, od razu pochylając głowę z szacunkiem. – Zawiadomię dowódcę, chociaż to może potrwać, bo nie ma go tutaj.

– Wasz dowódca do niczego mi nie jest potrzebny. Fachowcy od archiwum i owszem.

Na blacie przed nim położyła cesarski glejt. Ukłon mężczyzn pogłębił się jeszcze, a może tylko oficer pochylił się bardziej, żeby odczytać drobne literki.

Jednak nie.

– Oczywiście, pani. Ja żadnego glejtu nie potrzebuję, wiele razy widziałem cię na Zamku, odnosząc dokumenty, i zapamiętałem twoją twarz.

Posłała mu uśmiech w odpowiedzi.

– To w czym problem?

– Ano w tym, pani, że tylko dowódca potrząśnie odpowiednio mocno zgnusiałymi pracownikami archiwum, żeby błyskawicznie wykonywali twoje rozkazy. Oni są bardzo leniwi, pani.

No tak. Stara bolączka imperium. Kadry urzędnicze im niżej w hierarchii zostały postawione, tym mniej zaangażowania wykazywały. Żaden bat ani żadna zachęta nie skutkowały.

– Myślę, że poradzimy sobie z setnikiem sami.

– Zatem proszę za mną.

Taida była pod wrażeniem manier. Usiłowała nie wymieniać spojrzeń z Taronem, bo mogłoby to zostać zauważone. A nie chciała, żeby ktokolwiek opacznie to zrozumiał. Tym bardziej że wciąż miała w pamięci, delikatnie mówiąc, nerwową atmosferę, jaka ostatnio panowała w jej firmie. A tutaj? Wszystko wyglądało na wzorowo zorganizowane. Żadni tam szpiedzy z szaletu. Miejsce bardziej przywodziło na myśl siedzibę cesarskich matematyków.

Przechodzili bez problemu przez kolejne bramki. Okazało się, że wbrew oczekiwaniom archiwum wcale nie jest położone w piwnicy.

Znajdowało się w samym środku budynku, w ogromnej sali bez okien, a długa droga, którą przebyli, wynikała wyłącznie stąd, że szli po obwodzie. Bardzo słuszna konstrukcja. Gdyby wróg zdobył przedsiónek, to zostanie jeszcze trochę czasu na palenie tego, co nie powinno wpaść mu w ręce.

Prowadzący ich oficer otworzył wzmocnione drzwi. W ciemnym, ale wcale nie zatechłym wnętrzu znajdowało się kilka osób.

– To jest mistrz Rayt. – Oficer wskazał najstarszego z mężczyzn. – I to jego opiece teraz państwa polecam. – Ręka żołnierza powędrowała w przeciwną stronę. – To jest pani prokurator z Zamku...

– Ależ domyślam się. – Rayt okazał się człowiekiem obdarzonym refleksem. – Nikt inny poza zamkowymi nie wszedłby tu bez tuzina podań z najważniejszymi pieczęciami.

– Nie zabierzemy wam zbyt dużo czasu, panie – uśmiechnęła się Taida.

– Ależ przeciwnie! Kobieta o tak wyrefinowanej urodzie może mi zabrać nawet całe życie.

O kur... zapiał! Tego się nie spodziewała. Na Zamku obowiązywały przynajmniej pozory powagi, a sprawy załatwiano metodami oficjalnymi. A ten tutaj z komplementami wyjechał, i to od razu. Nie bardzo wiedząc, co zrobić w tej sytuacji, ukloniła się lekko. Z opresji uratował ją oficer rozprowadzający, który odmeldował się po wojskowemu i tupiąc wzmocnionymi sandałami, opuścił wielką salę.

– Czym mogę wam, drodzy państwo, służyć? – zapytał Rayt, nie przestając świdrować Taidy wzrokiem.

Miała nadzieję, że nie przesadzi ani ze spojrzeniami, ani z komplementami. Znała już Taronę na tyle dobrze, by wiedzieć, że ma on niezwykle rozwinięty instynkt posiadania i własności. A zerkając z boku, można było zauważyć, że setnika niewiele dzieliło od zdzielenia archiwisty pięścią prosto w szczękę.

– Mam bardzo pilną sprawę. Muszę mieć wszystkie donosy sąsiedzkie, i te pisane osobiście, i te, które dotarły do was w formie raportów od strażników... – Zasapała się, a Rayt wykorzystał przerwę.

– Na jaki temat?

– Otrzymywania pieniędzy za nic nierobienie – wyjaśniła. – To znaczy interesują nas ludzie, którzy swego czasu wyjechali na dłużej, porzucili swoją dotychczasową pracę, a po powrocie nie podjęli żadnej innej. Mają jednak pieniądze na życie. To musiało wzbudzić przecież podejrzenia u sąsiadów.

– I wzbudziło z całą pewnością. – Mistrz archiwum pokiwał głową. – Z całą też pewnością tu są setki donosów w podobnych sprawach, jeśli nie tysiące. Ale... powiedz mi, wspomniała pani, czego szukamy.

Odruchowo chciała odpowiedzieć, że tych donosów właśnie, lecz w porę ugryzła się w język. No przecież nie będzie tu ślęceć dniami i nocami, czytając wypociny tych, którzy chcieli podłożyć świnie najbliższemu znajomym. O mało nie jęknęła, przesuwając ledwie wzrok po olbrzymich regałach wypełnionych papierami. Całe góry jadu i plwocin. Zazdrości i małości.

– Czego szukamy? – powtórzyła za mistrzem. – Chciałabym znaleźć jakiś ślad ludzi, którzy to wszystko finansują.

Rayt wciągnął z sykiem powietrze do płuc.

– Nie mamy agentów śledczych – powiedział. – Więc na pewno szukane przez was informacje u nas są, być może nawet opisano tych, co przynosili gotówkę, ale nikt potem ich przecież nie śledził.

– Nie sądzisz, że ci ludzie pobierali pieniądze w jakimś umówionym miejscu?

– No raczej nie, skoro to takie tajne, na jakie wygląda. Łatwiej słać pośredników z odpowiednimi kwotami, niż kazać ludziom się zgłaszać pod konkretne adresy. Tysiące ludzi musiałyby znać przecież te adresy. Nie sądzę, żeby to tak było zorganizowane.

– To co możemy zrobić?

Rayt zastanawiał się intensywnie, masując sobie brodę. Odezwał się dopiero po naprawdę długim czasie.

– Hm, mówi się, że cały świat to jedna wielka wioska. Ludzie się znają, więc może...

– Co?

– Może któryś z tych donosicieli po prostu znał osobę przynoszącą pieniądze. I to by mogło nas naprowadzić.

Taida westchnęła ciężko.

– Ale wiesz, panie, że czas nagli? Czy, wybac obcesowość pytania, możemy dostać wyniki jeszcze dzisiaj?

Spojrzał na nią trochę jakby rozbawiony.

– Dziękuję ci za łaskę, pani! – Sparodiował pałacowy ukłon. – Wszyscy inni petenci, których tu goszczę, zawsze mówią, że chcą na wczoraj!

Taron parsknął śmiechem, ale chyba też wyczuł człowieka, który z nimi rozmawiał. Ze swojej torby wyjął sakiewkę ze złotem przeznaczonym na błyskawiczne łapówki.

– My nie dość, że łaskawie chcemy na dzisiaj, to jeszcze tę drobną kwotę – wyciągnął przed siebie dłoń obciążoną pękatą sakiewką – pragniemy oferować na zapłatę dla chłopców – wskazał licznych pomocników – żeby im się chciało szybko między regałami biegać.

Taida zamarła, czując, że dostaje rumieńców. Taka obraza, taka zniewaga, i to wobec mistrza tak szacownej instytucji...

– Dziękuję. – Rayt wziął sakiewkę i zręcznie ukrył w fałdach swojej szaty, zaskakując ją tym całkiem. – Przekażę chłopcom, żeby jednak znaleźli coś na wczoraj. A państwa – gestem pokazał szeroką ławę pod ścianą – zapraszam na skromny poczęstunek.

– A długo to potrwa? – zainteresował się Taron.

Mistrz archiwum spojrział na niego pogodnie.

– Zamówię obiad w najlepszym szynku...

– Jak to obiad? Ranek dopiero.

Rayt uklonił się z szacunkiem, po czym dokończył swoje zdanie:

– ...a i kolację w tym miejscu przygotowują godną polecenia.

– Kolację? – włączyła się Taida. – Ile wam to zajmie?

– Pani! Przepotężna jest złość jednego człowieka na drugiego.

A zazdrość przypomina swoją mocą wodospad.

– A mniej poetycko?

– Mamy góry donosów – wyjaśnił. – I codziennie przynoszą nowe. Nikt tego nie kataloguje, możemy jedynie układać tematycznie. A temat „nielegalne lub nienależne dochody” jest bodaj największym obszarem w tym składowisku ludzkiej zawiści.

– No ale chyba się w tym orientujecie?

– Zazwyczaj zamówienia na konkretną informację realizujemy w kilkanaście dni. Jeśli zamówienie jest pilne lub z wysoka...

– Z wysoka?

– Jeśli to Pałac przysłała zapytanie.

– Ach tak.

– To wtedy zajmuje nam to kilka dni.

Rayt westchnął, a potem jakby odruchowo dotknął miejsca, gdzie ukrył sakiewkę od Tarona.

– Ale dla was zrobimy wszystko, co w naszej mocy, pani. Wyniki dostaniecie dzisiaj.

Taida zerknęła na swojego setnika.

– To może nie będziemy wam przeszkadzać? Pójdziemy gdzieś pracować nad swoimi sprawami, a wrócimy tu wieczorem?

Mistrz znowu uklonił się dwornie.

– Jest taka możliwość, oczywiście – potwierdził. – Ale jest także inna. Możecie mieć po prostu szczęście. I potrzebne informacje znajdziemy szybko.

O, żeby go jasny szlag trafił! Co to miało być? Mieli tu siedzieć i obserwować pracę jego zespołu? Bo a nuż znajdą coś od razu? A wtedy rzeczywiście utrata całego dnia byłaby ceną zbyt wysoką. Czy też po prostu oni znają odpowiedź i chcą pokazać jakiś teatrzyk, żeby sponsor nie czuł się głupio, że dał tyle złota za prostą odpowiedź? Sama nie

wiedziała, co o tym myśleć. Taron wybawił ją z rozterki, podejmując decyzję za nią.

– Doskonale. – Złapał Taidę pod ramię i pociągnął w stronę wskazanej ławy. – Bardzo mi taki układ pasuje.

– Jesteś pewny? – Taida usiłowała się opierać.

– Jestem. Przecież powiedział, że to zależy od szczęścia.

– A co ma jedno do drugiego?

– Ja mam zawsze szczęście. W karty, w kości, w pićki pod mostem, a teraz jeszcze spotkałem ciebie. Chcesz zobaczyć szczęściarza, patrz na mnie!

No i co z takim typem mogła zrobić? Dała się posłusznie zaprowadzić na miejsce i struta usiadła na ławie. No ale z drugiej strony, tak po prawdzie, to co miała robić? Tułać się po różnych melinach, praktycznie odcięta od Zamku, z bardzo ograniczonym kontaktem z prefekturą? W to, że spiskowcy chcieli ją dopaść, nie wątpiła. Szczególnie teraz, kiedy cesarz liczył już chyba tylko na nią. Aż się skurczyła, myśląc o tym ciężarze. Sama nie miała wątpliwości. Przegrywali. Przegrywali okrutnie, codziennie, na każdym froncie. Od kiedy wrogowie spenetrowali struktury bezpieczeństwa w państwie, szanse imperium właściwie nikły z każdym dniem, który przybliżał stronę przeciwną do zwycięstwa. I co gorsza, a w dodatku absurdalne, nikt chyba tak naprawdę tej klęski nie ogarniał. Owszem, dwór, a szczególnie cesarz byli świadomi śmiertelnego niebezpieczeństwa. Ale nawet tam świadomość, że przeżyliśmy tyle wieków, różne były koleje losu, ale w sumie nic się nigdy nie stało, paraliżowała doszczętnie wolę walki. „Ktoś to powinien za nas zrobić. Przecież po coś powołałiśmy tyle różnych służb”.

Taida po raz pierwszy z taką mocą poczuła, że cesarstwo jest monstrualnym okrętem sunącym siłą bezwładu po akwenie rojąącym się od mielizn. Kapitan wierzył, że tak wielkiej jednostce nic stać się nie może. Była przecież zbyt wielka, a wszelkie przeciwności zbyt małe. Cóż się mogło stać? Och, jak zwykle, drobne przeszkody o różnej skali dokuczliwości, ale przecież w końcu na pewno nic groźnego.

Oparła się o ramię Tarona. Tak. Już wiedziała, że cesarstwo upadnie. Jeśli Geberik wygra i ogłosi się nowym cesarzem, to wielki okręt nie zdoła płynąć dalej. Sternik jest już bez znaczenia. Po prostu ludzie już nie wierzą, że jest coś, co ich łączy. Nie ma żadnej spoiny moralnej, wszystkich przekonano, że ich los zależy od władzy i to ona ma zająć się wszystkim w życiu ludzi. Każdym najdrobniejszym szczegółem. Nawet ludzi do obrony stolicy muszą na siłę zagarniać gangsterzy Robego. Ewentualnie można ich mamicić zyskami z grabieży i nikt z nich nie pomyśli, że grabią swój własny kraj. A dokąd to prowadzi? Wiadomo. Na

śmietnik ubezwłasnowolnionych idiotów. Kraj z takimi poddanymi musi runąć. Prędzej niż później.

– Pani! Pani prokurator!

Taida ocknęła się i gwałtownie otworzyła oczy. Spała? Naprawdę zasnęła na siedząco? Rozejrzała się niezbyt przytomna. Słońce stało bardzo wysoko.

– Widać, że praca w nocy jest twoją domeną, pani – przypochlebiał jej Rayt. – Wszystko dla dobra cesarstwa.

– No. Poniekąd – mruknął Taron z radosnym wyrazem twarzy, ponieważ on znał prawdziwy powód jej niedospania. Pewnie chciał dodać, że różnie można interpretować słowa „dla dobra cesarstwa”, ale Taida spiorunowała go wzrokiem.

– Znaleźliście coś?

– Szczęście rzeczywiście wam sprzyjało. – Mistrz mimowolnie znowu dotknął miejsca, gdzie schował sakiewkę ze złotem. – Proszę. Oto lista ludzi, których udało się zidentyfikować, a którzy dostarczają gotówkę ludziom nieparającym się żadną pracą. – Podał Taidzie zapisaną gęsto kartkę.

– Aż tyle nazwisk. – Ledwie zdążyła zerknąć.

– Ano, jak mówiłem, Syrinx to jedna wielka wioska. Ludzie się znają, wiedzą, kto kim jest.

Taida zastanawiała się, kogo mogłaby zatrudnić przy śledzeniu znalezionych kontaktów. Służbom na Zamku teraz już nie ufała, a prefektura mogła wysłać albo prawników, albo mundurowych. Jedni nie potrafili śledzić ludzi w tłumie, a drudzy wyróżniali się jak latarnie na brzegu morza. Mistrz Rayt musiał odgadnąć jej myśli.

– Pani, jeśli wolno coś zasugerować.

– Mów, panie.

– To trudne śledztwo, bardzo specyficzne. Ja zatem na twoim miejscu zatrudniłbym prywatnych śledczych.

– Prywatnych... kogo? A co to takiego?

– Prywatny śledczy wynajmuje się osobom prywatnym, wybaczone tautologię. Za pieniądze szuka zaginionych krewnych, sprawdza, czy mąż nie zdradza żony, odnajduje sprawców drobnych kradzieży, jeśli na przykład trzeba odzyskać jakąś pamiątkę. Wielu spraw ci ludzie się podejmują. A siłą ich jest to, że idealnie wpasowują się w tłum. Wszędzie są „swoi” i nie wzbudzają niczyich podejrzeń.

– Hm. – Zaskoczył ją. Jako prokurator powinna teoretycznie wiedzieć, że są ludzie, którzy prowadzą prywatne śledztwa w mieście. Ale z drugiej strony... z jego słów wynikało, że oni nie podejmowali się zleceń

politycznych, sprawy cesarstwa ich nie interesowały, mogli więc być dla Zamku niewidzialni. Nieciekawi.

– Znasz jakichś prywatnych śledczych? – zapytała.

– Mogę kazać moim chłopcom przyprowadzić ich nawet tutaj.

Taida przygryzła wargę. Właściwie czemu nie. Powróciła do swoich wcześniejszych rozważań o stanie cesarstwa i jego poddanych. Tak. Prywatny przedsiębiorca pracuje za pieniądze. Powinien więc zrobić swoje wedle zasady: gdzie dobra płaca, tam dobra praca. I tyle.

– Sprowadź najlepszych – poprosiła.



Rohan, Hekke i Kody czekali już w umówionym miejscu. A wraz z nimi ze dwudziestu ludzi na koniach objuczonych bronią. Wszyscy młodzi, sądząc po minach, zadziorni, zupełnie nie wyglądali na kółko adoracji ołtarza w świątyni. Raczej można było zaryzykować stwierdzenie, że wykonają każdy rozkaz bez przesadnego wnikania, o co w nim chodzi.

– Tylko dwudziestu? – skrzywił się Lirion.

– Hekke miał brać tylko mistrzów. Może więcej nie było?

– E tam, po mojemu to wziął starych kolegów, żeby złoto zostało w kręgach znajomych, a jego sława jako cesarskiego powiernika bez mała rosła i rosła.

– Coś w tym jest – zgodził się Virion, rozciągając usta w uśmiechu. – Ale jeśli oni są podobni do Hekkego, to stanowią dobry nabytek.

– Podobni do Hekkego? – Nolaan włączył się do rozmowy. – Masz na myśli jego intelekt, wrażliwość czy płynącą z doświadczenia mądrość?

– Oj, już nie przesadzaj.

– Nie przesadzam. Ja się nawet cieszę na intelektualne rozmowy przy ognisku w rodzaju: „Dupa! A, ha, ha, ha, ha! Goła dupa! Uuuuu! Hu, hu, hu!”.

Niki zbliżyła się do księcia, odpowiednio manewrując wozami.

– Wiesz, tak to podałeś, że też zaczynam się cieszyć.

Nolaan ukłonił się roześmianej upiorzycy. Chciał coś powiedzieć, ale niespodziewanie do rozmowy wtrąciła się Kasjopea:

– W twojej wersji, panie, będzie to brzmieć tak: „Młoda księżniczka, wchodząc do łaźni, nieostrożnie postawiła swoją stópkę. Musiała się czegoś chwycić, a wtedy jej szata podwinęła się, ukazując fragment tej części ciała, gdzie plecy kończą swoją szlachetną nazwę. Hi, hi, hi”.

Rozbawiła tym Tanię, że ta aż wykrzyknęła:

– Ja pierdolę, zaczynam cię lubić.

– Nie wykonuję tej czynności, o której wspomniałaś, ale też cię lubię, nożowniczo.

Musieli wjechać w zasięg słuchu drugiej grupy, bo Hekke, wyraźnie zaniepokojony ich radosnymi minami, krzyknął:

– I czemu wam tak wesoło?

Ponieważ nikt nie kwapił się do odpowiedzi, dodał po chwili:

– Myśmy się też z was śmiali!

Niki spuściła wzrok.

– Nie można mu odmówić wyczucia – mruknęła.

Virion przyspieszył, wysforowując się przed swoją grupę, by zaraz zatrzymać się przed frontem zwerbowanych przez Hekkego najemników. Dłuższy czas przyglądał się im z uwagą, a potem zapytał:

– Jesteście pewni?

Ktoś się zaśmiał, ktoś inny splunął na piach, a ktoś powiedział o obiecanych górach złota.

– Będą góry złota – przyznał Virion. – Ale legion to minimum tysięcy ludzi w linii, a was ze dwudziestu.

Skrzypiały skórzane elementy wyposażenia, zagłuszając czyjeś ciche słowa. Nie sposób nawet rozpoznać, czy chodziło o złorzeczenie, czy też o podkreślenie, że takie sprawy młodzi ludzie mają w dupie. Dopiero po chwili ktoś odezwał się głośniej.

– Szefie! – Jakiś szermierz z podwójną blizną na twarzy uniósł się w strzemionach. – Nasz kumpel przecież dał nam wybór. – Ruchem głowy wskazał Hekkego. – Albo nas prędzej czy później zajebią na arenie do pojedynków w jakieś prowincjonalnej dziurze, której nazwy nikt nie pamięta, albo... Albo nas zajebią jako twoich żołnierzy na polu chwały! No to, kurwa, wybór prosty!

Virion zacisnął szczęki. Pewnie powodując koniem, ruszył wzdłuż szeregu jeźdźców, patrząc choćby przez krótką chwilę każdemu w twarz. Kiedy dojechał do końca szeregu, odwrócił się i omiół wzrokiem wszystkich, starych towarzyszy i nowych.

– To naprawdę ostatnia chwila na podjęcie decyzji. Później odwrotu nie będzie – powiedział.

Lekki wiatr przybrał na sile, ale nie na tyle, żeby zagłuszyć czyjeś słowa. Najwyraźniej nikt w tym miejscu nie miał niczego do powiedzenia.

– Wszyscy jesteście pewni, czego chcecie? – ponowił pytanie.

Cisza przedłużała się nieznośnie. Rozładowała ją dopiero Kasjoepa:

– No nawet ja jestem pewna! – zawołała i rozłożyła szeroko ręce.

Niki i Tania zaczęły się szturchać, a Nolaan powiedział cicho:

– Nikt się nie cofnie. Tu, na tym piasku, otwierają się wrota legendy!

Zawtórował mu Hekke.

– A nuż ktoś przeżyje i będzie mógł się przechwalać. Mówić wnukom: byłem tam z Virionem.

Virion już nie komentował. Podjechał do Rohana.

– Masz mapy?

– Mam. Wziąłem wszystko, co mieli.

– I tak ci dali za bezdurno? Wystarczyło pokazać odznakę Zamku?

Stary żołnierz potarł szczeniastą brodę.

– A ja im nawet odznaki nie pokazywałem – mruknął zasepiony. – Dali ot tak.

Virion nie wnikał, co tam się działo. Przeniósł wzrok na Kody'ego.

– Jak sytuacja?

– Tragicznie. Legion maszeruje w stronę Syrinx. Po drodze zdobywa kolejne miasta, ale nie zostawia garnizonów. Wystarczy zabić całą elitę, a tłuszcę napuścić na rabowanie pozostawionych dóbr. Teraz całe watahy ciągną za wojskiem, złaknione nowych rabunków w nowych miastach. Idąc przez prowincję, ogołacają wsie z zapasów. Wygląda to gorzej niż przejście wrogiej armii.

– A jakieś wojska cesarskie?

– Podobno Mohr zbiera to, co zostawił przed walną bitwą na wydzielonych placówkach. Ale jak mu idzie, nikt nie wie. Za to wiadomo, że wojska Prabha maszerują w jego kierunku.

– A Syrinx?

– Między Legionem Moy a stolicą państwa nie ma już nic.

– Aha.

Virion podniósł bukłak przytroczony do kulbaki, wyrwał zębami zatyczkę i pociągnął kilka łyków. Wódka, choć przednia, ogrzała się od słońca i nie było to przyjemne doznanie. Splunął więc na piasek, a potem uniósł się w strzemionach i potoczył wokół wzrokiem.

– Sytuacja jest podobno tragiczna – krzyknął. – Czas więc zacząć się naparzać. Ktoś chętny?

Wojsko nie potrzebowało czasu do namysłu. Odpowiedziało wyciem.

Tylko Hekke podjechał do Nolaana, wychylił się z siodła i powiedział ściszym głosem:

– Jak ruszymy, to pokaż mi, gdzie są te drzwi.

– Jakie drzwi?

– No te, co prowadzą do legendy. Muszę przez nie przejechać, a nie widzę, gdzie są.



Snelis i Kin, prywatni śledczy, których znalazł Rayt, pracowali jako para. Na pierwszy rzut oka Snelis wydawała się starszą, kostywną kobietą, zdecydowanie niezaskarbiającą sobie sympatii od pierwszego wejrzenia. Wystarczyło jednak, że uśmiechnęła się szeroko, całą sobą i postronny obserwator od razu miał wrażenie, że nagle, jak po rzuceniu zaklęcia, ubywało jej lat, a za to przybywało ufności i serdeczności. Z kolei Kin był wielkoludem o sękatych, silnych łapskach. Można by odnieść wrażenie, że to tylko ochroniarz albo wręcz opiekun Snelis, gdyby nie jego twarz. Miał na niej wypisane swoje podstawowe cechy, jak prostolinijność, szczerość, uczciwość, brak wyrachowania i przyjaźń, ale taką, że jeśli już, to na całe życie, bez kompromisów. Ciekawe, jak długo pracował nad swoim obliczem.

Taida przez moment miała wrażenie, że to podobny zespół jak jej – kobieta i mężczyzna z jasnym podziałem ról. Ale nie, Taron nie potrafił ukryć swojej energii i skuteczności, a Kin wydawał się dobronuduszy. Do czasu. Kiedy zaczęli omawiać zadanie i przestali grać, stało się jasne, że to para profesjonalistów, którzy tylko wyglądają tak, żeby zwykli ludzie niczego nie podejrzewali. Żeby otwierali się przed nimi i powierzali swoje najskrytsze tajemnice.

– Jak widzicie – podsumowała Taida – mamy wszystko, pieniądze w dowolnej ilości, ludzi do rozwiązań siłowych, których nie kępuje prawo. Brakuje nam tylko jednej rzeczy.

– Czasu – powiedziała Snelis. – Powiedz, kiedy będzie za późno na nasze wyniki.

– Jutro po południu. A już na pewno jutro wieczorem.

– Rozumiem. – Kobieta zerknęła pytająco na swojego partnera.

Ten wziął ze stołu listę, którą dostarczyli archiwiści. Powoli przesuwiał wzrok z pozycji na pozycję. Potem powiedział:

– Mam wrażenie, że przynajmniej dwóch z tej listy znam osobiście. A na pewno wiem, gdzie szukać.

Snelis skinęła głową.

– Czy dwóch wystarczy?

– Na jutro w południe. Wystarczy.

– Nie na jutro. Dwóch będzie na dzisiaj. Na zaraz.

Taida uśmiechnęła się radośnie.

– No to świetnie. Kiedy ich znajdziecie, dam wam ludzi, żeby przetransportować ich tutaj.

- Nie potrzeba. Dwóch to Kin sam przyniesie.
- Dobrze. – Taida skinęła na Tarona, który położył przed prywatnymi śledczymi niewielką sakiewkę, rozsypał i wysypał zawartość. Złote monety, a szczególnie w takiej liczbie, zawsze robiły wrażenie. Tych dwoje jednak zdołało opanować mięśnie twarzy.
- Tyle dostaniecie za każdego zweryfikowanego człowieka z listy.
- Na czym ma polegać weryfikacja?
- Nasz specjalista ich przesłucha.
- Na torturach to różnie...
- Nasz człowiek wydobywa z ludzi prawdę, a nie to, co chcielibyśmy usłyszeć. Jestem absolutnie pewna jego metod.
- Zatem jesteśmy umówieni. – Snelis podniosła się sprężyście. Przed odejściem jeszcze raz zerknęła na rozsypane monety. – Tak nawiasem mówiąc, to królewska zapłata. Ja i Kin w twojej sprawie, pani, bardzo się postaramy.
- Taida lekko pochyliła głowę. Ci ludzie zrobili na niej dobre wrażenie. Żałowała nawet, że wcześniej nie korzystała z takiej możliwości. Przy brakach kadrowych na Zamku mogłaby przecież zlecać prywatnym wszelkie śledztwa, które nie dotyczyły polityki.
- Taron? – Spojrzała na swojego setnika. – Zostajemy tu na noc? Co myślisz?
- Dobre miejsce. Wrogom do głowy nie przyjdzie, że teraz zajmujemy się donosami.
- No to postanowione. Zwerbuj kilku młodych archiwistów i zrób z nich naszych posłańców.
- Gdzie posłać?
- Po naszego przyjaciela od przesłuchań. I po bandę Robego. Tylko nie pakuj tu wszystkich gangsterów naraz. Niech się zaszyją w okolicy.
- Jasne.
- I znajdź jakąś salę, możliwie bez regałów z papierami. To w trosce o komfort pracy mistrza Anai.
- Mhm. A ty co będziesz robić?
- Zadumam się nad losem cesarstwa... – Urwała nagle. – Nie duś mnie!
- Z trudem strząsnęła dłonie Tarona z szyi. – Ja zajmę się szukaniem jakiegoś noclegu w tym budynku.
- Aha. Tylko pamiętaj, pokój z łóżkiem.
- Tak, z łóżkiem – przytaknęła potulnie.



– Rohan, możesz pokazać na mapie, gdzie znajduje się legion?

Stary żołnierz usiłował złożyć wielką płachtę w ten sposób, żeby nie łopotała na wietrze. Udało mu się to dopiero przy pomocy Tani i Niki, które chwyciły za rogi, każda ze swojej strony. Ograniczyło to trochę dostęp z boków i nie wszyscy mogli przyjrzeć się dokładnie. Hekke nawet stanął z drugiej strony i miał przed oczami wszystkie symbole do góry nogami. Najwyraźniej mu to nie przeszkadzało. Możliwe zresztą, że po prostu nie umiał czytać map, więc z której strony patrzył, nie miało żadnego znaczenia.

– Zgodnie z informacjami, które przekazał nam Zegroz, legion jest tutaj. – Palec Rohana stuknął w oznaczenie rozwidlenia dróg. – A my jesteśmy tutaj.

– Tuż-tuż – uśmiechnął się Lirion. – Właściwie w zasięgu ich zwiadu.

– Przypominam, że to armia w marszu, więc nie mają takiego zwiadu, jaki stosuje się przy posuwaniu się w głąb terytorium nieprzyjaciela.

– Skąd wiesz?

– Idą stosunkowo powoli, wydzielając część sił do pacyfikacji miasteczek po drodze. O mnóstwie rzeczy dowiadują się od miejscowych. Wiele też przekazują na pewno ich agenci. Dla nich to nie jest teren wrogiego państwa.

– W ogóle nie mają zwiadu?

– No mają, mają, jakiś saper zawsze musi iść przodem. – Rohan wrzucił ramionami. – Ktoś musi ocenić aktualny stan mostów, przepraw, dróg i takich tam.

– W jakiej osłonie?

– Trzech dziesiątek pewnie. Ale nie sądzę, żeby szczególnie przykładali się do przepatrywania terenu. Ich zwiad pewnie posuwa się drogami, tędy i tędy. – Jego palec znowu dwa razy stuknął w mapę.

– Obok nas.

– No mówiłem. Jeśli wdrapiesz się na drzewo, pewnie ich zobaczysz.

– A zaraz. – Hekke dotknął mapy w miejscu, które na początku wskazał Rohan. – A gdzie jest Syrinx?

– Tu.

– O ja pierdolę! Tak blisko?!

Nolaan uśmiechnął się z wyższością znawcy kartografii.

– Kilka dni i będą pod murami. A jeżeli zaprzestaną pacyfikacji, to i dwa dni im wystarczy.

Tania również nie mogła uwierzyć, że to już, że wróg jest tuż przy celu.

– To co robimy? – zapytała nerwowo.

– Najpierw ich oślepiemy – powiedział Virion. – A poza tym musimy sprawdzić nasz oddział w boju.

– Co proponujesz?

– Uderzymy na ten ich zwiad. Najpierw na bliższy oddział, potem na ten dalej. Jeśli Rohan ma rację i oni wysłali po trzy dziesiątki, to siły będą mniej więcej równe.

Hekke poderwał głowę znad mapy.

– Hej, hej. – Wykonał gest, jakby chciał kogoś powstrzymać. – Zwerbowani ludzie to mistrzowie miecza, a nie kawalerzyści.

– No to co?

– Myślę, że żaden z nich nigdy nie walczył na koniu.

Virion uśmiechnął się rozbrajająco.

– Zatem najwyższy czas, żeby spróbowali. – Gestem powstrzymał dalszy rozwój dyskusji. – Robimy tak: Nolaan bierze jedną dziesiątkę, Lirion drugą, a Rohan prowadzi szyk. Tania i Kody pilnują Kasjopei.

– A ja? – dopytywał Hekke.

– Pozostajesz w odwodzie, trzymaj się mnie.

Młody szermierz najpierw skinął głową, a potem jakaś myśl przyszła mu do głowy, bo podszedł do Nolaana z lisim wyrazem twarzy.

– Powiedz, jak to jest, kiedy księcia mianują dziesiątnikiem? – Uśmiechnął się paskudnie.

– Pytasz w kontekście tego, że ty zostałeś mianowany ciurą obozowym?

– Chłopaki! – Niki rzuciła się na jednego, a Tania chwyciła drugiego z adwersarzy za ręce. – Przestańcie natychmiast.

Virion nie zwracał uwagi, że dłonie obu kłótników znalazły się niebezpiecznie blisko rękojeści ich broni. Doskonale wiedział, że lepiej mieć oddział złożony ze zwaśnionych kogutów niż z potulnych owiec.

– Na koń – zakomenderował. – Dowódcy do swoich ludzi. Rohan na czoło, Niki, ty przy Rohanie.

– Tak jest! – Jedynie stary żołnierz potrafił zachować się po wojskowemu.

A mimo to zebranie i ustawienie oddziału odbyło się błyskawicznie, choć żaden najemnik nigdy tego nie ćwiczył. A Virionowi przypomniało się kolejne powiedzenie starożytnego stratega: „Lepiej mieć oddział złożony z deliberującej inteligencji po gimnazjonie niż oddział karnych parobków”.

Ruszyć udało się również bez kłopotów. Niki kierowała sprawnie, a Rohan najwyraźniej miał doświadczenie w prowadzeniu szyku. Gdyby nie brak mundurów, z boku pewnie wyglądali jak prawdziwe wojsko. Na

rezultaty również nie trzeba było długo czekać. Mapa nie kłamała, a przewidywania starego żołnierza również okazały się słuszne.

– Jesteśmy dokładnie na ich wysokości – zameldowała Niki. – Oni posuwają się powoli drogą, my jesteśmy dwieście kroków w bok za chaszczami.

– Proponuję zostać i poczekać chwilę. – Rohan znowu rozpostarł część mapy. – A potem przedostaniemy się przez roślinność na drogę i uderzymy od tyłu.

– Nie. – Virion również studiował mapę. – Wyprzedzamy ich i wychodzimy na drogę z przodu.

– No to będą uprzedzeni – zaproponował stary żołnierz. – Nie lepiej z zaskoczenia?

– Mam inny pomysł. Niki?

– Tak?

– Spróbuj poprowadzić nas tak, żeby konie nie połamały nóg.

– Jasne.

Oddział ruszył znowu. Stopniowo oddalał się od drogi, wydostając się na teren o twardszej nawierzchni, z mniejszą liczbą drzew. Tu mogli przyspieszyć. Ale nie trwało to długo, już po chwili Virion podniósł rękę i wskazał nowy kierunek. Znowu zaczęli zbliżać się do drogi.

– Teraz rozumiem. – Rohan podjechał bliżej, umiejętnie powodując koniem. – Chcesz się dostać na ten plac mijankowy?

– Tak. Tam ze trzydzieści koni będzie mogło stanąć obok siebie.

– Żebyś tylko nie zapomniał, że to tamci mają kawalerię. Nie my.

Virion wzruszył ramionami.

– Nie planowałem żadnych manewrów. Ot, jedna kupa na drugą kupę.

Nie mógł bardziej zaskoczyć Rohana. Jadący tuż obok Hekke również popatrzył, nie mogąc ukryć zdziwienia. No trudno. Wojsko nie musi rozumieć intencji dowódcy, wystarczy, że wykonuje rozkazy.

Na rozległy plac mijankowy dotarli prawie dokładnie w chwili, kiedy z drugiej strony pojawił się oddział zwiadowczy Legionu Moy. Tamci nie podejrzewali żadnych kłopotów. Jechali w idealnym szyku, powoli, pewni siebie, jak okupanci w zdobytym już kraju. Z niejakim zdziwieniem i z ogromną domieszką pogardy obserwowali konnych z naprzeciwnka, niezbornie gramolących się na brukowaną nawierzchnię. Wiadomo, cywile. Ani szyku, ani organizacji. Bez komendy, bez przeciwicznych manewrów, wjeżdżali na drogę, jak komu wygodnie, jak kto chciał, w małych grupkach, bez ładu i składu.

Pewne zaskoczenie odbiło się na twarzach kawalerzystów, dopiero kiedy cywile dotarli do placu mijankowego i zaczęli się ustawiać w jeden szereg. Nie szło im to składnie. Jeźdźcy pokrzykiwali na siebie,

sztorcowali się nawzajem, bez końca poprawiali odstępy między końmi, usiłując je bezskutecznie wyrównać. Co jest? Walki chcą? Bogowie, jacy ci cywile głupi!

Nikt nie analizował, o co tamtym może chodzić. Kawalerzyści byli zdyscyplinowanym wojskiem, a musztrę mieli opanowaną do perfekcji. Po dotarciu na plac manewrowy rozwinęli się błyskawicznie i ustawili w szeregu naprzeciw cywilów. Odstępy między ich wierzchowcami były wszędzie takie same, dosłownie idealne, linia końskich pysków doskonale równa. Ot, tak właśnie profesjonaliści pokazują swą miażdżącą przewagę nad amatorami.

Po jednej stronie placu znajdował się teraz (Rohan słusznie przewidział) wzorcowy wręcz szereg trzydziestu jeźdźców, po drugiej grupa usiłujących ciągle ustawić się przynajmniej jeden bokiem do drugiego dwudziestu sześciu cywilów. Dla kawalerii nie była to żadna przeszkoda.

– O zaraza jasna! – Kody uniósł się w strzemionach, żeby lepiej widzieć. Razem z kobietami został z tyłu i nie miał zbyt dogodnej pozycji obserwacyjnej.

– Do szarzy! – dowódca zwiadu wydał swoją pierwszą komendę.

Trzydzieści lewych dłoni ściągnęło wodze bojowych rumaków, trzydzieści prawych uspokajająco poklepało końskie szyje. Dokładnie tym samym ruchem.

– Panowie – również Virion postanowił odezwać się do swoich – przestańcie się kręcić w kółko.

– Dobycь broni! – rozległo się po drugiej stronie placu.

W odpowiedzi trzydzieści mieczy wysunęło się z pochew. Ich klingi zalśniły w słońcu dokładnie w tym samym momencie.

– Już się nie ustawiajcie bokami, jeśli nie potraficie – padło w odpowiedzi z drugiej strony. – Niech każdy zatrzyma się tam, gdzie jest.

– Na mój znaaaak... Do ataku! – krzyknął dowódca konnego zwiadu.

– Panowie, niech każdy zada jeden cios – poprosił swoich Virion.

Plac był za mały na wykonanie pełnej szarzy. Konnica nawet nie miałyby się gdzie rozpędzić. Oba oddziały ruszyły więc na siebie powoli, stępem. Nikt nie marzył o galopie ani tym bardziej o cwale. Obaj dowódcy byłiby zadowoleni, gdyby przed spotkaniem się zbrojnych osiągnąć chociaż kłus.

I kawalerzystom to się udało. Tym z naprzeciwka nie.

Obserwujący z boku mogli odnieść wrażenie, że dwie linie zderzyły się na środku placu, ale to było tylko złudzenie. Rozległ się szcęk, trzask, a właściwie huk, sądząc po natężeniu dźwięku. Konie, jak często bywa w zamieszaniu, zaczęły prowadzić się same. Zderzenie więc nie było

prawdziwym zderzeniem, obie linie przeniknęły się wzajemnie i pojechały dalej, każda w swoją stronę. Tam, gdzie stanęli cywile, Rohan usiłował zorientować się, jakie ponieśli straty. Virion inaczej, odwrócił się, żeby oszacować straty przeciwnika.

Po ich stronie placu stało dwadzieścia sześć koni, każdy z jeźdźcem na grzbiecie. Po przeciwnej stronie trudno było policzyć wierzchowce tworzące wielkie kłębowisko. Łatwiej było policzyć jeźdźców.

Czterech?

Czterech. A stąd płynął wniosek, że na bruku leżało teraz dwadzieścia sześć kawaleryjskich ciał. Ci, którzy przeżyli, wciąż w siodłach, patrzyli w szoku, nie mogąc pojąć, co się stało. Przecież runęli na bandę cywilów jako zorganizowany oddział i...

I zostało ich czterech?

Ach, po dłuższej dopiero chwili przyszło zrozumienie. Cywilbanda nie umiała fechtować z siodła i mijając się, każdy z nich zdołał zadać tylko jeden cios.

– Łapać ich? – Rohan zerknął na Viriona. – Dobić?

– Nie. Ktoś przecież musi zdać raport ich dowódcy.

– Jasne.

Stary żołnierz uderzył swojego konia piętami po bokach. Sam wyjechał na środek placu, szukając czegoś wśród zakrwawionych ciał na bruku. Skręcił w prawo, potem lekko w lewo. Rozglądał się z uwagą, jednak dopiero po dłuższej chwili jego twarz rozjaśniła się nagle. Znalazł.

Rohan nabił na miecz głowę kawalerzysty, którą uciął w zwarciu. Podniósł.

– Drogie panie! Szanowni panowie! – Przypomniał sobie o drugiej pasji, która wypełniała mu życie. O zawodzie aktora. – Oto pierwsza na świecie gadająca głowa!

Czterech kawalerzystów, którzy ocaleli z całego oddziału, patrzyło na niego wytrzeszczonymi oczami.

– Szanowna publiczności, podziwiającie! Głowa jest oddzielona od ciała, a mimo to gada!

Rohan chwycił palcami za szczękę i zaczął nią poruszać w górę i w dół.

– Błę, błę, błę, błę...

Ocalali legionieści runęli do ucieczki. Bez ładu i składu, byle jak, byle dalej z tego okropnego miejsca. Nie patrzyli na drogę, na przeszkody i chaszczę po bokach. Dalej, dalej! Żeby tylko uciec z miejsca straszliwiej niż oni.

– Błę, błę, błę... – zęgnęła ich głowa, kłaniając się uprzejmie.



– Błę, błę, błę, błę...

Najemnicy chichotali ubawieni.

– Ja pierdołę! – Tania zasłoniła sobie oczy, nie chcąc patrzeć na to ohydztwo.

A Kasjopei występ aktorski nawet się podobał. Patrzyła na Rohana z radosnym wyrazem twarzy.



Snelis i Kin wykazali się dużym profesjonalizmem. Pierwszych dwóch podejrzanych przyprowadzili jeszcze przed wieczorem. Trzeciego tuż po zapadnięciu zmroku. Chcieli iść na dalsze łowy, mówiąc, że jeszcze jeden już jest namierzony, ale Taida zatrzymała ich na komendzie służby, z której uprzejmości korzystała. Mistrz Anai pracował szybko i mogła potrzebować prywatnych śledczych do innych zadań.

– Kiedy już wydrzemy zeznania i dowiemy się, skąd ci ludzie brali pieniądze, to dopiero zacznie się właściwa część waszego zadania – wyjaśniła. – Pójdziecie na miasto, żeby dowiedzieć się najważniejszych rzeczy.

– A może nie trzeba będzie chodzić? – Kin skrzywił się zabawnie. – My mamy mnóstwo informacji o ludziach w mieście o tutaj. – Puknął palcem we własną głowę. – To znaczy ona ma. – Przeniósł palec wskazujący na Snelis. – Bo ja to raczej jestem od „uspokajania” tych, co nie chcą niczego powiedzieć, a za to chcieliby nam skakać.

Starsza, kostyczna kobieta przymknęła oczy.

– Nie bądź taki skromny – powiedziała. – Mnóstwo informacji przechowujemy po prostu w swojej pamięci.

– Syrnix to ogromne miasto. – Taida nie mogła uwierzyć. – Jakim cudem możecie wiedzieć cokolwiek choćby o części jego mieszkańców?

Snelis uśmiechnęła się nagle jednym ze swoich najcieplejszych i najbardziej sprzyjających uśmiechów. Trudno było przywyknąć do tej zmienności, tych przemian srogiego oblicza pomocnika kata, które w ciągu mgnienia oka przeradzało się w twarz oddanej, zakochanej w rozmówcy kobiety.

– Ależ, pani. Przytłaczająca większość mieszkańców stolicy nie bierze udziału w ważnych wydarzeniach. Oni, tak po prawdzie, nie biorą udziału

nawet we własnym życiu.

Taida cmoknęła cicho, zaskoczona.

– Po chwili zastanowienia chyba przyznam ci rację w tym względzie.

– Właśnie. Liczą się ci, którzy sobą kierują. A tych to jest może dwóch od sta. A może jeszcze mniej.

– A wiesz, że nigdy nie pomyślałam w ten sposób. Ale po namyśle rzeczywiście. Prawie nie znam ludzi, których życie nie jest kopią życia ich rodziców. Ludzi, którzy mają własne poglądy, kierują się własnym rozeznaniem i rozumem. Którzy po prostu mają własne zdanie.

– Sama widzisz, pani. – Snelis przeszła do miny pośredniej, czegoś pomiędzy katem a wzorcową matką. – A jeśli warto interesować się tylko dwoma ludźmi na stu innych, to wcale nie wychodzi nam taka duża liczba.

– Tym bardziej że nie mamy dostępu do spraw wielkich tego świata – włączył się Kin – a i doły społeczne zupełnie nas nie interesują.

– Tak właśnie. – Snelis znowu przybrała sympatyczny wyraz twarzy. – I dlatego powiedzenie, że „wimy, co dzieje się w Syrinx”, nie jest samochwalstwem. Mogę uściślić: mniej więcej wimy.

Taidzie pozostało tylko skłonić głowę przed starszą koleżanką po fachu. Tak po prawdzie zazdrościła tamtej. Na Zamku to, o czym mówili prywatni śledczy, nazywano „wyrobieniem sobie obrazu” i dotyczyło jakiejś sprawy wraz z całym kryminalnym tłem. Wyrabianie obrazu nigdy jednak nie mogło obejmować całego miasta. A tu proszę. Cóż, ona sama chyba nawet знаła przyczynę takiego stanu rzeczy. Wszyscy jej śledczy mieli po prostu za dużo na głowie. Zbyt wiele informacji do zapamiętania, góry papierów do wypełnienia i całe rzeki ludzi, których trzeba było przesłuchać, zrozumieć, zadecydować w ich sprawie. No i tak to... Prywatni nie mieli nad sobą szefów. Mogli wybrać taki rodzaj działania, który był najbardziej adekwatny do sytuacji. Zamkowi musieli postępować zgodnie z regulaminem.

– Mistrz Anai skończył z tą trójką – zaraportował strażnik, kładąc przed Taidą kartkę z kilkoma linijkami tekstu. – Pyta, czy ma czekać na następnych, czy może pójść sobie odpocząć.

– Nie może przespać się tutaj? – Taida nagle zdała sobie sprawę, że mówi do zwykłego wartownika. A z takim nie powinna w ogóle zaczynać rozmowy. Dosłownie chwilę później przypomniała sobie, że jej Taron również był przeciwieństwem zwykłym wartownikiem, i natychmiast zmieniła ton. – Przekaż, proszę, że zaraz do niego przyjdę i coś wspólnie ustalimy. Dobrze?

– Tak jest!

– Złapaliśmy właściwych ludzi? – zainteresowała się Snelis.

– Już patrzę. – Taida przebiegła wzrokiem po krótkim tekście i dodała po chwili: – Tak.

– Niech zgadnę. Wszyscy, cała trójka, brali pieniądze do rozdania z tego samego źródła?

– Tak.

– Czy Anai przesłuchiwał ich osobno? Tak, żeby nie mogli się kontaktować ani nie mogli słyszeć, co zeznają inni?

– Uch, nie obrażaj mistrza. Anai jest jedyny w swoim rodzaju, a ty mówisz o podstawowych błędach.

– No to możemy uznać, że wywiązaliśmy się z części technicznej zadania. Możemy ruszać dalej.

– Chcesz mi jeszcze w czymś pomóc?

Tym razem to Snelis ukloniła się przed panią prokurator.

– My zawsze doprowadzamy sprawy do końca. A przy tak królewskiej zapłacie możemy posunąć się nawet poza ten koniec.

Taida zrozumiała aluzję. Tamta mówiła o Pałacu. Miejscu, przed którym powinny się kończyć wszelkie śledztwa.

– No dobrze – powiedziała. – Bardzo mnie to cieszy. – Podała Snelis kartkę z notatką mistrza Anai.

Kin nachylił się nad współniczką, żeby też widzieć.

– Składy Oktanta – mruknął. – Trudna sprawa.

– Dlaczego? – zainteresowała się Taida. – Powiedźcie mi, co wiecie o tych składach.

Nie umknęło jej, że współnicy wymienili spojrzenia.

– Oktant jest właścicielem magazynów w centrum Syrinx. Wiesz, jaki to zaszczyt, pani.

Taida doskonale wiedziała. Miasto dusiło się z braku miejsca pod budowę absolutnie koniecznych budowli publicznych, ceny domów mieszkalnych szybowwały pod niebo z tych samych względów, a tu ktoś w obrębie murów stawia sobie magazyny. Dla normalnego kupca rzecz nieosiągalna. Won na przedmieścia! – usłyszałby każdy, kto zwróciłby się do administracji miasta z taką propozycją. A skoro ten nie usłyszał...

– Jest cesarskim dostawcą? – zapytała.

– Od lat. Ba, od pokoleń.

To była dziwna informacja.

Człowiek, którego rodzina służyła majestatowi od pokoleń, nie powinien być podatny na zdradę. A już na pewno nie w pierwszej kolejności. Nie jako czynny spiskowiec na pierwszej linii. Kupiec będący cesarskim dostawcą z takimi przywilejami jak prawo składu wewnątrz miasta powinien mieć stanowczo za dużo do stracenia, żeby aż tak narażać swoje interesy. Ciekawe, co mu obiecali spiskowcy?

Taida przygryzła wargi. A może to ona źle myślała? Czyż największym twoim wrogiem nie staje się właśnie ten, któremu wyświadczysz przysługę?

– Czym handluje Oktant?

– Żywnością. I to nie tylko do obsługi Pałacu. Więcej, ma chęć rozdawać żywność zwykłym ludziom.

– Co?

To było niebywałe. Oczywiście, że w cesarstwie często rozdawano żywność. Ale mógł to uczynić tylko i wyłącznie cesarz. Nie jakiś tam pośrednik.

– Nie w sposób, który nasunął ci się od razu na myśl. To nie są wielkie akcje dobroczynności.

– A co?

– Widzisz, pani, teoretycznie on po prostu oddaje mieszkańcom Syrinx to, co zaczyna mu się psuć. Sama przyznasz, że to taniej, niż wywozić wszystko z powrotem za mury i utylizować na jakimś wysypisku. Ma na to błogosławieństwo Pałacu, więc urzędnicy się go nie czepiają. Ot, rozdaje niepotrzebne.

– Ale wszystko ma drugie dno – wtrącił się Kin. – Dzięki temu, że żywność rozdawana jest w nieregularnych odstępach czasu, a wszystko nie jest ogłaszane trąbami heroldów, to zawsze, o każdej porze dnia i nocy, pod murami magazynów kłębi się tłum. I nikt nigdy nie stwierdzi, kto wchodzi albo wychodzi ze środka. Kto z kim się tam spotyka i o czym rozmawia. Lokalizacja idealna.

Taida wzruszyła ramionami. Nie sądziła, żeby spiskowcy potrzebowali aż takiego kamuflażu. Ale rzeczywiście, na punkt zbiorczy dla pośredników, którzy roznosili pieniądze ludziom mającym już niedługo ruszyć do samobójczego szturmu, miejsce to nadawało się idealnie.

– Cóż – mruknęła. – Nie pozostaje mi nic innego, jak wejść tam i aresztować pana Oktanta. A mistrz Anai zrobi resztę.

Snelis pochyliła głowę.

– Magazyny przypominają twierdzę. Musisz wziąć dużo zbrojnych.

Taida zaprzeczyła stanowczo.

– Nie mogę brać żołnierzy, bo na taką akcję w mieście musiałabym mieć zgodę Pałacu. Do uzyskania oczywiście, ale stracę za dużo czasu.

– Sama tam nie wejdiesz, pani.

– Na szczęście marynarka wojenna zadbała o fachowców dla mnie.

Snelis położyła na blacie dłonie i nachyliła się do przodu.

– My wiemy o twoich radykalnych metodach, pani – szepnęła. – Ale na Oktanta to może nie wystarczyć.

Kin nachylił się również, ścisząc głos jak jego współniczka.

– Ciężko będzie, pani. Ciężko.

Rozdział 7



Kasjopea nie nadawała się na nauczycielkę. W każdym razie nie potrafiła wytłumaczyć Hekemu, na czym polega etykieta.

– Bo widzisz – tłumaczył młody szermierz – Taida obiecała, że jak się w tej akcji zasłużę, to wprowadzi mnie na dwór cesarski. Ale uprzedzała, że tam trzeba znać etykieta! – Wypowiedział to słowo, jakby było imieniem bestii. – Setki rodzajów ukłonów, jakieś skomplikowane kon... kon...

– Konwenanse?

– No właśnie. I protokoły jeszcze, jak na przesłuchaniu bez mała.

– Protokoły nie są nawet podobne do tych z przesłuchań. – Córka wielkiego księcia położyła mu dłoń na ramieniu. – Ale powiedz, czego się boisz?

– Ja tego wszystkiego się nie nauczę.

– Poczekaj, poczekaj, czego się nie nauczysz?

– No choćby tysiąca rodzajów ukłonów.

– Ciebie będą obowiązywały zaledwie trzy. Nauczysz się w jeden dzień. A cała trudność to tylko żeby wiedzieć, który komu złożyć. I tyle.

– Jak to trzy? – dał się zaskoczyć. – Taida mówiła, że tysiące.

– Owszem, jest tyle, ile mówiła. Z tym że każda grupa ukłonów jest przypisana do konkretnej grupy ludzi. Inaczej kłania się dama dworu, inaczej księżniczka, a jeszcze inaczej podręczna. One mają pamiętać, jak wykonuje się ich ukłony, a ty pamiętaj swoje. Trzy!

– Poważnie? – Nie mógł uwierzyć.

– Poważnie.

– A te tysiące sztuców?

– Miliony chyba! – zakpiła okrutnie i Hekke się obraził.

Kasjopea westchnęła głęboko i powiedziała cicho:

– Posłuchaj, źle zaczęliśmy.

– Wiedziałem...

– Poczekaj. Musisz mi uwierzyć. Cała etykieta powstała nie po to, żeby gnębić takich jak ty. Stworzono ją po to, żeby takim jak ty pomagać.

Hekke nie mógł uwierzyć. Świdrował wzrokiem twarz rozmówczynie, czy przypadkiem znowu nie kpi.

– Etykieta nie jest utrudnieniem, tylko ułatwianiem sobie życia – powtarzała. – Ona pozwala uniknąć wszelkich błędów, wszelkiej frustracji z tego powodu, że ktoś nie wie, co robić ani jak się zachować. To dzięki etykietcie właśnie każdy zawsze wie, czego się od niego oczekuje.

– Nie rozumiem.

Westchnęła. I cierpliwie zaczęła jeszcze raz.

– Idziesz sobie korytarzem w pałacu. I nagle ktoś ci się kłania. A ty od razu wiesz, czy to księżniczka, dama dworu, czy wysoko postawiona służąca. Od razu. Jedno spojrzenie wystarczy. I odpowiadasz odpowiednio swoim ukłonem lub jeśli to służąca, to nawet głową nie kiwniesz. Czy wiesz, jak byś się namęczył, gdybyś tak prostej rzeczy nie wiedział z góry? Do ilu zatargów politycznych mogłoby dojść? A może nawet wojnę z kimś byś wywołał? A tak wszystko jasne. Tej się należy ukłon w pierwszej kolejności, a temu nie. Tamtej ukłon numer trzy, a tamtemu numer jeden. I wszystko proste, jasne, klarowne jak obsługa pędzelka do makijażu.

Załamala go całkiem.

– I ty to nazywasz ułatwieniem?

– Oczywiście. Przecież dzięki etykietcie zawsze wiesz, co masz robić i co mówić.

– Ale każdemu co innego!

– Co i komu, wystarczy wykuć na blachę. Nikt od ciebie nie wymaga, żebyś odkrywał nowe lądy ani improwizował.

– Ale ja nie mam tak wielkiej głowy, żeby to wszystko spamiętać.

– Bzdury! – fuknęła na niego. – Jakoś rozmawiasz ze mną od długiego już czasu i ani razu mnie nie obraziłeś!

Hekke zmieszał się nagle.

– A wiesz... bo ja z dziewczynami to sobie jakoś radzę. Ale jakbym gadał z twoim ojcem, to już pewnie jakąś wojnę bym wywołał.

– Nie wywołałbyś, bo przed nim musiałbyś tkwić na czworakach z twarzą zwróconą ku posadzce. I on by nie widział wyrazu twojej twarzy. A poza tym już trwa wojna między naszymi krajami, więc nie ma czego wywoływać powtórnie.

Hekke nie zrozumiał dowcipu.

– Widzisz, no – tłumaczył. – Z kobietami to jeszcze sobie radzę...

– No i w ten sposób połowę dworu już mamy z głowy – wpadła mu w słowo.

– Ale pozostaje druga połowa.

– Drugą połowę wywiesz na pojedynek w razie czego, i uwierz mi, wielu chętnych nie znajdziesz – roześmiała się. – I pozostaje ci tylko

zapamiętać, co się należy cesarzowi, bo tam zlitowania nie będzie.

– No właśnie. – Teraz on westchnął przeciągle. – I myślę, że dam ciała, a oni do kata na śmierć mnie pošlą.

Kasjoepa potrząsnęła głową.

– Z całą pewnością nie na śmierć z rąk kata cię skazą – powiedziała z nagłą szczerością. – Oni lubią bardziej dotkliwe kary.

– O czym sobie gruchacie, gołąbeczki, na osobności? – Virion nadszedł od strony obozu i nie miał żadnych oporów, żeby przerwać im w pół słowa.

Kasjoepa podniosła się na widok swojego wybawcy.

– Wprowadzam Hekkego w tajniki etykiety.

– W tajniki czego? – To była jego pierwsza myśl. – Teraz? – To była druga. – I co? Chwyta cokolwiek? – Na końcu pojawiła się ciekawość.

– Jeszcze są z tym pewne problemy – odpowiedziała wymijająco.

– Rozumiem. To słuchaj, młody – zwrócił się do chłopaka. – Ja cię nauczę etykiety w pół modlitwy.

– Naprawdę?

– Patrz tylko.

Virion ujął dłoń Kasjoepi i powiedział:

– Pani, uczyni mi łaskę i zgódź się na chwilę rozmowy. Mam wiele poufnych spraw do omówienia i dlatego ośmielam się prosić o spotkanie na osobności.

– Panie – Kasjoepa dygnęła ledwie zauważalnie i pozwoliła unieść swoją dłoń, by mężczyzna mógł ją pocałować – rozmowę z tobą poczytam za zaszczyt.

– Widzisz? – Virion zerknął na Hekkego. – Tak to się robi. Rozumiesz?

– Aha.

– Nie „aha”, tylko pytam, czy rozumiesz?

– Niby co?

– Że chcę pogadać z nią sam na sam. Więc ty się wynieś z tego miejsca, a nie my dla twojej wygody.

– Znaczący...? – Hekke podniósł się co prawda, ale nie do końca wiedział, co ma robić.

Virion musiał mu ułatwić. Wskazał chłopca palcem.

– Ty spadaj. – Przeniósł palec na księżniczkę. – A ty siadaj!

– Piękna lekcja – powiedziała Kasjoepa, posłusznie zajmując na powrót miejsce pod palmą. – I tylko pamiętaj, czego cię mój wybawca nauczył – krzyknęła za odchodzącym Hekkiem. – Sedno etykiety to fakt, że ten, kto rządzi, ustala wszelkie zasady!

– Ot, ta dzisiejsza młodzież. – Virion zajął miejsce obok księżniczki. – Nic im do głosu nie trafia od razu.

– Nieprawdaż? – zgodziła się natychmiast Kasjoepa, choć była niewiele starsza od Hekkego.

Pierwszy raz w życiu widziała szermierza natchnionego z tak bliska. I nie sądziła, że wywrze to na niej tak duże wrażenie. Nawet nie patrzyła na jego postawę, na uformowane wieloma walkami mięśnie i na blizny, świadczące, że jednak komuś tam kiedyś prawie się udało. Prawie, prawie... Miała wrażenie, że siedzi tuż obok bardzo groźnego drapieżnika. Dużo gorszego niż lew czy tygrys, bo dodatkowo obdarzonego rozumem. Ciekawe uczucie. Coś ciepłego rozlewało się w jej wnętrzu, miękką wyraźnie, a oddech przyspieszał lekko. Podciągnęła kolana pod brodę, by ukryć coraz wyraźniej rysujące się pod tuniką sutki. Trzeba przyznać, że nie spodziewała się takiej reakcji swojego ciała. I co ją tak podniecało? Bo przecież nie wygląd. Widziała w życiu wielu zapaśników i ich wiecznie spocone, wzorowo umięśnione ciała pozostawiały ją obojętną, a i to delikatnie mówiąc. Co więc? Czy fakt, że zabił aż tylu ludzi? A może ten drobiazg, że najpierw pocałował jej dłoń, a potem tak władczo kazał siadać? Wiedziała z doświadczenia, że niezbadane są meandry jej własnego umysłu.

– Daj mi też – poprosiła, widząc, że Virion sięgnął po bukłak i łyknął porcję jakiegoś płynu.

– To nie jest woda.

– Domyślam się, że także nie wino. Twój łyk był za mały.

Ewidentnie go zaciekawiała. Podając naczynie, przyglądał jej się z niesłabnącą uwagą. No to patrz, pomyślała. Domyślała się zawartości bukłaka i wiedziała przecież, że wódki nie piła nigdy w życiu. Gorzej, ostrzegano ją przed tym trunkiem. Ale... Mistrzowie nauczyli ją panowania nad twarzą. No to na dwoje babka wróżyła.

Kasjoepa pociągnęła łyk płynu o niezbyt intensywnym, nieznanym zapachu. Nie za duży, bo nie musiała niczego udowadniać, ale i nie za mały, żeby nie wyszło, że jest mięczakiem. Przełknęła.

Przez chwilę nic się nie działo. Potem poczuła lekkie pieczenie, a potem... Coś pozbawiło ją oddechu, coś zaczęło szarpać od wewnątrz, a jeszcze co innego nakazywało wyrzucić dopiero przyjęty płyn z żołądka. Jakby trucizna. W dodatku paląca! Desperacko walczyła o oddech, usiłując jednocześnie niczego po sobie nie pokazać. Do oczu napłynęły łzy, ale pozbyła się ich, mrugając. Spokój! Spokój! – siłą woli powstrzymywała swoje ciało przed jakąkolwiek reakcją, którą można by zauważyć. Trwało to i trwało, ale w końcu była w stanie oddać bukłak i powiedzieć zupełnie normalnym tonem:

– Mocna wódka. Trochę tylko za ciepła.

Na twarzy Viriona, który przez cały czas patrzył na nią, odbił się wyraz zdumienia. Przyjął naczynie, a potem pochylił lekko głowę.

– Szacunek – mruknął. – To najmocniejszy bimber, jaki udało mi się trafić w Luan.

Kasjoepa błogosławiła swoich mistrzów w nauce panowania nad sobą. Czują wyraźnie, że swoją postawą bardzo Virionowi zaimponowała. Tylko w żołądku coś ją paliło okropnie.

– Odpowiesz mi szczerze na kilka pytań?

Przytaknęła.

– Swojego zadania i tak już nie wykonam, a ty jesteś przeciwnikiem tych świń, które zabiły moich ludzi. No i mnie uratowałeś. – Uśmiechnęła się szczerze. – Odpowiem.

– Jakie było twoje zadanie?

Przekrzywiła głowę na bok, żeby pokazać, że odpowiedź nie jest prosta.

– Najpierw miałam wysondować, o co tak naprawdę chodzi Geberikowi. Wiesz, że on był w Troy tuż przed wojną i poruszył niebo i ziemię, żeby go wysłuchano na najwyższych szczytach królestwa.

– Wiem. Choć zdziwiłabyś się skąd.

– A wiesz, czego chciał?

– Nie.

– Dobrze, zaraz do tego dojdziemy, a na razie skończę mówić o swoim zadaniu. Mój priorytetowy cel uległ zmianie, kiedy nasz wywiad odkrył, w którym rejonie znajduje się główna siedziba spiskowców. I sama poprosiłam o skierowanie mnie do Natares. Oprócz zorientowania się, o co mniej więcej chodzi spiskowcom, miałam odkryć, gdzie na pustyni znajduje się obóz, sądziliśmy, że szkoleniowy, Geberika i kompanii.

Kasjoepa skrzywiła się na myśl o czymś i na chwilę opuściła głowę. Kiedy ją uniosła, miała już spokojną, skupioną minę.

– I o mało się nie dowiedziałam na własne, niestety, nieszczęście. Dzięki Bogom ty mnie od tego uratowałeś.

Virion nie wnikał we wszystkie znaczenia jej skomplikowanej wypowiedzi.

– Czego chciał Geberik w Troy? – zapytał.

– Generalnie przyjechał po to, żeby zdradzić swój kraj – odparła z całą prostotą. – A przy okazji przywiózł plany rozmieszczenia sił Luan w okolicach portu Yach. I dzięki temu nasza ofensywa zakończyła się takim sukcesem, że cesarz w panice dosłał głównodowodzącemu na tym odcinku jeszcze korpus drogowy, żebyście nie uciekali w panice jak zajęce.

– Zdobyliście port w Yach – ni to stwierdził, ni zapytał Virion.

– Zdobyliśmy. Razem z kawałem nikomu niepotrzebnej pustyni, która jednak podobno ma strategiczne znaczenie.

– Zamierzacie atakować dalej przez pustynię?

– Zwariowałeś?

– A nie do tego namawiał was Geberik?

– Nie. Atak na Luan w celu zajęcia terytorium jest możliwy tylko wtedy, kiedy uderzenie zostanie przeprowadzone koncentrycznie z trzech stron. To już ustalili nasi stratedzy przed wiekami i nic się w tej mierze nie zmieniło. A jak zgrać łączność pomiędzy Troy, Arkach, Nimmeth, Dery i Zimnymi Królestwami, kiedy pomiędzy potencjalnymi sojusznikami leży cesarstwo? – Uśmiechnęła się promiennie. – Tego jeszcze nikt na świecie nie wymyślił.

– To czego jeszcze chciał Geberik?

– Chciał gwarancji, że armia Troy będzie napierać aż do skutku.

– Co miało być skutkiem?

– Wiązanie sił Luan w taki sposób, żeby nie można było z frontu odesłać ani jednego oddziału na pomoc.

– Na pomoc komu?

Kasjoepa uniosła brwi.

– My również zadaliśmy sobie to pytanie. A ponieważ u nas u władzy nie siedzą sami idioci, to stało się jasne, że Geberik planuje przewrót. Ale... z kalkulacji wywiadu wynikało, że on nie dysponuje odpowiednio wielkimi siłami, żeby zetrzeć cesarza w proch.

– Przecież cesarz może opuścić Syrinx w razie czego i udać się osobą własną...

– Na front? – przerwała mu z cynicznym uśmiechem. – No nie.

Virion uśmiechnął się również, bo palnął jak dureń.

– Z jednej strony prawdziwa wojna – ciągnęła księżniczka – z drugiej strony cesarstwa niby niewiele się dzieje, ale tam akurat Luan ma najsłabszą armię. I cesarz jest w potrzasku. Na hazard swojej osoby wystawić przecież nie może i nagle się okazuje, że w imperium nie ma dla niego bezpiecznego miejsca. Pozostaje stolica broniona... no sam wiesz.

– Co fakt, to fakt. A dopóki własną osobą nigdzie nie jedzie, to panika nie powinna wybuchnąć.

– Właśnie. Ale w stolicy już też nie ma się na kim oprzeć. Zamek rozpracowany, inne służby pod specjalnym nadzorem, a tak pracować się nie da. No i największym zarzewiem paniki staje się on sam. Cesarz.

Jej logika była nie do podważenia. A Virion musiał przyznać przed sobą, że dotąd nie miał pojęcia, jak doskonale obcy wywiad orientuje się w zawikłanych sprawach cesarstwa. Zmienił temat.

– Mówiłaś, że o mały włos nie odkryłaś lokalizacji obozu Geberika na pustyni. I to na własne nieszczęście. Wiesz, co tam się działo?

– Niewiele, bo wszelkie strzępy wiedzy na ten temat pochodzą od samego Geberika. A to w sensie kwalifikacji wywiadu nie jest źródło.

– Rozumiem. Ale masz swoje domysły.

– Owszem. Grozili, że mi tam coś zrobią i po tym zabiegu dobrowolnie i bez przymusu powiem, co będą chcieli, naszym posłom. Podobno to bardzo przykra rzecz.

– Jakaś trucizna?

Kasjopea wzruszyła ramionami.

– Raczej rytuał? – Najwyraźniej nie miała pojęcia.

Natomiast Virion się domyślał. W przeciwieństwie do dziewczyny on wiele wiedział o zakazanej magii i koszmarnych skutkach jej działania. Nie miał jednak ochoty napomknąć o tym nawet słowem, zdając sobie sprawę, że w perspektywie te informacje trafią do wywiadu Troy. No i tym samym liczba chętnych, żeby ukraść tę wiedzę, wzrośnie niepomiaralnie.

Znowu zmienił temat.

– Czy wedle waszego rozeznania Geberik ma wystarczająco dużo sił, żeby przeprowadzić atak koncentryczny? – zapytał.

– Z całą pewnością nie. Szacujemy, że poza wojskami Prabha, które rozbiły cesarskie siły dowodzone przez Mohra, ma tylko swój legion i nieznane bliżej siły w samej Syrinx.

– Nie jest dogadany z Zimnymi Królestwami? Ani z krajami, które leżą po drugiej stronie Luan?

– Z tego, co wiem, nie jest. Zresztą gdyby był, to najwyraźniej nastąpił już czas, kiedy wszyscy sojusznicy powinni włączyć się do akcji. Nie uważasz?

– Niby tak. Ale to trochę bardziej skomplikowane.

– Nic nie jest skomplikowane. Wiemy z całą pewnością, że atak musi nastąpić przed pewną określoną datą. Potem nie będzie już sensu.

– Dlaczego?

– Wiemy ze źródeł osobowych, że atak musi, powtarzam: musi nastąpić przed określoną datą. Nie mamy pojęcia dlaczego.

A Virion wiedział. Z materiałów Taidy wynikało, że taka data istnieje. Jej agent dowiedział się, że pomocnicy spiskowców w Syrinx już popełnili samobójstwo. I umrą w pewnym określonym dniu. Jeśli więc mają być do czegokolwiek użyci, to z pewnością przed tym dniem. Kiedy jednak? Tego nikt nie wiedział. Ale wiedza o zakazanej magii i obozie, w którym miano skrzywdzić Kasjopeę, używając do tego jakiegoś rytuału, wzajemnie się uzupełniały. Z poszczególnych części zaczął się składać obraz całości. Drobne kamyki pozwalały już dostrzec, jak wygląda mozaika.

– Zwróć uwagę, jak Geberik dziwnie się zachowuje – podjęła znowu księżniczka. – Wywołał panikę w Syrinx i doprowadził lud na skraj przerażenia. O wszystko oskarżana jest władza, w czasie próby nikt więc nie stanie za plecami cesarza. Jego wojska demolują prowincję, zabijając elity i rozdając ich dobra parweniuszom. Tu więc również nikt nie opowie się za imperatorem. Bo gdyby cesarstwo się ostało i imperialna władza powróciła na te tereny, to przecież wszyscy rabusie musieliby odpowiedzieć gardłem za swoje czyny.

– No fakt.

– Zatem jedyną liczącą się siłą militarną jest Legion Moy. Cesarz nie ma już nic.

– Oprócz nas – uśmiechnął się Virion. – No ale my nie pokonamy raczej legionu w walnej bitwie.

Kasjoepa spojrziała zdziwiona.

– Nie pokonacie, bo nie musicie. Legioniści sami nie zdobędą murów stolicy. Nie mają ani machin oblężniczych, ani odpowiedniej liczby ludzi. Zresztą nie mają czasu na oblężenie, bo cesarz zawrze nawet niekorzystny dla siebie pokój na frontach i wycofa swoje armie, które przybędą na odsiecz.

– Dlatego Geberik umieścił w Syrinx grupę fanatyków, którzy uderzą od środka i otworzą mu jedną z bram.

– Ale ci ludzie pewnego dnia umrą. Ty więc nie musisz rozbijać armii spiskowców. Wystarczy, że powstrzymasz ją w polu do pewnego czasu. Dobrze byłoby też dowiedzieć się, co to za dzień.

Viriona olśniło. Niby wiedział o wszystkich tych faktach, ale dopiero kiedy Kasjoepa ubrała je w słowa, wszystko stało się tak oczywiste. Nie musi dokonać niemożliwego i rozbijać całej armii. Wystarczy ją opóźnić i plan spiskowców runie. Oni nie są Bogami i choć patrząc z drugiej strony, wydaje się, że dysponują niezmiernymi siłami, to jednak prawda jest inna. Nie są wszechmocni. Siły również mają ograniczone.

No ale z drugiej strony, przyszło mu do głowy po chwili, zebranie w Luan jakichkolwiek sił, które powstrzymałyby Legion Moy, zakrawa na niemożliwość.

– Bardzo ładnie masz to poukładane w głowie, piękna pani – powiedział.

– Pomogłam ci choć trochę? – Uśmiechnęła się niewinnym, dziewczęcym uśmiechem.

Gdyby jej nie znał, gdyby z nią nie rozmawiał długi czas na poziomie niedostępnym dla cnotliwych dziewic rumieniących się przy każdej okazji, dałby się zrobić na ten uśmiech. Była naprawdę dobrą aktorką. Była też świetnie wyszkolona.

Virion tylko pokiwał głową.

– Bardzo mi pomogłaś. Dziękuję.

– Choć to niemal niemożliwe, staram się jak mogę zmniejszyć swój dług wdzięczności wobec ciebie. A tu taka konfuzja. Zamiast następnej przysługi ja mam do ciebie kolejną prośbę.

Spojrzał na nią z zaciekawiony.

– Jaką prośbę?

– Chciałabym mieć pamiątkę z naszego spotkania. Choćby nie wiadomo jak ulotną.

– Czego sobie życzysz?

– Chciałabym, żebyś mnie pocałował, a ja sobie to wspomnienie zachowam na zawsze.

Wstała, ułożyła wargi w ciup i zamknęła oczy.

Virion, wzięty z zaskoczenia, nie miał pojęcia, co zrobić. Odruchowo rozejrzał się, czy Niki nie ma w zasięgu wzroku. Potem wstał również, ale jakoś nie mógł się zdecydować. A to mała jedna! Ale wyglądała ślicznie. No i ten... podtekst. Sytuacja. Nie wiedział, jakich słów użyć. No... No kobieta normalnie.

Rozejrzał się jak głupi jeszcze raz, a potem objął Kasjopeę i zbliżył usta do jej warg.



Wysłani przodem informatorzy służby zajmującej się zbieraniem plotek i donosów zgodnie potwierdzili: Oktant znajduje się na terenie składów. Widziano go, nie było żadnych wątpliwości. Ale to jeszcze nie komplet potrzebnych informacji. Wielki magazyn żywności znajdował się w bezpośredniej bliskości murów obronnych miasta. Wystarczyłoby przetrząść jakąś kładkę i droga ucieczki stała otworem. Co prawda miało to swoje dobre strony. Służby murowe, od czasu kiedy w ramach ćwiczeń pozwolono im grabić dobra Prabha, stały się wzorowym wojskiem, jeśli chodzi o lojalność. Nie podlegały w żaden sposób Taidzie, jednak istniało wielkie prawdopodobieństwo, że w razie jakiegoś konfliktu kompetencyjnego opowiedziałyby się po jej stronie. A Taron potrafił to wykorzystać i szepnąć parę słów komu trzeba. Odtąd wydzielone oddziały murowych tkwiły na posterunkach i gdyby komuś wpadła do głowy myśl, żeby uciekać koroną murów, byłby to najgłupszy pomysł na świecie.

Dodatkowo składy były otoczone przez niezadowoloną ludność, której od dawna już nie rozdano żadnych gnijących resztek, co zresztą chyba nie

było winą właściciela. Najprawdopodobniej mogło chodzić o jakieś cesarskie rozporządzenie spowodowane zbliżającym się oblężeniem. Ale głodni ludzie nie mogli mieć o tym pojęcia.

Ogólnie sytuacja wydawała się nie sprzyjać przeprowadzeniu bardziej zdecydowanej akcji. Dodatkowo składów, jak i wszystkich innych wielkich magazynów w stolicy, strzegli zbrojni i byli to generalnie doświadczeni weterani, z którymi gangsterzy Robego mogli sobie nie poradzić. Dlatego też Taida na początek poleciła im trzymać się z tyłu. Przedarłszy się przez tłum wygłodzonych biedaków, stanęła przed bramą tylko z Taronem u boku. Jej setnik zdecydowanie zastukał do żelaznych drzwi.

Przez długą chwilę nie nastąpiła żadna reakcja. Potem jednak w akompaniamencie nieprzyjemnego zgrzytu ktoś uchylił małe okienko w drzwiach.

– Co?

– Prokurator Taida, Zamek, do Oktanta z pilną sprawą.

– Aha. Zara.

Przełknęła ślinę, zastanawiając się, kto postawił w roli odzwiernego takiego osła. Okienko zamknęło się z takim samym zgrzytem. Widocznie nie było za często używane. W każdym razie nie kazano im długo czekać. Już pół modlitwy później nieskomplikowana w wyrazie twarz klamkowego ukazała się znowu.

– Pana Oktanta nie ma.

– Jest. Widziano go, jak wchodził.

– Nie ma! – Odpowiedź ciecia była stanowcza i poparta ponownym zamknięciem okienka, co zasadniczo eliminowało możliwość dalszej konwersacji. Nie dla wszystkich jednak.

– Ej, ty! – wrzasnął Taron. – Ja tu będę na ciebie czekał do skutku! Nawet trzy dni! I dopadnę cię, jak będziesz wychodził! I cię, kurwo, tak obję, że zdechniesz z bólu w najbliższym rynsztoku!

Okienko otworzyło się znowu. Tym razem jednak nie zobaczyli twarzy ciecia, bo chyba wołał się trzymać trochę z dala.

– Co?

– Oktanta dawaj!

– Nie ma. Pytałem!

– To oficera tu dawaj!

– Nie ma oficera! To nie wojsko jest.

– To dawaj tego, który ci powiedział, że Oktanta nie ma, zarazo!

Okienko zamknęło się po raz kolejny. Taida i Taron wymienili spojrzenia. Na szczęście tym razem przerwa w konwersacji była krótsza niż poprzednio. Okienko nie zostało co prawda otwarte szeroko, a jedynie ktoś uchylił je trochę, tworząc wąską szparę.

– Proszę państwa... – doczekali się nawet uprzejmego traktowania. W dodatku ten, który nie chciał pokazać twarzy, mówił już z bardziej wyszukany akcentem niż klamkowy. – Zapewniam, że mojego pana nie ma na terenie składów.

– Dla mnie to obojętne – odrzekła Taida. – Proszę nas wypuścić. – Zbliżyła do szpary swoją odznakę. – Poczekamy na niego.

– Ale ja nie mogę.

– Czego nie możesz? Drzwi otworzyć?

– Wielcy państwo, spróbujcie mnie zrozumieć. Ja mam swojego szefa, który głowę mi urwie...

– Nasz kat urwie ci ją szybciej. Ale najpierw się z tobą zabawi.

Okienko zatrzasnęło się momentalnie. Albo tamten przestraszył się na śmierć, albo ktoś stojący z tyłu kazał mu zamknąć. Nietrudno było zgadnąć, że z własnej woli ci w środku już nie otworzą.

– Oooo! – Taron gwizdnął przeciągle. – Samiście chcieli – krzyknął. – Pamiętajcie, że wszystko, co się odtąd stanie, to macie na własne życzenie.

Pociągnął Taidę do tyłu w celu dokonania narady sztabowej.

– Ty widziałaś?! – Nie mógł ochłonąć. – Zamkowych nie chcą wypuścić? O nieeee...

– Ludźmi Robego tych drzwi nie sforsujemy.

– Owszem. Zawołajmy mурowych i puśćmy ich do szturmu!

– Uspokój się. – Położyła mu dłonie na ramionach. – Jeśli tam wejda mурowi, to wszystko zrabują, zniszczą i będą podpalą na odchodnym. Tak ich przecież wyszkoliliśmy.

Taron przygryzł wargi.

– Fakt. – Myślał nad czymś intensywnie. – Drzwi nie sforsujemy. Ale możemy wejść przez okna.

– Kraty. Są w nich kraty.

– Ale krata jest osadzona w cegle. – Machnął lekceważąco ręką. – Ja już takie widziałem w koszarach. To nie więzienie cesarskie, tu wystarczy kilka drągów, oprzeć i naraz pociągnąć. I nie ma krat.

– Spokojnie, spokojnie, oddychaj głęboko – mitygowała swojego setnika Taida. – Na taką akcję powinniśmy mieć cesarskie pozwolenie. A przynajmniej zgłosić wcześniej w raporcie. Że nie wspomnę już o tym, że w środku są uzbrojeni strażnicy Oktanta i banda Robego nie da im rady.

– A! Pozwolenie nam potrzebne?! A on? – Wskazał gwałtownym ruchem żelazne drzwi. – On nie potrzebuje cesarskiego pozwolenia, żeby kłamać w żywe oczy?!

– On jest przestępcą. My działamy w świetle prawa.

Taron nie mógł się uspokoić. Zaczął krążyć nerwowo, rozluźniając białą chustę, odznakę setników, którą rano zawiązał na szyi. Widocznie zaczęła go dusić.

– Uzbrojeni strażnicy – powtarzał. – Cesarskie pozwolenie? A w dupie mam strażników i pozwolenia! – krzyknął nagle. – W dupie!

Podskoczył do Taidy i tym razem on szarpnął ją za ramiona.

– Atakujemy! Ale nie my. Kto inny to robi.

– Kto?

Uśmiechnął się zjadliwie, wkurwiony do imentu.

– Kto uderzy na magazyn z żywnością? – Taida powtórzyła pytanie.

Jej setnik rozejrzał się.

– A nie widzisz tu przypadkiem setek wygłodniałych ludzi?

Oniemiała. O ja pierdole! To był naprawdę dobry pomysł. Doskonały! I nic własnymi rękami! A to, że zamkowi też weszli do środka? No przecież zabezpieczali zapasy przed rabunkiem. To jasne jak słońce.

– Ale... – Potrząsnęła głową. – Ale głodni ludzie nie rozwalą krat.

– E tam. Powiem Robemu, żeby przysłał kilku ludzi z drągami. – Taron zastanowił się przez moment. – No dobra, powiem, żeby przysłał tych najbardziej głodnych.

Parsknęła śmiechem.

– Jest tylko jeden problem. – Taron zmarszczył brwi. – Ktoś musi ludzi podburzyć.

Spojrzał na Taidę zafrasowany, ta jednak odpowiedziała mu promiennym uśmiechem.

– Kochany – szepnęła – jestem prokuratorem i do moich obowiązków należy łapanie, a potem przesłuchiwanie przestępców. Przede wszystkim tych politycznych. I nie uwierzysz, ilu przesłuchałam. Tych wszystkich agitatorów, podżegaczy, mówców ludowych, podburzających na wiecach, tych filozofów, co judzą w stoach, tych samozwańczych kapłanów, co sekty tworzą, tych mędrków gminnych... Przez całą służbę przesiąkałam ich gadką i sposobem myślenia.

Pocałował ją leciutko, a właściwie musnął samymi wargami.

– Ja wiedziałem – szepnęła. – Ja wiedziałem, że ty wszystko potrafisz.

– Do wszystkiego to trochę mi daleko.

– I naprawdę umiesz przemawiać do ludzi?

No i jak mu to wytłumaczyć? Samego przemawiania Taida nigdy nie ćwiczyła, jeśli nie liczyć polajank, jakie musiała robić swoim pracownikom, i to w większej liczbie. Natomiast zasady znała doskonale.

– To bardzo proste – powiedziała. – Wystarczy pamiętać, że nie wolno używać żadnych argumentów.

– Nie wolno argumentować?

– Pod żadnym pozorem. Jeśli wyrazisz jakąkolwiek skomplikowaną myśl, od razu przegrasz.

– To jak przekonać ludzi?

– Wystarczy powtarzać swoje. Raz po razie.

– No ale ja nie chcę, żeby zapamiętali. Chcę ich przekonać.

– Właśnie o tym mówię. Wystarczy powtarzać i powtarzać. Żadnej myśli, żadnego dowodu, żadnego przekonywania. Powtarzać i powtarzać swoje w kółko.

– I nie potrzeba się do niczego odwoływać?

– Ależ przeciwnie. Odwołujesz się do uczuć. Najprostszych. I do przeciwstawięń.

– Do czego?

– Przykładowo: my uczciwi, oni złodzieje. Albo: my niewinni, oni mordercy. I powtarzać, powtarzać, powtarzać. Im głupiej, tym lepiej.

Taron najwyraźniej nie mógł uwierzyć. Ale ewidentnie chciał być świadkiem tego, co nastąpi. Jednym gestem przywołał ludzi Robego, żeby byli pod ręką, w razie gdyby sprawy nie poszły po myśli Taidy. Jej to nie przeszkadzało. Przeciwnie. Obecność bojówki sprawiała, że ludzie z tłumu szybciej stawali się agresywni, widząc wsparcie ze strony bojówkarzy. A potem, totalnie zaciekawiony, pomógł Taidzie wspiąć się na ceglany postument, na którym umieszczono pompę.

– Najpierw musimy zgromadzić ludzi wokół nas – szepnęła.

Skinął głową, że rozumie. A Taida zaczęła krzyżeć:

– Ludzie! Żywność rozdawać! Kto chce rozdawania, do mnie! Złodzieje zabrali! Do mnie! Żywność! Jedzenie! Jedzenie! Rozdawać!

Nachyliła się nad Taronem.

– Widzisz? To nawet nie musi mieć sensu.

Jej setnik z rosnącym zdziwieniem obserwował, jak ludzie, wyraźnie poruszeni, zaczynają gromadzić się wokół kobiety na postumencie.

– Kto jest głodny, ręka do góry! – wrzeszczała mówczyni.

Jeszcze nie podniósł się las rąk, ale kilka osób je uniosło.

– A wiecie, dlaczego nie rozdają jedzenia? Wiecie? – Taida wskazała budynek składu i zaczęła skandować: – Złodzieje! Złodzieje! Złodzieje!

Kilku ludzi przyłączyło się od razu.

– Wiecie, dlaczego jesteście głodni? Ci, co mają pieniądze, to złodzieje! Oni wam ukradli! Dla was już nie ma! Nie ma jedzenia! – I znowu ręka oskarżycielsko wyciągnięta w stronę budynku. – Złodzieje! Złodzieje!

Tłum gęstniał z każdą chwilą. Tym razem przynajmniej połowa zaczęła skandować wraz z Taidą. A ta wrzeszczała:

– Nie ma jedzenia, bo zabrali! A sami jeżdżą po mieście w bogatych wozach! Złodzieje! Każdy, kto coś ma, wszystko ukradł. Nie ma jedzenia!

Złodzieje!

Taron nie mógł uwierzyć, że tak nieskładną przemową można kogokolwiek poruszyć. Ale żywy dowód miał wokół. Widział, jak przy postumencie robi się tłok, czuł wzrastające emocje i coraz większy entuzjazm.

– Kto ma, ten ukradł! Kto nie ma, temu oni zabrali! Oszukali! Oni to złodzieje! – Taida rozpostarła ręce i zrobiła minę świadcząca, że zaraz powie coś arcyważnego. Podniecone głosy cichły trochę. – Muszą dawać jedzenie, no bo przecież... – zawiesiła głos. – Wszyscy mamy takie same żołądki!!!

– Aaaaaa! – rozdarł się tłum.

– Co oni myślą? Że mają inne?

Emocje tłumu rozgrzewały się coraz bardziej.

– Nie chcą nam dać jedzenia? Grożą zbrojnymi?! – Znowu oskarżycielski palec w stronę budynku. – No to trzeba im jasno powiedzieć, że bój to jest ich ostatni!

– Aaaa! – wrzeszczeli ludzie.

– Złodzieje, złodzieje, złodzieje...

– Złodzieje! – skandował tłum rytmicznie. – Złodzieje!

– Ludzie, dlaczego wy nic nie macie? Dlaczego jesteście głodni? – Taida zaraz sama udzieliła odpowiedzi: – Bo oni mają! Ukradli! Ludzie! Jedzenie! – Rozpostarła ramiona jak kapłan w geście błogosławieństwa. – Powstańcie, których mężczy głód!

– Powstańmy! Powstańmy! – wrzeszczeli ludzie.

Taron patrzył oszołomiony.

– Jeść, jeść, jeść – skandowała Taida. – Pokażcie mi! Gdzie jest ukradzione jedzenie?!

Las rąk wyciągnął się w stronę składu z żywnością.

– Bij złodzieja! Zabij!!! – Taida odkaszlnęła, nachyliła się nad swoim setnikiem i powiedziała cichym już głosem: – Niech Robe zaczyna.

Na dany znak gangsterzy bosmana rzucili się w stronę okien. Po kilku napierali drągami, pałami, co kto miał. I okazało się, że faktycznie, trzpienie mocujące żeliwne konstrukcje były po prostu wbite między cegły. Łatwizna dla profesjonalistów. Kiedy już kraty runęły na ziemię, zawodowcy odstąpili, robiąc miejsce podnieconym amatorom, którzy zaczęli się wlewać do budynku. Nawet jeśli w środku znajdowali się zbrojni, to przeciwko takiej masie w pomieszczeniach nie mieli szans.

– Wszystko zrabują – mruknął Taron, kiedy przy postumencie zrobiło się ciszej.

– Nie. Każdy przecież weźmie tylko tyle, ile zdoła unieść. To drobiazg.

– Ale ile naniszczą.

Taida wzruszyła ramionami.

– Jeśli coś rozwałę, to się pozbiera z podłogi. Prawdziwe straty będą niewielkie.

Taron z pewnym podziwem obserwował, jak ludzie, podsadzając się wzajemnie, wdzierają się do wnętrza magazynu.

Kiedy gangsterzy zdemolowali kilka następnych krat, otwierając kolejne przejścia przez okna, ludzka rzeka przybrała kształt powodzi. Żadne straże wewnątrz, żadni zbrojni nie zdołaliby powstrzymać tej fali.

– Łatwo poszło. – Setnik nie mógł uwierzyć, że można podburzyć lud kilkoma bezsensownymi hasłami.

– Łatwo, bo ci tutaj naprawdę byli głodni. Z mieszkańcami zasobniejszych dzielnic zajęłoby to więcej czasu. No i trzeba by ich wcześniej urabiać. – Taida zachnęła się nagle. – No ale rzeczywiście. Z podburzaniem ludu generalnie nigdy nie ma problemu.

Taron skinął na Robego. Kazał mu otworzyć drzwi do magazynu, bo przecież nie licuje z godnością prokuratorską wdzieranie się przez okno. Robe pchnął kilku ludzi do środka i po chwili główne wejście stało przed nimi otworem. Po zbrojnych mających strzec tej drogi nie było już ani śladu.

– I wszystko dobrze, tylko Oktant, ostrzeżony wdarciem się tłumu, pewnie zdążył uciec.

Taida tylko machnęła ręką.

– To nie pierwsza moja akcja tego typu. Kiedy tłum wdiera się do posiadłości, właściciele nigdy nie uciekają na miasto.

– A gdzie?

– Trzeba wejść w ich psychikę. Widzisz, skoro zaatakował ich tłum, to ucieczka na ulicę co by oznaczała?

Taron zamyślił się na krótko.

– Ach! – Palnął się ręką w czoło. – No przecież. Idąc na miasto, poniekąd sam oddajesz się właśnie w ręce tłumu.

– Brawo. – Taida ukloniła się lekko swojemu setnikowi. – Dlatego oni do końca chcą pozostać w swojej twierdzy. I najczęściej uciekają na najwyższe kondygnacje.

– A jeśli nie tam, to gdzie?

– Do piwnic.

– Tu chyba nie ma piwnic?

– Są, są, to przecież skład żywności. Ale na pewno panuje tam wilgoć i smród. Więc Oktanta znajdziemy na strychu.

Oslaniani przez gangsterów, przedostali się do środka. Zgodnie z przewidywaniami Taidy tłum rabujących rzedł z każdą chwilą. Tych akurat ludzi napędział prawdziwy głód. Brali więc tyle, ile mogli unieść,

i uciekali, chcąc donieść jak najwięcej do swoich domów, żeby nakarmić rodziny. Prawie nikt nie usiłował nawet dostać się na piętro, aby zobaczyć, jakie tam mogą być skarby. Generalnie głodomorów interesowały mąka i suszone mięso, które wyrywali sobie z rąk. Przez to dużo mąki lądowało na ziemi, wyglądało to strasznie, ale wbrew pozorom straty rzeczywiście nie mogły być duże.

– Kiedy się skończy największy rejwach, każ na powrót pozamykać okna i ustaw pod nimi ludzi. Tych, co w środku, wypuść, ale już nie wpuszczaj następnych.

– Jasne. – Taron jak zwykle nie mnożył trudności. – Oktanta zabieramy?

– Lepiej sprowadzić tutaj mistrza Anai. Przesłuchiwany może wskazać jakieś skrytki z dokumentami, dowody czy co tam... Tak czy tak, przejmujemy tu władzę.

Taida wkroczyła na szerokie schody przystosowane po bokach do przeciągania po nich transportowych wózków. Poszczególne stopnie nie były wysokie, a ich układ był wyliczony dokładnie na krok dorosłego człowieka. Znak, że tragarze z ciężarami na plecach byli tu częstym widokiem.

– Dobra, teraz niech Robe...

Taida nie zdążyła dokończyć zdania. Na zewnątrz rozległ się bowiem dźwięk trąb. I to nie były jakich. Tak ewidentnie brzmiały trąby cesarskie.

– Co to ma być? – Taron o mało nie przewrócił się na schodach, usiłując stanąć w pół kroku.

– Gwardia cesarska.

– O Bogowie... Dowiedzieli się, żeśmy wpuścili tu rabusiów?

Taida zaprzeczyła ruchem głowy.

– Żeby o tym wiedzieć i zareagować, mieli za mało czasu.

– To po co przyszli?

– Pewnie po mnie.

Taron poruszył się niespokojnie.

– A skąd by wiedzieli, że tu jesteś?

– Nie doceniasz sprawności donosicieli. A gościliśmy przecież u służby, która zajmuje się słuchaniem plotek i analizą donosów. Więc...

– Co? – zachnął się gwałtownie. – Na nas też donieśli?!

– No oczywiście, i to z całą, całkowitą, niemożliwą do zachwiania pewnością. Taki mają zawód i w dodatku chyba go łączą z osobistą przyjemnością albo swoją naturą.

Jej setnik przez chwilę nie wiedział, co robić, ale naprawdę nie trwało to długo.

– Nie możesz iść do Pałacu – zdecydował, zasłaniając jej drogę na dół własnym ciałem. – Uciekajmy za mury i...

Położyła mu rękę na ramieniu.

– Cesarzowi się nie odmawia, a ucieczka w moim przynajmniej przypadku nic nie da.

– No to idę z tobą.

Taida westchnęła ciężko. Miała ogromną ochotę, żeby Taron poszedł z nią i dodawał otuchy samą swoją obecnością. A jeszcze bardziej miała ochotę w ogóle nigdzie nie iść, tylko znaleźć sobie jakieś ustronne miejsce i przytulić się do jego ramienia, zamknąć oczy i nie myśleć o niczym do końca dnia. Czuć jego zapach, jego spokojny oddech, ciepło jego ciała. Zanurzyć się w zapomnieniu. Miała już dość wszystkiego, co rozgrywało się wokół. Ale niestety, racjonalna część umysłu właśnie zajmowała się analizowaniem szans.

– Posłuchaj, nie możesz iść ze mną. A w dodatku jeśli nikt tu nie będzie dowodził, zmarnujemy całą akcję. Więc zostajesz, łapiesz Oktanta, wzywasz mistrza Anai. Wiesz, co nas interesuje i jakie pytania trzeba dziś zadać.

– Wiem, ale... – Taron nie mógł się pogodzić z faktem, że wypuści ją z rąk. – Jesteś pewna, że cesarz nie wzywa cię, bośmy tu rabunek umożliwili?

– Tego akurat jestem pewna. I spokojnie, nic się nie stanie.

No... tego to już nie była pewna nawet w najmniejszym stopniu. Cesarz nie wzywał w takim trybie, żeby wręczyć laurkę albo nagrodę okolicznościową. Jeśli przysłał gwardię, w dodatku oficjalnie dmącą w trąby, to mogło oznaczać tylko... Nie, nie, nie! Żadnych myśli na ten temat, bo zaraz zdradzi się wyrazem twarzy. Musnęła więc ustami policzek Tarona i nie chcąc pokazać mu swojej miny, zaczęła schodzić szybkim krokiem.

– Pilnuj tu wszystkiego. – Włożyła całą siłę w to, żeby nie zadrżał jej głos.

Miała tylko nadzieję, że nie przewróci się na tych schodach, przytłoczona nagle ciężarem odpowiedzialności. Ale nie. Schody były przystosowane do tragarzy dźwigających wielkie ciężary. Skupiła się, żeby się nie odwrócić i nie spojrzeć za siebie.

Na zewnątrz oślepiło ją słońce. Przystanęła na moment, dając oczom możliwość przystosowania się do nawały światła słonecznego.

Cesarska gwardia nie była formacją stworzoną wyłącznie do obrony osoby imperatora. Tę rolę pełnili Dahmeryjczycy. Ci tutaj oczywiście osłaniali cesarza własnymi ciałami, nie dopuszczali w jego pobliże na oficjalnych uroczystościach, wykazywali się czujnością i tak dalej, i tak

dalej. Ich głównym zadaniem była musztra na pałacowych przyjęciach. Ich celem było osiągnięcie perfekcji w zgranych ruchach, identycznym wyglądzie i stwarzaniu przytłaczającego wrażenia. Przytłaczali oczywiście tylko swą wspaniałością, ich siła bojowa bowiem była raczej nikła, a broń, którą nosili, bardziej ceremonialna niż bojowa.

Dlaczego więc cesarz wysyłał właśnie ich? Czy mieli doprowadzaną osobę oślnić? Nie. Mieli zabrać jej nadzieję.

– Czy prokurator Taida? – Zabójczo przystojny dowódca gwardzistów nawet nie postąpił o krok w jej stronę.

– Tak, to ja.

– Cesarz wzywa!

Skinął na nią jak na niewolnika bez mała i demonstracyjnie odwrócił się plecami. Ktoś taki jak on nie będzie się przecież zniżał i sprawdzał, czy więzień idzie posłusznie za nim. Wiadomo, że szedł.

A przez głowę Taidy przemknęła jedna myśl. O kurwa...



– Ja bardzo przepraszam. – Hekke uniósł dwa palce. – Twój plan jest doskonały. Ale czy ja mógłbym po prostu wejść między wrogów i napierdalać?

– Czego nie zrozumiałeś? – Virion wykazywał się nieprawdopodobną cierpliwością.

– Wszystkiego – odpowiedział za Hekkego Nolaan.

– No dziękuję ci. – Dowódca uklonił się przed księciem.

– Ależ proszę. – Ten oddał ukłon natychmiast. – Tłumaczenie zawilości umysłu Hekkego jest proste, bo tam nie ma żadnych zawilości.

– Zejdź ze mnie! – Chłopak chwycił rękkość miecza, ale Virion był szybszy i nie pozwolił mu na wyjęcie broni.

– No dobra. W takim razie mała korekta. – Nachylił się nad mapą. – Przed nami siły nierozpoznane, o nieznannej liczebności. Jedyne, co wiemy, to że nie mają tu konnicy.

– No i my też nie będziemy atakować na koniach – wtrącił Lirion.

– Przy tej dysproporcji, którą podejrzewam, my w ogóle nie atakujemy. Nie bijemy się z legionem, tylko przeprowadzamy błyskawiczne użądlenie. Miasto, które właśnie zajęli legioniści, ma za małe forum, żeby przeprowadzać na nim zbiorowe egzekucje. Prawdopodobnie więc zbiorą najważniejszych obywateli w amfiteatrze poza miastem.

– Myślisz, że gawiedź zajmie miejsca dla publiczności, a oni...

– No, to chyba najrozsądniejsze z ich strony.

Rohan poruszył się niespokojnie.

– Chyba trudno mówić o rozsądku u ludzi, którzy w napotkanych miastach wybijają najświetlejszych obywateli – powiedział.

– No. – Virion wzruszył ramionami. – Walczą w każdym razie wedle wojskowych zasad, a nie paranoi masowego mordercy.

– No zakóżmy.

– A my wkradniemy się w ich szeregi, złapiemy jakiegoś oficera i zostawimy trupa na środku amfiteatru. Legionu tym nie pokonamy, ale pokażemy im, że nie są nietykalni.

Wszyscy skupieni nad mapą usiłowali zapamiętać jej szczegóły, jedynie Hekke nawet nie patrzył w tamtą stronę.

– A ja co mam robić? – zapytał. – Ale konkretnie. Co robić?

„Srać i drobić” – bezgłośnie odparł Nolaan za jego plecami, poruszając samymi wargami.

– Ukryjesz się w okolicy amfiteatru razem z twoimi dwudziestoma kolegami. Kiedy usłyszysz dźwięk gwizdka, ruszasz w naszą stronę. – Virion spojrział na żonę. – Niki? Masz jeszcze ten gwizdek od Kasjopei?

– Mam.

– No to...

– Zaraz. – Hekke musiał się upewnić. – Chowamy się i ruszamy na gwizdek. I co mamy robić?

– No... kogo spotkasz, napierdalać.

– A! No!

Większej radości nie mógł sprawić Nolaanowi, tylko Tania spojrziała na księcia z miną wyrażającą politowanie. Że niby on taki wielki, mądry i rozsądny, a znajduje zabawę, kiedy podkłada się głupszy i mniej światowy.

– Dobra. – Virion miał już doświadczenie w dowodzeniu tym oddziałem i wiedział, że zgoda na dalszą dyskusję spowoduje jedynie albo niesnaski, albo akademickie rozważania. – Idziemy. Na miejscu się okaże, co i jak.

Poza Kodym, który marudził, że musi zostać w prowizorycznej kryjówce, pilnując spętanych koni i zupełnie niespętanej Kasjopei, nikt już nie zabierał głosu. Dość sprawnie nawet udało się wyjść na łagodne zbocze porośnięte drzewami oliwnymi, które dzieliło ich od niewielkiego miasteczka. Cała grupa schodziła szybko, kierując się w stronę zabudowań. To był ewidentny plus manewrowania małą liczbą ludzi. Niestety, minusem właśnie była ta ich szczupła liczba. Nie mieli żadnych szans na powstrzymanie korpusu. A z drugiej strony zadawanie małych,

opóźniających ciosów w bok teraz jeszcze powinno być względnie łatwe. Tamci nie spodziewali się tutaj ataku. Jeszcze nie.

Virion wiedział jednak, że przesadna wiara w siebie zgubiła niejednego dowódcę.

– Hekke, zostań już tutaj. Ten gaj nie jest zbyt gęsty i ludzi widać z daleka.

– Spokojnie, ukryjemy się nawet bliżej miasta w tych rowach.

– Melioracyjnych?

– No tych takich, z lekka mokrawych.

Widać było, że Nolaan z najwyższym trudem powstrzymuje się od komentarza. Dla pewności jednak Tania szturchnęła go w bok i podniosła palec do ust. Dwudziestu mistrzów miecza rozproszyło się po okolicy, szukając najlepszych kryjówek. Reszta, ścisła grupa Viriona, ruszyła dalej.

– Czy ktoś widzi jakieś warty przed miastem?

Niki odezwała się pierwsza:

– Dwóch przed amfiteatrem. Kilku u wylotu głównej ulicy.

– Ilu?

– Pffff... Przyjmijmy, że czterech, ale nie odpowiadam za tych, co mogli wejść do karczmy na rogu.

– To tam jest karczma?

– Tak. Widzę wyraźnie.

– Znakomicie. Tania?

– Tak?

– Weźmiesz na siebie tych dwóch z przodu?

– No jasne. – Nożownicza przyspieszyła, żeby wysforować się przed grupę. To był dobry pomysł, bo kiedy podeszli bliżej, to ona ściągała spojrzenia dwóch żołnierzy, a nie ludzie posuwający się za nią. A Tania broni przy sobie nie miała. Przynajmniej w ich mniemaniu.

– Co? – krzyknęła z odległości kilkunastu kroków, nie zmieniając tempa marszu. – Służba nie drużba, a pić się chce?

– A ty kto?

– Ja z oddziału Viriona – powiedziała szczerze, bo nie było po co kłamać. – Pozabijać was przyszłam.

Podeszła do pierwszego wartownika. Miał na sobie polową zbroję z pasków skóry nabijanej ćwiekami. Coś, co może osłabiłoby cięcie mieczem. Jednak w przypadku noża to coś było całkowicie pozbawione wartości ochronnej.

W ręce Tani dopiero teraz pojawił się nóż. Jego ostrze przeszło dokładnie między skórzanymi pasami i otworzyło płuca żołnierza jednym zgrabnym pociągnięciem. Powinien krzyknąć, ale niestety... miał ogromny problem z zaczerpnięciem oddechu.

Za to następnym wartownik właśnie otwierał usta i podnosił swój miecz. Tania momentalnie skróciła dystans, kneblując go własną dłonią. Jej nóż przebił szyję, więznąc w grdyce. Przekręciła więc rękojeść i wyprowadziła cięcie na bok. Potem odskoczyła, nie chcąc, żeby struga krwi poplamiła jej sukienkę.

Reszta grupy nawet nie zwolniła. Okazało się, że blisko głównego wejścia do amfiteatru, u wylotu ulicy, rzeczywiście znajduje się karczma. Virion ruszył w jej stronę, przechodząc dosłownie pomiędzy czterema wartownikami, którzy dopiero teraz dobywali swoich mieczy.

– Zabić ich – rozkazał, pokazując gestem, o kogo mu chodzi.

Potem otworzył drzwi karczmy, wszedł do środka i przystanął, żeby oczy przystosowały się do panującego wewnątrz półmroku.

– Dobre wino mają? – zapytał żołnierzy skupionych przy amforach ułożonych obok ręcznie napędzanej windy do piwnicy.

– Ujdzie – jeden z siedmiu żołnierzy odpowiedział mu odruchowo, a Virion przypomniał sobie, jak swego czasu traktował wojsko mistrz Horech.

– Kto wam pozwolił tu chlać?! – wrzasnął.

Podszedł do najbliższego, wyrwał mu z ręki kamionkowy kubek i dzielił nim po głowie. Kubek rozpadł się, a zalany krwią żołnierz runął na ziemię.

Virion podniósł jedną z amfor, okazało się, pełną, i dzielił nią następnego. Naczynie, o dziwo, nie rozpadło się, ale następnym przeciwnik przewrócił się na posadzkę.

– Do raportu wszystkich! – Uderzył następnego. Sam był zdziwiony, że jeszcze nie reagują. No tak. Lata tresury w różnych oddziałach... Jak ktoś wrzeszczy, znaczy ma rację. – Pozabijam, wy legionowe ofermy.

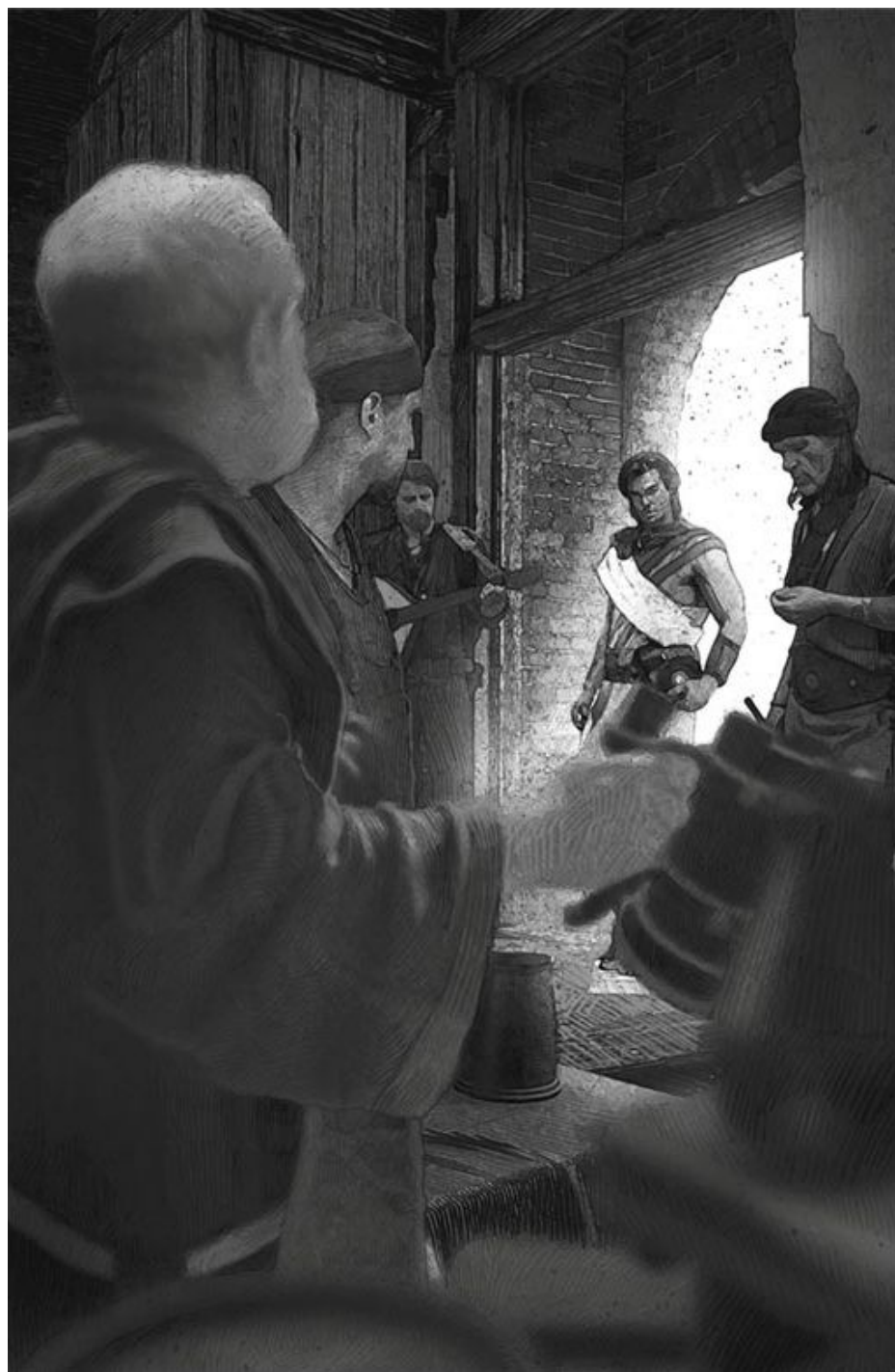
Któryś z żołnierzy wreszcie się zorientował, że napastnik nie ma na sobie munduru. Ale orientacja to jeszcze nie przeciwdziałanie.

– A... wy kim jesteście, panie? – odważył się zapytać.

– O ty sukinsynu! – Virion dopiero teraz dobył miecza i ruszył na pozostałych.

Rozpierzchli się błyskawicznie, więc udało się osiągnąć jedynie dwóch. Ostatni umknął, rzucił się do ucieczki, ale w drzwiach załatwił go Lirion.

– Co? – Z kpiącym uśmiechem wycierał klingę z krwi. – Starzejemy się, rówieśniku, czy co?



– Dobre wino mają? – zapytał żołnierzy skupionych przy amforach ułożonych obok ręcznie napędzanej windy do piwnicy

– Daj spokój. On był jak piskorz!

Do środka zajrzał też Nolaan.

– Da się pić?

Virion otworzył trzymaną ciągle w ręce amforę. Dokonując cudów zręczności, ale też wykazując się wielkim doświadczeniem w tej mierze, wypił kilka łyków.

– Straszny sikacz. – Splunął na podłogę.

– Mam na to radę. – Książę postanowił zaskoczyć dowódcę swoją fachowością w kwestii trunków. – Nigdy nie pij z amfor, które leżą przy windzie, bo to masówka dla biedoty. Dobre gatunki mają na zapleczu.

– Nie mogłeś wcześniej powiedzieć? – Wściekły Virion odrzucił amforę. – Zaraz. A skąd ty o tym wiesz?

Nolaan zrobił gest w stylu „o tym się wie” i rozbawiony wyszedł na ulicę. Tania przeciwnie, wskoczyła do środka.

– Ktoś zaczyna się nami interesować. Kilku zbrojnych zbliża się od strony forum.

– Dobra. – Virion natychmiast podjął decyzję. – Niech każdy bierze coś do ręki. Kubek, puchar, amforę, cokolwiek. – Zgarnął naczynia porozstawiane na najbliższej ławie i zaczął rzucać swoim ludziom. – Będziemy udawać pijaków.

– Niektórzy nie muszą udawać – wyrwało się Rohanowi.

– Masz coś do mnie? – Virion podskoczył natychmiast, chwytając weterana za tunikę na ramionach.

– No nic przecież, ale mówią, że uderz w stół, to się odezwą te... te, no...

Obaj szarpnęli się nagle. Ale do niczego więcej nie doszło, bo Niki popchnęła ich i mężczyźni, wciąż w uścisku, wypadli razem na ulicę. Wyglądało to bardzo naturalnie, bo chcąc uniknąć awantury, Lirion podłożył im nogę. Przewrócili się na bruk, a wokół rozsypały się trzymane przez Viriona naczynia.

Nadchodzący żołnierze wroga najwyraźniej uwierzyli w to, co widzą.

– Co jest, do jasnej zarazy! – wrzasnął dziesiątnik, nawet nie dobywając miecza. – Najważniejszy dzień w historii miasta, a wy chlejecie na umór?!

Rohan, lekko oszołomiony zmianą sytuacji, odruchowo wskazał swojego dowódcę.

– To on zaczął – zadenuncjował wkurzony.

– Wy zachlane świnie!

– Ja nie piłem. – Stary żołnierz niemrawo zaczął się podnosić z ulicy. – Mogę chuchnąć.

– Ja też mogę! – Virion również się zdenerwował.

– Lepiej nie – mruknął Lirion.

– Co to jest?! – rozdarł się dziesiętnik, ale urwał nagle, bo jakaś myśl przyszła mu do głowy. – A skąd wy macie miecze? – Wymierzylł oskarżycielsko swój palec. – I po co wam broń?

– Ach! – Gramolący się z bruku Virion pacnął się dłonią w czoło, bo również coś sobie przypomniał. – Właśnie. – Kłął w duchu, że w trakcie akcji zapomniał o jej celu i dopiero wróg musiał mu przypominać. – Gdzie jest wasz setnik?

Był tak przekonujący, że dziesiętnik odwrócił wyciągnięte w jego kierunku ramię tak, by pokazywało teraz inny kierunek.

– Tam.

– Aha, dzięki.

Virion ściał go jednym cięciem, w które zresztą włożył za dużo siły. Ale chciał zrobić wrażenie na żołnierzach legionu, i faktycznie, lecąca w ich stronę głowa zrobiła.

Cała grupa runęła na legionistów, likwidując ich bez większego hałasu.

– Niki, widzisz setnika?

– Widzę.

– No to ławą!

Pojedynczy żołnierze przed nimi nie byli wartownikami. Bardziej przypominali członków formacji, która właśnie została zluzowana. Brała być może udział w ataku na miasto, a teraz nastąpił czas odpoczynku. Sądząc z krzyków, które dochodziły z dość odległego jeszcze forum, ktoś inny odgrywał tam pierwszoplanową rolę. Te wszystkie czynniki sprawiły, że ludzie Viriona zdołali przejść kilkadziesiąt kroków, zanim ktoś zwrócił na nich uwagę. Ale uwaga to jeszcze nie reakcja. Tym bardziej że znajdowali się na terenie kontrolowanym, gdzie wejście kogoś niepożądanego powinno zostać uniemożliwione przez wartowników. A jeśli oni nie daliby rady, to przynajmniej powinni ogłosić alarm.

– Wymiatanie – krzyknął Virion. – Cały czas naprzód.

Jego ludzie uderzyli na żołnierzy, zabijając lub raniąc kilku stojących najbliżej. Z pozostałych jedni dobywali broni, drudzy, jakby liczniejsi, zaczęli się cofać w stronę forum. Atakujący posuwali się do przodu bardzo szybko. Znowu dopiero po kilkunastu krokach napotykając twardszą obronę. Ale szereg zebranych przez dziesiętnika żołnierzy nie był przeszkodą dla szermierzy natchnionych. Rozmontowanie ich linii zajęło mniej niż oddech.

I właśnie w tej chwili Virion zauważył setnika.

– Ława przechodzi w klin – wydał komendę. – Ja prowadzę.

Opór przeciwnika rósł, ale przeciwko temu, co ich atakowało, nie było skutecznej obrony. Klin napastników szybko posuwał się do przodu. Ścisk rósł, żołnierze nie mieli gdzie się rozwinąć ani, niestety, gdzie uciekać. Ludzie Viriona zaczęli zwalniać. Z drugiej strony ktoś zauważył zbliżające się niebezpieczeństwo. Ten ktoś musiał być doświadczony, doskonale wiedział, że przy takich specjalistach od szermierki najlepszą obroną jest stworzenie czegoś takiego jak tłok. Niestety, jego żołnierze również byli doświadczeni i równie doskonale wiedzieli, że ci, co znajdują się z przodu oddziału, który miał zaczopować ulicę, zginą jako pierwsi. Robili więc wszystko, żeby się tam nie znaleźć, i w związku z tym montowanie całej akcji bardzo się przedłużało, bo żołnierzom sprzyjała ciasnota panująca na ulicy.

– Nolaan, przejmujesz. – Virion zrozumiał, że ma właśnie idealną szansę na błyskawiczny atak.

Wpuścił księcia na stanowisko prowadzącego, a sam runął do przodu, nie tyle walcząc, co rozpychając dwóch żołnierzy naprzeciw. Nie mogli przeciwdziałać, mając nowego przeciwnika przed sobą.

Virion schylony ruszył biegiem. Nawet nie unikał ciosów, bo tak naprawdę nikt nie chciał ich zadać. Żołnierze byli generalnie przygotowywani do walki z przeciwnikiem na wprost i potrzebowali czasu, żeby przystosować się do innej sytuacji. A on ciągle pamiętał mistrza Horecha, który zapytany o wojsko powtarzał: szybkość i zdecydowanie zawsze ich onieśmiela.

Setnik stał pod ścianą domu, wydając rozkazy dwóm gońcom. Początkowo nawet nie zauważył niebezpieczeństwa. Potem, zdziwiony, potrzebował chwili na zrozumienie sytuacji. Ale nie był ani tchórzem, ani ślamazarą. Widząc konkretnego przeciwnika, chwycił za ramiona swoich gońców i popchnął w stronę zagrożenia. Najwyraźniej nie miał złudzeń co do ich zdolności szermierczych. Potrzebował tylko czasu, żeby wyjąć swój miecz i przyjąć postawę. Kiedy gońcy znaleźli się na bruku, on sam był już gotowy do walki.

Problem w tym, że Virion nie zamierzał z nim walczyć. Chciał pojmać kogoś, kto miał choć jakie takie pojęcie o tym, co się działo, i jest sens go przesłuchać. Prowokacyjnie wyciągnął więc miecz w kierunku setnika, a kiedy mężczyzna uderzył, sam odskoczył lekko, przepuścił cios po samej końcówce swojego miecza, a potem doskoczył i uderzył go w spłot rękójścią. Co najmniej dwóch żołnierzy rzuciło się na pomoc oficerowi.

Virion nie miał żadnej możliwości, żeby się z nimi cackać. Zabił pierwszego i pchnął jego ciało, żeby przewrócić kolegę. Potem chwycił

setnika za ręce i zarzucił sobie na plecy. Musiał dotrzeć do swoich, zanim oficer odzyska możliwość zaczerpnięcia oddechu.

Rozgardiasz na ulicy rósł z każdą chwilą. Wycofujący się ranni zderzali się z nadbiegającą odsieczą. Ktoś krzyczał, zagłuszając komendy dziesięтника, zwoływał ludzi do siebie. A jednak Virionowi udało się dobiec do linii swoich ludzi.

– Przejście!

Runął do przodu, kiedy Nolaan na moment odsunął się na bok. Z rozpędu wpadł na czekającą z tyłu Niki.

– Zajmij się nim. – Zrzucił setnika z ramion. – Muszę go potem przesłuchać.

– To raczej będzie trudne. – Wskazała bełt sterczący z pleców oficera. – Ktoś chyba chciał go ratować, ale wcelował...

– Zrób, co możesz, żeby przeżył. Przynajmniej trochę.

Niki wzruszyła ramionami. Jej mina nie świadczyła o pewności w tej kwestii.

– Spróbuję.

Virion odwrócił się w stronę Nolaana.

– Wycofujemy się!

– Mamy ich tu ściśniętych jak barany w rzeźni.

– Ale zaraz odsiecz wejdzie na dach i nie chcesz wiedzieć, co zrzucą ci na głowę! Do tyłu!

– Rozkaz.

Nolaan zaczął się cofać, pociągając pozostałych.

– Szybciej. Szybciej, ludzie!

Virion popędzał swoich. On był wśród przeciwników i wiedział, że nie stracili organizacji. Dosłownie chwile dzieliły ich od tego, żeby legioniści wspięli się na dachy wokół i zakończyli starcie na swoją korzyść.

– Obie z Tanią zabierzcie rannego i biegnijcie przed wejście do amfiteatru – zwrócił się do Niki. – A kiedy znajdziesz się u wylotu ulicy, zagwiźdź.

– Jasne.

Nolaan odwrócił głowę.

– Ja bym ich tu trochę przytrzymał.

– Nie, odrywamy się od przeciwnika. Wszyscy mnie słyszeli?

Pozostali przytaknęli. Virion czekał jeszcze, aż rozlegnie się gwizdek Niki, znak, że dziewczyny dotarły do końca ulicy.

– Odskok! – krzyknął.

Jego ludzie runęli w tył. Przepuścił wszystkich po bokach i podniósł miecz. Dwóch żołnierzy rzuciło się na niego, ale momentalnie zatrzymali

się w pół kroku. Chyba po raz pierwszy w życiu zobaczyli przeciwnika, który stoi naprzeciw nich i... radośnie się uśmiecha.

No i dobrze. Nie miał ochoty ich tu zabijać, a na bruk posypały się pierwsze dachówki. Odwrócił się więc i ruszył biegiem w stronę amfiteatru, zanim na głowę zleciało mu coś bardziej niebezpiecznego.

Nie biegł od razu swoim najszybszym tempem. Ale stale przyspieszał. Jeszcze i jeszcze. U wylotu ulicy osiągnął już szybkość krótkodystansowca. Goniący go żołnierze również przyspieszali. Byli coraz bliżej.

Virion wyprysnął spomiędzy kamienic na wolną przestrzeń i skręcił w lewo. Tłum żołnierzy również. Zaślepieni pogonią, powtarzali jego manewry.

Virion wpadł pomiędzy ludzi w ustawionym przez Hekkego szeregu i momentalnie przedostał się na drugą stronę.

Żołnierze również wpadli na ten sam szereg. A właściwie uderzyli weń z całym rozpędem, jak nie przymierzając, ogromna śnieżna kula w żeliwną płytę. Z tym że dla nich płyta okazała się rozżarzona do czerwoności i śnieg zaczął od razu topnieć. Mistrzowie szermierki zwerbowani spod areny do pojedynków nigdy dotąd nie walczyli z regularnym wojskiem. I właśnie ze zdumieniem odkryli, że przeciętny żołnierz nie ma pojęcia o fechtunku. Największą trudnością sprawiało im zatem utrzymanie równego szeregu.

– Co z setnikiem? – Virion podszedł do Tani i Niki.

– Uciekł w zaświaty przed przesłuchaniem – powiedziała upioryzka. – Tak nawiasem mówiąc, niezły strzał. – Dotknęła sterczącego z pleców mężczyzny bełtu.

– Gdzie tam niezły. – Rohan tylko machnął ręką. – Ale widziałem, jak go niesiesz na plecach – zwrócił się do Viriona. – I nie myśl, że to był strzał przeznaczony dla ciebie, tylko niecelny.

– Ktoś strzelał w niego?

– Właśnie.

– Nie chcę przeszkadzać – włączył się Nolaan. – Ale może przerwiemy popisy Hekkego, bo on zaraz udowodni, że może tam stać w nieskończoność. A wojskowym posiłkom nieskończoność nie jest potrzebna, żeby nas otoczyć.

– Co fakt, to fakt. – Virion odwrócił się do młodego szermierza. – Hekke! Trzy kroki w przód!

Chłopak musiał opacznie zrozumieć rozkaz, bo wrzasnął:

– Do ataku!

Jego ludzie natarli jednocześnie, czyszcząc teren przed sobą. Nie sposób było atakować, bo na ziemi leżało zbyt wiele ciał. A poza tym oni słuchali rozkazów. Zatrzymali się po kilku krokach, na wolnej przestrzeni.

Żołnierze natomiast, widząc szturm, odskoczyli o kilkanaście kroków, gotowi do głębszego odwrotu. Obie grupy stały teraz naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem. Chyba po tamtej stronie nie było żadnego podoficera i nie miał kto wydać im jakiegokolwiek rozkazu. Na placu przed amfiteatrem panowała niemal idealna cisza. Przeciwnicy ciągle wpatrywali się w siebie. Dla wojskowych deprymujący był fakt, że szermierze nie wyglądali na zbyt zziębniętych. Najwyraźniej nie wiedzieli, co robić.

Ciszę przerwał Hekke. Wyskoczył nagle z szeregu, pokonując co najmniej połowę odległości dzielącej go od wrogów.

– Co się gapisz, kurwa?! – Wycelował zakrwawionym mieczem w jakiegoś legionistę. – Chcesz jeszcze?!

Tego było za dużo. Żołnierze zaczęli się cofać, a potem uciekać. Virion i Nolaan wymienili spojrzenia. Po czym obaj parsknęli śmiechem.

– Dobra. Wycofujemy się.

– Daj mi jeszcze chwilę. – Hekke odwrócił się, badając wzrokiem twarze kolegów, by upewnić się, że wszyscy widzieli jego wyczyn. – Sam mówiłeś, że oni lubią przedstawienia.

– No to co?

– No to im zrobimy przedstawienie... Sandały pogubią...



Audjencje imperatorskie dzieliły się na oficjalne i prywatne. Te drugie wbrew pozorom wcale nie musiały oznaczać, że panowała na nich jakaś tam luźna atmosfera. Na prywatnych audjencjach mogło w ogóle nie być cesarza i najczęściej nie było. Tam szambelan opierdalał służby, cesarska małżonka z przyjaciółkami opracowywały plany intryg i zastanawiały się, kogo by tu wywyższyć, a kogo zmieść z piedestału. Ewentualnie pierwsza cesarska nałożnica rozdzielala poufne zadania dla prowincjonalnych przedstawicieli władzy i te spotkania należały do najbezpieczniejszych, ponieważ niewolnica nie miała żadnego interesu, żeby wyżywać się na ludziach, których najczęściej nawet nie znała osobiście. Było rzeczowo, treściwie i krótko, a często i wesoło, jeśli faworyta przygotowała poczęstunek, bo owdładnęła nią ochota, by posłuchać plotek z całego kraju.

Natomiast audjencje oficjalne gromadziły istne tłumy, każdorazowo Pałac odwiedzany był przez tysiące ludzi, których cesarz zawsze zaszczycał osobiście, choć w formie nieruchomej i pomalowanej na złoto. To na takiej właśnie audjencji Taida została podniesiona do godności

„cesarskiej przyjaciółki”, przeżywając najpierw męki niekończącego się oczekiwania na swoją kolej osobistego posłuchania, które w przytłaczającej większości przypadków trwało nie dłużej niż mgnienie oka.

Jakież było zdziwienie Taidy, kiedy gwardziści poprowadzili ją nie do znanego aż nadto „pokoju płaczu”, lecz do wielkiej sali oficjalnej, tej, która mogła pomieścić nieprawdopodobne tłumy. Teraz przytłaczające ogromem pomieszczenie zdawało się puste. Ze zdziwieniem stwierdziła, że kroki żołnierzy odbijają się echem od dalekich ścian, a komendy prowadzącego setnika słyszane są z ewidentnym pogłosem.

– W lewo zwrot!

Z równym zdziwieniem stwierdziła, że odruchowo usiłuje iść w nogę, przystosowując się do marszowego kroku gwardzistów. Nawet zwrot wykonała dość poprawnie.

Dopiero teraz zauważyła grupkę ludzi, hen, hen, zgromadzonych przy pustym tronie. Wiadomo, to nie cesarz oczekuje, to na niego się czeka, czasem i wieczność. A ona musiała jeszcze tam dojść. Czy raczej domaszerować. W miarę zmniejszania się dystansu zaczęła rozpoznawać poszczególne sylwetki. Nervę i Girona zauważyć jej było najłatwiej. Trochę gorzej ze Służbą Więzienną, ich przedstawiciele początkowo pomyliła ze Służbą Skarbu. Pozostałych słabo знаła, ponieważ z powodu zataczającej coraz szersze kręgi cesarskiej niełaski zmiany kadrowe następowały często i błyskawicznie. Jej starsi znajomi znikali gdzieś w niebycie, a twarze tych, którzy ich zastąpili, w ogóle nie kojarzyła.

– Całość... stój!

Zatrzymała się razem z gwardzistami. Przemknęło jej przez myśl, że byłaby całkiem niezłym żołnierzem. Potem sobie uświadomiła, że takie myśli to tylko aberracje spanikowanego umysłu. Nerva skinął jej głową, a Giron dyskretnie uniósł dłoń. Pozostali udawali, że nic się nie zdarzyło, i nawet łoskot odmaszerowujących gwardzistów nie sprawił, że raczyli ją zauważyć. Niedobrze. Szykowało się coś złego i to coś pewnie było wycelowane w służby bezpieczeństwa.

Podeszła do Nerry.

– Co jest?

– Histeria – szepnął. – Po mojemu oczywiście.

– Czyja?

– Właściciela.

Nie musiał tłumaczyć, właściciela czego. Albo inaczej: skoro nie sprecyzował, to musiało chodzić o właściciela wszystkiego. Taida zaczęła się modlić: Bogowie moi, nie byłam grzeczną dziewczynką, ale przecież nie byłam najgorsza. Nikogo nie zdradziłam, niczego nie

sprzeniewierzyłam, stosunkowo niewielu zawiodłam sromotnie. Wiem, że właśnie akurat najbliższych, ale...

Gorączkowe słowa, które pojawiały się w jej umyśle, ucichły na widok szambelana. Oficjel przystanął na schodach prowadzących na podwyższenie, gdzie ustawiono tron. Dziwne. W oficjalnych audiencjach środkiem najbardziej oddziaływającym na ludzi było długie czekanie. Jakiś niewyobrażalny czas, którego powolny upływ zamieniał się w mękę, podkreślając jednocześnie przepaść pomiędzy powagą majestatu a zebrany pyłem pozbawionym jakiegokolwiek znaczenia. Dzisiaj jednak wszystko było inaczej.

– Już, już. – Szambelan gestem powstrzymał ceremonialne ukłony zebranych. – Dzisiaj nie ja będę was opierdalał. I nie ja pokażę palcem, kto rozstanie się z życiem.

Powiało grozą.

A z drugiej strony... Wyglądało to tak, jakby szambelan chciał się sfraternizować z przybyłymi na audiencję. Jakby on sam nie był już pewny swojej pozycji. Taida nie potrafiła rozstrzygnąć kwestii, czy na tym samym spotkaniu można ukarać prowadzącego. Nikt jeszcze tego nie zrobił w całej znanej jej historii. No ale pierwszy raz dlatego jest pierwszym razem, ponieważ następuje pierwszy raz. Zresztą Syrinx również nikt nie oblegał w całej historii. Najbliższe obleżenie nastąpi więc również po raz pierwszy.

Szambelan podniósł rękę.

– Padnijcie na twarz.

Ten rozkaz, choć zupełnie nieprzewidziany przez pałacową etykietę, wypełnili bez ociągania. Każdy wiedział, co on oznacza.

Taida wpatrywała się w podłogę ze szlifowanego kamienia, zastanawiając się, ile tysięcy, a może i milionów stóp polerowało ją w ciągu wieków. Musiało ich być naprawdę dużo, powierzchnia kamienia bowiem przypominała szybę, jeśli chodzi o właściwości odbijania światła. Wyglądała, jakby była mokra.

Szambelan zwyczajowo powitał gości, a kiedy klęczący podnieśli głowy, mogli już ujrzeć imperatora siedzącego na tronie. Cesarz miał na sobie obrzędową szatę, pomalowaną na złoto twarz i wyglądał jak posąg. Podobnie wyglądały otaczające go sługi. Taida poczuła, jak przyspiesza jej oddech. Jej przewidywania były słuszne. Żadnych dalszych wstępów, żadnego wprowadzenia – prowadzący audiencję od razu przeszedł do spisu win. Najpierw dostało się obecnym. Wszystkim i za wszystko, nawet za rzeczy niebędące w ich kompetencjach. Usłyszeli na początku o szerzącym się spisku, później o obcych armiach, które parły na stolicę, a potem o braku jakichkolwiek sił pomiędzy zbliżającym się legionem

a samą Syrinx... No tu już przegięli. To przecież domena chłopaków do spraw militarnych, a nie służb. Ale nie, na zmiłowanie dziś się nie zanosilo. Nerva miał rację. Byli świadkami hysterii władcy absolutnego, kiedy przestały obowiązywać zasady rozumu. Teraz o życiu i śmierci będzie decydował wyłącznie ślepy los. A szambelan czepiał się już o wszystko. O braki w wyposażeniu wojsk murowych, braki w zaopatrzeniu, braki w pracy wywiadowczej oraz inne braki. Służby sprawiały wrażenie, że skupiły się wyłącznie na mnożeniu raportów, a nie prawdziwej pracy. I to chyba był jedyny prawdziwy zarzut, pomyślała Taida. No ale jak mieli pracować terroryzowani przez Pałac? Mniejsza z tym. Czują, że zaraz zacznie się prawdziwe przedstawienie. I, jak zwykle, przecucie jej nie zawiodło.

Szambelan przeszedł do ataków bezpośrednich.

– Czy jesteście świadomi faktu, że lada dzień zacznie się oblężenie stolicy naszego imperium? – zapytał łagodnym tonem, raczej nie oczekując odpowiedzi. – W tej chwili do miasta ściąga się zaopatrzenie z całej okolicy. I tak mnie interesuje... Czy służby wykazują się jakąś inicjatywą w zaistniałej sytuacji? Co zrobiliście, żeby polepszyć sytuację obrony?

Kat i oprawca w jednym uśmiechnął się słodko.

– Sam cesarz oczekuje od was prostej, jasnej i klarownej odpowiedzi na ten temat. A szczególnie interesuje go jedna kwestia.

Wziął od podręcznego jakieś kartki i rozpostarł je w rękach.

– Każdemu z was z osobna zadam kilka pytań. A żebyście nie ściągali odpowiedzi wzajemnie od siebie, to pytania każdy odczyta sobie po cichu z kartki. Choć mam dziwne wrażenie, że nikt na tej sali niczego mądrego mi nie powie.

Mistrz ceremonii podszedł do stojącej przypadkowo z brzegu delegacji Służby Więziennej. Najmniej chyba przygotowanej do analizowania spraw obrony miasta.

– Znasz odpowiedź na to pytanie? – Szambelan pokazał pierwszą kartę.

– Nie znam, panie! – brzmiała zdecydowana odpowiedź.

– A jak odpowiesz na to?

Wysoki oficer nachylił się nad arkuszem, udając, że wczytuje się z uwagą w zbyt małe litery. Ewidentnie usiłował zyskać na czasie, żeby dać sobie choć chwilę do namysłu.

– Melduję, że wnikliwie obserwujemy...

– Od obserwowania są obserwatorzy na cesarskich dostrzegalniach w każdym porcie – przerwał mu szambelan pełniący dziś obowiązki kata.

– Twoje obowiązki obejmuje twój zastępca. I niech przyjmie do

wiadomości, że robienie wyłącznie swojego dzisiaj już nie wystarczy. Niech twój los będzie dla niego przypomnieniem, że trzeba się bardziej starać.

Pstryknięcie palców przywołało gwardzistów, którzy ujęli skamieniałego ze strachu oficera za ramiona i pociągnęli do wyjścia. Nie tego oficjalnego, na samym końcu ogromnej sali. Poprowadzili go do bocznego, w pobliżu. Tuż obok tych właśnie drzwi znajdowało się wielkie okno wychodzące na jeden z wewnętrznych dziedzińców. W sali audiencji panowała cisza. Nikt nie zadawał dalszych pytań, nikt się nie poruszał.

Po chwili stało się jasne, na co czekali.

– Nie! Nie! Nie! – Zza okna dobiegł ryk wyprowadzonego przed momentem oficera Służby Więziennej. – Nie róbcie mi tego!

– Stój!

– Nie, proszę! Ja przecież służyłem wiernie!!!

– Nie szarp się!

Po chwili, kiedy przez okno do środka docierały jedynie ciche odgłosy szamotaniny, usłyszeli nagle potworny, okropny, wydobyty z trzewi całą mocą gardła wrzask dorosłego mężczyzny. Ludzie zebrani na audiencji reagowali różnie. Jedni oblali się obficie potem, jak choćby stojący obok Giron. Inni zaczęli drzeć, jeszcze inni, jak Taida, dostali czegoś na kształt szczękościsku.

Wrzaski na zewnątrz nie ustawały. Ale poza nimi do zebranych nie docierał żaden inny odgłos. Ani szczęk topora, ani brzęczenie łańcuchów przesuwanym przez żelazne prowadnice, ani nawet skrzyp jakichś drewnianych mechanizmów. Nic. Nikt więc nie miał pojęcia o charakterze poprzedzonej torturami egzekucji. Reżyser przedstawienia scenę pozostawił wyobraźni widzów. A ludzie nie wiedzieli, co robić. O opuszczeniu wzroku na oficjalnym przyjęciu i gapieniu się w podłogę nie mogło być mowy. Na cesarza zerkać nie wolno, odwracać głowy też nie. Więc co? Patrzyć na szambelana? To było chyba najgorsze, bo szuja chodził między zebranymi i perfidnie zaglądał w oczy, jakby kpiąco szukając porozumienia, a tak naprawdę żeby zobaczyć prawdziwy poziom strachu. Tortura na sali trwała jakieś dwie modlitwy. Większość obecnych była bliska omdlenia. A tam, na dziedzińcu, straszliwe wrzaski przeszły nareszcie w coś, co od biedy można by uznać za rozdzierające jęki. Można by uznać, gdyby ofiara miała jeszcze całe gardło.

Szambelan znienacka podszedł do szefa Służby Skarbu i podsunął mu kartkę pod oczy.

– Jak odpowiesz na pierwsze pytanie?

Starszy, siwy oficer zmarszczył brwi.

– Nie wiem – odparł bez wahania.

– A na drugie?

– To nie leży w zakresie moich kompetencji! Wywiad nie ma prawa działać w granicach imperium!

– Nie ma prawa? – podchwycił dzisiejszy oprawca. – Dziś trzeba starać się bardziej. I żeby dać przykład, ja zrobię teraz coś, do czego nie mam prawa.

Kolejne pstryknięcie palcami przywołało gwardzistów, którzy ujęli następną ofiarę.

– Twój zastępca obejmuje teraz twoje stanowisko. I liczę na to, że zapamięta, jak i dlaczego zakończył się twój los.

Dotychczasowy szef Służby Skarbu pokazał klasę. Wydał pogardliwie wargi, nie zniżając się ani do prośby, ani do komentarza. Z hardym wyrazem twarzy odwrócił się i sam ruszył ku wyjściu, ciągnąc za sobą trzymających go żołnierzy.

Ja pierdole! – Taida nie mogła uwierzyć. Cesarz z powodu własnej hysterii właśnie likwiduje swojego szefa wywiadu. Człowieka, którego służby nie miały najmniejszego prawa zajmować się sprawami wewnątrz cesarstwa. A potem przypomniała sobie Amana. I przyszła jej myśl, że może to nie taka histeria. A może cesarz likwiduje losowo wybranych notabli, licząc, że przypadkiem trafi na właściwych? Z przerażenia przymknęła oczy, ale zaraz otworzyła je znowu. Tu nie wolno sprawiać wrażenia, że się przysypia.

– Nie! Nie! Nie róbcie mi tego!

Krzyk, który dochodził z dziedzińca, dowodził, że były szef Służby Skarbu właśnie stracił swoje opanowanie.

– Nie szarp się!

– Ale nie to! Tylko nie tooooo!!!

– Stój!

– Błagam! Proszę... Nie to! Nie to! Tylko nie...

Krzyk przerodził się w nieludzki wrzask. Tak właśnie mógł wyc dorosły mężczyzna doprowadzony do ostateczności. Ale tylko raz w życiu, bo po czymś takim gardło raczej nie nadawało się już do niczego.

I chyba to właśnie, ten kontrast pomiędzy godnością mężczyzny sprzed chwili a późniejszym uniżonym błaganiem i wrzaskiem, przestraszyło zebranych najbardziej. No i ta wyobraźnia. Co oni mu robią? Co oni mu tam robią?! Co doprowadziło, że pogodzony z wyrokiem facet nagle stracił swą godność i zaczął ich błagać?

Ktoś niedaleko, chyba z pionu administracji, zaczął dygotać. Nie mógł też opanować dziwnego ni to jęku, ni cichego skowytu, wydobywającego się z krtani przy każdym wydechu. Ktoś ewidentnie popuścił ze strachu, sądząc po rozchodzącej się szybko woni. Szambelan zadowolony z efektu

przechadzał się między uczestnikami audyencji, zaglądając im głęboko w oczy.

A kiedy wrzaski za oknem przerodziły się w jęk, znowu wyciągnął swoje kartki. I tym razem podszedł do Nerry i Taidy. Oboje przestali oddychać.

– Czy znacie odpowiedź na to pytanie?

Taida nachyliła się nad kartką i przeczytała szybko: „Gdzie są największe prywatne magazyny żywności w Syrinx?”.

Podniosła wzrok.

– Oczywiście, że znam odpowiedź. Największe są składy Oktanta, niedaleko murów miejskich.

Zaskoczyła szambelana tak bardzo, że ten, zamiast podsunąć jej kartkę z następnym pytaniem, zadał je głośno:

– I co zrobiłaś, żeby zabezpieczyć tę żywność przed spiskowcami?! Co?!

– No jak to co? – Aż się zachnęła. – Całe składy są w moich rękach! Strzegą ich moi zbrojni i każdy, kto się tam zbliży, zostanie ujęty!

Powiedziała to chyba zbyt gwałtownie, bo jej rozmówca aż cofnął się o krok. Był tak zaskoczony, że gapił się na Taidę wybałuszonymi oczami, niezdolny do innej reakcji. Chyba nie taki miała mieć przebieg ta audyencja. Szambelan głośno przełknął ślinę, a potem, nie mając pojęcia, co robić w tej sytuacji, odwrócił się do cesarza z niemą prośbą o pomoc.

Wyniosła postać o pomalowanej na złoto twarzy uderzyła pierścieniem w poręcz tronu, a potem wyciągnęła palec w stronę Taidy. „Niech mówi dalej”.

– A powiedz mi, tak z ciekawości, co skłoniło cię do przekroczenia kompetencji i zabezpieczenia tych właśnie składów? – Szambelan próbował jeszcze atakować.

– Sam mówiłeś, że dziś trzeba się bardziej starać i robić rzeczy, do których nie ma się prawa.

Celowo zrezygnowała z formy „panie”, żeby bardziej przypominać zadziorną przekupkę na targu. Wiedziała, że prawdziwym odbiorcą jej słów nie jest bezpośredni rozmówca. Jest nim człowiek na tronie.

– Ale zanim tu przyszedłeś, o tym nie wiedziałaś.

– Domyśliłam się, że żywność, nawet cudza, musi być chroniona przed zamachem! A tylko idiota nie zareaguje, widząc, że wszyscy inni nic nie robią!

Poczuła, że stojący obok Nerva cały się napiął. Szarżowała w bardzo niebezpiecznym kierunku. Ale to wiedziała sama i bez niego. I wiedziała też, że nie może już przerwać szarży.

– A ja wiem nawet więcej! – zaatakowała bez pardonu. – Tylko ja wiem, że Oktant był członkiem spisku! Prominentnym!

– Skąd to wiesz?!

– Mam to powiedzieć na głos? – Rozłożyła ręce. – Tu, przy wszystkich?? No... chyba że dasz mi słowo, że ich wszystkich zaraz pozabijasz.

Giron z trudem stłumił parsknięcie śmiechem. Nerva odetchnął głośno. Cesarski debil sam się zagalopował.

Szambelan znowu obejrzał się na cesarza, lecz władca milczał. Musiał więc kontynuować rozmowę.

– I... I ty co tam robiłaś? Co tam robią twoi ludzie?

– Gdybyś nie przysłał gwardzistów, to pewnie już pisałabym raport. Bo moi specjaliści mieli złapać Oktanta i sprowadzić mistrza Anai, żeby go przesłuchał. Wolałabym sama zadawać pytania, ale spokojnie. Mój setnik robi to właśnie w tej chwili i jemu akurat ufam w tej kwestii.

Taida przeniosła wzrok na tron i zobaczyła najstraszniejszy obraz tego dnia. I nie były to ani tortury, ani kaźnie, ani nawet rozkaz wydania jej największemu mistrzowi wśród katów.

Cesarski pierścień stuknął znowu o poręcz tronu, a z najwyższych ust padło jedno słowo:

– Łaska.

Na dany znak zebrani znowu zalegli z twarzami przy posadzce, żeby nie widzieć odejścia władcy. Podnieść się było wolno dopiero po usłyszeniu gwardyjskiego gongu.

– No i widziałaś? – Giron natarł na Nervę. – Ona jest naszą najlepszą inwestycją!

– Jak to naszą? – obruszył się szef Zamku. – Jaką naszą?

– To ja ją odkryłem! Ja w nią inwestuję!

– Ale ona jest moją własnością!

Nerva i Giron, dwa grubasy, w udawanym z powodu ulgi zacietrzewieniu zetknęli się brzuchami.

– Chodźmy – poprosiła Taida.

Rozejrzała się. Szambelana, gwardzistów ani sług już nie było. Ruszyli więc w stronę wyjścia. Giron chciał popatrzeć jeszcze, co takiego działo się na dziedzińcu obok, skąd ciągle dobiegały rozdzierające jęki egzekucjonowanych oficerów, ale boczne drzwi zostały zamknięte na głucho. Musieli odbyć długą podróż do wrót głównych.

Nerva ujął Taidę pod ramię.

– Co się stało? – szepnął, przybliżając twarz. – Wyglądasz, jakbyś zobaczyła demona.

Prokurator spojrzała mu prosto w oczy.

– Bo zobaczyłam.

Rozdział 8



Geberik nie dysponował wojskową mapą terenu. On właściwie nie dysponował żadną mapą – dziwna dysfunkcja jego umysłu w tym zakresie nie pozwalała mu na wyobrażenie sobie terenu na podstawie płachty papieru z naniesionymi symbolami. Ale to nie znaczy, że przywódca spisku nie miał orientacji co do ruchów wojsk, zajmowanej przestrzeni ani choćby odległości pomiędzy poszczególnymi celami. Wprost przeciwnie, często widział więcej niż jego dowódcy polowi. Specjalnie dla niego bowiem najlepsi rzemieślnicy sporządzili ogromną makietę. Co obejmowała? Otóż obejmowała obszar prawie całego cesarstwa. Rzecz mogłaby wydawać się niemożliwa. Makieta obrazująca większość gigantycznego obszaru, po pierwsze, sama zajmowałaby ogromną przestrzeń, a po drugie, nie nadawałaby się do transportu. Oczywiście, że tak. Generalnie tak wielka makieta nie nadaje się do transportu, no chyba że jest się tak bogatym jak Geberik, którego stać było na wiele wozów, wiozących za nim podzieloną na segmenty pomoc do obrazowania terenu. Stał właśnie pochylony nad sekcją niezwykle plastycznie odwzorowującą okolice, gdzie znajdowały się jego wojska, kiedy do wielkiego namiotu wszedł dowódca legionu.

Suhren był stosunkowo młodym najemnikiem. Dostał tę wysoką, jak na jego doświadczenie, funkcję ze względu na niekonwencjonalny sposób myślenia i działania, jaki go charakteryzował. Mimo młodego wieku był już autorem epokowego według innych strategów opracowania dotyczącego kompleksowości procesu wojennego. Geberik znał ten traktat, czytał go wielokrotnie. I chyba dzięki niemu właśnie wybrał tego akurat oficera, by dowodził jego siłami. W każdym razie strategia ataku na Syrinx była właśnie autorstwa Suhrena.

– Panie! – Przybyły oddał regulaminowy salut. – Nadszedł czas na bezpośredni marsz na stolicę – zameldował.

– Sądzisz, że wystarczająco zdemoralizowaliśmy lud cesarstwa?

– Trudno mi ocenić ten proces. – Suhren nie należał do pochlebców i była to kolejna cecha, której zawdzięczał swój niespodziewany awans.

Geberik nie był idiotą i zdawał sobie sprawę, że są dwie metody oderwania się od rzeczywistości: można brać narkotyki albo można słuchać pochlebców, którzy mówią to, co władca chce usłyszeć. Nie stosował żadnej z nich. – Marsz na stolicę wynika wyłącznie z harmonogramu.

– O? To już?

– Tak jest, panie. Choć doskonale rozumiem, że zajmowanie każdego z miast sprawiło ci wielką przyjemność.

Geberik przyznał mu rację skinieniem głowy. To zresztą był kolejny rewolucyjny pomysł Suhrena. Nie mieli tylu sił, żeby obsadzać zdobyte miasta własnymi załogami. A nietkniętych nie mogli zostawiać na swoim zapleczu. Młody strateg wybrnął z pata, poddając pomysł, aby eliminować notabli, a tłuszczy pozwalać grabić ich mienie. I w ten sposób nie pozostawał za nimi już żaden garnizon, żadna zorganizowana siła. Rozwiązanie drastyczne, za to niezwykle skuteczne.

– A Mohr nie zbierze wojska, żeby się nam przeciwstawić?

– Mohr jest świetnym dowódcą. Ale z resztek sił szybkich, które musiał rozproszyć po wsiach i miasteczkach, nawet on nie skleci armii. Żołnierze Prabha powstrzymają go nawet przed próbą marszu na odsiecz Syrinx.

– A Virion?

– Kto? – Suhren uśmiechnął się kpiąco.

– Ten miecz, którego wynajęła Taida...

– Nie, nie, panie. – Młody strateg uniósł ręce, powstrzymując potok wymowy głównodowodzącego. – Ja wiem, kim jest Virion. I na pewno na ubitej ziemi przeciwko niemu nie stanę, ponieważ nie jestem samobójcą. Ale w sensie militarnym to nie jest żadna siła.

– Jesteś pewien, że on się nie liczy?

– Panie, ja nie powiedziałem, że to siła, która się nie liczy. Użyłem określenia, że to żadna siła. Żadna!

Dobrze, że Geberik był pragmatykiem. Już w otoczeniu cesarza na przykład taka odpowiedź nie mogłaby mieć miejsca.

– A jednak pokonał trzy wzmocnione setki Nolla na pustyni.

– Z całym szacunkiem dla Nolla, którego umiejętności dowódcze wcale nie są takie złe, jak można by sądzić po tej właśnie akcji...

– Daruj sobie uszczypliwości. On już nieszczęśliwy sam z siebie.

– Nie jestem uszczypliwy, panie. Nollo nie popełnił żadnego błędu, a każda podjęta przez niego decyzja była racjonalna. Szczególnie ta o odwrócie.

– Rozumiem. To zatem nie drobne kąśliwości, ty z niego po prostu kpisz? – Geberik miał słabość do swojego dowódcy i lubił się z nim przekomarzać. A poza tym był dobrym politykiem i wiedział, jak

postępować z ludźmi. Tylko tymi, oczywiście, którzy byli mu do czegoś potrzebni.

– Znowu się pomyliłeś, panie. On jest poprawnym dowódcą. Ale jak przy pomocy jednego tylko legionu zdobyć Syrinx, to on by w życiu nie wymyślił. Ot, mordobicie z bandziorami Viriona to jego poziom, z którego i tak ledwie głowę wyniósł w całości.

– Hm. Czyżbym wyłowił z twojej wypowiedzi zręcznie zakamuflowane pochlebstwo pod moim adresem?

– Nie jestem pochlebcą. Nie lubię przepychać się w tłumie.

– No dobrze. A wracając do bandy Viriona. Czy nie jest dla nas niebezpieczne, że on usiłuje znosić nasze patrole?

Suhren w ostatniej chwili powstrzymał się od pogardliwego machnięcia ręką. To jednak mogłaby być już przesada.

– Zniósł, panie, pozwól, że powtórzę twoje określenie, dwa nasze patrole, w sile trzech dziesiątek każdy. Mam więc dwa wyjścia. Wysłać patrole o liczebności setki. Albo zrezygnować z patroli w ogóle. Ani to, ani to nie spowolni naszego marszu nawet o dzień.

– A masakra w miasteczku?

– Jaka masakra? Bandyci pozabijali nam warty i mały oddziałek osłonowy. Jedyne, czego dowiedli tą akcją, to że są dowcipni.

– Jacy?

– Powiesili ciało setnika na scenie w amfiteatrze, a okrwawione zwłoki naszych żołnierzy pousadzali kręgiem na widowni. No fakt. Ludność miasteczka tak się przestraszyła, że nawet po eliminacji notabli tam akurat rabunki mienia już nie nastąpiły. I tyle ich sukcesu.

Geberik wzruszył ramionami.

– Lubię teatralne przedstawienia – mruknął.

Suhren uklonił się lekko.

– To szykuj się na przedstawienie w Syrinx, panie. To będzie ukoronowanie sezonu!



Siedzieli w krzakach wystarczająco długo, żeby wszystkim wydawało się, że zostali już zjedzeni przez owady. Chmury much, jakichś meszek, gzów, robali pełzających, latających i skaczących walczyły z rojami komarów o pierwszeństwo dostępu do ofiar. Tortura była tym dotkliwsza, że nie mogli opędzać się, choćby machając gwałtownie rękami. Co prawda kryjówka znajdowała się poza zasięgiem słuchu żołnierzy przy brodzie,

ale gałęzie ruszające się przy bezwietrznej pogodzie mogły zwrócić uwagę kogoś o bystrzejszym wzroku.

Plan przedstawiony przez Liriona, jedyne go człowieka w grupie, który znał się na osłanianiu konwojów, był bardzo prosty. Przy szczupłości sił własnych atakowanie żołnierzy przeciwnika na otwartej przestrzeni nie miało sensu. Legion maszerował główną cesarską drogą, a rzekę pokonywał suchą nogą, przekraczając ją po solidnym kamiennym moście, którego w żaden sposób metodami chałupniczymi zburzyć by się nie dało. Co innego zaopatrzenie. Żeby nadążyć, wozy musiały posuwać się bocznymi, równoległymi drogami, a rzekę przekraczać, korzystając z mostu drewnianego.

No i kłopot się zrobił, bo drewniany most grupa Viriona właśnie spaliła. Trzeba było szukać brodu dla wozów. Co też samo w sobie nie stanowiło problemu, wszystkie przeprawy oczywiście zaznaczono na wojskowych mapach, jakimi dysponowały obie strony, ale co innego jechać rozpartym na koźle, nawet i zapłaciwszy myto, a co innego przeprowadzać wozy jeden po drugim, brodząc po pas w wodzie.

– Już? – Hekke chyba był najbardziej zapalczywy. Albo rwał się do szczeniackich popisów w walce, albo też, jak żartowały z niego Niki i Tania, miał najśłodszy krew z całej grupy, która komarom smakowała najbardziej. Kasjoepa nie brała udziału w tych przekomarzankach.

– Spokojnie. – Lirionowi nawet nie chciało się podnieść oczu. – Najpierw przeprowadza się elementy strategiczne. Pierwsze idą wozy z bronią, z narzędziami do obsługi, z materiałami do prowadzenia wojny. Czyli to, co jest najpotrzebniejsze z punktu widzenia dowódców. Potem jadą rzeczy, które potrzebne są samym kwatermistrzom.

– I niby co to jest?

– Nikt tak naprawdę nie wie. Złośliwi twierdzą, że na tych wozach są ich dziewczyny, ale nie słuchajmy zazdrośników ani mitomanów. – Lirion postukał się palcem w czoło. – W każdym razie żywność podróżuje na końcu.

Hekkego najwyraźniej ta wiadomość nie usatysfakcjonowała, bo nie ustawał w indagacjach.

– Nie żebym się czepiał. Ale nawet jak im zniszczymy kolację, to legion maszeruje w środku Luan. Zrabują se żarcie we wsiach.

– No właśnie. Po pierwsze, nadkruszymy mit o tym, jak to oni kochają prostych ludzi. A po drugie, ważniejsze, w ich głowach pojawi się nareszcie myśl, że sami nie są nietykalni. Że nie zwyciężają każdej potyczki.

– Eee... – Hekke błyskawicznym uderzeniem dłoni zabił komara na swojej szyi. Brudnym palcem roztarł krwawą plamkę, jaka pojawiła się na

skórze, i kontynuował: – Bo ja bym zastąpił im drogę. I wyzwiał na pojedynek.

– Hełmami nakryją – mruknął Nolaan.

– Toteż nie chcę, żeby jedna kupa rzuciła się na drugą kupę. Obrazimy ich dowódcę, wtedy on wyzwie nas na pojedynek. I będzie jeden na jednego.

Virion tylko kręcił głową.

– Coś ty znowu wymyślił?

Nolaan skrzywił się nagle.

– Nie no, teoretycznie to on ma rację – przyznał niechętnie. – Zakładając, że dowódca legionu jest idiotą i faktycznie wyzwiałby naszego dowódcę na honorowy pojedynek, to wtedy każdy z nas musiałby się pojedynkować z każdym jego żołnierzem i rzeczywiście w konfiguracji jeden na jednego. I paradoksalnie pewnie byśmy ich wybili, ale musiałoby wystąpić milion sprzyjających czynników, a tu nie występuje żaden.

– No przecież on by honor stracił – upierał się Hekke.

– Nie honor, tylko zdolność honorową – poprawił go Nolaan. – No to nawet jeszcze gorzej.

Rohan zaczął się śmiać.

– A gdzie wyście widzieli dowódcę liniowego, który ma zapewnione łatwe zwycięstwo i z niego zrezygnuje, bo mu honor będzie przeszkadzał?

Wszyscy albo zaczęli chichotać, albo przynajmniej się uśmiechnęli, ale Hekke nie dawał za wygraną.

– Tak jest zapisane w starym kodeksie – upierał się przy swoim.

– W starożytnej wykładni praw – Nolaan wprowadził kolejną korektę.

– Ale to nie jest nawet obowiązujące prawo. To raczej skodyfikowane wartości moralne.

– I co? I te wartości nikogo nie obowiązują?

Książę tylko westchnął, unosząc oczy.

– Ależ owszem. Na zasady moralne powoła się zawsze silniejszy, ale tylko wtedy, kiedy będzie mu to do czegoś pasowało. Słabszy może sobie moralnością wytrzeć...

– Dupę?

– Myślałem o ustach.

– Przyznaj. Boisz się?

Książę po raz kolejny postanowił się zgodzić.

– Owszem, boję się, że będziesz usiłował wprowadzić swój plan w życie i przed śmiercią okryjemy się śmiesznością.

– Ty zawsze, żeby...

– Spokój. – Virion postanowił przerwać coraz bardziej durną dyskusję. A potem zwrócił się do Liriona: – Długo jeszcze?

– Właściwie to prawie już. Popatrz. Większość sił mających osłaniać bród jest już po drugiej stronie, większość wozów również.

– I dlatego tam teraz skierowali żołnierzy.

– Tak, bo z tamtej strony atak przyniosłby w konwoju większe straty. A stąd to już można zaatakować tylko jego tyły. Mało ważne w ich rozumieniu, więc wagę przywiązują do drugiego brzegu.

– A nie przyślą posiłków z powrotem przez rzekę?

– Możliwe. Ale nie przed choćby pobieżnym zwiadem z tamtej strony. Zawsze pierwszą rzeczą, o której w takiej sytuacji pomyśli dowódca, będzie to, że widzi właśnie pozorowany atak na tyły.

– Że ktoś chce podzielić jego siły na pół?

– Właśnie.

Virion wiedział, że przy swojej krótkowzroczności nie ma sensu, żeby z tej odległości wytężał oczy, usiłując dostrzec cokolwiek sensownego. Przysunął się więc do żony.

– Niki? Jak twoje rozeznanie?

Upiorzyca lustrowała okolicę.

– Poza tymi siłami, które widzimy, nie ma tu nic więcej. Znaczący... – zrozumiała, że palnęła gafę – poza tymi siłami, które ja widzę, nie ma nikogo innego.

Virion westchnął ciężko i wstał, wyjmując miecz.

– No dobra, okaże się z bliska. – Machnął na swoich ludzi. – Za mną!

Dwadzieścioro kilkoro ludzi z bronią w rękach wyłoniło się pomiędzy gęstych gałęzi i niespiesznie zaczęło schodzić w kierunku brzegu rzeki. Początkowo nikt nie zwrócił na nich uwagi. Potem zauważyły ich warty, ale te, widząc pewny krok i obojętne miny nadchodzących, wołały czmychnąć im z drogi, alarmując przy tym resztę wojsk. Oddział osłonowy na tym brzegu, w sile niepełnej setki, gotował się do walki, ustawiając się prostopadle do linii wozów czekających na swoją kolej do przeprawy.

– Będą nas chcieli otoczyć. – Virion natychmiast dostrzegł unikatową szansę w głupim, rutynowym postępowaniu obcego dowódcy. – Więc tak, Tani, Niki, wy od razu do wozów i podpalajcie. Chcę szybko dużo dymu.

– Zaraz będzie. – Woźnice i ciury obozowe na kozłach nie byli przeciwnikami dla dziewczyn.

– Hekke, ty bierz swoich kumpli.

– Jasne.

– I kiedy oni zaczną otaczać nas, to ty zacznij otaczać ich.

Młody szermierz kiwnął głową, że rozumie, ale po twarzy widać było, że jest daleki od osiągnięcia tego stanu rzeczy.

– Znaczący... Jak oni nas otaczają, to my ich? – upewniał się z tak niewyraźną miną, że idący obok Rohan tylko poklepał go po plecach.

– Uderzymy w środek ich linii – wyjaśnił Virion. – Wtedy oni przesuną swoje prawe skrzydło, żeby przepchnąć w stronę wozów, żebyśmy nie uciekali.

– Będziemy uciekać?

– No nie, ale facet ma pięciokrotną przewagę liczebną i wyłączył mózg, a włączył regulamin. No i dlatego kiedy oni zaczną nas otaczać, to ty się cofasz i usiłujesz wyjść na ich plecy. Albo się rozciągną w pogoni, albo odwrócą frontem do ciebie i będą otoczeni.

Hekke analizował to, co usłyszał, i próbował przetrwać.

– Aha – powiedział w końcu. – A jak nie będą chcieli zrobić tego, co mówisz?

– To ich zabijesz.

– Aha.

To przynajmniej było jasne.

Rohan kręcił głową, a Lirion teatralnie zasłaniał oczy. Obaj jednak wiedzieli, dlaczego akurat średnio rozgarnięty Hekke został dowódcą ich dwudziestu mistrzów miecza. Tylko on mówił ich językiem, operował ich pojęciami i mówił o sprawach w taki sposób, że były dla nich zrozumiałe. Elita małomiasteczkowych specjalistów od pojedynków na miecze wszakże również nie składała się z wyrafinowanych intelektualistów.

Piechociarze naprzeciw pospiesznie formowali szyk, woźnice z pomocnikami, widząc, co wyrabiają upiorzyca i nożownicza, zaczęli gremialnie uciekać, a grupa Viriona właśnie docierała do celu. Na drugim brzegu, gdzie przebywała już większość sił osłaniających przeprawę, nikt się chyba jeszcze nie zorientował w sytuacji.

– W sam środek.

Virion, Nolaan, Lirion i Rohan wysforowali się naprzód i pierwsi uderzyli na piechociarzy. Cztery pierwsze trupy runęły na ziemię. Koledzy zabitych zgodnie ze szkoleniem natychmiast zwarli szereg, a kiedy kolejne cztery trupy upadły na piach, zrobili to jeszcze raz. Dopiero po kolejnej czwórce zrozumieli, że chcą dokonać niemożliwego. Usiłowali więc zgnieść przeciwnika masą, zdeptać po prostu. Okazali się świetnie wyszkoleni i pełni pogardy dla śmierci.

W tym czasie ich dowódca realizował regulaminowy manewr. W przypadku znacząco mniej licznego przeciwnika należało go otoczyć i przyprzeć do przeszkody, którą w tym przypadku stanowił sznur wozów, pozbawiając go tym samym możliwości jakiegokolwiek manewru. W tym celu zaczął związać swoje prawe skrzydło i kazał atakować wzdłuż lewej flanki przeciwnika.

Problem w tym, że ludzie Hekkego zaczęli uciekać. I dowódca skrzydła stanął przed dylematem. Ścigać, ale otworzyć lukę we własnych szeregach? Czy domknąć okrążenie, ale wtedy w saku znajdzie się tylko czterech szermierzy? Przeważało ignorowanie własnych obserwacji. No przecież czterech ludzi to nie przeciwnicy dla setki bez mała, a dwudziestu właśnie próbowało mu umknąć.

No i stało się. Całe prawe skrzydło głupy osłonowej, trzydziestu żołnierzy, zaczęło gonić mistrzów Hekkego. A chłopakowi nie chciało się dzisiaj biegać daleko. Już po kilkunastu krokach zatrzymał się, unosząc rękę.

– Stój! – wrzasnął. – Wszyscy... przodem do przeciwnika.

Niecała dwudziestka specjalistów od indywidualnych pojedynków na arenie stanęła naprzeciw nadbiegającym żołnierzom. Ktoś się roześmiał, ktoś kłął głośno. Żołnierze zaczęli zwalniać.

– No chodźcie, chodźcie – zapraszał Hekke z fałszywą sympatią w głosie. – Nas jest mniej.

Żołnierze zdawali się nie słuchać. Błyskawicznie sformowali szyk i krok za krokiem zaczęli się zbliżać. Dopiero kiedy podeszli na odległość może dwóch wyciągniętych ramion, zrozumieli nagle, że teraz mają skrzyżować swoje proste i krótsze niż łokieć miecze piechoty ze specjalistycznym wyposażeniem do wywalczania miażdżącej przewagi w wyrafinowanej szermierce.

– O kurwa – wyrwało się komuś.

– Na nich! – wrzasnął Hekke i runął pierwszy do przodu.

Zmienił położenie swojego miecza z „ostrzem do góry” na „ostrzem w dół” i zabił zaskoczonego żołnierza lekkim ciosem z góry w szyję. Wykonał piruet na pięcie, chcąc uniknąć fontanny krwi, i znowu zmieniając chwyt na rękojeści swojej broni, wbił następnemu miecz po pachę. Szarpnął z całej siły, przekręcił i odzyskał broń tylko po to, żeby rzucić się na następnego.

Niestety, tym razem to żołnierz go zaskoczył. A właściwie jego bezwładne ciało, które umierając, przewracało się i siłą rzeczy, nie bacząc już na cios w splot, uderzyło Hekkego boleśnie w klatkę piersiową.

– Kurwa! Ktoś go już zabił!

Rozejrzał się. Stosunek sił kilkanaście na trzydzieści w przypadku piechoty i zawodowców w szermierce nie pozwalał na długą walkę, bo za szybko zabrakło przeciwników. Jego ludzie stali lekko zdyszani, choć główną przyczyną przyspieszonego oddechu była chyba poprzednia pozorowana ucieczka.

– Naprzód! – Hekke znowu runął do przodu, porywając swoich ludzi.

Tym razem dystans był krótszy, bo oddział osłonowy zawijał się właśnie wokół czterech szermierzy cofających się powoli i metodycznie w stronę wozów. Specjaliści od pojedynków uderzyli częściowo w bok, częściowo w tył tych sił. Wbrew pozorom potyczka jeszcze nie była rozstrzygnięta. Co prawda specjaliści z areny mieli epicką przewagę nad piechociarzami w starciu jeden na jednego. Ale żołnierze znali musztrę, umieli wykonywać manewry, potrafili działać jako zorganizowana grupa słuchająca do końca rozkazów. Szermierzy nikt nie nauczył manewrować, a podstawowe komendy, które potrafili zrozumieć i szybko wykonać, to „na nich!” albo „spierdalamy”. Można jeszcze było krzyknąć „w lewo” lub „w prawo”, licząc na to, że w zgiełku bitwy wszyscy usłyszą, co się do nich woła.

Dowódca piechoty co prawda zauważył zagładę swojego prawego skrzydła, ale szybkość tego, jak to się stało, zszokowała go i zaćmiła na moment. Zamiast wydać rozkazy mające przeciwstawić oddział nowemu zagrożeniu, pchnął gońca do dowództwa z prośbą o posiłki. Ale do sztabu droga daleka, przez rzekę, a poza tym czy wyżsi oficerowie będą skłonni uczynić cokolwiek, słysząc raport o dysproporcji sił?

Tymczasem ludzie Hekkego wpadli pomiędzy żołnierzy jak taran, rozrywając zwarty dotąd oddział na dwie części. Virion kazał swoim uderzyć bezpośrednio na dowodzącego piechotą setnika. W ciągu kilku chwil Nolaan, Lirion i Rohan wycięli mu przejście do sztabu, a on sam ściał oficera, nie dając mu nawet szans na zastawę.

Pozbawieni dowództwa żołnierze trzymali się dzielnie...

Jeszcze przez kilka chwil.

Potem od kłębowiska walczących zaczęły odrywać się pojedyncze sylwetki. A potem, po kilku oddechach dosłownie, prawie jak na rozkaz, żołnierze, którzy nie mieli bezpośredniej styczności z przeciwnikami, runęli do ucieczki. Wbiegli do wody dokładnie w momencie, kiedy z drugiej strony z brzegu schodziła właśnie odsiecz. Ostre gwizdki oficerów powstrzymały jednak świeże wojsko i kazały mu wracać. Taktyk dowodzący całym konwojem, widząc paniczną ucieczkę, wolał nie ryzykować i najpierw jednak rozpoznać teren.

Ludzie Viriona kończyli robotę na swoim brzegu. Tania i Niki krzyczały z jakiegoś wozu, żeby im pomóc, że tu są amfory z oliwą, niech każdy weźmie jedną i poleje jakiś wóz. Teraz dopiero wszystko będzie się ładnie fajczyć. Szermierze ruszyli gremialnie, kuszeni przez zew niszczenia cudzej własności. Tylko Rohan obok stał nieruchomo, czyszcząc metodycznie ostrze swojego miecza.

– Widziałeś te młokosy? Szczęśliwe, bo bitkę wygrały, wróg uciekł w panice, wszelkie dobra można niszczyć...

– Nie umknęło to mojej uwadze – mruknął Virion. – Zwycięstwo po naszej stronie.

– Tia. Tylko czemu żadnej satysfakcji nie czuję?

– Ty też?

– Ano. Wygraliśmy, pokonaliśmy, zniszczyliśmy wrogowi żywność. A jakie straty zadaliśmy legionowi?

I nagle, jakby się umówili, Virion i Rohan odpowiedzieli chórem:

– Żadne!

Zaczęli się śmiać.

– No i dobrze. – Virion ruszył w stronę zarośli, bo tu, gdzie stali, dym z płonącego taboru stawał się coraz gęstszy.

Zobaczył Hekkego, który sapiąc z wysiłku, odciągał na bok wielki i ciężki wór przewiązany sznurkiem.

– Co tam jest w środku?

Młody szermierz podniósł na nich roześmiane oczy.

– Ziarno!

– I dlaczego akurat ten worek ratujesz od płomieni?

– Bo mam nadzieję, że zjedzą zawartość – wyjaśnił Hekke. – A ja nasrałem do środka!



– Czy możesz mi nareszcie powiedzieć, o co chodzi? – Nerva sapiał okropnie, nie będąc przyzwyczajonym do pokonywania na własnych nogach dużych odległości. – No i dlaczego biegniemy?

– Nie biegniemy – osadziła go Taida.

Tempo ich marszu wynikało po prostu z szybkości marszu gwardzistów. No bo co? Skoro zabrali panią prokurator z miejsca, gdzie prowadziła śledztwo, i zaprowadzili do Pałacu, to mieli obowiązek także odprowadzić ją z powrotem. Tego przynajmniej zażądała, a ponieważ była w tej chwili bardzo dobrze notowana wiadomo gdzie, jej żądanie spełniono natychmiast i bez zbędnej dyskusji. No ale niestety, rzeczywiście pędzili po ulicach Syrinx. Do cesarskiej gwardii brano wyłącznie wysokich chłopców z bardzo długimi nogami.

– Powiedz... – Nerva nie mógł złapać oddechu.

– Nie powiem. Wolę pokazać ci dowód. – Nie zamierzała mu niczego ułatwiać. – Już niedaleko. – Pokazała ręką budynek składu z żywnością. – Wytrzymaj.

Jej szef nie wyglądał na człowieka, który byłby w stanie wytrzymać dalszy marsz. Ale nadzieja, która weń wstąpiła na widok celu, mogła sprawić, że przynajmniej nie umrze z poczucia beznadziei.

– Stać!

Taida powstrzymała gwardzistów przed głównym wejściem. Nie chciała ich odprawiać, mogli być jeszcze potrzebni, i ona postanowiła ich wykorzystać, skoro sam cesarz dał jej tak piękny, niespodziewany prezent. Nieskazitelną gwardia robiła wrażenie na wszystkich.

– Nie wiesz, jak się cieszę z twojego powrotu. – Skądś z boku podszedł do nich Taron. Najprawdopodobniej ukrył się w jakimś załomie, widząc wojsko, a wyszedł z ukrycia, dopiero kiedy ją rozpoznał. – Panie! – Skłonił głowę przed Nervą. Szef Taidy nie był jednak w stanie nic odrzec. Można powiedzieć, że walczył o oddech.

– Gdzie Anai?

– Tu, w środku. – Taron otworzył przed nimi drzwi i pomógł wejść do środka szefowi Zamku. On bardziej potrzebował pomocy.

Na ich widok z szerokiej ławy dla oczekujących petentów podniósł się mistrz tortur i wyciągania zeznań z opornych ludzi.

– Jak to? Ty tutaj? – zdziwiła się Taida. – Nie przesłuchujesz Oktanta?

– Oktant się powiesił – oznajmił Taron.

Nie mogła uwierzyć.

– Jak to się powiesił? I co się z nim stało?

– Trudno powiedzieć, bo różnie mówią. – Anai uklonił się pani prokurator. – Prawdopodobnie zobaczył przed sobą świetlisty tunel prowadzący do krainy Bogów...

– Ja nie pytam, co się z nim stało po śmierci, tylko przed! – krzyknęła Taida, tracąc nerwy.

– Aha. – Anai był łagodnego usposobienia i zachowywał spokój. – Otóż moim zdaniem on się nie powiesił – wykonał przeproszający gest pod adresem Tarona, który przedstawił inną wersję – tylko został powieszony.

– Skąd wiesz?

– Oktant wisi na strychu tego budynku, co niby jest typowe dla zgonów z własnej ręki. Sznur podczepiono do jednej z belek więźby dachowej i wciąż możemy mówić o typowości.

– Co więc jest nietypowe?

– Długość sznura.

– Wprost przeciwnie – wtrącił się Taron. – Długi sznur, skok z wysokości i śmierć następuje momentalnie przez przerwanie kręgosłupa. Dokładnie jak w przypadku ucięcia głowy.

– I to jest właśnie nietypowe – stwierdził Anai, który miał wielką wiedzę dotyczącą spraw ostatecznych ludzkiego ciała. – Najczęściej

samobójcy używają krótkiego sznura, wiążą sobie pętlę na szyi, wchodzą na taboret, przywiązują sznur do haka czy belki i wykopują taboret spod siebie. Następuje śmierć w wyniku uduszenia, koszmarnie długa i bolesna.

– A... ludzie nie wiedzą, że powinni użyć dłuższego sznura?

– W większości przypadków chyba wiedzą. Tak wynika przynajmniej z tego, co mówią odratowani. Ale wieszając się w ten sposób, boją się potłuc, gdyby sznur się urwał.

Taida wybałuszyła oczy.

– Ludzie, którzy chcą się zabić, boją się potłuczenia, jeśli im nie wyjdzie?!

– Tak.

Taron podniósł rękę.

– Zaraz – powiedział. – Ale z nietypowego sposobu w przypadku Oktanta nie wynika jeszcze, że ktoś go zabił.

– Oczywiście, że nie. Tyle że na miejscu nie znalazłem żadnego stołka ani podpory, która została odkopnięta. Choć to też jeszcze niczego nie dowodzi. Ofiara musiałaby zawiązać sobie pętlę na szyi, wspiąć się po elementach konstrukcyjnych na belkę poprzeczną więźby, wisząc na niej, przywiązać sznur do tej belki, a następnie opuścić się w dół na samych rękach, by uniknąć poplątania sznura, i dopiero wtedy skoczyć, a właściwie się puścić. Wyobraźcie sobie, czy którekolwiek z was mogłoby dokonać czegoś takiego, i to w dodatku w stanie silnego wzburzenia, bo samobójstwo nie jest jednak czynnością przypominającą zjedzenie śniadania.

– Fakt. – Taida nie miała wątpliwości. Mistrz tortur przekonał ją całkowicie.

– A ja bym dał radę – powiedział Taron po chwili zastanowienia.

Mistrz Anai zaczął się śmiać, a potem położył dłoń na ramieniu oficera.

– Wybacz, przyjacielu, ale silni, wytrenowani setnicy, mający w dodatku powodzenie u kobiet – tu dyskretnie zerknął na panią prokurator – nie są wzorcem ofiar, które mogłyby targnąć się na własne życie. Wy raczej nie macie powodu do tak drastycznego kroku.

– No tak – zgodziła się Taida. – Zatem dziękuję ci, przyjacielu, i za pomoc, i za rzeczowe wyjaśnienia. Płatnik jak zwykle przyniesie honorarium...

Anai przerwał jej, wykonując ujmujący ukłon.

– Uwielbiam współpracować z instytucjami państwowymi. Prywatni niby płacą nieporównanie więcej, ale zawsze są opóźnienia, trzeba się

użerać, kłócić, czekać Bogowie wiedzą ile. A państwo płaci zawsze o czasie i bezproblemowo.

Uklonił się raz jeszcze.

– Powodzenia.

Cała trójka odpowiedziała ukłonami.

– Cóż za sympatyczny człowiek – mruknęła Taida, kiedy wyszedł.

– Ciekawe, co mają do powiedzenia jego ofiary – szepnął Nerva i jak to on, od razu przeszedł do rzeczy: – Słowem, nie masz już żadnego dowodu do pokazania?

– Nie mam.

– No to koniec pieśni. Jest za późno na kontynuację śledztwa, wróg u bram i nigdy się nie dowiemy...

– To, że nie mam dowodu – przerwała mu brutalnie – nie znaczy, że nie wiem, kto dowodzi spiskiem w samej Syrinx.

Nerva wytrzeszczył oczy. Taron również.

– Co? Co?

Uśmiechnęła się.

– Tam, w Pałacu, w euforii powiedziałam, że właśnie teraz mistrz Anai przesłuchuje Oktanta. Byłam w euforii, nie wiedziałam, jak naprawdę przedstawia się sytuacja tutaj, więc byłam szczerą. W każdym razie sprawiłam, że jeden człowiek w Pałacu mi uwierzył. A ja zobaczyłam wyraz jego twarzy. Było na niej – Taida spuściła wzrok – totalne przerażenie.

– Kto? – podskoczył Taron. – Kto to był?

Nerva już wiedział. Na sali audiencji stał przecież obok.

– Szambelan – powiedział cicho. – I wszystko się, kurwa mać, zgadza. Tylko on miał dość władzy, żeby porazić państwowe instytucje, tylko on mógł umożliwić infiltrację Zamku, tylko on mógł dostarczać Geberikowi wszelkich informacji.

– No to chodźmy go aresztować – ucieszył się setnik.

– A cesarza aresztujemy przy okazji czy tylko mu pogrozimy za to, że nie dostrzegł zdrady pod swoim bokiem? – zapytał uprzejmie Nerva.

– To szambelan. On jest wyżej od nas – wyjaśniła Taida. – Już nie żyjemy. Już. Po prostu. Nie. Żyjemy.

Taron nie mógł uwierzyć.

– Zaraz. Przecież nie było czasu, żeby przysłać tu z Pałacu morderców do Oktanta.

– Toteż nie przysłali. Ludzie z zadaniem zlikwidowania źródła informacji żyli w otoczeniu właściciela tego składu od dawna – powiedział Nerva. – A zabili szefa dopiero na widok pani prokurator pod drzwiami.

Bez żadnego rozkazu z góry, bo to płotki, które niczego nie wiedzą i nie muszą myśleć.

– Aha. – Setnik zrozumiał to po swoimemu. – No to niekoniecznie już nie żyjemy – powiedział.

– Bo?

– Bo szambelan nie wie, że nie przesłuchaliśmy Oktanta. Żaden człowiek z obsługi składu się stąd nie wymknął. Więc wystarczy utrzymać ten stan rzeczy i nikt w Pałacu nie będzie wiedział, co my mamy, a czego nie mamy!

– Genialne – skwitował Nerva.

W Taidę również wstąpiła nowa energia.

– Robe! – krzyknęła. – Robe! Gdzie jesteś, do jasnej zarazy?!

– Tu jestem.

Zwalisty bosman pojawił się w drzwiach podręcznego składu, gdzie raczył się winem, co można było stwierdzić po ogromnym kubku w jego ręku. Widniał na nim wielki stempel winnicy.

– Żaden ze złapanych tu ludzi nie zdołał ci umknąć?

– Żaden.

– A złapałeś wszystkich?

– Wszystkich.

– No to teraz ich zabij.



Poprzedniego wieczoru zatrzymali się na ostatnim postoju przed Syrinx. Kody uparł się, żeby odwiedzić najbliższą wartownię i prezentując stosowne papiery, pobrać cesarskie barwy. Geniusz pieprzony i natchniony mistrz przewidywania. Już następnego dnia okazało się, że w pobliżu stolicy można przeżyć, jedynie mając imperialne orły przymocowane do ramienia. Na podejściu do przedmieść co chwila napotykali zaimprovizowane barykady, a przed nimi dwa, trzy trupy z bełtami sterczącymi z klatki piersiowej. Tego nie organizowało połowe wojsko, bo tu w ogóle nie było cesarskiego wojska w jakiegokolwiek znaczącej sile. Taki sposób obrony przed „buntownikami” – jak nazywano tu armię spiskowców – wymyślali sobie i wprowadzali w życie żołnierze z przydrożnych postów i wartowni, gdzie najwyższą szarżą był dziesiętnik. Na razie nie udało im się jeszcze upolować żadnego legionisty. Ale kupców i innych cywilów ubili już sporo. Jak widać, duch w cesarskiej

armii umierał ostatni, choć nie wiadomo, co będzie, jak ci tutaj zobaczą prawdziwego przeciwnika.

Nawiasem mówiąc, ową gotowość bojową chyba podtrzymywał pracujący na pełnych obrotach wydział imperialnej propagandy, którego pracownicy podnosili morale, rozsiewając krzepiące na duchu plotki. Przy każdej bowiem barykadzie pytano ich, czy zmierzająca na odsiecz Syrxin armia Viriona jest już blisko. Niezmiernie powodowało to u Hekkego paroksyzmy śmiechu. A kiedy się już uspokoił, wyciągał w stronę wojaków ręce niczym kapłan do błogosławieństwa i oznajmiał:

– Chwalmy poddanych, którzy ufają temu, co mówi władza! Armia Viriona to my!

W tym miejscu padało z reguły pytanie:

– A... A gdzie reszta waszych wojsk, panie?

– O tu. – Hekke odwracał się i wskazywał brzemioną Niki, Tanię w kolorowej sukience oraz Kasjopeę w prostej tunice, za to z miną księżniczki, które z reguły rozplotkowane podczas jazdy zostawały z tyłu.

Czasem w ten sposób udawało mu się rozbawić nawet Nolaana, który zaczął nazywać Hekkego strategissimusem. Generalnie jednak widoki wokół były bardzo ponure. Ludzie opuszczali swoje domy. Jedni, żeby uciekać na prowincję, inni, by schować się za murami stolicy. Według teorii Rohana, mijając się wzajemnie, pewnie pukali się w czoło. Na razie panika, krzyki, płacze i rozdzieranie szat należały do rzadkości. Ludzie pakowali się gorączkowo, jeszcze organizowali jakieś grupki rosłych mężczyzn, płacąc im za ochronę dobytku. Jeszcze nikt niczego nie podpalał, czy to chcąc ukryć ślady swoich zbrodni, czy po to, aby nie dawać najeźdźcom schronienia. Jednak wrażenie, które każdy miał przed oczami z dawnych czasów, kiedy to właśnie przedmieścia tętniły życiem, pulsowały beżmiarem oferowanych przez siebie usług, handlu, rozrywki, schronienia, należały bezpowrotnie do przeszłości. Nerwy, strach, niepewność i zagonienie – te odczucia dominowały dzisiaj. A okropny nastrój udzielał się też powoli ludziom z grupy Viriona, przybitym dodatkowo własnym doświadczeniem. Szarpali przecież siły legionu na całej drodze od pierwszego spotkania aż tutaj. I wyglądało to, jakby mucha kąsała słonia. Żadnych choćby skromnie liczących się strat, żadnych opóźnień nie udało się sprawić. W pewnym sensie byli więc jak ci mieszkańcy opuszczający swoje schronienia. Jechali za mury, bo innego pomysłu nikt nie potrafił przedstawić.

Kiedy musieli zatrzymać się i zsiąść z siodła, żeby napić konie, Nolaan, przybity tym, co działo się na przedmieściach, powiedział smętnie:

– Co za czasy parszywe. Nie tak to wyglądało, kiedy moi przodkowie budowali to imperium.

– Czasy zawsze wydają się parszywe dla ich uczestników, choć wcale takie nie muszą być – Rohan usiłował pocieszyć księcia. – Wyobraź sobie, co czuli twoi przodkowie...

– Pasając kozy na łące – wszedł mu w słowo Hekke – i grożąc kijami chłopakom z innej wioski. „Budujemy imperium”, wrzeszczeli chyba po pijaku.

Nolaan podniósł rękę, ale Virion zdążył chwycić go za nadgarstek.

– Hej! Hej! Żadnych mi tu bójek jeden z drugim!

Książę zwiesił ramiona.

– Kiedyś kilkuset Luańczyków powstrzymało całą armię na przełęczy...

– A gdzie ty tu, kurwa, przełęcz widzisz?! – wrzasnął Hekke. – Po horyzont teren płaski jak dupa!

– Już! Spokój! – Virion wszedł między kłótników i rozsunał ich energicznie.

Sytuację uratowała dopiero Tania, kładąc dłoń na pośladku Hekkego i głaszcząc intensywnie.

– Twój tyłek wcale nie jest płaski – roześmiała się. – A mój tym bardziej. Chcesz sprawdzić?

Niki tymczasem podeszła do Nolaana i spojrzała na niego z wyrzutem.

– I ty z tym strategusem...? Stratifusem...?

– Strategissimusem. Nie, piękna. Wolę patrzeć w bezmiar oceanu, który Bogowie zakłęli w twoich oczach.

Virion zwrócił się do Rohana, rozkładając ręce.

– O, stary Nolaan wrócił.

– Ano, kobiety mają ten dar awaryjnego spuszczenia nadmiaru miłości własnej z chłopców.

Lirion podszedł z boku i wsparł się na ich barkach.

– Powiedzcie, co dalej, dzieci? – zapytał.

– Trzeba odnaleźć Taidę – mruknął Virion.

– Ale to może być niepodobieństwo, żeby ją znaleźć. Podobno w Syrinx większy burdel i zamieszanie niż tutaj.

– Ja ją znajdę – wtrącił się Kody.

– Niby jak? Przecież w ostatnich meldunkach było, że nie ma jej na Zamku.

– Przez prefekturę. Najpewniej będzie przez samego Girona.

– Co? On jej stróż jakiś?

– Ja tam plotek nie słucham, ale on ponoć beznadziejnie w niej zakochany.

– Aaaa, to inna sprawa. Będzie wiedział.

Rohan spojrział z nagłym zainteresowaniem.

– To oni tak między służbami ten tego? I minister wojny z imperialnym rejentem też mają się ku sobie?

– Nie powiedziałem, że Taida z Gironem mają się ku sobie! – obruszył się Kody. – Mówiłem tylko, że on zakochany.

– No popatrz, popatrz. – Stary żołnierz zdawał się nie słyszeć, ogarnięty własną wizją. – Przykładowo taki imperialny kat z naczelnym chirurgiem... I nikt nie wie, co kto komu w uścisku utnie.



Taida wyłamywała z nerwów palce. Własne oczywiście. Nie mogła się powstrzymać również przed zaciskaniem szczęk. Taron bębnił knykicami o blat wielkiej ławy, która kiedyś służyła do przyjmowania i przeliczania towarów. Jedynie Nerva, stary pałacowy wyjadacz, zdawał się pogrążony w relaksującym spokoju.

– Trudna sytuacja – westchnął. – Zastanawiam się, co moglibyśmy zrobić, ale jedyną możliwością wybrnięcia z tego położenia jest zawiadomienie cesarza.

– Jako cesarska przyjaciółka mam możliwość uzyskania natychmiastowego posłuchania u samego imperatora.

Nerva uśmiechnął się z cieniem politowania na twarzy.

– To się tylko tak mówi – westchnął znowu. – Oczywiście twojej prośby nikt nie zlekceważy, ale spotkanie z najwyższym w praktyce może oznaczać spotkanie z kimś z pierwszej piątki.

– Jeśli to będzie Marantis, jego nałożnica, to wszystko w porządku.

– A jeśli to będzie szambelan?

Zapadła cisza przerywana tylko sflumionymi przekleństwami Tarona.

– Zresztą jego żony również nie chciałabyś spotkać – mruknął Nerva. – Zapewniam.

– Co? Też jest w spisku?

– Z całą pewnością nie, ale jest chorobliwie zazdrosna. A ty nie dość, że jesteś atrakcyjną kobietą, masz dostęp do ucha władcy, to jeszcze uważa się ciebie za przyjaciółkę pierwszej nałożnicy. Trudno wymyślić gorszą konfigurację.

– Ale tu chodzi o los państwa.

– A tam chodzi o pałacowe rozgrywki i przerost kobiecej ambicji. Żadne upokorzenie nie zostanie ci darowane.

– Uwierz mu. – Taron położył rękę na ramieniu Taidy. – Zresztą szansa trzy do dwóch nie jest w porządku, bo jeśli trafisz nie na tego, co trzeba, to... – nie dokończył.

– Zaraz, zaraz. – Tym razem Nerva położył dłoń na ramieniu Tarona, parodiując jego poprzedni gest. – Ja wcale nie powiedziałem, że jest dwa do trzech. Nadinterpretowałeś.

– A jak jest?

– Tylko cesarz mógłby podjąć jakąś wiążącą decyzję, kierując się wyłącznie sympatią, wiarą czy przekonaniem, że jeśli dotąd się Taidzie udawało, to ma rację i teraz. Pozostali mogą jedynie przekazać słowa pani prokurator. Ale co przekażą, skoro nie mamy żadnych dowodów poza wyrazem twarzy szambelana?

Ten argument był miażdżący.

– A gdybyśmy tam poszli wszyscy? – zapytał Taron, czepiając się ostatniej deski ratunku.

– Chcesz w trójkę zdobyć przewagę liczebną nad dworem? – zakpił Nerva.

– To niemożliwe – odparła Taida. – Przecież ci mówiłam, że tajne przejście, które mi pokazano, jest przeznaczone wyłącznie dla jednej osoby. Jeśli będziesz towarzyszył, zostaniesz natychmiast zabity.

– Wciąż nie rozumiem dlaczego.

– No jak to? – zachnęła się Taida. – To droga do najbliższego otoczenia cesarza. Jeślibym cię tamtędy przyprowadziła, to może oznaczać, że mnie zmusiłeś, że szantażujesz albo wzięłeś zakładnika, na którym mi zależy. Nikt nie będzie ryzykował. Albo sama, albo w nieznanym towarzystwie...

– Które to towarzystwo zostanie natychmiast wyeliminowane – dokończył za nią Nerva. – I nie będziesz w stanie niczego nikomu wytłumaczyć, bo to są działania na bardzo niskim szczeblu.

– Procedura – szepnęła Taida. – I jesteśmy w czarnej dupie.



Kody wracał z wizyty w prefekturze bardzo zadowolony. Nie dość, że Giron podjął go osobiście, wprowadził w sytuację, to oczywiście wiedział, gdzie Taida znajduje się w tej chwili. Stara, dobra Syrinx. Mimo niepokoju na ulicach, paniki, atmosfery zaszczucia i zabiegania ci, którzy powinni, byli dobrze poinformowani. Chaos nie wpływał na efektywność imperialnych służb, przynajmniej w niektórych aspektach – towarzysko-plotkarskich, zakpił Kody w myślach.

Resztę towarzystwa udało się odnaleźć w umówionym miejscu, na placu młyńskim, który z mąką i mieleniem miał niewiele wspólnego. Jego nazwa pochodziła chyba od zamiany w pył zawartości sakiewek klientów najdroższych karczm w mieście, które to właśnie miejsce obrały za właściwe dla siebie. Istne zagłębienie. Co zresztą widać było z daleka po ekscytacji Hekkego.

– No nie uwierzycie – wykrzykiwał w stanie najwyższego podniecenia.

– Zachodzę, pytam, a to przecież najdroższy zajazd w stolicy. I mówią, że są miejsca, do wyboru! Oferują wszelkie usługi, łącznie z panienkami do pokoju, za którymi już wszyscy przecież tęsknimy...

Tania poklepała go po plecach.

– No szczególnie ja tęsknię za panienkami, a Niki i Kasjopea jeszcze bardziej – mruknęła zgryźliwie.

– Ale tam wszystko mają! Za grosze teraz. Za grosze!

– Fakt, że takiego luksusu to nigdzie nie widziałem – włączył się Rohan.

– Zapraszam do mnie – uśmiechnął się Nolaan.

– Nie, nie. – Virion wykonał palcem gest zaprzeczenia. – Pod twoim pałacem to się teraz roi od spiskowców. Nasłani mordercy, żeby czekać na ciebie, to się muszą łokciami w tłumie chętnych rozpychać.

– Co fakt, to fakt. Ale ludzie zdrożeni, jakiś ludzki popas by im się przydał.

I tu Kody uznał dopiero, że nadszedł moment, żeby się wtrącić.

– Nic z tych rzeczy, panie i panowie. Cesarstwo wzywa i obowiązek.

– No ale przecież jakbyśmy zaszli na chwilę, toby imperium od razu w piach nie runęło – upierał się Hekke.

– Już ja znam twoją chwilę – wtrącił się Virion. – Amfora wódki, trzy baby i chwila rozciąga się na dwa dni.

– Właśnie. – Kody nie zaprzętał sobie głowy chętnymi na wypoczynek, zwracając się bezpośrednio do dowódcy. – Wiem, gdzie teraz jest Taida. Według Girona bardzo potrzebuje wsparcia.

– Czy to ten Giron, co się w niej kocha? – zapytał Lirion.

Kody rozejrzał się przerażony. Byli w Syrinx i stare nawyki wróciły natychmiast. Nie powinno się mówić takich rzeczy w miejscach publicznych.

– Ja nie wiem, kto się w kim kocha, i nie zajmuję się plotkami.

– No niedawno mówiłeś co innego.

– Ciiii!

– Co „ciii”, co „ciii”? Jeśli to jej kochanek, to pewnie przewrażliwiony i nie ma się co spieszyć.

Kody wypuścił powietrze z płuc, jednocześnie stykając wargi tak, że wyszedł z tego długi dźwięk: „pfrpfrpfrpfr”...

– Szefie! – Znowu spojrzął na dowódcę. – Czy mógłbyś zapanować nad sytuacją?

– Ależ jak najbardziej panuję – uśmiechnął się Virion. – Problem w tym, że nie powiedziałaś, co powinniśmy zrobić.

– Aha. – To zdanie otrzeźwiło Kody’ego. – Rzeczywiście.

– No.

– Powinniśmy natychmiast pójść do Taidy i udzielić jej pomocy.

– No i widzisz. – Virion pogłaskał go po głowie, a potem skinął na resztę ludzi. – Wymarsz.

Nawet Hekke nie ośmielił się dyskutować, choć komenda nie była głośna i nie zawierała w sobie żadnej groźby.



Robe nie należał do ludzi trudniących się wysilaniem umysłu. Złośliwi twierdzili, że w jego przypadku nie było czego wysilać, ale też, trzeba przyznać, nigdy nie mówili mu tego prosto w oczy. Tym razem chyba po raz pierwszy od czasu przybycia do Syrinx na obliczu bosmana zagościło coś, co od biedy można byłoby nazwać... ekspresją!

– Co się stało?! – Nawet Taron był zaskoczony.

– Gwardia przyszła.

– Jaka gwardia?

– Cesarska.

– Hm. Przecież gwardia stoi przed tym budynkiem.

– Druga przyszła. Taka sama.

No, tego już było za dużo. Taida, Nerva i Taron podeszli do drzwi, żeby zobaczyć, co się dzieje. Niesamowite. Na zewnątrz rzeczywiście można było ujrzeć drugą setkę reprezentacyjnej imperialnej gwardii. Dowódcy obu oddziałów właśnie rozmawiali ze sobą, gestykułując gwałtownie.

– O co się kłóć? – zapytał Nerva.

– Ten nowy chce, żeby Taida z nim poszła – tłumaczył Robe zawile – a ten stary, żeby nie szła, bo on ma rozkaz pilnować. Ten nowy mówi, że jego rozkazy świeższe i dlatego ważniejsze, ale ten stary nie chce słuchać, bo mówi, że jego rozkazy wydano mu w obecności cesarza i byle kto nie może go z nich zwolnić.

– Rozumiesz coś z tego? – Taida spojrzała na Nervę.

– Owszem. To szambelan ich wysłał. Mają cię przyprowadzić prosto w jego łapska, a on cię łaskawie ukatrupi, zabije też gwardzistów, którzy cię przyprowadzili, usunie ze skutkiem śmiertelnym urzędników, którzy brali w tym udział...

– Czekaj – przerwała mu gwałtownie. – I to cesarz chce mnie zabić?

– Zwariowałaś? Przecież przed chwilą cię chwalił.

– Więc szambelan jest aż tak władny?

– Aż tak. Aż tak – przedrzeźniał ją okrutnie. – I zabije cię pod samym bokiem cesarza, ale nie na jego oczach. A wszyscy w to zamieszani również natychmiast opuszczą ten pełen łez padół.

Taida potrząsnęła głową. Najwyraźniej w jej umyśle nie wszystko mieściło się naraz. Może potrząsając głową, próbowała więc zwyczajnie wszystko w niej poukładać?

– I zabiją mnie tak po prostu? – bezwiednie wypowiedziała tę myśl na głos.

– Ależ nie – zaprzeczył Nerva. – Ciebie zabiją z konkretnego powodu. Tak po prostu to zabili dwóch szefów służb podczas audiencji.

– Uciekajmy! – krzyknął Taron.

– Gdzie? – parsknął Nerva. – Słuchajcie. Oni tam teraz – wskazał na dwóch pograżonych w kłótni oficerów – rozstrzygają sobie sprawę na szczeblu gwardyjskiej biurokracji. Obaj nie są wprowadzeni w żadne spiskowe informacje, to po prostu jeden kogut pieje na drugiego, więc do niczego nie dojdą. Ale to nie będzie trwało do wieczora. Poślą do Pałacu po rozstrzygnięcie sporu kompetencyjnego, a stamtąd przyjdzie już facet w randze taktyka, każe doprowadzić cię do pałacowego kata, który dziś jeszcze zakończy twoje życie.

– To może ukryj się w Pałacu? – Taron sądził, że proponuje wyjątkowo sprytnie. – Skorzystaj z tajnego przejścia i liczymy na to, że tam znajdzie się Marantis, a nie szambelan.

– Otrzeźwiej – westchnął Nerva. – Przecież nie mamy do czynienia z idiotą. On już dawno obsadził wszystkie możliwe wejścia swoimi ludźmi.

– To co robić?

– Zaatakuj gwardzistów i tyle.

– Czym? Ludźmi Robego z drewnianymi pałkami?

– Nie. Zaatakuj tych nowych gwardzistów swoimi gwardzistami, póki cię jeszcze chcą słuchać. Krzyknij, że to zdrada czy coś tam, i niech jedni rzucą się na drugich. Wtedy już na pewno posłańca nigdzie nie wyślą.

– A posłuchają?

– Zaraza ich wie. A masz inny pomysł?

– Czekaj... czekaj... To, co proponujesz, to podniesienie ręki na samego cesarza.

Nerva wkurwiony chwycił ją za rękę.

– Taida! – wykrzyknął. – Dzisiaj cię zabiją! Rozumiesz to?

Ponieważ dalej nie chciała przyjąć jego słów do świadomości, pociągnął ją na schody przed budynkiem. Wyciągnął rękę do góry.

– Patrz! To jest słońce, a to błękitne niebo. Przyjrzyj się dokładnie, bo dziś jest ostatni dzień twojego życia! I niebo, i słońce widzisz ostatni raz! Rozumiesz? To jest ostatni dzień twojego życia!

– Bo... więc... co?

– Jak to co? Weź sprawy we własne ręce, bo tobie już jest wszystko jedno! Nocy już nie dożyjesz. Nie zobaczysz już nigdy gwiazd!

– Więc mam podnieść rękę na majestat?

– Bogowie... Już jesteś martwa, tak jak ja, jak Taron, Robe i inni. Jak ci gwardziści na placu. Już nie żyjemy. A trup nie może na nikogo podnieść ręki. Ale za to... to już ostatnia decyzja w twoim życiu. Dalszych nie będzie.

Taida stała na schodach, nie mogąc się poruszyć. Naprawdę dziś umrze? Żegnajcie, słodkie sny, żegnaj, radości. Miłość? Już jej nie doświadczy. Nie zanurzy się w ciepłej wodzie strumienia, nie położy naga na łące, tonąc w zapachu ziół... A może podjąć decyzję? I zaatakować gwardzistów? Tym samym podniesie rękę na cesarza. Szansa żadna, ale może trochę odwlecze wyrok, który już na nią zapadł. Nie, śmierć śmierci nierówna. W tym drugim przypadku można by nią straszyć nawet dzieci katów.

Popatrzyła wokół rozpaczliwie.

– Podejmij decyzję. – Taron dotknął palcami skóry na jej ramieniu. – Cud nie nastąpi. Ty musisz coś zrobić.

Opuściła głowę. Tak bardzo chciała ją oprzeć na ramieniu swojego mężczyzny. Marzyła o jego silnych ramionach. Ale nie. Pani prokurator nie może rozkleić się w obecności ludzi na placu. Kurwa! Kurwa! Cudu nie będzie.

Gwałtownie poderwała głowę.

W tym momencie zza rogu składu żywności wyszedł mężczyzna, który rozglądał się, najwyraźniej kogoś szukając. Zdecydowanie przyspieszył kroku, kiedy ją zauważył. A kiedy podszedł bliżej, i ona go rozpoznała. Kody.

– Pani! – Funkcjonariusz zgiął się w ukłonie. – Jak miło cię widzieć.

– Naprawdę cała przyjemność po mojej stronie. – Jej wyznanie nigdy nie było tak szczere. – Czy Virion jest z tobą?

– Oczywiście. Razem ze swoimi ludźmi.

Nerva wydał z siebie ni to stęknienie, ni to zdławiony okrzyk. Wzniósł ramiona ku niebu jak kapłan do błogosławieństwa, z tym tylko, że kapłan ma otwarte dłonie, a on miał zaciśnięte pięści.

– No i okazała się wola najwyższych – zawołał. – Cud właśnie się zdarzył.

Szef cesarskich służb bezpieczeństwa opuścił ramiona. A potem spojrzał Taidzie prosto w oczy.

– Kobieto, masz w ręku bicz Boży! Atakuj!

Rozdział 9



Virion ze swoimi ludźmi poruszali się pieszo. Biorąc pod uwagę chaos, który zaczynał ogarniać ulice Syrinx, było to najlepsze rozwiązanie. Z pełnomocnictwami Zamku w rękach można było oczywiście używać koni, ale w zaistniałej sytuacji nie miało to większego sensu, tym bardziej że podkute do warunków panujących na bezdrożach kopyta średnio się nadawały do miejskich bruków. Rozprostowanie kości nikomu z oddziału nie przeszkadzało. Jedynym malkontentem była tylko Kasjoepa, która chyba nigdy w życiu jednego dnia nie zrobiła takiej liczby kroków. Co innego bowiem spacerować w parku, co innego uprawiać sport, a zupełnie co innego chodzić na własnych nogach po to, żeby coś załatwić. Poruszanie się na piechotę jako sposób pokonywania dystansu w mieście zupełnie nie przypadł księżniczce do gustu.

– Daleko jeszcze do tych okropnych składów? – pytała jęklwym głosem.

– Już dochodzimy – odparła Niki.

– Jesteś pewna? Tak dobrze znasz miasto?

– Nie znam. Ale widzę Kody’ego na rogu, jak do nas macha. O ile dobrze rozumiem jego gesty, mamy przyspieszyć.

– O nie! Nie będę biegła dla przyjemności jakiegoś urzędasia.

– Krok marszowy! – zakomenderował Virion, nie zważając na utyskiwania księżniczki.

Oddział przyspieszył gwałtownie.

– Dobrze, że już jesteście. Sprawy przybrały dramatyczny obrót.

– O? – obruszyła się Kasjoepa. – A dotąd to jakie były? Sielankowe?

Kody nie zamierzał wdawać się w dyskusję. Wskazał im tylko kierunek, a Nolaan zajął się księżniczką i ugłaskiwaniem jej urażonej duszy.

Kiedy skręcili w szerszą ulicę, przystosowaną do poruszania się wozów transportowych, i wyszli zza bocznej ściany składów żywności, ich oczom ukazał się przedziwny widok. Po obu stronach traktu stały

naprzeciw siebie dwie setki cesarskiej gwardii. Ich oficerowie kłócili się o coś na środku. Dalej, przy głównym wejściu do magazynu, zobaczyli Taidę, Nerve i jakiegoś żołnierza, sądząc z tego, jak trzymał się blisko, pewnie ochroniarza pani prokurator. Kody poprowadził ich bokiem w tamtą stronę.

Na widok Kasjopei Taida również ruszyła ku nim.

– Pani! – Pochyliła głowę w ukłonie. – Jakże się cieszę, widząc cię w zdrowiu!

– Pani! – Córka wielkiego księcia Królestwa Troy, mimo że nie miała na sobie balowej sukni, a jedynie podrózną tunikę, wykonała pełny pałacowy ukłon. – Nie wiem, jak dziękować ci za wybawienie z opresji. Na zawsze pozostanę twoją dłużniczką.

– Ja bardzo przepraszam – przerwał im rozdygotany Nerva. – Ja również się cieszę i nigdy w życiu nie było mi tak miło, ale czas nam się kończy. – Wskazał obu setników gwardii, którzy właśnie dochodzili do porozumienia, że w celu uaktualnienia rozkazów najlepiej będzie wysłać gońca do Pałacu.

Taida jeszcze raz pochyliła głowę przed księżniczką, a potem podeszła do Viriona. Najchętniej rzuciłaby się w ramiona temu barczystemu mężczyźnie z przewiązaniem wstążką warkoczem kołyszącym się z tyłu głowy. Ze wszystkich sił walczyła z rozmiękczającym uczuciem ulgi, którą poczuła na jego widok. Dziwna jest natura ludzka. Nigdy nie sądziła, że tak ucieszy się na widok zabójcy niegdysiejszej miłości jej życia. A może to po prostu Taron zdążył wykurować jej duszę i teraz już reagowała jak zwykła kobieta, a nie dogłębnie zraniona kochanka? A może to tylko czas leczył rany? Kto wie.

– Mamy bardzo pilną sprawę!

Virion uśmiechnął się przyjaźnie, kojąco, a jednocześnie twardo i bardzo po męsku. Przynajmniej Taida takie uczucia wyczytała na jego twarzy.

– Kogo mam zabić? – zapytał.

– Trzeba uciąć głowę setnikowi gwardii.

Twarz mu nie drgnęła, nie zawahał się ani na moment, nawet nie zmrużył oczu.

– Mam tu specjalistę od ucinania, rozcinania i generalnie płatania ludzi. – Pstryknął palcami. – Rohan?

– Tak, szefie? – Stary żołnierz podszedł bliżej, wyjmując z uprząży swój ogromny miecz.

– Utnij głowę setnikowi gwardii.

Rohan spojrział we wskazanym kierunku.

– Któremu?

– Temu! – Nerva, nie mogąc opanować wewnętrznego dygotu, beczelnie wycelował palec we właściwego. – Temu!

Rębało tylko wzruszył ramionami. Profesjonaliście było wszystko jedno. Ruszył szybciej w kierunku oficerów pogrążonych w rozmowie. Nawet się jakoś specjalnie nie składał do ciosu. Kiedy dotarł do celu, ugiął jedynie lekko prawą nogę i wyprowadził klingę głęboko zza pleców, szerokim pociągnięciem obu ramion.

Głowa gwardzisty została ucięta z taką siłą, że wyprysnęła wybita do góry jak makabryczny pocisk z katapulty i brocząc krwią, zatoczyła łuk na niebie, obracając się lekko. Potem runęła w dół, rąbnęła o bruk, odbiła się i uderzyła w pancerz jednego z żołnierzy w szeregu.

Zdekapitowane ciało w tym czasie zrobiło dwa kroki do przodu i osunęło się na drugiego oficera, który pozostał przy życiu.

– To... to... – Bardziej zaskoczony niż przerażony gwardzista, oblewany krwią z obu tętnic szyjnych, długą chwilę nie rozumiał, co się stało. Odsunął się odruchowo, potem zdjął z szyi wielką białą chustę i zaczął się wycierać. – To zamach na imperatora!

– W rzeczy samej! – Nerva podskoczył natychmiast, aby znaleźć się we właściwym miejscu. – To zamach! To spisek! – Jego dłoń oskarżycielsko wskazywała na ciągle tryskające krwią ciało na bruku. – To buntownik przeklęty! Spiskowiec! Oni chcą zawładnąć cesarstwem.

Naczelnny dowódca na Zamku z doświadczenia zgromadzonego przez lata swej pracy wiedział, że w takich chwilach należy krzyčeć najgłośniej ze wszystkich, najbardziej pomstować i najgoręcej się domagać. Należy również bezwzględnie popierać władzę w danym miejscu, wytrącając jej w ten sposób wszelkie argumenty.

– Ja złożę raport cesarzowi! – wydarł się oficer gwardii.

– Tak! Trzeba donieść cesarzowi! – zawył Nerva. – Wszyscy musimy natychmiast udać się do Pałacu! Wszyscy! Natychmiast!

Podejrzliwość nie opuszczała oficera.

– Nikt nie uniknie sprawiedliwości! – ryczał. – Wszyscy do dyspozycji imperatora!

– Tak! – potwierdził natychmiast Nerva. Mimo faktu, że musiał wrzeszczeć, na spokojnie realizował swój plan, którym przecież było wprowadzenie swoich do Pałacu i powiadomienie cesarza, aczkolwiek niekoniecznie o tym, o czym chcieli powiedzieć gwardziści. – Wszyscy obecni w tym miejscu natychmiast do Pałacu! Wszyscy bez wyjątku! Nikt nie może odejść!

– Każdy musi zostać dostarczony pod jurysdykcję służb bezpieczeństwa! – Oficer gwardii rozpałał się coraz bardziej.

Nerva tym razem odezwał się spokojnie:

– Służba bezpieczeństwa to ja.

Patrzył w rozszerzające się ze zdumienia oczy oficera, pod które podsunął swoją odznakę ze złota.

– Ja jestem szefem Zamku, a to – wskazał Taidę – mój zastępca. A ten zdrajca chciał ją uprowadzić w nieznanym kierunku.

– Do Pałacu przecież.

– Tak mówił. A gdzie naprawdę, nie wiesz. – Głos Nerva był cichy, lecz nieznoszący sprzeciwu. – Teraz my wszyscy tutaj pójdziemy do Pałacu i wyjaśnimy sprawę przed cesarzem. Ten, kto nie jest winny, nie obawia się przecież stanąć przed obliczem majestatu. Prawda? – Umilkł dla wzmocnienia napięcia. – Czy też może nie chcesz poddać się konfrontacji w obecności przełożonych?

Piękny manewr słowny. Z petenta u władzy w danym miejscu i w danej sytuacji Nerva ślicznie zmienił miejsce, stając się reprezentantem władzy wobec rozwoju wypadków. I chciał przecież tego samego, czego chciał oficer dowodzący gwardią. Ale teraz to Nerva rzucał kości. I w ten sposób morderstwo przedstawiciela cesarza, określane zazwyczaj jako zamach stanu, nie zostało natychmiast ukarane, choćby wzięciem sprawców w dyby i dostarczeniem do kata. A szef Zamku kuł żelazo, póki gorące.

– Zadbaj, żeby nikt nie zdołał umknąć z tego placu – rozkazał. – Wszyscy mają iść z nami do siedziby władcy. To zbyt poważna sprawa, żeby cokolwiek zlekceważyć. Tu nawet najmniejszy drobiazg ma kardynalne znaczenie!

Ale przekręcił! – Taida westchnęła z ulgą, widząc, jak zmienił się układ sił. Zwiedziony gwardyjski setnik zapytał nawet, co ma zrobić z drugą setką żołnierzy.

– No przecież prości szeregowi są niewinni – tłumaczył mu cierpliwie Nerva. – To twoi koledzy, więc weź ich pod rozkazy.

Nawet Nolaan kręcił głową w niemym podziwie nad kunsztem grubego polityka. Lirion potakiwał, Rohana niezbyt to obchodziło, a Hekke pewnie nie zrozumiał, o co chodzi. Kobiety z oddziału zajmowały się głównie obserwacją Taidy, o której dużo słyszały, a której osobiście żadna z nich jeszcze nie widziała.

Kiedy gwardziści zaczęli formować szyk, Nerva podszedł do Viriona.

– Miło mi osobiście poznać człowieka legendę – powiedział ściszym głosem.

– Czyli mnie? – zdziwił się Virion. – Mnie również miło.

– Niestety, będziemy musieli wykonać jeszcze jedną woltę. I będę bardzo potrzebował waszej pomocy.

– Hm. Wynajmując mnie do roboty, pani Taida przypieczętowała umowę głębokim pocałunkiem. Czy takie są zwyczaje na Zamku i my również będziemy musieli się całować?

Nerva roześmiał się i położył dłoń na ramieniu Viriona. A potem zbliżył usta do jego ucha.

– Nie. Ale mogę jeszcze raz podesłać Taidę albo, wedle gustu, nawet jakąś młodszą urzędniczkę w celu przypieczętowania.

Obaj zaczęli się śmiać, co sprowokowało Taidę do cierpkiej uwagi, że wesołość nie jest na miejscu, w chwili kiedy wszyscy zaraz stracą swoje głowy.

– Nie wtrącaj się, bo kupczę właśnie twoimi wdziękami – uciął jej wypowiedź Nerva.

– Jeśli już do tego doszło, to całkiem przepadliśmy – odcięła się pani prokurator.

– No nie całkiem, ale problem do rozwiązania mamy naprawdę poważny.

Setnikowi gwardii udało się nareszcie zakończyć formowanie szyku z udziałem nadprogramowych żołnierzy i można było ruszyć w stronę Pałacu. Nerva zajął strategiczną pozycję w samym środku grupy szermierzy.

– W czym problem? – zapytała Taida.

– Ten pętał, który tu dowodzi, nie zaprowadzi nas przed oblicze cesarza.

– Oczywiście, przecież za niska szarża.

– Owszem. Zaprowadzi więc nas albo do koszar, albo nawet do sali audiencji, gdzie będziemy czekać na czyjąś decyzję, co dalej. Ale nie będzie to decyzja imperatora. Sprawa, choć bardzo poważna, nie uruchomi władcy osobiście.

– Rzeczywiście. – Taida przygryzła wargę. – Ktoś władny będzie musiał się najpierw zorientować, potem dowiedzieć szczegółów i dopiero na końcu...

– Jak myślisz? – przerwał jej Nerva. – Czy szambelan obstawiał swoimi ludźmi wszelkie możliwe kanały informacji?

– No jasne.

– No to do cesarza dotrze jedynie wieść o naszej egzekucji.

– A na czym polega trudność w jej uniknięciu? – wtrącił się Virion.

– Musimy się dostać do cesarza, a nie do jego wrogów.

– Wystarczyłaby nam trochę łatwiej osiągalna Marantis – dodała Taida. – Ale nikt nas do niej nie dopuści. A co ważne, musimy się tam dostać w grupie, z bronią. Bo zlikwidowanie kogokolwiek na korytarzu nie sprawi szambelanowi żadnego kłopotu.

– Rozumiem.

– Ja mogę tam wejść z bronią – powiedział Nolaan. – I niech spróbuje mnie ktoś nie wpuścić.

Nerva tylko machnęła ręką.

– A ile razy stanąłeś przed obliczem majestatu z mieczem przy boku, panie?

– Nigdy – obruszył się książę. – Ale też nigdy nie było takiej potrzeby.

– Więc tylko sądzisz, że zostaniesz wpuszczony? Bo nigdy tego nie próbowałeś?

– Nie ośmiela się...

– Dobrze. – Nerva potrafił być stanowczy. – Jeśli jednak się ośmiela, o czym przekonamy się dopiero na miejscu, to zostaniemy w koziej dupie, zdani na łaskę szambelana. Ale na tę łaskę za bardzo bym nie liczył, drodzy państwo.

– Ja wejdę tam, mając przy sobie ludzi z bronią – powiedziała Taida. – Jestem cesarską przyjaciółką, czasy wyjątkowe, więc muszę mieć ochronę.

– W Pałacu ochrania cię cesarz – osadził ją Nerva momentalnie. – Możesz żądać spotkania w sprawach operacyjnych właśnie ze względu na szczególne czasy. Ale najpierw wysłucha cię kto?

– Szambelan – mruknął Nolaan. – To należy do jego obowiązków.

– Tak oto wygląda normalna droga służbowa – westchnął Nerva. – Choć z reguły nie kończy się ona absolutnie osobistą audiencją.

– A ty sam? – zapytała Taida. – Nie mógłbyś wejść?

– W twojej wypowiedzi istotne są dwa słowa. „Mógłbym” i „sam”. Przeniosę oczywiście plik papierów, nawet i gruby, ale czy uda się ukryć w nich choćby tęgą lagę do bicia wrogów, to już wątpię. Bo o mieczu czy nożu nie wspomnę.

– A przełamanie wart siłą? – zapytał Virion.

– Nikt nie wie, jakie siły pozostają w gestii cesarza na terenie samego Pałacu do jego ochrony. Czasem mówi się o dahmeryjskim korpusie. Korpusie... Czy ostudziło to już nasze plany ataku na Pałac?

– A poza tym nie chcemy wszczynać wojny – powiedziała Taida. – Naszym celem jest dotarcie do uszu cesarza. A zbrojnych potrzebujemy jedynie po to, żeby szambelan nie wyciął żadnego chamskiego numeru.

– No ale jak widać, nie ma absolutnie żadnej szansy, żeby wprowadzić ich do siedziby imperatora – podsumował Nerva. – Absolutnie żadnej.

Idąca nieco z tyłu Kasjoepa musiała słyszeć wymianę zdań, bo podeszła teraz z rozbawionym wyrazem twarzy.

– Ja wprowadzę do Pałacu... – powiedziała. – Kogo zechcę.

– Ty? – Zaskoczyła wszystkich, nawet Nerve. – Ty, pani?

– Jestem córką jednego z siedmiu władców Królestwa Troy. Nasze armie nacierają w tej chwili na Luan. A imperium nie było w stanie ochronić córki wielkiego księcia, uczyniono więc despekt samemu królowi Troy. I ja nie mam żadnej podstawy, żeby ufać cesarskiej ochronie. Wejdę do Pałacu z własną!

Wszystkich zatkało, i to na długą chwilę. No ale... nie sposób było zarzucić temu planowi cokolwiek. Nikt nie śmiał przecież odmówić córce jednego z siedmiu władców obcego państwa. Co najwyżej cesarz mógł otoczyć jej ochronę swoją własną. Ale cesarz. Nie szambelan!

– Genialny plan – pierwszy ocknął się Nerva. – A czy wolno mi zapytać o twoje motywacje, pani? Chcesz pomóc Cesarstwu Luan?

– Żeby szczerze odpowiedzieć na twoje pytanie, muszę przytoczyć pewną anegdotę, panie.

– Zamieniam się w słuch.

– Otóż z racji moich przeróżnych obowiązków publicznych muszę od czasu do czasu okazywać ludowi swoje zainteresowanie i udawać, że obchodzą mnie ich sprawy. – Kasjoepa machnęła lekceważąco ręką. – Ble, ble, ble... Niemniej kiedyś musiałam uczestniczyć w zebraniu rady jednej z największych moich wsi, kiedy odbywały się wybory wójta.

– Interesujące.

– Nie sądzę – mruknęła zgryźliwie księżniczka. – Siedziałam sobie pod daszkiem w upale i obserwowałam idiotów, którzy bełkotali niezrozumiale, krzycząc na siebie nawzajem. Trwało to i trwało, aż wybrano jakiegoś absolutnego durnia i ja nareszcie miałam spokój.

– A dlaczego durnia?

– No właśnie, i to jest istotą mojej opowieści. Tamtego dłużącego się niepomernie dnia zrozumiałam, że ludzie nie głosują na tego, który najbardziej zasługuje, ma największe szanse lub przedstawi sensowny plan. Ludzie głosują zawsze przeciwko komuś!

Nerva ostrożnie skinął głową.

– Byłbym w stanie zgodzić się z twoją tezą, pani. Ale powiedz, jak to się ma do naszej sytuacji?

Kasjoepa po raz pierwszy straciła swoje wyuczone opanowanie. Gwałtownym ruchem podniosła palec, ewidentnie grożąc komuś niewidzialnemu.

– Otóż ja wcale nie chcę pomóc Cesarstwu Luan! – wycedziła. – Zbrojnych do Pałacu wprowadzę na złość temu sukinsynowi Geberikowi!

Niki pierwsza zrozumiała, że księżniczka mówi zupełnie szczerze. Objęła ją ramieniem i przytuliła.

– Zemstaaaa! – krzyknęła w akcie solidarności.



Marantis odesłała sługi jednym poruszeniem palca. Miała wrażenie, że w tym Pałacu już wszystko widziała. Ludzką wielkość, małość, honor i skurwysyństwo. Mądrość, choć to akurat niezmiernie rzadko, głupotę, tę za to codziennie. Wolę czynu i bezradność, a w tym przypadku zawsze totalną. Codziennie musiała przepychać się w tłumie potakiewiczów, ludzi, którzy dla kariery mogliby zrobić wszystko, i tych nielicznych, którzy mieli wizję, którzy chcieli czegoś dokonać. Widziała wybuchy gniewu, złości, widziała chwile wzniosłe, zdające się świadczyć, że chwała cesarstwa ma się dobrze i nic jej nie dolega.

Niestety, dziś była świadkiem czegoś, co chyba nie powinno się zdarzyć. Atak histerii władcy przeszedł w stan ciągły i co gorsza, wzbierał, nasilał się i przypominał już niekończącą się, wielodniową erupcję wulkanu o sile niszczenia zmiatającej z powierzchni całe miasta. Marantis była doświadczoną niewolnicą, nauczoną wszystkiego, co powinna wiedzieć o swoim jedynym partnerze. Była także świadoma faktu, że męskie histerie zdarzają się równie często jak kobiece, z tą tylko różnicą, że u kobiet były one w miarę regularne i występowały tuż przed krwawieniem, natomiast u mężczyzn były nieprzewidywalne. Ale to, czego dzisiaj doświadczyła, było nieporównywalne z niczym. Cesarz przestał właśnie być istotą racjonalną. Chyba zaczynało mu się wydawać, że jest otoczony przez wrogie duchy albo przynajmniej że wszystkich ludzi w Pałacu opętali złowieszcy czarownicy. Głowy spadały jedna za drugą. Ludzie bali się pokazać na korytarzach, ponieważ terror był ślepy. Siepacze wybierali ofiary na chybił trafił, bez powodu, żeby tylko przypodobać się władcy. Strach sparaliżował właściwie pracę całej administracji.

Marantis pociągnęła delikatnie za jeden z jedwabnych sznurków umieszczonych w zasięgu ręki na łóżku. Nie musiała czekać, boczne drzwi otworzyły się niemal natychmiast, przepuszczając starą Nome, osobistą służącą, doradczynię, niewolnicę jak ona sama, pochodzącą aż z dalekiego Garrenmich.

– Tak, pani.

– Przestań mi „paniować”, proszę, bo nikt nie słucha.

– Z tym, że nikt nie słucha, tobym nie przesadzała – skomentowała Noma. – Ale rzeczywiście może ich nie obchodzić forma, w jakiej się do siebie zwracamy nawzajem.

Bogowie mili! To przecież była osobista sypialnia Marantis. Sam cesarz odwiedzał tę komnatę od czasu do czasu. I tu mógłby ktoś słuchać?! Jednak... Marantis po chwili zastanowienia uznała, że czasy zmieniły się wystarczająco, by jej sługa mogła mieć rację. Usiadła więc bokiem na swoim zydelku i gestem kazała doradczyni uklęknąć tuż obok. A potem zbliżyła usta wprost do jej ucha.

– Czy masz chociaż blade pojęcie, o co w tej chwili chodzi władcy? – wyszeptwała.

Noma spojrzała zdziwiona.

– To ty tego nie wiesz? – Służąca odpowiadała w ten sam sposób, dotykając wargami ucha pierwszej nałożnicy cesarstwa.

Zamieniły głowy miejscami.

– Od kiedy potwierdziły się wieści, że nadchodzi Legion Moy, cesarz przestał mnie wzywać do siebie w nocy. Do mnie też nie przychodzi.

– Nerwy nie sprzyjają upojnej miłości.

– Oprócz nerwów odnoszę wrażenie, że to ja będę następną.

– Następną do czego?

Marantis przeciągnęła sobie palcem po gardle. Doradczyni zakłęła dosadnie samym ruchem warg. Jej los, wywyższonej niewolnicy, był mocno związany z losem jej pani. Można powiedzieć, że były ze sobą związane bardziej niż siostry. Jeśli ta postawiona wyżej upadnie, ta, która jej służyła, nie przeżyje również.

– Nie wiem dokładnie, o co chodzi – szeptała gorączkowo Noma, pochylając się na kłęczkach. – Wiem jednak, od czego się zaczęło.

– Znasz przyczynę?

Służąca wzruszyła ramionami.

– Te od próbowania potraw twierdzą, że wszystko zaczęło się od wieści, że notable opuszczają miasto. Nie wiem jednak, czy można im wierzyć, bo w tej służbie zabijają dziewczyny co chwila i zastępują nowymi prawie cały skład.

– Aż tak?

– Nawet gorzej. Ale ta informacja wydaje się mieć potwierdzenie, częściowo też u innych. Rozmawiałam z podręcznym łąziebnego i on także twierdzi, że cesarz wpadł w szal na wieść, że bogaci poddani opuszczają Syrinx. I to zostawiając swoje majątki tutaj, jedynie pod strażą.

– Czemu w takim razie nie zamknie bram, jeśli tak mu to przeszkadza?

– Nie znam się – szeptała Noma coraz bardziej nerwowo. – Ale to podobno najgłupsze rozwiązanie, jeśli oblężenie jeszcze nie nastąpiło. Bramy trzeba trzymać otwarte do ostatniej chwili. Zamknięte miasto zaczyna od razu umierać. Dopiero oblężenie mobilizuje obrońców.

Marantis nie wiedziała, co odpowiedzieć. Sama również nie miała pojęcia ani o sztuce obłączniczej, ani o procedurach postępowania, jeśli takie nastąpi.

– Skąd wiesz, że grozi ci... – Tym razem to doradczynie przesunęła palcem po gardle.

– Tylko dziś zabił trzech strategów, głównego stajennego i chyba z tuzin doradców. Ubitych dworzan nie liczę. I to teraz lecimy naprawdę ze świecznika, a nie żadne płotki dla uspokojenia nerwów.

– Czy cesarz odzywa się do ciebie?

– I właśnie to jest najgorsze. – Marantis doceniała domysłność Nomy. To właśnie sposób odnoszenia był najlepszym probierzem. – Imperator jeszcze mnie nie ignoruje, jeszcze łaskawie odpowiada na pytania. Jednak nie dość, że sam się do mnie z niczym nie zwraca, to przestał nawet podtrzymywać rozmowę, którą ja zainicjuję.

– Bogowie, Bogowie... To naprawdę groźne.

– No.

– A masz jakiś pomysł, jak wybrnąć z zaciskającej się pętli?

Marantis była szczerą.

– Żadnego.



Brama Pałacu otworzyła się natychmiast, kiedy tylko biuro podawcze dało znak, kto w tym dniu zamierza odwiedzić siedzibę władzy. Dranie musieli mieć opracowany system sygnałów dotyczących stopnia ważności gościa, ponieważ nie mieli czasu ani na posłańca, ani tym bardziej na przekazanie jakiejś karteczki z informacją. Trzech mistrzów ceremonii natychmiast otoczyło Kasjopeę i zaczęło bić pokłony. Tu przynajmniej wszystko było jasne co do ich liczby. Przynajmniej dwóch z nich musiało znać księżniczkę osobiście, by potwierdzić, że ona to naprawdę ona. A trzeci był najprawdopodobniej pracownikiem Służby Skarbu, czyli wywiadu, i na pewno widział Kasjopeę jeszcze na dworze w Troy. Od tej chwili w każdym razie wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Księżniczkę, konsula sąsiadującego państwa, wprowadzono do Wielkiego Przedśionka, gdzie powitał ją urzędnik senior. Następnie przekazano ją w ręce nadwornego marszałka, czyli człowieka, który w Luan pełnił wyłącznie rolę reprezentacyjną, ale był najwyższy stopniem z tych, których udało się szybko odnaleźć. Poruszenie było niebywałe, ale nawet zaskoczona do imentu cesarska administracja

wykazywała się niezwykłą sprawnością. Po krótkim, acz oficjalnym powitaniu udało się nawet sprowadzić kapłana, który był nadwornym kapelanem, i dopiero ten człowiek pełnił tu jakieś prawdziwe funkcje, mógł coś zrobić poza godną reprezentacją władcy.

Cały orszak Kasjopei, choć bez mrugnięcia okiem został dopuszczony z bronią aż tutaj, to teraz ugrzązł w sali przyjęć na dobre. Na szczęście Taida to przewidziała, przygotowała plan B i miała człowieka na tyle władnego, aby mógł podjąć jakąś decyzję.

– Panie – trajkotała poinstruowana wcześniej Kasjopea – zanim zaczną się oficjalne przygotowania do audyencji, pragnę prosić cię o pomoc.

– Zrobię wszystko, żeby każde twoje żądanie zostało spełnione, pani. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

To jednak nie to samo, a w dodatku jedno przeczy drugiemu, skonstatowała w myślach księżniczka, ale głośno powiedziała tylko:

– Ze względu na absolutnie wyjątkowe okoliczności naszego spotkania zmuszona jestem prosić cię o przekazanie najistotniejszych informacji trzem najważniejszym osobom w cesarstwie.

– Zapewniam cię, pani, że serce Jego Imperatorskiej Mości przez cały czas towarzyszyło ci podczas tych gwałtownych wypadków, roztaczając głęboki... yyy... co?

– Chcę posłać szybko krótkie wiadomości do szambelana, cesarskiej żony i pierwszej nałożnicy, panie.

– Ach tak – zorientował się poniewczasie. – Twoja wola jest dla mnie niczym święta wykładnia zasad moralnych, której muszą podporządkować się wszyscy na świecie, i zaraz wezwę...

Kasjopea przerwała potok wymowy kapłana, kładąc dłonie na jego ramieniu.

– Panie, wybacz. Ale ulga, którą czuję, kiedy po wszystkim, co mnie dotknęło, mogę nareszcie rozmawiać z człowiekiem na poziomie, jest dla mnie taką przyjemnością, że nie chcę uronić ani chwili z tej pasjonującej dyskusji. Niech sprawami zajmą się mniej światowe osoby. Taida wie, co robić.

– Ach. – Ukontentowany kapłan oddał jej ukłon.

Następnie klasnął w dłonie i sługom pokazał palcem panią prokurator. A potem zagłębił się na powrót w uroczym pierdu, pierdu z prześliczną księżniczką, konsulem wrogiego państwa. To był dwór. A on był urodzonym dworzaninem.

Taida przystąpiła do działania. Najpierw pchnęła Kody'ego po mistrza Anai. Kiedy wróca, mają czekać pod bramą na wezwanie i niczego nie kombinować. Potem szybko wybrała dwóch spośród fehmistrzów, których zatrudnił Hekke, i wręczyła im ruloniki z listami. Jeden był do

szambelana. Zawierał pustą kartkę. Nie miała mu przecież niczego do powiedzenia, więc list stanowił tylko zasłonę. A poza tym niech się zastanawia, co niby to znaczy.

Drugi list zaadresowany był do cesarskiej małżonki. Opatrzony wieloma językowymi ozdobnikami, nie zawierał niczego konkretnego poza pustymi zapewnieniami o lojalności Zamku. To również zasłona.

Dopiero trzeci list, zaadresowany do Marantis, zawierał jakąś treść. Konkretnie, prośbę o błyskawiczne spotkanie, teraz, tutaj, natychmiast. Pod groźbą utraty życia przez wszystkich zainteresowanych. I ten list miał zanieść Nerva.

– Słuchajcie mnie uważnie – Taida instruowała obu szermierzy Hekkego. – Oddajcie to komukolwiek, jakiemuś służącemu z otoczenia adresata, jakiemukolwiek jego urzędnikowi, wszystko jedno. Dworzanie wskażą wam drogę i nikt nie będzie na was nastawał.

– Ja też dostanę instrukcję? – zakpił Nerva.

– Ty dostaniesz ochronę. I błagam cię, nie daj się zabić!

– Postaram się, skoro prosisz. – Skromnie opuścił głowę.

– Oficjalnie list zanieś Hekke, żeby nie było, że coś jest inaczej. Ty tylko kręcisz się w pobliżu. A nad tobą będzie czuwał sam Virion.

– Ale w głąb Pałacu wpuszczą nas już bez broni.

– A szambelan może zgromadzić tutaj wielkie siły?

– Z oficjalnych sił nie może skorzystać prywatnie, więc tu raczej ma niewielu swoich. Ale pamiętaj, to jego teren.

Taida przeniosła wzrok na Viriona.

– To jakiś problem?

– Nie.

Virion, tak jak i Hekke odpięli pasy z mieczami.

– Nolaan, ty będziesz odtąd ochraniał Taidę.

– Jasne.

– Lirion, ty dowodzisz całym oddziałem. I miej oko na Kasjopeę.

– Tak jest.

Byli gotowi. Hekke nie mógł się oprzeć i pokazał Nolaanowi język. To przecież jego szef wybrał do realizacji zadania. Nie był na tyle inteligentny, żeby zrozumieć, że to jednak książe dostał ważniejszą funkcję.

– Idziemy. – Virion pociągnął chłopaka za ramię.

Znajdowali się w Pałacu. I tu język można było pokazać jedynie katu. Na chwilę przed jego ucięciem za obrazę majestatu.

Nerva początkowo ruszył przodem, pokazując, gdzie iść, potem wypuścił Hekkego, aby ten mógł ich wyprzedzić o kilkanaście kroków, i zrównał się z Virionem.

– Przyznam, że pierwszy raz w życiu idę korytarzem jako czyjś ochroniarz – powiedział.

– I jakie to uczucie?

– Hm, trudno powiedzieć. Ale odnoszę wrażenie, że wszyscy chcą, żebym dał komuś w ryj.

Virion uśmiechnął się szeroko.

– Na szczęście ten chłopak z przodu nie wymaga przesadnej opieki. On z tych raczej niemazgających się w piaskownicy.

Hekke rzeczywiście prowadził, idąc pewnym krokiem. Widać było, że niczego się nie boi. Ale gorzej... On prowadził tak, jakby wiedział, dokąd idzie, jakby znał kierunek.

– Może wprowadzisz jakąś korektę? – zagadnął Virion.

– Nie ma potrzeby – szepnął Nerva, nachylając się i przyjmując konspiracyjny wyraz twarzy. – Gdzieś dojdziemy.

– Ale dla niego ujmą na honorze byłoby zapytanie kogoś o drogę. A ponieważ zmierza gdzieś po prostej, to zaraz wyjdziemy z Pałacu.

– Nie ma obawy. Pałac duży i szybko się nie skończy.

– No ale...

– Nie, nie, szambelan na pewno zna drogę i na tej najkrótszej zdążył już przygotować zasadzki.

– Ma tutaj aż tylu ludzi? – Virion powrócił do poprzedniej kwestii.

Nerva przekrzywił głowę i popatrzył z ukosa.

– Długo się nad tym zastanawiałem. I on chyba nie będzie mógł wykorzystać żadnych sił oficjalnych. To znaczy tych ludzi, którzy służą cesarzowi, a którym on może wydać rozkaz. Oczywiście jest w stanie zmusić każdego nawet do zmiany regulaminu, ale musi przedstawić regulaminowy powód. Jak więc zatrzymać oficjalnego posłańca z listem od prokuratora, wiceszefa Zamku, do piątej osoby w państwie? Gwardia na pewno takiego nie zatrzyma. Co najwyżej, ale i to trzeba by się srogo nagimnastykować, może takiego zrewidować, otoczyć kordonem i sama odprowadzić. A to nie po myśli szambelana przecież.

– Mogą nas zatrzymać jedynie spiskowcy?

– Albo ludzie wynajęci przez niego prywatnie. Jak wy przez Taidę.

Musieli przerwać, ponieważ idący przodem Hekke natrafił na pierwszą przeszkodę. Nerva machnął lekceważąco ręką, a potem spojrzął pytająco na Viriona. Ten zaprzeczył ruchem głowy. Skoro to nie nasłani siepacze, nie widział sensu interweniować. Wiadomo było, że chłopak poradzi sobie sam.

Jakiś wykwintnie ubrany, otyły jegomość nagle zastąpił drogę posłańcowi. Za jego plecami stało dwóch pałacowych strażników

z długą bronią. Właściwie wystarczyło pokazać list z pieczęcią i wszystko wyjaśnić. Hekemu jednak chyba nie chciało się tracić czasu.

– Zatrzymaj się, młodzieńcze! – nakazał dworski oficer, wyrażając się z wyrafinowanym akcentem. – Opowiedz się, dokąd zmierzasz tak chyżo!

Niestety, jego ciekawość nie została zaspokojona.

– Nie twój interes.

– Hola, hola, młody człowieku. Nakazuję ci zatrzymać się i okazać wszystkie stosowne dokumenty, albowiem w przeciwnym razie...

– Spierdaj! – powiedział Hekke i odepchnął natręta.

Jak na niego, to bardzo grzecznie, bo co prawda odpychał za twarz, ale dłonią z rozcapierzonymi palcami, a nie od razu z pięści. Najwyraźniej szykował się już duchowo do swojej przyszłej pałacowej kariery i chciał być uprzejmy. Niestety, jego grzeczność i staranie nie zostały docenione.

– Gwałt! Gwałt! – rozwrzeszczał się urzędnik, tracąc w emocjach swój wyszukany akcent. – Brać go!

Strażnicy ruszyli w stronę intruza, szykując swoją broń.

– O wy kurwy jedne! – Hekke umieścił niesiony list między wargami i skoczył w ich kierunku. Problem tkwił nie w tym, że chłopak stoczył już w swoim życiu wiele śmiertelnych walk i zabił już niejednego przeciwnika. A strażnicy, wiadomo, w tej mierze niekoniecznie raczej odnieśli w życiu jakiegokolwiek sukcesy. Problem tkwił w tym, że Hekke naprawdę się spieszył. I dlatego nie zamierzał się wdawać w żadną walkę.

Z rozpędu chwycił po prostu za drzewce ozdobnej giewii. Oczywiście był silniejszy od dzierżącego ją mężczyzny, więc bez kłopotu przechylił ją lekko i dolnym końcem mocno uderzył strażnika pomiędzy nogi. Kiedy broń została mu w dłoniach, bo przeciwnik opadał właśnie na podłogę, Hekke wykorzystał ją jak drąg do pokonywania rowów na łące. Uniósł się na drzewcu i... przeskoczył po prostu nad drugim strażnikiem. Nie czekając, aż tamten zorientuje się w sytuacji, dotknął własnymi plecami jego pleców, przełożył giewię nad głową strażnika i szarpnął obiema rękami tak, by drzewce uderzyło mężczyznę w szyję. A potem, ciągnąc całym ciałem, przerzucił go przez siebie. Kiedy strażnik z impetem uderzył o posadzkę, Hekke kopnął go pomiędzy rozłożone szeroko nogi, odstawił pałacową broń pod ścianę i spokojnie ruszył dalej.

Nie był nawet zdyszany. Jeśli ktoś znajdował się w pobliżu, ale na przykład na początku sceny po prostu kichnął i zamknął oczy, to całe zajście mogło mu umknąć. Nie miałyby pojęcia, dlaczego dwóch wyszkolonych strażników znalazło się nagle na ziemi, pojękując z cicha.

Hekke ruszył dalej, a Virion znowu spojrzął na Nervę z niemym zapytaniem. Ten tylko potrząsnął głową.

– To zwykła przeszkoda na zwykłych natrętów. Ale rzeczywiście powinniśmy już skręcić.

– To jednak Pałac może się skończyć?

– Pałac się nie skończy. Ja skończę na zadyszkę, zatem skróćmy drogę.

Virion pstryknął palcami, a potem pokazał chłopakowi z przodu nowy kierunek. Hekke posłusznie zakręcił i ruszył dalej swoim zwykłym tempem. Zwierzchnik służb mieszczących się na Zamku wyraźnie już nie nadążał. Zaczął głośno sapać, jego twarz oblewał coraz bardziej obfity pot. Musieli zwolnić.

– Wstrzymać go? Odpoczynek?

Nerva zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie mamy już czasu – wychrypiał.

– No ale z trupem głównego zleceniodawcy też za szybko nie dojdziemy...

Przerwał im śmiech Hekkego dochodzący gdzieś z przodu. Zaciekawieni ruszyli dalej, choć w przypadku otylego dowódcy Zamku odbyło się to z pewnym trudem. Jednak dopiero kiedy udało im się dotrzeć do niewielkiej salki, z której mimo upału wokół zionęło chłodem, zobaczyli przyczynę zamieszania. Tym razem chłopakowi zagroził drogę rosły mężczyzna w szarej, nierzucającej się w oczy opończy. Choć olbrzym nie wyglądał na człowieka z pałacowej straży, miał w ręku miecz. Towarzyszyło mu trzech innych, podobnie ubranych kolegów. Również z bronią w rękach.

– To muszą być ludzie szambelana – wyszeptał Nerva. – Ta sala to ochładzalnia. Można tędy przejść, można odpocząć, ale nie wolno jej wietrzyć.

– Aha, czyli jeśli oni czekają przy otwartych drzwiach, to znaczy, że z najwyższego szczebla...? – Virion nie dokończył, zdziwiony nagle tym, że na przedramionach zrobiła mu się gęsia skórka. – Jak można ochłodzić pomieszczenie do tego stopnia?

– Oj, przywożą lód z dalekich gór. Specjalnymi wozami o grubych, podwójnych ścianach.

Czego to ludzie nie wymyślą. Hekke musiał odnieść podobne wrażenie, krótka chwila wytchnienia w przejmującym chłdzie wyraźnie znajdowała jego uznanie, bo niespiesznie ciągnął swoją wypowiedź skierowaną do faceta z mieczem.

– Ja się nie śmieję z ciebie, bo pochodzisz z Dahmerii – tłumaczył. – To oczywiście nie powód do dumy, ale nie śmiałbym drwić z czyjegoes pochodzenia.

– Milcz! I wypełnij rozkaz! – Mężczyzna w szarej opończy wbrew słowom nie sprawiał wrażenia szczególnie wkurzonego. Niestety,

wyglądał na profesjonalistę.

– Czekaj. – Natomiast Hekke wyraźnie się bawił. – Mój śmiech wynika naprawdę z czegoś innego. Po prostu zabawny wydał mi się twój pomysł, żeby zmierzyć się z człowiekiem, który podąża za mną. – Pokazał kciukiem kierunek, żeby nie było już żadnych wątpliwości.

– Co jest? – Virion z Nervą podeszli bliżej.

– To jest mistrz Samandal, czy jak mu tam, z Dahmerii – wyjaśnił Hekke. – Myśli, że jest zajebistym szermierzem razem z resztą koleśi, i każe nam iść ze sobą.

– Szambelan byle kogo nie wynajął – mruknął Nerva.

– Wypełnicie rozkaz najwyższego – powiedział ostro dahmeryjski mistrz, rzucając na podłogę orle pióro, znak, że wypełnia wolę samego cesarza. – Ukorzcie się i chodźcie za mną.

– Piór u nas dużo. – Nerva rozłożył ręce. – Skąd mam wiedzieć, że twoje pochodzi od imperatora, a nie z targu?

– Prochu marny...

– Czekaj. – Virion podniósł rękę. – Ja z nim pogadam.

Podszedł do mężczyzny z mieczem, nadal zdziwiony niesamowitym chłodem panującym w tym pomieszczeniu. Jak mógł się spodziewać, również wino wytryskające z kilku niewielkich fontann musiało być niezłe schłodzone. I to bynajmniej nie w zwykłej piwnicy. Nie mógł się powstrzymać, wziął więc puchar z podręcznego stolika i napełnił go w winnym bajorku. Nieprawdopodobne – upił pierwszy łyk. Winno nie było chłodne. Ono było bardzo zimne.

– O co chodzi? – Stał przed Samandalem tak blisko, że ostrze miecza szermierza z obcych stron prawie opierało się o klatkę piersiową Viriona.

– Masz natychmiast ukorzyć się przede mną. – Głos Dahmeryjczyka był krańcowo lekceważący. – Masz pójść za mną i paść na twarz przed mistrzem przesłuchań. Psie.

Skąd to lekceważenie? No tak, facet musiał być naprawdę dobry w mieczu. Łatwo to było wyczuć po postawie, po tym, jak trzymał broń. Swobodnie, luźno, bez zaciskania dłoni. Doskonale wiedział, że zdąży jej użyć, cokolwiek by się stało na tej sali. A teraz w dodatku miał przed sobą, i to na wyciągnięcie ostrza, przeciwnika bez broni. Właściwie to można byłoby się doszukać we wzroku Dahmeryjczyka pewnego rodzaju zawodu. Tak stać przed chodzącą legendą miecza ze świadomością, że pojedynek nie będzie równy? To trochę kiepsko. Warto byłoby się sprawdzić. Samandal był pewien swojej wartości. A tak? Jak potem mówić: pokonałem legendę? W walce, w której przeciwnik nie miał w ręku miecza? To już lepiej zabić, kiedy śpi. Łatwiej będzie, a wstyd taki sam. Ot, stracona okazja.

– A z czyjego konkretnie poruczenia znalazłeś się na naszej drodze? – Nerva jeszcze próbował wyjścia politycznego.

– Nie wysilaj się – mruknął Virion. – On nas nie wypuści.

Dahmeryjczyk uśmiechnął się ledwie dostrzegalnym skrzywieniem warg. Między dwoma mężczyznami stojącymi naprzeciw siebie rysowało się chyba wzajemne porozumienie. Jak pomiędzy dwoma lwami mierzącymi się wzrokiem. Każdy z nich wiedział, że teraz nastąpi walka o terytorium, walka na śmierć i życie, bo żaden nie odstąpi nawet o krok. Dominujący samiec nie ustępuje nigdy, nawet jeśli nie jest uzbrojony w kły i pazury.

– Ja wezmę na siebie... – zaczął Hekke, a wtedy Virion zgasił go jednym gestem.

– Ty jesteś posłańcem z ważną wiadomością. Ruszasz dalej, kiedy tylko zwolni się droga.

W niewielkiej sali służącej do przeczekiwania upałów zapadła cisza. Virion czuł, jak coś rozlewa się powoli w jego żyłach. Przełknął jeszcze łyk lodowatego wina z pucharu, który ciągle trzymał w ręce.

Samandal ewidentnie się nie spinał. Nie było co liczyć ani na jego błąd, ani na pomyłkę. Profesjonalista, ale nie z tych, którym rutyna wymyła z głowy resztki sportowego zacięcia. Skoro już miał zapewnioną z góry miażdżącą przewagę nad przeciwnikiem, było pewne, że sam się nie cofnie w zwodzie. Nie zacznie od tego, nie będzie się cofał ani unikał rozstrzygającego ciosu.

I cóż zrobić? Jeśli przeciwnik ma broń, a ty nie, najlepszą metodą jest nagle zmniejszyć dystans. Tylko zwanie może ograniczyć przewagę wynikającą z faktu posiadania przez wroga miecza. Ale jak to zrobić, jeśli nie ma się do czynienia z idiotą?

No szlag. Samandal na idiotę nie wyglądał. Teraz Virion uśmiechnął się lekko. Cóż. W walce o powodzenie nie decyduje zwód, manewr ani wyćwiczona taktyka. Zwycięża prymitywny, zwierzęcy instynkt. Zwycięża złość i rozpad osobowości. Odruch. I umiejętność zatracania się w ciemności. Kto to mówił, że przed walką należy przekonać samego siebie, że na pewno się podczas tej walki zginie? Tylko w ten sposób człowiek stanie się wolny.

Virion zrobił krok naprzód, złapał i uniósł dół tuniki Dahmeryjczyka, i chlusnął mu w genitalia lodowatym winem. Samandal oczywiście wyprowadził śmiertelny cios. Dokładnie w miejsce, gdzie znajdował się Virion... przed chwilą.

Szok zdezorientował Samandala na mgnienie oka. Ale mgnienie oka jest wiecznością dla szermierza natchnionego naprzeciw. Virion wbił mu trzymany w rękę puchar w zęby, a kiedy tamten chciał skontrolować

mieczem, runął na plecy. Przewrócił się na bok i dwiema stopami naraz uderzył przeciwnika w zakroczną nogę. Dahmeryjczyk w ostatniej chwili zdołał unieść i lekko zgiąć kolano. Ale Virion był już z powrotem na nogach. I pod bokiem przeciwnika, tym, którego nie chroniła ręka z bronią. Błyskawicznie chwycił Samandala za przedramię i pociągnął na siebie. Tamten nie był już taki sprawny jak na początku, a miecz średnio nadawał się do walki w zwarciu. Virion pociągnął Dahmeryjczyka w stronę drzwi wejściowych, a kiedy się tam znaleźli, uderzył jego przedramieniem o framugę, łamiąc je tak, że z głośnym trzaskiem wykrzywiło się pod dużym kątem. Potem uderzył przeciwnika łokciem w spłot i przyparł do ściany.

Nikt z obecnych w ochładzalni nie wiedział, że szermierz natchniony miał bardzo kiepski wzrok. Za to słuch absolutny. Virion w klinczu czekał więc, aż za plecami rozlegnie się ledwie słyszalny odgłos kroków, a potem, w ogóle na granicy rozpoznawalności, świst rozcinanego klingą powietrza. Wtedy uskokzył na bok. A towarzysz Samandala, chcąc ratować sytuację, wbił koledze ostrze swojego miecza prosto w brzuch.

Nie zdążył się nawet zdziwić. Virion chwycił go od strony pleców, wykręcając ramię, przygiął wpół i uderzył nim w drzwi, łamiąc kark o tę samą framugę, która posłużyła chwilę przedtem do złamania ręki.

Kolejny przeciwnik zawahał się, widząc, że szermierz natchniony nawet nie usiłuje podnieść któregoś z porzuconych na podłodze mieczy. Virion po prostu runął na niego, paraliżując samą siłą agresji. Dahmeryjczyk ustawił miecz ostrzem do przodu i próbował dźgnąć atakującego, osłaniając się, jakby wróg miał w rękę broń. Pęta. Zastawę pokonuje się uderzeniem w łokieć. Ale można zrobić coś znacznie lepszego. Virion uderzył obiema dłońmi w klingę miecza, kierując ją w dół. Przeciwnik dostał własnym mieczem, zerknął po sobie zdumiony, ale zanim podniósł wzrok, Virion wbił mu już pięść w spłot słoneczny. Kiedy kolejny Dahmeryjczyk pochylił się, wystarczyło tylko sprawić, żeby potknął się o własną nogę i przewrócił, a potem wskoczyć mu obiema nogami na kark.

Virion rozejrzał się, szukając wzrokiem ostatniego przeciwnika. Ten tkwił już w chwycie Hekkego w przedziwnej pozycji nad basenikiem wypełnionym idealnie schłodzonym winem. Młody szermierz trzymał go za wykręcone do tyłu ramię z widocznym otwartym złamaniem i zanurzał jego twarz w winie.

– Tu jest głębokość raptem na dwa palce – tłumaczył ofierze cierpliwie. – Chyba nie chcesz utonąć w czymś takim. Pij więc szybko, obniżysz poziom wina w fontannie i będziesz mógł oddychać.

Ofiara, choć usiłowała przełykać alkohol, wyraźnie się już dusiła. Zaciekawiony tak niezwykle metodą Nerva aż się nachylił, by móc z bliska obserwować rozwój wypadków.

– Zostaw go i biegnij z listem! – Virion przerwał wyrefinowaną egzekucję.

Ciało ofiary upadło na podłogę, a Hekke runął biegiem w dalszą drogę. Jedynie Nerva nie mógł oderwać wzroku.

– Chyba nie zdoła odkrztusić tego, co ma w płucach – szepnął zafascynowany. – I będzie pierwszym człowiekiem, który utonie, leżąc na suchej podłodze.

– Na pewno nie pierwszym. Chodźmy.

Szef zamkowych służb posłusznie ruszył za Virionem, jednak oglądał się jeszcze co chwila.

– No ale tak umrzeć w upale, pijąc doskonałe, chłodne wino – mruknął. – Właściwie to piękna śmierć.



Marantis siedziała pogrążona w smutku na brzegu swojego łoża. Właściwie to nawet nie był smutek, to było samo dno rozpaczy. Czy żałowała swojego życia? Przecież nie miała wpływu na to, jak się potoczy. Niewolnica, zrządzeniem losu rzucona prawie na sam szczyt władzy, niegodna, aby nazywać ją człowiekiem, na tyle władna jednak, żeby zmieniać los innych ludzi tylko i wyłącznie wedle własnego kaprysu. Najpiękniejsza kobieta na świecie, obiekt zazdrości wszystkich innych niewolników, pogardzana skrycie przez tych, którzy stali zbyt daleko, by mogła ich zauważyć i sprawić, żeby zaczęli się bać.

Marantis. Cesarska niewolnica zakończy wkrótce życie w wieku zaledwie dwudziestu dwóch lat.

Nie dbała o to, jaki rodzaj śmierci jej wyznaczą. Nie przysługiwało jej żadne honorowe rozstanie się z tym światem, ale też nie przypuszczała, żeby ktokolwiek wydawał ją na długotrwałe męki. Niby po co? Nie mogła służyć jako przykład i nauka dla ludu, więc pewnie załatwią sprawę pragmatycznie. Po prostu przyjdzie kat i ubije ją drewnianą pałką. Nie będzie bolało, bo w Pałacu są tylko fachowcy. Pierwszy cios w głowę pozbawi ją przytomności i koniec pieśni. Odartą z szat, żeby nie prowokować cmentarnych hien, wrzucą do wspólnej mogiły dla biedoty. Może będzie tam kapłan, a może nie. Ponieważ jednak poświęcono jej tyle wiekopomnych poematów, a jej imię zapisano w tylu kronikach,

zafałszują obraz jej śmierci. Pewnie nazwą imieniem Marantis jakąś drogę, może port, forum w wybudowanym właśnie mieście? A może tylko jakiś bezimienny dotąd zakątek w tym tu Pałacu? Po latach zakochane pary będą się umawiać „w środku nocy w ogrodzie Marantis”, nie mając pojęcia, dlaczego tak właśnie nazwano to miejsce.

No ale... przecież miała dopiero dwadzieścia dwa lata. No nie chciało być więcej. Żal, smutek i wszechogarniające poczucie straty nie pozwalały jej myśleć racjonalnie. Ale nawet rozchwianie umysłu nie sprawiło, żeby miała jakiegokolwiek wątpliwości. Dzisiaj cesarz przestał się do niej odzywać. Dziś po raz pierwszy w historii ich wspólnego życia (Bogowie, jak to śmiesznie brzmi) nie odpowiedział na jej pytanie. Zaczął ją ignorować, zupełnie jakby była przezroczysta niczym szkło. Jakby była trędowata i tylko uprzejmość gospodarza nie pozwalała powiedzieć jej tego w twarz. Dworzanie jednak, szczególnie ci doświadczeni, wiedzieli już dobrze. Chcesz żyć? Nie zbliżaj się do pierwszej nałożnicy na odległość mniejszą niż dziesięć kroków. Pamiętaj: trąd jest bardzo zaraźliwy! Zakażny!

Łzy spływały po policzkach Marantis, osiadały na wargach. Odруchowo zaczęła je zlizywać, żeby sprawdzić, czy naprawdę słone.

O mało nie odgryzła sobie języka, kiedy Noma gwałtownie otworzyła drzwi.

– Ty płaczesz, pani? – Najwierniejsza ze sług zamarła bezbrzeżnie zdziwiona. W Pałacu nie okazywano uczuć publicznie.

– Ugryflam sze w jefyk!

– O Bogowie moi najmilsi! Wołam medyka!

– A po co? – Marantis wysunęła swój język na całą długość i zrobiła zeza, usiłując dojrzeć, czy leci krew. Niestety, widziała samą końcówkę. – Lefi?

– Co? A, czy krew leci? – domyśliła się Noma. – Nie leci.

– A. – Nałożnica schowała język z poczuciem pewnego ukojenia, choć ciągle bolał. – To mogę mówić normalnie.

Służąca odetchnęła z ulgą.

– Pani! Wśród służących wre!

– Co się stało?

– Mordują na korytarzach!

– Kto? On? – Marantis dotknęła palcem poduszki. Była chyba jedyną osobą na świecie, która chcąc powiedzieć „cesarz”, ale nie chcąc wypowiadać tego słowa, nie wskazywała palcem sufitu, tylko swoje łóżko.

– No właśnie nie! To jakaś rozgrywka.

Noma rzuciła się w stronę najbliższej rzeźbionej ławy i stękając z wysiłku, zaczęła ją ciągnąć.

– Musimy się zabarykadować – wyjaśniła.

– Przed tym, co mi grozi, żadna barykada nie zasłoni.

– Ale nie, pani. To się zaczęło, kiedy pani Taida przyprowadziła księżniczkę Kasjopeę. Posłała ludzi z listami i w kularach zaczęli się rznąć!

Marantis zerwała się z łóżka. Taida? A może nie wszystko stracone? A może nastąpi jakiś cud?

– Idziemy!

– Gdzie idziemy, pani? Zastawmy się tą ławą i schowajmy pod łóżkiem. Albo wołajmy gwardzistów.

– Idziemy – powtórzyła Marantis spokojnie.

– Gdzie ty chcesz iść, pani?

– Tam, gdzie mordują. – Nałożnica zaczęła z powrotem odsuwać ciężką ławę.

– Z rozmazanym makijażem? – Noma spojrzała na swoją panią ze zgrozą.

– Ach! – Marantis zamarła w połowie ruchu. To był argument. I co gorsza, nie wiedziała, co teraz zrobić. Na szczęście jedynie przez moment.

– Popraw mi tylko oczy, podaj strój na modłę wschodnią, zasłona na twarz, głowa zakryta.

– Jesteś genialna, pani! – Noma rzuciła się do wypełniania zadań. I mając konkretne zadanie, przestała marudzić. – Z oczami na szybko może być jednak problem.

– To podaj mi jeszcze wachlarz.

– O, to, to, to. A może zawołam pomoc do ubierania?

– Żadnej pomocy. Damy radę!

Szamotały się obie, biegnąc po rozległym pokoju. Na szczęście wiedziały, co robić, a wszelkie utrapienia musiały przecież znaleźć swój kres.

– I jak? – Marantis mogła wreszcie stanąć przed lustrem i ocenić swój wygląd. Stanowczo nie było dobrze, lecz umiejętnie manewrując wachlarzem, udawało się ukryć niektóre niedociągnięcia.

– Ujdzie! – Noma oceniała fachowo, bez pochlebstw i mówienia tego, co jej pani chciała usłyszeć. Była profesjonalistką i potrafiła także patrzeć jak mężczyzna. A „strój na modłę wschodnią” to przecież tylko taka nazwa stylu. On tak naprawdę zasłaniał głównie twarz. Wiele innych szczegółów natomiast pozostawało w dużej części odkrytych.

– Dobra. Idziemy.

– Na pewno chcesz, pani, wystawić się na niebezpieczeństwo?

– Uwierz, że tutaj grozi mi większe.

– Ale tam można zginąć.

– Tam tylko można, tu zginę na pewno. Prowadź.

Noma posłusznie otworzyła drzwi. Wbrew temu, co mówiła, niebezpieczeństwo wcale nie było takie duże. Oczywiście wielokrotnie w historii kuluary Pałacu były świadkami zbrodni na większą i mniejszą skalę. Ale mordy praktycznie nigdy nie dotyczyły osób najwyżej postawionych w cesarstwie. Te ginęły „z rozkazu” najjaśniejszego, w sposób uporządkowany i przewidziany etykietą, a nie przypadkowo podczas jakiegoś bezhołwia. Cesarz nie lubił oddawać nikomu prawa o decydowaniu w sprawach życia i śmierci w przypadku pałacowej elity.

– Weźmy gwardzistów – mamrotała Noma bez przerwy, prowadząc pospiesznie swoją panią do miejsca, gdzie według plotek rozgrywały się czyny gwałtowne. – Weźmy gwardzistów, proszę.

– Nic nam się nie stanie. Cesarz załatwi sprawę ze mną w zupełnie inny sposób.

– Wezwijmy gwardzistów – służąca powtarzała swoje jak modlitwę. Była w tym nie do zdarcia.

– Dobrze – uległa w końcu Marantis. – Zbieraj po drodze.

W Pałacu zasadniczo wartę trzymali odpowiedni strażnicy. To nie było zadanie dla gwardii cesarskiej – formacji elitarnej, dumnej i zbyt ważnej, by polecić jej stanie na baczność przy jakichś tam drzwiach czy wręcz na korytarzu. Niemniej patrole piesze na terenie całego założenia były już obowiązkiem żołnierzy tej właśnie formacji. Tyle tylko, że patrole nie poruszały się po ustalonych trasach. Trzeba było mieć trochę szczęścia (lub pecha, ale to już w zależności od zamiarów), żeby spotkać je po drodze. Okazało się jednak, że Noma ma albo wyjątkowy nos, albo wyjątkowe szczęście. Udało jej się tak poprowadzić swoją panią, że napotkały aż dwa patrole w sile sześciu ludzi każdy. Zgarnęły je i na miejsce kolejnej potyczki dotarły już na czele dwunastoosobowego oddziału.

Na pierwszy rzut oka sytuacja nie wyglądała zbyt dramatycznie. Dwóch mężczyzn stało na nogach, a czterech leżało na ziemi. Gorzej, że sześciu następnym zbliżało się z obnażonymi mieczami.

– Co tu się dzieje?! – krzyknęła Marantis głosem wdrożonym do wydawania rozkazów.

Wahanie walczących nie było długie. Tych sześciu nadciągających wybrało natychmiastową ucieczkę. Być może z powodu władczego głosu pierwszej nałożnicy, a być może z powodu braku chęci konfrontacji z tuzinem gwardzistów za jej plecami. Przez dłuższą chwilę wszyscy w tym pomieszczeniu mierzyli się wzrokiem, nie mając pojęcia, kto jest kim. Na szczęście z kryjówki przy oknie, zza kłębowiska kotar, wyszedł Nerva.

– Pani! – Zgiął się w głębokim ukłonie. – Pozwól, że ci przedstawię. To jest dowódca zawodowców Taidy, Virion. – Wskazał barczystego mężczyznę w sile wieku z ciałem poznaczonym bliznami. – A ten młody to wschodząca gwiazda szermierki, Hekke. Niesie list dla ciebie od pani prokurator.

Marantis wyciągnęła rękę po pismo. Nawet na nie nie zerknęła. Świdrowała oczami Viriona. Znała go przede wszystkim z opowieści, sama przecież załatwiała sprawę z księciem Nolaanem, aby dobrowolnie oddał się pod rozkazy tego właśnie człowieka. Słyszała o nim i od Taidy, i od wielu innych ludzi. Jednak głównym źródłem jej wiedzy, do czego wstydziła się przyznać, były sprzedawane za kilka brązowych na targu romanse rycerskie, które kazała sobie ukradkiem przynosić. Ciekawe, czy wszystko, co o nim piszą, jest prawdą? A jeśli tak... Przełknęła ślinę. Miała ogromną ochotę sprawdzić i zabrać go sobie dzisiaj do swojego przytulnego łóżeczka. Ach! Nic z tych rzeczy. Cesarz nie tolerował konkurencji. Ale w marzeniach? W marzeniach dawała mu się właśnie powoli rozbierać.

– Pani?

Marantis zmusiła się do opuszczenia oczu i przebiegnięcia wzrokiem kilku linijek tekstu. Coś jakby mróz ogarnął ją w jednej chwili.

– To prawda? – Podniosła głowę.

– Tak.

– Macie jakieś dowody?

– Nie.

– Aha. – Przyjęła to dość spokojnie.

W głowie jednak huczało, ale w tej samej głowie jednocześnie rozbierał ją Virion. Powolutku. Dojrzały, doświadczony mężczyzna. Nie spieszył się i nikt go nie poganiał.

– Chodźcie porozmawiać. – Otrząsnęła się z najwyższym trudem. Na całe szczęście miała zasłoniętą twarz, a w rękę jeszcze obronny wachlarz, którego potrafiła użyć w boju. Nikt niczego nie zauważył. A ona sama udała, że się rozgląda. – Może tam?

Wskazała wąskie przejście do niewielkiego wewnętrznego ogrodu. Wejść i wyjść można było tylko z jednej strony, w otaczających go ścianach nie było innych otworów. Istna świątynia dumania.

– Noma, dopilnuj, żeby gwardziści zostali tutaj. – Marantis ruszyła przodem, dając jasno do zrozumienia, żeby nikt nie ośmielił się słuchać. – Pozostałych zapraszam.

Oczywiście Hekke jej nie obchodził, nie lubiła mężczyzn o aparycji chłopców. Nerva musiał uczestniczyć w naradzie siłą rzeczy, ale tak prawdę powiedziawszy, największą ochotę miała na pogawędkę

z Virionem sam na sam. Choćby i krótką. Ciekawe, jaki ma umysł? Jest inteligentny? Błyskotliwy, jak opisują w romansach? Czy też bezimienni autorzy dodawali mu uroku i w rzeczywistości okaże się prymitywnym rębajłą potrafiącym jedynie usiec wielu wrogów i wiele lubiących tę cechę kobiet?

Nałożnica zatrzymała się pod rozłożystym drzewem, którego ulistnione gęsto gałęzie dawały dużo cienia. Usiłowała się skupić, lecz jakaś myśl uparcie drążyła jej umysł. Wydawało jej się dotąd, że dość dobrze zna wszystkie pałacowe zakamarki. A jednak nie potrafiła przypomnieć sobie nazwy tego miejsca. A może ono jej w ogóle nie miało? Poczła zimne ciarki na plecach. A może już niebawem ten ukryty ogród nazwą właśnie jej imieniem? A ciało wrzucą do bezimiennego grobu.

– Pani! – Nerva uklonił się jeszcze raz. – Czas nagli.

– Tak, tak, słucham.

– Nie mamy żadnego dowodu na to, że szambelan jest człowiekiem spisku tu, w Pałacu. Ale też mamy całkowitą pewność, że tak właśnie jest.

– To nie pewność, tylko przecucie – sprostowała.

– To absolutna pewność, której jedynie nie możemy w tej chwili poprzeć konkretnymi dowodami.

– I jesteś w stanie wyjaśnić ten niuans cesarzowi?

– Właśnie w tej kwestii liczymy na twoją pomoc, pani.

– Aha. – Nie zamierzała mu ułatwiać. Prawdę powiedziałwszy, dzisiaj sama nie wiedziała, co robić.

– Pani, pozwól, że wyjaśnię sytuację. Zbliża się Legion Moy. Oni nie mają sił, żeby oblegać całe miasto, a my nie mamy sił, żeby go bronić. Jedyne, na co nas stać, to cieniutki paseczek obrońców na murach. Ale wiemy, jaki jest plan spiskowców. W oznaczonym dniu od wewnątrz na jedną z bram miejskich rzucą się nieprzebrane tłumy fanatycznych zwolenników obalenia istniejącego porządku. Wszyscy w jednym miejscu. Zgniotą naszych i otworzą bramę legionistom. I tego dnia właśnie przejdziemy na karty podręczników do historii Cesarstwa Luan.

– Bardzo poetyckie. Czego ode mnie oczekujesz, panie?

– Pani, tylko szambelan wie, która to brama. Jeśli wyrwiemy z niego tę informację, będziemy mogli zgromadzić siły obrońców w jednym miejscu. Dostaniemy małańką, ale jednak szansę!

– Taaak. – Skinęła głową. – W normalnych czasach, w normalnej sytuacji może i zgodziłabym się porozmawiać z imperatorem. Ostrożnie, delikatnie wybadać go i poznać pogląd na tę sprawę. Ale niestety, w tym momencie nie wchodzi to w grę, bo popadłam w niełaskę.

– W niełaskę? Ty, pani? – Nerva nie mógł uwierzyć. – Czyżby to sprawka szambelana?

Marantis nie zamierzała odpowiadać. Zapadła cisza, którą dopiero po dłuższej chwili przerwał Virion.

– Nie przesadzajmy z tą szambelańską wszechmocą – powiedział. – Jakoś tak nie za bardzo udało mu się rzucać nam kłody pod nogi w drodze tutaj.

Miał głos człowieka pewnego siebie. Twardy, mocny, drażniąco powolny. I choć słowa wymawiał starannie, dbając o prawidłowy akcent, to cała wypowiedź układała się w formę niemal luzackiej kpiny. Całkowitego nieprzejmowania się przeciwnościami.

Szlag! Fascynował ją.

– Mówisz o człowieku, którego władzy nawet nie potrafisz sobie wyobrazić – zacietrzewił się Nerva. – On po prostu nie miał czasu, żeby przygotować...

– Jeśli ma władzę, to powinien mieć czas. – Virion wzruszył ramionami, a potem spojrzął Marantis bezczelnie w same oczy. – A szanowny nałożnik to czemu wkurzony?

Nerva skamieniał, Hekke nie zrozumiał, a Marantis o mało nie parsknęła śmiechem. No właściwie to czemu nie? Skoro ona była nałożnicą, a w jej łóżku znajdował się mężczyzna, który nie był jej mężem, to kim on był? No właśnie, czemu nie nałożnikiem?

Virion ujął ją do tego stopnia, że postanowiła wyjaśnić.

– Wkurzył się, jak to zgrabnie ująłeś, panie, ponieważ cierpi właśnie na brak dobrych wieści. A konkretnie, dzisiaj zdenerwował go fakt, że możni tego miasta opuszczają mury i obracają morale obrońców wniwecz. Nie sposób za wcześniej zamknąć bram, nie sposób zatrzymać ich siłą, bo to dopiero będzie zły przykład dla ludu.

– Ach, rozumiem.

Virion przyglądał swoje włosy i poprawił warkocz przewiązany na końcu kolorową kokardą. Taką kokardę musiała zapleść jakaś kochająca Viriona kobieta. Ależ Marantis jej zazdrościła.

– Łatwo sobie poradzić z tym problemem.

– Czy jesteś, panie, politykiem? – Postanowiła go ukłuć w zemście za tę bezmienną kobietę, która wiąże kolorowe kokardy, pokazując innym, co jest czyje. – A może masz doświadczenie w administracji?

– Nie. Reprezentuję stronę przeciwną, bo mój ojciec był prywatnym przedsiębiorcą.

– I cóż radzisz zatem?

– Postawiłbym przy każdej bramie delegatów państwowej komisji majątkowej, którą szybko trzeba powołać. Wiadomo, ludzie wyjeżdżają, wojna rozbiewa męty i rabusiów...

– Co delegaci mieliby robić?

– Przy bramach powinni sporządzać spis majątku opuszczających stolicę i wymagać od nich podpisu pod dokumentem, który upoważnia państwo do dbałości o ich pozostawione majątki. Przede wszystkim upoważnienia do ochrony dóbr przed złodziejami i bandytami.

Marantis początkowo nie zrozumiała.

– No ale przecież to nie jest zrzeczenie się na rzecz skarbu państwa.

– To prawda. Ale każdy prywatny przedsiębiorca poznał już, co znaczy wiedza władcy o całym majątku i że raz położone na nim łapsko państwa zdjąć już nie sposób.

Nerva zorientował się pierwszy, bo zaczął się śmiać.

– Zapewniam – dodał do wypowiedzi Viriona – że przeczytawszy ten niewinny dokument, oni wszyscy pędem wrócą do domów!



Czekający przed bramą Pałacu Kody i Anai nie widzieli żadnych realnych szans, żeby wpuszczono ich do środka. Anai zresztą w ogóle nie był wprowadzony w szczegóły sprawy, bo Kody nie należał do ludzi gadatliwych, zdradzających tajemnice służbowe na lewo i na prawo. Jaki zatem mógł być powód, żeby do siedziby władcy wezwano akurat prywatnego mistrza wyciągania zeznań? Pałac to nie posterunek straży miejskiej, gdzie dwóch dryblasów z pałami wyciąga zeznania od tego, kto się akurat nawinął. Tu się niczego z nikogo nie wyciągało, w takim miejscu bowiem żadne zeznania nikogo nie obchodziły. W miejscu takim jak to rządziła polityka, wpływy, zakulisowe rozgrywki, budowanie sojuszy, kamaryli i stronnictw. Skomplikowane przepływy sił, zmienne układy strategiczne, dyplomatyczne intrygi i złożone, bardzo subtelne oddziaływania na samą istotę duszy ludzkiej stanowiły o tym, kto wznosił się, a kto upadał na giełdzie władzy, znaczenia i próżności, którą tu zbudowano.

Zeznania wyciągane brutalną siłą? Bogowie... Czyż mistrzowie gry, którzy siadają do stołu z kolorowymi polami, aby przesuwac na nim rzeźbione figurki, nie używają wyłącznie zasobów swojego umysłu? Czy też może każdy z szacownych mistrzów ma jednak za plecami nabijaną ćwiekami maczugę? Nie, nie. Maczugi nie są przewidziane w finezyjnych rozgrywkach.

Obaj mężczyźni nudzili się więc, stercząc w upale w swoim mniemaniu tylko dlatego, że mogli się ewentualnie przydać. A wcześniej nie pomyśleli choćby o tym, żeby wziąć ze sobą coś do picia. Teraz ani

odejść w stronę miasta, ani kogoś poprosić. Męka pragnienia stawała się coraz gorsza.

Obaj też z szokiem, ale również i z ulgą przyjęli głośny trzask, z jakim w głównej bramie otworzyła się żeliwna furta. Stał w niej oficer bardzo wysokiej rangi.

– Kody?

– To ja!

– Anai?

Mistrz tortur, równie zaskoczony jak przed chwilą jego towarzysz, uniósł niepewnie rękę.

– Za mną.

Strateg odwrócił się i ruszył szybkim krokiem w głąb dziedzińca. Obaj, wymieniając się zdziwionymi spojrzzeniami, pobiegli za nim. Niesłychane. Ktoś tak wysoko postawiony w hierarchii wojskowej został wysłany po nich na bramę? Strateg na posyłki?

– Panie? – Anai był odważniejszy. Cywile zresztą w ogóle przywiązywali mniejszą wagę do stopni wojskowych.

– Słucham? – zapytał ich prowadzący, czym wprowadził ich w stan graniczący prawie z osłupieniem.

– Czy dostaniemy coś do picia? Tak jestem spragniony, że nie jestem w stanie mówić.

– Przecież mówisz.

W milczeniu przemaszerowali kilkanaście kroków, potem jednak oficerowi musiała przyjść jakaś myśl do głowy, bo zatrzymał się nagle. Dwóch cywilów o mało nie wpadło mu na plecy.

– Masz rację – powiedział strateg.

Skręcił i poprowadził ich w bok, w stronę niewielkiego wykuszu, prawdopodobnie przeznaczonego dla jakichś służb wojskowych.

– Tu jest woda, a tam dalej, za drzwiami – wskazał wąski otwór w ścianie wartowni – jest ubikacja. Radzę skorzystać z jednego i drugiego.

– O, dziękujemy.

Oficer uśmiechnął się oszczędnie, prawdopodobnie regulaminowo.

– I dam wam drugą radę. Wodą przepłuczcie jedynie gardła. Nie pijcie za dużo. Bo tam, gdzie idziemy, nie będzie możliwości odejść na stronę.

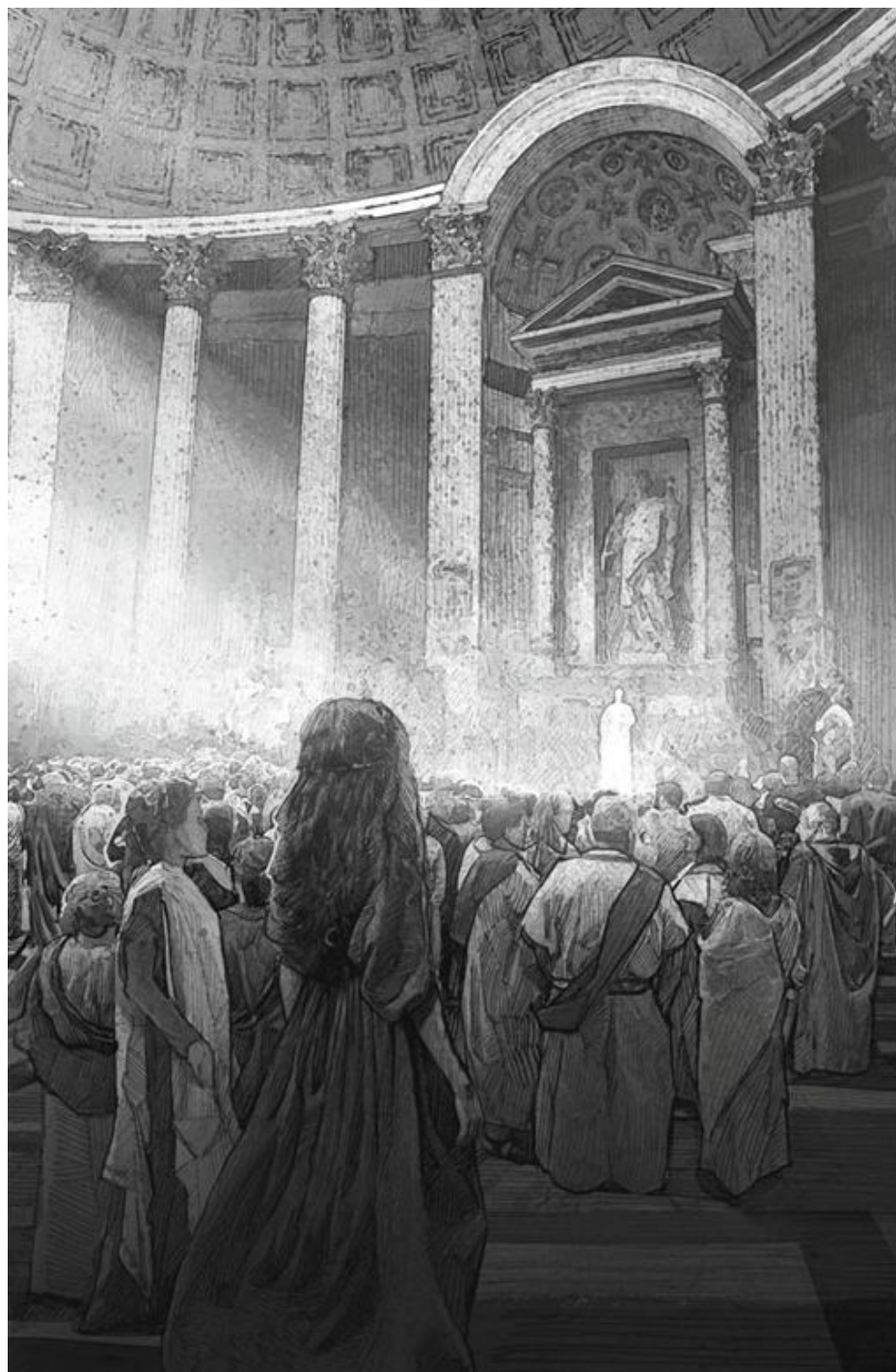
– A gdzie idziemy? – zapytał odważniejszy w tych sprawach Anai.

– Mam was zaprowadzić przed oblicze... imperatora.



Taida umierała ze strachu.

Marantis załatwiła co prawda prywatne posłuchanie u imperatora, bez tłumy gapiów i setek żołnierzy, ale na pewno nie była to osobista rozmowa. W niewielkim, jak na standardy cesarstwa, pomieszczeniu zmieściło się zaledwie trzydziestu gwardzistów, ze dwie dziesiątki najbliższych sług, dwóch skrybów uwieczniających każde słowo, najwyższy kapłan, doradca w sprawach wojskowych i naczelny prawnik imperium. Dla wszystkich obecnych było najzupełniej jasne, że po opuszczeniu tej sali każde wypowiedziane tu słowo stanie się własnością publiczną i albo usidlą szambelana podczas tego posiedzenia, albo ujdą stąd być może z życiem, lecz zdrajca pozbawi ich tego życia jeszcze przed dzisiejszą nocą. A problemem był drobny fakt, że nie dysponowali nawet cieniem dowodu.



Kasjoepa opowiadała o wydarzeniach w taki sposób, żeby wzbudzić współczucie cesarza i zyskać dzięki temu jego sympatię

Jak do tej pory wszystko toczyło się zwykłym trybem. Cesarz rozmawiał z Kasjoepą i najwyraźniej znajdował w tej niewinnej wymianie zdań pewne ukojenie, bo ostre na początku rysy, znamionujące, że władca żył w ciągłym napięciu, uległy złagodzeniu, a niespokojne spojrzenia rzucane w różnych kierunkach ustały w ogóle. Księżniczka z Troy prowadziła rozmowę zgodnie z wymogami etykiety, nie szczędząc jednak od czasu do czasu drastycznych opisów, które nawet podczas półoficjalnej audyencji nie powinny paść, bo troszeczkę wskazywały na winę władcy, który nie zadbał odpowiednio o swojego gościa. Kasjoepa opowiadała o wydarzeniach w taki sposób, żeby wzbudzić współczucie cesarza i zyskać dzięki temu jego sympatię. Potrafiła dużo osiągnąć w tej mierze, bo szkolenie, które przesła, idealnie uzupełniał jej własny talent.

Miało to dobroczynny wpływ na to, jak cesarz podszedł do właściwej sprawy, która miała być omówiona na posłuchaniu. Był wyraźnie rozluźniony, przenosząc wzrok na Taidę.

– Przyjaciółko moja! – podjął być może nawet z jakimś poronnym cieniem uśmiechu na twarzy. – Doszły mnie słuchy – tu nastąpiło zerknięcie na Marantis – że znasz już imię zdrajcy.

– Tak, panie. – Taida pochyliła się w głębokim pałacowym ukłonie.

– I któż to jest twoim zdaniem?

Jak to powiedzieć? Jak to powiedzieć i nie zadławić się własnym słowem? Głęboki oddech i...

– Szambelan.

Imitacja uśmiechu zniknęła z oblicza władcy. W pomieszczeniu nagle zapadła absolutna cisza. Nikt z obecnych nie śmiał nawet głębiej odetchnąć, żeby gniew imperatora nie zdmuchnął go jak huragan ogieńka małej lampki.

– Dam ci jeszcze jedną szansę – powiedział władca złowieszczo. – Ale tym razem zastanów się dziesięć razy, zanim wymówisz jakiegokolwiek imię. Zastanów się nawet i sto razy. Bo wiesz, co znajduje się na szali.

Ciekawe rzeczy dzieją się z człowiekiem, kiedy nadejdzie czas, by spytać siebie: czy jestem odważny? Taida nigdy nie marzyła o tym, żeby z mieczem w ręku biec na czele oddziału, który rzucił się na przeważające siły wroga. Nigdy nie chciała stanąć naprzeciw niedźwiedzia na przykład sama, jedynie z kuszą w ręku. Nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby wbiec do płonącego domu i ratować mieszkańców. No ale to przecież nie

wszystkie rodzaje odwagi. Czy jest więc na tyle odważna, aby stanąć do walki bez broni?

– To szambelan – wychrypiała przez ściśnięte nagle gardło. Potem odchrząknęła i powtórzyła pełnym głosem: – Zdrajcą jest szambelan.

Imperator nie kazał rzucić jej dzikim zwierzętom na pożarcie, nie kazał też wezwać kata. Patrzył prosto w rozszerzone strachem oczy Taidy i to chyba było najgorsze. Cisza przedłużała się nieznośnie.

– Mów – rozkazał w końcu cesarz.

– Zdrajca zawsze wyprzedzał nas o kilka długości stadionu – zaczęła niepewnie. – Z czasem jednak ta przewaga zaczęła maleć. W wyniku podjętych przez Zamek zdecydowanych działań z biegiem dni zdrajca wyprzedzał nas jedynie o krok.

– Bez propagandy sukcesu – przerwał jej brutalnie. – Skup się na faktach.

Pochyliła głowę.

– Tylko ktoś dysponujący władzą równą szambelanowi mógł wprowadzić na Zamek czarowników pod pozorem jakiejś dziwnej akcji i doprowadzić w jej wyniku do skopiewania naszej kartoteki. W ten sposób oderwał wszystkie nasze prowincjonalne oddziały od centrali i sprawił, że z terenu otrzymywaliśmy wyłącznie fałszywe dane. Co pozwoliło spiskowcom zmontować armię, a także, co chyba nawet ważniejsze, utrzymywać obóz na pustyni, gdzie szkolono tysiące ludzi, odprawiano zagadkowe rytuały, a my byliśmy jak ślepi. Nie docierała do nas żadna informacja, i to z naszych własnych placówek.

– To jeszcze nie dowód. A w dodatku nic jak dotąd nie wskazuje na osobę szambelana.

– Tylko on mógł odwołać moją ochronę, której kazałam czekać w umówionym miejscu. Tylko on mógł wprowadzić zbrojnych do fortecy, jaką było mieszkanie Immsa, i umożliwić zabicie jego ochroniarzy. A wyjątkowe bestialstwo miało porazić resztę kierownictwa Zamku i zmusić do nagłych działań bez przygotowania. Co zresztą mu się udało, bo takie działania miały miejsce. Nazywamy to w resorcie: akcja „panika”.

– To prawda. Ale nadal nic nie wskazuje bezpośrednio na osobę szambelana.

– Nikt poza szambelanem nie miałby pojęcia, jakie dokumenty podsunąć do podpisu szantażowanemu i umęczonemu Immsowi, żeby umożliwić zwycięstwo nad wojskami Mohra, żeby umożliwić marsz obcej armii i jakieś niewiarygodne zbrodnie popełniane na naszym terytorium, podczas kiedy wojska liniowe tkwią na granicach po przeciwległych stronach imperium.

Po raz pierwszy podczas tej rozmowy cesarz nie przerwał jej wypowiedzi. Siedział z nieruchomą twarzą, patrząc pani prokurator prosto w oczy. Być może zastanawiał się nad tym, co usłyszał. A być może tylko obmyślał wyrafinowane tortury, którym każe ją poddać.

Dopiero po dłuższej chwili okazało się, że nie miał w głowie instrukcji dla kata.

– Jest kilka osób w naszym państwie, które mogłyby przeprowadzić wszystko, o czym mówisz.

Na to była przygotowana.

– Nie, panie. W imperium są tylko dwie osoby, które mogłyby to zrobić.

– Upieram się przy swoim. Ja wymienilibym co najmniej kilka.

– Rozważmy zatem inne kandydatury – Taida zgodziła się natychmiast. – Na przykład twoja imperialna żona. Byłaby w stanie załatwić to wszystko, szczególnie we współpracy ze spiskowcami.

– No właśnie. Na przykład ona.

– Tak, tyle tylko, że w jej przypadku wchodziłoby w grę jedynie, jak to nazywamy w resorcie, samobójstwo rozszerzone.

– Słucham? – Cesarz zmarszczył brwi.

– Nie ma u nas tradycji kobiet imperatorów. Żaden kapłan jej nie wyświęci, żadne prawo nie ochroni.

W tym momencie naczelny prawnik imperium poparł prokurator, energicznie kiwając głową. Najwyższy kapłan również się zgodził.

– Jeśli więc twoja żona popiera spiskowców, to na własną zgubę. Jeśli ty zginiesz, zginie i ona, w dodatku bezimienna, niczego po sobie nie pozostawiając. No niby jest to teoretycznie możliwe. Jak mówiłam, to samobójstwo rozszerzone. Ale wtedy musiałyby cię nienawidzić bardziej, niż kochać własne życie. Czy tak jest w istocie, panie?

Tym razem cesarz nie musiał się zastanawiać.

– Nie – przyznał. – To nie ona.

– Pozostaje zatem pierwsza nałożnica.

Marantis, siedząca przy boku imperatora, poruszyła się gwałtownie. Obrót spraw ewidentnie ją zaskoczył.

– Ona nie musi umierać razem z tobą, panie. Może rozkochał ją w sobie jeden ze spiskowców, a może jako niewolnica pragnie zemsty na systemie? Kto wie jakie mogłyby odnieść korzyści z udziału w spisku. Ale teoretycznie takie korzyści są do pomyślenia.

– Dlaczego tylko „teoretycznie”?

– Bo ona w realizacji planu potrzebowałaby twojej pomocy, panie. To podsunęłaby ci do podpisu jakiś dziwny dokument, to prosiłaby cię o rozkazanie komuś, żeby słucał jej osobistych rozporządzeń. Pozostaje

więc pytanie: czy podpisywałaś, panie, jakieś dziwne dokumenty, czy twoja nałożnica miała do ciebie trudno wytłumaczalne prośby?

– Nie.

– Otóż to. Poza tym, gdyby była choć w części winna, nie pomogłaby zorganizować dzisiejszego spotkania.

– To żaden dowód. Może w ten właśnie sposób chce pozbyć się ostatniej osoby, która chce mnie bronić?

– W takich wypadkach najlepiej posłuchać tego, co mówi ci twoja dusza, panie. Zerknij więc w głąb siebie i zapytaj, czy ona jest człowiekiem, który cię nienawidzi.

Znowu chyba uśmiechnął się ledwie dostrzegalnym skrzywieniem warg.

– Raczej nim nie jest – powiedział.

Marantis rozżłościła się momentalnie.

– Raczej?! – wykrzyknęła gwałtownie. – Raczej?!

Trzeba ją było długo uspokajać. Dobrze grała. Albo może i nie grała. Wszystko jedno. Całe zamieszanie przynajmniej na moment odwróciło uwagę od Taidy, która czuła, że kumulujące się napięcie może zaraz sprawić, że stanie jej serce. Coś dusiło ją w klatce piersiowej. Pot spływał jej po ramionach gdzieś w dół, czuła go już w okolicach nadgarstków, a po chwili nawet między palcami dłoni. To była najważniejsza rozmowa w jej życiu. Być może ostatnia.

– W ten sposób wyeliminujemy wszystkich ludzi z twojego otoczenia, panie – podjęła. – Oprócz dwóch najważniejszych.

– Naprawdę ograniczysz liczbę tylko do dwóch? – zapytał cesarz.

Prokurator energicznie przytaknęła.

– Tylko tylu trzęsie cesarstwem i tak naprawdę wszystko jest zależne od ich woli. Jednym z nich jest szambelan, a drugim ty jesteś, panie. – Taida westchnęła ciężko. – Pozostaje więc tylko zapytać, czy ty sam nastajesz na własną osobę, panie.

Aż prychnął.

– Uważaj, żebyś się nie zagalopowała – warknął.

I wtedy nastąpił moment, w którym Nerva uznał, że należy się włączyć. Chyba oczami duszy widział zbliżającą się klęskę swojej podwładnej.

– Panie, przypomnij sobie zabójstwa dokonywane na moich oficerach, które opisywałem w raportach. Tego dokonać mógł tylko ktoś absolutnie pewny swojej nietykalności. Ktoś, kto stał ponad Zamkiem.

– To są słowa! – Cesarz nagle uderzył pięścią w poręcz tronu. – To są tylko słowa!

– Zdrajca jest wśród nas!

– Słusznie! Pytanie, czy jesteś nim ty?!

Taidą coś wstrząsnęło. No to koniec.

– Nie macie cienia dowodu! – krzyczał wzburzony cesarz. – Szkalujecie człowieka, który od dziesięcioleci jest opoką tego tronu! Strażnikiem Luan i mnie, który rządzi tą domeną! Pytam, co macie, żeby go oskarżyć. A wy tylko mówicie, mówicie i mówicie... Nie macie nic. Nie macie żadnego dowodu.

No. Czas żegnać się z życiem. Taida zdała sobie sprawę, że nigdy już nie znajdzie się w uścisku Taronu. Że nie usłyszy jego słodkich słówek szeptanych po zmroku do ucha. Że już nie usnie w swoim łóżku, spokojna i bezpieczna. Koniec słodkich snów. Koniec marzeń. To ostatnie miejsce jej krótkiego spotkania ze światem. Teraz już przed nią tylko bezdenna otchłań i ciemność. Teraz już nic.

Strach dosłownie ją zamroczył. Mętlik myśli na szczęście zapobiegł wyobrażaniu sobie, jakie tortury mogą stać się jej udziałem. W panice przeniosła wzrok na twarz Kasjopei i drgnęła nagle, nie mogąc uwierzyć w to, co tam zobaczyła. Odetchnęła głęboko, a potem się uspokoiła.

Kasjopea siedziała nieporuszona, słuchając wymiany zdań z wyuczoną obojętnością. Gdyby jednak ktoś obserwował jej oczy, mógłby domyślić się, co działo się w głowie księżniczki. Zobaczyłyby tam cienie jej sług. Kasjopea pochodziła z Troy. Tam służące nie były niewolnicami, ich rodziny towarzyszyły księżęcom rodzinom od pokoleń. Dziewczyny, które z nią podróżowały, to przecież były jej najbliższe przyjaciółki, powierniczki wszystkich tajemnic, młode kobiety, które rzuciłyby się za nią w ogień. A Geberik zamordował je wszystkie bez cienia łaski. Zabił jej ochroniarzy, z którymi też pewnie była blisko. Na pewno łączyły ich więzy przyjaźni. Oni wszyscy pochodzili z Troy, gdzie ludzie byli traktowani jak ludzie, a nie zwierzęta na smyczy jak w Luan. Geberik zabił zwierzchnika Kasjopei, delegata wywiadu na Syrinx, który zawsze jej imponował. Zabił koniuszych, woźniców, kucharzy, posługaczy, pomocników, wszystkich związanych z rodziną księżniczki od pokoleń. I na sam koniec upokorzył córkę wielkiego księcia.

Na twarzy Kasjopei malowało się tylko jedno uczucie.

Zemsta.

Rodowa zemsta! Odwet! Absolutna odплата! Nic nie zostanie darowane. Nie będzie litości! Nie będzie przebaczenia! Będzie tylko krwawa zemsta, rzeźnia, jatka, ostateczne rozwiązanie wszelkich spraw winowajców na tym świecie!

– Panie! – Odwróciła głowę w stronę cesarza, przybierając zatroskany wyraz twarzy. – Taida ma dowód winy szambelana. Ale boi się o nim wspomnieć.

– Co?!

Jakby gwałtowny podmuch wichru wtargnął nagle do sali audiencyjnej, szarpnął wszystkim, co nie było przymocowane na stałe, i w mgnieniu oka ucichł.

– Co ty mówisz, pani?

– Taida ma dowód winy.

– To czemu go nie wyjawia?

– Ponieważ to ja go dostarczyłam. A ja jestem poddaną króla wrogiego wam państwa. Moje intencje mogą być różne.

Imperator przez chwilę poruszał bezgłośnie wargami, jakby chciał wypowiedzieć jakieś zdanie, ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

– Jaki to dowód? – zapytał w końcu.

– Na pewno ci o tym doniesiono, panie, że przywódca spiskowców więził mnie w swojej willi. Cieszyłam się nawet względną swobodą. Nikt nie krępował moich poczynań, jeśli tylko nie wykazywałam się chęcią ucieczki.

Cesarz przytaknął.

– Tam też, panie, udało mi się kilka razy podsłuchać rozmowy spiskowców. Byłam w ich rękach, całkowicie zależna od ich woli. I nie zamierzali mnie wypuścić. Nie krępowali się więc zbytnio.

Nowe skinięcie. Oraz wyraźne zaciekawienie.

– To ja usłyszałam, że zdrajcą w Pałacu jest szambelan. Geberik wyraźnie powiedział to Prabhowi, a ja stałam wtedy z uchem przy ścianie.

Cesarz patrzył na Kasjopeę oszołomiony. To nie była osoba, której słowa można by pominąć. To była dziewczyna z rodu tak starego, że jej przodkowie swoje szlacheckie nadanie otrzymali chyba z rąk samych Bogów. Jej słowa nie wiatr. One miały swoją wagę, i to wyraźnie wymierną w górach złota lub w tysiącach ludzkich głów.

A potem cesarz popełnił błąd i spojrzał Kasjopei prosto w oczy.

A oczy córki wielkiego księcia Królestwa Troy były głębokie i przepełnione szczerością tak absolutną, tak totalną, tak bezwarunkową, że nie przyszło mu do głowy najprostsze. Że wyglądają jak oczy każdej kobiety, która beczelnie kłamie.



– Czemu mistrz Anai rzucił się na ciebie z objęciami? – Hekke, wyraźnie podniecony faktem, że gościł właśnie w cesarskim pałacu, krążył od

jednego człowieka do drugiego, zavrcając głowę, ponieważ nie mógł usiedzieć na miejscu.

Teraz dopadł Viriona.

– Bo jesteście starymi kumplami.

– A jak się poznaliście?

– On był najemnikiem w oddziale czarownicy Luny. O mało go zresztą nie zastrzeliłem z łuku podczas nocnej napaści.

– Byliście przeciwnikami?

– Tak.

– To jak zostaliście kumplami?

– Widzisz, to dość skomplikowane. W pewnej chwili tamtej historii pewien ponury typ kazał uczestnikom walki wybrać stronę, do której chcą należeć. Albo czarownicę i jej oddział, albo mnie samego.

– Ach! – domyślił się Hekke, uderzając się dłonią w czoło. – I Anai wykazała się rozsądkiem, bo wybrał ciebie?

– Mniej więcej. A później podróżowaliśmy razem, robiliśmy interesy i jakoś tak się zaprzyjaźniliśmy.

– Kat zna się na interesach? W czym robiliście?

– On nie jest katem. A robiliśmy w narkotykach. On produkował, a ja pacyfikowałem konkurencję, żeby nikt nie zipnął.

– Aaa, no tak. Słyszałem od jednego obrotnego karczmarza, że narkotyki to przyszłość. Że za to gównem kiedyś to można będzie imperia budować...

– Czy mógłbyś wyrażać się kulturalniej? – weszła mu w słowo siedząca niedaleko Taida.

Nikt z czekających w korytarzu nie był odpowiednio godny, aby zostać z cesarzem podczas przesłuchiwania jego najbliższego współpracownika. Nikt też nie był wystarczająco głęboko wtajemniczony w pałacowe sekrety, żeby słuchać tego, co się podczas przesłuchania z ofiary wyciągnie. Wszyscy więc postronni zostali umieszczeni w korytarzu, poza zasięgiem słuchu, gdzie mieli czekać na dalsze rozkazy. Co prawda przewidziano poczęstunek oraz wszelkie wygody, ale nie było niczego, co mogłoby ukoić stargane nerwy. Nawet wspomnianych narkotyków.

– I ty chcesz, żebym wprowadziła cię na salony? Najpierw musisz pościć trochę ogłady.

Hekke jak zwykle nie zrozumiał. Albo sytuacji, albo po prostu słowa „ogłada”.

– Yyy... to znaczy o co chodzi?

Nolaan pospieszył z szybkim wyjaśnieniem:

– To znaczy, że jak, kurwa, powiesz „gówno” przy cesarzu albo damach dworu, to cię zajebią normalnie!

Virion, Rohan, Kody, Tania, Lirion, a nawet Taida parsknęli śmiechem. Taron tylko zmarszczył brwi, a Niki spojrziała na księcia zdziwiona tym, co usłyszała, bo przecież on dotąd w ogóle nie kłął. Nerva natomiast nachylił się i poklepał młodego szermierza po ramieniu.

– Nie martw się, będziesz dobrym dworzaninem – powiedział uspokajająco. – Wszystkie damy dworu będą wzdychać, a młodzi będą się do ciebie garnąć, bo fajnie jest mieć w swojej kamaryli kogoś, kto mieczem umie władać po mistrzowsku, a i w ryj da z gołej pięści, jak zajdzie potrzeba.

– Aha. – Hekke co prawda nie rozumiał słowa „kamaryla”, ale najwyraźniej sens wypowiedzi do niego dotarł. – To znaczy w pałacu to jednak tak jak w życiu jest?

– Niby tak. Ale wyrażać się trzeba dwornie.

– Przecież ja umiem ładnie mówić.

Tania westchnęła, litując się nad kolegą.

– Ale damie dworu nie możesz powiedzieć tak wprost: „chodź do łóżka!” – wyjaśniła.

– A tu bym dyskutowała – włączyła się Taida.

– No fakt. Nie możesz tak powiedzieć w towarzystwie, ale na osobności to mów, jak chcesz.

– To ja już nic nie rozumiem.

– Zrozumiesz, zrozumiesz – Nerva znowu uspokajał chłopaka. – Będziesz udawał człowieka kulturalnego. A właściwie to nawet nie musisz niczego udawać. Wystarczy, że przez cały czas będziesz mówił wszystkim, jaki to jesteś kulturalny. Wystarczy, jak będziesz się teatralnie gorszył, widząc wszelkie przejawy braku kultury. Nie musisz udawać dobrego, szlachetnego, wielkodusznego, czytanego i wspaniałego. Wystarczy, że to powiesz i będziesz powtarzał. A naprawdę bądź, kim chcesz, choćby zdrajcą, dziwką i złodziejem. Bylebyś tylko mówił co innego.

– No nie. Naprawdę?

– Jeśli chodzi o politykę, władzę i kulturę, to naprawdę. Wciskaj aktualnie modne pierdy i nikt nie odkryje, żeś sukinsyn i prostak. Wśród kupców i spekulantów jednak to się może nie udać.

Hekke smętnie pokiwał głową.

– Co? Ci twardziej stąpają po ziemi?

– Niekoniecznie. Ci są po prostu zawodowo podejrzliwi.

Pewnie rozmowa trwałaby dalej, ale drzwi od części cesarskiej Pałacu otworzyły się, przepuszczając dwóch gwardzistów. Chwilę później ukazała się w nich Marantis.

– I co?! – Taida gwałtownie zerwała się ze swojego krzesła.

Nałożnica uspokajająco skinęła głową. Potem podeszła bliżej i powiedziała ściszym głosem:

– Przyznał się.

Wyłącznie dzięki refleksowi stojącego obok Viriona pani prokurator, która poczuła nieprawdopodobną wręcz ulgę, nie upadła na podłogę.

– Medyka?

– Nie, nie. – Taida oparła się na Taronie, który podskoczył z boku. – Co powiedział?

– Ooo, długo by mówić i wszystkiego to się na pewno nigdy nie dowiecie.

– A o sprawach doraźnych?

Marantis przygryzła wargi.

– Najpierw nastąpi pozorowany atak wojsk Prabha. Na bramę Spiżową. On będzie miał nawet wsparcie od wewnątrz, ale niewielkie. Spiskowcy nie liczą na powodzenie tego ataku. Chodzi o wywołanie zamieszania w mieście.

– A prawdziwy atak?

– Nastąpi na bramę Pszenną. Na maszcie nad bramą wisi proporzec cechu spekulantów rolnych. Atak rozpocznie się od środka. Wyznawcy nowej wiary i nowego porządku rzucą się na murowych, a od zewnątrz podejść wojska Geberika. W chwili kiedy fanatycy zdobędą bramę, zdejmą proporzec i wciągną na maszt własną flagę. Wtedy nastąpi szturm, wywrotowcy otworzą bramę i do Syrinx wkroczy Legion Moy.

– I będzie pozamiatane – dokończył Virion.

– W rzeczy samej.

– Powiedział, kiedy nastąpi szturm? – dopytywała się Taida.

– Powiedział.

– No? Kiedy?

Marantis wyglądała na spłoszoną. Najwyraźniej nie wiedziała, na kogo powinna patrzeć, bo nagle opuściła wzrok.

– Jutro.

– Nie!

– To niemożliwe! Nie było żadnych sygnałów o zbliżaniu się obcych wojsk. – Zgromadzeni na korytarzu różnie przyjmowali tę wiadomość. – Anai przesadził z bólem. Szambelan powiedział mu to, co kat chciał usłyszeć...

– Jutro – powtórzył za nałożnicą Nerva.

– A skąd możesz wiedzieć?

– Stąd, że nie mamy meldunków z naszych placówek, nie mamy wojska na podejściach, a oni już nie pacyfikują miast po drodze.

Wszystko, co wiemy o ruchach ich armii, pochodzi od uchodźców, ale teraz legioniści są od nich szybsi. No i spychają ludzi z drogi.

Zapadła cisza. Jutro! Nikt w Syrinx nie był gotowy. Nie było żadnych liczących się sił poza murowymi wyłapywanymi przez Robego.

– I co robimy? – Taida przenosiła wzrok z twarzy na twarz. Tylko Virion nie odwrócił oczu.

– Ogłoś, że cesarz ułaskawił Prabha – poradził. – Od dawna chcesz poróżnić spiskowców. A ten nadęty palant, kiedy się dowie, to może nie przeprowadzi pozoracji ataku i nie wywoła paniki na ulicach miasta.

– Pomyśl dobry. Ale myślałam raczej...

Marantis przerwała potok wymowy pani prokurator, kładąc rękę na jej ramieniu.

– To nie jest koniec złych wieści – szepnęła.

– A co może być gorszego?

Nałożnica uśmiechnęła się smutno.

– Cesarz ufa już tylko tobie – powiedziała. – I właśnie mianował cię dowódcą obrony murów.

Taida straciła oddech. Stała z wybałuszonymi oczami i patrzyła gdzieś przed siebie. Potem potrząsnęła głową.

– Ja pierdolę!...

– Cicho – podskoczył Hekke. – Mieliśmy nie kląć, bo nas zajebią.

Rozdział 10



Podejdźcie bliżej. – Virion podniósł trzymaną w rękę pochodnię i pochylił ją do przodu tak, żeby ludzie Robego mogli kolejno odpalić swoje luczywa. – Ustawcie się pod ścianami po obu stronach. Mniej więcej co dziesięć kroków od siebie.

– Co robimy? – zapytała Taida.

– Chcę ci pokazać, dlaczego spiskowcy jako miejsce na atak wybrali właśnie bramę Pszeną.

– Dlaczego? – Pani prokurator rozejrzała się niespokojnie po tonących w ciemnościach budynkach. Przedmieścia stolicy opustoszały tak dalece, że z rzadka tylko udawało się dostrzec ledwie mżące światło w jakimś oknie. A nawet ono niekoniecznie musiało świadczyć o obecności mieszkańców. Być może to rabusie myszkujący po obejściach oświetlali sobie nieznaną teren.

Ludzie Robego ustawiali się pod ścianami po obu stronach drogi prowadzącej do bramy w ustalonych odstępach. Po chwili już stworzyli rozświetloną punkcikami światła aleję, przypominającą trochę te, które tworzone w cesarskich parkach podczas świąt państwowych.

Taida patrzyła, nie rozumiejąc sensu tego pokazu.

– I co niby mam zobaczyć?

– Założenia strategiczne. Co my tu mamy?

– Ulicę?

– Tak. Szeroką, równo i ciężko brukowaną, z doskonałym podejściem do samej bramy.

– No ale właśnie tak ją zbudowano. Tu przecież musi naraz zawrócić co najmniej kilka wozów z pszenicą, tu trzeba je rozładować, umieścić wszystko na wozach, które będą mogły wjechać do miasta...

– I dlatego masz tu teren idealny do przeprowadzenia ataku.

Virion schylił się, a potem przykucnął, opierając dłonie na szlifowanym kamieniu.

– Nawet gdyby udało nam się go zerwać, choć czasu już bardzo mało, i wykopać wilcze doły, to wokół jest wystarczająco dużo budulca, żeby je

zasypać. Gdybyśmy zrobili barykady w poprzek, to nie mamy odpowiedniej liczby ludzi, żeby je obsadzić. A taka nawierzchnia jest idealna dla manewrującego wojska. Mogą się przegrupowywać w dowolny sposób, mogą wykonywać elastyczne manewry w zależności od sytuacji.

– Czekaaj, czekaaj, czekaaj... Czy ty chcesz mi powiedzieć, że nasza sytuacja jest beznadziejna?

Virion wyprostował się nagle, z bliska spojrział w oczy Taidy i powiedział spokojnie:

– Nasza sytuacja jest beznadziejna.

– Aha. To właśnie chciałam wiedzieć.

Taida czuła, jak drżą jej ręce. Nie miała wielkiego pojęcia o wojskowości, a właściwie, tak po prawdzie, nie miała o tym żadnego pojęcia. A tu cesarz zrobił jej niespodziankę i mianował dowódcą obrony stolicy. Tylko jej już ufał. Pytanie teraz, czy to był akt desperacji z jego strony? Czy raczej perfidny plan? Wolał mieć na kluczowym stanowisku kogoś, kto nie zawiedzie z całą pewnością, choć ten ktoś nadawał się na to stanowisko równie dobrze jak baletnica do wykonywania zawodu kowala? Nie chciał mianować doświadczonego stratega, nie będąc jednak pewnym jego lojalności. To wedle zasady, że lepszy wierny dureń czy inteligentny zdrajca, czy też chodziło mu o coś zupełnie innego? No zastanówmy się. I założmy, że cesarz jednak nie jest idiotą i nie wysłał kogoś tylko po to, żeby ten z honorem poległ godnie na murach.

Przypomniała sobie opowieść, którą słyszała w dzieciństwie. Rzecz według legendy działa się dawno, dawno temu, jeszcze w okresie starożytnych państw-miast, kiedy to o losach swojego grodu decydowali obywatele. Jedno państewko uderzyło na drugie, błyskawicznym manewrem pokonało wrogą armię i zamknęło jej resztki w obleganym mieście. Niestety, murów z marszu nie udało się zdobyć, nastąpiło długie, wyczerpujące oblężenie. Rosły koszty, a zwycięstwa nie było widać, jedynie bieda pogłębiała się z każdą chwilą, bo wojsko wysłane gdzieś hen, daleko kosztuje niewspółmiernie dużo. Obywatele burzyli się, kłótniom i połajankom na forum nie było końca, wszyscy krytykowali wszystko, a przede wszystkim radę strategów, która nie potrafiła doprowadzić do ostatecznego rozstrzygnięcia. Szczególnie pomstował na wojskowych pewien wymowny szewc, doprowadzając oficerów do, jakżeby inaczej, szewskiej pasji właśnie. Kłuił ich w oczy tak bardzo, że pewnego dnia nie wytrzymali. I rada strategów jednogłośnie mianowała szewca dowódcą armii, niech teraz na własnej skórze doświadczy, czym jest wojna, armia i oblężenie.

Następnego dnia wrogie miasto zostało zdobyte. Nie, szewc wcale nie dokonał cudu. Nie był głupi i wiedział, że się nie zna. Rozwiązał tylko radę strategów, a dowódcą szturmów mianował tylko jednego z nich. No i... jednoosobowe dowodzenie sprawiło, że była realizowana tylko jedna koncepcja ataku. Wystarczyło.

Taida odchrząknęła i wydała swój pierwszy w karierze wojskowej rozkaz.

– Ciebie mianuję dowódcą obrony murów. – Wskazała palcem na Taronę. – A ciebie dowódcą obrony przedpoła. – Przeniosła palec na Virionę.

Obaj wyróżnieni spojrzeli na siebie w zdziwieniu.

– Zaraz. – Taronę zapowietrzyło. – Obronę murów ma kierować setnik ze świeżego mianowania i bez doświadczenia?

– No moment. – Virion był równie zaskoczony. – Ale ja w ogóle nie jestem dowódcą wojskowym.

– Panowie! – Taida przenosiła wzrok to na jednego, to na drugiego. – Wykonać!

– Tak jest! – Taron wyprężył się słuźbiście.

– Jakie są twoje zamierzenia? – zaatakowała go natychmiast.

– Eeee... Te resztki wojska, które właśnie nadchodzą ze strategiem Mohrem, nie powinny wejść do miasta. Niech zajmą pozycję pod murami przed bramą Spizową. Jeśli siły Prabha są zdemoralizowane, a przynajmniej sam dowódca rozchwiał się przez twoje działania, to może nie dojdzie nawet do murów. W mieście nie wybuchnie panika i...

– A tu? Przy naszej bramie?

– Niech cieśle zbudują dodatkowe pomosty z dachów kamienic na mury. Nasi ludzie będą wycofywać się i atakować w różnych miejscach, różnymi siłami. No i trzeba zgromadzić dużo środków zapalających.

– Dobrze. Wykonaj. – Taida spojrzała na Virionę. – A ty?

Ten uśmiechnął się szeroko.

– Musimy spalić miasto.

Zdębiała.

– Co musimy?

– Spalić miasto. To wszystko wokół trzeba szybko podpalić. Oni chcą mieć piękne, równo brukowane podejście pod samą bramę bez żadnych przeszkód, to... będą mieli. Tyle tylko, że po obu stronach dwie ściany ognia. A co zrobi dym pod wpływem wiatru, jak się ułożą płomienie? To będzie nieprzewidywalne. Nastąpi koniec elastycznych manewrów i w ogóle musztry, jaką znają.

Taida odruchowo zaprzeczyła, kręcąc głową.

– Ale nikt mi nie kazał palić miasta.

– Ty jesteś głównodowodzącą. Będzie tak, jak rozkażesz. Przecież nad tobą nie ma teraz już nikogo.

Oniemiała. A potem znowu potrząsnęła głową.

– Ale... jak to spalić? Skąd wezmę ludzi? Zresztą co ja mówię. Nikt nie podpali własnego domu!

– Oczywiście, że nikt. Ale teraz większość domów stoi pusta.

– Same się nie podpała. Zresztą... Nie, nie, nie.

– Taida – chwycił ją za ramiona – teraz albo nigdy.

Oddychała ciężko.

– Sama mam wziąć krzesiwo czy...

– Taida. Wypuść bandytów z lochu pod Zamkiem. Wypuść przestępców ze wszystkich więzień! Daj każdemu do rąk dwie pochodnie i zapewnienie, że w ten sposób odkupią swoje winy. Że nikt ich nie będzie ścigał.

– Bogowie!

– Bogów w to nie mieszaj. A bandyci niech spalą wszystko do gołej ziemi.



– Są na podejściu! – zameldował usmolony gwardzista, salutując służbiście. – Dajcie im parę chwil i pojawią się przed tą bramą.

Zwiad bliskiego zasięgu więc działał. I to całkiem sprawnie, zważywszy na okoliczności. Virion, wpatrzony do tej pory w niebo, dopiero teraz opuścił wzrok na gwardzistę. Z powodu łuny pożarów prawie nie było widać gwiazd na niebie. Może z wyjątkiem tej, która po nieboskłonie ciągnęła swój ogon. W okolicach miasta trudno było oddychać. Twarze zgromadzonych ludzi błyszczały od potu. Wszyscy mrużyli oczy, nie chcąc, aby krążące w powietrzu drobinki popiołu dostały im się pod powieki.

– Jak wyglądają? – zapytał bardziej z ciekawości niż z innego realnego powodu.

– Zdobywczó! – odparł gwardzista bez wahania. – Idą jak taran.

– No. – Virion odprawił cesarskiego zwiadowcę i odwrócił się do swoich ludzi. – Tośmy się doczekali.

Potoczył wzrokiem po twarzach tych, którzy stali dokoła niego. Dwudziestu najemników, i to bez wyjątku, wyglądało na krańcowo pewnych siebie. Dwudziestu chłopców, których Hekke zwerbował w mieście, gdzie znajdowała się arena do pojedynków. Poprzedniego dnia

dostali pierwszą ratę swojego wynagrodzenia w złocie, ogromną, zupełnie dla nich niewyobrażalną, którą zdeponowali w różnych domach kupieckich. Ci, którzy mieli rodziny, właśnie obdarzyli je fortuną. Ci, którzy nie mieli, jeśli przeżyją, będą krezusami. Nie trapiły ich żadne wątpliwości. Już zdążyli się przekonać o potwornej skuteczności swoich „wyrafinowanych technicznie narzędzi do zdobywania przewagi w szermierce” nad zwykłymi, krótkimi mieczami piechoty. No niestety. Nie wiedzieli jeszcze, że wojsko zwycięża nie poprzez serię pojedynków, a umiejętności we władaniu mieczem u poszczególnych szeregowych nie mają wielkiego znaczenia dla rezultatu bitwy.

Zupełnie inaczej prezentowali się „starzy” ludzie Viriona. Profesjonaliści wiedzieli, co to jest armia na wojnie. I nie mieli zbyt wielu złudzeń.

– Co robimy? – zapytał.

– A jaki jest plan? – odezwał się od razu Hekke.

Virion wzruszył ramionami.

– Legion uderzy na bramę w miejscu, gdzie teraz jesteśmy. A fanatycy w tej samej chwili uderzą od strony miasta. Trzeba powstrzymać i jednych, i drugich. Jeśli brama zostanie otwarta, Cesarstwo Luan zniknie z mapy, przynajmniej w swoim obecnym kształcie. Jeśli nie, to może murem uda się wyróżnić sfanatyzowaną tłuszczę...

– A ty widziałeś tych „murewych”? – wpadł mu w słowo Rohan. – Albo bandytów bosmana z marynarki wojennej? Toż to zwykłe szumowiny, a nie żadne wojsko.

– Toteż nie liczę na ich zwycięstwo w polu, tylko na ich chciwość i chęć przetrwania.

– A, dostaną jeszcze coś do zrabowania?

– Pewnie. Cesarz będzie musiał rzucić tłumowi pod nogi głowy zdrajców. A tym, co wytrwali przy majestacie, także ich majątki.

– Legion nie ma maszyn oblężniczych – zauważył Lirion.

– Bo nie będzie żadnego oblężenia, albo otworzą bramę, albo nie. Nikt jednak w historii świata nie walczył z armią samobójców. Nikt nie wie, co się stanie.

– A nie można oddzielić ich od bramy ogniem?

– Niby jak? To może od razu spalmy całą Syrinx i wtedy spiskowcy nie będą mieli po co sięgać.

Kilka twarzy rozciągnęło się w uśmiechach. Dla wszystkich było jasne, że mieli za mało czasu, żeby opracować jakąś sensowną strategię. Żeby przygotować odpowiednie siły i środki. Plan zdrajców okazał się genialny. A teraz pozostało im już zdobycie ostatniego ogniwa.

– Co robimy? – Virion powtórzył pytanie z samego początku rozmowy.

Teraz dopiero pozostali zrozumieli, o co tak naprawdę pyta. I znowu Hekke wyrwał się do odpowiedzi:

– No jak co? Okazujemy nasz honor, dzielnie broniąc Syrinx do końca! A jak już nas przygniotą, to się wycofujemy.

Nolaan nie omieszkiał skorzystać z okazji.

– Bronimy honoru do końca, a jak się skończy koniec, to uciekamy? – upewniał się tak, żeby reszta słyszała.

Rohan wszedł między adwersarzy, zapobiegając burdzie.

– Zły to dowódca w wojsku, który każe swoim ludziom iść na zatracenie – powiedział.

– Ale my nie jesteśmy wojskiem – zaproponował Lirion. – Armia musi mieć na uwadze przyszłe kampanie, przyszłe bitwy i musi zachować weteranów, żeby to miało sens. A dla nas to ostatnie zadanie, które właśnie się kończy.

– Pytanie, co jest końcem – powiedziała Tania.

– Powstrzymanie legionu – Kody nie miał wątpliwości.

– Przecież nikt nie sądził, że kilka osób zabije cały Legion Moy.

– Toteż nikt ci nie każe zabijać całego legionu. Wystarczy, że ich powstrzymamy...

– Chcesz niecałe trzy dziesiątki rzucić na tysiąc? Czy ile ich tam?

Virion podniósł rękę, uciszając spór, który prowadził donikąd. Podszedł do dwudziestki zwerbowanej w miasteczku.

– A wy?

Stojący najbliżej młody człowiek uśmiechnął się w sposób, który jednoznacznie powiedział pozostałym, że ci ludzie nie mają żadnych wątpliwości.

– Mam na imię Kim – przedstawił się specjalista od pojedynków. – I bardzo chciałbym, żeby to imię historia zapamiętała.

– Akurat! – krzyknął któryś z jego kolegów. – Nazywamy go Kiś. Nie powiem, od czego...

Virion odpowiedział uśmiechem.

– Do czego zmierzasz, młody? – zapytał.

– Ano do bardzo prostej rzeczy. Albo będę tu z tobą, albo w ogóle mnie nie będzie. Tak jakbym nigdy nie istniał. Ty masz dar tworzenia legend. A ja chcę, żeby po mojej śmierci przy każdym ognisku w lesie, w każdej zaplutej karczmie mówili, że tylko dwudziestu młodych poszło wtedy na pewną śmierć.

– A jeśli przeżyjesz?

– Uuuu... Wtedy do usranej śmierci będę zamęczał wnuki powtarzając bez końca opowieścią: czy wiecie, niebożęta, że pamiętnej nocy wasz dziadek walczył pod Syrinx razem z Virionem?!

Hekke zaczął się śmiać. Do niego ta narracja przemawiała.

– No i koniec pierdolenia. – Splunął na ziemię. – Zostajemy, spuszcza im dziki łomot, a jak ktoś opadnie z sił, to zrobi, co zechce.

– Dziękuję za taki oddział – mruknął Rohan.

Tym razem, o dziwo, Nolaan wziął stronę Hekkego. Chyba po raz pierwszy od chwili, kiedy się zobaczyli.

– Bo to, co się dzisiaj stanie, stanie się po raz pierwszy w historii. Niech każdy sam zadecyduje, jak chce do niej wejść.

Virion przerwał im ruchem ręki.

– Nad bramą wisi proporzec cechu kupców pszennych. – Wskazał za siebie kciukiem. – Wiemy z zeznań szambelana, że kiedy fanatycy zajmą bramę, to zawisnie nad nią czarny sztandar. Znak, że brama została otwarta. Jeśli ujrzymy ten sztandar, naszym zadaniem będzie nie dopuścić legionu do bramy. Jak długo się da. Jeśli nad bramą będą powiewały barwy cechu kupców, Legion Moy nie wedrze się do stolicy.

– Ja pierdołę. – Hekemu jak zwykle coś się nie podobało. – Umrę za handel pszenicą! Dlaczego tamci głównego ataku nie poprowadzą właśnie na bramę Spiżową?

– Wtedy umarłbyś za handel narzędziami rolniczymi – wyjaśnił Nolaan. – Spiż od dawna przecież nie oznacza uzbrojenia.

Virion nie komentował.

– Plan jest taki. Dwudziestu młodych tworzy linię i powstrzymuje piechotę, dopóki tamci czegoś nie wymyślą. Elita stoi w odwodzie. Jeśli legionieści przełamią naszą linię, rzucamy się na odsiecz i likwidujemy zagrożenie. Wszystko jasne?

– Jasne.

– No to...

– Idą! Idą! – czyjś okrzyk dobiegł ich od strony płomiennego piekła. Ostatni gwardzista po tej stronie murów z najwyższym trudem panował nad wariującym ze strachu przed płomieniami koniem. Nie zatrzymał się nawet przy nich, powtarzając tylko: – Nadchodzą!

Popędził dalej na most nad suchą od setek lat fosą.

– Zamykać bramę! – krzyczał. – Zamykać bramę!

Virion uniósł głowę, by jeszcze raz popatrzeć na niebo. Zdawało się, że morze ognia pochłonęło wszystkie gwiazdy. Oprócz jednej. Tej właśnie, która ciągnęła za sobą płomienny ogon.



Taida nie dowierzała własnym oczom. Od strony płonących przedmieść zbliżał się właśnie koniec świata, a jej ludzie, stanowiący przypadkową zbieraninę frajerów, którzy dali się złapać gangsterom Robego, nie wykazywali żadnego strachu. Ba, nie widziała nawet oznak niepokoju. A co już najdziwniejsze, jej murowi potrafili nawet przemieszczać się zgodnie z rozkazami, nie korkując wąskich bocznych ulic, niczego nie rujnując ani nie niszcząc.

– Niesamowite, co? – Taron również patrzył na ludzi sprawnie zajmujących stanowiska obronne.

– Jakby to było prawdziwe wojsko.

– Prawie jest. Zabrakło tylko jakiejś prawdziwej bitwy do okrzepnięcia.

– No przecież w ogóle żadnej bitwy nie było.

– Oj tam, oj tam. A rabowanie dóbr Prabha to co?

Wzruszyła ramionami.

– Co co? Wspólne rabowanie chcesz nazwać mitem założycielskim?

Nie do końca rozumiał, ale uśmiechnął się ciepło.

– Wspólne rabowanie zrobiło z nich zwarty oddział. Masz rację, że to jeszcze nie wojsko. Ale przecież nie regularna armia będzie ich dziś atakować.

Taida miała niewielkie pojęcie na temat sił, z którymi dzisiejszej nocy przyjdzie się zmierzyć. Prawdę mówiąc, nawet zeznania szambelana nie wniosły żadnych konkretów do sprawy w tej kwestii.

– Ludzie Viriona już ich napotkali w wąskim zaułku.

– Pamiętam, mówiłaś.

– Prawie im się udało pokonać oddział złożony z szermierzy natchnionych.

Taron wypluł źdźbło, które gryzł w ustach.

– Przede wszystkim nasi byli wtedy kompletnie zaskoczeni. I było ich kilku zaledwie.

– Masa nas uratuje?

– Nie o to chodzi. Dziś wiemy, z czym się zmierzmy.

Taida nie podzielała entuzjazmu swojego setnika. Poznała go na tyle, żeby wiedzieć, że rozdzielanie włosa na czworo nie leży w jego naturze. Ale też wiedziała, że nie lekceważy zagrożenia.

– Te barykady ich powstrzymają? – Wyciągnęła rękę w stronę najeżonych ostrymi palami konstrukcji, które cieślom udało się zbić w pośpiechu na ulicach.

– Nie wiem. Ale mamy jeszcze podesty na dachach pobliskich kamienic. Drewniane przejścia...

– Pytałam raczej, czy ludzie nie runą do ucieczki na sam widok tych fanatyków.

Znowu się uśmiechnął. Znowu ciepło i kojąco.

– Pojęcia nie mam, ale wiem jedno. – Oparł ręce na ramionach Taidy. – Przed bitwą nie można dać się spętać własnym wyobrażeniom o niej!

Korzystając z mroku panującego pod wieżą kryjącą bramę Pszenną, chciała go pocałować. Choćby szybko i ukradkiem. Przeszkodził jej wybijający się ponad szum płomieni tętent i okrzyki:

– Zamykać bramę! Zamykać bramę! Nadchodzą!

Taida podniosła głowę. Odruchowo jej wzrok przyciągnęła gwiazda ciągnąca za sobą ogon. A nie o to jej chodziło. Zastanawiała się po prostu, czy będzie jej jeszcze dane zobaczyć wschodzące słońce.



– Jak szarańcza! – roześmiał się Rohan, wyciągając przed siebie rękę. Jego palce celowały w zbliżających się legionistów. Nie trzymali szyku, przy płomieniach wokół nie mogli ustawić linii. Zbliżyli się więc wielką kupą, poszarpaną po bokach, falującą, aby uniknąć bliskości ognia, niespójną, choć w oczywisty sposób stanowiącą jedność. Naprawdę wyglądali jak rój.

– No. – Virion nie wyciągnął swojego miecza. Nawet nie dotknął rękojęści. – Całość naprzód!

Dwudziestu młodych mężczyzn sprawnie ruszyło przed siebie. Zupełnie jakby mieli choć blade pojęcie o wojskowej musztrze.

– Chcesz posłać oddział przed siebie? – zdziwił się Rohan.

– Tylko do najbliższej przecznicy.

– Przyznam, że nie do końca rozumiem.

– A ja się domyślam. – Lirion wskazał za siebie. – Stąd do bramy jest jakieś sto kroków. Do najbliższej przecznicy też ze sto. No to musimy do niej podejść, żeby mieć się skąd cofać.

Dla Rohana było jasne, dlaczego nie mogą przekroczyć przecznicy. Wtedy dadzą po prostu przeciwnikowi możliwość zaatakowania ich oddziału z dwóch boków, po prostopadłych ulicach. Ale po co im dwieście kroków odległości od bramy?

Lirion zlitował się i wyjaśnił:

– Najpierw musimy zatrzymać maszerujące wojsko. Ich siły muszą stanąć.

– To akurat rozumiem. My uderzymy na nich, bo tylko to zatrzyma całą maszerującą masę.

– No właśnie. Ale musimy mieć sporą odległość, żeby się wycofywać, bo po chwili rzeźni będziemy stali w trupach po kolana, potem zwłoki będą nam sięgać po pas, następnie po szyję, a nad ranem wrogowie będą skakać nam na głowy ze szczytów gór trupów.

– Optymista. – Virion poklepał kolegę po ramieniu. – Poranek już nie dla nas.

Specjaliści od pojedynków szli szybko, choć ich szereg falował bez przerwy. Podmuchy ognia od nawietrznej były nieprzewidywalne. Trzeba było uskakiwać, uciekać. Zawiązane na twarzach chusty nie dawały praktycznie żadnej osłony przed dymem. Ludzie zaczęli kaszleć, choć szczęściem dotyczyło to obu zbliżających się ku sobie sił.

– Rohan, weź kuszę i wyłuskaj mi oficerów, podoficerów i wszystkich, którzy zaczną wydawać jakiegokolwiek komendy.

– Tak jest.

– Tania! Osłoń go i ładuj, a kiedy wróg przedrze się przez pierwszą linię i przez nas, zlikwidujcie go we dwoje.

– Tak jest.

– Niki?

– Ja z wami...

– Ani mi się waż! Do tyłu i przewąchuj, czy nikt nam nie wyłazi na plecy!

Zamiast zwyczajowego „tak jest” jego żona zaczęła syczeć jak wąż, a potem pokazała mu język.

– Dobra, zaczynamy. Zwolnijcie trochę!

Pierwszy szereg szermierzy przystanął, usiłując się uporządkować. Nie było to proste. Szczególnie na prawym skrzydle lekki na szczęście wiatr co chwila obsypywał ludzi nawałą iskier. Przeciwnik jednak też miał problemy. Jakiś fragment konstrukcji dachu runął na ulicę, tworząc wyraźne przewężenie. Żołnierze naprzeciw również musieli zwolnić. Obie grupy widziały się już wyraźnie. Legioniści zobaczyli też, że za pierwszym szeregiem obrońców nie ma nikogo więcej. Uwierzyli w swoją miazdzącą przewagę liczebną.

– Do ataku! – Jakiś oficer wyszarpnął miecz, wskazując swoim ludziom kierunek. – Do!... – Umilkł, kiedy bełt z kuszy wbił mu się w gardło i przeszedł na wylot.

– Do ataku! – podjęli podoficerowie na pierwszej linii. – Do ataku!

Rohan poraził jeszcze dwóch, zanim legioniści dobiegli do szeregu szermierzy.

Pierwsza linia atakujących runęła na ziemię dokładnie w tym samym momencie, druga po chwili, a trzecia po upływie czasu potrzebnego na wzięcie oddechu.

– Naprzód! – krzyknął Virion. – Naprzód! Napierać!

Szermierze zrobili pierwszy krok. Nie jak wojsko, nie równocześnie, nie jak na paradzie. Po prostu każdy przekroczył zwłoki, które leżały mu pod nogami. Jedni więc musieli sięgnąć stopą dalej, inni trochę bliżej. Żołnierze chyba nie zrozumieli istoty tego manewru, bo nie ruszyli się z miejsca. I następnym dwudziestu upadło na bruk.

– Naprzód! – krzyczał Virion.

Szermierze zrobili następny krok. A potem jeszcze jeden. Ci z legionistów, którzy stali na tyle blisko, żeby widzieć, a jednocześnie wystarczająco daleko, żeby nie zginąć, zaczęli rozumieć, o co chodzi.

– Atakują! – rozległy się okrzyki. – To atak!

Ale zrozumienie to jeszcze nie działanie. Tym bardziej że z tyłu bez przerwy nadciągały dalsze siły. Żołnierze zaczęli się tłoczyć.

– Naprzód! – Virion nie zamierzał ustąpić. Z uwagą obserwował pofalowaną z lekka linię swoich ludzi. – Tam jest wybrzuszenie – wskazał kierunek. – Zlikwidujcie je.

Lirion, Nolaan i Hekke skoczyli do przodu. Likwidacja zagrożenia trwała moment. Mistrzów jednak poniosło. Zaczęli ciąć wszystko, co żyje, i błyskawicznie przedarli się przez własną linię, wbijając się w tłum legionistów przed nimi.

Virion nie chciał wrzeszczeć, żeby się cofnęli. Taki okrzyk mógłby zostać różnie zrozumiany i cała jego linia mogłaby runąć w tył. Nie znał się na wojsku, ale wiedział, że skoro nie da się uciekać, to trzeba atakować. Skoro nie mógł wycofać trójki zawodowców, to musi sprawić, żeby to szereg ruszył szybciej i ich ogarnął.

Wyszarpnął swój miecz i podbiegł na swoje lewe skrzydło.

– Za mną! – krzyknął, prześlizgując się między dwójką swoich. – Do ataku!

Ściął głowę najbliższemu legioniście. Jego ludzie ruszyli za nim i błyskawicznie zabrakło miejsca na jakiegokolwiek popisy. Virion zabijał więc żołnierzy przed sobą, zdziwiony, dlaczego jego samego nikt jeszcze nie sięgnął. Co za kretyńska sytuacja. Wojna jawiła mu się jako bezdennie głupia przepychanka. Albo okładanie się na oślepa cepami. No... dobrze przynajmniej, że jego cep był okuty żelazem.

Żołnierze z przodu, na tyle, na ile mogli, próbowali się cofać. Po chwili za ich plecami można było dostrzec ścianę płomieni. Ach, to przewężenie od zawalonego dachu. Dym utrudniał obserwację. Oczy łzawiły, a każdy oddech odzywał się charkotem płynącym gdzieś z głębi płuc.

– Stać! Stać!

Virion usiłował powstrzymać swoich ludzi przed zbliżeniem się do ściany ognia. Kilkunastu ocalałych legionistów uciekało przez wolny od

plamieni przesmyk. Ranni jęczeli albo czołgali się w różne strony.

– Marsz wroga powstrzymany. – Rohan oparł kolbę kuszy o biodro. – Zaskoczenie zostało wykorzystane idealnie.

– Tia. – Lirion skinął głową. – To teraz koniec zabawy.

– Cofną się, przegrupują i teraz uderzą naprawdę. Fachowo.

– Nie krakać mi tam. – Virion splunął na bruk. – My też się cofamy do linii pierwszych trupów.

– I też się przegrupujemy? – zapytał Hekke.

– Tak. Powiedz Nolaanowi, żeby się zamienił miejscem z Lirionem.

Rohan parsknął śmiechem.



Taida próbowała dostrzec coś w ciemnościach, ale szalejące za murami pożary skutecznie to uniemożliwiały. Łuna nad miastem powodowała, że w mroku ginęły te zakątki na ulicach, które nie miały swojego oświetlenia.

– Jest tam ktoś? – zapytała.

– Nasze warty – odparł Taron. – Gdyby ktoś nadchodził, zostaniemy zaalarmowani.

– Nie zostaniemy – wtrącił się Robe. – Po mojemu to warty dawno uciekły.

– A ty coś widzisz?

– Nie widzę. Ale ludzi znam.

– Myślisz, że na dole już w ogóle nie ma naszych żołnierzy?

– Przy barykadach są. Bo tam jeden drugiego pilnuje, no i podoficerowie blisko. A dalej, w ulicach, po ciemku... – Bosman zawiesił głos. – Tam tylko strach ma władzę. Ludzie nie.

Lekki podmuch wiatru przyniósł ze sobą odgłosy walki na ulicy na zewnątrz, przed murami. Tu, w obrębie fortyfikacji, nic się jeszcze nie wydarzyło.

– Może zobaczymy, co tam się dzieje? – Taida zaproponowała wyjście na koronę murów, ale Robe znowu zaoponował.

– Lepiej zejźmy na dół.

Stali teraz na platformie pośredniej, w newralgicznym miejscu, gdzie znajdował się mechanizm otwierający bramę. Samo centrum obrony. Utrata tej platformy sprawi, że wróg będzie mógł decydować o otwarciu wrót.

– Na dół? Po co?

– Lepiej, żeby ludzie czuli dowódców za plecami. Przecież zaraz się zaczniesz.

Taron nie wytrzymał.

– Robe? Czy ty coś wiesz, o czym ja nie wiem? A może widzisz w ciemnościach?

Bosman tylko machnął ręką.

– Tam się zaczęło – wskazał za siebie, w miejsce, którego nie widzieli, a skąd docierały odgłosy bitwy – to i tu się zaczniesz. Przecież jedni i drudzy mieli uderzyć naraz.

Trudno było odmówić mu racji. Zaczęli więc schodzić wąskimi schodami z bardzo niską poręczą, choć na dole ciągle nic się nie działo. Z tej strony nie docierał do nich najcichszy nawet odgłos. Taida za to błogosławiła panujące wokół ciemności. Gdyby nie one, prawdopodobnie nie dałaby rady zejść tędy o własnych siłach. A tak przynajmniej nie widziała wysokości.

W tym właśnie momencie ktoś w oknie najbliższej stanowiskom obronnym kamienicy zapalił oliwną lampkę.

– Są! – krzyknął Taron na widok nadbiegającego od strony miasta człowieka.

– To nasz!

Ślaniający się na nogach mężczyzna biegł z trudem, sunąc ręką po ścianie domu. Drugą przyciskał sobie do brzucha.

– To nasz wartownik. – Robe nie miał wątpliwości. – Widać uciekał w złą stronę.

– Alarm! Alarm! – wydarł się Taron. – Wszyscy na stanowiska!

Nie miał doświadczenia w dowodzeniu ludźmi podczas walki. Wszyscy od dawna tkwili na stanowiskach.

– Podpalać? – Stojący najbliżej dziesiątnik wskazał zawieszony na drągach kosze.

– Czekaj.

Lampka w oknie kamienicy nagle zgasła. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyli obrońcy barykad u podnóża bramy, było osunięcie się rannego wartownika na bruk.

– Wysłać kogoś? – rozległ się czyjś szept, który swoim drżeniem zdradzał dobitnie zdenerwowanie pytającego.

– Stój.

Taida zdała sobie sprawę, że wytrzeszcza oczy, usiłując dostrzec cokolwiek w ciemnościach. Luna zza murów perfidnie nie pozwalała zobaczyć, co dzieje się na ulicy przed nimi. Owszem, można było dostrzec dachy budynków, rzeźbę korony murów, nawet widoczne z tego miejsca

co wyższe wieże Syrinx. Tego, co działo się na bruku, zobaczyć się nie dało.

Żołnierze murowi tkwili nieruchomo, bojąc się nawet głośniejsz odetchnąć. Zupełnie jakby samo poruszenie ręką czy nogą mogło spowodować nieubłaganą reakcję jakichś złych sił. Strach panował nad wszystkim. I nagle Robe znalazł metodę, żeby dowiedzieć się czegoś o sytuacji na przedpolu.

Szukając po omacku w rynsztoku, zebrał garść kamieni. Niewielkich w sumie, mniejszych niż kurze jajko. Potem ostrożnie wspiał się na barykadę i rzucił pierwszy kamyk. Z całej siły, niezbyt mierząc, po prostu przed siebie.

Wszyscy nasłuchiwali w napięciu. Chwila zdawała się rozciągać w nieskończoność. W końcu jednak usłyszeli głuchy stuk, kiedy kamień uderzył o bruk, a potem odgłos toczenia się. Kilka osób odetchnęło z wyraźną ulgą. Tamci jeszcze nie przyszli.

– Rzucaj następny – szepnął Taron.

Robe wziął zamach i wyrzucił kamień z całą siłą ramienia.

Tym razem stuk zaskoczył wszystkich bardzo szybko. W dodatku towarzyszył mu odgłos tłuczonych naczyń i czyjeś przekleństwa.

– Ty chuliganie jeden! Ja ci porzucam!

Widać pocisk wpadł do czyjś mieszkania i chyba narobił szkód, bo właściciel nie przebierał w słowach.

– Zęby ci porachuję, chuju!

– No chodź, chodź. – Bosman nie wytrzymał uwagi. – Zobaczymy.

– Cicho! Rzucaj następny.

I znowu, bezgłośny lot, odgłos uderzenia o bruk i...

Tego „i” już nie było. Nie usłyszeli, jak kamień się toczy.

– W coś trafił! – Czyjś okrzyk zabarwiony był strachem.

– W jakieś szmaty pewnie.

– Nie, idą! Idą!

Taron zrozumiał, że teraz już nie powstrzyma paniki.

– Zapalać ogień! – krzyknął. – Światło w górę!

Żołnierzom nie trzeba było powtarzać. Kilkanaście żeliwnych koszy z łatwopalną zawartością zapłonęło prawie natychmiast. Ustawione na wysokich kozłach i przymocowane do długich drągów z przeciwwagami, były bardzo łatwe w obsłudze. Wszystkie praktycznie jednocześnie pofrunęły w górę. Potem operatorzy wysunęli drągi w obsadach i kilkanaście źródeł światła rozświetliło mrok na podejściu.

– Są... – wyrwało się komuś.

Obrońcy bramy z przerażeniem patrzyli wprost na zbliżające się szybko, ubrane na czarno postacie. Tamci szli w całkowitej ciszy. Nie

zagrzewali się okrzykami do walki, nikt nie wydawał rozkazów. Zgroza zgęstniała momentalnie. Kto atakuje w ten sposób? Kto zbliża się bezszelestnie gotowy na śmierć bez skargi? Kto nie wymaga żadnego zagrania do boju? Żadnej przemowy, okrzyków, bojowych pieśni?

Zbliżali się jak mrówki. W ciszy. Z zasłoniętymi twarzami. Obrońcy barykad widzieli w świetle płonących koszy jedynie ich błyszczące oczy. Zdawałoby się, że sama groza sparaliżuje żołnierzy Taidy.

I nagle ktoś krzyknął:

– Hej! Oni są bez broni!

Ludzie wokół najpierw zamarli, a potem zaczęli podnosić się na swoich pozycjach. Każdy chciał przekonać się sam.

– Dobrze widzę? Są bez broni?

– Po mojemu dobrze widzisz.

– Nic nie mają! Nic nie widać!

– Nie niosą...

– A, ha, ha, ha! Oni są bez broni!

Napięcie szybko się rozładowało. Zupełnie jakby któryś z Bogów przestawił wajchę spływu w niebiańskim młynie wodnym i teraz strumień zamiast lewym kanałem zaczął płynąć prawym. I choć ludzie w czarnych opończach zbliżali się bardzo szybko, murowi teraz już bez pośpiechu szykowali swoje giewie, miecze, okute pałki czy nawet wydobyte w stanie rozpaczcy cesarstwa z najgłębszych magazynów lance kawalerii i piki.

– Aaaa! Mamy ich! – krzyczeli co bardziej zapalczywi.

Taron zerknął na Robego, a potem obaj przenieśli wzrok na Taidę.

– Czy ci, którzy omal nie zgładzili grupy Viriona na wąskiej ulicy, mieli broń? – zapytał setnik.

Prokurator zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie jestem pewna. Ale chyba nie.

– O kurwa żeż mać. – Taron skrzywił się jak na widok czegoś wstrętnego, a potem wrzasnął: – Wszyscy zostają na swoich pozycjach! Nie ruszać się, nie zmieniać ustawienia!

Robe bez słowa pobiegł do swoich ludzi. Widzieli jeszcze, jak z tyłu wydaje im jakieś instrukcje. Domyślali się, że bosman nie ma pojęcia o walkach ulicznych, więc jego rozkazy nie odnoszą się do mierzenia się z zagrożeniem. Celem gangsterów byli raczej ich własni murowi. To tak na wypadek, gdyby któremuś z nich nagle wydało się, że warto teraz zrezygnować i pójść sobie gdzie indziej.

Pierwsza fala atakujących nie miała nawet szans, żeby uderzyć na obrońców barykad. Broń długa w rękach murowych zmasakrowała pierwszy szereg, zabijając lub ciężko raniąc ludzi w takiej liczbie, że

przedarli się jedynie nieliczni. Tych dobito mieczami, kiedy tylko znaleźli się na wyciągnięcie ręki. Drugi szereg, jeśli można w ogóle mówić o szeregu, raczej była to fala, nawet nie zwolnił. obrońcy ledwie zdołali uwolnić ugrzęźnięte w ciałach wroga końcówki swojej broni, podczas kiedy czarna masa bez przerwy parła do przodu.

– Broń długa w tył! – Taron podskoczył, natychmiast oceniając sytuację pierwszej linii.

Byleby tylko nie spowodować chaosu, byleby tylko nie spowodować chaosu, powtarzał sobie w myślach. Nawet w przypadku doświadczonego wojska był to manewr bardzo trudny. Ci z długą bronią mieli zyskać dystans i przejść do osłony tych z mieczami, którzy po chwili dostaną uzupełnienia. Jednak przez tę właśnie chwilę pierwsza linia będzie w osłabieniu.

– Broń długa w tył!

Ludzie trzymający drzewca zrobili dwa, trzy kroki do tyłu. W tym momencie czarna masa wlała się na barykady. Błąd albo znak, że nikt nimi nie dowodził. Że szturmowali instynktownie, naprawdę jak owady.

Atakujący, stając na umocnieniach, stali się celem wyższym niż koledzy z przodu i każdy, kto miał długą broń, właśnie jej użył. W idealnych warunkach, ponad głowami towarzyszy z przodu.

– Uzupełniać pierwszą linię! – ryczał Taron.

Ludzie z mieczami przeciskali się między kolegami, żeby zająć stanowiska na barykadzie. Niektórzy nie chcieli, niektórym się wydawało, że to niebezpieczna pozycja. Jednak ludzie Robego z pałami w rękach szybko przekonywali wahających się za długo, że zajęcie stanowiska na pierwszej linii to najlepszy pomysł z możliwych.

Trzecia fala szarańczy uderzyła na linie obrońców i momentalnie utknęła. Teraz już mordowano się mozolnie, z trudem odnajdując wolne miejsca wśród trupów – jedni po to, by przepchnąć się do przodu, drudzy, żeby znaleźć pewne oparcie dla stóp. Widząc, co dzieje się z przodu, ludzie w czarnych opończach zaczęli posuwać się na czworakach, ławą, całą masą, bez chwili wytchnienia. Cóż za problem, mając miecz czy giewię, zabijać atakujących w ten sposób przeciwników. Ano... problem tkwił w ich liczbie. I w tym, że tamci nie zważali na straty. Żywa, choć umierająca dziesiątkami masa parła do przodu bez przerwy.

– Ja pierdołę! – wyrwało się Taidzie. – Zasypią nas trupami!

– Ciszej.

– Przecież wszyscy wrzeszczą...

Nie miała racji. Wrzeszczeli tylko obrońcy. Coraz słabiej zresztą, bo powstrzymywanie samobójczej fali wymagało coraz większego wysiłku.

Widok tego, co działo się na barykadzie, sprawiał, że ludzie z odwodów, stojący w niewielkim oddaleniu, gremialnie odwracali głowy.

Znacznie wyżej, na samej wieży, jej obrońcy, przeciwnie, wystawiali głowy, skąd to tylko możliwe, żeby dojrzeć, co działo się na dole. Z dolnej furty wybiegło nawet dwóch inżynierów, którzy zaczęli rozglądać się z coraz większym niepokojem.

– Powstrzymacie ten upiorny atak? – Jeden z nich podbiegł do Tarona. Setnik zignorował pytanie.

– Na górze wszystko gotowe?

– Tak. Brama zamknięta na głucho, zapadnia zabezpieczona.

– Bez was nikt jej nie otworzy?

– Bez przesady. Ale potrwa to długo, no i chyba będą musieli ściągnąć jakiegoś fachowca.

Taron przytaknął.

– Zniszczcie urządzenia...

– Nie da się ich zniszczyć.

– Więc zablokujcie, co się jeszcze da. Wracajcie do wieży.

– Tak jest.

Chwilę później padła pierwsza barykada. Czarne postacie zalały ją, dosłownie wspinając się po zwłokach własnych towarzyszy.

– Wycofać się! – krzyknął Taron zupełnie niepotrzebnie. Kto tylko mógł, spieprzał w tył, nierzadko porzucając swoją broń. Na szczęście druga barykada czekała w pełnej obsadzie. Choć już nie w pełnej gotowości bojowej. Po pierwsze, uciekający koledzy wprowadzili bałagan i zamieszanie, przedzierając się przez szeregi obrońców. Po drugie, ci ludzie, trwający w gotowości od początku walki, na własne oczy, z bliska widzieli, co działo się na wysuniętej ostrodze. Tutaj duch bojowy nie przypominał tego, który charakteryzował obrońców z pierwszego starcia. No ale z drugiej strony... tuż za plecami czekali przecież ludzie Robego. Ich obecność, nawet jeśli nie podnosiła morale, zdecydowanie była argumentem na pozostanie w linii do samego końca.

– Gotuj się!

Jakiś podoficer wspiął się na jeden z krzyżaków podtrzymujących drągi z oświetleniowymi koszami, żeby lepiej widzieć. I najwyraźniej udało mu się coś zobaczyć, bo zeskoczył szybko i podbiegł do Tarona.

– Panie! Oni posuwają się wyłącznie główną ulicą.

– I co z tego?

– Boczne ulice są wolne. Jest miejsce, żeby wyprowadzić kontratak.

Informacja była niewątpliwie ważna. Taron jednak nie miał żadnego doświadczenia wojennego w kwestii dowodzenia. No i nie był pewny

swoich murowych, którzy co prawda mieli doświadczenie jako współdziałająca grupa, ale wyłącznie w kwestii rabowania cudzych dóbr.

Kazał podoficerowi zgromadzić i uporządkować uciekinierów z pierwszej barykady, a potem podszedł do Taidy.

– Dostałem informacje, że boczne uliczki są wolne.

– I co z tego? – nieświadomie powtórzyła jego słowa.

– W razie czego nie uciekaj na wieżę, bo stamtąd już nie wyjdziemy.

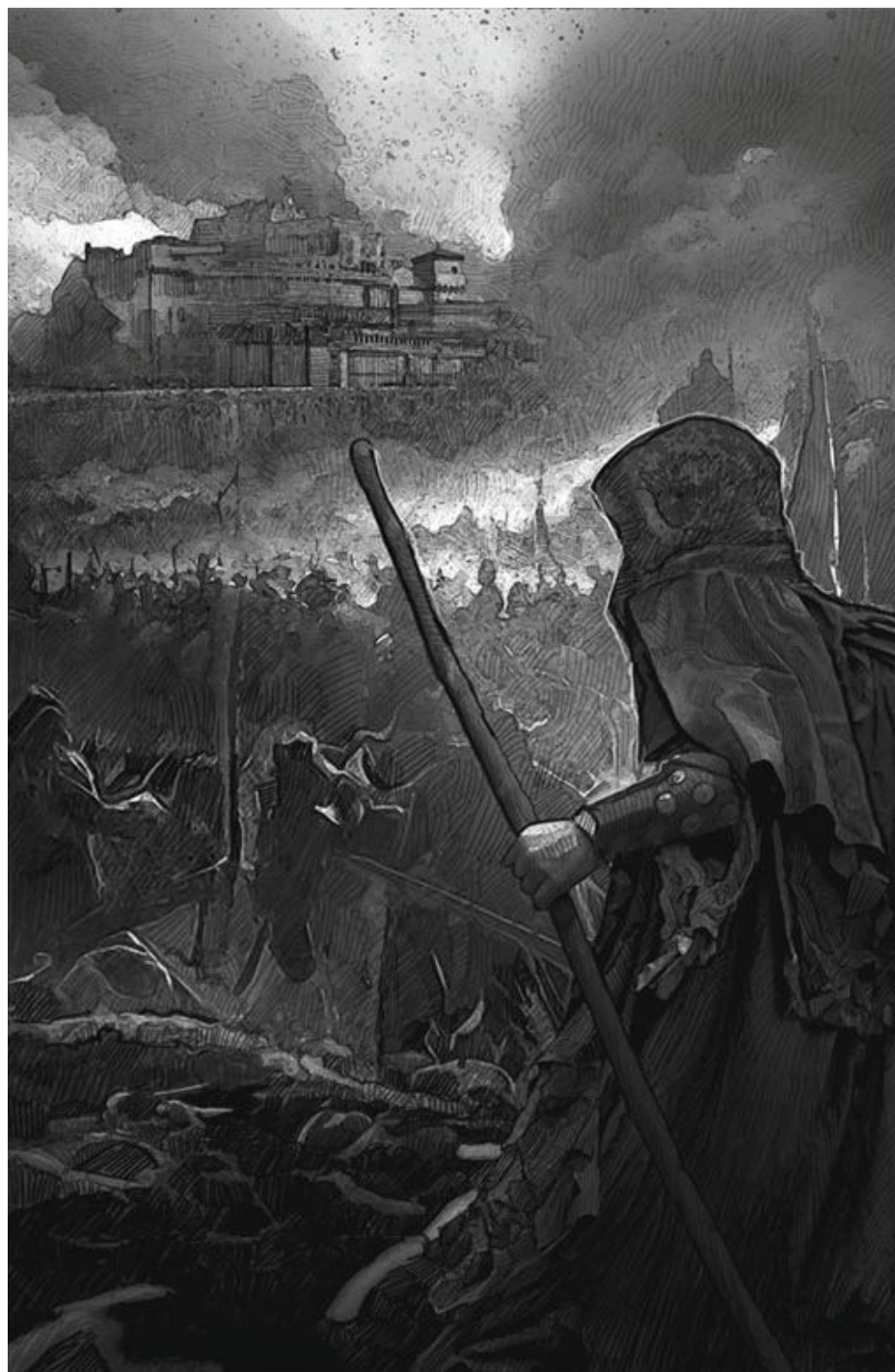
Kazałem dziesiątnikowi zbierać naszych i jakby co, uciekamy do którejś z kamieniczek z boku, a potem...

Przerwał mu wrzask na barykadzie. Odziani na czarno atakujący wdarli się na umocnienia. Dwóch podoficerów zdołało opanować swoich ludzi i uderzyć na szpicę z obu stron. I nawet odnieśli sukces, zabijając ją całą. Ale co mieli robić z przeciwnikiem, który był niewrażliwy na śmierć? Można było zabijać napastników jednego po drugim, a reszta atakowała to samo miejsce z niesłabnącym entuzjazmem.

Odslonięte skrzydła dwóch oddziałów likwidujących wyłom błyskawicznie stały się łatwym celem. Czarne postacie runęły do przodu w absolutnej ciszy, za to w nieprzeliczalnej masie. Tłok był nieprawdopodobny.

– Zwalniać kosze! – wrzasnął Taron. – Zwalniać kosze!

Obsługa prowizorycznego oświetlenia odcięła liny blokujące łańcuchy podtrzymujące żeliwne kosze w górze. Kilkanaście płonących pocisków runęło z góry na głowy atakujących. Kilkanaście plam ognia rozlało się, po raz pierwszy od początku walki wywołując wśród atakujących szeregi wycie. W żaden sposób nie zmniejszyło to jednak impetu, z jakim napierali. Czarny tłum parł naprzód jak monstrialny głaz toczący się po zboczu wzgórze.



Kilkanaście plam ognia rozlało się, po raz pierwszy od początku walki wywołując wśród atakujących szeregi wycie

Obrona drugiej barykady pękła. Ludzie zaczęli uciekać. Taron złożył dłonie przy ustach, tworząc zaimprovizowaną tubę.

– Robe! Zabij inżynierów!

– Tak jest.

Setnik chwycił Taidę za ramię i pociągnął w stronę dziesiątnika zbierającego ludzi z pierwszej barykady.

– Ty! Za mną w osłonie!

– Tak jest! – Podoficer odwrócił się do swoich ludzi. – Za mną! Za mną biegiem!

Ostatnie furty w murach bramy zatrzaskiwały się z głuchym hukiem. Ci, którzy zostali sami na pustym placu pomiędzy prowizorycznymi umocnieniami a ogromnymi wrotami zamkniętymi już poprzedniego dnia, znaleźli się w pułapce. Czarny tłum ogarnął ich w mgnieniu oka.

Jedynie Taida pod osłoną zorganizowanego oddziału mogła wycofać się na bok, wzdłuż murów.



– Idą!

Virion nie zauważył, kto krzyknął, a w trzasku płomieni dookoła nie sposób było rozpoznać głosu. Pożary nie dość, że utrudniały komunikację, to jeszcze wyciskały z walczących ostatnie poty. Dobrze, że przewidująco zadbał o zapasy wody do picia. Jeszcze się na dobre nie zaczęło, a już były solidnie naruszone.

– O, patrz pan! – Rohan ucieszony nagle wyciągnął rękę, żeby coś im pokazać. – Kije se wzięli do pomocy?

Rzeczywiście, legioniści z przodu atakowali uzbrojeni w piki. Broń rewelacyjna przy ataku na innych żołnierzy, na nieuzbrojony tłum, czy może nawet na prywatnie wyszkolonych zbrojnych. Ale nie na mistrzów. Tym bardziej że na ulicy, w ciasnocie pomiędzy dwiema szalejącymi ścianami ognia, nie dało się tej broni prawidłowo użyć. A w dodatku była zabójcza dla człowieka, który ją trzymał. Wylądowała mu bowiem obie ręce.

– Dobrze, że, kurwa, kamieni nie przynieśli – skomentował Rohan. – Jakby zaczęli rzucać, to byłby kłopot.

Stary żołnierz splunął na bruk, a potem podniósł kuszę do ramienia i zastrzelił prowadzącego atak podoficera. Kilka chwil później pierwsza linia atakujących dotarła do grupy Viriona i została unicestwiona. Reszta wojsk z tyłu wcale nie zaczęła się wycofywać. Żołnierze poszli do ataku na miecze, tym razem jednak nie na żywioł, nie całą masą, tylko w szyku zorganizowanym i ubezpieczonym.

Na razie nie udało im się stworzyć niebezpieczeństwa przełamania linii obrońców. Ale czas był nieubłagany. Tamtych stać było na luzowanie, grupy Viriona nie. Pytanie pozostawało nierozstrzygnięte. Co boli bardziej? Ciągłe straty w czołówce? Każdy, kto do niej docierał, zostawał zabity lub ranny. Czy wszechogarniające zmęczenie? Kiedy ma się pewność własnej przewagi nad przeciwnikiem, ale omdlewająca ręka nie ma już siły unieść miecza do ciosu? Co przeważy? Jak długo można iść na śmierć? Jak długo można pracować przy młóćce?

– Lirion, Nolaan, Hekke, Rohan i ja idziemy jako zmiana – zdecydował Virion, widząc, co dzieje się na pierwszej linii. – Tania, ty ogarniasz tyły. Wybieraj następne piętki naszych do zmiany i czuwaj nad całością.

– A jak się pojawi wyłom?

– Likwiduj tą piątką, która akurat będzie odpoczywać.

– Czy ja mogłabym się nareszcie do czegoś przydać? – nie ustępowała Niki.

– Obserwuj tyły, czy nas nie zachodzą z któregoś boku.

– W tym ogniu to niepodobieństwo.

– Tego nie wiemy!

Virion odwrócił się i skinął na swoich ludzi.

– Zmiana, zmiana. – Kolejno stawali za fehmistrzami Hekkego i pozwalali pojedynczym odskoczyć w tył, aby zająć ich miejsce.

Świeża piątka w samym centrum, i to złożona z szermierzy natchnionych, błyskawicznie ostudziła zakusy atakujących, by wykorzystać zmęczenie obrońców i runąć do przodu całą masą. To było taktyczne osadzenie obrony w miejscu. Ale strategicznie sukces niewielki. Nawet najlepsi, stojąc w linii, nie mogli przedsięwziąć żadnego manewru. Była więc to dalej jedynie walka na wyczerpanie, tyle że z jedną czwartą nowych sił.

– Musimy się cofnąć kilka kroków – krzyknął Nolaan ze swojego stanowiska po lewej.

– Co jest?

– Za dużo trupów. Zaraz tamci zaczną się wspinać i skakać na nas z góry.

Virionowi również przyszło to do głowy, choć w innej konfiguracji. Zastanawiał się, dlaczego legionieści nie sklecą choćby i prymitywnej konstrukcji, którą można by tu podciągnąć, a która dałaby im natychmiastową przewagę. Ale zaraz zlął się w myślach. Przede wszystkim tu potwornie liczył się czas. Jeśli omamiona rytuałami tłuszcza zdobędzie wieżę, to ci tutaj muszą być gotowi do natychmiastowego wkroczenia. Nawet i oglupieni mieszkańcy miasta nie utrzymają przecież wieży przez dłuższy czas. A do tego pewnie jeszcze dochodziła ludzka psychika. Dowódca legionu nie mógł dopuścić myśli, że dwudziestu ludzi powstrzymuje całą armię. To tylko chwilowy kryzys. Za ćwierć modlitwy już go nie będzie.

– Na moją komendę: dwa kroki w tył! – krzyknął. – Wykonać! Raz! Dwa!

Linia szermierzy ustąpiła trochę. W chwili oderwania się od przeciwnika można było zerknąć na własny szereg. I ten widok przepełnił Viriona zgrozą. Ludzie chwiali się na nogach, nie mogli zamknąć spieczonych ust, niektórzy wydawali się wręcz niezbyt przytomni. Ta walka wysysała siły w sposób zupełnie nieprawdopodobny, a ogień wokół bezustannie przyspieszał nieuchronne.

– Tania! Zmieniaj następnych pięciu!

– Jasne.

Niki doskoczyła do Viriona z tyłu.

– Straciliśmy bramę Pszenną – skwitowała. – Powiewa nad nią czarny sztandar.

– Kurwa mać!

– To nie koniec złych wieści. – Jego upiorzyca pokazała stronę, skąd atakowali żołnierze. – On się zbliża.

Virion gwałtownie odwrócił głowę. Nie mógł oczywiście niczego dostrzec, ale doskonale wiedział, o czym mówi Niki.

Aha, to taki pomysł miał dowódca legionu na zlikwidowanie przeszkody.

Nekron.



Taron wyprowadził zza drugiej barykady dość duży oddział, który zachował zdolność bojową. Setnik nie udawał bohatera. Wycofał się w pierwszym momencie, kiedy to jeszcze miało sens jako manewr, a nie zamieniło się w totalną klęskę. Ludzie Robego cofnęli się do wieży,

zamykając na czas wszystkie furty i przejścia. Jednak sama brama nie była przecież budowlą obronną, patrząc od strony miasta. Ona miała chronić stolicę od zewnątrz, nie od środka. Dlatego ludzie w czerni bez większego problemu odrywali prowizoryczne zabezpieczenia z desek, które wcześniej na wszystkich otworach przybili obrońcy. Pogarda śmierci wśród atakujących kojarzyła się z obłędem. Dziesiątki ludzi pchało się w najeżone ostrzami przejścia, by ginąć bez słowa i poprzez chodniki utworzone z własnych ciał umożliwić atak następnym falom.

Ogromna wieża kryjąca w swym wnętrzu bramę Pszenną padła bardzo szybko.

– Ktoś wyprowadził ludzi na mury. – Jeden z żołnierzy stojących obok stanowiska dowodzenia miał lepszy wzrok niż inni. A może po prostu oczy wszystkich skierowane były na straszliwy symbol: upadek flagi cechu spekulantów pszennych i zastąpienie go czarnym sztandarem.

– Robe? – zapytała Taida.

– Bohaterem to on nie jest – odparł Taron. – Mógł zachować się rozsądnie.

– Trzeba go jakoś zawiadomić.

– No to wejdźmy na dachy najbliższych kamienic.

Na szczęście wszystko było zaplanowane i wykonane wcześniej. Imperialni saperzy wzmocnili schody w sąsiadujących z bramą domach, a na dachach wybudowali prowizoryczne platformy z desek oraz liczne kładki łączące je z koroną murów. Konstrukcje te nie nadawały się do wykorzystania jako stanowiska, skąd można byłoby wyprowadzić atak. Ale kiedy tylko Taron dotarł na sam szczyt i pozwolił oczom przywyknąć do łuny bijącej zza murów, zorientował się, że sama ich korona jest wciąż w rękach obrońców.

– Robe?!

– Jestem! – padła natychmiastowa odpowiedź z tamtej strony.

– Inżynierów zabiłeś?

– Zdażyłem.

– No. – Taida z trudem łapała oddech. Na szczęście mrok niżej sprawił, że nie bała się tak strasznie wysokości. – Długo tych wrót nie otworzą. A sądzę, że nie są ogarnięci na tyle, żeby sprowadzić inżyniera z miasta.

– Wystarczy im saper z legionu, którego podciągną sobie na linie...

– Czyli jak zwykle...

– Co?

– Jedyńą linią obrony cesarstwa jest Virion przed murem?

Taron parsknął śmiechem. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Szok spowodowany zetknięciem się z całym nieprzebrany tłumem ludzi gotowych na śmierć dopiero teraz ujawniał swoje skutki. Niemożność

skupienia się, napadowe ziewanie, drzenie całego ciała. Zebrani ludzie reagowali różnie. Jedni rzygali po kątach, inni trzęśli się ze strachu, wodząc wokół rozbieranymi oczami. Jeszcze innym ciągle nie było dość. Najchętniej wróciliby na pole walki, żeby jeszcze komuś dopierdolić. I z tej właśnie grupy Taron powoli zaczął wybierać swoją świtę.

– Będziemy musieli przejść po tych kładkach? – domyśliła się Taida.

– Spokojnie. Ktoś cię przeniesie.

Jej setnik nie należał do ludzi mnożących trudności. A znalezienie odpowiednio silnego mężczyzny, dla którego ciężar przeciętnej kobiety był porównywalny z wagą piórka, również nie stanowiło problemu.

– Naprzód! Naprzód!

Trzeba było popędzać ludzi. Z tej odległości, w mroku i z mamiącą oczy łuną za blankami trudno było zorientować się, co dzieje się na murach.

– Szybciej! – Taron ruszył przodem, upewniając się tylko, że osiłek niosący Taidę radzi sobie z jej wierzganiem i histerią.

Na szczęście kładki, choć wykonane w pośpiechu w ostatnim dniu, były stabilne i trzymały się mocno. Większość ludzi przedostała się na szeroką platformę przed wartownią na murach. Reszta przechodziła bezpośrednio na koronę.

– Jak sytuacja?

Bosman z wytatuowanym stopniem marynarki na twarzy znalazł się natychmiast na miejscu. Nie wyglądał na szczególnie przejętego rozwojem wypadków.

– Siedzą w wieży i ani myślą wychodzić – zameldował.

– Barykadują się? Umacniają?

– A gdzie tam. Nawet żadnych przejść nie zasłonili.

– Nie ma tam żadnej komendy?

Tu już Robe bezradnie rozłożył ręce. Nie wiedział.

– No to atakujemy z marszu. Nie dajmy tamtym się ogarnąć.

To był jasny rozkaz i bosman przewidująco nawet poczynił pewne przygotowania. Rozwalił na przykład magazyn gwardyjski, zdobywając sporo doskonałego wyposażenia, a w tym także supernowoczesną broń – halabardy, czyli narzędzia, które pozwalały nabijać przeciwnika jak na lance, ciąć jak toporem lub zrywać z siodła jak najlepszym hakiem drzewcowym. A wszystko to na sporą odległość, bo drzewce było dłuższe niż w innych rodzajach podobnej broni.

– Gdzie atakujemy?

– Najbliższe wejście na mury. Już wybrałem takich najbardziej bojowych.

Taron zaczął formować oddział szturmowy z ludzi, którzy właśnie przymierzali się do nowych halabard.

– Bez żadnej filozofii – instruował swoich żołnierzy. – Zabijacie i albo wpychacie do środka, albo wyciągacie na zewnątrz. To tylko rozpoznanie bojem, sami do środka nie wchodzimy.

– A jak oni uderzą?

– To trzymacie na dystans. Żadnego zwarcia, żadnej walki wręcz! Tylko broń długa!

– Tak jest!

Taron wybrał dwóch najbardziej energicznych podoficerów.

– Ty prowadź natarcie. Ty melduj o sytuacji, będąc tuż za wami z odwozem.

Dziesiątnicy, tak jak i on, nie mnożyli problemów. Korona murów, choć bardzo szeroka, jak na tego typu konstrukcje, i tak nie pozwalała na zastosowanie żadnej taktyki. Tu po prostu trzeba było podejść do wejścia na wieżę i rąbać. Wygra ten, kto silniejszy i bardziej zdecydowany. Podpalić kamiennej wieży się nie da. Obejść również. A zatopić ją mogli wyłącznie sami Bogowie, dzisiaj raczej nieskłonni do współpracy.

Murowi zagrzewani przez podoficerów runęli w stronę wejścia na wieżę. Taron pamiętał, że stosunkowo szeroki otwór może być od środka odcięty żelazną kratą, ale czarny tłum kłębiący się w najbliższym pomieszczeniu najwyraźniej nie wiedział, jak obsłużyć urządzenie rzucające przeszkodę. Albo też nie odczuwał potrzeby odcięcia się od ewentualnych agresorów. Nikt z obecnych na koronie murów nie widział w życiu czegoś, co choć w części mogłoby być podobne do ludzi w czerni.

Halabardy wbiły się w tłum. Murowi napierali, wpychając ugodzonych ludzi do środka.

– Dalej! Dalej! – wrzeszczeli podoficerowie.

Z wnętrza wieży odpowiadała im cisza. Tamci ginęli w milczeniu, walili się na podłogę, umierając bez skargi, ale ani na moment nie odpuszczając jako tłum. Halabardnicy musieli się cofnąć. Koledzy ponad ich głowami przesuwali swoją broń. I jeszcze raz. Wzmocnioną grupą.

– Do ataku! Do ataku! – obaj dziesiątnicy wywrzaskiwali komendy.

Nastąpiło ponowne zwycięstwo atakujących, jeśli liczyć zabicie tych, których udało się trafić. I dalej nie następowało już nic. Ludzie w środku wieży nie łapali za drzewca, nie chcieli wyrwać broni. Po prostu poddawali się ciosom, dawali się nabijać, ginęli jeden po drugim. A po nich deptali już następni. Szturmujący wieżę nie posunęli się ani o krok.

– Tam jest za dużo ciał! – raportował jeden z podoficerów. – Zaraz będą mieli z nich barykadę.

– Wyciągać trupy hakami! – krzyczał Taron. – Zrzucajcie je na ulicę!

Korona murów nie była najlepszym miejscem na wykonywanie manewrów taktycznych. Z jednej strony blanki, a z drugiej przepaść i bruk na dole. Instalacje obronne Syrinx były co prawda bardzo szerokie, ale jakikolwiek błąd sprawiał, że noga nagle trafiała w pustkę i człowiek leciał w dół ku straszliwemu przeznaczeniu. A jednak murowym udało się dokonać najprostszego przegrupowania. Ci z lewego boku zaczęli hakami na końcówkach halabard wyciągać zwłoki sprzed wejścia do wieży i zrzucać je na dół. Ci z prawej napierali bez przerwy.

Początkowo obrona taktyka wydawała się przynosić konkretne rezultaty. Ci z pierwszej linii mieli wrażenie, że z każdą kolejną falą nacisku na tłuszczę ich halabardy wchodzą głębiej i głębiej. Niestety, to nawet nie był jakiś manewr obrońców wejścia. Ubrani na czarno ludzie cofnęli się po prostu, żeby wpuścić z boku pobratymców, którzy zajęli miejsce wyciąganych na zewnątrz zwłok.

– Ja pierdołę! – Taida nie mogła uwierzyć w to, co widzi. – Nie możemy użyć więcej ludzi?

– Gdzie ich postawisz?

– Niech skaczą po blankach.

Taron nie komentował. Już i tak murowi walczyli i z przeciwnikiem, i sami ze sobą, bo rozsądek kazał im trzymać się z dala od przepaści, a konieczność wpychała ich w niebezpieczne rejony. Zastanawiał się nad inną kwestią. Jak długo normalny człowiek może zabijać przed sobą ludzi, którzy nawet się nie bronią. Kiedy do murowych dotrze świadomość, że to nie żadna bitwa, tylko monstrialna jatka w gigantycznej ludzkiej rzeźni. I co gorsza, nie miał pojęcia, jak jego żołnierze zareagują, kiedy w końcu zdadzą sobie z tego sprawę.

Podniósł do ust gwizdek.

– Wycofywać się! Wycofywać się!

Bitwa pod wieżą była przegrana.



Dla Viriona, kiedy tylko zrozumiał, jaki jest plan przeciwnika, w jednej chwili stało się jasne, że musi zrewidować własny. Kiedy Nekron podejdzie tutaj, zmasakruje ich wszystkich dokładnie tak, jak to już miało miejsce na pustyni. Nie było przed nim obrony, nie było żadnych szans. Ale on sam pamiętał rozmowy z upiorem w pałacu ukrytym na pustyni. Powołane do życia przez zakazaną magię monstrum wcale nie chciało zniszczyć oddziału Viriona. Sterowane przez czarownika ukrytego

w pobliżu, mogło mieć tylko prosty cel. Chciało osiągnąć samego Viriona. Reszta członków oddziału go nie interesowała. Potwierdził to zresztą Kody. Kiedy tajemniczy wojownik mijał go w nocy, zagubionego wśród piasków, ledwie zerknął i poszedł dalej. A z tego prosty wniosek, że jeśli Virion chce ocalić swój oddział i utrzymać go w akcji, powinien natychmiast oddać dowodzenie i oddalić się na tyle, na ile będzie mógł. Wtedy Nekron przecież pójdzie za nim. A ci tutaj dostaną swoją szansę, by z honorem polec za ojczyznę. No chyba że stanie się cud i Taida zdoła odzyskać wieżę z bramą. W cuda Virion nie wierzył, ale z panią prokurator łączyła go umowa, a każdej umowy należy dotrzymać. Jakkolwiek dotkliwe byłyby jej skutki.

Komu mógłby zatem przekazać dowodzenie? Spojrzał na swoich ludzi. Kody i Tania odpadali w przedbiegach.

Kody był urzędnikiem, funkcjonariuszem, a nie człowiekiem walki. Owszem, czasem urzędnicy w historii wykazywali się nadprzeciętnymi zdolnościami. Ale raczej nie typu wojennego. Żeby dobrze wykorzystać zdolności Kody'ego, należałoby kazać mu to imperium stworzyć, a nie bronić własną pierśią.

Tania przeciwnie. Walkę znała. Znała dobrze i od podszewki. Doskonale wiedziała, że jedyną zasadą podczas bijatyki jest niezważanie na jakiegokolwiek zasady. Bądź twarda, bądź skuteczna, doprowadzaj sprawę do zakończenia tu i teraz. Szybko, najlepiej natychmiast.

Tani brak było perspektywy strategicznej. Wychowana w portowych dokach, liźnęła świata z perspektywy kolegów złodziei, kolegów rzeźmieszków. Polor ogłady, której później nabrała, nie zmienił tego w żadnym stopniu. Była zajebista w bezpośredniej walce, w napaści i ucieczce. Naprawdę potrafiła doprowadzać sprawy do końca. Nie potrafiła pójść na kompromis. Dla dziewczyny sprawy załatwiało się tak albo tak. A tu nie, nie... Czasem ani tak, ani tak, czasem trzeba pójść na mdlącą ugodę z rzeczywistością, która nikomu nie przyniesie poczucia zwycięstwa, a każdemu da gorycz. Dowódca musi to umieć, niestety. Musi czasem umieć odpuścić.

Naturalnym wyborem wydawał się Rohan. Miał największe doświadczenie wojskowe z nich wszystkich. Był zawodowym żołnierzem, nauczono go tego fachu, a potem teorię podparto wieloletnią praktyką na niezliczonych frontach różnych wojen. Idealny kandydat.

Był stary, owszem. Ale wiek dawał mu idealną wiedzę na temat układów, które nikomu nie pasują, a które czasem trzeba zawrzeć. Z całą pewnością był najlepszym kandydatem. Wzbudzał szacunek, miał charyzmę, no i – niby drobiazg, choć nie do końca – wyglądał na faceta, który wie, czego chce, i potrafi to zrealizować.

No niestety. Byłby najlepszym kandydatem, ale zupełnie się nie nadawał. On już w życiu sobie odpuścił. Odpuścił trochę za dużo. Virion doskonale rozumiał, że można zakochać się w kobiecie, można poświęcić jej swoje życie, ale... Nie rozumiał, jak można tak siebie zniszczyć. Rohan zdecydował się zmienić wszystko, zdecydował się na biedę, na zupełnie inne życie, na zerwanie z przeszłością, z własnymi marzeniami. Można wiele poświęcić dla kobiety. Ale nie wszystko, nie własne życie. Jeśli ktoś na cudze życzenie poświęca swoje marzenia, to nigdy nie będzie przywódcą.

Dobry człowiek do wykonywania rozkazów. Cudzych.

No to może Lirion?

Ku temu wyborowi Virion najchętniej się skłaniał. Lirion stanowił dla niego niedościgniony wzór z czasów młodości. No i był jedynym chłopakiem, który nie zdradził go w sądzie. Jedynym, który miał honor i odwagę stanąć po jego stronie. A poza tym miał doświadczenie wojskowe, dowodził ludźmi, zarówno wielkimi, zwartymi oddziałami, jak i małymi grupami specjalistów. Miał światowe obycie i otwarty umysł. Miał zawsze i na wszystko swoje własne zdanie. Był niezależny i w życiu, i w myśleniu.

I znowu, kandydat bliski ideałowi. Czego mu więc brakowało?

Szaleństwa.

Lirion miał plan na całe życie od wczesnej młodości. I konsekwentnie go realizował. W dodatku z sukcesem. No i nie wyglądał na człowieka, który nagle zmieniłby swoją koncepcję, wywracając wszystko, czego dokonał dotychczas, do góry nogami. Jako dowódca nawet w chwili zagłady nie zdecydowałby się chyba nigdy na nic całkiem pojebanego.

No zaraz. Jeśli chodzi o wariactwo, mistrzem był Hekke. Młody, energiczny, miał mir i posłuch wśród swoich kumpli, których zwerbował do akcji. Nic nie krępowało jego wyobraźni. Był zdolny zrobić wszystko, dokonać niemożliwego, zmienić zdanie pod wpływem byle impulsu, a nawet szczerze uwierzyć w lewitację, jeśli byłoby mu to do czegoś potrzebne. Może inaczej: jeśli dzięki temu zdobyłby czyjś poklask. Szaleniec idealny, jeśli ta cecha ma decydować o dowództwie.

No niestety. Atak w jego wykonaniu pewnie wyglądałby tak: „Chłopaki, pamiętajcie. Wszystko robimy na trzy. Raz: naplujcie na ulicę. Dwa: wyciągnijcie broń. Trzy: idźcie napierdalać”. No właśnie. Jeśli chodzi o rozsmarowanie własnego oddziału na kilkunastu krokach ataku, Hekke był wybitnym specjalistą w tej dziedzinie.

Więc Nolaan.

Potwornie inteligentny. On nie miał światowego obycia, on sam był światowym obyciem. Teorię wojskowości miał w małym palcu. Trochę

praktyki również. Od dziecka nawykły do wydawania rozkazów. Kierujący się własną wolą, którą potrafił narzucić innym, a jednocześnie nie tak narwany jak Hekke, przyzwyczajony do zasad, reguł i konwenansów. Elastyczny jak mało kto. Wyniosły, choć niegardzący ludźmi. Szczery do bólu, przewrotny i uczciwy, choć akurat ta cecha w dowodzeniu nie była szczególnie przydatna.

Virion odwrócił głowę, by zobaczyć ciemny kontur wielkiego miasta. I ten kolos ma dostać choćby iluzoryczny cień szansy dzięki garstce najemników? Nad czym tu się zastanawiać? Dowodzić tymi ludźmi powinien tylko szaleniec.

A kto z nich, mając u stóp cały świat bez mała, zrezygnował z absolutnych wyżyn, żeby stanąć pod rozkazami jakiegoś bandyty? Tylko dla przeżycia przygody. Tylko dlatego, że było to coś, na co nie zdecydowałby się nikt z jego kasty.

– Nolaan.

– Co?

– Obejmujesz dowodzenie.

Książę, nieprzygotowany na taki obrót spraw, przez moment rozglądał się ogłupiały.

– Dlaczego ja?

– Bo jesteś wystarczająco szalony.

Virion, nie chcąc tłumaczyć, co i dlaczego, odskoczył do tyłu, do miejsca, gdzie stała jego żona. Wiedział, że wszystko dotąd było tą łatwiejszą częścią zadania, które go czekało. Teraz zacznie się prawdziwa próba. Niki nie dało się oszukać, nie można było jej nakłamać, zwieść w jakikolwiek sposób ani wykołować. Jego żona dobrze wiedziała, co stanie się za chwilę. Wiedziała również, jakie są szanse. A może inaczej: miała świadomość, że szans nie ma żadnych.

Jak się pożegnać z istotą, która jest najbliższa w całym kosmosie?

– Niki?

– Tak, kochanie? – Patrzyła na niego z przejęciem.

– Jeśli Nekron tu dotrze, rozsmaruje cały nasz oddział. Ale przecież on tylko mnie ściga.

– Tak, wiem.

– Powiniennem więc go odciągnąć i zmierzyć się z nim gdzieś na osobności.

Upiorzyca patrzyła z uwagą na twarz swojego męża. Ale na jej własnym obliczu wbrew oczekiwaniom nie gościł ani żal, ani strach, ani nawet rozterka. Dziwne.

– Tak. To najlepsze rozwiązanie – powiedziała.

No to teraz najtrudniejsze.

– Muszę cię opuścić.

– Rozumiem.

Bardzo dziwne.

– Pamiętaj, opiekuj się... – Bogowie, jak głupie kwestie pojawiają się w głowie człowieka, który musi rozstać się z kimś, kogo kocha.

– Nie martw się niczym – powiedziała Niki ze spokojem w głosie. – Przecież go zabijesz. – Spojrzała mu prosto w oczy. – To ty jesteś Virion, a nie on.

Uśmiechnął się odruchowo. Upiorzyca w niego wierzyła. I to wierzyła zupełnie szczerze.

Niki przyłgnęła do niego całym ciałem. Wyraźnie czuł jej brzuch. Jej wargi na moment wpiły się w jego usta, poczuł dotknięcie języka.

– Jestem pewna, że go pokonasz – wyszeptala mu wprost do ucha, powodując, że włosy na karku stanęły mu dęba. – Nie masz sobie równych! Uwierz w siebie! Zabijesz go! Zabijesz.

Odsunęli się od siebie. Virion westchnął ciężko.

– Idź, kochanie – powiedziała upiorzyca spokojnie. – Jestem ciebie absolutnie pewna!

Przynajmniej ktoś w niego wierzył. Virion wziął głębszy oddech, a potem przymknął oczy, chcąc jak najdłużej zachować pod powiekami obraz swojej żony. Potem skoczył do tyłu i pobiegł w stronę Nolaana.

– Otwórz mi przejście!

Wystarczyło jedno skinienie, żeby ich szpica napała na żołnierzy z przodu i wyrabiała wybrzuszenie w zwartym szeregu. Książę dopiero teraz domyślił się, co Virion chce zrobić. Wyciągnął rękę, jakby chciał go zatrzymać. A po chwili chyba przyszła mu do głowy inna myśl. Był inteligentnym skurczybykiem. Przyłożył pięść do czoła w żołnierskim salucie.

Virion bez trudu przedostał się przez wrogą linię. Zaskoczenie legionistów było totalne. A potem zgodnie z przewidywaniami nie napotkał już żadnych trudności. Ot, człowiek biegnący w kierunku odwrotnym, niż wszyscy atakowali. Kto to jest? Nikt się tak naprawdę nie zastanawiał. Prawdę powiedziawszy, niewielu w ogóle go zauważyło. Żołnierze myśleli o czymś zupełnie innym. Szli przecież do ataku, i to depcząc liczne zwłoki swoich kolegów. Interesowało ich wyłącznie to, co z przodu. Tam śmierć kosiła bardzo regularnie.

Virion biegł, nie czując zmęczenia. Jeszcze w gimnazjone lubił dalekie dystanse. Jedna myśl nie dawała mu jednak spokoju. Z Niki... coś za łatwo poszło. Nie było żadnych szlochów, rozdzierania szat, prób powstrzymania. Tak po prostu: „Idź, kochanie, wierzę w ciebie”? Niki to

bardzo emocjonalna kobieta. A całe pożegnanie odbyło się zupełnie nie w jej stylu.

Co jest grane?

Nagle jakaś myśl przeszła mu umysł. Virion gwałtownie się odwrócił.

No jasne... Nie było się po co żegnać, bo Niki wcale nie wypuściła go samego. Biegła tuż za nim.

Rozdział 11



Taida z miną wyrażającą bezradność patrzyła, jak Taron porządkuje ich oddział. Co najciekawsze, strat praktycznie nie było. Czarna szarańcza, która zdobyła wieżę, nie zdołała pokonać przewagi, jaką dawała długa broń. Mogła jednak ginąć bez skargi i niwelować tę przewagę, bez końca zastępując zabitych nowymi chmarami samobójców. Wstrząsający widok. Właściwie bez

żadnej analogii w dziejach świata.

– Potrzebuję pomysłów. – Taron musiał podejść do niej, bo teraz stał tuż obok Taidy i potrząsał nią, trzymając za ramiona. A ona w ogóle tego nie zauważyła. – Taida, ocknij się. Desperacko potrzebuję jakichś pomysłów.

Rozejrzała się nieprzytomnie. Ze zdziwieniem stwierdziła, że morale murowych wcale nie upadło. Przeciwnie. Młodzi ludzie, którzy zdobyli bojowe szlify, jedynie rabując dobra Prabha, w prawdziwej walce wcale nie poszli w rozsypkę. Teraz wydawali się żądni zemsty. A nawet wypadaloby tu użyć słów używanych przez plebs: oni chcieli teraz po prostu komuś dopierdolić.

– Podpalmy tę wieżę – powiedziała.

– Wieży obronnej nie da się podpalić.

– To archiwum zamkowego nie dało się podpalić. A jednak chłopcy Geberika podpalili.

Taron przypomniał sobie pamiętną akcję, podczas której uratował Taidzie życie i od której zaczęła się ich wspólna przygoda.

– Ty wiesz, że masz rację? – Zaczął gwałtownie pocierać swoją coraz bardziej szpeciniastą brodę. – Oni – wskazał w stronę czarnego tłumu zajmującego wewnątrz obronnej budowli – łatwo godzą się na śmierć. A ciekawe, czy równie łatwo zgodzą się na ból?

– Co masz na myśli?

– Ci, którzy zaatakowali nas w archiwum, mieli w rękach snopki siana. Używali ich jak tarczy, potem jako podpałki.

– Pamiętam.

– A gdyby tak od razu podpalić snopek z jednej strony? I przyprzeć atakowanego żywym ogniem? Przypalić sukinsyna! To przecież się cofnie...

– Pfff... Nie wiem.

Ale Taron już jej nie słuchał, był w innej bajce.

– Ludzie, czy ktoś wie, gdzie tu można zdobyć siano?

– Jakie siano? W sensie: kapustę, forszę, kasę, gotówkę?

– Nie, kurwa! Siano w sensie siano. Takie zwykle!

Jeden z dziesiętników wystąpił przed resztę.

– Panie setniku – wzruszył ramionami – przecież to Syrinx, stolica świata.

– No i co z tego?

– Tu wszystko jest w zasięgu ręki, zupełnie niedaleko – odparł podoficer. – Dosłownie wszystko.

Taron zrozumiał, że wpadł we własną pułapkę. Stary porządek już nie obowiązywał. I wszystko naprawdę znalazło się w zasięgu ręki. W jak najbardziej dosłownym sensie. Mogli przecież wziąć sobie wszystko.

– Każdy z was musi mieć snop siana. Ściśle związany. Z jednej strony umoczymy te snopki w oliwie, potem podpalimy i do ataku!

Taida obserwowała twarze żołnierzy, bojąc się wahania, strachu czy zaraza wie czego jeszcze. Ale nie. Młodzi żołnierze zdawali się nie mieć żadnych wątpliwości. Podpalać żywcem to podpalać. Trzeba tylko dokonać tego szybko, sprawnie i skutecznie. Chłopcy wcieleni do oddziałów murowych nie potrzebowali nawet komendy. Sami wymyślali, co powinni zrobić w danej chwili.

Część ludzi rozbiegła się do swoich zadań. Taron tymczasem obserwował podoficerów, wyławiając tych, którym komenda sama pchała się w ręce. Którzy nie czekali, aż im się najpierw powie, co i jak. Błyskawicznie dokonywał kolejnych selekcji, wychytując tych, którym prawdziwa walka nie osłabiła ducha ani nie namieszała w głowie żadnymi miazmatami. Przeszarżały system organizacyjny armii Luan nie pozwalał na elastyczne awansowanie, bo było zbyt mało stopni wojskowych. Taron wymyślił więc funkcję: ćwiartkownik. To był podoficer, który miał pod rozkazami ćwierć setki ludzi, w tym dwóch dziesiętników. Porządek w przegrupowujących się szeregach uległ momentalnej poprawie. Prędko rozdano związane na placyku obok snopy. Odpowiedni ludzie ostrożnie, żeby nie przesadzić, nasączali je oliwą.

– Jak atakujemy? – Taida w szoku patrzyła na sprawną organizację. W jej mniemaniu po pierwszych dwóch klęskach powinno nastąpić rozprzężenie, ale najwyraźniej jej setnik radził sobie z sytuacją. Miał ogromny atut. Sam przecież służył długo jako szeregowy. Rozumiał więc,

co czują ludzie w szeregu, wyczuwał ich nastroje, wiedział, jak do nich mówić.

– Jednocześnie na górze i na dole.

– To znaczy?

– Z dwóch stron po koronie murów i na poziomie ulicy.

– Myślisz, że ci w środku nie zdążyli się zabarykadować?

– Ciągłe nie rozumiesz. Tam w środku nikt nie dowodzi. Oni działają jak mrowisko. A nawet, zdaje się, trochę gorzej.

Potrząsnęła głową.

– To chyba dobrze, prawda?

– Nie do końca. Są niewrażliwi na straty. Są ich po prostu nieświadomi.

Taida nie mogła sobie wyobrazić ludzi, którzy za nic mieli umierających tuż obok kolegów, zabijanych jeden po drugim. No tak, ale trudno raczej wyobrazić sobie, że oni wszyscy popełnili już kiedyś samobójstwo, a dziś po prostu nastąpił dzień jego konkretnej realizacji.

Taron wrzeszczała na ludzi.

– Ty i ty! – Pokazywał wybranych palcem. – Na górę. Prowadzić swoich, idąc wręcz po blankach murów. Ty dowodzisz atakiem z lewej. Ty od frontu! Zbierać ludzi!

Małe oddziały formowały się sprawnie mimo nocy i ciemności rozjaśnianej jedynie mamiącą wzrok łuną pożarów za murami.

– Podpalać! Podpalać!

Snopy siana trzymane przez żołnierzy w pierwszych szeregach zapłonęły natychmiast.

– Do ataku! Naprzód!

Wojsko runęło do szturm.

Taida chciała ukryć się w zagłębieniu w murze, ale ktoś pociągnął ją w stronę budynków. Taron gdzieś zniknął zajęty atakiem, do jej ochrony pozostało dwóch byłych marynarzy Robego. I to oni właśnie znaleźli lepszą kryjówkę. Jedna z kamienic charakteryzowała się dużym ryzalitem. I na boku wysunięcia wybudowano zewnętrzną klatkę schodową, która służyła prawdopodobnie ekspedycji co lżejszych towarów. Wystarczyło wspiąć się już na wysokość choćby pierwszego piętra, żeby całe pole bitwy stało się możliwe do ogarnięcia jednym spojrzeniem.

– Doskonała lokalizacja.

– Dzięki, pani.

Gangsterzy nie byli zbyt wymowni, ale do ochrony pani prokurator bosman musiał wyznaczyć wyjątkowe gaduły, bo obaj zaczęli komentować to, co działo się poniżej.

– Patrz! Nieźle.

- No!
- A tam, nie?
- No!
- A!
- Uuuu...

Wymianę zdań trudno było nazwać wyrafinowaną, ale dzięki gestykulacji Taida domyślała się, o czym mówią. Siłom Tarona, przynajmniej temu oddziałowi, który atakował od strony ulicy, udało się ogniem odstraszyć obrońców wieży. Przypaleni żywcem ludzie jednak nie wytrzymywali. Pierwszy szereg zaczął wdzierać się do wnętrza budowli obronnej. Powoli, z oporem, a jednak krok po kroku żołnierze parli bez przerwy. Wrzask zarówno palonych żywcem, jak i atakujących zlewał się w jedną kakofonię, która nie pozwalała odróżnić pojedynczych słów. Żołnierze w środku posuwali się naprzód, bo do wnętrza wieży z ulicy dosyłało następnych. Sądząc po okrzykach na górze, jeden z oddziałów atakujących na koronie murów również chyba zaczynał odnosić jakieś niewielkie sukcesy.

I wtedy jeden z byłych marynarzy wrzasnął, pokazując wylot ulicy prowadzącej wprost do bramy.

- Tam! Tam!

Taida gwałtownie odwróciła głowę.

- O Bogowie...

Czarna tłuszcza wylewała się właśnie na bruk i zwartą masą ruszyła w kierunku wieży, gdzie trwały walki. Wróg miał posiłki.

- Ja pierdołę! - krzyczał gangster tuż obok Taidy. - Uważajcie! Uważajcie z tyłu!!!

Taron nie był głupi i oczywiście ustawił warty w ariergardzie. Dosłownie po chwili rozległy się głośnie gwizdki ostrzegawcze. Momentalnie zawtórowały im piszczalki dziesiętników.

- W tył! W tył! Wycofywać się!

Oddział walczący w wieży musiał zostać ewakuowany. I udało się to w ostatniej chwili. Czarny tłum dotarł do wieży, dosłownie deptając po piętach uciekającym żołnierzom. I niwecząc tym samym nadzieję na uzyskanie choćby drobnej przewagi.



Nolaan był dobrym dowódcą. Kompetentnym, wyszkolonym i mimo młodego wieku już doświadczonym. Problem leżał tylko w tym, że nie

miał charyzmy Viriona. Wystarczyło, że Virion wskazał kogoś palcem i powiedział: „Ty, idź!”, a wskazana osoba podnosiła się natychmiast i zaczynała iść. Nawet wtedy, kiedy nie miała pojęcia, dokąd idzie i po co... Natomiast książę, niestety, nie posiadał jeszcze tej umiejętności.

Niemniej dowodził niezłe.

Formacja najemników nie mogła powstrzymać kolejnych fal legionistów, stojąc w miejscu. Wtedy nie mieliby ani chwili na odpoczynek. Książę wymyślił więc prosty manewr. Kiedy legionieści wzmagali napór, linia cofała się o dwa, trzy kroki, stawała w miejscu i powstrzymywała atak. Potem sama naciskała na przeciwnika, a kiedy ten zaczynał się cofać, nagle odpuszczała i cofała się nieco przed pierwotną linię spotkania. Wtedy następowała chwila wytchnienia. Właściwy moment, żeby napić się wody, rozejrzeć, zerknąć na straty. Jak dotąd mieli sześciu rannych. Poza jednym przypadkiem były to rany powierzchowne. No i mieli też jednego zabitego. Legion Moy jak na razie wyeliminował z walki dwóch obrońców. Ale wszystko przed nimi. Ludzie byli coraz bardziej zmęczeni, coraz częściej potykali się o leżące wokół ciała.

Nolaan odwołał Rohana z linii.

– Nie strzelasz już z kuszy?

– Nie ma do czego. Oni już nie посыłają oficerów na pierwszą linię, a podoficerów nie sposób odróżnić w tym burdelu.

– Rozumiem. Jak morale tych, co stali przy tobie?

– Nie jest dobrze. Zaczyna ich ogarniać zobojętnienie.

– To ze zmęczenia.

– Musimy się cofnąć! Tu za dużo zwłok leży na ulicy.

– Człowieku, czy ty się obejrzałeś za siebie? Zostało nam jakieś sto kroków!

Rohan dopiero teraz zerknął w stronę wieży.

– Nawet mniej. To przez te manewry tracimy teren.

– Gdyby nie one, to w ogóle leżelibyśmy tu pokotem.

Stary żołnierz wzruszył ramionami.

– Tak czy tak, musimy się jeszcze cofnąć. I to o jakieś dwadzieścia kroków, na czyste pole.

– Zaraz oprzemy się plecami o mury Syrinx!

– I będzie po nas – Rohan zgodził się natychmiast. – Ale tu też będzie po nas. Więc stańmy pośrodku.

– Z zapasem już tylko jednej możliwości, żeby się znowu cofnąć?

– A widzisz jakieś wyjście?

Nolaan zacisnął szczęki. Najwyraźniej jakaś myśl pchała mu się na usta, ale książę bał się wypowiedzieć ją na głos.

– No co? – zapytał Rohan.

– Możemy wysłać Hekkego do ataku, na czele, ja wiem... czterech ludzi.

– Noooo... Przynajmniej ten jeszcze zaszedłby daleko w głąb ich linii.

– Ale już by nie wrócił.

– No nie.

Obaj byli zgodni w tej kwestii. Obaj też wiedzieli, że desperacki atak nawet maleńkiej grupki zwiąże przeciwnika, zmniejszy jego napór i da nawet dłuższy czas na wytchnienie dla reszty. Wartość wprost bezcenna w tej sytuacji. Tyle że wymagająca poświęcenia czyjegoś życia.

– Powiedz, dlaczego nie wysyłasz Hekkego?

– Wszyscy wiedzą, że go nie lubię. I mogliby pomyśleć, że wysłałem go, żeby się zemścić albo z czystej złośliwości.

Stary żołnierz pacnął się w czoło.

– Ja pierdolę! Zajebią nas z powodu twojego poczucia przyzwoitości?! I tego, co ludzie mogliby powiedzieć?!

– Zginiemy tak czy tak. – Księżę usiłował być racjonalny.

– I dla ciebie jest ważne, co powiedzą o nas po śmierci?! – Rohan nie mógł uwierzyć. – I że będą cię mieli za małostkowego?

– Trochę tak...

– Kurwa. To może Lirion niech poprowadzi samobójczy atak? Jego lubisz, więc plotek nie będzie.

– Ale to kolega Viriona. Nie mogę mu tego zrobić.

– Ja pierdolę! – krzyknął ponownie Rohan. – Zajebią nas z powodu układów towarzyskich na froncie? Ja, kurwa, nie wierzę!

– Zmieńmy temat. – Teraz księżę postanowił być stanowczy.

– Doskonale. Powiedz nareszcie coś konstruktywnego.

– Woda nam się kończy.

Dla obu było jasne, że nie będzie już nowych dostaw z wieży kryjącej bramę Pszenną. Na jej szczycie ciągle powiewał złowieszczy czarny sztandar.

– No. To lepiej coś wymyśl...

Rohan nie dokończył, bo tuż obok legionistom udało się zarzucić sznur na jednego z najemników. Wywinął się, nie zdołali go pociągnąć w głąb swoich, ale kiedy grube sploty opadły na ziemię, dwóm żołnierzom udało się szarpnąć i przewrócić szermierza. Obaj zginęli natychmiast od ciosów obrońców, ale inni, schyleni trochę z tyłu, złapali najemnika za nogi i szarpnęli, żeby odciągnąć od kolegów. Chłopaka zabito chwilę później, dosłownie dławiąc ciżbą, która runęła na leżącego.

– Dobra. Wycofujemy się na ćwierć setki – powiedział sucho Nolaan, mierząc wzrokiem odległość i szukając charakterystycznych punktów,

żeby móc się zatrzymać bez liczenia kroków. A potem krzyknął tak, żeby słyszeli go wszyscy: – W tył! Wszyscy do tyłu!!!



Nikt nie zwracał uwagi na biegnących ludzi. To już było zaplecze pierwszej linii, wokół kręciło się wielu żołnierzy i jeszcze więcej cywilnych pomocników, ciurów obozowych, kwatermistrzów, woźniców i całego tego tałatajstwa, które posuwa się za czołówką nowoczesnej armii, umożliwiając jej pokonywanie coraz to nowych dystansów.

Virion zatrzymał się w stosunkowo mało zaludnionym i ciemnym miejscu. Tu już pożary nie szalały. Domy przy ulicy trwały nietknięte, choć całkiem puste. Albo wszyscy uciekli na widok nadchodzącego wojska, albo też – co było bardziej prawdopodobne – to właśnie wojsko siłą opróżniło budynki, żeby nie narażać się na atak jakiejś znaczniejszej liczby dywersantów pozostawionych na tyłach.

– Czy ty kiedykolwiek mnie posłuchasz? – zapytał, kiedy dobiegła do niego Niki.

Upiorzyca opuściła głowę, nie chcąc chyba spojrzeć mężowi w oczy. Zdaje się, że uznała swoją winę i nie miała niczego do powiedzenia.

– Gdzie Nekron? – padło następne pytanie.

– Bardzo blisko. – Niki rozejrzała się uważnie.

– Poprowadzisz?

– Chyba lepiej, żeby to on cię znalazł. Tu jest za dużo wojska.

Miała rację. Podczas tej walki będzie musiał skoncentrować się do absolutnych granic. Jakikolwiek żołdactwo za plecami, gotowe wsadzić mu miecz w plecy albo choćby walnąć w łeb drągami, było mu absolutnie niepotrzebne.

– Prowadź.

Skinęła głową i ruszyła przodem.

– I pamiętaj. Kiedy się zaczniesz, masz się schować. Pamiętaj o naszej córce!

Niki skuliła się odruchowo. Woląca niczego nie mówić ani nie odwracać głowy, żeby ich spojrzenia nie mogły się skrzyżować. No ładnie! Ale czy naprawdę przypuszczał, że jego żona odpuści w tej sytuacji?

Ruszył za nią, klnąc w myślach, ale też musząc przyznać, że nie ma pojęcia, jak ją powstrzymać. Takie są losy burzliwych małżeństw – gdy oboje rządzą naraz, to albo dojdą do konsensusu, albo się pozabijają. Teraz byli bliscy właśnie temu drugiemu. Oboje czuli chyba narastającą

furię. A niemający o niczym pojęcia ludzie sądzili zapewne, że naprawdę groźne małżeństwa to takie, gdzie król i królowa dysponują ogromną władzą, niezliczonymi armiami i potęgą materialną. Nie. Najbardziej groźne małżeństwo na świecie szło właśnie, chwilowo naburmuszone na siebie wzajemnie, tonącą w mroku ulicą na przedmieściach Syrxin.

Niki prowadziła sprawnie. Wokół było coraz mniej ludzi, blask pożarów ledwie tutaj docierał. Nagle zatrzymała się i zaczęła dokładnie lustrować fasady otaczających ich domów.

– Co? – Virion nie zrozumiał w pierwszej chwili.

– Zbliża się coraz szybciej – odparła. – Zaraz nas dogoni.

– Musimy go przyjąć gdzieś tutaj?

Skinęła potwierdzająco głową.

– Może tam? – Wskazał rozległy skład handlowy.

– Myślę, że dzięki magii on widzi w ciemności. Nie zgubi się wśród hałd towarów. Ale obok jest fajny domek.

Ruszyła w stronę najprawdopodobniej niewielkiej służbówki, w której zapewne mieszkał zarządca składu. Na mieszkanie właściciela domek był stanowczo zbyt mały. Niki delikatnie odsunęła skrzydło drzwi, węsząc ostrożnie. Dopiero po chwili weszła głębiej i skinęła na męża. Oboje wspięli się po stromych schodach najpierw na podest, a potem jeszcze wyżej, na niewielki stryżek.

– Tutaj – podjęła decyzję upioryca.

Sprytnie. Wejście było tylko jedno. Wąskie, strome schody, na których trudno będzie atakować. Równie wąskie, bardzo solidne drzwi zbite z grubych desek. No i... aż trzy drogi ucieczki. Okno wychodzące na ulicę, wyłaz dachowy albo kolejne schody, prowadzące jeszcze wyżej, na antresolę połączoną chyba ze składem handlowym. Stąd, gdzie stali, widać było jedynie początek łączącej budynek galerii.

– Dobre miejsce – szepnęła.

– Skup się. Albo się myślę, albo on nie jest sam.

– Ma zbrojnych ze sobą?

– Nie. To chyba czarownik.

Virion wypuścił powietrze z płuc. No co? Przecież upiór, władca pustynnego zamku, ostrzegął go wyraźnie. Nekronowi zawsze towarzyszył czarownik. Można było się spodziewać, że dziś akurat zwyczajnie nie zmieni.

Virion ustawił się tuż za progiem. Nie miał dobrego wzroku i nie widział za dobrze w półmroku, ale przecież dysponował idealnym słuchem. Bezbłędnie wyławiał podejrzane odgłosy z całej kakofonii innych dźwięków. Powoli wyrównywał oddech. Nie sprężył się, nie przygotowywał niczego, jeśli chodzi o ciało. Chciał jednak przygotować

swój umysł. Czy można pokonać samego siebie? Pytanie właściwie trzeba było zadać inaczej. Czy można pokonać samego siebie, podczas gdy lustrzane odbicie dysponuje mocą czarnej magii?

Głupie rozmyślania. Nie walczy umysł. Nie walczy ciało. Czym jest więc szermierka? Pogodzeniem się ze światem. Poczuciem, jak cały glob przywiera do stóp fehmistrza. Niektórzy nazywają to stanem roztopienia jaźni, inni – połączeniem z wszechświatem. Jeszcze inni wolą określenie totalnego luzu. Nie walczy napięty umysł, nie walczy wytrenowane do granic możliwości ciało. Co więc byłoby najlepiej uczynić przed walką? Najlepiej położyć się na rozświetlonej popołudniowym słońcem łące i pomyśleć o kwiatkach, które rosną wokół.

Fakt, że w pobliżu nie było ani łąki, ani rosnących na niej kwiatów, nie stanowił wielkiej przeszkody. Virion pozwalał myślom płynąć leniwie i bez celu. Odsuwał niespiesznie wszystkie emocje, nie pozwalał, aby cokolwiek naruszało przyjemny spokój, który powoli go ogarniał. Był gotowy.

Słyszał wyraźnie skrzypienie zawiasów piętro niżej. Potem czyjeś zdecydowane kroki. Dwie osoby. Nekron i towarzyszący mu czarownik.

Spokój, spokój, spokój... Pogodzenie się z wszechświatem sięgało zenitu. Rozlewało się, obejmowało swym władaniem każdą cząstkę ciała i umysłu. Właściwie Virion rozpuszczał się w kosmosie wypełnionym gwiazdami.

Kroki na schodach zbliżały się szybko. Napastnik widać nie miał żadnych wątpliwości. Ale przecież i Virion nie miał. Czekał na górze jak posąg. Bez najmniejszego drgnienia. Nekrona zobaczył z odległości dopiero kilku kroków. Tamten miał na twarzy pustynną chustę. W wąskiej szparze można było dostrzec jedynie jego oczy.

Virion nie bał się, nie był tchórzem. Ot, kolejny przeciwnik. Luz, spokój, łączność z wszechświatem.

Nekron, choć w niekorzystnej pozycji, uniósł miecz, wyprowadzając sztych od góry. Virion skontrował i przepuścił jego klingę płynnie. Tamten cofnął broń i zamachnął się ponownie. Tym razem przepuszczenie go po własnej klindze odłupało kilka solidnych drzazg z framugi. Virion zrobił pół kroku naprzód. Jego sandał dotknął progu, wzniósł miecz do ciosu i...

Nekron uderzył go pokrytą dziwnymi znakami pałką w biodro.

– Kur!...

Virion poczuł szarpiący ból, musiał teraz stanąć bokiem, zmienić rękę i wyprowadzić sztych w stojącego już na ostatnim stopniu Nekrona. Ten jednak odtrącił opadające na jego głowę ostrze miecza łokciem, uderzając dokładnie w bok broni. A pałką zadał cios w ramię przeciwnika.

Virion poleciał do tyłu.

W tej samej chwili Niki, stojąca obok pod ścianą, runęła na plecy, łagodząc upadek dłońmi o rozcapierzonych palcach. Już leżąc, kopnęła obiema nogami skrzydło drzwi, które zamknęło się z hukiem, o mało nie wyrwywając futryny z muru.

Upiorzyca, wyginając kręgosłup, jednym skokiem znalazła się znowu w pozycji stojącej. Podbiegła do leżącego męża i uniosła go z ziemi. Wsunęła szyję pod pachę Viriona i pociągnęła go na schody prowadzące do góry, na galerię łączącą ten budynek ze składem. Dla niej i rannego Viriona to była jedyna z możliwych dróg ucieczki.



– Taron! Taron! – Taida w tłumie żołnierzy nie mogła odnaleźć swojego setnika.

– Co? – Doskoczył z tyłu.

– Daj mi kilku swoich najbardziej zaufanych ludzi.

– Masz dobrą ochronę.

– Daj najbardziej zaufanych.

Dopiero teraz spojrzął na nią z uwagą.

– Po co?

– Muszę posłać wiadomość do Pałacu!

Jego brwi powędrowały do góry.

– Teraz?

– No właśnie teraz. Muszę napisać, że wrogowie zaraz otworzą bramę i Legion Moy wedrze się do miasta! Cesarz musi przejść do jednej z wież oporowych! – mówiła, gorączkowo gestykulując. – To ostatnia chwila. Jeśli obce wojska nas tutaj odetną, to nie będę mogła już posłać nikogo.

– Nie histeryzuj.

– Taron... – Taidzie załamał się głos. Zrobiła gest, jakby chciała paść w jego ramiona, tu, teraz, przy tych wszystkich ludziach. Powstrzymał ją z trudem.

– Daj mi chwilę! Daj mi jeszcze chwilę – powtarzał uspokajająco. – Spróbuję ludźmi Robego. Przecież to oni są fachowcami od wyciągania ludzi.

– Jeszcze jeden szturm?

– Daj mi chwilę, proszę.

Taron odwrócił się, nie chcąc widzieć łez wzbierających w jej oczach. Przywołał jednego z najbardziej rozgarniętych dziesiętników.

– Jest tu w pobliżu coś łatwopalnego?

– Oliwa w składzie.

– Bardziej łatwopalnego.

– No... jest składnica węgla drzewnego.

– Zwariowałeś? Chcesz węglem drzewnym wrogów okładać?

Podoficer złapał w lot, że nie tyle chodzi o nowy sposób, co o podratowanie morale stojącej obok pani prokurator.

– No fakt. – Roześmiał się gardłowo. – Ale po paru dniach okładania żarem tobyśmy ich w końcu usmażyli.

– Upekli.

– Z innych łatwopalnych rzeczy jest smoła. Ale to w dokach przy głównym kanale. Strasznie daleko.

– Nie ma czasu.

– Siarka u medyków?

– No i co? Będziesz teraz zbierał po garści? Po domach?

Taron nagle pacnął się dłonią w czoło.

– Dobra, pošlij kilku ludzi po ten węgiel drzewny. Rozżarzemy końcówki halabard.

– Tak jest!

– Robe! Robe!

– Jestem. – Bosman stawiał się natychmiast.

– Teraz zaatakujesz swoimi ludźmi. Nie wchodźcie do wnętrza wieży. Spróbujcie ich jak najwięcej wyciągnąć i rzucić nam.

– Jasne. A wy...

– A my... – Taron odpowiedział zgodnym skinieniem głową. – Będziesz miał wsparcie. Żołnierze wyciągną ponad głowy halabardy z rozżarzonymi końcówkami. Będziemy przypalać skurwysynów. Może się cofną.

Taida nie słuchała wymiany zdań tuż obok. Zawiodła! No ale przecież to nie jej wina. Nie zna się na obronie murów... Nie, nie. Zawiodła jako jeden z szefów Zamku. Będzie pierwszą prokurator w historii, która zaleci cesarzowi zamknięcie się w jednej z wież oporowych cesarstwa. Miasto bowiem zaraz zostanie stracone.

Opuściła głowę. Nawet nie opiszą jej nieudolności w kronikach historii cesarstwa, bo kroniki te po zwycięstwie będzie pisał ktoś inny. A w bitewnych wspomnieniach przecież nie ujawnia się dyletanctwa wrogów, tylko powiększa ich zdolności. Pokonać w memuarach należy smoka, a nie muchę. Taida więc pewnie zostanie przedstawiona jako najprzebiegłszy demon zła i bogini wojny. Tyle dobrego.

Pogrążona w smutnych przemyśleniach nie zwracała uwagi na to, jak Taron montuje kolejny atak. Nie patrzyła, jak ludzie w pobliżu rozgrzewają metal do czerwoności, nie słuchała przekleństw gangsterów

szykujących haki, nawoływań podoficerów, całego tego zgiełku. To ona doprowadziła cesarstwo do upadku. Nie zapobiegła, nie obroniła, nie nadaje się...

– Zajmować pozycje do ataku!

Ludzie Robego formowali niechlujne szpice, nigdy nie byli szkoleni do musztry na łądzie. Tuż za nimi szykowali się halabardziści, tym razem formowani do przypieczenia wrogów.

– Zajmować pozycje!

Taron nie krępował się w wydawaniu głośnych komend zdradzających jego zamiary. Nie musiał stosować metody „podaj dalej”, bo ludzie w wieży nie byli dowodzeni, nie mieli wart ani zwiadu. Mieli za to boleśnie skuteczny priorytet umierania za to, w co wierzą. Nie było jak ich postraszyć, nikt nie wiedział, jak zrobić na nich wrażenie. A może uda się ich odgonić bólem? A może... Lepiej nie rozpatrywać sytuacji, kiedy i to zawiedzie.

– Do szturmuuuuu!...

Ludzie, którzy szykowali się do walki, ucichli nagle na swoich pozycjach. Zamarli. Zdawało się, że niektórzy przestali nawet oddychać. Dopiero rozkaz do ataku zniszczył ten bezwład. Szeroka ludzka rzeka runęła do przodu w nagłym paroksyzmie. I znowu przez moment zdawało się, że nic nie jest w stanie ich zatrzymać. Ale to była tylko krótka chwila. Rzeka uderzyła w swoją tamę, mur wieży kryjącej miejską bramę. Rozległo się wycie walczących. Krzyki błyskawicznie przeniosły się do wnętrza budowli. Znak, że pomysł z halabardami okazał się skuteczny. Fanatyczna wiara to jedno, ale przypalane rozżarzoną metalą na żywca ciało to zupełnie inna sprawa. W tym bólu wiara niewiele mogła pomóc. obrońcy targnęli się w tył, ludzie Robego zaczęli wygarniać na zewnątrz tych, których zdołali chwycić, i przez moment wydawało się, że może tym razem uda się osiągnąć przewagę. Niestety. Tłum skłębiony wewnątrz, słysząc, co się dzieje, zaczął napierać od tyłu. Całą swoją masą. I co z tego, że ci w pierwszych szeregach dosłownie wyli z bólu? Nie mieli gdzie się cofnąć. Można ich było co najwyżej zabijać, jednego po drugim, aż z ciał utworzy się nowa barykada.

Po chwili jednak końcówki halabard zaczęły stygnąć. Tłum wewnątrz zaczął atakować gangsterów i starcie zamieniło się w kolejną bijatykę. Z tym tylko, że ludzie Robego nie byli żołnierzami. Zaczęli odstępować, nie czekając na rozkaz.

– Kurwa! – Jeden ze stojących w pobliżu podoficerów popatrzył na swoich czekających w odwodzie ludzi. Nawet nie było jak ich użyć. – No i klęska...

Taida podeszła do Tarona.

– Daj mi kilku zaufanych ludzi – powiedziała cicho. – Czas zawiadomić cesarza, że stolica właśnie upadła. I zaraz obcy żołnierze wkroczą na ulice miasta.



– Do tyłu! Do tyłu! – krzyczał Rohan. – Patrz na prawe skrzydło!

– Nie mam gdzie się cofnąć!

Nolaan po raz kolejny zerknął za siebie. Od murów miasta dzieliło go kilkadziesiąt kroków. Zaraz wrogowie na wieży, nawet jeśli nie są wyszkolonym wojskiem, zaczną zrzucać im na głowy co cięższe przedmioty i będzie po sprawie. Ich garsteczka była już jedyną obroną przed Legionem Moy i tłumem okupującym bramę, nad którą powiewał złowieszczy czarny sztandar.

No to koniec.

Nolaan nie zamierzał się roztkliwiać. Ani nawet przez moment myśleć o możliwościach ratunku. Jego przodkowie budowali to imperium, a on w jego obronie zginie. Nie chciał jednak pozostawić oceny swoich czynów opisom zawartym wyłącznie w kronikach tworzonych przez wrogów. Podszedł więc do jednego ze swoich szermierzy i ciągnąc za ramię, wyrwał go z szeregu walczących.

– Słuchaj, Kiś...

– Mam na imię Kim! – zdenerwował się chłopak.

– Jak wolisz – zgodził się łaskawie książę. – Nie ma czasu, a ty chyba chciałeś, żeby twoje imię zostało zapamiętane. W legendzie, w kronice, a jak się uda, to w opowieściach snutych wnukom.

– Tak.

– No to się uda. Chcę, żebyś ty jeden przeżył.

Chłopak zachnął się i otrząsnął.

– Ja ze wszystkimi...

– Nie. Wydaję ci mój ostatni rozkaz.

– Słucham.

– Ty masz sprawić, że stąd – Nolaan wskazał palcem spowitą popiołem ziemię – przejdziemy prosto do historii!

Kim patrzył na księcia, niewiele rozumiejąc.

– Powiem ci, do kogo pójść, a ten ktoś znajdzie kronikarza o wiele większego, niż zdołają znaleźć nasi wrogowie. Kronikarzowi opowiesz wszystko, co tutaj widziałeś i słyszałeś. Wszystko, co tu się działo. Rozumiesz?

– Ale przecież stąd wyrwać się nie sposób. – Chłopak zatoczył ręką koło, wskazując zajętą przez wrogów bramę, pożary po obu stronach ulicy i nacierające fale legionistów.

– Spróbuj schować się pod naszymi zwłokami – rozkazał ksiązę. – Spróbuj oddać się do niewoli, choć to najmniej pewne. Spróbuj udawać obłąkanego. Zabijać wariata żołnierze się boją, żeby nie ściągnąć boskiej klątwy.

– Nie chcę uciekać z pola walki!

– Dostaniesz pierścień, który będzie dowodem, że wykonujesz mój ostatni rozkaz! Inaczej oni napiszą o nas same kłamstwa! A my – ksiązę pochylił się i dotknął dłonią bruku – mamy pójść stąd prosto do historii!

Kim zrozumiał. Przez moment stał nieruchomo, a potem zsalutował nieumiejętnie wolną ręką. Wielkie płaty białego popiołu opadały, udając śnieżną, upalną zimę. Atmosfera stawała się coraz bardziej oniryczna. Jakiś ranny w ramię szermierz wypadł z szeregu walczących, zrobił kilka kroków w tył i przewrócił się obok księcia.

– Panie... Wody! Wody!

– Nie mamy już wody – odparł ksiązę i jeszcze raz się rozejrzał. Odległość od murów nie chciała urosnąć nawet o łokieć. W dalszym ciągu była... za mała. – Cofać się! – Nolaan ocenił również stan ludzi, którymi dowodził, a potem odwrócił głowę jeszcze na chwilę. – To już blisko, Kim. Twoja wyprawa do wnuków zaraz się zacznie.

– Tak jest.

– Cofać się! Wszyscy do tyłu!



Niki właściwie ciągnęła Viriona po schodach. Jej mąż niby stawiał kroki, niby nie. Nie miała pojęcia, czy jest tak do końca przytomny. Organizm upiorzycy pozwalał na bardzo wiele i nawet zaawansowana ciąża obciążała go tylko w niewielkim stopniu.

– Idziemy – powtarzała szeptem. – Raz, dwa, raz... Idziemy!

Z trudem dotarli do końca schodów i weszli na galerię, która łączyła dom ze składem towarów. Z tej wysokości widać było wyraźnie wielkie skrzynie przykryte narzutami wykonanymi z grubych tkanin. Najprawdopodobniej zawartość skrzyń była albo unikatowa, albo bardzo drogocenna. A może jedno i drugie?

Niki obejrzała się, słysząc trzask na dole. Nekron właśnie wszedł do pomieszczenia poniżej. Od razu ruszył w stronę schodów.

– Kochanie! ocknij się! Ocknij się, proszę...

Masowała Viriona po twarzy. Potem chuchnęła mu prosto w nos. Nic jednak nie przynosiło rezultatów. Nekron zaczął się wspinać na piętro. Nie posuwał się szybko. Stopnie umieszczono wysoko, bieg był wąski, a on w jednej dłoni trzymał miecz, a w drugiej pokrytą dziwnymi znakami pałkę. Tuż za nim pojawiła się druga postać. Dużo mniej postawna, mimo gorąca zawinięta w długi płaszcz. To ten czarownik – przypomniała sobie, co mówił upiór, który był panem w pustynnym pałacu. To on zapewnia Nekronowi moc czarnej magii.

– Kochanie, błagam – szeptała mężowi wprost do ucha. – Ocknij się, proszę!

Virion ledwie ogniskował wzrok. Usiłował otworzyć szerzej oczy, ale nic z tego nie wychodziło.

– Kochanie! – Niki zaczęła potrząsać męża za ramiona. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że postępuje głupio. Wstrząsy nikomu nie pomogą, a Virion to nie omdlewająca dama dworu. Pocałowała go w usta. – Kochanie...

Wspinaczka Nekrona dobiegała końca. Właśnie postawił nogę na ostatnim stopniu.

– Kochanie, ocknij się, bardzo cię proszę!

Nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby zrobić. Nekron stanął na początku galerii, dosłownie kilka kroków od nich. Za nim czekał już czarownik. I na jego twarzy zaczynał gościć wyraz triumfu. Zrozumiał, że ofiara mu się nie wymknie. Że teraz już nie ma żadnych szans.

Niki ni to pisnęła przestraszona, ni to chlipnęła w rozpacz. Odruchowo dotknęła swojego brzucha i chyba od tego gestu przyszło olśnienie.

– Virion, budź się albo to ja stanę do walki, żeby cię osłonić!

Virion otworzył oczy, wciągając jednocześnie powietrze z sykiem. Nie mógł jeszcze zogniskować wzroku, ale zdecydowanym ruchem podniósł swój miecz odrobinę wyżej.

– Gdzie oni są? – zapytał dość nawet przytomnym tonem.

– Tuż przed tobą.

– Tam? – Wyciągnął rękę przed siebie. Najwyraźniej nie widział przeciwnika, ale przy jego słuchu nie było to zbyt istotne.

– Tam.

Lekkim, niespodziewanym, jakby zupełnie przypadkowym ruchem Virion przeniósł ciężar ciała na wykroczną nogę i skoczył przed siebie, wyprowadzając szytych. Nekron sparował błyskawicznie, odskoczył i wyprowadził cięcie. Virion przyjął, przeprowadził po kładzie i wykorzystał ten sam ruch do zadania własnego uderzenia.

W tej samej chwili czarownik dotknął ust i wypowiedział zaklęcie. Nekron użył swojej pałki, trafiając przeciwnika na odlew w twarz. Virion poleciał do tyłu, waląc plecami o podłogę galerii. Czarownik znowu przytknął dłoń do ust i zaczął inkantację. Nekron zrobił krok, podniósł nogę, by wykonać następny...

– Aaa!!

Niki krzyknęła przeraźliwie, ale nie było to ostrzeżenie. Wrzasnęła z bólu, padając na kolana. Gwałtowny paroksyzm niemal ją sparaliżował. Chwyciła się za brzuch, który stał się nagle pulsującym źródłem cierpienia.

Pałka pokryta starożytnymi znakami z głośnym brzękiem rozprysła się na tysiące drobnych kawałków, zupełnie jakby została wykonana ze szkła. A czarownik kilka kroków dalej chwiał się na nogach. Już nie rzucał zaklęcia. Spomiędzy przyciśniętych do ust palców sączyła się krew.

Niki zrozumiała w jednej chwili. To ich nienarodzona jeszcze córka. Mieszaniec upiora i człowieka, przyszła czarownica, widząc niebezpieczeństwo grożące rodzicom, zablokowała zaklęcie wroga. A obcy czarownik nie mógł mieć o tym pojęcia. Mimo faktu, że był jednym z najlepszych fachowców, został wzięty z zaskoczenia. Z totalnego zaskoczenia, bo żaden człowiek na świecie nie mógł przewidzieć czegoś takiego.

Upiorzyca wykorzystała właściwy moment. Wyjąc z wściekłości, runęła do przodu wielkim skokiem, bez trudu roztrącając ręce czarownika, który wciąż nie miał nawet pomysłu na to, co się stało. Stał zbaraniały, kiedy Niki, uderzając głową w jego czoło, odsłoniła mu gardło. A potem rozszarpała je zębami i ciągle wyjąc, przerwała tchawicę.

Nekron najpierw ledwie zerknął, co dzieje się z tyłu. Otrzeptał dłoń z pyłu, który pozostał na skórze po zniszczonej pałce, i uniosł miecz, żeby zadać leżącemu na plecach przeciwnikowi ostateczny cios. Potem jednak spojrzął za siebie raz jeszcze i zatoczył się. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Odwrócił się nagle i zrobił krok w stronę drgających, obficie krwawiących zwłok. Powoli zaczął odwijać zakrywającą mu twarz chustę. Stojąca za zwłokami czarownika Niki spodziewała się Bogowie wiedzą czego na jego obliczu, ale kiedy nareszcie go zobaczyła, nie zdołała powstrzymać okrzyku zdziwienia.

Nie, nie, twarz Nekrona nikogo jej nie przypominała. Najgorsze, że ona... Ona w ogóle raczej nie przypominała człowieka. Jakiś dziwny twór, trochę tylko jak człowiek, a trochę jak... Właściwie nie potrafiła określić, czy na całym wielkim świecie jest coś, co przypominałoby jej to oblicze. Potwór skrzywił się, odsłaniając nieduże, ale bardzo mocne kły.



Nolaan zrozumiał, że odtąd nie może się cofnąć już nawet o krok. Był tak blisko wieży, że rozróżniał szczegóły twarzy ludzi w czerni, którzy wyglądali z małych okienek w ścianie oporowej. Nie rozumiał, dlaczego brama nie została jeszcze otwarta, mógł się jedynie domyślać, że tamci nie mają inżynierów. Zaraz będą mieli. Wystarczy, że zniknie ostatnia przeszkoda przed legionistami. Łopoczący w podmuchach gorącego wiatru czarny sztandar mówił dobitnie, w czyich rękach jest wejście do miasta.

Ostatni obrońcy nie mieli już wody, opieki ani nawet miejsca dla rannych, nie mieli już niczego. Książę zrozumiał, że nie ma sensu utrzymywanie systemu zmian. Zresztą już nie miał wystarczającej liczby ludzi, żeby wypełnić wszystkie miejsca w szeregu. Żołnierze naprzeciw czuli, że ich zwycięstwo zbliża się tak czy tak, wiedzieli, że broniącą się garstkę zaraz zgniotą swoją masą, więc nie chcieli umierać w ostatnim momencie. Tylko dlatego dziurawy szereg mógł jeszcze stawiać opór. Ale dla wszystkich stało się jasne, że to ostatnie chwile.

– Dobra, kończymy ze zmianami. – Nolaan spojrział na Rohana, który stał obok. – Wszyscy do linii!

– Może trochę się jeszcze cofnąć? – krzyknął walczący na lewym skrzydle Hekke.

– Nie ma już gdzie. Giniemy tutaj!

– No to napierdalać!

Nolaan chciał przełknąć ślinę, ale nic z tego nie wyszło. Nie mógł już nawet wyraźnie mówić. Ledwie chrząpiał.

– Zobaczycie, jak umiera Cesarstwo Luan. – Zrobił krok przed szereg i zaczął ścinać łby atakującym.



Taida instruowała ludzi, którzy mieli zanieść wiadomość o klęsce do Pałacu, mówiąc im, jak się mają zachować, żeby nie zostali wyrzuceni, do kogo mają pójść, co powiedzieć. Z jednej strony powinna powiadomić cesarza osobiście, licząc się z tym, że od razu skróci ją o głowę. Z drugiej strony jednak otrzymała od niego wyraźny rozkaz, że ma dowodzić obroną murów, i jeśli on sam jej z tej funkcji nie zdejmie, to nie miała

prawa opuścić swojego stanowiska. Problem więc jakby się rozwiązywał. No i dawał nadzieję na przeżycie jeszcze przez jakiś czas, zamknięty w wieży oporowej cesarz nie będzie miał bowiem możliwości nakazania egzekucji.

Taron natomiast siedział zgnębiony pod murem, skwaszony, wściekły, zrezygnowany, wkurwiony i apatyczny zarazem. Ciekawe, jak te sprzeczne uczucia mieściły się w nim naraz, jedno obok drugiego.

Jeden z szeregowych żołnierzy postanowił przerwać ten stan. Nie mając pojęcia, czy zostanie usłyszany, ośmielił się dotknąć ramienia setnika i potrząsnąć nim lekko.

– Panie.

– Czego?! Wypierdalaj!

– Panie, ja pracowałem w hurcie węglem drzewnym.

– No i co z tego?!

– I to nie tak... – Młody żołnierz nie miał pomysłu, jak powiedzieć to, co miał do powiedzenia. Wyraźnie bał się krytykować przełożonego. – Węgiel drzewny straszny. Ale nie dlatego, że można w nim coś rozgrzać i dupę tym komuś przypalać.

Taron siedział pogrążony w ponurych rozmyślaniach i zdawał się nie słyszeć. Ale młody szeregowy nie ustawał w wysiłkach.

– Panie! Mój majster tak się bał, że nas przed wejściem na skład dokładnie obszukiwał. Czy któryś choćby i przez zapomnienie krzesiwa na skład z węglem nie wniesie. Wszyscyśmy się bali. A w składzie praca tylko od świtu do nocy. Nawet w zimie. Żadnego światła nie było!

To, co usłyszał, było tak dziwne, że poruszyło Tarona nawet w jego obecnym stanie.

– Co ty ze brednie mi wciskasz?! – warknął. – Każdy widział węgiel drzewny i nikt się go nie boi.

– Tak, panie. Sam węgiel możesz na stole grubą warstwą rozsypać i na nim postawić płonąca lampkę. Nic się nie stanie. Ale u nas, w hurtowni, to nawet iskry nie mogło być. Zabierali nam wszystkie metalowe rzeczy. Nawet sprzączek do pasków nie wolno było mieć.

To już było naprawdę dziwne.

– Dlaczego?

– Bo węgiel sam w sobie nie jest straszny. Potworne niebezpieczeństwo grozi od pyłu węglowego!

Taron zmarszczył brwi i przez chwilę analizował wszystko, co usłyszał. Potem wstał energicznie i to on chwycił żołnierza za ramiona.

– Czemu pył węglowy jest straszny? – zapytał dobitnie.

– Bo wybucha od byle iskry! – odpowiedział chłopak z entuzjazmem.

– Nie...

– Tak!

– Ja pierdołę! Co trzeba zrobić, żeby wybuchło?

– Pył musi stworzyć z powietrzem taką zawiesinę. Musi się unosić w powietrzu. I wtedy byle co spowoduje, że nastąpi eksplozja. Jakby wulkan strzelił. Mój majster przeżył to za młodu. Nie ma oka i nie ma jednej ręki. Teraz jest ostrożny.

– Czekaj. – Taron usiłował powstrzymać potok wymowy szeregowego. – I co się dzieje, kiedy to wybuchnie? Wszyscy zginą?

– To różnie bywa. Czasem giną, czasem są ranni, a czasem tylko nieprzytomni, przez pół dnia ruszyć się nie mogą. Majster mówił, że różnie bywa. Czasem chałupa się wali na głowy, czasem wyrывa tylko okna i drzwi, a czasem i to się nie dzieje. Różnie jest. Ale majster dzisiaj nie ma oka i nie ma ręki. Mówił, że ich dwóch tylko przeżyło wtedy. A ten drugi całkiem głuchy się zrobił.

– Bogowie mili! – Taron właśnie czekał na choć jeden miły gest od opatrności. No i się doczekał. – Wiesz, jak wybuch w wieży zrobić?

– Nasypać wszystko od góry, lekki przeciąg zrobić, żeby się przemieszało z powietrzem i niech jakiś samobójca pochodnię tam wrzuci.

– Jesteś pewien?

– Majster mówił, że do wybuchu być musi pięć warunków i że mamy tego strasznie pilnować. Ma być pył, powietrze, mieszanie, ograniczona przestrzeń i zapłon. I...

– I co?

– Jebnie jak nic!

– A gdzie ten pył zdobyć?

– Toć przecież tuż obok skład węgla, cośmy z niego zapasy już brali. Każdą hurtownię przed fajrantem się sprząta, a pył w workach tuż przy wyjściu czeka, żeby z rana pierwsza zmiana na wozy załadowała od razu i wio!

– Wiesz, jak to zrobić?

Żołnierz wzruszył ramionami.

– Pył do wieży to wystarczy tylko zrzucić z wysokości, a przeciąg go zmiesza z powietrzem. Od dachu trzeba zrobić dziury.

Taron nie potrzebował nawet chwili do namysłu. Potrafił szybko podejmować decyzje.

– Mianuję cię zastępcą setnika. – Zdjął z szyi swoją białą chustę i zawiązał na szyi chłopaka. – Bierz ludzi i wykonaj zadanie!

– Tt... Tak jest!

Młody były szeregowy zerknął na swoją nową chustę i chyba urosły mu skrzydła.

- Do mnie! – wrzasnął. – Wszyscy do mnie!!!
- Taron tymczasem podszedł do swojej kobiety.
- Taida, proszę, przerwij na chwilę i chodź na bok, na słówko.



Miecz Nekrona opadł na głowę Viriona.

A właściwie na miejsce, gdzie ta głowa była jeszcze przed ułamkiem chwili. Leżący na ziemi szermierz przeturlał się na bok i wyprowadził kopnięcie z obu nóg, mierząc w kolana napastnika. Nekron umknął lekko. Nie dało się go zaskoczyć w żaden sposób.

Czy człowiek w ogóle może pokonać samego siebie?

Virionowi kręciło się w głowie, zdołał jednak wykonać przewrót przez plecy i odsunąć się od przeciwnika. Wstał, wykorzystując chwilowy dystans, który ich dzielił, i od razu zaatakował. Zwarcie i natychmiastowy odskok. Niczego nie udało się zrobić Nekronowi. Reagował, dokładnie jak Virion by zareagował w takiej sytuacji. No to jeszcze raz. Zwarcie i odskok. I znowu zwarcie, kilka ciosów, bezbłędnie parowanych przez przeciwnika, i ponownie odskok.

Nic z tego.

Jak powinno się walczyć z samym sobą? Dogadać się i pójść na kompromis, podpowiedział mu wewnętrzny głos, a Virion o mało nie parsknął śmiechem. Bał się trochę, że Niki będzie chciała mu pomóc i skoczy Nekronowi na plecy. Ponieważ sam poradziłby sobie w takiej sytuacji, musiał ją chronić.

- Niki! – krzyknął. – Zostań tutaj.

Sam przeskoczył barierkę galerii i opadł na przykrytą grubą tkaniną skrzynię, mniej więcej piętro niżej. Nekron prawie w tym samym momencie zrobił dokładnie to samo. Tyle że po przeciwległej stronie przejścia między zwałowiskiem skrzyń.

Upiorzyca była bezpieczna. Nekron nie miał nakazu atakowania wszystkich wrogów. Jego priorytetem był wyłącznie jego pierwowzór.

Obaj w okamgnieniu zeskoczyli na podłogę składu. Ich miecze skrzyżowały się, sypiąc iskrami, nastąpiła wymiana uderzeń i parowań. Dwa, trzy, cztery szybkie ciosy i zastawy i obaj musieli odskoczyć. Nie da się walczyć intensywnie nie wiadomo jak długo. Już starcie nie dłuższe niż kilka oddechów sprawiało, że obaj słabli. Walka z samym sobą była zbyt intensywna. Tym bardziej że Virion nie przystąpił do niej świeży i wypoczęty.

Ale Nekron z jakichś przyczyn nie chciał wykorzystać przewagi w sile. A przynajmniej nie w tej chwili. Najwyraźniej miał jakiś plan, bo nagle uskoczył i ukrył się za najbliższą skrzynią.

– Gdzie on jest?

– Ucieka w stronę bocznego przejścia. Teraz skręcił. Porusza się po równoległym korytarzu.

Obecność Niki na galerii dawała teraz Virionowi pewną przewagę. Na co więc liczył Nekron? Virion ruszył w pościg i od razu, po pierwszym kroku, zrozumiał na co. Ledwie mógł oprzeć się na lewej nodze. Szlag! Ugiął ją odruchowo, chcąc zmniejszyć pulsujący ból. No tak, zarobił w kolano jeszcze na górze. Taki więc był plan wroga? No to może usiąść i czekać? Ależ oczywiście. I przegrać tym samym walkę pod bramą.

Virion, sycząc z bólu i zagryzając wargi, ruszył w pościg.

– Uważaj! – rozległ się głos Niki z góry. – Zaatakuj z tyłu z prawej!

Ależ ten Nekron był szybki. Jak on w tak krótkim czasie zdołał obiecać całą kwartał złożony z ułożonych na sobie warstwami skrzyń?

Ostrzeżony Virion zdążył przygotować się na atak z tego kierunku. I znowu nastąpiła wymiana dwóch ciosów, a po nich Nekron zniknął.

– Gdzie jest?

– Pod ścianami budynku mi znika. Wspina się chyba.

Virion przekuśtykał kilka kroków, żeby stanąć na samym środku przejścia między rozłożonymi na skrzyniach tkaninami.

– Z lewej z góry! – ostrzegła go Niki.

Był przygotowany. Nekron chciał zmusić go do cofnięcia się samym swoim impetem, ale znowu się nie udało. Przeciwnik ponownie zniknął.

Jak się walczy z samym sobą? Nie pocieszało Viriona, że jego kopia miała ten sam dylemat. Z tym tylko, że była świeższa, bardziej wypoczęta i nie zużyła tego dnia swoich sił.

– Skrada się gdzieś pod ścianą. Tam są takie pokoiki jakby, bez jednej ściany...

Virion wiedział, co to jest. Kantory, podręczne magazyny detaliczne, a nawet przymierzalnie, jeśli ten skład oferował także ubrania. Szlag! Zaciskając zęby, ruszył w pościg. Wszystko w głowie kołowało, jak na złość burząc jasność myśli. Miał wrażenie, że są chwile, kiedy odpływa do krainy snu, nawet nie zamykając oczu. Wszystko wokół zlewało się w ciemną aurę poznaczoną tylko punktami głębszego mroku. Miał ochotę wymiotować. Chwycone przez świadomość w garść ciało rozsypywało się właśnie na wiele odrębnych ognisk bólu, męcząc się coraz bardziej i domagając się uwagi.

Kuśtykając i ślaniając się na nogach, dotarł nareszcie do ściany, przy której umieszczono kantorki. Niki nie odzywała się, więc zajrzał do

pierwszego. Znajdowało się tam jakieś składowisko dziecięcych kołyszek. Sycząc z bólu, ruszył dalej i zajrzał do następnego. Znowu artykuły dla dzieci, jakieś zabawki, wystrugane z drewna żołnierzyki. Ruszył. Książki. Całe zwały książek. I takie sklepane, i w zwojach, grube, cienkie, ilustrowane przez mistrzów miniatur i wydawane byle jak. Stosy książek sięgały sufitu. Virion uśmiechnął się odruchowo. I ruszył dalej.

W następnym kantorze leżała broń. Krótka, długa, do wyboru, do koloru. Miecze z całego świata, noże, sztylety, kusze, łuki, topory i wszystko, co da się osadzić na drzewcu. Co to ma być? Widział to naprawdę czy z powodu ciemności niewyraźne kształty pojawiały się w jego własnej głowie?

W kolejnym kantorze ułożono kobiece ubrania, w najróżniejszych kolorach i stylach, sąsiadujące z wykwinutą bielizną. Virion znowu się uśmiechnął. Uśmiech zniknął jednak, kiedy przeszedł za następane przepierzenie. Tu z kolei całą wolną przestrzeń zajmowały butelki z wódką. Ustawiono je w specjalnych obejmach dosłownie od podłogi po sufit, tak żeby wypełniały każdy łokieć przestrzeni, nie zostawiając niczego wolnego.

Czy on to widzi naprawdę? Czy może to skołatany umysł przedstawia symbolicznie całe jego życie? A może po prostu zasnął i wszystko mu się tylko śni? Co to ma być?

Z trudem robił następne kroki. Lecz przecucie go nie myliło. W następnym kantorku ściany obwieszono portretami ludzi, a na środku czekał Nekron z mieczem w ręku.

Virion po raz pierwszy dostrzegł go wyraźnie. Wielkie lustro zawieszona na ścianie odbijało łunę pożaru, kierując światło na odsłoniętą teraz twarz przeciwnika. Poczul dreszcze. Tak wygląda moja ciemna strona? – pomyślał. Nie jest człowiekiem?

Widok był wstrząsający. I... jak to ująć? Bardzo przykry.

Na szczęście w walce umysł nie bierze udziału. Wszystko opiera się na odruchach, na treningu, na doświadczeniu. A jak się walczy z samym sobą?

Kilkanaście ciosów, które wymienili, nie przyniosło rozstrzygnięcia. A kiedy obaj już prawie nie mogli zaczerpnąć oddechu, Nekron odskoczył i runął w wąskie przejście między skrzyniami.

– Biegnie w stronę środka sali. – Kiedy przeciwnik oddalił się od zewnętrznej ściany budowli, Niki ponownie mogła go obserwować.

Virion, kuśtykając, ruszył za nim.

– Prawo, góra!

Nekron zeskoczył ze wskazanego kierunku. Szybka wymiana ciosów i znowu zniknął. Virion, idąc dalej, próbował wyrównywać swój oddech.

Nie wychodziło ani jedno, ani drugie. Szło mu się coraz gorzej, a każdy haust powietrza pulsował bólem klatki piersiowej.

– Prawo, dół, trochę z tyłu!

Odwrócił się na czas. Szybkie starcie i znowu pustka przed nim. Na jak długo wystarczy mu sił przy takiej szarpaninie?

– Lewo, góra!

Przerzucił miecz do lewej ręki. Udało mu się odeprzeć wściekły atak, ale nie miał pojęcia, jak długo jeszcze wytrwa, trzymając choćby broń przed sobą. Czy człowiek może pokonać samego siebie? I co chciał Virionowi powiedzieć jego umysł tą przedziwną podróżą od kołyski przez zbiór książek, skład broni, kobiecych ciuchów, ocean wody aż do portretów i czekającego tam Nekrona? Czy to proste pokazanie pamiątek jego życia, czy jakaś droga?

– Prawo, góra!

Nekron zeskoczył tuż obok. Virion jeszcze sparował jego cios. Chyba po raz ostatni. Ślaniał się na nogach, nie mógł wziąć głębszego oddechu.

Czy człowiek może pokonać sam siebie? – zadał sobie to pytanie po raz kolejny.

I nagle zdał sobie sprawę z tego, co zobaczył. Zrozumiał, co chciał pokazać mu jego własny umysł.

Czy człowiek może pokonać samego siebie? Ależ oczywiście! Przez całe życie pokonuje przecież swoje słabości, nałogi, wyzwała się z więzów narzuconych przez rodzinę, przez edukację, przez idiotów tworzących kłamiącą kulturę. Jeśli tylko nie jest owcą bezmyślnie słuchającą baranów, to człowiek przez całe życie trenowany jest właśnie do pokonywania samego siebie. Tak naprawdę tylko i wyłącznie do tego. Szczerze mówiąc, potrafi jedynie to i nic innego.

„Walczyłeś tylko ze sobą!” – powiedział kiedyś Brade.

„W każdej walce to siebie masz pokonać” – mówił Horech. „Więc zawsze kończ to szybko”.

I teraz Virion również potrafił ubrać to w słowa. Zwycięstwo to nie efekt skupienia, koncentracji, woli ani siły. Zwycięstwo to po prostu stan ducha.

– Na dole z tyłu! – wrzasnęła Niki.

Virion był przygotowany. Pokazał się Nekronowi i teraz on zaczął symulować ucieczkę. Nie kluczył zbyt długo ze względu na pulsujące bólem kolano. Trafił do kantorka, gdzie zgromadzono zapasy wódki. Przypomniawszy sobie salę z przepaścią za odsuwaną ścianą i Zegroza, który chciał walczyć na jej krawędzi. Uśmiechnął się do swojego wspomnienia, wziął butelkę z najbliższego stojaka i zębami usunął zatyczkę, by wypluć

ją na podłogę. Pociągnął pierwszy wielki łyk, czując, jak gorzki płyn wstrząsa całym jego ciałem.

I właśnie w tej chwili pojawił się Nekron. Virion, nie wypuszczając butelki z jednej ręki, zaatakował drugą, tnąc z prawej, od dołu. Potwór oczywiście poradził sobie z tym atakiem. Ale Virion nie ustępował. Uderzył znowu, dokładnie w ten sam sposób. Nekron ponownie poradził sobie bez trudu. Trzeci atak był dokładnie taki sam jak poprzednie.

Virion grał z nim, jak jakieś głupie dziecko pamiętane z dzieciństwa. Jakiś chłopak, z którym rodzice kazali mu się bawić. Tamten wołał go co chwila:

„Virion!”

„Co?”

„Nic”.

I po chwili znowu:

„Virion!”

Powtarzalność tego wołania na początku drażniła Viriona, po dłuższym czasie zaczęła wkurwiać, a jeszcze potem doprowadziła go do wybuchu niekontrolowanej wściekłości. I dzisiaj on sam powtarzał ten schemat. Atak, obrona i jeszcze raz: ten sam atak, ta sama obrona, i jeszcze raz to samo. Zobaczymy, kiedy powtarzalność sytuacji doprowadzi tamtego do wściekłości.

Wódka krążyła we krwi w coraz większej ilości. A Virion wlewał w siebie kolejne porcje. Musiał pozbyć się wszelkich myśli. Wszelkich pragnień, wszelkich odczuć. Musiał wyrzucić z siebie tę część Przedwiecznego, która pozostała mu w głowie od czasu wizyty w podziemiach pustynnego pałacu.

Virion musiał zabić w sobie wszystko, co ludzkie. Musiał sam stać się potworem. Musiał stanąć na krawędzi nad bezdenną przepaścią.

Atak, obrona, atak, obrona. Nagle coś w nim zmieniło schemat. Już nie miał planu działania. Nie dążył do niczego. Zaczęli z Nekronem fechtować tak, że ludzkie oko mogło nie nadążyć za kolejnymi ruchami rąk, a światło odbijające się od ostrzy mieczy stawało się trudno uchwytnym migotaniem. Było jasne, że ten, komu uda się dosięgnąć przeciwnika, zakończy walkę jednym śmiertelnym cięciem. Z tej pozycji nie było już odwrotu.

Alkohol w żyłach Viriona działał coraz mocniej. A bezdenna przepaść była już o krok. Czy zdoła dotrzeć na jej skraj i nie spaść? Cios, kontra, cios, kontra, wódka w żyłach spowalniała czas, Przedwiecznego już nie było w głowie. Walka zdawała się gęstnieć i wciąż przybierać na intensywności.

Nagle krew chlusnęła im w twarze. Obaj odskoczyli od siebie zaskoczeni. Obaj też popatrzyli po sobie, szukając ran, których w zwarciu nie mieli nawet szans poczuć.

Klatka piersiowa Nekrona była przecięta na skos, od barku po biodro. Z rany buchała czarna krew. Potwór podniósł oczy. Bardzo uważny obserwator mógł w nich wyczytać zdziwienie: „Ty mnie nie możesz zabić. Przecież jestem tobą...”.

– No to zobaczymy – mruknął Virion.

Odwrócił się, stając bokiem, i uniósł miecz. A potem potężnym pociągnięciem ściął Nekronowi głowę.



*Odwrócił się, stając bokiem, i unióśł miecz. A potem potężnym pociągnięciem ściął
Nekronowi głowę*

W walce umysł nie bierze udziału. Wszystko opiera się na odruchach, na treningu, na doświadczeniu. I na tym niematerialnym czymś zwanym talentem – albo jak to ludzie mówią: iskrą Bogów. Tylko trzeba umieć przyjąć ten dar.

Niki schodziła z galerii bocznymi schodkami, zupełnie jakby nagle zaczęła się bać skoku z tej niewielkiej dla niej wysokości. Ale nie, zganił się w myślach, bo źle odczytał intencje żony. Ona szła powoli, bo smakowała każdą chwilę. Chciała ją przeżyć, odczuwając i zapamiętując każdy szczegół. To był moment jej triumfu. Kiedy znalazła się na dole, podeszła i przytuliła się do męża z całej siły. Zaczęła go całować. Znowu miała krew na ustach. Ach, przypomniał sobie, przecież zagryzła czarownika.

Metafizyka mieszała się z rzeczywistością. Wszystko wokół stawało się coraz mniej realne. Alkohol w głowie tłumił myśl o tym, że Virion coś jeszcze powinien zrobić.

Z trudem oderwał wargi od jej ust.

– Musimy iść...

– Nigdzie nie pójdziemy – szepnęła smutno. – Żołnierze wyłamują drzwi do tego budynku. Jesteśmy otoczeni.

No tak. Mógł się spodziewać. Zewsząd dobiegały odgłosy walenia w zamknięte na głucho wejście do wielkiego składu. Zajęty walką, nie zwrócił na nie dotąd uwagi.

– Szkoda.

I nagle z ciemności dobiegł ich znajomy kobiecy głos:

– Nie ma czego żałować. Moje panny zaraz puszczą tę budę z dymem.

Za najbliższego spiętrzenia skrzyń wyszła pani Nikt wraz z kilkunastoma upiorzycami i, co łatwo było poznać po diademie, z upiorem-czarownicą.

– Owoc waszego związku jest zbyt cenny dla naszej rasy, żeby was tu ot tak zostawić – wyjaśniła pani Nikt z rozbrajającym uśmiechem. Postanowiła nie wyjaśniać niewygodnej kwestii, dlaczego odsiecz nie pojawiła się choć kilka chwil wcześniej.



– Rozwalać dachówki! – wydzierał się ktoś z dachu wieży.

– Nie wszędzie! – Nowy zastępca setnika też miał mocne gardło. – Tylko dwa otwory po każdej ze stron! Nie dziurawić mi całych połaci!

Żołnierze wspinali się na dach budowli obronnej, opierając skonfiskowane komuś drabiny o blanki muru. Mimo że uzyskiwały w ten sposób stabilne podparcie, Taida nie mogła oprzeć się wrażeniu, że zaraz wszyscy pospadają jak ulęgalki. Przymknęła oczy, czując, że sama, choć bezpieczna na bruku, ma miękkie kolana i coś ściska ją w dolku.

Taron przeciwnie. Zazdrościł tamtym na górze, że mają konkretną robotę do wykonania. Tu, na dole, wił się w uścisku własnej niemocy, musząc ograniczyć się do sprawdzania, czy rozkazy zostały wykonane. To była ostatnia szansa. Ci z murów, którzy widzieli to, co dzieje się na ulicy prowadzącej do bramy, twierdzili, że obrońcy przedmurza padną lada moment. To były ich ostatnie chwile. A kiedy legioniści dotrą do murów i pozwolą tym w środku wciągnąć swoich saperów na linach, brama zostanie natychmiast otwarta. I to będzie koniec Syrinx. Przynajmniej w jej obecnym kształcie.

Transport worków z pyłem na górę odbywał się za pomocą lin. Jedynymi ludźmi na placu, którzy mieli o tym choć blade pojęcie, byli marynarze Robego. I tu dopiero Taron miał wrażenie, że cała ta konstrukcja – dźwigary, ramiona skleconego z żerdzi dźwigu i niepasujące za bardzo do reszty bloki – zaraz się rozleci, a cały ładunek wyląduje z powrotem na ulicy. Jego zastępca powtarzał uspokajająco:

– A jeśli nawet spadnie na bruk, to nic się nie stanie.

– Sam mówiłeś, że niebezpieczny.

– Ale nie na wolnym powietrzu.

– Wokół roje iskier opadają.

– Od iskry węgiel się nie zapali. Potrzebne pięć rzeczy naraz: powietrze, pył, zmieszanie jednego z drugim, ograniczona przestrzeń i zapłon – powtarzał. – Tu, na wietrze, nic się nie stanie.

Taron mógł mieć tylko nadzieję, że młody wie, co mówi.

Wybijanie otworów w dachu szło szybko. Wieża obronna nad bramą nie była przygotowana na szturm z góry. Ponieważ żeby tego dokonać, nieprzyjacieli musiałby najpierw sforsować mury, a wtedy rozbieranie dachu byłoby do niczego niepotrzebne. Architekci projektujący fortyfikacje nie przewidzieli, że obrońcy będą bronić bramy od szturmie prowadzonego z wnętrza miasta. Wszystkie roboty na dachu można więc było kontynuować bez żadnej kontrakcji ze strony wrogów w środku.

– Wytrzepywać worki! – darł się zastępca setnika. – Wytrzepać je!

Całe zwały pyłu węglowego opadały na głowy czarnego tłumu wewnątrz budowli.

– Przeciąg! Zróbcie przeciąg!

Wyznaczeni wcześniej ludzie zaatakowali wszystkie dostępne otwory. To była tylko pozoracja. Naprawdę chodziło o usunięcie z tych przejść rzeczy, które zagradzały drogę powietrzu. Na pomoc wiatru można było niezawodnie liczyć. Ogromne pożary na przedmieściu obok wzbijały w niebo całe masy ogrzanego powietrza. Tu, za murem, szalał więc wichur, unoszący śmieci, całe zwąły popiołu, jakieś gałęzie z parku i liście, szmaty, fragmenty tkanin i całe masy nierozróżnialnych przedmiotów.

Po chwili ledwo co mianowany młody setnik uznał, że wystarczy, bo krzyknął:

– Uszczelniać!

Żołnierze na dachu, na murach i na ulicy prowadzącej do bramy zaczęli zatykać wszystkie otwory, do których mieli dostęp. Do desek na drągach przybito koce, kołdry, stare worki, pakuły, wszystko, co było miękkie i nadawało się do szybkiego zasłonięcia przejść.

– Odpalaj!

Młody człowiek na blankach został dobrze poinstruowany, a mimo to wyglądał na śmiertelnie przerażonego. Na szczęście wykonywał rozkazy. Najpierw przywarł plecami do muru wieży, oparł się o nią z całej siły, potem wziął głęboki oddech i zamknął oczy.

A potem zamachnął się całym ramieniem i wrzucił do środka płonąca pochodnię.



– Co to ma znaczyć?! – Geberik stracił panowanie nad sobą. – Jak długo będziemy tkwić pod tą wieżą?!

Szef sztabu podniósł głowę znad mapy.

– Jesteśmy pod bramą – zaraportował, nie patrząc w oczy przywódcy spisku. – Od murów miasta dzieli nas kilkanaście kroków. No... może kilkadziesiąt, ale to nie znaczy, że pięćdziesiąt choćby. Mniej.

Geberik patrzył na swojego oficera, jakby ten dopiero co wyszedł z jakiegoś lochu, gdzie oblaży go olbrzymie pająki. Na jego twarzy wyraźnie odbijało się obrzydzenie.

– Czy brama jest w naszych rękach?

– Komponent sił miejskich zgodnie z planem zdobył wrażliwy punkt stołecznych umocnień...

– Po ludzku?

– Tak. Mamy bramę.

Geberik wypuścił powietrze z płuc. Potem zaczerpnął kolejny oddech.

– Dlaczego zatem nie wkraczamy do stolicy?

– Nie dokonano jeszcze całkowitej neutralizacji elementów obrony ruchomej na przedpolu...

Geberik z całej siły uderzył pięścią w stół, na którym leżała mapa. Liniały, cyrkle, obrotowe krokomiery podskoczyły. Wiele z nich wylądowało potem na podłodze. Młodszy oficerowie drgnęli, chcąc pomóc i podnieść narzędzia, ale było coś w atmosferze tej nocy, co sprawiło, że pozostali na swoich miejscach.

– Suhren, chodź no tu. – Geberik podniósł rękę i palcem przywołał dowódcę Legionu Moy. Jak psa. – No chodź, chodź, nie bój się.

To było niesłychane. Szef sztabu natychmiast opuścił wzrok. Starsi oficerowie również. Jedyne ochroniarze przywódcy spisku, wyselekcjonowani mistrzowie miecza, stali nieporuszeni, pozornie nawet nie słuchając niczego, co działo się wokół.

– Dlaczego brama do Syrinx pozostaje zamknięta?

Suhren nie należał do tchórzy. I nie bał się powiedzieć prawdy.

– Na ulicy broni się jeszcze kilku desperatów.

– Kilku?!

– No niestety. Pożary po obu stronach uniemożliwiają oskrzydlenie...

– Zaraz, zaraz. – Przywódca spisku znowu podniósł rękę. – Czy ty mi właśnie mówisz, że kilku, powtarzam: kilku ludzi powstrzymuje cały mój legion przed zrobieniem kilku...nastu kroków?!

– Tam są mistrzowie...

Geberik nagle zerknął na swoją uniesioną dłoń, a potem strzelił nią dowódcę legionu w pysk, jak nie przymierzając, służącego, który rozlał wino na przyjęciu.

Oficerowi zamarli przerażeni. Czegoś takiego nie widzieli nigdy w trakcie swojej często bardzo długiej służby. Cywil spoliczkował oficera na froncie. Zazwyczaj odpowiedź mogła być tylko jedna: sznur, najbliższa gałąź i niech się przewietrzy, dyndając. Ale tu, w tej armii, wszystko było inaczej. Tu po prostu zapadła dręcząca cisza, przerywana jedynie odgłosami z zewnątrz. Tylko Suhren purpurowiał coraz bardziej.

A Geberik nie skończył jeszcze festiwalu upokorzeń.

– Wszyscy oficerowie do rangi dziesiątników – wyszczał. – Młodszy do stopnia szeregowych i na pierwszą linię. Szefa sztabu wychłostać. Straż! Do mnie!

Nikt nie zdążył się nawet poruszyć, kiedy Geberik znowu szturchnął Suhrena. Tym razem w pierś.

– A ty za mną na front! Przekonamy się, co ujawniło twoją żenującą niekompetencję.



Kilku żołnierzy wdarło się do magazynu, który zawierał wielkie, przykryte materiał skrzynie. Nawet się nie zatrzymali, widząc, że naprzeciw wyszły im dwie nieco spłoszone dziewczyny. Nie tego szukali, a przynajmniej nie w tej chwili. Nawet nie spojrzeli w szeroko otwarte, przepelnione ufnością oczy i pobiegli dalej. Nierozpoznanie faktu, że nie ma się do czynienia z człowiekiem, ale z upiorem, jest wielkim błędem. I oni właśnie go popełnili.

Obie upiorzyce skoczyły za nimi, od razu wsiadając na karki. Łamały kręgosłupy, rozrywały gardła, a wszystko to z szybkością niedającą szans na obronę. Następną falą wojska, która wpadła do środka, stanęła jak wryta, niezdolna do natychmiastowej reakcji.

Pozostałe upiorzyce właśnie podpały skład w wielu miejscach naraz. Robiły to bardzo umiejętnie, ze znużeniem, ba, wręcz z finezją, i dlatego już po chwili kilka ścian ognia dało żołnierzom do zrozumienia, że nawet najgorsze miejsce na ulicy jest zdecydowanie lepsze od tego tutaj. Wojsko zaczęło się wycofywać.

– Zaprowadzimy was do bezpiecznej kryjówki – powiedziała pani Nikt. – Znam przejścia, wiem którędy.

– Ja muszę wrócić do swoich ludzi – przerwał jej Virion.

– Jesteś zbyt ważny...

– Muszę. – Wzruszył ramionami.

Stara upiorzyca westchnęła ciężko.

– Jak chcesz się tam dostać? Środkiem ulicy, wśród wrogich żołnierzy czy przez płomienie licznych pożarów? – próbowała go powstrzymać.

– Nie wiem – odparł szczerze. – Ale jestem kumplem kogoś, kto zna przejścia i wie którędy. – Położył jej rękę na ramieniu.

Pani Nikt zakląła brzydko.

– A...? – Nawet nie zaczęła zdania, przenosząc wzrok na Niki. Zrozumiała, że jakkolwiek próba przekonywania zakochanej kobiety z góry jest skazana na niepowodzenie. Westchnęła ciężko. – Czy choć raz moglibyście zdać się na moje doświadczenie? – spytała retorycznie. – Jestem o wiele starsza niż wy wszyscy tutaj razem wzięci.

Zdawała sobie sprawę, że nie nastąpi żadna satysfakcjonująca ją reakcja. Życie to życie, a nie zbiór mądrości. No trudno.

– Dziewczęta! – Skinęła na swoje upiorzyce, zajęte dobijaniem żołnierzy. – Idziemy!



Virion nie rejestrował, którędy prowadzą ich upiorzyce. Szedł jakby w malignie, kulejąc mocno i widząc tak naprawdę tylko na jedno oko. Nie miał czasu, aby poddać się zabiegom medycznym w wykonaniu własnej żony, nie miał czasu choćby obmyć krwi z twarzy. Praktycznie rzecz biorąc, nie mógł nawet skupić myśli. Niby zauważał, że pani Nikt prowadzi ich najpierw przez na poły zawalony kanał odpływowy, a potem gdzieś przez piwnice czy jakieś lochy, ale zupełnie go to nie interesowało. Nawet nieprawdopodobny wręcz wyczyn upiorzej czarownicy, który pozwolił im przejść przez pożar, nie zrobił na nim wrażenia. Virion ocknął się, a i to zaledwie częściowo, dopiero pod bramą bronioną przez resztkę jego ludzi.

Wierzchem dłoni ocierał twarz, patrząc uważnie sprawnym okiem. Tania leżała jak martwa tuż za nogami walczących. Jeszcze oddychała, w każdym razie upiorzyce skoczyły ratować ją w pierwszej kolejności. Rohan siedział pod murem, brocząc krwią. Lirion leżał kilka kroków dalej, Kody usiłował go niezbyt umiejętnie opatrywać. Z wynajętych szermierzy na nogach trzymało się jeszcze pięciu ludzi. Trzon niestabilnej obrony stanowił Nolaan i tuż obok Hekke. Tylko ich skuteczność sprawiała, że wrogowie nie rzucili się jeszcze ławą naprzód, by zdeptać ślanających się przeciwników. Każdy, kto miał oczy, widział wyraźnie, że to ostatnie chwile zarówno Nolaana, jak i Hekkego. Nikt nie miał już sił.



Geberik i Suhren przedzierali się na pierwszą linię, próbując uniknąć miejsc zagrożonych płomieniami po obu stronach. Warunki były coraz gorsze, ale na dowódcy legionu większe wrażenie robiły leżące pokotem trupy, nad którymi musieli teraz przechodzić. Jeden zabity na drugim, jakby ludzie chcieli zastąpić bruk, jakby tworzył się jakiś makabryczny cmentarz, tyle że w odwrotnej kolejności – nie zaczynając od grobów, ale od składanych tu zwłok.

Na Geberiku ciała nie robiły żadnego wrażenia. Wściekły do granic możliwości, klnąc na cały głos, dotarł na bezpośrednie zaplecze pierwszej linii. Przez chwilę rozglądał się w poszukiwaniu jakiegoś podwyższenia, potem podszedł do przewróconego wozu transportowego i wykorzystując

połamane koło, wdrapał się na jego burtę. I dopiero teraz zobaczył, ilu ludzi tak naprawdę broni dostępu do bramy. Było ich mniej niż jego własnych podążających tuż z tyłu ochroniarzy.

– Coo?!! – Nie mógł uwierzyć w to, co miał przed oczami. – Coo?!!

Suhren z trudem przesunął się bliżej.

– Co to ma znaczyć?! – wrzeszczał Geberik. – Tych kilku rannych powstrzymuje mój legion?!! Czy wy... wy tu... – Głos wiązał mu w gardle. – Na pal wszystkich za niekompetencję! Na pal wbijać!

Suhren przezornie nie otwierał ust. On widział, że żołnierze nie mogą się rozwinąć, że każdego, kto odsunie się na bok, płomienie mogą ogarnąć w jednej chwili. Tam nawet zbliżyć się nie dało. Nie sposób walczyć, będąc jednocześnie przypiekany z boku jak pieczeń na ruszcie. A przywódca spisku widział jedynie, że kilku ludzi powstrzymuje całe jego siły.

– Zabij ich – powiedział Geberik z pozoru już spokojnym tonem. – Albo wbiję cię na pal i będziesz umierał przez dwa dni.

Suhren nie zmarnował czasu, kiedy jego zwierzchnik pozwalał sobie na wybuchy gniewu. Miał już w głowie rozpaczliwy plan i chyba wiedział, co należy zrobić. Przepchnął się z mozołem do pierwszego szeregu.

– Uwaga, żołnierze! – krzyknął. – Cofać się w szyku zorganizowanym! Cofać się!

Usiłował zapanować nad ludźmi i nie doprowadzić do chaosu.

– W tył! Wszyscy w tył! Równo!!

Nie musiał się cofać zbyt daleko. Wystarczyło mu dwadzieścia kroków. Teraz pozostało tylko uporządkować szeregi.

– Dziesiątnicy do mnie! Ustawiać się! Ustawiać! Zbiórka!

Plan Suhrena był prosty. Zamierzał stworzyć z ludzi taran i rozpędzić go na odległości dwudziestu kroków. W biegu nikt nie będzie mógł unikać ciosów, pierwsi więc zginą, lecz następni zgniotą obrońców masą i będzie pozamiatane. Jedynym minusem tego rozwiązania, a właściwie niemożliwą do ujęcia w nim przeszkodą, były dziesiątki trupów leżących przed zwartymi szeregami. To była jedyna niewiadoma. Nikt nie mógł przewidzieć, czy biegnący po ciałach kolegów żołnierze będą potrafili utrzymać zwarty szyk.

– Do atakuuu... gotuj się!

Suhren podniósł rękę.

W tym momencie wieżą przed nimi targnęła silna eksplozja. A po krótkiej chwili ponad huczenie pożarów wybił się koszmarny, choć stłumiony grubymi ścianami grzmot.



– Ich straty są kolosalne! – krzyczał Taron. – Hekatomba!

– Do ataku! Do ataku! – wrzeszczeli dziesiętnicy.

– Wszyscy zginęli? – zapytała Taida.

– Nie, ale większość poturbowana. Nasi żołnierze wdarli się już do środka.

– Zdobędziemy bramę?

– Jeśli nasz szturm zatrzyma się choć na chwilę, to nie. Idę na blanki i sam poprowadzę atak z jednej strony! Przyda nam się wszystko, co zagraje ludzi do walki.

Taida patrzyła przestraszona, jak jej setnik biegnie w kierunku murów. Wrzeszczał na swoich ludzi, sztorcował opornych, zagrzewał resztę. Widziała, jak wspina się na koronę murów i sam, osobiście staje w pierwszym szeregu. Po chwili murowi runęli biegiem do wejścia, aby wesprzeć walczących w środku kolegów.

– Pani! – Stojący obok dziesiętnik wskazywał najbliższą furkę prowadzącą do wnętrza budowli. – Tam coś się dzieje.

– Niby co?

Zmrużyła oczy. Rzeczywiście, po dłuższej chwili zobaczyła, że wychodzi stamtąd ranny żołnierz i idzie na bok, szukając pomocy. Potem pojawił się jeszcze jeden i jeszcze...

Otoczający ją żołnierze patrzyli na panią prokurator. Ich wzrok wyrażał nieme pytanie. Co? Nie zrozumiała w pierwszej chwili. Ach! Olśnienie przyszło dopiero po jakimś czasie. Oni czekają na rozkazy. O mało nie wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia o dowodzeniu. Odruchowo rozejrzała się w poszukiwaniu wyższej szarży, a wtedy jej wzrok spoczął na leżącym na bruku podłużnym przedmiocie.

Przypomniała sobie słowa Tarona sprzed pół modlitwy. Coś w niej samej, w środku, sprawiło, że na chwilę jakby straciła oddech. Ja pierdołę! – powtarzała w myślach. Ja pierdołę! Potem wciągnęła powietrze do płuc i podniosła zrzucony przez wrogów na ziemię sztandar kupców pszenicznych.

– Za mną! – krzyknęła, sama zdziwiona tym, co robi. – Za mną! Do ataku!!



Nolaan nie wykazał żadnego zdziwienia eksplozją za plecami. Najprawdopodobniej w ogóle jej nie słyszał. Viriona jednak zauważył.

– Zabiłeś go? – zapytał chrapliwym głosem.

– Ta.

Książę był zbyt zmęczony, żeby choć skinąć głową. Właściwie nie mógł już ruszać żadną częścią ciała, ponieważ chwilowa przerwa w walce przyniosła zbyt duże rozluźnienie.

– Co oni zamierzają?

– Biegiem się rzuca.

Virion mimo stanu, w jakim znajdowało się jego ciało, trzeźwo ocenił zamiary przeciwników. Tamci cofnęli się na dwadzieścia kroków. Ich dowódca zamierzał zatem rozpedzić żołnierzy, niech dotrą tu biegiem. A wtedy bez znaczenia będzie, czy pierwszy szereg się boi, czy nie, zdoła odbić choć jeden wrogi cios, czy nie. Nieważne. Tylne szeregi i tak popchną tych z przodu prosto na miecze obrońców, a kiedy te już uwięzną, ci z tyłu zakończą sprawę. Tym razem już bez kłopotu. Jedyną przeszkodą, niewielką raczej, były leżące na bruku ciała.

– Teraz to warto, żebyśmy uderzyli pierwsi, co? – wydyszał Hekke. – I ich manewr się nie uda.

Mimo wszechogarniającego bezwładu Nolaan parsknął śmiechem. Nawet trzymający się blisko księcia Kim zaczął się śmiać.

Nikt z nich nie był już chyba w stanie ruszyć palcem. Dwóch pozostałych szermierzy nie mogło nawet ustać na nogach. Usiedli, a właściwie zwałili się na ulicę. Szybko osiadały na nich wielkie szare płyty popiołu, upodabniając nieruchomych ludzi do pokrytych pierzem glinianych posągów. Obie strony mierzyły się wzrokiem. Spowodowany pożarem wiatr słabł, ustępując miejsca ciszy.

I właśnie w tej chwili odezwał się Virion:

– To doskonały pomysł, Hekke!

Chłopak uśmiechnął się, wyróżniony tym, że ktoś docenił jego koncepcję.

– Niestety... chyba nie dam rady ruszyć za tobą – wydyszał.

– Nie szkodzi – odpowiedział Virion z uśmiechem. – Pójdę sam.

I ruszył, kulejąc, niewiele widząc jednym okiem. Stojący dwadzieścia kroków dalej żołnierze przeciwnika zszokowani śledzili jego chwiejne kroki.



– Co to ma być?! – wrzeszczał Geberik. – Do ataku! Zmiażdżyć ich!

Suhren mimo młodego wieku był doświadczonym żołnierzem. Niczego nie puszczał na żywioł. Spokojnie porządkował szeregi przed ostatecznym szturmem, a właściwie pieszą szarżą. Popełniony w tej chwili błąd mógł się później srodze zemścić. A pojedynczy człowiek z mieczem nie stanowił najmniejszego zagrożenia.

– Zabijcie go! – wydierał się Geberik ze swojego podwyższenia na przewróconym wozie. – Każdego tchórza, który nie rzuci się na wroga, każę nabić na pał! Dzisiaj! Teraz!

To było poważne ostrzeżenie. Żołnierze znali bezkompromisowość przywódcy spisku i doskonale wiedzieli, że jego groźby są spełniane z całkowitą bezwzględnością, i to bardzo szybko. Zaczęli się rozglądać.

– Utrzymać linie! – krzyczał Suhren wściekły, że ktoś mu miesza plany.
– Wyrównać szeregi!

Zamieszanie sprawiło, że niewielu legionistów w ogóle zauważyło zbliżającego się do nich samotnego człowieka z mieczem. A już na pewno nikt nie wiedział, że ten człowiek ma na imię Virion.



Zbliżający się z naprzeciwka szermierz postanowił natychmiast naprawić ten błąd. Krzyknął:

– Jestem Virion!
I uniósł miecz.



Geberik zachłysnął się własnym krzykiem. Ale... ale... to oznacza, że Nekron nie żyje. Że zabito także wysłanego z nim czarownika.

Legioniści zrozumieli nagle, że nieubłagana śmierć znajduje się dużo bliżej niż obiecano dopiero co wbicie na pał. Jest o krok, tu i teraz, na wyciągnięcie ręki, a właściwie miecza. Patrzyli rozszerzonymi ze strachu oczami na zbliżającego się kulejącego człowieka o pokrytej krwią twarzy.

Suhren zmrużył powieki. Zrozumiał, że rajd pojedynczego wojownika oznaczał co prawda konieczność rezygnacji z planowanej szarży, ale wcale nie oznaczał, że cokolwiek zmieniło się w układzie sił.

– Dziesiątncyyy... – krzyknął. – Prawe i lewe skrzydło naprzód!
Centrum stać! Do walki... gotuj się!



Virion, kiedy tylko zrozumiał, że wojsko chce go otoczyć klasycznym manewrem, sam ruszył do przodu. Nawet rozumiał, skąd u nich taka taktyka. Na polu bitwy, gdzie operują armie, otoczenie wydaje się sensownym rozwiązaniem. Zawodzi jednak, kiedy chodzi o pojedynczego człowieka, który w przeciwieństwie do wielkich mas wojsk może błyskawicznie przemieszczać się w dowolnym kierunku. I tak wystarczyło zrobić.

Zamiast czekać na środku, Virion skręcił w lewo, doskoczył do zbliżających się żołnierzy i zaczął zabijać. On nie walczył. On tylko eliminował. Cios w gardło, w oko, znowu w gardło, w szyję, tętnicę udową... wszystko jedno. Żołnierze ginęli, nie zdążywszy podnieść miecza, a ci, którzy unieśli wcześniej, ginęli z uniesionym, bo nie zdążyli zadać ciosu. Jeden po drugim. Kiedy szereg po prawej zniknął, Virion odwrócił się i zaczął kuśtykać na przeciwległą stronę. Teoretycznie ci, którzy znaleźli się z jego boku, powinni rzucić się całą masą. Ale... można rzucić się na wrogiego żołnierza, można nawet na szermierza, mając przewagę liczebną. Nie sposób rzucić się na samą śmierć, która akurat przechodzi obok. No przecież... przecież wiadomo, co się stanie.



– To jatka – warknął Suhren. – Straty będą...

– Co ty mi pierdolisz o stratach?! – wrzasnął Geberik. – No przecież jeden człowiek nie powstrzyma mojego legionu!

– Pytanie tylko, kiedy żołnierze zaczną uciekać z pola walki!

– Ty tchórze! – Geberik stracił panowanie nad sobą. Skinął na swoich ochroniarzy. – Otoczyć go i zabić. – Wskazał im kierunek. – Jazda!



Otoczenie człowieka, który się porusza, jest trudnym zadaniem. Kiedy wynajęci przez Geberika szermierze przedarli się przez tłum legionistów, Virion właściwie nie zmienił taktyki. Zaczął zabijać szermierzy. I znowu: nie walczyć. Zabijać.

Pierwszemu po prostu odsunął broń ostrzem własnego miecza, zrobił krok do przodu i strzelił go w czoło własną głową. Wolną ręką odwrócił przeciwnika i ogłupiałego kopnął w dupę, posyłając na własnych nogach prosto w płomienie.

Drugi zdążył się nawet zamachnąć. Dostał pod pachę i od razu, prawie tym samym dźgnięciem – w oko.

Miecz następnego został zablokowany mieczem Viriona, tym razem trzymany obiema rękami. W tej pozycji wystarczyło naprzeć mocniej i kiedy przeciwnik usiłował złapać równowagę, podłożyć nogę. Teraz lekkie pchnięcie posłało następnego w sam środek pożaru.

Kolejny zaatakował z tyłu. Virion nawet się nie odwracał. Kopnął, nie celując, nie patrząc, po prostu w coś. To coś chrupnęło głośno. A przeciwnik zaczął wrzeszczeć.

Żołnierze chętnie ustępowali pierwszeństwa szermierzom Geberika. Nie chcieli ginąć w tej rzeźni. Mistrzowie mieli więc łatwiejszy dostęp, ale w żaden sposób nie zmieniało to sytuacji. Nie potrafili zdać się wyłącznie na to, co podpowiadał nie rozum, ale gorączka. Może nie było w nich furii, może nie wiedzieli, co to szal?

Rozum nie bierze udziału w starciu na miecze. Działa się wtedy instynktownie, jak dzikie zwierzę, poddając się wyłącznie temu, czym jest pierwotny zew. Wszystko zależy więc od tego, jakim jesteś w duszy zwierzęciem: ryjówką czy tygrysem? Umysł Viriona błędził gdzieś w odległych rejonach wszechświata, łącząc się z jaźnią innych wojowników, grzał się w ciepłe miłości Niki, uzyskiwał równowagę absolutną. Przed oczami przesuwwały mu się obrazy z własnego życia, obudzone przypadkowymi rzeczami, które zobaczył w kupieckim składzie, a które tak dobrze obrazowały jego dorosłe życie. Stosy książek, szalone idee, którymi nasiąkał, dziewczyny z ciepłych wspomnień, morze wody i ci wszyscy ludzie, którzy przewinęli się przez jego życie od pierwszej prawdziwej walki, kiedy opuścił świat młodości, do dziś, kiedy trzeba zaakceptować dorosłość. Kiedy trzeba otworzyć się na kosmiczną świadomość i przyjąć odpowiedzialność. Nie tracąc szaleństwa.

Nie tracąc szaleństwa!

Virion przypomniał sobie o toczącej się wciąż walce. Wiedział, że zginie. Z całkowitą, absolutną pewnością wiedział, że go dzisiaj i tutaj zabiją. Nie był młynem wodnym, nie miał źródła siły, którego dostarczała moc płynącej rzeki. Wyzbył się żalu i chęci zobaczenia, co jeszcze.

Uśmiechnął się do szermierza, któremu właśnie rozplątał brzuch. Nie dacie mi rady. Wbił miecz w tętnicę następnego. Nie dacie mi rady, dopóki sam nie upadnę!



– To niemożliwe! – powtarzał Hekke, oddalony raptem o kilkanaście kroków. – To niemożliwe!

– Nie są w stanie go nawet otoczyć – zawtórował mu Nolaan. – To się nie ma prawa zdarzyć!

– Kurwa!!! Kto jeszcze może ruszać ręką... za mną!

Kilku wyczerpanych do cna ludzi podniosło miecze i z trudem ruszyło do przodu.



Widząc, co się dzieje, Geberik zupełnie stracił nerwy.

– Ty tchórze – krzychał na Suhrena, opluwając wszystkich wokół drobinkami śliny. Trzęsły mu się ręce, a oczy rozszerzyły tak, jakby zobaczył właśnie jakieś straszidło z najczarniejszych snów. – Idź i prowadź ludzi osobiście! To rozkaz! Powstrzymaj ich.

Dowódca legionu popatrzył przeciągle w stronę rzeźni kilkanaście kroków dalej. Czegoś takiego nie widział nigdy w życiu. Dotąd nie mógł sobie tego nawet wyobrazić.

– Ruszaj, pluskwo, bo na pal nabiję! Każ przypalać żołnierzom tyłki ogniem! Rusz te świnię na wroga!

Suhren, czując, że udziela mu się drżenie dłoni, niepewnym ruchem wyjął miecz. Zaczął przepychać się między żołnierzami, zmierzając w stronę pobojowiska. Geberik szturchał go i krzychał coraz bardziej piskliwym głosem, podążając tuż za nim.

Nagle coś czarnego opadło za plecami walczących. Jakiś ptak w nocy? Olbrzymi nietoperz? Czy może człowiek w czarnej szacie? Ci, którzy byli odwróceny w tamtą stronę, odruchowo podnieśli wzrok, ale to nie wystarczyło do rozwiązania zagadki. Nie sposób było też dostrzec, co leżało na ziemi w tumanach popiołu.

Suhren zadarł głowę jeszcze wyżej, żeby spojrzeć na sam szczyt wieży obronnej. To stamtąd zrzucono czarny sztandar spiskowców. Jakaś kobieta w otoczeniu żołnierzy mocowała na szczycie inne barwy – flagę cechu kupców pszennych.

– To koniec – szepnął.

– Co?! Co?! – darł się Geberik.

– Dalsza jatka nie ma już sensu. – Suhren przerzucił w dłoni swój miecz i ruszył do przodu. – Panie! Panie!

– Gdzie, tchórze?! –

– Brama jest znowu w rękach obrońców Syrinx. – Dowódca legionu odwrócił się jeszcze na chwilę. – Stolicy już nie zdobędziemy.

Potem wyszedł na wolną przestrzeń wokół Viriona i podszedł do niego, wyciągając swój miecz rękojeścią do przodu.

– Panie! Poddaję ci Legion Moy!

Wyczerpany Virion ledwie spojrział w jego kierunku. Nie był w stanie odwrócić głowy i zerknąć do tyłu, ale tamten najwyraźniej mówił poważnie. A to znaczy, że Taidzie udało się odzyskać kontrolę nad bramą do miasta.

– Panie! – Suhren przyklęknął na jedno kolano, ciągle trzymając miecz rękojeścią do przodu. – Legion jest twój!

Geberik kilka kroków dalej dosłownie eksplodował, trzęsąc się już cały.

– Cesarz będzie cię torturował całymi dniami! Myślisz, że ci wybaczy?! A co mu dasz, żeby choć łaskawie spojrział?! –

Suhren miał przygotowaną odpowiedź.

– Dam mu ciebie – wyjaśnił i pstryknął palcami wolnej dłoni. – Brać go żywego! – Spojrział na swoich żołnierzy, a potem przeniósł znowu wzrok na zwycięzcę. – Panie?

Virion, słaniając się na nogach, popatrzył na klęczącego wroga. A później wziął do ręki jego miecz.

Odtąd Legion Moy był już jego własnością.

Suhren natomiast opuścił głowę. Przed chwilą na moment ich oczy się zetknęły. I teraz już wiedział, że nie zapomni tego wzroku do końca życia. Ten widok będzie mu towarzyszył w każdym koszmarze, w każdej nocnej zmurze i kiedyś tam... w godzinie śmierci.

Epilog



Nerva przybył na punkt opatrunkowy prosto z Pałacu. Musiał dostąpić zaszczytu osobistej audiencji u cesarza, bo nadal miał na sobie ceremonialną szatę. Wyglądał na kogoś, kto jest bardzo poruszony albo bardzo zdenerwowany. Nie rozglądał się, nie dopytywał o stan zdrowia. Wyrzucił opiekujące się rannymi upiorzyce na zewnątrz i kazał zamknąć drzwi. A potem stanął na

środku sali i dopiero teraz przyjrzał się szermierzom Viriona.

– Zawarliście z cesarstwem umowę, która zobowiązywała obie strony do konkretnych działań. Wy swoją część wypełniliście. – Podniósł palec, żeby podkreślić wagę wypowiedzianych słów. – Cesarstwo... swoje zobowiązania zamierza wypełnić również!

– Dzięki Bogom – zakpił leżący na łóżku pod ścianą Lirion. – Ale to dość straszne nie mieć już do czego dążyć.

– Dostaniecie niewyobrażalną kwotę w złocie – ciągnął Nerva. – Jeśli na kimś ciążyły jakieś winy wynikające ze spraw karnych, to wszystkie z dniem dzisiejszym zostają anulowane. Dostaniecie pieniądze, glejty, nadania, staniecie się nietykalni dla każdej władzy poza bezpośrednią cesarską.

– A ja jeszcze miałem być wprowadzony do Pałacu! – wyrwał się Hekke.

– Osobiście wprowadzę cię na dwór, przedstawię damom oraz przysłusznym kolegom. Osobiście dopilnuję, żeby stworzono niepodważalną legendę twojego wysokiego urodzenia i zatrę wszystkie ślady, które mogłyby doprowadzić kiedykolwiek do jej podważenia.

– No i hura. – Hekke zgodliwie skinął głową.

– Czekaaj, czekaaj. – Nolaan uśmiechnął się z wyżyn swojego pałacowego doświadczenia. – On tego nie mówi bez celu.

– Co?

Książę zignorował kolegę i zwrócił się wprost do Nerry.

– W czym tkwi kruczek? – zapytał.

Szef zamkowej służby pokiwał głową.

– Otóż wszystko, o czym mówiłem, zostanie przez nas spełnione pod jednym warunkiem. W waszych wspomnieniach ani w kronikach nie może paść ani jedno słowo na temat, co się dzisiaj wydarzyło.

– Co?! – Hekke nie mógł uwierzyć. – Chcesz nas pozbawić sławy?!

– Ależ nie. Będziecie sławieni jako bohaterowie, i to w oficjalnych państwowych kronikach. Będą o was czytać jeszcze za tysiąc lat!

– Że niby co zrobiliśmy?

– Jak to co? W dwudziestu kilku ludzi pokonaliście cały legion! To niebываłe dokonanie. Pierwsze takie w historii świata. Pieśni będą o was śpiewać...

– To ja już nic nie rozumiem.

Pierwszy domyślił się Nolaan.

– On dobrze mówi. – Zerknął na Nervę, a potem przeniósł wzrok na kolegę. – Sam czyn może być opisany. Ale pod żadnym pozorem nie może gruchnąć wieść, że cesarstwo znajdowało się na krawędzi upadku. Że sam imperator był zagrożony. I to dzięki atakowi proporcjonalnie niewielkich sił. O tym absolutnie nikt nie może się dowiedzieć. Taka jest racja stanu.

– No przecież wszyscy widzieli.

– Co widzieli? Murowi nie mają pojęcia, co działo się na ulicy przed bramą. Uwierzą w to, co im się powie i dodatkowo okraszą legendą o ich własnym bohaterstwie.

– A pożary?

– Zaczęło się od pożaru w tłoczni oliwy, pamiętasz? To za murami to tylko kontynuacja dokonana przez plugawych spiskowców, których cesarz powstrzymał osobiście i za co zapłacił wieloma dniami mąk przed obliczem ludu. Cesarstwo nigdy nie zostało poważnie zagrożone.

Nerva postanowił uzupełnić wypowiedź księcia:

– Pamiętaj, chłopcze, to racja stanu. Więc choćbyś popadł w najgorsze terminy, nie wolno ci puścić pary z ust. Inaczej dołączysz do ludzi, którzy wiedzą, co to jest umieranie w koszmarnym bólu przez wiele dni, i to bez żadnej nadziei.

Hekke wyglądał na zdezorientowanego, ale dla większości obecnych było to jasne. Cesarz nie może stracić powagi, nie może stracić nimbu. Świat nie powinien się dowiedzieć, że tak łatwo można mu było zagrozić śmiertelnie i że ocalał dzięki działaniom tak nielicznych. Czarna legenda nie może powstać, bo stanie się grobem imperium.

– Pamiętaj, Hekke – do rozmowy włączył się Virion – wymyśliłeś kiedyś, żeby wyzwalać dowódcę legionu na pojedynek i zabić mu wszystkich żołnierzy w serii pojedynków jeden do jednego?

– Przecież nikt nie uwierzy w tę bzdurę.

– Uwierzy. – Nerva podniósł dłonie w geście kapłana błogosławiącego lud w świątyni. – Państwo ma wystarczające środki, żeby wiara w naszą wersję stała się powszechna i trwała przez tysiąclecia.

– Czyli co? – dopytywał Nolaan. – Nie było bitwy pod murami Syrinx?

– Nie było. Ale oczywiście pokonaliście cały legion. Mmmm... Powiedzmy, że powstał on tuż przy granicy. Ba, nawet osiągnął pewne sukcesy, być może chciał wmaszerować w głąb cesarstwa. Ale cesarzowi się to nie spodobało, wysłał więc Viriona z wami na granicę, gdzie dzięki sprytowi wyzwalicie dowódcę legionu na serię pojedynków, w trakcie których zabiliście... i tak dalej, i tak dalej...

– Przecież to brednia.

– Już dzisiaj zapewniam cię, że to prawda. Powiem więcej. Kiedy rzecz się rozniesie, to dam sobie głowę uciąć, że podobne pojedynki odtąd będą się toczyć na całym świecie, jak długi on i szeroki.

Hekke ciągle nie mógł uwierzyć.

– A świadkowie?

– A świadkom strach dupę ściśnie bardzo mocno. – Nerva położył chłopakowi rękę na ramieniu.

– On ma rację – przyznał Nolaan. – Ja tylko osobiście proszę, żeby mnie wykreślić z tej historii. Nie było mnie tu, niczego nie widziałem i nikogo nie zabiłem.

– Oczywiście, panie. Ty nigdy w życiu nikogo nie zabiłeś i podkreślenie tego faktu zlecę najbardziej biegłym kronikarzom.

Nolaan przyzwalając kiwnął głową, ale chyba tylko Virion zrozumiał motywację księcia. On po prostu nie chciał potem kłamać przez całe życie ani potwierdzać kłamstwa. Dla reszty wymyślona historia była chyba nawet bardziej chojracka niż to, co zdarzyło się w rzeczywistości.

Ludzie rozgadali się nagle, projektując, jak mogą potoczyć się losy legendy.

Jedynie Niki nie brała udziału w dyskusji. Nie mogła zapomnieć tego, jak na jej rękach umierała Tania. Biedna dziewczyna. Nawet w ostatnich słowach powracała do tego, jak bardzo chciała być bogata. No i prawie została. Rozminęła się z fortuną o pół dnia.

A teraz na rękach upiórzycy umierał Rohan. Ten niczego nie żałował. Na pytanie, czy bardzo go boli, odparł, że ból jest tylko chwilą, a sława jest wieczna. No i w dodatku zdążył doczekać zapewnienia o fortunie, która stała się jego udziałem. Jego kobieta zostanie więc najbogatszą aktorką na świecie. Ciekawe, czy przyjdzie jej do głowy, że dla tych pieniędzy posłała swojego faceta na śmierć?

Jedynie Kody siedział pod ścianą nieporuszony. Jego nie interesowała ani legenda, ani fortuna. Był funkcjonariuszem. I wiedział jedno: złote lata

jego kariery właśnie tego dnia znajdowały swój początek.



Taida stała na tarasie budynku, który obrała za swój tymczasowy sztab. Z uwagą obserwowała zjawiskowy krajobraz wokół. Popiół wciąż opadał wszędzie wielkimi białymi płatami. Wszystko było już nim pokryte. Syrinx wyglądała jak nigdy, jakby nagle do stolicy zawitała śnieżna zima wraz ze swoimi zaspami, zawiejami, zamieciami i mrozem. No dobra... mrozu brakowało. Ale za to brakowało go okrutnie. Twarze ludzi lśniły od potu, ubrania wydawały się jakby mokre, a stopy ślizgały się w sandałach. Było coś wyjątkowego w tej nocy, bo Taron, nie bacząc na tych, co krzatali się w sali obok, objął Taidę ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Ciężko będzie zapomnieć tych ludzi w wieży – szepnął. – Nie mogę zrozumieć, jak może komuś tak odbić, żeby aż popełnić samobójstwo odwleczone w czasie. I tylko po to, żeby zmienić nasz świat.

Taida uśmiechnęła się lekko.

– Widzisz, samobójstwo, jeśli nie jest popełnione z powodu nieuleczalnej, bolesnej choroby, to raczej krzyk do świata o pomoc.

– Nie rozumiem.

– Bo to skomplikowane.

– Ale co? Taki zbiorowy krzyk rozpaczy?

– No i próba radykalnej odmiany całego świata.

– Trzeba być bardzo pryncypialnym, żeby zmieniać świat przez zabicie samego świata.

Taida przechyliła głowę. Taron nie przestawał jej zaskakiwać, choćby znajomością różnych słów, których generalnie byli szeregowi znać nie powinni.

– Jest bardzo wielu ludzi, którzy myślą tak: jestem nieudacznikiem, do niczego w życiu nie doszedłem, więc niech inni też będą nieudacznikami, niech im nie będzie wolno dojść do niczego w życiu. I takie podejście jest wykorzystywane przez wielu polityków.

– To znaczy, jeśli ja nie odniosłem żadnego sukcesu, to innym niech nie będzie wolno go odnieść?

– Tak. Zwróć uwagę, że do pomocy innym biorą się głównie ludzie, którzy sami sobie nie radzą. Najgorliwszych rad udzielają ci, którzy sami nie wiedzą, jak ułożyć sobie życie. Największymi specjalistami od robienia kupieckich interesów są ci, którzy żadnego nie zrobili.

– No tak – zgodził się jej setnik. – Największymi specjalistami od wojny i walki są ci, którzy nawet w ryja nikomu nigdy nie dali. A wojny na oczy nie widzieli.

– Właśnie. Nieudacznicy muszą chronić swoje wysokie pojęcie o sobie. I mają do tego dwa wyjścia. Albo trzeba wszystkim innym zakazać sukcesu i karać za jego osiągnięcie, albo tak zmienić świat, że wszyscy będą nieudacznikami.

– No dobra. Ale żeby w ten sposób dojść aż do samobójstwa?

– Ludzie, którzy sobie nie radzą, chcą, żeby ktoś decydował o ich życiu. Albo taki Geberik, który im bzdur naopowiada, albo, nie wiem, król Troy powinien się za nimi ująć, bo światlejszy ponoć od naszego pana. No i tacy zrobią wszystko dla obietnic. A jeśli nowy hegemon każe im się zabić, to się zabijają, bo albo są bezdennie głupi, albo tak mocno wierzą, że obca dłoń rozwiąże im wszystkie sprawy w ich spierdolonym życiu. Łatwy cel dla wszystkich ideologów.

Taron myślał o czymś intensywnie, bo najpierw zamilkł na długą chwilę, zapatrzony w dal, a potem wbił wzrok w Taidę.

– Co będzie dalej? – zapytał.

– Nie mam pojęcia, co stanie się z cesarstwem...

– Wybacz, mam w dupie cesarstwo. Co będzie dalej z nami?

Spojrzała na niego zaskoczona.

– A konkretnie co?

– Czy dalej będziemy razem?

– Czekaaj, czekaaj, czekaaj... – Podniosła palec, bo to był ważny moment. – Czy to są oświadczenia?

Zmieszał się, ale szybko odzyskał pewność siebie, a głos stał się niemal o oktawę niższy.

– Tak. To są oświadczenia.

– A... – Zatkanęła ją na moment. – E... – Musiała się upewnić. – Prosisz o moją rękę?

– Tak, proszę! – odparł natychmiast. – Chcę, żebyś została moją żoną.

Najpierw poczuła pustkę w głowie, myśli jakby zakołowały w dziwnym rytmie i znikły nagle. Chwilę potem jednak jej umysł wypełniła konkretna i niezachwiana pewność.

– Dobrze. – Przynęła się bliżej i dała się objąć ramionami. – Będę twoją żoną.

Pocałował ją mocno, a potem szepnął:

– Chciałbym mieć dużo dzieci.

Poczuła, jak coś ściska ją w brzuchu. Aha, również taka będzie jej rola w ich wspólnym życiu. No cóż. A czego chciała ona sama? Miała dwie

wizje. Mrocznego Zamku i siebie samej z dzieckiem przy piersi. Dalsze rozmyślenia przerwał jej cichy okrzyk:

– Hej, gołąbki! Przestańcie gruchać na chwilę.

To Nerva stał w drzwiach prowadzących na taras.

– Chodź na słowo. – Skinął na Taidę palcem.

Podeszła szybko, bo sądząc po ubraniu, jej szef przybył prosto z Pałacu.

– Co słyhać u samego źródła wszystkiego? – zapytała.

– Uuuu, on teraz nieba ci uchyli, tylko... – Nerva uniósł ostrzegawczo palec, a potem przytknął go do warg w geście nakazującym milczenie.

– Głupia nie jestem. Wiem, że morda w kubeł. Wiem, że piorunujące zwycięstwo odniósł wyłącznie cesarz, praojciec wszystkich zwycięstw na świecie.

Jej otyły szef pochylił głowę w ukłonie.

– Niemniej nie mogłaś bardziej zadowolić praojca. Stałaś się najulubieńszą kukiełką w jego kolekcji. A pomysł z wynajęciem Viriona i jego mistrzów, gdyby nie ścisła tajemnica, byłyby wyrzyty w marmurze na najwyższej kolumnie w Syrx.

– Bardzo mnie cieszy ten niewidzialny napis, bo mam pewną prośbę do praojca. Ale najpierw: co z Geberikiem?

– Och, zaplanowano dla niego tortury, jakich świat nie widział. Będą trwały wiele dni z przerwami dla kuracji podtrzymującej, a widowisko zgromadzi tylu widzów, że wszystkie amfiteatry w stolicy będą za małe. Cesarz kazał specjalnie na tę okazję zbudować największy stadion na świecie.

– No nie – obruszyła się nagle. – I największy stadion będzie nosił imię Geberika? Bo przecież od razu prosty lud tak zacznie mówić.

– No trudno. Ale nie zazdrościłbym skazanemu. W tej chwili cesarscy medycy usuwają mu zęby, żeby nie mógł sobie odgryźć języka, i paznokcie, żeby nie mógł się nawet zadrapać.

– Rozumiem. W zdrowiu ma doczekać końca budowy stadionu.

– Właśnie. A wspomniałaś coś o prośbie?

– Tak. Chciałabym ustąpić ze stanowiska.

Jeśli nawet zaskoczyła Nerve, to nie dał tego po sobie poznać. Przechylił się na bok, żeby ponad ramieniem Taidy zerknąć na Taronę.

– Co? Szantaż?

– Tak, szantaż emocjonalny. Właśnie mi się oświadczył.

– Przyjęłaś?

Skinęła głową.

– Będę niańczyć nasze dzieci.

Chyba po raz drugi w jej karierze spojrział na nią nie jak na współpracownika, ale jak na kobietę.

– Byłabyś pierwszym człowiekiem, który odszedł żywy z takiego stanowiska.

– Coś wymyślisz, zrobisz ze mnie jakiegoś doradcę czy coś. W końcu jestem teraz ulubioną kukielką w kolekcji praojca.

– Coś wymyślę – potwierdził Nerva w zamyśleniu. – Może zaproponuję Kody’ego na twoje miejsce? Młody, ambitny, już doświadczony. A skoro to twój uczeń, to niech mu będzie, niech jak ty kiedyś przeskoczy od razu na najwyższy szczebel kariery. – A potem jeszcze raz zerknął na Tarona. – Ale muszę przyznać, że masz talent w doborze ludzi. Ten huk z pyłu węglowego... Cesarz był zachwycony.

– Uczyłam się u mistrza. – Kurtuazyjnie skłoniła przed nim głowę.

– Huk z węgla! – Nerva cieszył się jak dziecko. – Pojawiają się coraz to nowe bronie, nie uważasz? Ciekawe, czy kiedyś uda się wynaleźć broń idealną.

– Nie wiem, czy będzie broń idealna – mruknęła. – Ale chyba udało mi się stworzyć idealnego wojownika...

Pomyślała o Virionie, z którego losem związała się już na początku kariery i z którym doszła aż do tego miejsca.



Geberik chyba nie myślał o Virionie. Był już rozebrany, gładko ogolony na całym ciele, jego przedramiona umieszczono w pokrowcach z grubego wołłoku, które uniemożliwiały mu dokonanie zamachu na samego siebie w jakiegokolwiek formie. Nawet palce u rąk i nóg pozbawiono paznokci, żeby nic, do czego miał dostęp, nie mogło stać się nawet w pewnym sensie ostre. Zakneblowany miękkim czopem, utrzymywanym w ustach za pomocą skórzanego kagańca, nie mógł w żaden sposób porozumieć się ze światem. Jedyнным ruchem, który mu pozostał, było wodzenie rozszerzonymi do granic oczami.

Do specjalnej, obitej grubym i miękkim materiałem celi weszły trzy nowe osoby. Procedura była przestrzegana ściśle. Każdy z gości został skrupulatnie przeszukany, a przedmioty i narzędzia, które mieli ze sobą, sprawdzone pod względem zgodności z dostarczoną wcześniej listą. Nawet to jednak nie wystarczyło, aby cesarski cyrulik mógł podjąć czynności, dla których wykonania został wysłany. Najpierw jego tożsamość musiał jeszcze potwierdzić oficer cesarskiej gwardii, który znał

go osobiście. Dopiero potem, po wypełnieniu wszelkich koniecznych dokumentów i opatrzeniu ich podpisami wszystkich obecnych, mistrz mógł rozpocząć swoją pracę.

– Wyjmijcie mu knebel. – Cyrulik przysunął się do więźnia.

Geberik chciał odchylić głowę, szarpnąć się, zrobić coś, żeby uniknąć tego, co miało nieuchronnie nastąpić. Jeszcze nie przyzwyczyił się do stanu, w którym jakikolwiek ruch był niemożliwy do wykonania. Gruby kaftan nie pozwalał na nic, czego nie zaakceptowałiby obserwujący go bez przerwy strażnicy.

Dwóch pomocników unieruchomiło Geberikowi szyję dodatkowym ręcznikiem. Następnie jeden z nich usunął knebel, a drugi włożył między szczęki solidny drewniany rozwieracz.

– Aaallaa eeelleluuuu... – zdążył powiedzieć Geberik, zanim unieruchomiono mu język stosunkowo miękką skórzaną blokadą.

– Zbyt niewyraźnie, jak na mnie – zażartował cyrulik, nachylając się nad rozwartymi szczękami. – Niczego nie zrozumiałem.

Geberik, choć zdawał sobie sprawę z niemożliwości, usiłował powtórzyć swoją kwestię. Niestety, jego wypowiedź przeszła płynnie w wycie, kiedy cyrulik specjalnym trzpieniem odsunął mu dolne dziąsła z przodu, przygotowując zęby do ekstrakcji.

– Za bardzo się skrwawi. – Oficer dowodzący strażnikami nie krył swoich obaw. To on odpowiadał swoim życiem za życie więźnia stanu.

– Czy ja się wypowiadam na temat metod pilnowania?

– Nie.

– No to łaskawie zamilcz na temat usuwania uzębienia. Jestem profesjonalistą.

– Ale krew już leci!

– Zatrzymam krwotok. Patrz. – Cesarski cyrulik zbliżył swoje szczypce do jamy ustnej więźnia, ujął nimi dolną jędynkę i zacisnął rękojęść. W akompaniamencie ryku Geberika najpierw powoli i systematycznie rozruszał ząb, a potem wyrwał go, szarpiąc i przekręcając z wyczuciem kilka razy. Krew rzeczywiście pojawiła się natychmiast, ale pomocnicy cyrulika zatamowali ją specjalnym opatrunkiem nasączonym miksturą, której skład znał chyba tylko sam mistrz. – No i widzisz?

Oficer potrząsał głową. Sam widok operacji sprawił, że na jego czole pojawił się gęsty pot.

– I tak z każdym zębem będziecie się cackać?

– Z każdym.

– To ile potrwa cały zabieg?

– Do rana – uśmiechnął się cyrulik. – Tu nie może być pośpiechu.

Oczy Geberika wyglądały, jakby miały wyskoczyć z głowy.

Jednak rano, choć sam nie mógł stwierdzić, jaka jest pora dnia, opuchlizna znacznie złagodziła jego ból. Usunięto nawet rozwieracz szczęk. Ktoś zwilżył mu usta zimną cieczą zawierającą ściągające garbniki. Zdołał nawet coś powiedzieć:

– Che wieee eachaa!

– Czego on chce? – zainteresował się oficer gwardii.

– Po mojemu powiedział „chcę widzieć cesarza”. – Cyrulik bardziej się domyślił, niż usłyszał.

– A, rozumiem. – Dowódca straży postanowił uspokoić więźnia. – Zobaczysz cesarza. Na pewno! I to na stadionie. – Uśmiechnął się skąpo. – Tylko najpierw musisz wydobrzyć, wszystko musi się zagoić, a cesarscy muszą wybudować odpowiednio duży stadion.

– No, wpadnę jeszcze sprawdzić, jak są zmieniane opatrunki, ale z mojej strony to tyle. – Cesarski cyrulik podpisem poświadczył na dokumencie, że więzień nie zdoła niczego już sobie odgryźć, a przechowywanie go w celi pod strażą jest dla jego życia całkowicie bezpieczne.



Virion i Nolaan siedzieli na dachu składu win i usiłowali się upić. Niestety, mimo podejmowanych od długiego już czasu srogich wysiłków w tym celu pożądaný stan nie następował. Tej szczególnej nocy ich głowy nabrały po prostu nagłej odporności, zbyt zajęte naporem tego, co na żywo podsuwała pamięć. Albo ciała nie tolerowały alkoholu, bo nie mogły go już pomieścić? W żyłach krążył nadmiar bitewnego szału? Zaraza wie. W każdym razie mimo ogromnych ilości naprawdę zacnego wina postrzeganie świata nie chciało się zmienić nawet na jotę.

– Patrz. – Księżę wyciągnął rękę ku niebu, wskazując gwiazdę, która ciągnęła za sobą ogon. – Jakby zbladła.

– To efekt łuny od pożaru.

– A może odwróciliśmy los cesarstwa? Odepchnęliśmy klątwę gwiazdy?

– Od czasu rozmowy z pewnym upiorem wiem, że kometa niczego nie zwiastuje. To po prostu kawałek kosmicznego śmiecia ogrzanego przez słońce. A jeśli zbladła, to znak, że odlatuje gdzie indziej w swojej trwającej miliardy lat wędrówce.

– Hm. Ja chyba wolę wersję poetycką.

Virion zaczerpnął z wiadra, które sobie przynieśli, kolejny puchar wina.

– Nadchodzi epoka, w której poezja przestanie być w cenie.

– Myślisz? Sądząc po dzisiejszym występie Nery, to poezja chyba zastąpi po prostu rzeczywistość.

– Nie nazwałbym grafomanii kronikarzy od razu poezją – roześmiał się Virion. – Ale masz rację. Nadchodzą czasy, gdzie nie odróżnisz już prawdy od fałszu.

– To prawda. – Księżę również zaczerpnął nową porcję wina. – Ależ będziemy tęsknić za epoką, w której można było powiedzieć: tu jest dobro, a tam jest zło! To już ostatnia w historii tak prosta sytuacja.

– Szkoda.

Nolaan wypił kilka łyków i zerknął podejrzliwie na swój kubek. Nie, nie, wino było doskonałe i mocne. Wciąż jednak dziwiło go, że dziś nie może się upić.

– Zdałem sobie sprawę, że walcząc dzisiaj, mimo że stanowiliśmy jeden zespół, każdy sam zmagał się ze sobą – zmienił temat.

– Samotność wojownika – skinął głową Virion. – To faktycznie nieprzyjemne, kiedy zdajesz sobie sprawę, że jesteś całkiem sam wśród tłumu piesków merdających ogonkami przed szefem, przed żoną, przed tym, „co trzeba zrobić”...

– Przed tym, co wypada. Ludzie jakby żyją według reguł, które napisał ktoś inny i które im się nie podobają, ale poza narzekaniem niczego sami nie zmieniają.

– Tia. Aż nadchodzi chwila, kiedy trzeba podjąć decyzję.

Księżę tylko machnął ręką.

– E tam, nikt decyzji nie podejmie. – Rozejrzał się, smakując posępny obraz zasypywanego popiołem miasta, i znowu zmienił temat: – Co czujesz, walcząc z Nekronem?

Virion wzruszył ramionami.

– Miałem pewność... Nie, miałem przeświadczenie, że zginę.

– No i jak można walczyć z przeświadczeniem o własnej śmierci?

– Życie tak się właśnie toczy.

– Oj, bez sofistyki! Jaki sens można odnaleźć w walce, mając pewność, że się ją przegra?

– Długo się nad tym zastanawiałem.

– I znalazłeś odpowiedź?

– Tym sensem może być odkupienie.

To zastanowiło Nolaana. Zamilkł na dłuższą chwilę, podpierając brodę.

– W sensie zadośćuczynienia wobec innych ludzi, których...

– Nie, nie, nie – przerwał mu Virion. – Odkupienie wyłącznie we własnych oczach. Darowanie czegoś... sobie.

– Ach. – Ostatnia uwaga ewidentnie trafiła do księcia, bo znowu siedział zamyślony. Chyba jednak nie był to czas dochodzenia do prawdy ani pora jakichkolwiek objawień, bo podniósł oczy, będąc już w zupełnie innym nastroju.

– Staniesz się jeszcze bardziej sławny – powiedział. – Jak zniesiesz, kiedy zawistny lud nazwie cię egoistą...

– Tego słowa to lud nie zna.

– No ale mogą krzyzczeć za tobą, żeś morderca, sukinsyn, płatny zbój!

– Uwierz mi – uśmiechnął się Virion – na pewno mam też jakieś wady!
– Wstał z westchnieniem i kopnął w wiadro z resztką wina. – Chodź na dół. Może znajdziemy trochę wódki, bo płukanie gardła tym sikaczem nie sprawia mi przyjemności.



Kasjopeę zawieziono do budynku należącego oficjalnie do pionu administracyjnego poselstwa, a w rzeczywistości delegatury wywiadu Troy w stolicy Luan. Rzekomo ze względów bezpieczeństwa, a tak naprawdę chciano ją dokładnie przesłuchać, i to w miejscu, które jako jedyne w Syrinx wolne było od podsłuchujących agentów cesarstwa. Siedziała teraz w znajomych murach, tępo patrzyła na stosy zgromadzonych specjalnie dla niej wykwinnych przekąsek i nie była w stanie się ruszyć. Nie mogła wypowiedzieć ani jednego słowa.

Pamiętała to pomieszczenie. Tu właśnie szykowała się na pierwszy, wprowadzający bal u cesarza. Tu przygotowywały ją do misji przyjaciółki z dzieciństwa, służące, z którymi żyła sto razy lepiej niż z koleżankami z wyższych sfer. Tu otrzymywała instrukcje od Navena, ówczesnego szefa delegatury i jej szefa. Tu żartowała ze swoimi ochroniarzami.

A teraz oni wszyscy nie żyli. Zabili ich bestialscy spiskowcy... Nie. Nie, to zbyt proste. To głupie, wynaturzone, zezwierzęcone cesarstwo ich zabiło! Tak właśnie. Wszyscy bliscy jej ludzie poszli do piachu, i to bez pogrzebu, bez ciałopalenia, z powodu jakichś ordynarnych rozgrywek w ramach imperium!

– O czym myślisz, pani? – zapytał nowy szef delegatury.

Bogowie! Teraz on był jej bezpośrednim przełożonym. Ale w każdym szczególnie widać było, że to nie Naven. Tamten nigdy prywatnie nie użyłby

wobec niej zwrotu „pani”. Przecież była jego podwładną. A ten? Nie miał choć cienia autorytetu swojego poprzednika.

– Czy mógłbym ci w czymś pomóc, pani?

Co za służalczy ton! Naven nigdy by tak nie powiedział. I to ma być jej zwierzchnik? Który nawet nie potrafi zapomnieć, że rozmawia z księżniczką? Zje go jutro na śniadanie.

– Tak – odparła zdziwiona.

Mężczyzna, którego imienia nawet nie zapamiętała, sprawił jednak, że znowu potrafiła mówić.

– Cóż mogę podać?

– Zemstę na złotej tacy.

Zmieszał się.

– Pomsta nie jest naszym zadaniem, pani.

– Toteż potrzebuję jakiejś innej służby niż nasz wywiad, skrępowany konwenansami – odparła. – Wiem, że Luna od dawna tworzy swoje, jak to eufemistycznie nazwała, Biuro Handlowe.

– A co to takiego?

– Służba, która trudni się zbieraniem informacji. Czarownicy brakuje tylko kogoś, kto by tym pokierował. Kogoś z jajami, ale bez bojaźni w sercu. – Uśmiechnęła się. – No i takiego, co nie zna słowa „konwenanse”.

Popatrzył na nią trochę skonfundowany.

– Co zamierzasz zrobić, pani?

– Zamelduj, że moja misja zakończyła się pełnym sukcesem.

Zdumiony patrzył przez chwilę bezmyślnie.

– Ależ ona się jeszcze nie zaczęła, pani.

– Jesteś w błędzie. Ja już wiem, jak zniszczyć Cesarstwo Luan.

Potrząsnął głową.

– Pani...

– To domek z kart! – krzyknęła, nagle wstając. – Nie potrzeba żadnych wielkich armii! Nie potrzeba desantu z morza! Nie ma konieczności rujnowania całej gospodarki Troy na potrzeby wojny! Bo to jest domek z kart! Rozsypie się od uderzenia maleńkiej armii nowego typu!

– Pani, Luan to największe na świecie...

– Gównno! – dokończyła, wpadając mu w słowo. – Śmierdzi groźnie, wygląda obrzydliwie, ale raz pacniesz i nie wiadomo, gdzie leżało.

Szef delegatury wolał nie komentować. Widział wzburzenie księżniczki i nie zamierzał prowokować jej bardziej. Kasjopea jednak najwyraźniej nie miała dość. Podeszła powoli i zbliżyła twarz do jego twarzy tak, żeby ich spojrzenia mogły się spotkać.

– Daj mi dwie dekady, człowieku. A może mniej – wysyczała. – I zmiotę tę złotą fasadę z powierzchni ziemi! – Uderzyła pięścią w najbliższy stół.

Wykwintne przekąski pospadały na ziemię. Niektóre naczynia z napojami roztrzaskały się, ich zawartość rozlała się na podłodze. Wartownik za drzwiami, słysząc huk, wpadł do pomieszczenia zaniepokojony, chcąc sprawdzić, czy nie nastąpił właśnie wrogi atak.

Ludzi w środku owionął gorący wiatr. A do pokoju zaczęły sypać się niesione z nim grube płyty popiołu. Wraz z nimi pojawił się swąd spalenizny. Zapach wojny.



Zima w centralnym Luan przypominała raczej łagodną jesień w Troy. Na osłoniętych poranną mgłą wzgórzach trochę mżyło, trochę siało, a chmury, które zasnuły niebo, nie wykazywały najmniejszej gotowości do rozstąpienia się i przepuszczenia choć niewielkiej ilości promieni słonecznych. Cała okolica, choć stanowiła część wypoczynkowego kurortu dla bogaczy z wielkich miast, teraz wyglądała dość ponuro i niezbyt sprzyjająco. Za to willa, którą pani Nikt wybrała, żeby Niki mogła urodzić, była absolutnie wyjątkowa. Nowoczesna, przestronna, wygodna, z wodą w basenach, która w zależności od zachcianek użytkowników mogła mieć różną temperaturę, i z ogrzewaniem podłogowym, które działało bez zarzutu. Teraz w dodatku jarzyła się światłami. Wielu gości wymagało ogromnej obsługi, a ta wymagała wielkiej ilości światła, przygotowywała bowiem właśnie specjalną uroczystość.

Na razie jednak zamiast muzyki sprowadzonej z daleka kapeli jedynym dźwiękiem, który królował nad najbliższym otoczeniem, były wrzaski rodzącej Niki. Owszem, kobiety w podobnej sytuacji często krzyczą i często też zamiast zwykłych „och, och” czy „auć” pomstują na swój los lub przeklinają mężów i kochanków za to, że muszą teraz cierpieć. Niki jednak przeszła samą siebie i przebiła ludzkie kobiety. Ze szczegółami i dobitnie głośno wyjaśniała, co i której położnej zrobi w zemście, jak tylko będzie mogła wstać.

Virion co chwila robił ruch, jakby chciał pójść do sali, gdzie ustawiono łóżko jego żony, a pani Nikt niezmiennie powstrzymywała go, kładąc rękę na ramieniu. Sama uspokajała się, pykając z maleńkiej fajeczki, której cybuch wypełniony był mieszanką ziół o silnym aromacie.

– Nie przejmuj się tym, co krzyczy dziewczyna w takiej sytuacji.

– Ale ona obiecuje, że pozabija wszystkie położne – odparł Virion. – Nie wiem, jak inne kobiety, ale Niki jest do tego zdolna i potraktowałbym ją poważnie.

– Przestań. Zresztą moim zdaniem to już lada chwila.

– Upiorzyce zawsze tak cierpią?

– Są przecież jak ludzie.

Krzyk dochodzący z sali porodowej urwał się nagle. Chwila ciszy przedłużała się niezmaczona przez żaden odgłos.

– Już? – Virion nie wiedział, dlaczego odruchowo ściszył głos do szeptu.

– Czekajmy na przełożoną akuszerkę – pani Nikt odpowiedziała również szeptem.

I znowu usłyszeli Niki.

– No! Skoro już po wszystkim, to dajcie mi wódki!

– Ależ, pani!... – Głos jednej z położnych był przepełniony strachem. – Przecież nie możesz. Będziesz karmić.

– O kurwa, w co ja się wkopałam!

– Pani, pani, leż, proszę.

– Chcę wstać.

Pani Nikt znowu powstrzymała Viriona, chwytając go za rękę. A potem usłyszeli prośbę głównej akuszerki:

– Pani, powinnaś leżeć. Potrzebujesz przede wszystkim spokoju.

– W dupie mam twój spokój. W dupie mam wszystkich ludzi, którzy chcą już tylko spokoju, i mam dla nich jasne przesłanie: wy głupie cipy!

– Leż, pani, proszę.

– Życie to walka, a ja jestem żoną wojownika.

Z sali dobiegł ich odgłos przewracanych sprzętów. Po chwili usłyszeli też wyraźny odgłos plaskających po podłodze bosych stóp.

– Jestem żoną wojownika. Zawsze i na zawsze!

W drzwiach na taras pojawiła się Niki z zawiniętą w kokon córeczką trzymaną w zgięciu ramienia. Pani Nikt nie mogła oderwać od niej wzroku.

– To się jeszcze nie zdarzyło w historii świata – szepnęła zafascynowana. – Zaczynamy podróż w nieznane, która będzie trwała tysiące lat.

Niki nie zwracała na nią uwagi. Uśmiechnęła się do Viriona.

– No. Już jesteśmy!

...i to koniec tej historii

*Nie koniec jednak historii Viriona.
Następne przygody wkrótce.*

COPYRIGHT © BY Andrzej Ziemiański
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2023

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-853-5

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski
Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE

Piotr Cieśliński

PROJEKT OKŁADKI

Szymon Wójciak

ILUSTRACJE

Paweł Zaręba

REDAKCJA

Karolina Kacprzak

KOREKTA

Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ

pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 2519
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
[instagram.com/fabrykaslow/](https://www.instagram.com/fabrykaslow/)

O PIERWSZYCH CZĘŚCIACH
**SZERMIERZA
NATCHNIONEGO**

NAPISALI:



Ja się cieszę, że polska
fantastyka trzyma poziom!

OKOŃ W SIECI
ZOBACZ WIĘCEJ NA YOUTUBE

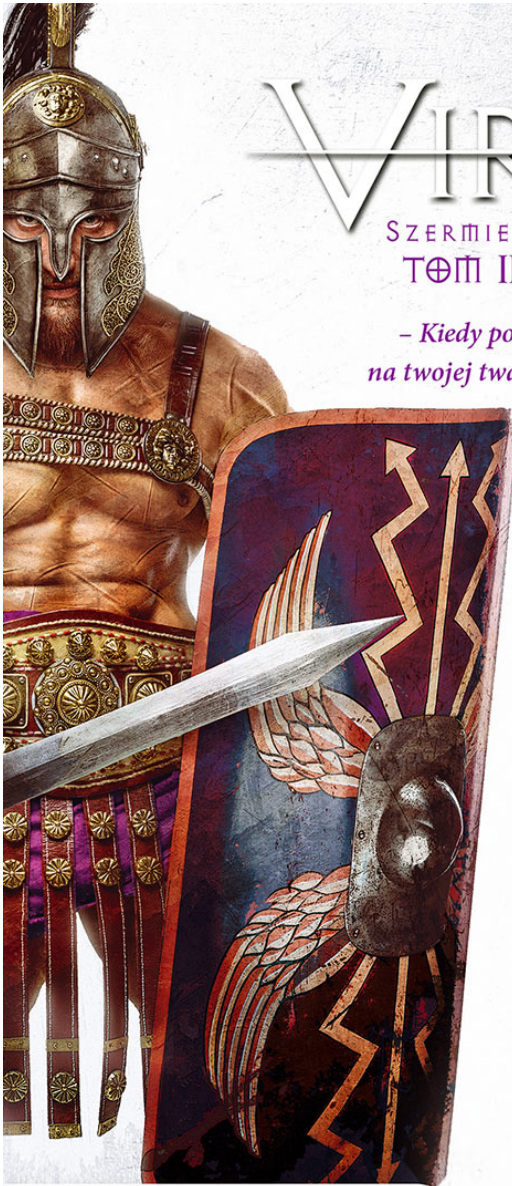


Ziemiański umie pisać tak, by podkreślać
stawkę, zdaje się, w nieskończoność.
Fabularnie nigdy nie zostawia czytelnika
bezczynnego, bezustannie dawkuje kolejne
tajemnice i zagrożenia, odkrywając jedną
kartę, podaje dwie kolejne zakryte.
Pozostawia niektóre wątki uśpione
(prowadząc je powoli w tle), a na
pierwszy plan przetrzuca inne.
Zachowuje to świeżość w serii, ale
nie wydaje się też w żaden sposób naciągane.

PATRYK KULAWIECKI (OPETANICZYTANIEM.PL)

Andrzej Ziemiański intrygującą fabułę traktuje
jako pretekst do ukazania kolejnych
mechanizmów rządzących światem.
Pisarz pokazuje, że w geopolityce nie ma
przypadków, a w szpiegowskich grach
najmniejszy nawet gest może być
wykorzystany przeciwko ich uczestnikom.

PIOTR PIEKARSKI (GRANICE.PL)



VIRION

SZERMIERZ NATCHNIŃNY
TOM III • LEGION

*- Kiedy powiedziałem ci, że przegrasz,
na twojej twarzy pojawił się dziwny wyraz.*

- Co oznaczał?

- Oznaczał... „Zobaczymy”.

Upadek jest nieunikniony.
Syrinx zostanie zdobyta
i splądrowana.
Głowa cesarza potoczy się
po marmurowej posadzce.
Cesarstwo pograży się
w chaosie i zniknie
z map świata.

Plan spiskowców
jest doskonały i musi
doprowadzić do takiego
właśnie finału.
Rozumie to nawet Taida.
Virion również to rozumie.
Tylko...
postanowił
nie przyjmować tego
do wiadomości.

